

ROMUALD  
SZEREMIETIEW

# Czy mogliśmy przetrwać

POLSKA A NIEMCY  
W LATACH 1918–1939



BELLONA



*Żonie Izabeli pracę tę poświęcam*

*Autor*

Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!  
Mariackim zrazu cicho śpiewają kurantem,  
A później, później bielą, później amarantem,  
Później dzielą się bielą i krwią, i szaleństwem,  
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,  
I dławią się wzruszeniem, i płakać nie mogą,  
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwoga,  
A ranek, mroźny ranek sypie w oczy świtem,  
A konie? Konie walą o ziemię kopytem.  
Konnica ma rabaty pełne galanterii.  
Lansjery - bohaterzy! Czołem kawalerii!  
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!  
Katedra oszalała. Ze wszystkich sił dzwoni!  
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,  
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,  
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!

A on mówić nie może! Mundur na nim szary.

(Jan Lechoń)

# SPIS TREŚCI

OD AUTORA .....	5
Rozdział I	
„PAŃSTWO SEZONOWE” .....	7
1. Pruska przegrana .....	7
2. Nim powstała Polska Odrodzona .....	11
3. Kwestia wewnętrzna czy problem międzynarodowy? .....	19
4. Jaka Polska?.....	24
5. Po trupie Polski.....	33
6. Nie rzucim ziemi... ..	39
7. „Polskę trzeba wykończyć” .....	46
8. Kiedy atak był obroną .....	53
Rozdział II	
„O MIEJSCE POLSKI W EUROPIE” .....	59
1. Straty, braki i trudności .....	59
2. „Zastępczy sojusznik” .....	68
3. Złe lata .....	73
4. Polnische Wirtschaft i Ostflucht.....	77
5. Dwa wymiary Revisionspolitik .....	86
6. Polityczny remis .....	93
Rozdział III	
NA ZAKRĘCIE .....	100
1. „Francja nas zdradzi” .....	100
2. Złamany pakt o nieagresji .....	104
3. W oczach Polaków .....	109
4. Dwa państwa.....	115
5. Rok 1933.....	119
6. Wojna prewencyjna? .....	134

## Rozdział IV

POLITYKA RÓWNOWAGI.....	139
1. Deklaracja.....	139
2. Polska w planach Hitlera .....	144
3. Jak siedzieć na dwóch stołkach? .....	150
4. W poszukiwaniu sprzymierzeńców .....	156
5. Skierować Hitlera na wschód .....	164
6. Obrona czy atak? .....	169
7. „Drugi marszałek” .....	176

## Rozdział V

KU WOJNIE.....	182
1 . Zwiastuny wojny .....	182
2. Austria, Litwa i ich sąsiedzi .....	191
3. Dramatyczny finał .....	197
4. Szanse „Trzeciej Europy”.....	205
5. Przed egzaminem.....	213
6. Zdrada.....	221
EPILOG .....	235
BIBLIOGRAFIA* .....	237

## OD AUTORA

Polska Niepodległa powstała po 123 latach niewoli. W 1918 roku naród polski odzyskał niepodległość i zaczął budować państwo, które miało zagwarantować Polakom bezpieczny byt. A jednak już 20 lat później Polacy musieli stanąć do nierównej walki z dwoma sąsiadami - Niemcami i Rosją. Stosunek sił, potencjał militarno-gospodarczy i stan naszych sojuszy sprawiły, że Wojsko Polskie nie mogło nie ulec przeważającym siłom Wehrmachtu i Armii Czerwonej!

Wiele lat minęło od owych zdarzeń i sporo wiemy o politycznych, społecznych, gospodarczych oraz wojskowych możliwościach Drugiej Rzeczypospolitej. Gorzej wygląda ocena polityki tamtego okresu, polityki, która jest sztuką możliwości, jak mówią Francuzi. Niniejsza praca stanowi właśnie próbę takiej oceny z uwzględnieniem możliwie wielu ograniczeń wewnętrznych i zewnętrznych, decydujących o realności każdej koncepcji politycznej. Stanowi też próbę odpowiedzi na pytanie, czy można było inaczej rozwiązać ówczesne problemy, choć jest oczywiste, że dziś nieskończenie łatwiej odnosić się do posunięć władz polskich, gdyż znane są niemal wszystkie fakty i ich następstwa. Tej możliwości pozbawieni byli bezpośredni uczestnicy wydarzeń, Józef Piłsudski i Józef Beck oraz obóz polityczny nazywany „belwederskim”, „sanacją” czy po prostu „piłsudczykami”.

Autor zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie przedstawić wyczerpująco wszystkich zagadnień. Usiłuje jedynie inaczej, nie ulegając schematom i różnym stereotypom, spojrzeć na dzieje Drugiej Niepodległej.

Książka powstawała w latach 1976-1977 i nie z winy autora przez długie lata nie mogła trafić do rąk Czytelników. Od tamtego czasu wiele wydarzyło się w naszym kraju, a i w spojrzeniu na dzieje najnowsze nastąpiły ogromne zmiany. Dlatego praca wymagała uzupełnień, niekiedy wreszcie postawienia „kropki nad i”. Nie zmieniło to jednak w niczym tego, co autor napisał przed siedemnastoma laty.

Zasadniczym zagadnieniem omawianym w tej pracy są stosunki polsko-niemieckie. W okresie międzywojennym wiele zależało od postawy Niemiec, a w 1939 r. okazało się, że to właśnie Berlin decydował, w jaki sposób zmaterializuje się złowrogie fatum, wynikające z położenia Polski między Niemcami a Rosją.

Spoglądając na Polskę i Niemcy z tamtego okresu możemy bez większych trudności stwierdzić, że Berlin - mimo przegranej wojny - był w pozycji uprzywilejowanej. Klęska cesarskiej Rzeszy nie pozbawiła niemieckich polityków atrybutów materialnej potęgi, poza przejściowym ograniczeniem liczebności armii. Traktat wersalski, niestety, nie wpłynął otrzewniająco na koła dążące do rewanżu i w następstwie do wywołania nowej wojny.

Polska nie była państwem małym, wyszła jednak z działań wojennych poważnie osłabiona, a realia, w jakich odradzała się po 123 latach niewoli, nie zawsze pozwalały na szybkie usuwanie opóźnień cywilizacyjnego i dysproporcji gospodarczych. Konflikty na tle politycznym, społecznym i narodowościowym, a także często wrogość sąsiadów, wpływały w poważny sposób na materialne elementy siły polskiego państwa. Tym istotniejsze i ważniejsze były wysiłki społeczeństwa polskiego, dążącego do wzmocnienia państwa, armii i gospodarki, do zintegrowania wewnętrznego, znalezienia sojuszników i udowodnienia światu, że Polska nie jest państwem sezonowym, jak twierdzili jej wrogowie.

W pracy tej dość dużo miejsca zajmują rozważania, mające ułatwić odpowiedź na pytanie, czy władze polskie mogły inaczej rozwiązać kwestie bezpieczeństwa narodowego. Autor skupił się na ośrodku władzy państwowej dlatego, że on odpowiadał za politykę bezpieczeństwa. I z tego względu Czytelnik znajdzie niewiele informacji o poczynaniach opozycji czy działaniach tak ważnych instytucji jak Kościół katolicki. Przedmiotem

obserwacji są bowiem przedsięwzięcia podejmowane przez rząd Rzeczypospolitej i możliwości, jakie miały władze polskie w latach 1918-1939.

Słowa podziękowania autor kieruje do wielu przyjaciół i znajomych, których wskazówki umożliwiły mu lepsze uzasadnienie prezentowanych poglądów, dziękuje też recenzentom za wnikliwe uwagi.

# Rozdział I

## „PAŃSTWO SEZONOWE”

### 1. Pruska przegrana

Dopóki Niemcy były podzielone na wiele organizmów państwowych, nie liczyły się w europejskim układzie sił. W 1871 r. jednak ogłoszono powstanie Rzeszy Niemieckiej - rezultat zabiegów Prus, które brały swój początek z ziem zagrabionych Rzeczypospolitej Polskiej. Należało zatem oczekiwać, że II Rzesza będzie spadkobierczynią pruskiej tradycji. Zapewne w tym czasie zaczęło nabierać nowego sensu znane powiedzenie, że „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”.

W historii stosunków polsko-niemieckich nie zawsze tak było. To prawda, że pierwsze półwiecze, począwszy od chrztu Polski, stanowiło w znacznej mierze pasmo walk z germańskim *Drang nach Osten*. Najczęściej jednak konflikty z Polską wszczynali chciwi słowiańskiej ziemi możnowładcy, zakony rycerskie, rzadziej miała Polska do czynienia z całą potęgą Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Były też i takie wydarzenia, jak spotkanie gnieźnieńskie Bolesława Chrobrego z cesarzem Ottonem III czy poparcie udzielone przez Henryka III Kazimierzowi Odnowicielowi. Przez długie lata stosunki Polski z państwami niemieckimi układały się pomyślnie. Można wskazać wiele przykładów bliskiej nawet współpracy. Na tronie polskim zasiadali władcy Saksonii, a związek personalny obu krajów przetrwał ponad sześćdziesiąt lat. Konstytucja 3 maja przyznawała dziedzicność polskiego tronu saskiej dynastii Wettinów. W ciągu stuleci poprzedzających rozbiory granica z Niemcami była spokojna. Polska opinia oddzielała wówczas Prusy od Niemiec. Królestwo pruskie nie wchodziło jeszcze w skład cesarstwa niemieckiego. Po upadku powstania listopadowego zachodnie i południowe Niemcy manifestowały entuzjastyczne poparcie dla sprawy polskiej (*Polenfreundschaft*). Polscy emigranci byli w Niemczech gościnnie przyjmowani, a poeci niemieccy opiewali polskie walki o niepodległość. Niemiecki historyk i polityk Karl von Rotteck nazwał rozbiory Polski „najsmutniejszym dramatem historii nowoczesnej” i „brutalnym naruszeniem prawa narodów i praw człowieka”.

Sytuacja uległa zmianie od czasu, gdy król pruski podporządkował sobie znaczną część państw niemieckich, a polityka Niemiec zaczęła oznaczać politykę Prus zawsze wrogo nastawionych do Polski. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, skoro państwo pruskie było spadkobiercą Krzyżaków i Brandenburgii, z którymi Polska znajdowała się w ustawicznych konfliktach. Połączenie się tych tworców państwowych doprowadziło do powstania organizmu politycznego opartego na osi Królewiec-Berlin i oznaczało nie tylko zagarnięcie części terytorium Rzeczypospolitej, ale również pozbawienie Polski dostępu do Bałtyku. Dla Prusaków odbudowanie Polski na tym terenie stanowiło groźbę likwidacji Prus, a co najmniej ich uszczuplenia w północno-wschodniej części.

Prusy opanowały nie tylko ziemie polskie. Chcąc utrzymać zdobycze terytorialne, Prusacy musieli zwiększać procent ludności niemieckiej w swym państwie i w ten sposób minimalizować odśrodkowe dążenia obywateli pochodzenia słowiańskiego. W tym m.in. celu podjęto działania, które można określić jako pruski *Drang nach Westen*, a które doprowadziły do tego, że w rywalizacji o przewodnictwo wśród narodów niemieckich, po wyeliminowaniu słabszych współzawodników, pozostały Prusy i Austria. Konfrontację, w której użyto wszystkich środków, nie wyłączając militarnych, wygrały Prusy. One też stworzyły nową Rzeszę, a ich władca został cesarzem Niemiec.

Wzrost Prus do rangi europejskiego mocarstwa regionalnego był nie tylko zwieńczeniem pasma sukcesów politycznych i militarnych tego małego - chociaż prężnego - państwa. Oznaczał istotną zmianę w europejskim układzie sił. Zjednoczone przez Ottona von Bismarcka Niemcy zdystansowały Francję, która od klęski w wojnie 1870 r. starała się znaleźć sojusznika, mogącego pomóc jej przeciwstawić się groźnemu wschodniemu sąsiadowi. Rzeczpospolita od dawna nie istniała. W ten sposób Rosja, niedawny wróg Francji, któremu drogę w głąb Europy utrudniały polskie walki niepodległościowe - mimo że istnienie Polski niepodległej odpowiadało francuskiej racji stanu - stawała się naturalnym sojusznikiem Paryża. Monarchia Romanowów, dzierżąca największą część Rzeczypospolitej - w tym stolice „obojga narodów” Warszawę i Wilno - stała się obiektem francuskich zabiegów. Odbiło się to natychmiast na politycznych związkach polsko-francuskich. Odtąd nie można było liczyć na pomoc Francji w walce przeciwko Rosji. Coraz częściej z ust Francuzów słyszeli Polacy rady, że w interesie swej ojczyzny powinni zjednoczyć się z Rosjanami i przeciwstawić się Niemcom. Chodziło oczywiście o interes francuski, gdyż Polacy pozbawieni własnego państwa byli dla Paryża zbyt słabym partnerem.

Jednak, wbrew pozorom, stworzone przez Prusy mocarstwo nie miało przed sobą przyszłości. Może się to wydać paradoksalne, ale Prusy, jednocząc Niemców, jednocześnie przygotowały podstawy samounicestwienia. Położenie geopolityczne groziło Rzeszy, że każdy konflikt może się przekształcić w wojnę na dwa fronty. Z jednej strony znajdowała się Francja, pobita, ale żadna odwetu, z drugiej Rosja, której władcy nie wyrzekli się skupienia całości ziem słowiańskich pod swym berłem. Również stosunki wewnętrzne w Rzeszy nie gwarantowały Prusakom hegemonii nad Niemcami. Ludnościowy i gospodarczy środek ciężkości państwa dość szybko przesunął się ze wschodu na zachód Niemiec. Stolica, Rzeszy znajdowała się w pruskim Berlinie, ale ogromna większość ośrodków przemysłowych i wielkomiejskich powstała na zachodzie Niemiec. Pokłady węgla i rudy żelaza, żeglowne rzeki i porty - wszystko to osłabiało polityczne znaczenie rolniczych prowincji pruskich, a wraz z tym znaczenie pruskiego junkierstwa w Rzeszy. Wprawdzie pruscy obszarnicy nadal dowodzili armią i kierowali polityką zagraniczną, ale i przemysłowe Niemcy zyskiwały coraz większe wpływy, domagając się floty, kolonii, surowców i rynków zbytu.

Prusacy usiłowali godzić interesy niemieckiego wschodu i zachodu. Polityka niemiecka lawirowała, nie mogła się zdecydować w wyborze głównego wroga. Raz hasłem było: „*Gott strafe England*”, i starano się o względy Petersburga, innym razem usiłowano porozumieć się ze Zjednoczonym Królestwem przeciwko „azjatyckim” Rosjanom. Efekt był nieodmiennie ten sam: Rzesza mobilizowała przeciwko sobie pierwsze potęgi świata, a zyskiwała sojuszników, którym musiała pomagać.

Położenie Polski między Niemcami a Rosją zmuszało do wyciągnięcia konkretnych wniosków. Stało się przecież widoczne, że „wybicie się Polaków na niepodległość” będzie możliwe tylko pod warunkiem skłócenia zaborców: Austrii, Prus i Rosji. Zamyśl wykorzystania sprzeczności między „czarnymi orłami” stawał się w różnych wariantach motywem zasadniczym tak w programie niepodległościowym, jak i w dążeniach emancypacyjnych Polaków.

Myśl ta opierała się na następujących przesłankach: nie można było liczyć na pomoc Francji w walce z caratem, ale ta sama Francja była śmiertelnym wrogiem innego zaborcy - Prus; Austria, która stosowała politykę dość liberalną wobec ludności polskiej w swoim zaborze, obawiała się konkurencji rosyjskiej na Bałkanach i każde w zasadzie działanie wroga Rosji mogło liczyć na austriackie poparcie; Niemcy widziały konkurenta w Anglii, ale jednocześnie coraz bardziej zbliżając się do Austro-Węgier musiały wystąpić także przeciwko Rosjanom.

Wszystko to prowadziło prostą drogą do powstania dwu bloków i... do wojny. W takiej wojnie sprawa polska miała szansę przybrać rangę problemu międzynarodowego. Z dużą



dozą prawdopodobieństwa można było przypuszczać, że każda ze stron będzie chciała wykorzystać dążenia wolnościowe Polaków dla swoich celów. Ważniejsze jednak było przekonanie, że oto ulegnie zniszczeniu „porządek Świętego Przymierza”, który tak skutecznie odbierał Polakom wiarę w możliwość odzyskania niepodległości.

Jakby naprzeciw polskim pragnieniom wyszły procesy stanowiące początek nowego jakościowo etapu w stosunkach polsko-niemieckich. Zauważono oto cofanie się niemieczyzny z ziem polskich opanowanych przez Prusy.

Wytyczną polityki pruskiej przed wybuchem I wojny światowej była znana wypowiedź kanclerza Ottona von Bismarcka: „Bijcież Polaków, dopóki im nie odejdzie ochota do życia [...] jeśli mamy istnieć, musimy ich wytepić”. Wśród wielu działań, które w związku z tym rząd Rzeszy podjął, była tzw. walka o kulturę (*Kulturkampf*). Celem tej akcji miało być nie tylko pogiębienie katolicyzmu - przeciwnika pruskiego protestantyzmu, ale również niszczenie polskości. Polskość i katolicyzm w umyśle „żelaznego kanclerza” łączyły się w jedno.

*Kulturkampf* rozpoczął się tuż po ogłoszeniu na soborze w 1870 r. dogmatu o nieomyślności papieża w sprawach wiary i moralności. W listopadzie 1871 r. pruski parlament uchwalił tzw. paragraf kazalnicy, przewidujący karę dwu lat więzienia dla księży, którzy podejmą z ambony krytykę polityki rządu. W przemówieniu wygłoszonym w parlamencie (9II 1872) kanclerz ostro zaatakował polskie duchowieństwo. Oskarżał je o planowe i konsekwentne „odniemczanie” młodzieży szkolnej. Według Bismarcka doszło do tego, że „w dawnych niemieckich gminach Prus Zachodnich młodzież nie umiała już po niemiecku, skutkiem czego gminy te po stuletniej przynależności do państwa pruskiego zostały spolonizowane”.

Przy innej okazji Bismarck mówił o „polskim szturmie na niemieckie bastiony”. „Tysiące Niemców i całe miejscowości, w poprzednim pokoleniu jeszcze niemieckie, zostały spolonizowane!” - wołał kanclerz. Bismarck nie mógł znieść wystąpień polskich posłów w Reichstagu, denerwowały go też wpływy arystokracji polskiej na dworze berlińskim (głównie Radziwiłłów). Wszędzie widział intrygę i spiski znieawidzonych Polaków.

Władze pruskie wydały zarządzenia odbierające duchowieństwu polskiemu wpływ na szkoły. Katolicyzm jednak okazał się silniejszy. Kiedy w grudniu 1872 r. doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych Niemiec ze Stolicą Apostolską i Pius IX podjął stanowcze kroki wobec pruskich zabiegów wokół stworzenia tzw. kościoła narodowego, katolicy w Niemczech zostali zdopingowani do działania. Wyrazem tego był wzrost sił katolickiej partii Centrum w parlamencie Rzeszy. Doszło też do współpracy między środowiskami katolickimi polskimi i niemieckimi. „Z polskiego punktu widzenia - stwierdził Janusz Pajewski (*Niemcy w czasach nowożytnych*) - był *Kulturkampf* zjawiskiem dodatnim. Na szali polskich zdobywczy doby *Kulturkampfu* widnieje wejście chłopca polskiego do rządu walczących o prawa narodu. Zwalczając religię, ten wielki skarb duszy ludu polskiego, odsłonił mu Bismarck inny wielki skarb - ojczyznę”.

W 1886 r. Bismarck musiał zrezygnować ze swojej „walki o kulturę”. Nie oznaczało to jednak zmiany polityki w stosunku do Polaków. Nadal szykanowano społeczeństwo polskie, choć teraz starano się to czynić w sposób bardziej elastyczny. Zgodnie z zasadą: „dziel i rządź”, Bismarck sądził, że wystarczy sparaliżować działalność polskiego duchowieństwa i pozbawić majątków polską szlachtę, a chłopcy polscy dadzą się zgermanizować. Dlatego rząd pruski powołał do życia specjalną Komisję Kolonizacyjną do wykupu ziemi z polskich rąk. Ustawą z 26 kwietnia 1886 r. utworzono tzw. fundusz kolonizacyjny w wysokości 100 mln marek, „aby przez osiedlenie niemieckich chłopów i robotników wzmocnić w prowincji poznańskiej i w Prusach Zachodnich żywioł niemiecki przeciwko dążnościom polonizacyjnym”.

Efekt działalności tej Komisji był taki, że w okresie 1886-1918 wykupiła ona 438 tys. hektarów ziemi, ale z tego tylko 125 tys. hektarów należało przedtem do Polaków, resztę kupiono od Niemców. W tym samym czasie Polacy kupili od Niemców około 200 tys. hektarów! A zatem niemiecki stan posiadania nie tylko nie powiększył się, ale nawet uległ zmniejszeniu.

Dymisja Bismarcka nie oznaczała istotniejszych zmian w wewnętrznej polityce Prus. Cesarz Wilhelm w czasie przemówienia wygłoszonego w Malborku w 1902 r. zapowiadał, że „poskromi polską butę i zuchwałość”. Minister spraw wewnętrznych Hans von Hammerstein-Loxten domagał się, aby Polacy uważali się za „Prusaków mówiących po polsku”. Minister oświaty Gustaw von Gossler nie krył swej nienawiści do polskości. A kanclerz Bernhard von Bulow tłumaczył zachodniemu dziennikarzowi konieczność kursu antypolskiego wysokim przyrostem naturalnym Polaków(!). Christoph von Tiedemann (prezydent rejencji bydgoskiej) mówił: „Chodzi [...] o starą, tysiącletnią walkę o to, kto ma przetrwać na obszarze między Łabą a Wisłą: Niemcy czy Polacy”. Istotę pruskiej polityki w stosunku do ludności polskiej wyłożył filozof Edward Hartmann w książce *Der Ruckgang des Deutschtums*: „Musimy wytępić słowiańszczyznę w naszych granicach, jeżeli wpływ niemieczyzny w dziejach narodów kulturalnych nie ma ulec znacznemu spadkowi”.

A jednak mimo wysiłków rządu pruskiego i licznych organizacji z Hakatą na czele nie udawało się zgermanizować ziem polskich. Miasta i centra przemysłowe w zachodnich Niemczech przyciągały ludność niemieckiego wschodu. Niemcy - przede wszystkim - opuszczali Poznańskie, Pomorze, a nawet Śląsk. Wówczas to znany socjolog Max Weber nazwał ten proces odpływu Niemców „ucieczką ze Wschodu” (*Ostflucht*). Łączył się z tym drugi prąd migracyjny (jakby na przekór Hakacie), nazwany „ucieczką z ziemi” (*Landflucht*). Według obliczeń samych Niemców te prądy migracyjne objęły ogromne masy ludzi. Tylko w okresie od powstania II Rzeszy do 1910 r. niemieckie prowincje wschodnie opuściło około 3,7 mln ludzi. Do wybuchu pierwszej wojny światowej liczba ta przekroczyła 4 miliony. Gdy przypomnimy, że cały pruski Wschód zamieszkiwało 14 mln ludności (w 1910 r.) - w tym kilka milionów Polaków - wówczas stwierdzimy, że ten ubytek stanowił niemal jedną trzecią zaludnienia.

Rozmiary *Ostflucht* w pierwszym czterdziestoleciu istnienia II Rzeszy obrazują dane ogłoszone przez Józefa Szaflarskiego w pracy *Ruch ludnościowy na pograniczu polsko-niemieckim w ciągu ostatniego wieku*. W poszczególnych rejencjach ubyło: królewiecka - 367,1 tys. mieszkańców, gabińska - 287,8 tys. mieszkańców, olsztyńska - 39,3 tys. mieszkańców, gdańska - 159,6 tys. mieszkańców, kwidzyńska - 429,4 tys. mieszkańców, szczecińska - 196,2 tys. mieszkańców, koszalińska - 298,7 tys. mieszkańców, ślubicka - 314,1 tys. mieszkańców, poznańska - 483,1 tys. mieszkańców, bydgoska - 271,4 tys. mieszkańców, wrocławska - 209,6 tys. mieszkańców, legnicka - 146,2 tys. mieszkańców, opolska - 235,7 tys. mieszkańców.

I W rezultacie tych procesów Prusy Wschodnie utraciły 9,1% ludności, Prusy Zachodnie - 9,5%, Pomorze - 8,15%, Poznańskie - 9,0% i Śląsk - 2,6%. Tajemnicę ucieczki ze Śląska - mimo istniejącego tam rozwiniętego przemysłu - Szaflarski tłumaczył następująco: „Głównie działały tu czynniki ekonomiczne, jak wyższe płace, lepsze stosunki mieszkaniowe i ogólne warunki życiowe. Porównanie przeciętnych rocznych zarobków w latach 1910-1913 na Śląsku (ok. 1000 Mk) i w kopalniach westfalskich (o 50-60% wyższe) w dużej mierze tłumaczy nam ten właśnie kierunek migracyjny”.

Proces odpływu Niemców miał ogromne znaczenie dla umacniania polskości na ziemiach zaboru pruskiego. Polacy odzyskiwali dawne pozycje nawet tam, gdzie nie sięgały granice przedrozbiorowe. Prezydent rejencji opolskiej, na przykład, podawał w urzędowej statystyce, że w 1861 r. Polacy stanowili 59,1% ogółu ludności, w 1900 - 59,9%, rok później przewaga ludności polskiej zwiększyła się do 69,2%, aby w 1911 r. osiągnąć 70,1%. I

choć władze pruskie starały się ukrywać rzeczywisty stan rzeczy (dane kościelne mówiły o 80-90% Polaków w reencji), to jednak nie mogły zataić faktu, że Opolszczyzna była polska. Podobne zjawisko można było spostrzec w Wielkopolsce. Jeżeli w 1871 r. przewagę ludności niemieckiej notowano w 43 miastach Poznańskiego, to cztery lata później liczba ta spadła do 21 miast. W samym Poznaniu odsetek Polaków podniósł się w tym okresie z 51 do 60 procent.

To, co się działo, niepokoiło czynniki rządowe. Zaczęto więc mobilizować Niemców przeciwko polskości. Ukuto nawet specjalne hasło *die polnische Gefahr* - polskie niebezpieczeństwo. Najbardziej przewidyjący politycy niemieccy zdali sobie sprawę, że utrzymanie się Prus nad Wisłą staje się coraz mniej realne. Tymczasem obawy Niemiec przed „polskim niebezpieczeństwem” potęgowały wzrost świadomości narodowej i politycznej wśród ludności polskiej. Prusacy nie mogli zrozumieć, dlaczego przegrywają z pogardzanym żywiołem polskim. Podejrzewano intrygi rosyjskie lub francuskie, mające na celu podburzenie Polaków.

Przebiegiem realizmu w polityce niemieckiej można by nazwać czteroletni okres rządów następcy Bismarcka na fotelu kanclerza, Leo von Capriviego. Nowy kanclerz był rzecznikiem interesów zachodnich, przemysłowych Niemiec. Caprivi uważał, że w niedalekiej przyszłości musi dojść do wojny z Rosją (zdanie kanclerza podzielali szefowie sztabu armii Alfred Waldersee i Helmuth von Moltke), dlatego postanowił zbliżyć się do Anglii i złagodzić kurs antypolskiej polityki. Linia ta szybko dała widoczne efekty, ale została ostro zaatakowana przez junkrów pruskich, którym sekundował odsunięty od władzy Bismarck. Przeciwko Capriviemu wystąpiły najbardziej reakcyjne koła Rzeszy. Porozumienie z Anglią spowodowało powstanie Związku Wszechniemieckiego (w 1891 r.), domagającego się nowych kolonii, a więc prowokującego konflikt z Wielką Brytanią, natomiast nieznaczne ulgi poczynione wobec ludności polskiej zaowocowały powołaniem Hakaty. Prusacy nie poprzestali na słownym atakowaniu „perfidnej” Anglii i równie „perfidnych” Polaków, ale doprowadzili do obalenia Capriviego.

Fiasko germanizacyjnych planów w stosunku do ludności polskiej dostrzegł nawet sam „żelazny kanclerz” i w pewnym sensie przyznał to u schyłku swego życia. „Polska szlachta, polskie duchowieństwo i [...] polski chłop - stwierdził Bismarck - oto elementy, dla których konspiracja i intryga polityczna stały się nie tylko potrzebą życiową, lecz które okazują w nich wyjątkowo wysokie uzdolnienia i zręczność: oddane w służbę idei narodowej, nie pozwalają im nigdy spocząć, lecz pobudzają ustawicznie do coraz nowych knoń”.

Klęska Prus w konfrontacji z polskością była - wbrew pozorom - przesądzona (dowodzi tego chociażby obecna granica polsko-niemiecka na Odrze i Nysie). Dopóki Prusy kierowały polityką niemiecką, musiało to oznaczać klęskę Niemiec.

## **2. Nim powstała Polska Odrodzona**

Świadomość narodowa, myśl i działania polityczne Polaków rodziły się w niewoli przy braku własnego państwa, co miało istotne znaczenie dla kształtowania wyobrażeń społecznych o celach narodowych i w konsekwencji o sposobach i metodach ich osiągnięcia.

W związku z tym polskie ugrupowania polityczne można podzielić - najogólniej biorąc - na trzy grupy.

Pierwszą stanowili ci, którzy uważali się za realistów. Ten realizm skłaniał ich do korzenia się przed siłą najbardziej realną - zaborcami. Postawa ta wynikała z przekonania, że rozbiory stały się faktem nieodwracalnym, ziemie polskie zostały na zawsze włączone do trzech różnych organizmów gospodarczych, a państwo polskie się nie odrodzi. Polski

program polityczny miał więc ograniczyć się do dążenia, aby stać się najbardziej uprzywilejowaną mniejszością narodową na terenie Rosji, Austrii lub Prus. Skrajnym przykładem takiej postawy były na przykład poglądy Kazimierza Krzywickiego, współpracownika Aleksandra Wielopolskiego, który w broszurze *Polska i Rosja w 1872 r.* zalecał Polakom wyrzeczenie się wszelkich aspiracji narodowych, odrębności językowej nie wyłączając, i pełne zlanie się z narodem rosyjskim. Łagodniejszym przejawem tego typu myślenia był tzw. trójlojalizm. W tym nurcie mieściła się też koncepcja SDKPiL, będąca swoistym lewicowym odbiciem takiego pseudorealistycznego rozumowania. Róża Luksemburg głosiła pogląd o nieodwracalności rozbiorów i uzasadniała go „organicznym wcieleniem” polskich ziem do państw rozbiorczych. Jej zdaniem postulat niepodległości jest wręcz szkodliwy dla interesów polskich robotników, którzy będą chcieli utrzymać istniejące powiązania gospodarcze i społeczne z Rosją.

Druga grupa obejmowała te siły polityczne, które opowiadały się za metodą orientacji. Swą koncepcję działania opierała ona na założeniu, że Polacy są zbyt słabi, aby odzyskać niepodległość. Dlatego należało szukać jakiegoś *modus vivendi* dla zapewnienia istnienia narodowego albo oprzeć się na mocarstwie, które będzie w konflikcie z państwami rozbiorczymi. Sądzono, że w ten sposób dojdzie do faktycznego zjednoczenia ziem polskich, co z czasem pozwoli sięgnąć po inne cele. Zanim to nastąpi, należy poddać się politycznemu kierownictwu na przykład Napoleona I, Mikołaja II czy Franciszka Józefa. W zamian można było otrzymać Księstwo Warszawskie, autonomię w ramach Rosji lub awans na trzeci człon monarchii austro-węgierskiej. Cenę tę - rezygnację z niepodległości - trzeba było płacić w imię zachowania narodu polskiego. A zatem chociaż za każdym razem adresat orientacji mógł być inny, to istota polityczna tej koncepcji była taka sama. Niekiedy słyszy się, że ta koncepcja polskiej polityki zagranicznej wynika z geopolitycznego położenia Polski. Nie jest to prawda. Kiedy istniało państwo polskie, wówczas nie było potrzeby orientowania się na siły zewnętrzne. Jedynym wyznacznikiem orientacji był interes państwowy kraju. Nie należy mylić orientacji z polityką sojuszy. Są to różne sprawy. Sojusz zawierany jest po to, by móc realizować własne interesy i przestaje obowiązywać, gdy tym interesom nie służy. Sojusz staje się orientacją, gdy okazuje się, że utrzymanie go ważniejsze jest od interesów strony, która go zawarła. Polityka orientacji sprowadza się w rzeczywistości do składania jednostronnych ofert-deklaracji, z którymi adresat może uczynić wszystko lub nic. A składający ofertę czeka.

Wreszcie trzecia grupa skupiała zwolenników walki o niepodległość kraju. Jej przedstawiciele byli przekonani, że będą w stanie wywalczyć własne państwo, jeżeli zdołają skupić całość sił narodowych, których trzon widzieli w warstwach pracujących. Myśl ta, rozwijana przez takich ludzi, jak Tadeusz Kościuszko i Józef Bem, realizowana w Czynie Listopadowym Podchorążych i podniesiona raz jeszcze w powstaniu styczniowym, znalazła kontynuatorów w działaczach Polskiej Partii Socjalistycznej. Kazimierz Kelles-Krauz pisał w artykule pt. *Czy jesteśmy patriotami we właściwym znaczeniu tego słowa?*: „Otóż właśnie pośród [...] potrzeb jedną z najbardziej naglących jest potrzeba praw politycznych. [...] Z tej właśnie potrzeby wypływa dla polskiej klasy robotniczej konieczność wywalczenia niepodległej Polski republikańskiej i możliwie jak najbardziej demokratycznej”.

Koniec XIX stulecia był okresem formowania się nowoczesnych partii politycznych. Powstawały one również na ziemiach polskich. Jedną z nich była partia polskiej inteligencji i mieszczaństwa - Narodowa Demokracja - silnie zakorzeniona także na polskiej wsi.

Ideologia endecji kształtowała się pod wpływem wewnętrznej sytuacji kraju pamiętającego klęskę powstania 1863 r. Nowoczesne i przemysłowe Niemcy - pogromca. Francji - dysponujące sprawną machiną państwową, przerażały mieszczaństwo polskie. W dodatku przemysł, opanowany przez niemiecki kapitał, nie dawał na miejscu wielkich szans konkurencji polskiej. Toteż do argumentacji politycznej przybyły jeszcze argumenty

gospodarcze - przemysł polski, który na terenie Królestwa Polskiego rozwijał się szybko, widział w Rosji chłonny rynek zbytu. To zaś orientowało mieszczaństwo na Rosję i odstręczało od Niemiec. „Problem niemiecki - pisze Wojciech Wrzesiński (*Niemcy w polskiej myśli politycznej lat 1864-1914*) - był traktowany instrumentalnie, mianowicie był wykorzystywany do kształtowania postaw społeczeństwa polskiego zgodnie z interesami określanymi przede wszystkim przez potrzeby ekonomiczne burżuazji. W imię wrogości wobec Niemiec ideolodzy polskiego mieszczaństwa w Królestwie dążyli do umocnienia postawy ugodowej wobec Rosji, wracając niejednokrotnie do generalnej tezy o nieuchronności konfliktu germańsko-słowiańskiego”.

Czołowy ideolog Narodowej Demokracji Jan Ludwik Popławski pisał, że utrzymanie zagrabionych Polsce ziem to dla Prus „kwestia bytu”. Bez tych ziem - dowodził - Prusy przestaną istnieć. Dlatego żywotnych interesów Polski nie można w żadnym układzie połączyć z interesami Prus. Popławski krytycznie oceniał ówczesne plany odbudowy Rzeczypospolitej na wschodzie: „Nasi politycy marzą jeszcze o Wilnie i Kijowie, ale o Poznań mniej dbają, o Gdańsku zapomnieli prawie zupełnie, a o Królewcu i Opolu nie myślą zgoła. [...] czas już po tylu wiekach błąkania się po manowcach wrócić na starą drogę, którą ku morzu trzebiły krzepkie dłonie piastowskich wojów”. Z całą konsekwencją nawoływał Popławski do odzyskania wszystkich ziem na zachodzie, również tych utraconych dawno przed rozbiorami.

Do realizacji takiej koncepcji endecja nie miała dość sił. Na możliwość rozbicia Prus można było liczyć tylko w wypadku wojny rosyjsko-pruskiej, lecz ta ewentualność w układzie politycznym tworzonym przez Bismarcka wydawała się nierealna. Tym bardziej że Rosja, zaangażowana w konflikt z Turcją i narodami azjatyckimi, nie mogła, myśleć o wojnie w Europie. Bieg wydarzeń zdawał się jednak urealniać plany endecji. W 1899 r. Narodowa Demokracja postawiła swą polityczną kartę na rosyjskie zwycięstwo nad Rzeszą. Popławskiego wspierał wówczas młody i wybijający się działacz Roman Dmowski. On sam jeszcze w 1903 r. (*Myśli nowoczesnego Polaka*) nie wykluczał możliwości współpracy z Niemcami przeciwko Rosji, później jednak zajął zdecydowane stanowisko antyniemieckie i prorosyjskie, tworząc po raz pierwszy w 1909 r. (*Niemcy, Rosja i kwestia polska*) zarys programu terytorialnego na zachodzie.

W swojej książce Dmowski powtarzał za Popławskim argumenty przemawiające za nieuchronnością konfliktu z Prusami. „Dla państwa, które wyrosło na ziemiach zachodniej Słowiańszczyzny, dla którego te ziemie są głównym punktem oparcia w jego panowaniu nad całymi Niemcami, którego potęga w głównej mierze wyrosła na upadku Polski, podniesienie głowy przez polskość oznaczałoby położenie tamy jego wzrostowi, w konsekwencji za chwianie jego roli w Rzeszy Niemieckiej”. Obawiając się Prus, Dmowski dostrzegał słabość państwa rosyjskiego. Twierdził, że musi ono, jeżeli chce istnieć, przekształcić się wewnątrz. „To nie może być państwo jednego narodu rosyjskiego, wszystkim innym narzucającego swą kulturę i swe instytucje - siły innych narodów, a przede wszystkim polskiego, muszą być na równi z rosyjskimi powołane do życia, dla samoistnej twórczości. [...] Polacy zrozumieli - pisał dalej Dmowski - że odbudowanie własnego państwa w wytworzonym położeniu międzynarodowym jest celem nieziszczalnym, że wszelkie działanie przedsięwzięte w tym kierunku byłoby tylko zabójstwem sił własnych i oddaleniem od drogi, na jakiej należy w obecnych warunkach walczyć o byt narodowy i pracować dla narodowej przyszłości”.

Wniosek: należało dążyć do zjednoczenia ziem polskich pod berłem Romanowów, uzyskać autonomię i w ten sposób umocnić naród. Wniosek ten był w pełni uprawniony w kontekście ideologicznej koncepcji stworzonej przez Dmowskiego. Jego formuła nacjonalizmu opierała się bowiem na założeniu, że naród stanowi czynnik nadrzędny nie tylko ponad podziałami społecznymi, ale także ponad państwem. Naród - zdaniem ideologa



endecji - mógł istnieć bez państwa, ale nie mogło być odwrotnie. A więc podstawowym zadaniem było umacnianie narodowej kultury, świadomości i tożsamości Polaków. To

że zadanie to było niemożliwe do zrealizowania bez niepodległego państwa, I tego Dmowski zdawał się nie dostrzegać. A może tylko udawał, że nie dostrzega, działając w zaborze rosyjskim.

Zarówno w *Myślach...*, jak i w wymienionej wyżej pracy uderzała fascynacja prężnością i siłą państwa pruskiego. Niemcy imponowały Dmowskiemu jako groźny i bezkompromisowy wróg. Wróg, którego można było pokonać po zjednoczeniu się z innym przeciwnikiem Niemiec. Wybierając między Rosją a Niemcami - a uważał, że powinien wybierać - uznawał państwo Mikołaja II za mniejsze zło. Widział słabość i wady tego „sojusznika”. Twierdził jednak, że właśnie dlatego Rosja nie będzie zdolna „do zdobycia się na system polityki antypolskiej”.

Dmowski twierdził, że zmiany w sytuacji międzynarodowej spowodowały, iż „Wschód europejski przestał być groźnym, a natomiast głównym źródłem niebezpieczeństwa dla innych krajów, a także dla samej Polski, stała się Europa środkowa, niemiecka”. Ideolog endecji obawiał się nawet, że Niemcy wykorzystają słabość Rosji i uczynią ją „powolnym narzędziem polityki berlińskiej”. Nawoływał więc rządy państw Europy Zachodniej, aby starały się wzmacniać Rosję, która powinna stać się „zdolną do przeciwstawienia się Niemcom”.

W takim kontekście odbudowanie państwa, a zwłaszcza podjęcie walki o niepodległość wydawało się nie tylko czymś nierealnym, ale wręcz zagrażającym istnieniu narodu. Akcja niepodległościowa musiała się rozwijać głównie w zaborze rosyjskim, to znaczy osłabiałaby carat i umacniała Niemcy. Tak to przynajmniej widzieli endecy. W rozumieniu Dmowskiego Polacy stanęli wobec alternatywy: albo zniszczenie polskości przez Niemców, albo istnienie narodu w skromniejszych ramach rosyjskiej pseudoautonomii.

Rozwój wypadków po 1909 r., zwłaszcza po wybuchu wojny, dowiódł, że błędne były polityczne koncepcje Dmowskiego. Potęga Niemiec okazała się mniejsza, niż sądzono, a upadek carskiej Rosji nie spowodował następstw, których obawiał się Dmowski. Zastanawiające jest, że tak wybitny polityk nie potrafił prawidłowo określić tego, co miało nastąpić. Błąd Dmowskiego zdawał się wynikać z metody, którą usiłował on stosować przy wyciąganiu wniosków. Dysponując szeroką wiedzą o otaczającej go rzeczywistości, traktował ją jako coś statycznego. Nie uwzględniał w swoim rozumowaniu dynamiki zmian. Zwłaszcza zaś nie dostrzegał procesów osłabiających i wzmacniających różne siły polityczne, tworzących się zarodków nowego układu sił. Dlatego na przykład, komentując upadek caratu w lutym 1917 r., twierdził, że „Rosja jako wielkie mocarstwo zniknie z widowni historycznej na okres być może wielu pokoleń”. Po latach podobną przyszłość prorokował Niemcom, opierając się na analizie wewnętrznej sytuacji Rzeszy w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego lat trzydziestych. Wypadki historyczne zaskakiwały endecję, która musiała pod ciśnieniem wydarzeń zmienić orientację z rosyjskiej na francuską, aby w końcu opowiedzieć się za Polską niepodległą. Henryk Wereszycki w *Historii politycznej Polski 1864-1918* zauważył, że działacze orientacji Dmowskiego dopiero w połowie 1916 roku wystąpili z wyraźnymi żądaniami niezależności dla Polski, a zatem wtedy „gdy było widowym, iż mocarstwa centralne szykują oficjalne wystąpienie w tej sprawie”. Jednak i wcześniej linia zbliżenia z Rosją budziła sprzeciw w obozie narodowym. Na tym tle doszło nawet do wyraźnego konfliktu i po 1907 r. odeszła od Dmowskiego organizacja młodzieżowa „Zet”, Narodowy Związek Robotników i grupy wybitnych działaczy tego obozu.

W innym kierunku zmierzały partie polskiej lewicy. Mamy tu na myśli nurt niepodległościowy ruchu robotniczego w Polsce. Przywódcy Polskiej Partii Socjalistycznej zgadzali się z opiniami endecji, że Prusy były państwem reakcyjnym, militarystycznym i

wrogim Polsce. Dostrzegali jednak elementy umożliwiające walkę z zaborcami. Państwo pruskie - twierdzili - było państwem pewnego porządku prawnego, wrogiego Polakom, ale jednak porządku. Wykorzystując obowiązujące prawa, Polacy mogli organizować opór przeciw germanizacji. Szans takich nie było w zaborze rosyjskim. Gdyby Drzymała żył w Kongresówce, to wraz ze swoim wozem - twierdzono w PPS - znalazłby się na Syberii. Carat mógł pokonać Prusy, ale to w niczym nie poprawiłoby losu Polaków. Ludność polska stanowiłaby nadal pewien odsetek ludności potężniejszej jeszcze Rosji i nic nie przekreślałoby możliwości rusyfikowania Polaków.

Stanowisko PPS w kwestii rosyjskiej sformułował Józef Piłsudski w artykule *Rosja*, ogłoszonym jeszcze w 1895 r. Redaktor naczelny „Robotnika” podkreślał konieczność walki zbrojnej z caratem i zastanawiał się, jakie siły mogłyby stać się sojusznikiem Polaków w tej walce. Jedną z takich sił upatrywał wówczas w międzynarodowym ruchu robotniczym. Piłsudski twierdził, że Polacy nie mogą liczyć na pomoc ze strony rosyjskich sił opozycyjnych, bo takie w Rosji nie istnieją, a wniosek ten wysnuł po przeprowadzeniu analizy składu społeczeństwa rosyjskiego. Najliczniejsza grupa - chłopci - uważali cara za dobroczyńcę ludu, obarczając winą za swe nieszczęścia urzędników, oszukujących batiuszkę z Pitra. „Długa i ciężka niewola tatarska - pisał Piłsudski - która trwała kilka wieków, niezatarte zostawiła ślady w historii Rosji i wyryła swe piętno na charakterze ludności. Wszczepiła ona ten duch niewolniczy, tę pokorę wobec władzy, to zgadzanie się z losem, jakie cechuje lud rosyjski. (...) Masa więc chłopska, która po smutnej historii ciemnotą i niewolniczość w spadku otrzymała, jest naturalną podstawą caratu”. Robotników rosyjskich uważał Piłsudski za słabo zorganizowanych i nieświadomych politycznie. Szlachta rosyjska została skazana przez historię na zniknięcie, a burżuazja była zbyt słaba, aby zagrozić caratowi. W konkluzji stwierdzał, że „jedyną zorganizowaną siłą w Rosji jest masa urzędnicza”. To spostrzeżenie okazało się wysoce trafne. Zostało ono potwierdzone porewolucyjną plagą biurokratyzmu, o czym wówczas często pisał Lenin i z czym nie uporano się do dziś. W tej sytuacji sojuszników Polski widział Piłsudski w narodach ujarzmionych przez Rosję.

Stąd też wynikał program odbudowy Rzeczypospolitej w dawnym wielonarodowym składzie. Taką koncepcję niepodległego państwa rozwijał inny działacz PPS, Edward Abramowski. Twierdził on, że Polska „etnograficzna” to „pojęcie utopijne, nierealne”. Dowodził, że różnice językowe między Polakami a Białorusinami czy Ukraińcami są mniejsze niż między mieszkającymi we Francji Bretończykami a Sabaudczykami lub Szkotami i Walijszczykami w Anglii. Abramowski stwierdzał, że narody Rzeczypospolitej połączyła „wspólnota losu”, że mają one „tę samą ojczyznę, tę samą przyszłość”. Według Abramowskiego, polskie państwo etnograficzne byłoby tylko inną formą carskiego „prywislina”, skazanego prędzej czy później na uzależnienie od któregoś z potężnych sąsiadów. Dlatego też - konkludował - „bez Litwy i Rusi nie może już być Polski, tak samo jak bez Polski nie może istnieć Litwa i Ruś”.

Ideę zjednoczenia trzech rozerwanych części Rzeczypospolitej wiele uwagi poświęcał bliski współpracownik Piłsudskiego, Leon Wasilewski. W pracy *O wschodnią granicę Państwa Polskiego* (wyd. 1917 r.) napisał on, że Litwini, Białorusini i Ukraińcy stanęli wobec alternatywy: z Polską lub z Rosją. Rosja dla tych narodów - według Wasilewskiego - oznaczała zagładę bytu narodowego. Oparcie się na Polsce miało gwarantować perspektywę pomyślnego rozwoju.

Zwolennikom programu niepodległościowego chodziło więc o odbudowę państwa. W przeciwieństwie do Dmowskiego Piłsudski widział w organizacji państwowej czynnik tworzący naród w procesie historycznym, dlatego niepodległe państwo stanowiło jego zdaniem niezbędny warunek narodowej egzystencji Polaków. Według piłsudczyków istotne znaczenie polityczne miało państwo, a nie taki czy inny przebieg granic. Granice w tym

wypadku były sprawą drugorzędną, wystarczało, aby w składzie tego państwa znalazły się trzy części historycznej Rzeczypospolitej - Polska, Litwa, Ruś.

Te plany godziły przede wszystkim w imperialną politykę Rosji. Przywódcy PPS-Frakcji Rewolucyjnej uważali, że nawet Rosja demokratyczna nie usunie narodowego ucisku na ziemiach polskich. W polityce zagranicznej każdej Rosji - twierdzono - znajdzie się dążenie do podporządkowania interesów Polski polityce rosyjskiej w Europie.

PPS nazywała złudzeniem wysuwany przez endecję program zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara. Odmienna sytuacja rysowała się - zdaniem socjalistów - gdyby Prusy chciały atakować Rosję i zająć resztę ziem polskich. Czy wówczas Berlin zdołałby na trwałe utrzymać w ryzach dwadzieścia milionów Polaków? „Już dziś - pisano w „Przedświcie” - Prusy dławią się polskimi ziemiami, które miały gładko przełknąć. Czyż nie udławią się, gdy kęs będzie znacznie większy?” Dlatego - twierdził Leon Wasilewski - Polacy powinni stanąć po stronie Niemiec przeciwko Rosji. Ale stając się sojusznikiem Niemiec, nie należało zapominać o polskim „rachunku z polityką rządu niemieckiego” i zrealizować go we właściwym czasie. Ten rachunek obejmował zwrot historycznych ziem polskich z uwzględnieniem procesów odrodzenia narodowego na zachód od granicy z 1772 r. Działacz piłsudczykowski PPS-Frakcji Rewolucyjnej powtarzał w tym miejscu poglądy nestora polskiego socjalizmu, Bolesława Limanowskiego.

Wybuch I wojny światowej nie tyle podzielił politycznie społeczeństwo polskie, co utrwalił istniejące podziały.

Najpoważniejszymi wpływami cieszyli się tzw. pasywiści, oczekujący zwycięstwa Ententy - w tym głównie Rosji. Jak nietrudno spostrzec, byli to narodowi demokraci i ugodowe, prorosyjskie koła konserwatywne. Obóz ten uważał, że zwycięstwo rosyjskie pozwoli zrealizować postulat autonomii dla zjednoczonych tą drogą ziem Polski, a w przyszłości przekształcić ten rejon w samodzielne państwo polskie - sojusznika Rosji. Sądzono nawet, że wojna z Prusami osłabi wpływy niemieckiej kamaryli na dworze petersburskim i Polacy zaczną odgrywać rolę czołową w rosyjskim aparacie władzy. O tych planach napisał Andrzej Micewski w biografii Dmowskiego: „Opierała się ona [koncepcja - R. Sz.] o chęć utrzymania społecznego status quo i sprzeciwiała rewolucji. Cokolwiek więc mówimy o przemyślności polityki Dmowskiego, nie zmienia to faktu, że w ostatecznym rezultacie nie prowadziła ona do sukcesu, nie przewidziała najważniejszych współczynników wydarzeń pod koniec I wojny światowej. [...] Zresztą niezadługo zrozumiał on [Dmowski - R. Sz.] to sam i opuścił Rosję. Przyznał się w ten sposób do klęski własnej koncepcji i całej swej polityki prorosyjskiej”.

Drugim ugrupowaniem byli aktywiści, popierający wystąpienie mocarstw centralnych (Austria, Niemcy) przeciwko Rosji. Ugrupowanie to było jednak poważnie zróżnicowane, znalazły się w nim bowiem wywodzące się z PPS związki niepodległościowe, którym przyświecały cele zasadniczo inne od zamiarów zwolenników związania Polski z Austrią.

Kierownictwo ruchu niepodległościowego starało się wykorzystać istniejące między zaborcami sprzeczności do utworzenia jedynej realnej wówczas siły - wojska. Mogło ono walczyć o sprawę polską nie tylko z Rosją. Założenie działań przedstawił Piłsudski jeszcze w styczniu 1914 r. w czasie j odczytu wygłoszonego w Towarzystwie Geograficznym w Paryżu. „Zwycięstwo pójdzie z zachodu na wschód - mówił wówczas. - Co to znaczy? To znaczy, że Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy, a te z kolei będą pobite przez siły anglo-francuskie lub anglo-amerykańsko-francuskie. To wskazuje Polakom kierunek działania”. Padło wówczas pytanie, czy Polacy powinni zrezygnować z ziem zaboru pruskiego i austriackiego. Odpowiedział na nie Witold Jodko-Narkiewicz: „[...] po rozbiciu armii carskiej Europa zachodnia nie złoży broni i blok niemiecki prędzej czy później podzieli z kolei los Rosji, wtedy to przyjdzie czas na uwolnienie i pruskiej, i austriackiej części Polski”. Założenie to sprawdziło się dość dokładnie. Kierownictwo ruchu niepodległoś-

ciowego trafnie przewidywało bieg wydarzeń. Zamiary tego nurtu przedstawiamy na podstawie relacji Wiktora Czernowa, przytoczonej m.in. przez Adolfa Juzwenkę w pracy o „białej” Rosji. Czernow uczestniczył w paryskim spotkaniu z Piłsudskim i po latach spisał tę relację. Potwierdzeniem jej prawdziwości jest relacja Walerego Sławka, cytowana w III tomie *Pism zbiorowych* Józefa Piłsudskiego, z której wynika, że Piłsudski przedstawił podobny tok rozumowania, jak to wspominał Czernow, w wywiadzie udzielonym na początku 1913 r. Józefowi Hłasce.

Sprawa ta budzi do dziś spory. Wielu odmawia Piłsudskiemu zdolności przewidywania zdarzeń, których przed 1914 r. nikt nie mógł nawet brać pod uwagę. Często twierdzi się, że relacja Czernowa ma nikłą wartość, a została odgrzebana jedynie w tym celu, by umacniać legendę Piłsudskiego. Stanowisko takie jest słabo umotywowane. Jan Molenda (*Piłsudzczyca a narodowi demokraci 1908-1918*) uważa relację Czernowa za wiarygodną. Píše: „[...] potwierdza się wiele przytaczanych przez niego [Czernowa - R. Sz.] faktów i poglądów, możliwych do skonfrontowania ze źródłami polskimi. Prawdopodobieństwo zaś korzystania z nich przez Czernowa jest raczej znikome”. Ponadto autor relacji nie zgadzał się wówczas z poglądami Piłsudskiego i Polacy usiłowali zjednać jego i jego partię (Partia Socjalistów-Rewolucjonistów) dla planów Piłsudskiego. Taka polemiczna wymiana zdań musiała utkwić głęboko w pamięci przywódcy eserowców.

Trzeba też przypomnieć o drugim paryskim wystąpieniu Piłsudskiego. Miało ono miejsce przed frontem paryskiej strzeleckiej Szkoły Oficerskiej. Wystąpienia tego słuchali przyszli generałowie Jerzy Błeszyński i Bolesław Wieniawa-Długoszowski, pułkownicy Konrad Libicki i January Grzędziński, a także Andrzej Strug i Wacław Sieroszewski. Konrad Libicki zanotował słowa Piłsudskiego: „W pierwszej fazie wojny z Niemcami i Austrią wystąpimy przeciwko Rosji, by wyzwolić Królestwo Polskie. W drugiej fazie, po zwycięstwie Anglii i Francji nad Niemcami, [...] my upomnimy się o wolność zaborów niemieckiego i austriackiego”. Sama koncepcja musiała być znana już wcześniej, bo Sieroszewski prezentował ją poprzedniego roku na łamach pism francuskojęzycznych.

Wreszcie można wskazać na dokument odnaleziony przez Adolfa Juzwenkę wśród papierów Walerego Sławka, przechowywanych w Archiwum Akt Nowych. Jest to notatka z 16 maja 1917 r. zatytułowana *Aktywizm a pasytywizm*. Wrocławski historyk zacytował fragment dokumentu w miesięczniku „Znak” (nr 10-11 z 1978 r.): „Aktywizm winien wybierać przeciwnika najgroźniejszego. Przed kilkoma miesiącami Rosja była formalnym właścicielem Polski - wówczas front nasz musiał być skierowany przeciwko niej. Z chwilą gdy Rosja przestała być najgroźniejszym przeciwnikiem, wysunął się na pierwszy plan okupant [tj. Niemcy - R. Sz.]. Naczelne zasady nasze, jeszcze sprzed wojny, pobicie Rosji przez państwa centralne, a następnie tych ostatnich przez Zachód”.

Przedstawione wyżej fakty przemawiają na rzecz relacji Czernowa. Piłsudski, dążąc do niepodległości, musiał liczyć się z wrogą postawą nie tylko Rosji, ale także Austrii i Niemiec. Będąc realistą, chciał dążyć do celu realnymi drogami. Według Andrzeja Garlickiego, Piłsudski zamierzał wkroczyć do Kongresówki na czele swych oddziałów, maksymalnie rozbudować wojsko, zająć Warszawę i ogłosić powstanie państwa polskiego. W ten sposób państwa centralne stanęłyby przed faktem dokonanym. Plan ten nie powiódł się, ale w warunkach 1914 r. wkroczenie do Kongresówki było jedną z możliwych dróg, jakie mógł obrać Piłsudski. Sądźmy, że Komendant wybrałby bez wahania inny wariant działań, gdyby dostrzegł w jego realizacji większe szanse zbliżenia się do niepodległości. Nietrudno więc spostrzec, że w Paryżu Piłsudski mówił o strategii ruchu. Nie przesądzało to o konkretnych posunięciach taktycznych i operacyjnych. Dysponując rzetelnymi danymi o sytuacji społecznej, gospodarczej i militarnej państw zaangażowanych w konflikt, można było przy sporej dozie wyobraźni założyć pokonanie Rosji przez Niemcy i rozbitcie Niemiec przez Anglię i Francję. Był to wariant jeden z wielu, jakie musiał rozpatrywać Piłsudski.

Wolno więc sądzić, że Czernow napisał prawdę. Trudno zresztą byłoby zrozumieć, w jakim celu przywódca rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów bezpodstawnie potwierdzałby przenikliwość Piłsudskiego. Zwolennicy rozwiązania „austriackiego” chcieli, aby legiony były formacjami lojalnymi wobec cesarza Franciszka Józefa. Miało to zapewnić uzupełnienie Anstro-Węgier trzecim członem - Polską. Charakterystyczna dla tych poglądów była, na przykład opinia wystawiona 29 listopada 1915 r. Piłsudskiemu przez lojalną wobec Austriaków Komendę Legionów i przesłana do Wiednia: „Piłsudski dowodzi pierwszą brygadą legionów, którą sam stworzył, a która duchem i nastrojami różni się całkowicie od 2 i 3 brygady uformowanej przez Komendę Legionów. Przedstawia on wraz ze swą brygadą ten element, który dąży do całkowicie wolnej i niezawisłej Polski, a kierunek austrofilski uważając jedynie za środek do celu, gotów jest w każdej chwili przyjąć inną, w danym momencie mu odpowiadającą albo za odpowiednią uważaną, orientację. Od samego początku wojny postawił sobie za cel zdobycie z biegiem czasu dowództwa całego Legionu Polskiego w tej nadziei, że w stosownym momencie, w oparciu o niego, będzie mógł stawiać żądania o charakterze narodowym i wpłynąć w ten sposób na rozstrzygnięcie sprawy polskiej w sensie swoich żądań. Biorąc pod uwagę, że fantastyczne idee Piłsudskiego nie tylko nie mają żadnej podstawy realnej, ale są także sprzeczne z austriacką racją stanu, starała się Komenda Legionów od samego początku wojny tłumić w miarę możliwości wpływy Piłsudskiego [...]”.

Jednakowe traktowanie wszystkich aktywistów zaciemnia prawdziwy obraz sytuacji politycznej lat wojny i powoduje, że nie rozumiemy przyczyn sporów między takimi politykami jak Piłsudski a Stanisław Stroński czy Władysław Sikorski. Chodziło przecież nie o animozje personalne, lecz o dwie koncepcje polityczne, oparte na przeciwstawnych przesłankach i mówiące o osiągnięciu różnych celów.

Przebieg działań wojennych w latach 1914-1918 i rosnąca fala rewolucyjna w Europie tworzyły korzystną dla Polski koniunkturę międzynarodową - dodajmy: nie tylko dla Polski. Wielka wojna 1914-1918 wymazała z politycznej mapy świata cesarstwa Habsburgów, Hohenzollernów i Romanowów. Wprawdzie poczynania bolszewików po wystąpieniu listopadowym 1917 r. mąciły obraz kontynentu oglądany z Londynu czy Paryża, ale nawet powstanie władzy sowieckiej traktowano jako epizod, po którym „III Rosja” - biała” i demokratyczna - wróci na przeznaczone jej miejsce w gronie zwycięzców. Tymczasem Polacy nie uświadamiali sobie, że sprawa polska mogła, wówczas trafić z rozbiorczego deszczu pod wersalską rynną. Zwycięstwo „białych” Rosjan oznaczało bowiem dla Polski przekreślenie jej aspiracji terytorialnych nie tylko za Bugiem, ale także na Lubelszczyźnie (Chełmszczyzna była włączona do Rosji). Nie widzieli tego endecy. „Dmowski i jego obóz - pisze Juzwenko - po rewolucji październikowej opowiadali się po stronie kontrewolucji, za czynnym udziałem Polski w rekonstrukcji Rosji. [...] Rosja - twierdzili - odżyje albo przeciw nam, albo przy naszym udziale”. Dla Polski, zdaniem endecji, byłoby korzystniejsze, gdyby to odrodzenie dokonało się w sposób drugi. W rzeczywistości interes Polski wymagał czegoś przeciwnego.

W rezultacie wojny uległy zmianie granice, które przez wiele lat uważano za stałe i nienaruszalne. Rzesza zwróciła terytoria, które stanowiły 12% jej poprzedniego obszaru. Austria i Węgry, rozdzielone, spadły na pozycje małych państw o powierzchni około 90 tys. km<sup>2</sup> każde. Na ziemiach byłych monarchii rosyjskiej i austriackiej powstały nowe państwa - Estonia, Finlandia, Jugosławia i Łotwa. W nowym kształcie terytorialnym odrodziła się Litwa i zjednoczone ze Słowacją Czechy, a także podzielona wewnętrznie Ukraina. Powstawała też Rzeczpospolita Polska, wówczas państwo bez granic.



### **3. Kwestia wewnętrzna czy problem międzynarodowy?**

1 sierpnia 1914 r. Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, a wojska niemieckie natychmiast wkroczyły na tereny Królestwa Kongresowego. Kilka dni później (6 sierpnia) to samo uczyniła Austria. Nadszedł od dawna wyczekiwany moment - zaborcy wdali się w wojnę, która miała wynieść sprawę polską na arenę międzynarodową.

Nie było to jednak ani tak oczywiste, ani łatwe. Państwa rozbiornicze - przede wszystkim Rosja - uważały kwestię polską za wewnętrzny problem, którego rozwiązanie (lub nie) podlegało wyłącznej kompetencji rządów w Berlinie, Petersburgu czy Wiedniu. Polacy musieli odnaleźć szczeliny w politycznych planach Rosji i mocarstw centralnych, aby, wykorzystując je, stworzyć warunki do samodzielnego działania.

Państwem, które z perspektywy 1914 r. mogło mieć największy wpływ na powojenne losy ziem polskich, wydawała się carska Rosja. Dla każdego, kto umiał właściwie obliczyć siły państw centralnych i Ententy, musiało być jasne, że Berlin i Wiedeń przegrają. Petersburg znalazł się w jednym bloku z Paryżem i Londynem, a więc powinien być w gronie zwycięzców. Ta ocena skłoniła polskich pasywistów do szukania sposobów zainteresowania rosyjskich czynników oficjalnymi polskimi postulatami.

Twórcy rosyjskiej polityki zagranicznej, określający cele Rosji w czasie wojny, nie chcieli jednak dostrzec Polaków. Rosji zależało wprawdzie na umacnianiu swej pozycji w Europie Środkowej, ale ziemie polskie nie były w tych planach uznawane za czynnik podmiotowy. Wynikało to w sposób oczywisty z rozmowy ministra spraw zagranicznych Siergieja Sazonowa z ambasadorami Anglii i Francji (13 IX 1914). Według Sazonowa alianci powinni nie tylko pokonać Austrię i Niemcy, ale dokonać szerokiej rewizji granic. Rosja na przykład zamierzała zaanektować rejon dolnego biegu Niemna, całe Prusy Wschodnie oraz wschodnią część Galicji. Ponadto do okrojonego na wschodzie Królestwa Kongresowego proponowała przyłączyć wschodnią część Poznańskiego, Śląska i pozostałą część Galicji. Kongresówka miała dysponować jakąś bliżej nieokreśloną samorządnością, stanowiąc jednocześnie integralną część imperium Mikołaja.

Pierwszym publicznym aktem w sprawie polskiej był manifest głównodowodzącego armii rosyjskiej ks. Mikołaja Mikołajewicza, ogłoszony 14 sierpnia 1914 r.: „Niechaj się zatrą granice rozcinające na części Naród Polski. Niech Naród Polski połączy się w jedno ciało pod berłem Cesarza Rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska, swobodna w swej wierze, języku, samorządzie”. W tekście nawiązywano do tradycji „wspólnych walk” z germanizmem, powołując się na Grunwald. Trzeba tu dodać, że odezwy do Polaków wydali też Austriacy (powoływano się na odsiecz wiedeńską Jana III) i Niemcy (ci zachęcali Polaków do wypędzenia „azjatyckich hord” z Europy).

Historycy są dziś zgodni, że manifest Mikołaja Mikołajewicza był zwykłym wystąpieniem propagandowym i nie miał większego znaczenia międzynarodowego. Nie zobowiązywał on przecież carskiego rządu do niczego konkretnego, co więcej car nie chciał deklarować poparcia dla jego treści. Wielu ministrów krytykowało głównodowodzącego, że zbyt daleko posunął się w obietnicach dla Polaków, a minister spraw wewnętrznych Mikołaj Makłakow uznał nawet za stosowne wydać specjalny okólnik dla gubernatorów, w którym zapewniał, że tekst manifestu nie dotyczył ziem „prywislinija”, a miał na względzie tereny polskie, które Rosjanie zdobędą na zachodzie w czasie działań wojennych.

Mimo to manifest wzbudził pewne nadzieje w społeczeństwie polskim i zdopingował pasywistów do działania. W listopadzie 1914 r. w czasie posiedzenia rady ministrów Sazonow przedstawił projekt rozwiązania kwestii polskiej. Oczywiście nie było w nim mowy o jakiejś państwowej odrębności Kongresówki. Królestwo Polskie miało zostać „zjednoczone” z ziemiami zaboru pruskiego i austriackiego dla powiększenia Rosji. W

sprawach zagranicznych, wojskowych, finansów, komunikacji, sądownictwa i administracji miał decydować Petersburg. Polakom - według Sazonowa - powinien wystarczyć samorząd, składający się z rad gminnych, powiatowych, gubernialnych i rady ogólnokrajowej. Na czele tego samorządu miał stać namiestnik powoływany przez cara. Kompetencje „polskich” instytucji samorządowych miały ograniczać się jedynie do spraw wyznaniowych, oświatowych i gospodarczych. W urzędach Królestwa języki polski i rosyjski miały być traktowane na równi. Zalecano jednak, aby uczyć po polsku tylko na poziomie szkół podstawowych, później miał obowiązywać rosyjski jako bardziej „cywilizowany”. W dyskusji nad projektem Sazonowa ujawniły się znowu opinie tych, którzy uważali, że Polacy otrzymują za dużo. Projekt upadł. Natomiast z łatwością uchwalono zmianę granicy wschodniej Królestwa. 30 marca 1915 r. car zatwierdził projekt uchwały, w wyniku której Chełmszczyzna została „wyłączona ze składu guberni Królestwa Polskiego” i włączona do Rosji.

Zmienne koleje losów wojny, w rezultacie których Rosjanie musieli opuścić Królestwo, spowodowały, że Petersburg zaczął szukać bardziej konkretnych form dla określenia swego stanowiska wobec Polaków. Wynikało to z obawy, że Niemcy stworzą warunki, w których ludność polska opowie się po stronie państw centralnych. Dlatego też powołano specjalną komisję rosyjsko-polską (uczestniczyli w niej m.in. Roman Dmowski, Władysław Grabski i Zygmunt Wielopolski - potomek margrabiego Aleksandra) „dla przedwstępного rozważania kwestii sposobu wykonania zasad obwieszczonych przez odezwę zwierzchniego wodza naczelnego”. Długie dysputy na tematy samorządowe były rozważaniami czysto akademickimi. Pobite armie rosyjskie uchodziły na wschód. Terytorium Kongresówki znalazło się pod okupacją niemiecką i austriacką.

W związku z tym minister Sazonow słał instrukcje ambasadorom przy rządach państw sojuszniczych, aby nie dopuszczali do umieszczania sprawy polskiej w rokowaniach międzynarodowych. Rosjanie podejrzewali, że mocarstwa centralne będą chciały wykorzystać fakt okupacji Królestwa dla swych celów i ogłoszą jakieś deklaracje na temat przyszłych losów Kongresówki. W swojej instrukcji dla ambasadora rosyjskiego w Paryżu tłumaczył, dlaczego należało krzyżować „nierozsądne” działania Polaków. Twierdził on, że politycy polscy nie rozumieją mechanizmów politycznego działania, gdyż naród polski wyrósł bez państwa (*wyrasszych na poczwie biezosudarstwiennogo suszczestwowanija*). Dlatego mogą myśleć, że urzeczywistnią tak fantastyczny pomysł, jakim jest odbudowa państwowości polskiej. Minister uważał; że dla Polaków nawet autonomia - nie mówiąc o niepodległości - to zbyt wiele. Powinni zatem zadowolić się pewną formą samorządu prowincjonalnego. Jednak i w tym wypadku obawiał się, czy Polacy zrozumieją „wspaniałomyślność” cara i nie wystąpią przeciwko Rosji.

Rosyjskie obawy sprawdziły się 5 listopada 1916 r. Cesarze Austrii i Niemiec ogłosili wspólny akt, zapowiadający odbudowanie samodzielnego państwa polskiego. Dokument ten nie stanowił wcale dowodu słuszności tych koncepcji politycznych, które wiązały sprawę polską ze zwycięstwem Niemiec, miał jednak istotne znaczenie międzynarodowe. Od tego momentu Ententa mogła zjednać sobie Polaków jedynie wtedy, jeśli ofiaruje więcej od Niemiec. Polacy uzyskali możliwość licytowania sprawy polskiej w górę. Od nich zależało, jak rozegrają partię między Ententą a państwami centralnymi.

W tej nowej sytuacji Rosja zachowała się tak, jakby nic się nie stało. W deklaracji rządu carskiego z 14 listopada powtarzano dawne obietnice samorządowo-autonomiczne, a jednocześnie protestowano przeciwko aktowi z 5 listopada, powołując się m.in. na przysięgę złożoną „Jego Cesarskiej Mości”, która miała obowiązywać Polaków - mieszkańców Kongresówki. W grudniu 1916 r. poruszył sprawę polską nowy premier rosyjski Aleksander Trepow. W czasie wystąpienia w Dumie zapowiadał stworzenie „Polski wolnej w jej granicach etnograficznych”. Również car w rozkazie z 25 grudnia, skierowanym do armii i

floty, zapowiadał „stworzenie Polski wolnej, złożonej ze wszystkich części dotychczas rozdzielonych”. Były to jednak nadal puste deklaracje.

Przyszła rewolucja lutowa 1917 r. i obalenie caratu. 28 marca 1917 r. Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich podjęła uchwałę (zredagowaną przez działacza Ogólnego Żydowskiego Związku Robotniczego - Bund, Henryka Erlicha) w sprawie polskiej. „Carat - czytamy w niej - który w ciągu półtora wieku gnębił zarówno Naród Rosyjski, jak i Polski został obalony wspólnym wysiłkiem proletariatu i wojska. Zawiadamiając Naród Polski o tym zwycięstwie wolności nad ogólnorosyjskim żandarmem, Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich oświadcza, że demokracja w Rosji stoi na stanowisku uznania samookreślenia politycznego narodów, i oznajmia, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym. Przesyłamy Narodowi Polskiemu swe bratnie pozdrowienia i życzymy Mu powodzenia w oczekującej Go walce o wprowadzenie w Niepodległej Polsce demokratycznego, republikańskiego ustroju”. Było to jasne postawienie sprawy. Tym ważniejsze dla Polaków, że padło ze strony rosyjskiej. Dzięki niemu siły rosyjskiej rewolucji dystansowały wyraźnie politycznych spadkobierców caratu, którym słowa „niepodległa Polska” nie mogły przejść przez gardło.

Ale czynniki rządowe polutowej Rosji nie akceptowały orędzia Rady Delegatów. Proklamacja Rządu Tymczasowego wspominała wprawdzie o niepodległym państwie polskim, ale „połączonym z Rosją wolnym wojskowym przymierzem”. Ponadto rząd księcia Lwowa stwierdzał, że „rosyjskiemu zgromadzeniu konstytucyjnemu wypadnie potwierdzić ostatecznie nowe bratnie przymierze i udzielenie swej zgody na zmiany terytorium państwowego Rosji, które są niezbędne dla utworzenia wolnej Polski z wszystkich trzech obecnie rozdzielonych jej części”. Z proklamacji ogłoszonej pod ciśnieniem sytuacji przebijała nadal chęć utrzymania Polski w jakiejś formie zależności od Rosji. Mimo to stanowisko Petersburga miało pewne znaczenie, umożliwiło bowiem państwom zachodnim (głównie Francji) podjęcie sprawy polskiej. Jest oczywiste, że gdyby Rosja pozostała w gronie państw zwycięskich w I wojnie światowej, wówczas Polacy mieliby duże kłopoty z realizacją swych aspiracji terytorialnych za Bugiem. Wystąpienie bolszewików, a następnie wojna domowa w Rosji oddaliły ten niepokojący prognostyk.

W tym kontekście należy właściwie ocenić słynny dekret nr 698, uchwalony przez Radę Komisarzy Ludowych Rosji Sowieckiej 29 sierpnia 1918 r. Głosił on, że traktaty dotyczące rozbiorów Polski zostały unieważnione. Akt ten był następstwem traktatu pokojowego, zawartego w Brześciu przez bolszewików z Niemcami, którzy m.in. domagali się unieważnienia umów podpisanych przez Rosję carską. Bolszewicy więc, wykonując postanowienia traktatu, ogłosili dekret nr 698, ale dla Polski nie miał on żadnego znaczenia, ponieważ siły „czerwonych” znajdowały się daleko od ziem polskich, a władza bolszewików nie była uznawana przez Ententę. Trzeba ponadto przypomnieć, że w znanych planach kierownictwa partii bolszewickiej w przyszłej rewolucyjnej Europie nie było miejsca dla niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej. Odzyskanie niepodległości było własną zasługą Polaków. Paweł Zaremba, autor *Historii dwudziestolecia*, słusznie podkreśla, że do 1943 r. Sowiety nie przypisywały sobie żadnych zasług w kwestii odzyskania przez Polskę niepodległości. Później stało się to tezą propagandy komunistycznej dla wykazania „patriotyzmu” komunistów rządzących Polską.

Inaczej kształtowały się losy kwestii polskiej po stronie państw centralnych. Austria i Niemcy spodziewały się, iż po zwycięstwie nad Rosją zagarną tereny zamieszkane przez miliony Polaków, toteż w Berlinie i Wiedniu szukano sposobu, aby ci zdobyci poddani oznaczali wzrost potęgi państw centralnych, a nie ich osłabienie.

Austria cieszyła się stosunkowo dobrą opinią w społeczeństwie polskim. Przed wybuchem I wojny światowej Galicja stanowiła przecież teren, na którym Polacy cieszyli się

znacznym marginesem swobód. Rozwijała się polska sztuka i nauka (funkcjonowały dwa uniwersytety - Jagielloński w Krakowie i Jana Kazimierza we Lwowie), działały polskie partie polityczne, samorządy i liczne stowarzyszenia. Wiedeń zdołał zjednać dla swej polityki wielu wybitnych Polaków. Aby awansować w strukturach państwowych, nie trzeba było wyrzekać się polskości - dość często można było spotkać austriackiego generała, ministra, a nawet premiera z polskim nazwiskiem.

Wkraczając w wojnę, cesarsko-królewska Austria sądziła, że będzie w stanie przyłączyć ziemie Królestwa Polskiego do Galicji i w ten sposób w skład państwa, obok Austrii i Węgier, wejdzie trzeci człón - Polska. Rozwiązanie takie odpowiadało polskim zwolennikom utrzymania związków państwowych z Austrią. Plany te nie zostały jednak zaakceptowane w Niemczech i na Węgrzech, a nawet doprowadziły do powstania dość silnej opozycji. Niemcy nie były skłonne do popierania dążeń Austrii, chcąc zachować wolną rękę w sprawach polskich. W Berlinie zaczęto się zastanawiać, jak podporządkować wolnościowe dążenia Polaków niemieckim planom zaborczym. Wśród polityków węgierskich natomiast pojawiły się obawy, czy taki awans Polski nie pozbawi Węgier miejsca zajmowanego dotychczas w strukturze państwa.

W 1915 r. premier rządu austriackiego hr. Karol Sturgkh opracował wiedeńską wersję rozwiązania sprawy polskiej. Dokument zatytułowany *Zasady ustrojowe i administracyjno-polityczne urządzenia Królestwa Polskiego* nosił już wyraźny ślad kontrowersji, które wzbudził projekt trialistyczny. Sturgkh zakładał, że Austro-Węgry otrzymają „dawne rosyjsko-polskie obszary”, a następnie złączą je „z przeznaczoną do tego celu częścią Galicji w Królestwo Polskie”. Galicja Wschodnia miała stanowić odrębną prowincję. Ziemie Królestwa - według projektu - wchodziłyby w skład monarchii i miały podlegać tym samym prawom, którym podlegały inne kraje austro-węgierskie. Władze centralne w Wiedniu miały decydować o polityce zagranicznej Królestwa, wojsku, budżecie, handlu i cenach, poczcie, organizacji władz i urzędów. Widać z tego, że dla sejmu krajowego Królestwa pozostawało niewiele. Najwyższa władza wykonawcza, według Austriaków, miała spoczywać w rękach specjalnego ministra z siedzibą w Wiedniu, odpowiedzialnego przed Radą Państwa. Jego podwładnym miał być namiestnik, sprawujący bezpośrednio władzę wykonawczą na terenie Królestwa. Projekt przewidywał, że język polski będzie językiem urzędowym. W stosunkach z władzami centralnymi, w armii, na poczcie i kolei oraz w kontroli finansowej miał obowiązywać niemiecki.

W projekcie widać więc wyraźnie wpływ nacisków niemiecko-węgierskich. Nie mówiono w nim bowiem o awansie prawno-ustrojowym Królestwa Polskiego do rangi trzeciej części monarchii Habsburgów, a nawet zamierzano uszczuplić jego terytorium o wschodnią część Galicji i „skorygować” granice na korzyść Niemiec (prawdopodobnie w Zagłębiu Dąbrowskim).

Berlinowi to nie wystarczało. Nacisk niemiecki był tak silny, że z czasem Austriacy pogodzili się z tym, iż to Berlin będzie decydował o sposobach rozwiązania sprawy polskiej. W 1917 r., kiedy mocarstwa centralne szukały możliwości zawarcia pokoju, Wiedeń zaproponował Berlinowi gotowość rezygnacji nie tylko z Kongresówki, ale także z Galicji, gdyby Niemcy w zamian odstąpiły Francji Alzację i Lotaryngię.

Oceniając krytycznie austriackie projekty, należy jednak stwierdzić, że zawierały one o wiele precyzyjniejsze sformułowania niż to, co wymyślano w Petersburgu. Gdyby pasywiści udało się tyle uzyskać u Rosjan, prawdopodobnie uważaliby, że odnieśli wielki sukces. Wprawdzie Austria nie miała sił, aby te zamiary urealnić, i można jedynie mówić o chęciach, jednak po stronie Rosji nawet chęci nie było. Konkludując można chyba stwierdzić, że gdyby celem polityki polskiej była autonomia, to Austria była najlepszym partnerem.

Stwierdziliśmy już, że decydującą rolę w polityce mocarstw centralnych odgrywały Niemcy. W początkowym okresie wojny Berlin nie zdradził się ze swymi planami. Hrabia Bogdan Hutten-Czapski twierdził, że cesarz Wilhelm obiecywał mu „odbudowanie samodzielnego państwa polskiego” w związku z Rzeszą, ale wiadomość ta nie jest całkiem pewna. W tamtym okresie nie było żadnego oficjalnego oświadczenia niemieckiego w sprawie polskiej - pomijając odezwę głównodowodzącego do Polaków.

Problem polski był jednak w Niemczech rozważany. Zmiany zachodzące w strukturze narodowościowej ludności na wschodnich terenach Rzeszy zapowiadały, przy każdym zagrożeniu wojennym, pojawienie się polskich dążeń wyzwolńczych. Polityka germanizacyjna, tępiąca polskość, mogła być stosowana tylko w warunkach pokoju na wschodniej granicy, a to gwarantował jedynie sojusz z Rosją. Sprzeczności interesów i w związku z tym ewolucja w światowym układzie sił doprowadziły do likwidacji osi Berlin - Petersburg. Odtąd coraz częściej w niemieckiej publicystyce pojawiała się teza o „wschodnim zagrożeniu”.

W tych warunkach powstała koncepcja odgroźenia się od Rosji odbudowanym państwem polskim o charakterze bufora. Zbudowane na terenach zagarniętych niegdyś przez Rosjan, byłoby w konflikcie z Rosją. Jednocześnie zaś, będąc zbyt słabe, by ten konflikt rozstrzygnąć na swoją korzyść, musiałyby opierać się na Rzeszy. W rezultacie Polacy nie mieliby innego wyjścia, jak pogodzić się z pozostaniem polskich ziem zachodnich w granicach Niemiec. Sparaliżowałyby to skutecznie dążenia narodowe ludności polskiej na terenie Prus.

Myśl ta przybierała coraz konkretniejsze kształty. Jeszcze Bismarck powiedział, że gdyby Rosja znalazła się w obozie wrogów Rzeszy, wówczas Niemcy powinny chwycić do ręki „rozpalone żelazo” - sprawę polską. Na temat odbudowania jakiegoś państwa polskiego zaczęli się wypowiadać tacy politycy, jak Walter von Masow, Georg Cleinow czy Heinrich Delbruck. Ich zdaniem interes Niemiec wymagał skierowania uwagi Polaków na wschód i równouprawnienia ludności polskiej w Rzeszy.

Wojna i okupacja Królestwa Polskiego zastała niemieckich polityków z licznymi i różnorodnymi koncepcjami. „Wśród różnych planów aneksji - pisze Józef Chlebowczyk - częściowo bezpośrednio w odniesieniu do poszczególnych regionów, częściowo pośrednio w postaci »połączenia«, a nie »wcielenia« reszty Kongresówki (H. Class, H. Hunkel), następnie mglistych jeszcze projektów tworzenia państwa buforowego (M. Weber, P. Rohrbach), nie brakło również poglądów traktujących okupowane Królestwo jako zastaw w przyszłych pertraktacjach pokojowych z Petersburgiem (B. Bulow) czy wreszcie jako przedmiot zyskowej operacji podziałowej między obydwoma mocarstwami centralnymi (A. Grabowski). Podkreślamy, że u podstaw wszystkich koncepcji przewidujących odbudowę tej czy innej postaci bytu państwowego Polski, nie pozbawionych akcentów wskazujących na konieczność zerwania z dotychczasowymi metodami pruskiej polityki polskiej (H. Delbruck), pełnych sympatii propolskich (F. Naumann), spoczywają sformułowane przez G. Schwellera czy W. Massowa dwie przesłanki: rezygnacja Polaków z ziem zachodnich (wschodnich prowincji pruskich) oraz skierowanie uwagi nowo powstałego państwa w kierunku wschodnim”.

Polityczne plany włączenia całości ziem polskich do obszaru wpływów niemieckich zawarte były w projekcie tzw. Mitteleuropy. Najpełniejszy wyraz koncepcja ta znalazła w książce o tym samym tytule, autorstwa Friedricha Naumanna, wydanej w 1915 r. Obok niego propagatorami tego rozwiązania byli wspomniani już Rohrbach i Delbruck.

Naumann twierdził, że małe państwa nie mają już podstaw do samodzielnego istnienia. „Kto jest mały i chce pozostawać w izolacji, ten tak czy inaczej stanie się zależny od zmieniającej się sytuacji wielkich mocarstw”. Autor zdawał sobie sprawę, że potencjał mocarstw centralnych był za mały, aby gwarantować zwycięstwo w rywalizacji z państwami



Ententy. Dlatego Niemcy i Austria miały stanowić jądro większej wspólnoty - organizmu ponadpaństwowego. „Nasz wzrok skierowany jest w ten sposób - czytamy u Naumanna - przede wszystkim na terytorium środkowoeuropejskie, które rozciąga się od Morza Północnego i Bałtyckiego do Alp, Adriatyku i południowego krańca Równiny Naddunajskiej. [...] Ten obszar należy rozpatrywać jako całość, jako wielkie bratnie państwo, jako sojusz obronny, jako ekonomiczny okręg. Tu w zgiełku wojny światowej zniknąć powinien wszelki historyczny partykularyzm, który blokuje drogę rozwoju idei jedności. Tego wymaga chwila obecna, to jest zadaniem najbliższych miesięcy”.

Naumannowska „Mitteleuropa” miała zgromadzić wokół Berlina i Wiednia Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Finów, Szwedów, Norwegów, Duńczyków, Holendrów, Szwajcarów, Belgów i jakąś część ludności Francji.

Koncepcja „Mitteleuropy” godziła w podstawowe założenie polityki pruskiej w odniesieniu do Rosji. A wyznawcy współpracy z caratem cieszyli się nadal - mimo wojny z Rosją - znacznymi wpływami. Dlatego zwolennicy planu Naumanna podjęli działalność propagandową zwalczającą te wpływy. Rohrbach poświęcił nawet problemowi rosyjskiemu specjalną książkę: *Unsere Kriegsspiel im Osten und die russische Revolution*, w której konieczność zrewidowania dotychczasowej polityki niemieckiej w stosunku do Rosji uzasadniał groźbą, jaką niósł - według niego - nadmierny przyrost naturalny ludności rosyjskiej. Dlatego - zdaniem Rohrbacha - Rzesza powinna była odgrodzić się od Rosji „Międzyeuropą” („Zwischeneuropa”) i związać z Niemcami Białoruś, Ukrainę, północny Kaukaz i oczywiście Polskę. „Czy Rosja będzie republiką, czy monarchią - to nieważne. Decydująca jest sprawa, gdzie będą należeć Polacy, do Rosji czy do Europy Środkowej, ile ludzi odejdzie od Rosji do Europy Środkowej”.

Tendencja do odbudowania jakiejś formy państwowości polskiej była więc wystarczająco silna, aby znaleźć swój wyraz w polityce niemieckiej. Przykładem tego był akt dwu cesarzy (Austrii i Niemiec), ogłoszony 5 listopada i proklamujący odbudowanie samodzielnego Królestwa Polskiego. W dokumencie stwierdzono, że sąsiadujące od zachodu mocarstwa „z radością ujrzą u swych granic wschodnich wskrzeszenie i rozkwit wolnego, szczęśliwego i własnym życiem narodowym cieszącego się państwa”. Akt z 5 listopada wynikał więc nie tylko z nadziei na doraźne korzyści (uzyskanie polskiego rekruta), ale musiał mieć jakiś związek z planami opanowania Europy Środkowej. „Dla budowy wielkiego niemieckiego zespołu państw »Mitteleuropy« - napisał Janusz Pajewski w książce o tych planach - była [Polska - R. Sz.] elementem niezbędnym”.

Bieg wydarzeń przekreślił plany Berlina. Niemcy nie tylko okazały się za słabe do zorganizowania „Mitteleuropy”, ale nawet nie zdołały utrzymać swego panowania na Pomorzu i w Wielkopolsce.

Pragnienia rządów państw rozbiornych, aby zostać monopolistami w rozwiązywaniu polskiej „kwestii wewnętrznej”, nie spełniły się. Próby wykorzystania polskiego potencjału do realizacji planów obcych polskim interesom narodowym musiały zawieść. Stały się one jednak okazją, dzięki której aspiracje polskie nabrały ponownie międzynarodowego rezonansu.

#### **4. Jaka Polska?**

W listopadzie 1918 r. niedawny więzień Magdeburga, Józef Piłsudski, notyfikował światu odrodzenie niepodległego państwa polskiego po ponad stuletniej niewoli. Wydawało się wówczas, że po zbrodni rozbiorów, dokonanej na niepodległym bycie narodu mieszkającego w sercu Europy, sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Istnienie państwa

nie oznaczało jednak, że polska przyszłość została trwale zabezpieczona. Rząd dopiero się formował, granic jeszcze nie wytyczono i trudno było stwierdzić, kto jest, a kto nie jest polskim. obywatelem. Przyszłe polskie terytorium państwowe zostało spustoszone działaniami wojennymi. Sąsiedzi zgadzali się na odbudowanie „niepodległego państwa z dostępem do morza”, ale jednocześnie każdy z nich sądził, że ta nowa Polska -jeżeli już musi powstać - zrezygnuje z ziem, które chcieli zająć Niemcy, Czesi, Litwini i Rosjanie (dla „białych” wątpliwą sprawą była nawet niepodległość).

Pytania o przebieg granic państwowych, a więc o wielkość odrodzonego państwa, stały się podstawowym zagadnieniem w programach polskich partii politycznych. Na ogół jednak usiłowano tak konstruować ramy terytorialne, aby obejmowały one co najmniej większość ziem wchodzących niegdyś w skład Rzeczypospolitej. W Polsce nie uświadamiano sobie społecznych i narodowościowych skutków rozbiorów, Polacy ciągle widzieli granice z 1772 r. jako jedyne i sprawiedliwe. Nie dostrzegano, że proces integracji narodowej ludności państwa „obojga narodów” został przerwany po utracie państwowości. Wyrosły młode siły narodowe i nawet nacjonalistyczne na Litwie i Ukrainie. Obawa przed polonizacją była silniejsza niż przed rusyfikacją, zwłaszcza po upadku caratu. U narodowców litewskich i ukraińskich występował ten sam model myślenia, który reprezentowała polska endecja: aby zbudować własne państwo, należało zagarnąć jak największy obszar i wynarodowić innych. Wówczas dopiero mogła powstać Wielka Litwa, Wielka Ukraina czy też Wielka Polska. Nie dostrzegano, że trzech wielkich państw narodowych na tych samych ziemiach nie można było zbudować. Konflikt polsko-litewsko-ukraiński oznaczał nie tylko wzajemne wykrwawienie się, ale także likwidację jakichkolwiek szans na zjednoczenie tej części Europy.

Rozgraniczenie ziem polskich, litewskich i ukraińskich było bardzo trudne. Dotyczyło to szczególnie tzw. ziem zabranych, znajdujących się poza granicami Kongresówki. Nosiły one nazwy: Jugo-Zapadnyj Kraj i Siewiero-Zapadnyj Kraj. Pierwszy obejmował tereny ukraińskie Rzeczypospolitej (gubernie: wołyńską, podolską i kijowską), drugi - obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego (gubernie: kowieńską, wileńską, grodzieńską, mińską, witebską i mohylewską). Ogółem ziemie zabrane liczyły 469 tys. km<sup>2</sup> z 25-26 milionami mieszkańców. Według danych opracowanych przez Stanisława Thugutta przed wybuchem I wojny światowej w Jugo-Zapadnym Kraju mieszkało 860 tys. Polaków, co stanowiło ponad 7% ogółu ludności (najwyższy procent ludności polskiej znajdował się w guberni kijowskiej - 10%), natomiast w Siewiero-Zapadnym Kraju - 1,7 mln (13%), w tym na Wileńszczyźnie 26%, a na Grodzieńszczyźnie 17% stanowiła ludność polska. Wojna wprowadziła dalsze zmiany na narodowościowej mapie. Dużą grupę (ok. 1,2 mln) stanowili Polacy w armii rosyjskiej. Ewakuacja przeprowadzona przez ustępujących z Królestwa Rosjan spowodowała, że na terenach za Bugiem znalazło się dodatkowo 2,5 mln Polaków. W rezultacie odsetek ludności polskiej sięgnął tam jednej czwartej zaludnienia.

Ale podany odsetek Polaków nie oznaczał, że jednakowe było ich rozproszenie. Występowały bowiem całe rejony z polską większością (Wileńszczyzna, okolice Mińska i Żytomierza, Winnicy, a nawet Kijowa), otoczone ludnością ukraińską i białoruską. Jednocześnie można było spotkać znaczne grupy ludności niepolskiej na polskim obszarze etnograficznym. W rzeczywistości mieszkańcy ziem wschodnich stanowili prawdziwą mozaikę narodowościową.

Czynnikami łączącym owe tereny z Polską były utrwalone w czasach zaboru powiązania gospodarcze z Królestwem. Zbyt znajdowała tam prawie połowa produkcji tekstylnej z Kongresówki (w 1903 r. Ukraina kupowała 33% produkcji, Białoruś prawie 7%, a Litwa ponad 6%). Zakupy innych artykułów dokonywane w Królestwie zaspokajały w połowie zapotrzebowanie rynku ukraińskiego, który ze swej strony wysyłał do Kongresówki

zboże i inne artykuły rolne. Importowano z Ukrainy rudę żelaza, a eksportowano stal i wyroby żelazne.

Wpływy polskie na tych ziemiach znacznie przewyższały ukraińskie, białoruskie, a nawet rosyjskie, gdyż Polacy kontrolowali 54% produkcji prawobrzeżnej Ukrainy (np. wartość produkcji polskiej sięgała 578 mln rubli, niepolskiej - 496 mln rubli). W polskich rękach znajdowało się 23% ziemi uprawnej, z której plony stanowiły 40% ogólnych zbiorów. Litwa, Białoruś i Ukraina były terenem ekspansji polskiego kapitału.

Wrażenie polskości tych ziem wynikało jednak nie tylko z pozycji ekonomicznej Polaków. Ludzie urodzeni na kresach wschodnich odgrywali ogromną rolę w polityce, sztuce, literaturze. Wystarczy wymienić kilka nazwisk: Adam Mickiewicz, Tadeusz Kościuszko, Stanisław Moniuszko, Eliza Orzeszkowa, Romuald Traugutt, Juliusz Słowacki i wreszcie Józef Piłsudski czy Ignacy Paderewski. Po polsku mówili nie tylko właściciele majątków ziemskich, ale także administracja folwarczna, ludzie należący do warstw średnich (kupcy, wolne zawody) i służba domowa. W tej sytuacji nie należy się dziwić, że zasięg języka polskiego był często szerszy od zasięgu polskiej przynależności narodowej, a wpływy polskie, mimo zaborów, znaczne.

To wszystko powodowało, że nie tylko społeczeństwo, ale także politycy - również lewicowi - nie potrafili sobie wyobrazić, by odbudowana Polska mogła istnieć bez Wilna, Lwowa, Mińska, a w skrajnych wypadkach nawet Kijowa. Zdawano sobie jednak sprawę, że domaganie się granic z 1772 r. było nierealne. Należało więc stworzyć taki system polityczny, aby mogły trwać na tych ziemiach polskie wpływy kulturalne, ekonomiczne i polityczne.

Najprościej rozstrzygały ten problem koła konserwatywne związane z kresowym ziemiaństwem. Przechodziły one do porządku dziennego nad kwestiami narodowościowymi, uważając, iż całość ziem w granicach z 1772 r. to po prostu Polska. Dlatego państwo polskie powinno spolonizować wszystkich, którzy nie uważają się za Polaków, i to w równej mierze na Ukrainie, jak na Śląsku, Białorusi czy w Wielkopolsce. Nie zastanawiano się nad odrębnościami i nie wnिकano w istotę problemu. Rozumiano tylko to, że na wschodzie i na zachodzie są kresy, które sąsiedzi chcą Polsce zabrać.

Inaczej ujmowała zagadnienie Narodowa Demokracja. Dmowski również uważał, że państwo powinno być narodowe - polskie, ale jednocześnie obawiał się, że przyłączając zbyt wielkie tereny z ludnością niepolską, osłabi się Polskę „narodowościową”. Z drugiej strony Polska etnograficzna była dla Dmowskiego zbyt mała, aby na niej poprzestać, nie mogła bowiem stać się mocarstwem zajmującym miejsce Rosji w stosunkach z Francją.

Sposób myślenia o państwie reprezentowany przez Dmowskiego nie odbiegał od koncepcji Bismarcka. „Żelazny kanclerz”, tworząc państwo niemieckie i dążąc do zachowania w nim hegemonii Prus, doprowadził do wypchnięcia poza granice II Rzeszy dwu historycznych krajów niemieckich - Austrii i Czech. Teoretyczna koncepcja „małych Niemiec”, jako model państwa narodowego, dzięki niemieckiej historiografii trafiła do krakowskiej szkoły historycznej, a następnie do arsenału politycznych haseł endecji. W ten sposób powstała myśl inkorporowania ziem, które Polacy zdołają z czasem całkowicie spolonizować. „Nasze dążenia muszą więc sięgać tam - wskazywał Dmowski - gdzie jesteśmy sobie pewni, a więc nie na całą Litwę historyczną, a tylko na te terytoria, gdzie nasza silna ekspansja po krótkim czasie zrobi stanowisko nasze murowanym”.

Przyszłe państwo - według endecji - miało mieć kształt „Polski piastowskiej”, to znaczy zbudowanej na osi Wisły, choć przecież w rzeczywistości osią Polski Piastów była raczej linia Poznań-Kraków, a nawet Poznań-Lwów (w czasach Kazimierza Wielkiego). Upadek caratu wpłynął na dalszą zmianę planów endecji. Postanowiła ona sięgnąć znacznie dalej na wschód, wbrew zaleceniom Popławskiego, rzeczywistego twórcy koncepcji „Polski piastowskiej”. W liście do Joachima Bartoszewicza (19 VIII 1917) Dmowski pisał: „[...]

północny wschód [Litwa, Białoruś - R. Sz.] jest dla nas bezpieczniejszy od południowego wschodu [Ukraina - R. Sz.]. Moim zdaniem najlepiej byłoby dla nas mieć gub. kowieńską, wileńską, grodzieńską, większą część mińskiej i Wołyń, wreszcie ze dwa powiaty Podola (płoskirowski i kamieniecki)”.

Podstawowe założenia terytorialnego programu Narodowej Demokracji wyłożył Dmowski w pracy pt. *Problems of Central and Eastern Europe*, wydanej w Londynie w 1917 r. Autor pracy domagał się dla Polski terytorium równego Francji (III Republika - 537 tys. km<sup>2</sup>, Polska - 500 tys. km<sup>2</sup>) z ludnością liczącą 38 mln (Francja - 39,6 mln). Wśród ludności miały się znaleźć 23 mln Polaków. Dmowski twierdził, że wschodni sąsiedzi Polski to „narody niehistoryczne”, dlatego „utworzenie niezależnego państwa litewskiego i ukraińskiego oznaczałoby albo anarchię, albo rządy cudzoziemców Niemców”. Aneksyjne plany obejmowały więc ziemie wymienione już w liście do Bartoszewicza. Mówiąc o terytoriach leżących na wschód od nowej granicy polskiej, Dmowski stwierdzał, że powinny „wrócić do Rosji”. A więc Rosja miała wynarodowić „swoich” Białorusinów i Ukraińców, a Polska „swoich”.

Program terytorialny Dmowskiego dyskutowany był w Komitecie Narodowym Polskim w Paryżu, w skład którego weszli też przedstawiciele naczelnika państwa, aby wspólnie ustalić katalog polskich postulatów terytorialnych wobec zbliżającej się konferencji pokojowej. 2 marca 1919 r. KNP podjął dyskusję nad programem opracowanym przez Dmowskiego. Głównym polemistą „pana Romana” był wówczas prof. Antoni Sujkowski. Tłumaczył on zebrany, że Polska nie powinna wychodzić z programem aneksjonistycznym (inkorporacyjnym). „W federacji Litwy z Polską widzę daleko większe wzmocnienie się Polski aniżeli w przyłączeniu do Polski tylko części”. Profesor ostrzegał, że Litwa pozbawiona Wilna „może bardzo łatwo stać się czynnikiem antypolskim”. Twierdził, że inkorporacja uczyni z Białorusi polską kolonię, co jest o tyle niepotrzebne, że Białorusinom „uśmiecha się federacja w bezpośredniej zależności od Polski”. Zrealizowanie programu Dmowskiego - ostrzegał Sujkowski - otoczy Polskę łańcuchem wrogów. Podzielenie się Ukrainą z Rosją spowoduje, że Rosja zrusyfikuje swoją część, a następnie odbierze ukraińskie ziemie Polakom.

Zwolennicy naczelnika państwa nie zdołali przekonać członków KNP. Zdecydowaną większością głosów (11 przeciwko 3) opowiedziano się za programem Dmowskiego.

A co proponowali w kwestiach terytorialnych piłsudczycy? Cechą charakterystyczną ich programu był brak tak szczegółowo wyznaczonej linii granicznej, jaką zaprezentowali narodowi demokraci. Piłsudski zajmował się nie tyle wytyczaniem granic, ile określaniem sposobu „zorganizowania” wielkich przestrzeni między Niemcami a Rosją (rosyjskim obszarem etnograficznym). Zamierzał on zespolic dawne części Rzeczypospolitej (Polskę, Litwę, Białoruś, Ukrainę) za pomocą formuły federacyjnej.

Federacja miała zapewnić Polsce pozycję mocarstwową. Według piłsudczyków głównym problemem Zachodu (czytaj Francji) będzie znalezienie sojusznika przeciwko Niemcom, bowiem Rosja na pewien czas nim być przestała. Polska powinna wykorzystać ten moment, zanim przy pomocy Ententy odbuduje się „wielka Rosja”. „Polska wobec takiej Rosji - pisał piłsudczykowski tygodnik „Rząd i Wojsko” - byłaby tylko jej satelitą, jej polityka zewnętrzna i rozwój wewnętrzny od niej w bardzo wielkim stopniu musiałby być uzależniony”. Piłsudski obawiał się, że Zachód, angażując się w poparcie dla rosyjskiej kontrewolucji, w rezultacie odda inicjatywę na wschodzie Niemcom. „My zaś - mówił naczelnik państwa - bez oparcia się o finanse i ekonomię któregośkolwiek z państw Ententy konkurencji z Niemcami nie wytrzymamy”.

W 1918 r. ukazała się seria broszur pod ogólnym tytułem: *Wolni z wolnymi, równi z równymi*, w których przedstawiono kwestie terytorialne, główne zaś ich założenie stanowiła myśl, aby w dorzeczu Niemna i Dniepru nie było Rosjan. Postulowano odbudowanie państwa

litewskiego, nawiązującego kształtem do dawnego Wielkiego Księstwa. Litwa miała się składać z trzech rejonów autonomicznych z rządem centralnym w Wilnie, a całe państwo pozostawać w związku z Polską. Rejony autonomiczne miały obejmować zasiedlenie litewskie (Kowieńszczyzna), polskie (Wileńszczyzna, ale traktowana bardzo szeroko, wraz z Grodnem i Białymstokiem) oraz białoruskie (głównie Mińskie i Homelskie). Zakładano, że każdy rejon będzie posiadał własny sejm krajowy i swoją stolicę (Kowno, Wilno, Mińsk). Całe państwo liczyłyby ok. 340 tys. km<sup>2</sup> i 8 mln ludności - w tym 3,5 mln Polaków i prawie 2 mln Litwinów.

Wobec Ukrainy piłsudczycy formułowali postulaty innego rodzaju: Federacja nie była stawiana równie kategorycznie jak w stosunku do Litwy. Według Tadeusza Hołówki Polsce wystarczyłoby, gdyby powstało „samodzielne państwo ukraińskie, gdyż w ten sposób osłabi się skutecznie Rosję”. Hołówko twierdził, że w interesie Polski ludność polska mieszkająca na Ukrainie powinna wziąć czynny udział w tworzeniu państwowości ukraińskiej. Ostrzegwał, aby nie sugerować się interesami polskich ziemian, gdyż może to zagrozić porozumieniu z Ukraińcami. Stąd piłsudczycy podzielali zdanie Komendanta, że klucz do Ukrainy znajduje się w Galicji. Próba pogodzenia sprzecznych interesów była „linia równowagi”, którą obóz legionowy proponował jako podstawę do rozmów o granicy polsko-ukraińskiej. Przebiegała ona na Bugu i Złotej Lipie (lewy dopływ Dniestru), pozostawiając Polsce Lwów i Zagłębie Borysławskie, a oddając Ukrainie Podole i Wołyń. Równowaga miała polegać na tym, że po stronie polskiej byłaby taka sama liczba ludności ukraińskiej, jak Polaków na Ukrainie (po 2 mln osób).

Spotyka się opinie, jakoby program terytorialny Dmowskiego i Piłsudskiego był w zasadzie taki sam. Nie wydaje się, aby odpowiadało to prawdzie. Dmowski bardziej zabiegał o to, gdzie mają przebiegać granice, a Piłsudski szukał partnerów do zjednoczenia. Dmowski widział terytorium jako pole polskiej ekspansji, nie chcąc dostrzec mieszkających tam ludzi, natomiast dla Piłsudskiego terytorium było jedynie pochodną ewentualnych układów i sojuszy z Litwinami i Ukraińcami.

Rozstrzygnięcie losów koncepcji Dmowskiego nastąpiło podczas konferencji pokojowej w Wersalu, gdzie przywódca endecji był obok Ignacego Paderewskiego reprezentantem Polski. Swój program zawarł Dmowski w notach złożonych na ręce komisji powołanej do opiniowania projektów terytorialnych (tzw. Komisja Cambona). Pierwsza nota (28 II 1919) dotyczyła granic zachodnich. Proponowano w niej włączenie w skład państwa polskiego całej Galicji, polskich terenów Śląska Cieszyńskiego, Śląsk Opolski i Górną, wschodnie krańce Pomorza Zachodniego, Pomorze Gdańskie, Warmię i południowy pas Mazur. Pozostała część Prus Wschodnich z Królewcem miała otrzymać status republiki pod protektorem Ligi Narodów. Całe terytorium mające należeć do Polski wynosiło 162,5 tys. km<sup>2</sup> (z zaboru pruskiego 84 tys. km<sup>2</sup>) i było zamieszkane przez 14,6 mln ludzi. Kilka dni później wpłynęła druga nota precyzująca stanowisko polskie w kwestii granic wschodnich. Powtórzono w niej znane już stanowisko Dmowskiego w sprawie inkorporowania znacznych obszarów za Bugiem.

Protesty niemieckie i stanowisko Dawida Lloyd George'a, który popierał Niemców, spowodowały, że Polska otrzymała z ziem przed wojną niemieckich jedynie 45,5 tys. km<sup>2</sup> (3 mln mieszkańców). Ponadto postanowiono, że o losie dalszych 27,7 tys. km<sup>2</sup> zadecydują plebiscyty. Najboleśniej było oderwanie Gdańska i utworzenie tam tzw. Wolnego Miasta. Nie zadecydowano właściwie o losie Galicji i przebiegu granic wschodnich. Przeważała opinia, że granica winna przebiegać na Bugu, zgodnie z linią III rozbioru (była to ostatnia zmiana granic zachodnich Rosji uznana przez Anglię), określaną odtąd jako „linia Curzona”. Londyn miał tylko kłopot z Galicją, której nie obejmował zabór rosyjski. Zastanawiano się nad podziałem jej na dwie części lub włączeniem do Polski w całości, ale z zachowaniem autonomii.

Dmowski twierdził, że „mocarstwa potrzebują Polski silnej”. Wszelkie pomysły federacyjne to „słabość, a nie siła”, gdyż powstałoby państwo „słabo sklecone”. Ale Ententa nie chciała silnej Polski. Istniały wprawdzie w tej sprawie pewne kontrowersje między Anglią a Francją, ale ta ostatnia była zbyt słaba, aby przeforsować stanowisko bardziej sprzyjające polskim postulatami. Wśród przedstawicieli Zachodu najwięcej zwolenników uzyskał pogląd, że Polska winna być małym państwem buforowym między Niemcami a Rosją. Wystarczająco silnym, aby utrudniać współpracę niemiecko-rosyjską, ale nie na tyle, aby mogła przyczyniać Zachodowi kłopotów w stosunkach z Rosją.

Kiedy Dmowski rozwijał ożywioną działalność na arenie międzynarodowej, Piłsudski szukał sposobu realizacji swych planów w kraju. Sytuacja wewnętrzna Polski była skomplikowana. Kongresówka pozbyła się okupantów, Wielkopolska wyzwoliła się własnym czynem zbrojnym, ale jednocześnie na ziemiach wschodnich znajdowały się masy wojsk niemieckich, oddzielających ziemie polskie od Rosji objętej rewolucją. Dni tej „Armee Ost” były jednak policzone, gdyż Niemcy czuli się już tu coraz mniej pewnie. Wreszcie postanowili się wycofać. Nietrudno było sobie wyobrazić, czym mógł stać się dla Polski przemarsz setek tysięcy zdemoralizowanych żołnierzy niemieckich.

Istotnym czynnikiem w planach naczelnika państwa miała być Litwa. Partner tym cenniejszy, że posiadał już skryształizowany ośrodek władzy i własne wojsko. Wreszcie, mimo wrogich Polsce wpływów niemieckich, zdołano nawiązać rozmowy z politykami litewskimi. Wkrótce okazało się jednak, że obie strony mówiły różnymi językami. Litwini domagali się uznania państwa litewskiego ze stolicą w Wilnie, Polacy proponowali federację. Aspiracje terytorialne Litwinów były tak ogromne, że właściwie uniemożliwiły konstruktywne rozmowy. Rząd w Kownie domagał się nie tylko Wilna, ale również Grodna, Suwałk, części Kurlandii i Prus Wschodnich, a nawet guberni mińskiej. Tereny te miały być zlitwinizowane, czyli po prostu chodziło o inkorporację. Litwa wysuwała też wiele zastrzeżeń do samego projektu federacji. Politycy z Kowna obawiali się zmajoryzowania gospodarczego i waśni wewnętrznych na tle narodowościowym oraz „niebezpieczeństwa wmieszania się w konflikty z innymi narodami wobec licznych kwestii spornych pomiędzy Polską a jej sąsiadami”.

19 kwietnia 1919 r. wkroczyły do Wilna wojska polskie, a naczelnik państwa ogłosił odezwę „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Zarówno forma - tekst po polsku i litewsku - jak i treść wskazywały, że Piłsudski nie zamierzał włączać Wilna do Polski. Dodatkowym argumentem miało być utworzenie Tymczasowego Zarządu Cywilnego, odrębnej jednostki administracyjnej nie podlegającej rządowi w Warszawie. Jednocześnie zaczęto przygotowywać zmianę rządu w Kownie, aby tą drogą odsunąć polityków proniemieckich i wesprzeć koła przychylniejsze Polsce. Leon Wasilewski, ówczesny minister spraw zagranicznych, pisał: „[...] pod koniec sierpnia (1919 r. - R. Sz.) weszliśmy w kontakt z grupą cywilnej i wojskowej inteligencji litewskiej, która przygotowywała się do zmiany gabinetu w Kownie”. Do zmiany nie doszło. Władze litewskie wpadły na trop spiskowców - trzeba przyznać, że nie było to zbyt trudne - i przy władzy zostali ludzie nieprzychylni Polsce.

Wydawać może się dziwne, że Piłsudski nie wykorzystał przewagi militarnej i nie wkroczył na Kowieńszczyznę. Litwa dysponowała wówczas pięcioma tysiącami żołnierzy i w wypadku walki nie miała żadnych szans. Postawa Piłsudskiego wynikała jednak z logiki jego planów. Wkroczenie zbrojne i tym samym skompromitowanie polityków propolskich byłoby przyznaniem się do klęski koncepcji federacyjnej. Polska siłą zbrojną zmuszałaby do federacji naród, który tak jak Polacy uzyskał niedawno niepodległość, odstraszałaby wszystkich partnerów. Poza tym, aby utrzymać Kowieńszczyznę, trzeba by było ją okupować. A okupacja wymagała znacznych sił. Należało ponadto liczyć się z postawą Ententy, która nie pochwaliby postępowania Polski. Wprawdzie Piłsudski nie był skłonny

słuchać dyrektyw z Zachodu, ale jego wojska były uzależnione od zachodnich dostaw sprzętu i amunicji, a kraj potrzebował pomocy gospodarczej i - co było najważniejsze - uznania granic.

Znacznie lepiej rysowała się sytuacja na Białorusi. Narodowe siły białoruskie utworzyły swoją reprezentację, która po wkroczeniu wojsk polskich opowiedziała się za związkami z Rzeczpospolitą. Jednak siły stojące za Komitetem Narodowym Białorusi i Radą Ministrów Republiki były nikłe. Masy białoruskie musiałyby otrzymać ziemię, aby przekonać się, że intencje polityków zgodne są z ich interesem. A to wymagało odebrania majątków polskim ziemianom. Administracja lokalna, opanowana przez polskich właścicieli ziemskich, skutecznie hamowała takie „bolszewickie” tendencje. Pomagało jej w tym wojsko - wielu oficerów sympatyzowało z inkorporacyjnymi planami endecji. Wywoływało to wzrost nastrojów antypolskich i gorzkie refleksje polityków białoruskich. Polacy wyraźnie nie potrafili stanąć na wysokości zadania, a Piłsudski chyba zbagatelizował białoruskiego partnera. Zawiedziony niepowodzeniem na Litwie, poniósł kolejną porażkę tam, gdzie mógł dość skutecznie realizować swe plany.

Najgorzej wyglądała sytuacja na Ukrainie. W Galicji toczyły się ciężkie walki z Ukraińską Galicyjską Armią (UHA), która wówczas przeważała nad działającymi tam siłami polskimi - 42 tys. wobec 20 tys. żołnierzy polskich, a na Wołyniu doszło do starć z oddziałami Semena Petlury, kierującego naddnieprzańską Ukraińską Republiką Ludową.

Na Ukrainie istniały liczne ośrodki władzy. Najwcześniej sformowali się naddnieprzańcy, powołując Ukraińską Centralną Radę, a później Dyrektoriat URL z Petlurą na czele. W formalnym związku z Kijowem pozostawała Zachodnia Ukraińska Republika Ludowa, prowadząca własną politykę zagraniczną i dysponująca własną siłą zbrojną. Państwa centralne postawiły na czele tego tworu atamana Pawła Skoropadskiego. Ponadto działania rosyjskich bolszewików spowodowały powstanie ośrodka władzy sowieckiej, kierowanego przez zrusyfikowanego Bułgara Chrystiana Rakowskiego.

W najgorszej sytuacji znalazł się właściwie Petlura, walczący ze Skoropadskim, Polakami i Rosjanami, tak „białymi”, jak i „czerwonymi”. Oceniając swoje położenie, Petlura doszedł do wniosku, że jedynie Polska może być jego sojusznikiem. Początkowo sprawa Galicji nie pozwalała mu na zawarcie sojuszu, ale kiedy UHA, wyparta za Zbrucz, przeszła pod rozkazy wroga Petlury, Denikina, a ZURL ogłosiła zerwanie związków z petlurowcami, Dyrektoriat uznał, że ma rozwiązane ręce.

22 kwietnia 1920 r. po długich rozmowach przygotowawczych zawarty został w Warszawie układ polsko-ukraiński. Granicę polsko-ukraińską ustalono na Zbruczu. Podpisano też konwencję wojskową, która zobowiązywała Polskę do pomocy w sformowaniu trzech dywizji ukraińskich. Kilka dni później wojska polskie i ukraińskie ruszyły na wschód. 7 maja 1920 r. generał Edward Rydz-Śmigły i Petlura wkraczali do Kijowa. Naczelne Dowództwo WP skierowało specjalny rozkaz do oddziałów polskich znajdujących się na Ukrainie. Stwierdzano w nim, że działania nie mają charakteru aneksyjnego, a oddziały polskie wycofają się z Ukrainy po wykonaniu zadań. Przypominano, że tereny zajęte po 25 kwietnia „należą do państwa ukraińskiego i że zewnętrzne oznaki władz państwowych na tych terenach muszą temu odpowiadać”. Wojsko polskie miało też „uleczyć od [...] złudzeń” mieszkających na Ukrainie Polaków, oczekujących włączenia tych ziem do Polski. Pobyt Petlury w Kijowie nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Ataman nie zdobył szerszego poparcia. Napływ ochotników do jego armii był mały (zgłosiło się 4 tys. ludzi). Strona ukraińska miała ogromne trudności ze sformowaniem przewidzianych umową 6 dywizji. Jednak oddziały Petlury - na co słusznie wskazał Piotr Wandycz - liczące 2 niepełne dywizje, dobrze wypełniły swój żołnierski obowiązek. Na froncie były pewnym i walecznym sojusznikiem Polaków. Duże znaczenie dla działań polskich wojsk miała partyzantka petlurowska walcząca na tyłach sowieckich - Sowietom musieli skierować



przeciwko niej 4 dywizje. Nie bez znaczenia było też przejście na stronę polską dwu brygad galicyjskich uczestniczących w wojnie w składzie wojsk sowieckich. 11 czerwca 1920 r., pod wpływem niekorzystnych zmian na froncie północnym, oddziały polskie i ukraińskie opuściły stolicę Ukrainy.

Plany Dmowskiego, a tym bardziej Piłsudskiego nie znalazły poparcia i zrozumienia w oczach Ententy. Partnerem Zachodu na wschodzie miała być „biała” Rosja, a nie potężna Polska. „Ententa - mówił naczelnik państwa - [...] szukała rozwiązania problemu rosyjskiego więcej znacznie niż takiego czy innego ułożenia spraw polskich”.

Wydaje się, że wbrew pozorom program terytorialny Piłsudskiego wymierzony był nie tyle przeciwko Rosji sowieckiej, co przeciwko „białym”. Kontakty z Denikinem wykazały, że rosyjska kontrrewolucja nie zamierza uznać niepodległości „prywislinija” i w wypadku pokonania bolszewików zgniecie Polskę - a że odbędzie się to przy poparciu Zachodu i aplauzie Niemców, nie mogło ulegać wątpliwości. Sytuacja była złożona. Piłsudski nie chciał zwycięstwa „białych”, ale jednocześnie musiał się liczyć ze stanowiskiem Ententy, od której Polska była w wielu sprawach uzależniona. Otwarty konflikt z „białymi” oznaczał brak zaopatrzenia wojskowego dla Polski. W tym kontekście stają się zrozumiałe słowa Piłsudskiego, że „przeciwko Niemcom będziemy mieli sojuszników, przeciwko Rosji nigdy”.

Wypada jeszcze zastanowić się, dlaczego Warszawa nie porozumiała się z drugą Rosją - sowiecką. Lenin deklarował, że bolszewicy uznają prawo Polski do niepodległego bytu i są gotowi iść na ustępstwa w kwestiach terytorialnych. W PRL pojawiły się nawet opinie, że bolszewicy byli gotowi oddać znaczne tereny i przyznać Polsce lepsze granice od uzyskanych w traktacie ryskim. Przyjęcie propozycji sowieckich - dodajmy: bardzo mglistych - było niemożliwe wobec stanowiska Ententy. To jeden powód. Chyba najistotniejszy. Ale były też i inne. Nie ulega wątpliwości, że propozycje sowieckie były wyrazem taktyki politycznej. Bolszewicy zawierali wówczas wiele porozumień podobnych do proponowanego Polsce (np. z Ukrainą i Gruzją), jednak po zmianie stosunku sił te niedawno uznane państwa stawały się republikami sowieckimi, co prawda niektóre (Litwa, Łotwa, Estonia) dopiero w 1940 roku.

Spore znaczenie miało też zapewne przekonanie, że „czerwoni” to partner tymczasowy. Polska uważała, że władza sowiecka jest zjawiskiem przejściowym, a bolszewicy dlatego byli dla piłsudczyków sympatyczniejsi, gdyż odsuwali moment konfrontacji z „białą” Rosją oraz dawali czas na zintegrowanie państwa, ale przeświadczenie o tymczasowości ich rządów - charakterystyczne dla całego ówczesnego świata - powstrzymywało przed bliższymi z nimi kontaktami. Piłsudski obawiał się także, żeby nie potraktowano go później jako sojusznika Lenina. Obawa ta była zresztą zupełnie realna. Wątpliwe nawet kontakty ze stroną sowiecką dały powód polskiej konserwie do pomawiania naczelnika państwa o spiskowanie z Leninem, a Denikin napisał później książkę o tym, jak Piłsudski uratował władzę sowiecką od upadku. Być może Piłsudski mimo wszystko zdecydowałby się na porozumienie, gdyby nie Ukraina. Władza bolszewików na Ukrainie zagrażała Petlurze, który, obiektywnie rzecz biorąc, był jedynym sojusznikiem Piłsudskiego na wschodzie. Dlatego w czasie rozmów w Mikaszewiczach Polacy podkreślali, że Piłsudski będzie bronił „bitego” Petlury, choć Julian Marchlewski, reprezentujący Rosjan, oddalił sugestię, żeby sprawę zawieszenia działań na froncie polsko-sowieckim wiązać z kwestią Ukrainy.

Wrażenie tymczasowości panowało też po drugiej stronie. Rewolucja w Rosji i wzrost napięcia społecznego w Europie, wystąpienia w Niemczech i na Węgrzech - wszystko to zdawało się dowodzić, że wybuch rewolucji w całej Europie nastąpi w najbliższym czasie. Obalenie rządów „burżuazji”, również polskiej, wydawało się oczywiste. Po stronie sowieckiej znajdowali się liczni działacze polskiego pochodzenia, którzy dążyli do wprowadzenia władzy bolszewików na ziemię polskie.

W grudniu 1918 r. dowódca sowieckiej Armii Zachodniej A. Snesarow wydał rozkazy podległym jednostkom, by wkroczyły na Wileńszczyznę. Zachodnia Dywizja Strzelecka miała dotrzeć do linii Grodno-Wołkowysk-Lida-Baranowicze-Mołodeczno, 17 Dywizja Strzelecka miała zająć rejon Pińsk-Łuniniec-Mozyrz-Homel. W lutym 1919 r. powstała Litewsko-Białoruska Sowiecka Republika Socjalistyczna. W jednej z pierwszych not władze nowo utworzonej republiki zwracały Polsce uwagę, że nie aprobują wkroczenia wojsk polskich na Białostoczną, gdzie „masy pracujące powiatu czują nierozzerwalną łączność z republikami Litwy i Białorusi”, a „polski element stanowi tylko mniejszość”.

Zmienne losy wojny wpłynęły na ewolucję stanowiska rządu sowieckiego. Jednak przekonanie o bliskim upadku kapitalizmu pozostało. O rozmowach na temat granic (w czasie wojny 1920 r.) tak pisał Julian Marchlewski: „[...] byliśmy mocno przekonani, że wszelkie linie graniczne w bliskiej przyszłości utracą znaczenie, gdyż przewrót rewolucyjny w całej Europie, a więc i w Polsce, jest kwestią czasu tylko, kwestią niewielu lat”.

Dlatego staje się zrozumiałe stanowisko „czerwonych” w kwestii granic. Była to sprawa drugorzędna, skoro wkrótce rewolucja miała je zburzyć wraz z państwami, które - jak Polska - tak o nie zabiegały.

Przegraną koncepcji terytorialnych tak Dmowskiego, jak i Piłsudskiego pieczętowały dwa dokumenty. Pierwszym był traktat wersalski z 1919 r. Ententa nie przyznała Polsce nie tylko tych ziem, które endecy chcieli inkorporować nad Dźwiną i Dnieprem, ale - co było równie niesprawiedliwe - Rzeczpospolita traciła ziemie zachodnie, bezspornie polskie. Powstania śląskie i wielkopolskie stanowiły dowód, że ludność tych ziem pragnęła połączenia z Polską, niestety politycy mocarstw zachodnich nie chcieli tego dostrzec. Dmowski nie uzyskał liczącego się poparcia na Zachodzie, a porażka ta była tym dotkliwsza, że ta sama Ententa przyznała Czechom w zasadzie wszystko, czego domagali się ich przedstawiciele. Nie przeszkadzało też Zachodowi, że ludność Czechosłowacji składała się w jednej czwartej z Niemców, a znaczne też były na jej terytorium grupy narodowe Węgrów, Ukraińców i Polaków. A więc zasadę samookreślenia interpretowano dość dowolnie. Porażka w Wersalu była w jakimś stopniu zaskoczeniem dla Piłsudskiego, który zapewne sądził, że Dmowski dysponuje większymi wpływami w kołach politycznych Zachodu.

Drugim dokumentem, dowodzącym przegranej Piłsudskiego, był zawarty w 1921 r. traktat ryski. Wykreślone w nim granice rozwiewały wszelkie myśli o federacyjnych planach na wschodzie. Przyczynił się do tego brak realnych sił politycznych na Litwie i Białorusi, które wiązałyby swe plany z Polską. Podobne znaczenie miało niepowodzenie wyprawy kijowskiej i przegrana Petlury. Sam Piłsudski powiedział później płk. Januszowi Głuchowskiemu: „[...] ja przegrałem swoje życie. Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć”.

Jedną z przyczyn niepowodzeń obu programów terytorialnych była, jak się wydaje, względna równowaga wpływów obu głównych obozów politycznych - narodowego i piłsudczykowskiego, rzutująca na linię polityki zagranicznej, której łamańce uniemożliwiły pełną realizację któregośkolwiek z nich.

Przyjęcie programu federacyjnego musiało oznaczać rezygnację z Wilna, przyznanego *a conto* przyszłego związku, i budowanie samodzielnej Białorusi, co stanowiłoby dowód, że Polacy poważnie traktują swój program. Stawiając na Ukrainę, nie można było pozbawiać Petlury jedynej realnych sił - to znaczy Ukraińców galicyjskich. Granica na Zbruczu możliwość taką przekreślała.

Wariant inkorporacyjny wymagał usunięcia z Kowna rządu litewskiego, sprzyjającego Niemcom, i okupowania Litwy etnograficznej. Następnie należało zawrzeć rozejm z Rosją Sowiecką na linii odpowiadającej Dmowskiemu i całą siłą zaangażować w plebiscyty i powstania śląskie.

Wojna podjazdowa endecko-piłsudczykowska powodowała, że realizowano trochę jednego, trochę drugiego programu. Zachęcano Białorusinów do federacji, a następnie traktowano ich jak znajdujących się pod okupacją. Zawierano sojusz z Petlurą i wymuszano granicę na Zbruczu. Tworzono Litwę Środkową, aby ją następnie inkorporować w skład państwa polskiego.

Druga Rzeczpospolita o długich i poszarpanych granicach, za którymi znajdowali się jej wrogowie, z licznymi mniejszościami narodowymi, zdewastowaną gospodarką i biednymi, zacofanymi kresami wschodnimi - brała na swe barki ogromny ciężar. Ciężar konfliktów wewnętrznych i zewnętrznych, które powinny zgnieść Polskę nazajutrz po odzyskaniu niepodległości.

Wszystko to było bacznie obserwowane w Berlinie. Wielu Niemcom nasuwała się myśl, że Polska była państwem pozbawionym trwałych podstaw egzystencji. Takie państwo przetrwa nie dłużej niż kilka miesięcy - twierdzono w Republice Weimarskiej.

## **5. Po trupie Polski...**

Konflikt zbrojny polsko-sowiecki trwał ponad dwa lata. Jego znaczenie nie ogranicza się tylko do rezultatów politycznych (traktat ryski) oraz strat materialnych i ludzkich (straty polskie w zabitych i rannych były równe stratom w czasie wojny obronnej 1939 r.). Wojna z Rosją Sowiecką - jedyna przegrana przez ZSSR wojna w jego dziejach - wpłynęła trwale na świadomość narodową Polaków i jest w niej obecna do dziś. W licznych opracowaniach publikowanych w PRL królowała nieodmiennie teza, że winą za ten konflikt należy obarczyć Polaków, a dokładniej rząd RP i osobiście Piłsudskiego. Rosja Sowiecka była przedstawiana jako ofiara polskiej agresji, broniąca „ziemi ojczystej” na Białorusi i Ukrainie przed polskim najazdem i deklarująca szczerze pragnienie ułożenia przyjaznych i pokojowych stosunków z Drugą Rzeczpospolitą.

Nie ulega wątpliwości, że bolszewicy ustami Lenina wielokrotnie deklarowali przyznanie Polakom prawa do niepodległego bytu. Nikt jednak nie stwierdził, że realizację tego prawa rozumieli tak, jak to wyobrażali sobie Polacy, polskie partie polityczne i polscy przywódcy. Romuald Wojna w artykule o stosunkach polsko-sowieckich zauważył, że między obu państwami o odmiennych ustrojach istniało wiele pól konfliktu. Można by je było rozwiązać tylko wówczas, gdyby w Polsce objął władzę rząd „analogiczny do radzieckiego”.

Przywódcy rosyjskiej rewolucji uważali, że będą zdolni rozszerzyć jej zasięg na całą Europę. Szczególną rolę w tych zamiarach miała odegrać rewolucja w Niemczech, gdzie działali od dłuższego czasu Róża Luksemburg i zaufany Lenina Julian Marchlewski. W realizacji tej koncepcji - połączenia sił rewolucji rosyjskiej z niemiecką - „burżuazyjna” Polska była przeszkodą.

Lenin głosił hasło samookreślenia, dostrzegając pragmatycznie niepodległościowe dążenia narodów ciemionych przez carat. Jednocześnie był przeciwny „zachętom do separacji ludów” od Rosji. Kiedy na przełomie 1918/1919 roku zaczęły powstawać partie komunistyczne Ukrainy, Litwy, Białorusi, Łotwy i Estonii i pojawiła się kwestia ich stosunku do partii rosyjskiej, Lenin - jak piszą autorzy *Historii KPZR* - „stał na stanowisku, że wszystkie te narodowe organizacje powinny stanowić część składową jednolitej Rosyjskiej Komunistycznej Partii”. Podobnie się stało z formalnie narodowymi armiami republik sowieckich - w 1919 r. zostały one po prostu włączone do Armii Czerwonej (na przykład trzy armie ukraińskie po reorganizacji otrzymały numery 12, 13 i 14 i były uważane za jednostki rosyjskie). Zgodnie z poglądami Lenina na VIII ogólnorosyjskiej konferencji bolszewików (24-29 IV 1917) uchwalono też rezolucję, o której czytamy w *Historii KPZR*: „wskazywano

[w rezolucji - R. Sz.] na niedopuszczalność utożsamiania p r a w a s a m o s t a n o w i e n i a z kwestią c e l o w o ś c i oderwania się tego lub innego narodu [od Rosji - R. Sz.]. Tę kwestię partia powinna rozstrzygnąć w każdym poszczególnym wypadku z punktu widzenia interesów całego rozwoju społecznego i interesów walki klasowej proletariatu o socjalizm”. Wynika z tego, że o kwestii oderwania się od Rosji miała decydować partia rosyjskich bolszewików, „przewodząca w walce klasowej”. Nie można wątpić, że państwo polskie z naczelnikiem Piłsudskim w żaden sposób nie mogło znaleźć miejsca. w planach Lenina.

Tymczasem w Niemczech zaczęły się masowe wystąpienia robotników i żołnierzy. Między 3 a 6 listopada 1918 r. zrewoltowani Niemcy opanowali Kolonię, Lubekę, Hamburg, Bremę, Lipsk, Stuttgart, Hanower. 7 listopada obalono monarchię w Bawarii i proklamowano republikę sowiecką Brunshwiku. 9 listopada Berlinem wstrząsnął strajk zorganizowany przez komunistów. Zdawało się, że nic nie powstrzyma rewolucji.

Kapitulacja Rzeszy przed mocarstwami zachodnimi spowodowała natychmiastowe (13 listopada) anulowanie postanowień traktatu brzeskiego. Uchwała w tej sprawie podjęta przez Ogólnorosyjski Centralny Komitet Wykonawczy zapowiadała: „Wszystkie okupowane prowincje Rosji zostaną uwolnione”. Zapowiedziano też udzielenie pomocy „masom pracującym” Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy „w ich walce o ustanowienie na ich ziemiach socjalistycznej władzy robotników i chłopów”.

W Moskwie od dłuższego czasu trwały narady grupy działaczy komunistycznych, którzy w niedalekiej przyszłości stanęli na czele rządów republik sowieckich proklamowanych na terenach zachodnich. Jak wspomina biograf Juliana Leńskiego, powołano wówczas ośrodek kierujący partiami komunistycznymi „działającymi na terytorium Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi, Ukrainy i Finlandii”. Nie ulega wątpliwości, że były to bez wyjątku „prowincje Rosji”, które zamierzano „uwolnić”.

Przystąpiono też do rozbudowy i reorganizacji armii. Początkowo Lenin uważał, że „czerwonym” wystarczy milionowa armia, wkrótce jednak nakazał tworzenie trzymilionowych sił zbrojnych. Powołana w styczniu 1918 r. Robotniczo-Chłopska Czerwona Armia (RKKA) liczyła latem ledwie 450 tys. ludzi, jesienią - 800 tys., w czerwcu 1919 r. już 3 mln ludzi, a pod koniec wojny niemal 5,5 mln. Wbrew zwolennikom partyzanckich metod dowodzenia i prowadzenia wojny Lenin przeforsował uchwałę wprowadzającą żelazną dyscyplinę w wojsku i nakazał wykorzystanie kadr dowódczych byłej armii carskiej. Pierwszymi naczelnymi dowódcami RKKA byli wyżsi oficerowie tej armii: Joachim J. Wacetis (sierpień 1918 - lipiec 1919) i Siergiej S. Kamieniew (lipiec 1919 - kwiecień 1924), obaj absolwenci petersburskiej Akademii Sztabu Generalnego. Inny słuchacz tej uczelni, pułkownik Boris M. Szaposznikow, został szefem wydziału operacyjnego w sztabie RKKA. „Do 15.8.1920 r. - czytamy w pracy Jerzego Wiatra - zmobilizowano do Armii Czerwonej 48409 byłych oficerów i generałów (w tym ponad 1000 generałów); stanowili oni około 35% kadry Armii Czerwonej”. Dodajmy, że znalazł się tam również były wódz naczelny armii Mikołaja II generał Aleksiej Brusilow, który został doradcą „czerwonych” w wojnie z Polską w 1920 r.

Tworzono też organy dowodzenia armią. W maju 1918 r. powstał Ogólnorosyjski Sztab Główny, a we wrześniu Rewolucyjna Rada Wojenna Republiki ze sztabem polowym wojsk. Organem nadrzędnym była, powołana w listopadzie Rada Obrony Robotniczej i Chłopskiej, kierowana przez Lenina i dysponująca pełnią władzy politycznej, gospodarczej i wojskowej.

W szybkim tempie tworzone brygady, dywizje i armie polowe. Powstawały wyższe związki operacyjne - fronty. W grudniu otwarto Akademię Sztabu Generalnego RKKA i uruchomiono szeroką sieć kursów dowódczych (w styczniu 1919 r. uczestniczyło w nich 13 tys. słuchaczy). Rozwijano produkcję uzbrojenia; do końca 1919 r. armia otrzymała około 750 samolotów, wytwarzano miesięcznie 40 tys. karabinów.

Nie ulega wątpliwości, że w chwili załamania się Niemiec i wycofywania wojsk niemieckich z ziem okupowanych na wschodzie „czerwoni” dysponowali już liczącym się instrumentem wojennym, któremu nie mogłyby się skutecznie przeciwstawić siły Polski (około 100 tys., część w powstaniu wielkopolskim i walkach z Ukraińcami), Litwy (5 tys.) i Ukrainy (URL - 32 tys.). Znamienne było również to, że Niemcy, ustępujący niechętnie przed Polakami, nie mieli tych oporów wobec Rosjan. Często zdarzało się, że wojsko niemieckie wraz z oddawanym terenem zostawiało „czerwonym” znaczne ilości broni (np. w Pskowie 7 tys. karabinów).

Jak wiadomo, 29 listopada 1918 r. Lenin wydał dyrektywę, nakazującą Armii Czerwonej, by udzieliła „wszelkiego poparcia rządowi radzieckim Łotwy, Estonii, Ukrainy i Litwy”. Już wkrótce takie rządy powstały -jeszcze tego samego dnia dla Ukrainy i Estonii, 4 grudnia dla Łotwy, 16 grudnia dla Litwy, a 1 stycznia 1919 r. dla Białorusi. Ich słabością było to, że znajdowały się często z dala od terytoriów tych państw, w rejonach kontrolowanych przez Armię Czerwoną. Dopiero działania RKKA miały je wprowadzić na tereny proklamowanych już republik sowieckich.

Próby ustanowienia Ukrainy sowieckiej miały swoją wcześniejszą historię. Konkurentem „czerwonych” były liczne, chociaż wewnętrznie skłócone, ugrupowania narodowo-niepodległościowe o różnym politycznym zabarwieniu. Ograniczało to tak dalece wpływy bolszewików, że kiedy mianowany głównodowodzącym wojsk „czerwonej” Ukrainy rosyjski bolszewik Władimir Antonow-Owsiejenko ogłosił mobilizację, zebrał jedynie 25 tys. ludzi, i to przy znacznej pomocy ze strony rosyjskiej. Fiaskiem zakończyła się również próba wywołania powstania bolszewickiego w sierpniu 1918 r. Po wielu miesiącach udało się sformować zaledwie dwie ukraińskie dywizje sowieckie. Sytuacja uległa zmianie, kiedy w styczniu 1919 r. sowieckie dowództwo utworzyło Front Ukraiński i wsparło siły „czerwonych” na Ukrainie dywizjami rosyjskimi. W ciągu dwu tygodni wojska te wyparły oddziały atamana Petlury z Kijowa, gdzie ogłoszono powstanie Rady Komisarzy Ludowych USSR. Mimo to odczuwano nadal ogromne trudności kadrowe. „Z pomocą - pisze Władysław Serczyk - przyszła Rosja Radziecka, skąd w styczniu i lutym 1919 r. przybyli na Ukrainę działacze gospodarczy, administracyjni i wojskowi, obejmując szereg ważnych, często kluczowych stanowisk w miejscowym aparacie państwowo-administracyjnym”.

Zajęcie Kijowa i znacznej części prawobrzeżnej Ukrainy przez „czerwonych” nie doprowadziło jeszcze do bezpośredniego starcia z wojskiem polskim. Od Rosjan oddzielały Polaków siły Petlury i oddziały ukraińskie w Galicji Wschodniej.

Odmienne kształtowała się sytuacja na Białorusi. Siły narodowe były tu nieliczne, próby sformowania pułku piechoty nie powiodły się, a ugrupowania gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza jeszcze nie było. Jedynie mieszkający na Białorusi Polacy organizowali własne oddziały zbrojne. W drugiej połowie 1918 r. powstawały Samoobrony Wilna, Mińska Litewskiego i Grodna. Zdołano zgromadzić około 4 tys. żołnierzy, ale były to oddziały źle uzbrojone i jedynie Samoobrona wileńska, dowodzona przez gen. Władysława Wejtko, formalnie dowódcę Okręgu Wojskowego Litwy i Białorusi, miała pewną wartość bojową. W tej sytuacji natarcie sowieckiej Armii Zachodniej, liczącej 46 tys. ludzi, posuwało się gładko. Rozkaz Lenina: „Wyzwalajcie szybciej Wilno!”, został wykonany już 5 stycznia 1919 r. Miasto zajęły oddziały Zachodniej Dywizji Strzeleckiej, sformowane nominalnie z Polaków, zwolenników władzy sowieckiej. W tym samym czasie rząd Litewskiej SSR z Dyneburga przeniósł się do Wilna, a Białoruskiej SSR ze Smoleńska do Mińska.

Podobnie jak na Ukrainie władza sowiecka borykała się z ogromnymi trudnościami kadrowymi przy organizowaniu aparatu państwowego i formowaniu armii. Miarą tych słabości było połączenie już 27 lutego dwóch republik w jedną „zjednoczoną”, nazywaną w skrócie „Litbiel”. Na jej czele stali prawie bez wyjątku działacze, którzy przybyli z Rosji, i to głównie polskiego i żydowskiego pochodzenia - pierwszy manifest sowieckiej Litwy

ogłoszono w języku polskim. Nie udało się poruszyć mas białoruskich. Chłopi białoruscy zostali nazwani przez Marchlewskiego „fanatykami własności”, a Vincas Kapsukas (premier LSSR) dopatrywał się powodów porażki jego rządu w podobieństwach stosunków rolnych na Białorusi i w Polsce.

Słabość sowieckich rządów na Białorusi i Litwie dostrzegł Józef Stalin skoro powiedział Kapsukasowi: „Piłsudskij was wied' odnim kawaleryjskom połkom rozgonit”. Miał rację: w marcowym wypadku na Wilno brało udział około 800 polskich ułanów, a zakończył się on powodzeniem. „Podczas obrony Wilna - wspominał inny członek władzy „Litbiełu”, Szymon Dimanstein - mieliśmy do czynienia z prawie pełną zdradą ze strony ludności polskiej, wyjąwszy niektórych robotników”. Bez pomocy ze strony Rosji Sowieckiej nie można było sprostać Polakom.

Postawa i nastroje ludności na Białorusi musiały mieć wpływ na morale oddziałów sowieckich, zwłaszcza tych sformowanych z Polaków, skoro zdarzało się, że wojska podległe LBSSR odmawiały wyruszenia na pozycje bojowe. Z takich powodów musiano rozformować 3 siedlecki pułk strzelców. Były wypadki, że oddziały „czerwonych” bez walki oddawały pozycje Polakom (np. w Pińsku). Znalazł się też duży oddział Armii Czerwonej, który na tyłach frontu, w Homlu, wywołał powstanie antybolszewickie (24-29 marca). W końcu dowództwo sowieckie postanowiło zlikwidować Zachodnią Dywizję (przemianowaną na 52 dywizję), która przestała istnieć jako formacja polska i została odesłana w głąb Rosji.

Sprzyjali Polsce wszyscy wybitniejsi przywódcy białoruscy - Bolesław Taraszkiewicz, Antoni Łuckiewicz, Wacław Łastowski. Rada Białoruska w posłaniu do Piłsudskiego wyrażała nadzieję, że dopomoże on w zjednoczeniu całej Białorusi i odbudowie jej jako państwa niepodległego, „wiedziami sąsiedztwa i przyjaźni złączonego z Polską”.

Podczas rokowań w Mikaszewiczach (10 XI 1919) Marchlewski proponował Polakom Białoruś jako cenę za zawarcie pokoju. Oferta ta wynikała głównie z obawy, aby Polacy nie poparli ofensywy Denikina, który wówczas poważnie zagroził władzy bolszewickiej w Rosji. Wydaje się, że odegrały tu niepoślednią rolę również niepowodzenia, jakie spotkały „czerwonych” w budowie władzy sowieckiej na Białorusi na początku 1919 roku.

Aleksy Deruga, omawiając plany sowieckich działań na Białorusi, pisze, że „nie istniało zagrożenie polskiego obszaru etnograficznego”. Ta opinia jest niesłuszna, pomija bowiem wysiłki polskich komunistów, dążących niewątpliwie do przesunięcia akcji wojsk sowieckich na tereny nadwiślańskie.

Historyk komunistyczny Józef Kowalski przypomina, że już w czasie rokowań z Niemcami w Brześciu (luty 1918 r.) członek delegacji sowieckiej Stanisław Bobiński odczytał oświadczenie, w którym stwierdzano, że „jedynie Rosja rewolucyjna stoi na straży istotnych interesów i wolności polskiego ludu i że, gdyby nie okupacja niemiecko-austriacka, Polska miałaby już obecnie taką wolność, jaką mają ludy Rosji”.

Jak wiadomo, utworzona w grudniu 1918 r. w Polsce partia komunistyczna uważała się za przeciwnika państwa polskiego i zapowiadała walkę z nim. Temu celowi miały służyć Rady Delegatów i Czerwona Gwardia, organizowana głównie w Zagłębiu. Powstał też specjalny Wydział Agitacji w Wojsku, tzw. wojskówka KPP, który - jak pisze Jerzy Pawłowski - „opracowywał plany technicznego zabezpieczenia powstania, przygotowywał specjalne kadry bojowe, gromadził broń i amunicję...” Latem 1918 r. z grupą sowieckich oficerów przybył do Polski Stefan Żbikowski, dowódca warszawskiego „czerwonego” pułku z Zachodniej Dywizji. Na jego wniosek do różnych miast Polski kierowano innych oficerów i komisarzy z tej dywizji. Jeden z funkcjonariuszy wojskówki wspomina: „[...] jak to się mogło stać, że w okresie braku oficerów w Armii Czerwonej partia ściągała z Zachodniej Dywizji szczególnie cenionego oficera i organizatora i angażowała go do prac w Wydziale Wojskowym? [...] Tym trzymanym w ścisłej tajemnicy zadaniem wojskówki był plan spowodowania powstania robotniczego w kraju i przejęcie - na drodze rewolucyjnej - władzy

państwowej...” Były też próby czynnych działań. Przykładem niech będzie usiłowanie wywołania powstania w Zamościu, gdzie 28 XII 1918 r. grupa 80 żołnierzy z 35 pułku, pod wodzą kaprała, usiłowała wraz z komunistami opanować miasto. Akcja została zlikwidowana następnego dnia. Winnych wojskowych (45 osób) wysłano na front, a cywilów skazano na kary więzienia od roku do trzech lat.

Aresztowanie Żbikowskiego przez władze polskie w marcu 1919 r. i odesłanie go do Rosji, zamieranie działalności Rad Delegatów i wreszcie rozbrojenie Czerwonej Gwardii (praktycznie bez walk - jeden zabity) uniemożliwiło komunistom wywołanie powstania, które na pewno zyskałoby sowiecką pomoc. Tak wpływowy działacz jak Leński stwierdzał w piśmie „Młot”: „[...] przechodzimy od słów do czynów. Na ulicach Łodzi, Warszawy i Zagłębia proletariat sięga po władzę. My tutaj szykujemy pomoc, której w odpowiedniej chwili udzielimy. Mińsk staje się wysuniętą na zachód placówką, przez którą płynąć będzie zwycięska fala rewolucyjna”.

W *Historii Białorusi* Marcellego Kosmana możemy przeczytać, że w tym czasie 90% słuchaczy kursów dowódczych w Mińsku stanowili Polacy. Miała to być kadra dowódcza przyszłej polskiej Armii Czerwonej.

Powstanie nie wybuchło, a armia sowiecka, zagrożona działaniami wojsk admirała Kołczaka oraz generałów Judenicza i Denikina, musiała czasowo zawiesić plany „pochodu na Zachód”.

Sprawa stała się aktualna na początku 1920 r. W połowie stycznia zakończono likwidację głównych sił armii Denikina. W tym samym czasie sowiecki Front Wschodni rozbił ostatecznie oddziały Kołczaka, a on sam, wydany „czerwonym”, został wkrótce rozstrzelany. Rosja Sowiecka odzyskała swobodę działań na zachodzie.

W końcu grudnia 1919 r. rząd RFSSR zaproponował rządowi polskiemu rokowania pokojowe. Miesiąc później Rada Komisarzy wystąpiła z odezwą do rządu i narodu polskiego, zapowiadając możliwość rozwikłania wszystkich spraw spornych, „o ile chodzi o rzeczywiste interesy Polski i Rosji”. Na początku lutego 1920 r. Wszelchrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy RDR ogłosił odezwę do narodu polskiego. Zaprzeczano w niej, jakoby Rosja Sowiecka zamierzała wprowadzać swój ustrój za pomocą bagnatów czerwonoarmistów. „Przekształcenie Polski zgodnie z interesami polskich mas pracujących musi się dokonać za sprawą tych mas” - czytamy w odezwie. W końcowej części dokumentu wyrażano przekonanie, że będzie można ustanowić przyjazne stosunki „między narodem polskim a Rosją Radziecką” [podkr. - R. Sz.].

Łatwo było dostrzec znamienne akcenty tych wystąpień. Od propozycji składanych rządowi przechodzono do ofert kierowanych ponad głowami tego rządu bezpośrednio do polskich „mas pracujących”.

Od lutego 1920 r. przygotowania do wojny z Polską weszły w ostatnią fazę. Na polecenie Lenina sztab RKKA opracował plan działań przeciwko Polsce, zatwierdzony w kwietniu przez KC partii bolszewików. Autorzy sowieckiej *Historii sztuki wojennej* tak piszą o tym planie: „Główne uderzenie miał przeprowadzić Front Zachodni w ogólnym kierunku na Mińsk-Białystok-Warszawę, Front Południowo-Zachodni powinien być zaś wykonać uderzenie pomocnicze, dokonując obejścia Polesia z południa, w ogólnym kierunku na Brześć n. Bugiem - Warszawę. Działania obydwu frontów były ściśle uzgadniane i zmierzały do wykonania silnych zbieżnych uderzeń w celu obejścia Polesia i wejścia następnie w głąb Polski.

W myśl przyjętego planu stworzono następujące zgrupowania wojsk na froncie polsko-radzieckim: Front Zachodni (dowódca Frontu M. Tuchaczewski, członek Rewolucyjnej Rady Wojennej J. Unslicht), w składzie 15 i 16 armie, liczący 49 610 ludzi, 1976 karabinów maszynowych i 430 dział, został rozwinięty w pasie od Dyneburga do Prypeci; Front Południowo-Zachodni (dowódca Frontu A. Jegorow, członkowie Rewolucyjnej Rady



Wojennej J. Stalin i R. Bierzin), w składzie 12 i 14 armie, liczący 15 654 ludzi, 1232 karabiny maszynowe, 236 dział, został rozwinięty na Ukrainie”.

W rzeczywistości siły skierowane przeciwko Polsce były od 4 do 5 razy większe. Polski wywiad wojskowy podawał, że między styczniem a kwietniem stan wojsk po sowieckiej stronie frontu zwiększył się z 4 dywizji piechoty i 1 brygady kawalerii do 20 dywizji i 5 brygad. Siły kawaleryjskie wzrosły jeszcze bardziej po skierowaniu na front armii konnej Budionnego - 18 tys. ludzi.

W tym samym czasie strona polska, po podpisaniu układu sojuszniczego z Petlurą, przygotowywała się do ofensywy na Ukrainie. Działania wojsk polskich i ukraińskich w końcu kwietnia doprowadziły do odebrania Kijowa i spowodowały duże zamieszanie w planach sowieckiego sztabu.

Strona sowiecka ruszyła do natarcia 14 maja. Przeciwko wojskom polskim nad Dnieprem skierowano m.in. kawalerię Budionnego - wówczas była to potężna siła ofensywna, zaprawiona w walkach z wojskami Denikina. Próba zniszczenia armii konnej przez oddziały generała Śmigłego nie powiodły się, ale też Rosjanom nie udało się rozbić oddziałów polskich i ukraińskich, które w porządku i zachowując gotowość bojową, wycofały się na pozycje wyjściowe. Tymczasem na Białorusi - 4 lipca - ruszyła generalna ofensywa sowiecka, w której uczestniczyły cztery armie i korpus kawalerii, łącznie ponad 200 tys. ludzi. Ich dowódca, Michaił Tuchaczewski, pisał w okolicznościowym rozkazie: „Na Zachodzie rozstrzygają się losy powszechnej rewolucji, po trupie Polski wiedzie droga do światowego pożaru. Na Wilno, Mińsk, Warszawę marsz!”

Opór wojsk polskich został złamany w zaciętych walkach. W sierpniu Armia Czerwona znalazła się pod Warszawą. Prawe skrzydło tych wojsk usiłowało przekroczyć Wisłę w rejonie Płocka. Rosjanie byli już pewni zwycięstwa. Polskie zabiegi o rokowania pokojowe dały w rezultacie sowiecką ultimatywną propozycję całkowitej kapitulacji. W Białymstoku rozpoczął działalność Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, który wkrótce miał się przekształcić w rząd Polskiej Republiki Sowieckiej. Rozpoczęto formowanie polskiej Armii Czerwonej pod dowództwem Romana Łągwy, komisarza z byłej Zachodniej Dywizji. Członek TKRP Feliks Dzierżyński w telegramie do Lenina zapewniał: „Masy robotnicze Warszawy oczekują nadejścia Armii Czerwonej”.

Powszechne przekonanie o klęsce polskiej armii było błędne - piszą historycy sowieccy. „Szybki odwrót wojsk polskich - czytamy w *Historii KPZR* - tłumaczono sobie rozbiem ich armii, a tymczasem Polacy starali się wycofać spod uderzenia siłę żywą i technikę”. 6 sierpnia naczelny wódz Józef Piłsudski postanowił rozegrać bitwę warszawską, którą miało rozpocząć uderzenie grupy wojsk gen. Śmigłego znad Wieprza. Kontrofensywa ruszyła 16 sierpnia i w ciągu kilku dni zamieniła sowieckie sukcesy w dotkliwą klęskę. W dziewięciodniowych walkach Polacy wzięli do niewoli prawie 70 tys. żołnierzy sowieckich oraz zdobyli 231 dział i 1000 karabinów maszynowych. Część oddziałów Tuchaczewskiego musiała się ratować ucieczką do Prus Wschodnich. W całej operacji strona sowiecka straciła 150 tys. ludzi w zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

Bitwa warszawska jest dziś zaliczana do najważniejszych bitew w dziejach świata. Nie tylko ze względów politycznych. Zbigniew Wójcik przypomniał, że w 1979 r. ukazała się w Londynie praca znawcy wojen i wojskowości Simona Goodenougha pt. *Tactical genius in battle*. „Autor - pisze profesor Wójcik - wybrał z dziejów wojen 27 bitew, w których interesowały go nie ich skutki polityczne i historyczne, lecz wyłącznie znaczenie w dziejach powszechnej sztuki wojennej, jako przykład najwyższego kunsztu zwycięskich wodzów. I oto wśród tych 27 bitew rozciągniętych na przestrzeni ponad 3 tysięcy lat, w towarzystwie Ramzesa II, Miltiadesa, Temistoklesa, Aleksandra Wielkiego, Cezara, Gustawa Adolfa, Wielkiego Kondusza, Napoleona, Wellingtona i wielu innych, znalazł się Józef Piłsudski za swój plan i jego realizację w bitwie warszawskiej”.

Kończyła wojnę 1920 r. bitwa nad Niemnem, pieczętująca całkowitą klęskę wojsk sowieckich. W ręce polskie wpadło około 50 tys. jeńców i znaczna zdobycz wojenna (broń maszynowa, działa, pociągi i samochody pancerne, a nawet samoloty). Front przesunął się na wschód do linii Dyneburg-Mińsk-Słuck-Olewsk-rzeka Dźwina-Zwiahel-Chmielnik-Dreźnia. Rosjanie zapomnieli o swoich warunkach pokojowych wysuniętych w czasie ofensywy na Warszawę. Rokowania przeniesiono z Mińska do Rygi.

Jedną z przyczyn klęski „czerwonych” widział Piłsudski w znikomym poparciu ludności. W swojej pracy *Rok 1920* cytował słowa Siergiejewa, dowódcy jednej z armii biorących udział w wojnie z Polską: „Rachuba na wybuch polskiej rewolucji mogła. być poważnie czyniona tylko w politycznych kancelariach i to dostatecznie oddalonych od frontu. W wojsku mało w to wierzono i, zdaje się, próba formowania polskiej armii czerwonej w Białymstoku była dostatecznym dowodem, że źródła. naszych informacji zbyt optymistycznie patrzyły na położenie sprawy w Polsce”.

Uświadamiał to sobie Lenin, skoro nakazywał przyspieszyć wcielanie Białorusinów do Armii Czerwonej, „choćby w łapciach i kostiumach kąpielowych” (depesza Lenina do Rady Wojennej Frontu Zachodniego z 19 sierpnia 1920 r.). Piłsudski stwierdził ponadto, że strona sowiecka była słabsza również dlatego, że nie mogła być pewna swego zaplecza: „[...] w przeciągu całej wojny, którą Sowiety prowadziły z nami, na tyłach bliskich, a bardziej jeszcze na dalekich frontu przeciw nam zwróconego, inne wojska sowieckie i inni koledzy p. Tuchaczewskiego nie robili nic innego, jak z trudem zwalczali takie czy inne przeciw Sowiетom powstania! [...] Nic zaś podobnego w Polsce nie było. I wojska, o ile były zorganizowane, swobodnie mogły być stawiane do walki z tym, co było przed frontem, a nie z tym, co poza frontem się znajdowało! [...] Pamiętam, jak jednemu z wybitnych przedstawicieli jednego z państw zachodnich, który zwykł był wierzyć znacznie więcej »carsławnemu historykowi« Iłowajskiemu niż mnie i który zatem [...] oczekiwał, że coś musi »gotować się« i »wrzeć«, pokazałem, jak na moich tyłach pracują koleje i telegrafy bez żadnej osłony”.

Michaił Tuchaczewski w zakończeniu swej pracy *Pochód za Wisłę* wykładał, że główna przyczyna klęski „czerwonych” leżała w tym, iż nie udało się pozbyć Polski jej „burżuazyjnej armii szlacheckiej”. Gdyby do tego doszło, rewolucja by wybuchła. „A pożar ten nie dałby się ograniczyć ścianami polskimi” - zapewniał sowiecki marszałek. „Tego doświadczenia rewolucji z zewnątrz Armia Czerwona nie zapomni”.

W dziesięć lat po bitwie warszawskiej Werner Beumelburg w książce *Deutschland in Ketten* napisał: „Z wypadków tych Rosjanie wyciągnęli naukę - bez Niemiec to się nie uda”.

## **6. Nie rzucim ziemi...**

Państwo polskie, rodzące się po dziesiątkach lat niewoli, otrzymało jako spadek po zaborcach wśród wielu innych problemów - zacofanie ekonomiczne, które zostało jeszcze pogłębione przez straty wojenne. Dla gospodarczych możliwości państwa nie było zatem obojętne, na jakich terenach powstanie odrodzona Polska. Trzej zaborcy dysponowali dość zróżnicowanym potencjałem i poziomem gospodarowania. Najniżej stała pod tym względem Rosja, najlepiej Niemcy. Z tego też powodu istotne było, czy w skład państwa wejdą ziemie zacofane i pozbawione przemysłu, zniszczone wojną, czy uprzemysłowiony Śląsk i Wielkopolska, dysponująca bardzo dobrze rozwiniętym rolnictwem. Dodatkowym walorem ziem zaboru pruskiego było również to, że wojna nie dotarła w te rejony.

Polskie programy terytorialne dość znacznie przekraczały w swych aspiracjach zachodnie granice Rzeczypospolitej z 1772 r. Nie było w tym nic dziwnego wobec

wyraźnego renesansu polskości na Śląsku i Mazurach. Obszar uznawany za polski obejmował więc ziemie wschodnich pruskich prowincji: poznańskiej, zachodniopruskiej, wschodniopruskiej i dwie rejencje (opolską i wrocławską) prowincji śląskiej. Razem stanowiło to około 120 tys. km<sup>2</sup>, zamieszkałych przez 10 mln ludności.

W gospodarce tego rejonu przeważało rolnictwo, a jego poziom pozwalał osiągać wyniki znacznie przekraczające wielkość produkcji rolnej w pozostałych zaborach. Gdy rolnicy w zaborze pruskim uzyskiwali 18,3 q żyta i 22 q pszenicy z hektara, w Królestwie Kongresowym zbierano 11 q żyta i 13 q pszenicy, a w Galicji 12 q żyta i 13,4 q pszenicy. Produkcja żywności w zaborze rosyjskim i austriackim nie zaspokajała potrzeb żyjącej tam ludności. W 1912 r. import zbóż do Kongresówki przewyższał eksport o kwotę 12,8 mln rubli, a niedobór w Galicji równał się 25 mln koron. W tym samym czasie nadwyżki uzyskiwane ze sprzedaży żywności w zaborze pruskim wyniosły 104 mln marek.

Podobnie wyglądała sytuacja w hodowli. Gdy w Królestwie oceniano pogłowie bydła na 2,2 mln sztuk, a w Galicji na 2,7 mln sztuk, to rolnicy zaboru pruskiego mieli prawie 4 mln sztuk. Pogłowie trzody chlewnej - Królestwo około 0,6 mln sztuk, Galicja około 2 mln sztuk, a zabór pruski 4,6 mln sztuk. Różnice między zaborami byłyby jeszcze drastyczniejsze, gdyby uwzględnić stan rolnictwa na ziemiach zabużańskich bezpośrednio włączonych do Rosji (uzyskiwano tam z hektara jedynie 9,3 q pszenicy i 7,8 q żyta). Kongresówka była stosunkowo dobrze zagospodarowanym rejonem w mikołajowskiej Rosji.

Wysoki poziom produkcji rolnej w zaborze pruskim i przewaga zatrudnionych w tym dziale gospodarki nie oznaczały, że rozwija się tam jedynie rolnictwo. Liczba robotników, wynosząca około jednej piątej ogółu zatrudnionych w zaborze, na terenie Górnego Śląska sięga połowy zatrudnionych. Górnośląski okręg przemysłowy stanowił wówczas liczący się w Europie potencjał. Przed wybuchem I wojny światowej wydobywano tam 39 mln ton węgla (23% wydobycia całych Niemiec) i produkowano 932 tys. ton surówki żelaza (6% produkcji żelaza Niemiec). Mimo to Górny Śląsk tracił we współzawodnictwie z okręgami przemysłowymi zachodnich Niemiec, a jego udział w globalnej produkcji Rzeszy relatywnie malał.

Wyroby śląskiego przemysłu łatwiej trafiały do Królestwa i Galicji niż na rynki niemieckie. Stan ten nie stanowił jednak zagrożenia dla interesów Polski. Był to przecież czynnik naturalnie integrujący śląski przemysł z ziemiami w dorzeczu Wisły.

Zabór pruski dysponował najlepiej rozwiniętą siecią komunikacyjną. Na 100 km<sup>2</sup> przypadało tam 9,27 km kolei i 28,5 km dróg bitych. W pobliskiej Kongresówce wskaźnik ten wynosił jedynie 2,9 km kolei oraz 6,8 km dróg bitych. W rezultacie przewozy towarowe na terenie zaboru pruskiego sięgały 70 mln ton rocznie, a w Galicji i Królestwie po 20 mln ton.

Ten potencjał gospodarczy sytuował ziemie zaboru pruskiego na pierwszym miejscu wśród ziem dawnej Rzeczypospolitej. Na jednego mieszkańca wypadały tu 1133 dolary majątku narodowego (w Galicji 427, a w Królestwie 640 dolarów) i 113 dolarów dochodu narodowego (w Galicji 48 dolarów, a w Kongresówce 63 dolary).

Z tego pobieżnego przeglądu widać, jaką wartość mogło mieć dla Polski odzyskanie ziem zagrabionych przez Prusy. Ale rozpatrując ten problem, nie można pomijać faktów, do których doszło w wyniku prowadzonej przez lata polityki germanizacyjnej. Ziemie zaboru pruskiego były traktowane jako integralna część Rzeszy nie tylko w Berlinie. Należało więc zapytać, na jakiej części ziem zaboru pruskiego Polacy mogli zdecydować o ich przynależności państwowej. Na opinię światową, na rządy w Londynie czy Waszyngtonie względy sprawiedliwości dziejowej i racje historyczne podnoszone przez Polaków oddziaływały w nikłym stopniu. Zgadzano się, że zabór pruski stanowił niegdyś część Polski, ale to nie oznaczało, aby te ziemie miały być ponownie polskie. Obowiązywały zasady samostanowienia i samookreślenia narodów. Prawa tego nie odmawiano Niemcom

mieszkającym w zaborze pruskim. Potrzebne były fakty politycznej obecności i przewagi polskiej, a nie argumenty historyczne. Przynajmniej nie one rozstrzygały.

Zastanówmy się nad stosunkami narodowościowymi na ziemiach zaboru pruskiego. W prowincji wschodniopruskiej znajdowały się trzy rejencje: Gąbin, Królewiec i Olsztyn. Dwie pierwsze miały drobny odsetek ludności polskiej i poza pewną grupą Litwinów były w całości zgermanizowane. Inaczej wyglądała sytuacja w rejencji olsztyńskiej. Według statystyk pruskich w rejencji tej mieszkało 268 tys. Polaków (49,3% ludności) i 274 tys. Niemców. Polskie źródła określały liczbę ludności polskiej na 290 tys. Wydaje się więc, że przed wybuchem I wojny światowej Polacy stanowili tu ponad 50% ludności.

Na terenie prowincji zachodniopruskiej znajdowały się dwie rejencje, gdańska i kwidzyńska. Niemcy obliczali, iż w rejencji gdańskiej odsetek ludności polskiej wynosi 28%, a w kwidzyńskiej 41%. Według władz pruskich na terenie całej prowincji mieszkało 604 tys. Polaków (35%) i 1100 tys. Niemców (65%). Dokładniejsza analiza pruskich statystyk dowodzi, że do ludności polskiej nie zaliczono 200 tys. Kaszubów, mimo że w latach 1871-1914 Kaszubi wybierali posłów polskich jako swych reprezentantów do niemieckiego parlamentu. Po korekcie takich „niedokładności” liczba ludności polskiej sięgała tu 880 tys. (52% ludności prowincji), a Niemców - niecałe 800 tys.

Bardziej na południe znajdowała się prowincja poznańska, składająca się z rejencji poznańskiej i bydgoskiej. W obydwu ludność polska stanowiła przytłaczającą większość. Na podstawie danych niemieckich liczbę Polaków można określić na 1290 tys., Niemców zaś na 807 tys. (62% w stosunku do 38%). Opierając się na polskich danych kościelnych, można było przyjąć, że ludność polska liczyła 1,4 mln osób (68%). W rzeczywistości Niemcy mieszkali głównie w Bydgoszczy i Poznaniu. Polacy przeważali na całym terenie prowincji.

Wreszcie w prowincji śląskiej ludność polska znajdowała się w dwu rejencjach, wrocławskiej i opolskiej. Na terenie wrocławskiej Polacy zamieszkiwali głównie w pasie wschodnim (powiaty sycowski, namysłowski, milicki), i tu stanowili przewagę, natomiast pozostała część była w poważnym stopniu zgermanizowana. Rejencja opolska, podobnie jak poznańska, była w przeważającej mierze zasiedlona przez Polaków. Ludność polska na Opolszczyźnie liczyła 1340 tys. (67%), a niemiecka 670 tys. (33%); tajne raporty prezydenta rejencji mówiły o ponad 70% Polaków.

Sumując liczby ludności polskiej na terenie całego zaboru uzyskaliśmy 3,8 mln osób (w 1911 r.), to znaczy około 40% mieszkańców. Odsetek ten nie oddawał jednak rzeczywistego stanu stosunków narodowościowych. Wśród ludności niemieckiej znajdował się znaczny procent ludzi związanych z aparatem władzy - urzędnicy, wojskowi, policjanci i ich rodziny. Był to element napływowy i likwidacja władz pruskich zmuszała go do opuszczenia ziem podległych Prusom. Przypomnijmy, że ta grupa Niemców to w rejencji pomorskiej 35% ludności niemieckiej, a w opolskiej ponad 31%. Po odliczeniu wspomnianego elementu napływowego na terenie całego spornego rejonu odsetek ludności polskiej sięgał 52%. Można więc w zasadzie stwierdzić, że ludność polska miała pełne prawo do decydowania o przynależności państwowej co najmniej 80 tys. km<sup>2</sup> ziem należących do wschodnich prowincji Prus.

Elementem osłabiającym polski potencjał ludnościowy był brak możliwości wywierania wpływu - w przeciwieństwie do zaboru austriackiego - na bieżącą politykę Niemiec. Prusacy bardzo skrupulatnie pilnowali, aby inteligencja polska nie miała za dobrych warunków rozwoju. Ani jeden Polak nie zasiadał w rządzie Prus, nie było Polaków na stanowiskach nadprezydentów prowincji, prezydentów rejencji czy choćby powiatowych landratów. Do wyjątków należeli Polacy-oficerowie w armii niemieckiej. Nie dopuszczano Polaków do zawodu nauczyciela, w szkołach średnich nauczycielami byli wyłącznie Niemcy. Jedynie wśród wolnych zawodów (dziennikarze, lekarze) i duchowieństwa znajdowała się większa liczba osób pochodzenia polskiego. Dziennikarze i księża stanowili zasadniczą

grupę wśród inteligencji polskiej w zaborze pruskim i z nich to rekrutowali się kandydaci na posłów polskich do Reichstagu i Landtagu. Oni organizowali społeczeństwo politycznie.

Prądem, który objął znaczną część ludności polskiej zaboru, był ruch chrześcijańsko-demokratyczny. Reprezentowali go tacy działacze, jak ks. Stanisław Adamski, Wojciech Korfanty, Adam Poszwiński, Józef Rymer. Przywódcy chadecji uważali, że polityczna walka z Prusakami nie dawała Polakom zbyt wielkich szans odniesienia sukcesu. Dlatego wysunięto hasła pracy organicznej i obrony narodowego stanu posiadania na polu gospodarczym. Dużo uwagi poświęcono wychowaniu w rodzinie i obronie języka. Efekty tej działalności były imponujące. Rozwinęła się polska spółdzielczość, Banki Ludowe, działało Towarzystwo Czytelni Ludowych i organizacja jednocząca wysiłki kobiet kultywujących naukę języka.

We wszystkich tych poczynaniach dominował legalizm. „Przestrzegaliśmy jednak prawa tak ściśle - mówił ks. Adamski - że nie zdołano nam wytknąć żadnego wykroczenia. Wygrywaliśmy liczne procesy z władzami pruskimi”. Przyjęta metoda przynosiła nie tylko sukcesy. Zajęcie przez Polaków pozycji defensywnych dawało Niemcom poczucie przewagi, a obawy przed utratą istniejącego stanu posiadania sugerowały ugodę polityczną z Berlinem. Sprowadzenie walki z Niemcami głównie do płaszczyzny ekonomicznej sprawiło, że w efekcie polityczne wpływy ludności polskiej słabły, Prusacy tymczasem zaczęli częściej sięgać do środków politycznych, aby zwalczać Polaków na polu ekonomicznym. Powodowało to coraz szerszy ferment wśród ludności polskiej. Wyrazem tego było powstanie i rozwój Narodowej Demokracji, głównie na terenie Pomorza i Wielkopolski. Nie oznaczało to jednak radykalnego przełomu. „Należy bowiem pamiętać - napisał Krzysztof Dembski - że nie było między nią [endecją - R. Sz.] a chadecją zasadniczej sprzeczności, był tylko spór o metody działalności politycznej. Więcej czynników łączyło, niż dzieliło”.

Wkrótce doszło do bliskiej współpracy między obu partiami. Przykładem był Korfanty, działacz chadecji ze Śląska i niewątpliwie najwybitniejszy polityk polski na terenie zaboru, który doprowadził do zerwania z niemieckim Centrum i jako poseł do Reichstagu nawiązał współpracę z endecją. Z czasem sam Korfanty był coraz powszechniej uznawany za działacza Narodowej Demokracji. Różnice musiały być rzeczywiście małe, skoro dochodziło do takich pomyłek.

Wybuch wojny zastał ludność polską w zaborze pruskim na pozycjach zachowawczych. Wpływy Polskiej Partii Socjalistycznej i zwolenników programu niepodległościowego nie były zbyt wielkie, a myśl o aktywnym działaniu w obliczu rozgrywających się wydarzeń dopiero kiełkowała w głowach robotników i młodzieży. O postawie przewodzących politycznie środowisk Wielkopolski wspomniany Dembski pisał: „Zamarła więc w obawie przed wzmoczoną czujnością policji oficjalna działalność stronnictw, potajemnie zaś szła praca w kierunku krzepnięcia narodowego i odcinania społeczeństwa od wpływów nielicznych aktywistów”. W innym miejscu ten sam autor stwierdzał, że społeczeństwo „trwając w milczącym oporze w stosunku do Prusaków czekało na rozstrzygnięcie losów wojny”.

Nie wszyscy jednak rezygnowali z czynnego działania. Do aktywnych należał między innymi Korfanty. Początkowo wierzył w klęskę Rosji oraz antyrosyjską postawę społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim i na tej wierze opierał swoje plany polityczne. Stawał wszystko - jak sam wówczas stwierdzał - „na jedną kartę”. W sierpniu 1914 r. Korfanty wraz z Wojciechem Trąmpczyńskim podjął rozmowy z politykami niemieckimi. W pierwszej z Matthiasem Erzbergerem, szefem propagandy zagranicznej w MSZ, Polacy podkreślali lojalne zachowanie się ludności polskiej w obliczu mobilizacji i wojny, domagali się, aby rząd niemiecki potwierdził ten fakt specjalnym oświadczeniem i prosili o zniesienie antypolskiego ustawodawstwa pruskiego. 25 sierpnia Korfanty uczestniczył w spotkaniu księcia Andrzeja Lubomirskiego, przedstawiciela utworzonego w Galicji Naczelnego

Komitetu Narodowego, z pruskim ministrem rolnictwa Klemensem von Schonlemarem-Lieserem, podczas którego poza zapewnieniem, „że Polacy nie rozczarują się w swych nadziejach”, niczego jednak nie uzyskano. Następnie Korfanty rozmawiał z byłym kanclerzem Bernhardem von Bulowem, a 26 sierpnia z podsekretarzem stanu Walinschaffem. Całość propozycji wysuwanych przez stronę polską przedstawił Korfanty w specjalnym dokumencie złożonym na ręce Erzbergera. Tekst zawierał m.in. postulat przekształcenia Komisji Kolonizacyjnej w instytucję apolityczną, ogólnopaństwową, oraz zniesienia ograniczeń majątkowych w stosunku do ludności polskiej.

Efekty ożywionej działalności Korfantego nie były zbyt wielkie. Mimo to, a może właśnie dlatego, poszedł on jeszcze dalej w swych projektach rozwiązania sprawy polskiej z pomocą Berlina. W grudniu 1914 r. uczestniczył obok Sikorskiego i Jodko-Narkiewicza w konferencji w niemieckim ministerstwie wojny i wówczas zaproponował Niemcom, aby w zamian za przyłączenie do odbudowanego państwa polskiego Grodzieńszczyzny i Mińszczyzny dokonać przesiedlenia tam ludności polskiej z zaboru pruskiego. Miało to zapewnić trwałe podstawy przyjaznych stosunków polsko-niemieckich.

Jednak i ta oferta nie zrobiła na Niemcach wrażenia. W końcu grudnia 1914 r. Korfanty zmienił plany. W prywatnej korespondencji pisał, że przestał wierzyć, aby Prusy rzeczywiście chciały odbudować państwo polskie. Marian Orzechowski w swojej biografii Korfantego twierdzi, że zmianę spowodowała, obok nikłych postępów w rozmowach z Niemcami, pogarszająca się sytuacja militarna Rzeszy. „Niemcy traciły stopniowo przewagę militarną i z tym argumentem Korfanty musiał się liczyć, wierny zasadzie, że »trzeba trzymać z silniejszym«”.

Sytuacja międzynarodowa uległa dalszym zmianom: wyrazem tego było coraz większe zainteresowanie europejskiej opinii sprawami Polski. Stanowiło to efekt działania aktywistów i obecności polskich oddziałów wojskowych na froncie wschodnim. Pewną rolę odegrał też akt 5 listopada ogłoszony przez cesarzy Austrii i Niemiec. Politycy polscy wykorzystywali zmieniające się okoliczności, rozgrywając sprawę polską między państwami centralnymi a Ententą.

Korfanty i jego polityczni współpracownicy nie rozumieli tego. Traktując społeczeństwo polskie jako przedmiot działań potężnych sił zewnętrznych, starali się tak konstruować swoje postulaty, aby były one realne, to znaczy, żeby uwzględniały interesy tych sił. Początkowo szukano adresata w Berlinie, później pozostał Paryż. Dlatego wkrótce Korfanty i Seyda zbliżyli się do tych kół, które liczyły uprzednio na Petersburg i teraz znalazły się we Francji, tworząc Komitet Narodowy Polski (15 sierpnia 1917 r.).

Mimo oczywistego upadku Niemiec, a wreszcie wybuchu rewolucji politycy polscy zaboru pruskiego nie potrafili wyzbyć się tradycyjnych metod działania i swoistego legalizmu. Nadal starali się o to, aby nie można ich było pomawiać o bunt przeciwko „legalnej” władzy pruskiej.

Korfanty, którego wypadki rewolucyjne zastały w Berlinie, udał się do Warszawy. Tam przez kilka dni prowadził intensywne działania przeciwko rządowi polskiemu, formowanemu przez lewicę niepodległościową. 3 grudnia 1918 r. zebrał się w Poznaniu Sejm Dzielnicowy Ziem Polskich b. Zaboru Pruskiego. Posłowie, w większości członkowie chadecji i endecji, skupili się wokół Korfantego, który wszedł w skład Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej, zajmując stanowisko odpowiedzialnego za politykę i wojsko. Komisariat był faktycznie rządem Wielkopolski, realizującym kurs zbliżony do separatyzmu dzielnicowego. Posłowie nie wysłali do rządu w Warszawie nawet grzecznościowego pisma, a indagowany w tej sprawie Korfanty oświadczył, że „rządu polskiego nie ma”. Widać więc, że w Poznaniu nie uznawano rządu polskiego, ponieważ znajdowali się w nim Ignacy Daszyński i Jędrzej Moraczewski.

Poza tym Korfanty usiłował przeprowadzić szerszy zamiar polityczny, którego uwieńczeniem byłoby nie tylko wyzwolenie ziem zaboru pruskiego (Pomorze, Wielkopolska, Śląsk), ale również utworzenie rządu opartego na siłach jego osobiście popierających.

Planował też w końcu grudnia 1918 r. akcję „błękitnej armii” generała Józefa Hallera na Pomorzu i Wielkopolsce, wsparcie tych działań wystąpieniem powstańczym Wielkopolan, a jednocześnie wkroczenie wojsk polskich na Górny Śląsk. W koncepcji Korfantego najważniejszą rolę odgrywały dywizje generała Hallera. Była to rzeczywiście siła realna, a jednostki regularne, dobrze uzbrojone, niewątpliwie górowały nad ochotniczymi oddziałami powstańczymi. Z drugiej strony jednak neglizowanie znaczenia tych ostatnich było poważnym błędem. Wszak oddziały Hallera znajdowały się ciągle we Francji, natomiast powstańcy na terenach okupowanych przez Prusy. Ten błąd wynikał nie tylko z niedoceniań sił własnych - jak twierdzi Orzechowski - ale bardziej był następstwem różnic politycznych. Otóż główną siłą ewentualnych działań powstańczych musiałaby być konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa, którą wiązano z Piłsudskim. Wydarzenia, w których POW i piłsudczycy odgrywaliby istotną rolę, były dla Korfantego nie do przyjęcia. Chciał on powrotu ziem zaboru pruskiego do Rzeczypospolitej, ale musiało się to łączyć z umocnieniem jego własnej pozycji w życiu politycznym Polski. Ponadto Korfanty był zwolennikiem oglądania się na Berlin i nade wszystko szukania oparcia w Paryżu. Obawa przed tworzeniem faktów dokonanych i skłonność do dyplomatyizowania uniemożliwiały temu działaczowi stawianie na masę.

Zamiar Korfantego nie powiódł się. Armia Hallera nie przybyła w planowanym terminie, a w Poznaniu wybuchło powstanie, do którego Korfanty odnosił się bardzo krytycznie. Miał się nawet wyrazić: „Hołota uliczna utrudnia nam pracę polityczną: zdaje się żołnierzom, że jak za dawnych czasów każdy z nich nosi buławę w tornistrze”.

Kunktatorska faktycznie polityka Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej nie odpowiadała nastrojom społecznym, toteż od pewnego już czasu trwały głównie na terenie Poznańskiego, tajne przygotowania do zbrojnego wystąpienia przeciwko zaborcy. Prowadzili je młodzi oficerowie byłej armii niemieckiej, między innymi niezwykle aktywny porucznik Mieczysław Paluch. Zdołał on w krótkim czasie sformować załóżek Tajnego Sztabu Wojskowego i kilka oddziałów wojska - w Poznaniu liczyły one dwa tysiące ludzi.

27 grudnia 1918 r. wybuchło powstanie wielkopolskie. NRL usiłowała spacyfikować nastroje, wytłumaczyć się przed Berlinem, doprowadzić do zawieszenia działań. Było to jednak niemożliwe. Żywiołowe i nie koordynowane wystąpienia zbrojne doprowadziły w ciągu trzech tygodni do wyzwolenia niemal całej Wielkopolski. Znajdując się pod ciśnieniem wydarzeń, Komisariat NRL mianował dowódcę powstania. Był nim major Stanisław Taczak. Za nominacją tą przemawiał fakt, że nie miał on żadnych powiązań z organizatorami konspiracji. Po pewnym czasie dowódcą formującej się armii wielkopolskiej został generał Józef Dowbór-Muśnicki (po odrzuceniu kandydata Piłsudskiego - pułkownika Juliana Stachewicza).

W lutym 1919 r. został zawarty rozejm w Trewirze. Alianci musieli uznać, że Polacy zdecydowali o przynależności Poznańskiego do Polski. Marszałek Ferdinand Foch zmusił Niemców do wstrzymania działań kontrofensywnych.

Sukces na terenie Wielkopolski okazał się jednak sukcesem częściowym, gdyż zamierzeniem Polaków było wyzwolenie całego zaboru pruskiego. Ograniczenie działań zbrojnych do Poznańskiego oznaczało, że Śląsk i Mazury będą stanowiły odrębne problemy. O losie tych ziem miały rozstrzygnąć plebiscyty. Trzeba było dopiero trzech powstań śląskich, aby uzyskać chociaż część ziem bezspornie polskich. Brak podobnych działań na Warmii i Mazurach zdecydował - jak się wydaje - o pozostawieniu tych terenów w granicach Rzeszy. Jedynie na Pomorzu, dzięki korzystnej dla Polski decyzji Ententy i szybkiej akcji wojsk polskich, udało się zająć pas terytorium zapewniający dostęp do morza. Ale i tam



pozbawiono Rzeczpospolitą Gdańska. Miała więc Polska wybrzeże morskie, ale bez portu. W rezultacie w skład Drugiej Rzeczypospolitej weszło około 45 tys. km<sup>2</sup> z ziem byłego zaboru pruskiego, czyli mniej niż połowa terenów, do których Polska miała pełne prawo.

Wypada się zastanowić nad powodami takiego obrotu spraw. Dość powszechnie uważa się, że winę ponoszą czynniki rządowe w Warszawie, głównie Piłsudski, który angażując się w politykę wschodnią świadomie zrezygnował z ziem nad Odrą i Bałtykiem. To prawda, że Piłsudski nie kwapił się z pomocą militarną dla ludności w zaborze pruskim i że oceniał postawę tej ludności przez pryzmat polityki działaczy NRL, wyraźnie mu wrogich i ugodowych wobec Berlina. Była to ocena dość powierzchowna, chociaż z drugiej strony trudno wskazać jakąś wpływową grupę polityczną w tym zaborze, która chciałaby współpracy z „czerwonym” Piłsudskim.

Nie na tym jednak polega istota rzeczy. Warszawa musiałaby inaczej reagować na działalność polityków z Poznania, gdyby porzucili oni postawę biernego wyczekiwania na decyzje Ententy w sprawie losu ziem zaboru pruskiego.

Zestawmy fakty. Sytuacja, do jakiej doszło w latach 1917-1919, wymagała śmiałego, szybkiego i zdecydowanego działania. Jediną metodą mogła być zatem polityka faktów dokonanych. Trudno sobie wyobrazić, aby ludność polska mogła wygrać konfrontację z Niemcami, prowadząc legalną walkę polityczną, której reguły były faktycznie ustalone przez Berlin. W plebiscytach za stroną niemiecką przemawiały takie czynniki, jak siła przyzwyczajenia, niezdecydowanie aliantów, wyraźne poparcie Anglii, „być lub nie być” ludzi związanych z pruskim aparatem władzy, liczne formacje paramilitarne itp. Stronie polskiej pozostał tylko śmiały czyn zbrojny. Okresem wymarzone dla działań powstańczych były ostatnie miesiące 1918 r. i początek 1919. W warunkach klęski wojennej Niemiec, rozprzężenia w armii i wybuchu rewolucji niemieckiej każda polska akcja miała ogromne szanse powodzenia. Powstańcy wielkopolscy osiągnęli wszystko właśnie w tym czasie.

Ale zakrojona na szeroką skalę akcja zbrojna była niemożliwa, gdyż nikt o niej nie myślał. Nie poczyniono przygotowań do walki zbrojnej, obejmującej cały zabór, mimo że byliby chętni do takiej roboty. Polska Organizacja Wojskowa, która tak sprawnie przeprowadziła akcję rozbrowienia Niemców w 1918 r. na terenie Kongresówki, powstała cztery lata wcześniej. Pod koniec wojny liczyła wiele tysięcy członków i stanowiła znaczącą siłę. POW byłego zaboru pruskiego powołano do życia dopiero w lutym 1918 r., a POW Górnego Śląska rok później (styczeń 1919 r.). Tworzenie konspiracji zbrojnej odbywało się z inicjatywy „dołów” i inicjatywa ta była hamowana, a losy por. Palucha świadczą, że czyniono to dość skutecznie. Politycy poznańscy obawiali się, że wszelkie „ruchawki” powstańcze zaszkodzą sprawie polskiej w Paryżu, tymczasem ich brak zaszkodził Polsce w Gdańsku, Opolu i Olsztynie.

Niemcy mogli sobie pogratulować, że Polacy nie wykorzystali szansy, jaką stworzyła im historia. O obawach władz pruskich wiele mówiły raporty niemieckich urzędników. W pierwszych dniach stycznia 1919 r. prezydent rejencji opolskiej oceniał, że podlegająca mu jednostka administracyjna zostanie zajęta przez Polaków w ciągu najbliższych godzin, i w alarmistycznym tonie domagał się pomocy wojskowej. Twierdził, że „w chwili obecnej Górny Śląsk stał się bezbronny” i w związku z tym „jako niemiecka prowincja zostanie stracony, podobnie jak prowincja poznańska”. Zdanie to w pełni podzielał jego przełożony, nadprezydent prowincji śląskiej, który przewidywał, że Opolszczyzna odpadnie od Rzeszy w ciągu najbliższych dni.

W styczniu 1919 r. członkowie niemieckiej Olsztyńskiej Rady Robotniczej postanowili wysłać delegację do Poznania w celu zapoznania się z planami NRL w stosunku do ziem zaboru i ewentualnego położenia ludności niemieckiej w przyszłym państwie polskim. Jeden z działaczy polskich (dr Franciszek Dekowski) oceniał: „[...] rokować trzeba ostrożnie z

wysłannikami ORR, a możemy częściowo liczyć na podporządkowanie się ludności niemieckiej, gdy sami będziemy dość silni, a władze berlińskie nie wykażą większego zainteresowania Prusami Wschodnimi. Już teraz myśli się o rozluźnieniu politycznych więzów prowincji z państwem pruskim, a związaniu gospodarczym z Polską, i autonomii Prus Wschodnich”.

Dyskusyjną sprawą może być kwestia uzyskania odpowiednich sił, koniecznych do przeprowadzenia operacji wojskowych na terenie zaboru. Wsparcie z Kongresówki było mało realne wobec szczupłości wojsk, którymi dysponowała Warszawa. Jednak ludność polska nie była bez szans. Wojna i służba w armii niemieckiej stworzyła liczne kadry dobrze wyszkolonego żołnierza. Na ziemiach zaboru były spore ilości sprzętu i uzbrojenia (np. w zdobytych magazynach na lotnisku Ławica w Poznaniu znajdowały się części, z których Polacy zmontowali ponad 300 samolotów). Do czerwca 1919 r. powstańcy wielkopolscy sformowali się w 14 pułków piechoty, 3 pułki kawalerii, 5 pułków artylerii i liczne oddziały służb. Ogółem armia wielkopolska liczyła 72 tys. szeregowych i oficerów. W powstaniach śląskich brało udział ponad 60 tys. ludzi, w tym POW Górnego Śląska zdołała skupić w swych szeregach 23 tys. członków. Nie będzie więc gołosłowne stwierdzenie, że gdyby pomyślano o wcześniejszych przygotowaniach na terenie zaboru mogło wystąpić do walki 100 - 120 tys. żołnierzy. Można sobie wyobrazić, co osiągnęłoby wojsko kierowane przez dowództwo, dysponujące rozpoznaniem sił wroga i planujące operacje skali całego zaboru, skoro Wielkopolskę wyzwoliło 17 tys. powstańców, działających w istocie bezplanowo, żywiołowo.

„Polityk musi mieć inne kryteria oceny wojny niż harcerz, a nawet wojskowy” - tak napisał Krzysztof Dembski, starając się tłumaczyć politykę NRL. Wydaje się jednak, że polityk, nie uwzględniający nastrojów mas - owych „harcerczy” - jest słabym politykiem. Co więcej, sytuacja przy takim nastawieniu staje się groźna, gdyż wówczas politykę mogą zacząć robić „harcercze” i „wojskowi”.

Tymczasem politycy nie rozumieli, ile dałoby zdecydowane działanie. Charakterystyczna była postawa Ententy w obliczu wybuchu powstania wielkopolskiego. 2 lutego 1919 r. marszałek Foch zakomunikował niemieckim władzom wojskowym, że mają zaprzestać działań przeciwko Polakom. Wskazano Niemcom linię, na której powinni się zatrzymać. Obejmowała ona Poznańskie i Opolszczyznę. Niemcom udało się jednak uniknąć opuszczenia Śląska. Niemiecy wojskowi udowodnili, że na Śląsku n i e b y ł o polskich wojsk, a więc nie było powodów, aby się stamtąd cofać.

Jedynym politykiem, który mógł zorganizować akcję powstańczą na terenie zaboru, był niewątpliwie Korfanty. Sytuacja wymagała, aby stanął on ponad podziałami partyjnymi i podjął współpracę z ośrodkiem warszawskim. Cóż, kiedy w okresie gdy można było to uczynić, Korfanty znajdował się w Berlinie, a później tracił czas na bezpłodne walki partyjne w Warszawie.

Słowa *Roty* znalazły swe odbicie w czynie powstańczym „harcerczy i wojskowych”, a nie w działaniu realistów, niestety.

## **7. „Polskę trzeba wykończyć”**

Koniec 1918 r. nie był najlepszym okresem do konstruowania realnych planów politycznych. Zwłaszcza przez Niemcy, których wojska, pokonane przez sprzymierzonych, nie mogły pogodzić się z klęską. Wynikało to w pewnym stopniu z różnej sytuacji militarnej na wschodnim i zachodnim froncie. Na zachodzie nie było złudzeń. Wojska dowodzone przez marszałka Focha dysponowały tak wielką przewagą, że mogły w każdej chwili

rozgromić Niemców całkowicie. Ale na wschodzie? Niemcy mogli sądzić, że tam jest inaczej. Rewolucja bolszewicka praktycznie zlikwidowała front antyniemiecki, wojska niemieckie stały się panem na ogromnych obszarach, rozciągniętych między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Odrodzenie się państwa polskiego, powstanie Czechosłowacji, niepodległościowe aspiracje Estończyków, Litwinów, Łotyszów i Ukraińców wskazywały, że Niemcom, pozbawionym silnego zaplecza, nie uda się jednak utrzymać zdobyczy. W Berlinie zaczęto się martwić o tereny znacznie bliższe. Zdawano sobie sprawę, że Polska nie będzie respektowała rozbiorczej granicy z 1914 r. Zamiar polityczny streszczał się więc w jednej myśli: jak utrzymać granicę wschodnią i odzyskać to, co już stracono (Wielkopolskę).

Znaczny odłam społeczeństwa Niemiec, głównie Prusacy, nie sądził, aby zmiany na wschodzie były nieodwracalną koniecznością, tym bardziej że władze podjęły konkretne działania, mające na celu utrzymanie ziem zaboru pruskiego. Jednym z takich posunięć było przeniesienie Naczelnego Dowództwa (Oberste Heeresleitung - OHL) z zachodu na wschód, do Kołobrzegu. OHL dysponowało dwiema armiami: Armią „Południe” - dowódca generał piechoty Kurt von Borne, i Armią „Północ” - dowódca generał piechoty Ferdinand von Quest (szefem sztabu był generał major Hans von Seeckt), i obie one miały między innymi przygotować się do działań ofensywnych przeciwko powstańcom wielkopolskim. Obok tego pruskie Ministerstwo Wojny miało do dyspozycji tzw. Grenzschutz Ost-Zegrost. Ogólnie w lutym 1919 r. oceniano siły niemieckie na 800 - 900 tys. żołnierzy (w ramach tych wojsk znajdowały się już pierwsze jednostki formowane z zaciągu ochotniczego). Pod koniec kwietnia generał Wilhelm Groener informował Radę Ministrów, że na wschodzie Rzeszy było 209 tys. żołnierzy, z tego nad samą granicą 160 tys., reszta zaś w rezerwie. Paul von Beneckendorff Hindenburg dążył do tego, aby stan armii na wschodzie Niemiec osiągnął 400 tys. ludzi. Koncentrację 20 dywizji przeciwko Polsce Berlin uzasadniał „zagrożeniem polskim i bolszewickim”.

Stany ilościowe nie decydowały jednak o poziomie gotowości bojowej. Rozpad cesarskiej Rzeszy nie mógł nie odbić się na morale wojska. Można było dostrzec, jak z dnia na dzień rozsypywały się dywizje tak niedawno jeszcze zdyscyplinowanej armii cesarza Wilhelma. Dlatego OHL postanowiło oprzeć się na oddziałach złożonych z ochotników. Sądzono, że zgłoszą się nie tylko oficerowie i podoficerowie, ale również żołnierze, dla których wojaczka stała się nowym zawodem. 6 stycznia 1919 r. rząd Rzeszy ogłosił odezwę wzywającą do tworzenia formacji ochotniczych, a trzy miesiące później ukazał się dekret o powołaniu tymczasowej Reichswehry, złożonej z ochotników. W ten sposób powstały osławione Freikorpsy, liczące wkrótce około 200 tys. ludzi. Część z tych oddziałów, znajdująca się nad granicą polską, tworzyła wspomniany Grenzschutz. Do kwietnia zdołano sformować 22 jednostki tego rodzaju, każda licząca od 100 do 3000 ludzi.

Niemcy nie tylko rozbudowywali stany ilościowe wojsk na granicy z Polską. OHL dokonało dość istotnych przesunięć w dyslokacji swych wojsk na wschodzie. Prawie 100 tys. żołnierzy Armii „Południe”, wzmocnianych posiłkami napływającymi z głębi Rzeszy, miało utrzymać niemiecki stan posiadania na Śląsku. Wojska Armii „Północ” zostały skupione głównie na linii Piła - Bydgoszcz - Toruń, a ich i tak znaczną liczbę (72 tys. żołnierzy) prawie podwojono dzięki przerzuceniu jednej dywizji i dwu brygad piechoty z Łotwy i Litwy. Nie można było przy tym sugerować się nazwami jednostek, gdyż na przykład były dywizje wyposażone we własny sprzęt pancerny i samoloty, a ich stany liczebne (32 tys.) w niczym nie przypominały normalnych stanów dywizyjnych. Dzięki temu Niemcy miały na północy ugrupowanie dysponujące ogromną, bo cztero- lub pięciokrotną przewagą nad jednostkami polskimi, ugrupowanie o zdecydowanie ofensywnym charakterze.

Rzecznikiem agresywnych planów był pruski minister wojny pułkownik Walther Reinhardt, faktycznie kierujący niemieckimi przygotowaniem do wystąpienia zbrojnego przeciwko Polsce. Minister miał wielu gorących zwolenników wśród wojskowych z

generalskimi szlifami. Jego przeciwnikiem był generał Groener, który uważał ludzi Reinhardta za „niezbyt trzeźwo myślących”. W łonie niemieckiej generalicji toczył się spór, czy atakować Polaków, czy też zdać się całkowicie na łaskę zwycięzców.

Oceniając rozmiary wysiłku włożonego w rekonstrukcję armii w początkach 1919 r., można by sądzić, że Reinhardt miał rację. Rzeczywistość odbiegała jednak dość znacznie od wyobrażeń pruskiego ministra. Słabą stroną wielu niemieckich jednostek było niskie morale, co niejednokrotnie podkreślano w meldunkach polskiego wywiadu. Z frontu wielkopolskiego donoszono: „...wśród wojsk niemieckich jest tylko 20% dobrego żołnierza, reszta zdemoralizowana”. W meldunku dowódcy 8 dywizji piechoty (front mazowiecki) można było przeczytać: „[...] wszyscy pragną jak najszybszego powrotu do domu, a wybuch wojny uważają jako powód do opuszczenia szeregów, gdyż żołnierze niemieccy rodem z głębi Niemiec nie widzą w wojnie z Polakami celu”. Podobnie wyglądała sytuacja na Suwalszczyźnie, co potwierdza raport z frontu litewsko-białoruskiego: „Demoralizacja zupełna - broń, ekwipunek, konie itp. sprzedają [żołnierze niemieccy - R. Sz.] jak i gdzie się da”. W polskich ocenach przeważały opinie o słabej dyscyplinie, niskiej wartości bojowej, niedostatecznym wyszkoleniu. Najgorsze były Freikorpsy, które nadawały się jedynie do terroryzowania bezbronnej ludności cywilnej. Najlepiej wypadły oddziały Reichswehry (głównie kawaleria i artyleria). Generalnie jako siła ofensywna armia niemiecka nie była jeszcze gotowa. Przerzucenie armii generała Józefa Hallera z Francji do Polski także musiało trzeźwiąco wpłynąć na Niemców. Do sił polskich musieli oni doliczyć 6 dywizji piechoty, pułk pancerny (150 czołgów), 543 działa polowe i około 100 samolotów. Regularne i dobrze wyposażone dywizje Hallera byłyby dla niemieckiej zbieraniny na pewno groźnym przeciwnikiem.

Spór o realizację planów ofensywnych na wschodzie rozgorzał z nową siłą w maju 1919 r., kiedy to ujawniono warunki pokoju. Zwolennicy agresji na Polskę - przede wszystkim Prusacy - zamierzali atakować Polaków, a wycofywać się na zachodzie i południu Niemiec. Wielką aktywność w tej mierze przejawiał Reinhardt, który doprowadził nawet do narady wyższych dowódców w Weimarze (19 VI 1919). Jego zamiary pokrzyżował Groener. Wykazał on nikłe szanse powodzenia takiej ofensywy, skoro Niemcy musiały się liczyć z działaniami Ententy. Byłoby to ciosem w jedność Niemiec - mówił Groener. Generał przekonał wojskowych; wyrazili oni nawet wotum zaufania dla rządu, który zgadzał się na przyjęcie warunków pokoju. Trwające później dywagacje o możliwościach ofensywy przeciwko Polsce były już tylko akademicką dyskusją. Generałowie pruscy, na szczęście dla siebie, nie zdobyli się na bunt w obliczu „hańbiących paragrafów” traktatu wersalskiego.

W dniach 22-23 czerwca 1919 r. rząd niemiecki pogodził się z losem. Rzesza utraciła wszystkie kolonie (ok. 3 mln km<sup>2</sup> z 12 mln ludności) i ponad 70 tys. km<sup>2</sup> państwowego terytorium (Alzację i Lotaryngię zwrócono Francji, Eupen-Malmedy - Belgii, Okręg Hulczyński - Czechom, Wielkopolskę i Pomorze Nadwiślańskie - Polsce). O przynależności Górnego Śląska, Warmii i Mazur oraz północnego Szlezewiku miał rozstrzygnąć plebiscyt. Gdańsk uzyskał status Wolnego Miasta, okręg Kłajpedy znalazł się pod administracją Ententy. Utworzono odrębne terytorium Saary pod protektoratem Ligi Narodów. Ustanowiono kilka stref okupacyjnych i zdemilitaryzowano obszar Nadrenii. Niemcy miały zapłacić olbrzymie odszkodowanie, ustalone później na 132 mld złotych marek.

Równie dotkliwe były ograniczenia sił zbrojnych Rzeszy. Traktat wersalski zabraniał Niemcom posiadania ciężkiej artylerii, czołgów, lotnictwa wojskowego i okrętów podwodnych. Zniesiono obowiązkową służbę wojskową, ograniczając liczebność armii do stutysięcznej Reichswehry i piętnastotysięcznej Reichsmarine. Zlikwidowano Sztab Generalny i ograniczono etat Ministerstwa Wojny do trzystu oficerów. Niemcy miały prawo utrzymać 7 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerii. Zapasy broni zostały ograniczone do 102 tys. karabinów z amunicją 400 sztuk na karabin, 1966 karabinów maszynowych, 252

moździerzy, 204 dział (77 mm) i 84 haubic (105 mm) z zapasem 800-1000 pocisków na działo. Marynarka wojenna została zmniejszona do 6 pancerników, 6 lekkich krążowników, 12 niszczycieli i 12 torpedowców. Czas służby w wojsku określono na 12 lat, zakazano szkolenia rezerwistów i tworzenia organizacji paramilitarnych.

W ten sposób niemieckie siły zbrojne spadły do rangi małej armii, znacznie słabszej od Wojska Polskiego. Wraz z tym musiały ulec zmianie niemieckie plany agresji i wzmożła się zarazem nienawiść Niemców do wschodniego sąsiada. Polska - rozumowano w Berlinie - powstała dzięki zniemawidzonemu „dyktatowi wersalskiemu”, który pozbawił Rzeszę Górnego Śląska, Wielkopolski i odciął Prusy Wschodnie. Ten „francuski wasał” wydawał się Niemcom głównym filarem nienawistnego porządku wersalskiego.

W Berlinie zaczęły się krystalizować dwa odmienne poglądy na kształt niemieckiej polityki wobec Polski. Jedni uważali, że Polska jest państwem „sezonowym”, którego upadek będzie kwestią najbliższego czasu, że będzie możliwa całkowita jej likwidacja jako państwa i powrót do *status quo ante*. Inna grupa sądziła, że w interesie Niemiec leży utrzymanie buforowego państewka polskiego, chroniącego Rzeszę przed bezpośrednim zetknięciem z Rosją. Granice takiego państewka miały oczywiście ulec korekturom na korzyść Rzeszy.

Propagatorami kierunku zmierzającego do likwidacji Polski byli zwolennicy tradycyjnej polityki pruskiej, polityki sojuszu z Rosją, wymierzonego przeciwko Polakom. Czołowe miejsce wśród polityków tej grupy zajmował dowódca Reichswehry, generał von Seeckt. Popierali go aktywnie cywile z Auswärtiges Amt, m.in. baron Adolf von Maltzen i minister spraw zagranicznych Ulrich Brockdorff-Rantzau. Początkowo politycy niemieccy liczyli na „białą” Rosję. Minister wojny Rzeszy Gustaw Noske stwierdzał, że wojskowi niemieccy, „zafascynowani myślą, by ramię w ramię z armią rosyjską obalić bolszewizm i w ten sposób umożliwić niemiecko-rosyjskie zbratanie”, chcieli „ocalić” Niemcy. Generał Rudiger von der Goltz napisał w swojej książce: „Gdybyśmy wbrew Entencie, ale wspólnie z Denikinem i Kołczakiem zadali bolszewikom ostateczny cios, wtedy niebezpieczeństwo bolszewizmu dla Niemiec zostałoby zażegnane”.

W 1920 r. niemieccy militaryści już nie stawiali na „białych”. Wydawało się im, że współpracując z Rosją Sowiecką prędzej zrealizują swoje plany. Seeckt stwierdzał wyraźnie, że wycofanie wojsk niemieckich ze wschodu w 1919 r. miało na celu doprowadzenie do konfliktu polsko-sowieckiego i co najmniej odciążenie frontu w Wielkopolsce. Już wówczas Seeckt sprzeciwiał się angażowaniu Niemiec w konflikt z bolszewikami. Berlin widział w nich sojusznika i, obiektywnie rzecz ujmując, trzeba przyznać, że zwycięstwo „czerwonych” dawało Rzeszy upragniony pokój na wschodzie (traktat brzeski). Dlatego też reprezentantów rządu „czerwonej” Rosji nie dopuszczono do stołu obrad w Wersalu. W następstwie Rosja Sowiecka uznała się za wroga porządku wersalskiego, a to jeszcze bardziej zbliżyło ją do Niemiec.

Wojna polsko-sowiecka i przesuwanie się frontu z Białorusi i Ukrainy nad Wisłę powodowały znamienne reakcje w Niemczech. Seeckt już wcześniej opracował specjalny memoriał, który 26 lutego 1920 r. przesłał prezydentowi Ebertowi i ministrowi Noskemu. Generał pisał, że „sukcesy militarne armii sowieckiej [...J nie stanowią niebezpieczeństwa wojny [dla Niemiec - R. Sz.]”. Twierdził, że Rosja sowiecka dąży do celów rewolucyjnych i narodowych. Pierwsze usiłuje osiągnąć przez „propagandę pokojową”, drugie za pomocą oręża. Celem narodowym Rosji - twierdził Seeckt - było zawsze zniszczenie Polski. Szanse Polski oceniał dowódca Reichswehry następująco: „[...] na skuteczną pomoc Ententy Polska liczyć nie może [...], szczególnie jeśli [...] Niemcy odmówią przepuszczenia jakiegokolwiek pomocy dla Polaków. [...] To, że Niemcy odmówią Polsce wszelkiej pomocy przeciwko Rosji, nie powinno ulegać żadnej wątpliwości. [...] Upadek Polski, którego na razie nie możemy spowodować, musimy w każdym razie powitać z wdzięcznością”. „Skrajna prawica - czytamy w raporcie poselstwa polskiego w Berlinie z 26 sierpnia 1920 r. - obracająca się w

sferze dawnych ideałów militarystycznych, do bolszewików odnosi się z sympatią z dwóch względów [...]: że bolszewicy nie tacy straszni (...), że w razie ostatecznego zwycięstwa nie bolszewizm będzie tryumfem [...], ale nacjonalizm”.

Nadzieje niemieckie były spore. W Berlinie wyobrażano sobie, że sytuacja, do której doszło w 1920 r., gwarantuje Niemcom aneksję polskich ziem zachodnich pod hasłami „uchronienia ich przed zalewem bolszewickim”, i to przy cichym poparciu Rosjan. Dlatego rząd Rzeszy ogłosił neutralność w konflikcie polsko-sowieckim, odcinając praktycznie polski front od zaopatrzenia z Francji, i zabiegał o nawiązanie bardziej konkretnych rozmów z kierownictwem sowieckim. Jednocześnie Seeckt przygotowywał się do operacji, która miała zapewnić Niemcom zagarnięcie Pomorza i Wielkopolski. Seeckt sądził, że zdoła zgromadzić 350 tys. żołnierzy.

Bieg wydarzeń nad Wisłą w bitwie sierpniowej i późniejsza pomyślna operacja nadniemeńska zaskoczyły Berlin i przekreśliły plan Seeckta. Ale rozmowy pokojowe i podpisanie traktatu w Rydze (18 III 1921) jedynie osłabiły nadzieje niemieckich rewanżystów. Bardzo mało wskazywało przecież, aby między Polską a Rosją Sowiecką miały zapanować stosunki dobrosąsiedzkie. Toteż Seeckt i Groener starali się nawiązać bliższą współpracę wojskową z Rosją Sowiecką. Udało się im to, ponieważ rzecznikiem takiej współpracy był wówczas Lew Trocki. „Na odcinku wojskowym - pisał Stanisław Zabiello (*W kręgu historii* - Reichswehra przywiązywała dużą wagę do utrzymania rzeczowych kontaktów z Armią Czerwoną. Uzyskiwała dzięki temu możliwość tajnego wypróbowania nowych broni na poligonach radzieckich oraz ciągnęła konkretne korzyści z udzielania pomocy przemysłowi zbrojeniowemu ZSRR. Rząd radziecki mógł ze swej strony z powodzeniem zużytkować doświadczenia ekspertów militarnych i zdobycze niemieckiej myśli wojskowo-technicznej przy tworzeniu swej nowoczesnej armii”.

Politykę sowiecką w stosunku do Niemiec charakteryzuje Jerzy Krasuski: „[...] w tym okresie występuje pewna dwutorowość. Po pierwsze Rosja Radziecka nie traciła, z oczu możliwości zwycięstwa socjalizmu w tym kraju, która wydawała się dość realna. Z drugiej strony nie odrzucała jednak współpracy z mieszczańskim państwem niemieckim, z którym łączył ją wspólny antagonizm wobec sprzymierzonych oraz chęć wyzyskania sprzeczności w obozie imperializmu”.

Poza tym politycy sowieccy krytykowali traktat wersalski, co było skwapliwie podchwytywane w Berlinie. Lenin nazwał go „warunkami podyktowanymi bezbronnej ofierze przez rozbójników z nożem w rękę”. W innym miejscu dyktator sowiecki wskazywał, że sojusz z Rosją będzie stanowił dla Niemiec „jedyną drogę ocalenia”. Pokonane w wojnie Niemcy były niewątpliwie państwem najbardziej skłonny do rozmów z bolszewikami.

Konflikt sowiecko-polski sprzyjał Niemcom. Taki też był polityczny sens rozmów z Rosją dla Niemców. „Dla Rosji - dowodził Seeckt - Polska jest jeszcze bardziej nie do zniesienia aniżeli dla nas. Żadna Rosja nie znajdzie wspólnego języka z Polską”. W tym kontekście wniosek niemieckiego generała był jednoznaczny: „Polska musi zniknąć i zniknie na skutek własnej wewnętrznej słabości oraz dzięki Rosji z naszą pomocą”.

Sytuację Europy po I wojnie światowej charakteryzowały liczne kryzysy gospodarcze. Jedne kraje przechodziły poważne procesy recesyjne (Anglia, Niemcy, Włochy, Austria), inne, nadmiernie wyczerpane wojną, nie mogły podźwignąć się ze zniszczeń wojennych (Francja, Polska, Rosja). Szukano zatem dróg wyjścia. W 1922 r. powstały dwa plany mające na celu zapobieżenie dalszym perturbacjom gospodarczym. Anglia (reprezentował ją Lloyd George), wspierana przez Włochy, powodów kryzysu upatrywała w osłabieniu międzynarodowej wymiany handlowej. Osłabienie to wynikało z wyłączenia Rosji z systemu gospodarki światowej i załamania się gospodarki Niemiec. Dlatego Londyn zamierzał zakończyć blokadę gospodarczą ZSRR i złagodzić rygory spłat reparacyjnych wyznaczonych Niemcom. Francuzi (Raymond Poincare) - wspierani przez Belgów - dążyli do

wyegzekwowania reparacji od Niemców i spłaty długów państwowych Rosji przez rząd Lenina.

Na konferencji w Genui państwa zachodnie usiłowały narzucić Niemcom i Rosji rozwiązanie francuskie. Oba państwa, chcąc tego uniknąć, zawarły układ w Rapallo, który przekreślił zamiary Paryża, likwidował bowiem wzajemne pretensje finansowe, nakazywał nawiązanie stosunków dyplomatycznych (zerwanych przedtem) i zalecał stosowanie klauzuli najwyższego uprzywilejowania w stosunkach handlowych. W rezultacie Rosja przełamała blokadę i nie płaciła ceny, którą określono w Genui, a Niemcy mogli kpić z francuskich pretensji do reparacji.

Dla Niemiec układ w Rapallo miał stanowić przede wszystkim instrument gry antypolskiej. Wspomniany wielokrotnie Seeckt stwierdzał: „Jeżeli układ w Rapallo wywoła wrażenie, że mógłby mieć konsekwencje wojskowe, wystarczyłoby we właściwym kierunku wpłynąć na politykę polską”. W tym samym czasie kanclerz Wirth zapewniał ambasadora Niemiec w Moskwie, że „wykończy” Polskę. Jednocześnie Niemcy zdwoiły wysiłki mające na celu odtworzenie sprawnej armii. Wykradano i ukrywano broń z magazynów znajdujących się pod kontrolą Międzysojuszniczej Komisji (przodowali w tym Niemcy zamieszkujący Prusy Wschodnie) oraz rozbudowywano liczne organizacje paramilitarne, nazywane wprawdzie przez generałów Reichswehry „mierzwą”, ale skupiające ludzi pod bronią. Policja niemiecka, skoszarowana i poddana rygorowi wojskowemu, stanowiła jakąś namiastkę wojsk regularnych. Liczebność policji - zwłaszcza nad polską granicą - równała się liczebności Reichswehry. Łożono znaczne sumy na wojsko: rocznie przekraczały one 600, a niekiedy 700 mln marek (wydatki na policję sięgały połowy wydatków na wojsko).

W miarę upływu lat politycy dążący do likwidacji Polski musieli jednak pogodzić się z faktami. „Państwo sezonowe” nie rozpadało się. Polska z trudnościami, ale dźwigała się ze zniszczeń, integrowała terytorium, ludność, gospodarkę.

W Europie coraz większą popularnością cieszył się pacyfizm. Wojna wydawała się Europejczykom anachronizmem, który już nie zakłóci pokoju. W Niemczech zaczęli zyskiwać wpływy zwolennicy „pokoju” sposobu na Polaków, tym bardziej że wypadki 1923 r. skompromitowały skuteczność polityki pogrobowców Bismarcka. Ostatnią szansą Seeckta i jego popleczników był przewrót majowy w 1926 r. Już 13 maja, tuż po wybuchu walk w Warszawie, na terenie Niemiec pojawiły się plakaty, informujące o wybuchu ,

rewolucji wojskowej i socjalnej” w Polsce. Ogłoszono pogotowie bojowe w garnizonach Reichswehry. Seeckt zarządził koncentrację części sił nad polską granicą. Konsul polski w Królewcu słał niepokojące wieści, że w Prusach Wschodnich skoncentrowano siły, które miały zająć polskie Pomorze do linii Iława - Toruń - Piła.

Przewrót majowy nie przyniósł oczekiwanych przez Seeckta rezultatów. W październiku 1926 r. dowódca Reichswehry otrzymał dymisję. Decydujący głos uzyskali teraz zwolennicy porozumienia z Zachodem i pokojowej rewizji polskich granic. Wybitnym przedstawicielem tego kierunku był Gustaw Stresemann, kanclerz i długoletni minister spraw zagranicznych Rzeszy. Usiłował on godzić orientację prozachodnią z polityką Rapallo, która służyła mu do wywierania nacisku na Polskę. Na wzrost znaczenia pokojowego kierunku antypolskiego w Niemczech wpływał również czynnik polskiej siły, który musiał być dostrzeżony przez Berlin. Polska należała do sojuszników Francji i dysponowała wówczas drugą co do wielkości w świecie armią lądową (po rozbudowie wojsk włoskich i sowieckich - czwartą). Na terenie Rzeczypospolitej znajdowała się mniejszość niemiecka, która - według Berlina - mogła być represjonowana przez władze polskie. Jakżeż inaczej wyglądałaby siła Polski - rozumowano w Auswärtiges Amt - gdyby pozbawić ją francuskiego poparcia i zjednać Zachód dla rewizjonistycznych planów Berlina na wschodzie.

Postać Stresemanna, laureata pokojowej nagrody Nobla w 1926 r., „prekursora zjednoczonej Europy”, była dla Polaków mało sympatyczna. Niemiecki polityk był bowiem



pokojowo nastawiony wobec Zachodu, natomiast Rzeczpospolita Polska na takie traktowanie według niego nie zasługiwała. Z perspektywy lat można stwierdzić, że to pokojowe oblicze było jedynie zręcznym kamuflażem, maskującym niemieckie pragnienia odwetowe, ale wówczas politycy europejscy tego nie dostrzegali. Wybaczone Stresemannowi jego pochwałę wojny prowadzonej przy użyciu okrętów podwodnych atakujących bezbronne statki handlowe. Zapomniano, że to on nazwał zdradą wydanie niemieckiego sprzętu wojennego zwycięzcom. Nie dostrzegano, że spory kierownika Auswärtiges Amt z dowódcą Reichswehry dotyczyły w zasadzie taktyki politycznej. Podobny sens miały słowa Stresemanna: „Głównym narzędziem zdecydowanej polityki zagranicznej jest potęga materialna: armia i flota”, i stwierdzenie Seeckta: „Powinniśmy znów stać się siłą. Gdy tylko posiadziemy siłę, wówczas zabierzemy wszystko, co straciliśmy”.

Rewizja granicy polsko-niemieckiej znajdowała się na pierwszym miejscu w katalogu politycznych żądań Stresemanna. Do urzeczywistnienia tego zamiaru potrzebna była armia - silniejsza od polskiej - i francuska neutralność w konflikcie. Niemiecki minister rozumiał lepiej od generałów, że równouprawnienia Rzeszy w zbrojeniach nie uda się osiągnąć bez poparcia francuskiego. Wiele więc skłaniało go do szukania porozumienia z Francuzami.

Niemieckie zapewnienia o pragnieniu pokojowego ułożenia stosunków z Francją trafiły na podatny grunt, gdyż III Republika starała się właśnie obrać kurs na zbliżenie z Rzeszą. Politycy francuscy snuli wizjonerskie plany zjednoczonej i pokojowej „Paneuropy”, a francuska prasa martwiła się, w imię zachowania pokoju, że wschodnie granice Niemiec mogą stanowić zarzewie wojny. Nastroje francuskiej opinii publicznej stawały się coraz bardziej niechętnie Polsce, a generalicja III Republiki nosiła się z zamiarem osłabienia sojuszu wojskowego z Polską.

Ogromnym osiągnięciem Stresemanna były podpisane w październiku 1925 r. paktów lokarneńskie, zawarte między Niemcami a Belgią, Francją, Wielką Brytanią i Włochami, które miały gwarantować nienaruszalność zachodnich granic Rzeszy. Brak takich samych gwarancji dla granic wschodnich sugerował - nie tylko Niemcom - że Polacy nie mogą być pewni bezpieczeństwa swojej granicy z Rzeszą. Stresemann z satysfakcją podkreślał, że Locarno zabezpieczyło Nadrenię przed skutkami „prześladowań francuskich”, rozbiło jedność Ententy i co najważniejsze - „otwierało nowe możliwości na wschodzie”. Jeszcze wyraźniej wypowiedział się na ten temat w prywatnej korespondencji, stwierdzając, że paktów lokarneńskie oznaczały dla Berlina „osłabienie Polski” i dawały szansę rewindykowania Śląska i Pomorza.

Polityka lokarneńska poczęła przynosić Niemcom spore zyski. Zaraz po podpisaniu paktów praktycznie została zawieszona działalność Komisji Międzysojuszniczej, kontrolującej nakazane przez traktat wersalski rozbrojenie Niemiec. I mimo raportów brytyjskiego generała Morgana, który ostrzegał, że Niemcy nigdy się nie rozbroiły, w ostatnich miesiącach 1927 r. komisja została wycofana z Rzeszy. W tym czasie „pokojowy” minister powołał specjalnego doradcę MSZ do spraw powszechnego rozbrojenia. Został nim, jak na ironię, generał von Seeckt! We wrześniu 1926 r. Niemcy zostały przyjęte do Ligi Narodów. W pierwszym przemówieniu wygłoszonym na forum Ligi Stresemann przypomniał, że „zupełne rozbrojenie Niemiec zostało pomyślane [...] jako początek ogólnego rozbrojenia”, ale nic nie wskazywało na to, aby inne państwa chciały się rozbroić, więc Niemcy powinny odzyskać równouprawnienie w zbrojeniach, gdyż zostały jedynym bezbronnym wśród uzbrojonych.

Zmiana rządu w Polsce po maju 1926 r. na rzekomo germanofilski obudziła w Berlinie pewne nadzieje. Ekspert od spraw polskich w stresemannowskiej Deutsche Volkspartei, Werner von Rheinbanen, w artykule ogłoszonym na łamach jednej z gazet oferował Polsce pomoc gospodarczą w zamian za ustępstwa w sprawie granic. Wkrótce próby wysondowania poglądów Piłsudskiego przybrały konkretniejsze formy. W grudniu 1926 r. sekretarz

Auswärtiges Amt, Karl von Schubert, powiedział ministrowi Augustowi Zaleskiemu, że „żadne poważne porozumienie między obu państwami nie będzie mogło dojść do skutku bez uprzedniego załatwienia kwestii korytarza, Gdańska i Górnego Śląska”. Odpowiedź polskiego ministra wykluczała taką płaszczyznę porozumienia z Berlinem.

W stosunkach polsko-niemieckich przewrót majowy nie oznaczał ustępstw na korzyść Niemców. Świadomość takiego stanu rzeczy mogła wpłynąć na powstanie projektu skompensowania Polsce utraty Pomorza innym terenem. Pomysł taki przedstawił Stresemann Aristide'owi Briandowi w Genewie 9 grudnia 1927 r. Niemiec proponował, aby nakłonić Polaków do oddania Pomorza w zamian za port w Kłajpedzie. Projekt niemiecki znalazł uznanie w oczach francuskiego ministra, który zdawał się nie dostrzegać, że cała transakcja miała się odbyć kosztem niepodległej i suwerennej Litwy.

Polityka Stresemanna powoli, ale konsekwentnie kroczyła do zamierzonego celu. Niemcy zyskały dużą swobodę w swych poczynaniach na \_ arenie europejskiej, nie zahamowano też ich remilitaryzacji. Już u schyłku swego życia Stresemann doprowadził do przedterminowego zakończenia okupacji Nadrenii, śmierć jego jednak w 1929 r. przerwała erę polityki niemieckiej niezwykle groźnej dla Polski.

Istotę pokojowej polityki niemieckiego ministra dobrze oddawała anegdota, wedle której Stresemann, zapewniając, że Niemcy nie wysuwają żadnych roszczeń terytorialnych, stwierdził, iż granice z 1914 r. w zupełności go zadowalają.

## **8. Kiedy atak był obroną**

Niemieckie zamiary nie mogły ująć uwagi Polaków, zwłaszcza zaś czynników wojskowych, które musiały myśleć o bezpieczeństwie państwa. Niemiecki sąsiad robił niewątpliwie wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę polskiego Sztabu Generalnego i naczelnego wodza. Głoszone jawnie i półjawnie wojenne plany Niemiec na wschodzie nie mogły pozostać bez polskiej odpowiedzi.

Wspominaliśmy już, że pokonane w wojnie Niemcy miały jeszcze dość sił, aby planować agresję na Polskę w pierwszej połowie 1919 r. Konflikt z Niemcami zaczął się znacznie wcześniej, kiedy Polacy odmówili dostarczenia rekruta do armii Rzeszy (tzw. Polnische Wehrmacht), a władze niemieckie aresztowały Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego, osadzając ich w więzieniu w Magdeburgu. Po jedenastym listopada 1918 r. Polacy rozbroili wojska okupacyjne, ale niemieckie zagrożenie istniało nadal. W Warszawie obawiano się sił niemieckich, które znajdowały się na Białorusi i Ukrainie i musiały się wycofać do Rzeszy. Już wówczas Niemcy usiłowali chwycić Polskę w kleszcze i dlatego pozostawili znaczne oddziały (około 5 dywizji) na Litwie i Łotwie; Litwa miała stanowić jedno z ramion owych kleszczy. W 1919 r. wywiad polski zdobył dokumenty dotyczące stanowiska Berlina w sprawie warunków pokoju. W Warszawie wiadano, że Niemcy zamierzały je odrzucić i podjąć działania wojenne.

Zaniepokojenie władz polskich obrazuje jeden z listów Piłsudskiego do dowódcy frontu litewsko-białoruskiego gen. Stanisława Szeptyckiego (15 V 1919 r.): „W obecnej sytuacji wojennej góruje nad wszelkimi kwestiami sprawa możliwości wojennego zatargu z Niemcami. Dopóki ta sprawa nie jest rozstrzygnięta, nie mam możliwości rozpoczynania jakichś nowych kroków na froncie litewskim”. Naczelne dowództwo liczyło się nawet z koniecznością wycofania się ze wschodu na linię Kanał Augustowski-Grodno-Baranowicze.

22 maja zapadła decyzja utworzenia ciągłego frontu przeciwniemieckiego na linii 1100 km biegnącej od rejonu Wilna do Cieszyna. Wydano rozkazy dla wojsk frontu litewsko-białoruskiego, aby były gotowe do działań obronnych w przypadku ataku niemieckiego z

terenu Litwy. Dwie dywizje i grupa kawalerii miały bronić linii Grodno-Baranowicze, a jednocześnie kilka jednostek (4 bataliony) miało opuścić Wileńszczyznę i udać się na pogranicze Śląska. Bardziej na zachód rozmieszczono front mazowiecki, osłaniający kierunek z Prus Wschodnich. Odcinka liczącego około 300 km broniło ponad 40 tys. polskich żołnierzy (3-4 dywizje). Najdalej na zachód wysunięto front wielkopolski, którego wojska, podporządkowane naczelnemu dowództwu WP, liczyły 4 dywizje (łącznie ponad 70 tys. żołnierzy) i obsadzały linię (ok. 400 km) obejmującą tereny wyzwolone przez powstańców. Ostatni odcinek, 250 km, zajmował front południowo-zachodni, osłaniający między innymi ważny rejon Zagłębia Dąbrowskiego. I tam znajdowały się 4 dywizje - 34 tys. polskich żołnierzy. Ponadto naczelne dowództwo zgromadziło dwudziestotysięczny odwód, w skład którego wchodziła liczna artyleria i pułk czołgów. Na zachód skierowano stosunkowo szybkie i dobrze uzbrojone pociągi pancerne. Warto też wspomnieć o przerzucaniu do Poznania eskadry bombowej, dzięki czemu w zasięgu polskich bombardierów znalazł się Berlin. W rezultacie dowództwo polskie zdołało skupić około 180 tys. żołnierzy. „Reasumując - pisze Piotr Łossowski w książce *Między wojną a pokojem...* - należy stwierdzić, że dzięki ogromnemu wysiłkowi front przeciwniemiecki utworzony został w głównych zarysach już w połowie czerwca 1919 r. I chociaż pozostało jeszcze dużo do zrobienia, podstawowe prace obronne zostały wykonane. Atak niemiecki na Polskę nie trafiłby w próżnię”.

Dowództwo polskie opracowało plany działań obronnych. Zamierzano, zależnie od sytuacji, energicznie kontratakować. W drugiej dekadzie czerwca 1919 r. plany te przybrały konkretną formę rozkazów. Nie doszło do walk tylko dzięki redukcji armii niemieckiej po Wersalu.

Później Niemcom wydawało się, że niepomysłny dla Polski przebieg działań na froncie polsko-radzieckim umożliwi im agresję na Rzeczpospolitą. Również te plany nie powiodły się. Rozstrzygającym był nadal brak przewagi nad Wojskiem Polskim.

Jednym z obszarów niezwykle ważnych dla Polski i zapewniających jej rozwój gospodarczy było Pomorze. Tymczasem polityczna obecność Prus Wschodnich stanowiła źródło licznych niemieckich pretensji, sugerowała nietrwałość polskiego „korytarza”, wykrojonego na „niemieckiej ziemi”, a w razie konfliktu zbrojnego, obrona naszego dostępu do morza była niemożliwa. Z Prus Wschodnich można też było łatwo zagrozić samej stolicy Rzeczypospolitej, Warszawie. Niebezpieczeństwo potęgował fakt, że Ententa zgodziła się na istnienie, a nawet dalszą rozbudowę pruskiego rejonu umocnień.

W pierwszej wojnie światowej ufortyfikowany rejon pruski spełnił doniosłą rolę, paraliżując rosyjską ofensywę w głąb Rzeszy. Granica ustanowiona po plebiscycie nie pozostawiała złudzeń co do roli Prus Wschodnich w wypadku konfliktu z Niemcami.

Nie ulegało wątpliwości, jak wielkie znaczenie miały dla Polski tereny między Wisłą, Bałtykiem a Niemnem. O przyznanie ich zabiegał na konferencji pokojowej przywódca Narodowej Demokracji, Dmowski. Również piłsudczycy doceniali wagę Prus Wschodnich. Ich organ prasowy „Rząd i Wojsko” w lutym 1919 r. w następujący sposób ustawiał hierarchię problemów do rozwiązania: Litwa, Białoruś, Prusy Wschodnie, Ukraina, sprawa rolna i kwestia żydowska. Wojciech Wrzesiński twierdzi, że Piłsudski gotów był wyrzec się Prus Wschodnich za cenę niemieckiego poparcia dla polskich działań na wschodzie. Widział on jednak przyszłość tych Prus w ramach federacji z Polską i państwami bałtyckimi. Program ten wychodził naprzeciw koncepcjom niemieckiego Oststaatu, który w jednym z wariantów (autor Georg Cleinow) miał wejść w związek federacyjny z Polską. Plany połączenia Prus Wschodnich z Polską upadły. Ludność polska nie zdołała samotnie wywalczyć prawa do oderwania się od Niemiec, a wpływy separatystów pruskich były zbyt słabe, aby zdominować koła zwolenników jedności Rzeszy.

Na początku dwudziestolecia międzywojennego problemem Prus zajęła się Ścisła Rada Wojenna, kierowana przez marszałka Piłsudskiego. Studia operacyjne przeprowadzone do 1923 r. pozwoliły na przygotowanie kilku wariantów działań zapobiegawczych. Opierały się one na wspólnym założeniu, że polskie natarcie będzie przebiegało w warunkach znacznej swobody operacyjnej, co przy porównaniu sił - relacje w wojskach regularnych 4 do 1 na korzyść Polski - było w pełni możliwe. Celem wszystkich tych planów było dążenie do zabezpieczenia tyłów frontu polskiego, który w wypadku konfliktu z Niemcami miał uzyskać pewne oparcie o Bałtyk i Sudety.

Pierwszy wariant działań zakładał uderzenie na Prusy Wschodnie, Pomorze i Śląsk. Celem natarcia z Poznańskiego i Zagłębia miało być nawiązanie kontaktu bojowego z wojskami Czechosłowacji. Linię wyznaczającą teren operacji stanowić miały rzeki Odra i Nysa Łużycka, to jest miejsce, gdzie przebiega obecna granica między Polską a Niemcami.

W drugim wariantcie planowano działania o trochę skromniejszym zasięgu. Przewidywano opanowanie w pierwszej fazie Prus Wschodnich, Górnego Śląska, rejonu Wrocławia, a później ofensywę w kierunku dolnej Odry w celu całkowitej likwidacji występu śląskiego.

Trzeci wariant planu uwzględniał sytuację trudniejszą militarnie, gdy Polsce zagroziłoby nie tylko wojska niemieckie. Lecz i w tym wypadku przewidywano zajęcie Prus Wschodnich i utracenie w plebiscycie części Górnego Śląska przy aktywnej obronie pozostałej granicy z Rzeszą.

Obok planów działań samodzielnych polskie dowództwo opracowało plany działań wstępnych w wypadku wojny Niemiec z koalicją polsko-francuską. Były to: „Plan Bałtyk”, przewidujący zajęcie terenów na północny wschód od Odry, „Plan Prusy Wschodnie”, zakładający opanowanie ujścia Wisły, z Gdańskiem, i terenów przyległych do linii Elbląg-Ostróda, wreszcie „Plan Śląsk”, zmierzający do odepchnięcia wojsk niemieckich od obszaru górnośląskiego w celu osłony rejonu przemysłowego. Te trzy plany zostały przekonsultowane podczas wizyty marszałka Focha w Polsce. Pod naciskiem Piłsudskiego uznał on prawo Polski do „rozszerzenia okna na świat” na Pomorzu przed podjęciem generalnej ofensywy na Berlin po najkrótszych liniach.

A zatem strona polska dysponowała planami dwojakiego rodzaju. Jedne - to operacje samodzielne o charakterze prewencyjnym przy minimalnym, a nawet żadnym, udziale sił francuskich: operacje mające na celu zajęcie terenów w dorzeczu Odry, które mogły trwale chronić Polskę od strony Niemiec. Ich powodzenie zapewniało likwidację niemieckiego zagrożenia dla Rzeczypospolitej ze Śląska, Pomorza Zachodniego i Prus Wschodnich.

Działania drugiego rodzaju były przygotowane na wypadek wojny Polski i Francji z Niemcami. Celem ich było zadanie całkowitej klęski armii niemieckiej, o czym nie mogła myśleć samotna Polska. W polskiej literaturze przedmiotu niesłusznie - jak się wydaje - zamiary polskich władz utożsamiane są z jednym rodzajem działań, działań w ramach koalicji z Francją. Sądzymy, że twierdzenia takie oparte są na nieporozumieniu. W 1922 r. Polska miała wszelkie podstawy, aby myśleć o zwycięstwie nawet w samotnym konflikcie z Rzeszą. Oczywiście przy założeniu, że klęski na froncie spowodowałyby kryzys polityczny w Rzeszy i w następstwie rokowania pokojowe. W warunkach Republiki Weimarskiej było to bardzo prawdopodobne.

Wszystkie przedstawione wyżej plany przesądzały o losie Prus. W wypadku ataku ze strony Polski sytuacja Niemiec była beznadziejna. W Prusach Wschodnich - w Królewcu - stacjonowała wówczas jedna dywizja Reichswehry oraz stosunkowo liczne jednostki policji. Można więc przyjąć, że dawało to w sumie około dwóch dywizji. Pozostałe dywizje znajdowały się w rejonach dość odległych od Prus Wschodnich: w Szczecinie stacjonowała druga dywizja, w Berlinie trzecia, w Dreźnie czwarta i dywizja kawalerii we Wrocławiu. Oznaczało to, że całość sił niemieckich, jakie mogły zostać skierowane przeciwko polskim

operacjom w Prusach Wschodnich, musiała się ograniczyć do siedmiu-ośmiu dywizji. W Niemczech istniały wprawdzie znaczne rezerwy ludnościowe, ale Rzesza tylko nominalnie mogła wystawić 100 dywizji. Jeszcze w 1927 r. polskie dane mówiły, że Niemcy będą w stanie uzbroić nie więcej niż 30 dywizji. Było to nadal bardzo mało w porównaniu z armią polską. Seeckt uważał, że w ciągu dwóch tygodni zdoła podwoić liczbę dywizji Reichswehry - do 14 dywizji piechoty. W późniejszym okresie Niemcy sądziły, że zdołają wystawić dalsze 21 dywizji, jedynie kawaleria miała pozostać na stałym poziomie 3 dywizji. Te małe możliwości mobilizacyjne zapewniały Polakom pełne powodzenie operacji w Prusach.

Strona polska przy najskromniejszym wariantcie operacji zaczepnych zamierzała od pierwszego dnia wojny skierować przeciwko wojskom niemieckim w Prusach Wschodnich 15 dywizji piechoty i 4 brygady kawalerii. Dawalo to wojskom polskim miążdzącą przewagę, wzmocnioną przez lotnictwo, ciężką artylerię i broń pancerną. W tej sytuacji nie mogło być mowy o jakichkolwiek szansach obronnych wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich. .

Niemcy obawiali się polskiego ataku. W 1923 r., gdy sytuacja wewnętrzna Rzeszy była wysoce niekorzystna (rosło napięcie polityczne, dochodziło do zaburzeń i wystąpiła galopująca inflacja - w 1914 r. jeden dolar równał się 4 markom niemieckim, w sierpniu 1923 r. osiągnął wartość 4 miliardów 620 mln marek, a w grudniu doszedł do 4 trylionów 200 mld marek), politycy sowieccy, którzy chcieli osłabić wpływy niemieckiej prawicy, spodziewając się wybuchu rewolucji w Niemczech, zasugerowali Polsce, aby zajęła Prusy Wschodnie. Poseł RP w Moskwie, Roman Knoll, donosił o swojej rozmowie z Karolem Radkiem, członkiem najwyższych władz partyjnych Rosji Sowieckiej (20 VIII 1923), który oświadczył wprost: „Na wypadek rewolucji w Niemczech Rosja godziłaby się na oderwanie całokształtu Prus Wschodnich od Niemiec i na takie czy inne połączenie ich z Polską”. Podobną propozycję przedstawił rządowi polskiemu specjalny wysłannik Moskwy Wiktor Kopp, który przybył do Warszawy na przełomie października i listopada 1923 r. Tymczasem sytuacja Niemiec była coraz gorsza i zaczęły się mnożyć spekulacje na temat rozpadu Rzeszy na kilka państw. Polski konsul w Kolonii donosił w raporcie; „Ze względu na nasz ogólny stosunek do Niemiec, jako też na zadania naszej polityki wobec Górnego Śląska i Prus Wschodnich w razie rozpadnięcia się Niemiec, do czego stworzenie samodzielnej republiki nadreńskiej byłoby pierwszym krokiem, problem ten nabiera zasadniczego znaczenia”.

Jednak ówczesny minister spraw zagranicznych, Marian Seyda, zalecał ostrożność w rozmowach z Rosjanami, nie rozumiejąc, jaki też interes miałyby Moskwa w tym, aby Polacy usadowili się w Prusach Wschodnich. Dodajmy przy tym, że właściwy twórca opisanych wyżej planów działań wojennych, Józef Piłsudski, nie miał już żadnego wpływu na poczynania rządu, gdyż w czerwcu 1923 r. zrezygnował ze stanowiska szefa sztabu i przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej.

Rząd polski podjął tymczasem kampanię gospodarczą, która miała skłonić Prusy Wschodnie do połączenia się z Polską. Główne wskazania tej akcji zostały zawarte w referacie opracowanym przez naczelnika Wydziału Zachodniego MSZ, Gustawa Potworowskiego, i zatytułowanym *Wytyczne polityki Polski względem Niemiec* (6 VIII 1924). Uwagi wstępne, dowodzące potrzeby wspierania ośrodków polonijnych w zachodnich Niemczech i umacniania polskości na obszarach nadgranicznych, były słuszne. Wypada też zgodzić się z autorem, że „kardynalnym warunkiem zabezpieczenia naszych granic, a nawet niepodległości ze strony Niemiec jest uniezależnienie Prus Wschodnich w tej czy innej formie od Prus i Rzeszy i poddanie ich wpływom polskim”. Dalej jednak Potworowski zalecał stosowanie środków mało skutecznych z punktu widzenia interesów Polski. Twierdził on, że podporządkowanie Prus Wschodnich może być osiągnięte dopiero „w dalekiej przyszłości”. Zalecał, aby budzić „partykularyzm mazurski, odkładając na dalszą przyszłość agitację za polsnością”.

Poglądy wyrażone w referacie Potworowskiego znalazły akcept wiceministra MSZ Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego. Ministerstwo, kierowane przez narodowców, stało się inicjatorem akcji zmierzającej do gospodarczego osłabienia i izolowania Prus Wschodnich. Dyrektor Karol Bertoni instruował konsula RP w Królewcu, „aby początkowo robiąc Prusom Wschodnim trudności wszelkiego rodzaju, obiednić je [tak w tekście - R. Sz.] poprzez omijanie portu królewieckiego i niedopuszczanie potrzebnego dla tartaków drewna, aby potem, gdy uznają swą zależność od Polski, móc przeprowadzić akcję uzależnienia i infiltracji polskiej w Prusach Wschodnich”.

Nie trzeba chyba dowodzić, że taka akcja nie mogła przynieść oczekiwanych rezultatów. W stosunku do Prus Wschodnich nie można było zastosować blokady gospodarczej, gdyż Polska miała zbyt słabą marynarkę wojenną i nieprzyjazną Litwę, która graniczyła z Prusami. Poza tym ruina gospodarcza wzmagała jeszcze nastroje wrogie Polsce, nie ułatwiała życia Polakom mieszkającym na Warmii i Mazurach, nie likwidowała sił antypolskich, a niemieckich zwolenników porozumienia musiała odstraszać. Błędne też było założenie, że nacisk gospodarczy będzie można utrzymać przez wiele lat. Siły Niemiec i Polski były nierówne i w miarę upływu czasu stosunek ten zmieniał się na korzyść Rzeszy. W wieloletniej konfrontacji sam na sam z Niemcami mogła Polska tylko przegrać. Zwłaszcza że później obok czynników politycznych i gospodarczych mogły przeważać tak istotne czynniki wojskowe.

Druga połowa 1923 r. stanowiła dobry okres do podjęcia prób odzyskania Warmii i Mazur, gdyż koniunktura międzynarodowa sprzyjała Polsce. Na początku 1923 r. Francja okupowała Zagłębie Ruhry, a polityką zagraniczną III Republiki kierował jeszcze nieprzyjazny Niemcom Raymond Poincaré, toteż wydaje się, że polska akcja w Prusach Wschodnich mogła wówczas liczyć na francuskie poparcie. Paryż, okupujący część terytorium Rzeszy, nie mógłby dezawuować polskiego sojusznika za uczynienie tego samego, Berlin byłby natomiast przekonany, że Polska i Francja działają w ścisłym porozumieniu. Nawet gdyby Polska musiała się później wycofać, to nie byłoby już powrotu do poprzednich niekorzystnych granic. Ludność polska mogłaby bez trudu opowiedzieć się za przyłączeniem do Rzeczypospolitej (szacuje się, że było jej od 350 do 550 tys. osób), uległaby osłabieniu ośrodki antypolskie na terenie Prus Wschodnich, a brak skutecznej pomocy z Rzeszy (w 1923 r. była ona niemożliwa) musiałby wzmocnić wśród Niemców nastroje separatystyczne. Można też było nie obawiać się pogorszenia stosunków z Rzeszą. Były one wystarczająco złe.

Co dawało Polsce przyłączenie Warmii i Mazur? Po pierwsze granica z Niemcami ulegała skróceniu o 607 km (całkowita długość granicy polsko-niemieckiej wynosiła wówczas 1912 km), a wraz z tym zniknęła zmora dwustronnego ataku niemieckiego na polskie Pomorze. Polska zyskiwała też szerokie oparcie o Bałtyk. Nawet zakładając nienaruszalność gdańskiego *status quo*, można było myśleć chociażby o Królewcu. Dodatkowy atut stanowiły szlaki kolejowe i wodne, które można było stosunkowo łatwo połączyć z systemem komunikacyjnym Polski. Interesy gospodarcze rolnictwa i przemysłu Prus Wschodnich gwarantowały szybką integrację z organizmem gospodarczym Rzeczypospolitej. Terytorium państwa wzrastało do 430 tys. km<sup>2</sup>, a liczba ludności o ponad dwa miliony. Mankamentem byłby znaczny wzrost mniejszości niemieckiej - 0 1,7 mln osób. Nadal jednak byłoby w Polsce mniej Niemców niż w Czechosłowacji, państwie o znacznie słabszym potencjale ludnościowym niż Polska. Należy też przypomnieć, że Niemcy uciekali z Prus Wschodnich na zachód. Prusy były prowincją o jednym z najniższych poziomów zaludnienia w Rzeszy. *Ostflucht* przybrałby więc na dynamice, a ludność polska uzyskałaby z czasem przewagę. Pewne znaczenie musiałby mieć fakt odcięcia od Niemiec Wolnego Miasta Gdańska i Litwy. Musiałoby to wpłynąć na polityczną postawę gdańszczan i Litwinów.

Politycy endeccy, jak się wydaje, nie zdawali sobie sprawy, że niemieckie trudności były krótkotrwałe i Polska nie mogła planować długofalowych działań. Należało korzystać z okazji albo nie zaczynać „obiedniania” Prus. Tymczasem Dmowski, który przez krótki czas piastował tekę ministra spraw zagranicznych, ograniczył się do oświadczenia złożonego w rozmowie z posłem włoskim Francesco Tommasinim, że „sprawy Gdańska i Korytarza czekają na rozstrzygnięcie”. Dmowski przypomniał też swoją dawną propozycję oderwania Prus Wschodnich od Rzeszy.

Bardziej zdecydowany okazał się wówczas rząd litewski. W tym samym bowiem 1923 r. wojska litewskie, wspierając przygotowaną akcją powstańczą, zajęły port i okręg Kłajpedy. Kowno skierowało do tej akcji ubranych po cywilnemu słuchaczy szkół oficerskich wojska i policji, 600 oficerów, 3 kompanie piechoty i szwadron kawalerii. W działaniach uczestniczyło 300 ochotników z Kłajpedy i 12 000 z Litwy. Jednocześnie premier Litwy Ernestas Galvanauskas oddalał protesty zagraniczne twierdząc, że jego rząd nie ma nic wspólnego z wypadkami w Kłajpedzie i dlatego nie może powstrzymać działań na obcym terytorium. W rezultacie Rada Ambasadorów mogła jedynie uznać fakt dokonany i odtąd okręg kłajpedzki wszedł w skład terytorium państwowego Litwy. Czy Warszawa, dysponująca nieskończenie większymi siłami od Kowna, nie mogła uczynić czegoś podobnego?

Poczynania polskie, mające na celu zagwarantowanie bezpieczeństwa granicom państwowym od strony Niemiec, okazały się nieskuteczne. Wprawdzie wojsko (zwłaszcza gdy miał na to wpływ Piłsudski) dysponowało planami działań wojennych, ale ówczesni politycy nie umieli po nie sięgnąć w sprzyjających okolicznościach. Obawa przed śmiałym działaniem zaważyła negatywnie na przyszłości Polski. Raz jeszcze potwierdziło się przekonanie piłsudczyków o niskiej jakości polityki konstruowanej w centrach kierowniczych innych partii.

## Rozdział II

# „O MIEJSCE POLSKI W EUROPIE”

### 1. Straty, braki i trudności

Państwo polskie powstało w 1918 roku, ale z punktu widzenia prawa międzynarodowego nie było to aż tak oczywiste. Zanim rząd polski został uznany przez rządy innych państw, nim zdołano wywalczyć miejsce na mapie politycznej i wymóc respekt dla interesów Rzeczypospolitej musiało upłynąć wiele miesięcy, a nawet lat. Proklamowanie państwa nie mogło wystarczyć. Potrzebny był wysiłek całego narodu w nowych warunkach, często bardzo trudnych, aby czynem dowieść pragnienia utrzymania państwa. Aby zrozumieć skalę tego wysiłku należy zdać sobie sprawę, z jakiego budulca wypadło Polakom tworzyć upragnioną państwowość.

Powszechnie przyjętą przed wojną definicją państwa było określenie go jako związku trzech elementów: ludności, terytorium i władzy. Profesor Antoni Peretiatkowicz pisał w podręczniku *Polska współczesna* (1923): „Państwo określić można jako trwały związek ludzi na pewnej przestrzeni ziemi stale osiedlonych, pod władzą najwyższą”. Podobnie stwierdzał Joachim Bartoszewicz w *Podręcznym słowniku politycznym*: „Trzy niezbędne czynniki składają się na wytworzenie tego pojęcia [państwa - R.Sz.]: ludność, terytorium, władza zwierzchnia »imperium«. Gdzie nie ma ludności, tam oczywiście nie ma materiału na wytworzenie państwa. Aby jednak powstało państwo, ludność musi być związana z pewnym określonym terytorium. [...] Wreszcie wykonywanie władzy zwierzchniej nad ludnością i nad terytorium jest trzecim istotnym momentem, bez którego państwo istnieć nie może”. Istnienie państwa polskiego było uzależnione od wyraźnego i uznanego przez innych określenia tych trzech elementów.

Najistotniejsza była sprawa przebiegu granic, gdyż one miały wyznaczyć wielkość terytorialną Polski - nikt nie negował, że naród polski istnieje. Terytorium państwa decydowało zaś o jego zasobach materialnych i gospodarczych, o liczbie ludności, a więc i o pozycji w świecie.

Wytyczenie granic w ówczesnej skomplikowanej sytuacji politycznej i narodowościowej nie było sprawą łatwą. Nie było też łatwo doprowadzić do uznania ich przez mocarstwa sprzymierzone.

Zasadniczym dokumentem, stanowiącym podstawę do wytyczenia polskiej granicy zachodniej, był traktat wersalski podpisany 28 czerwca 1919 r. Przesądzał on o kwestii przynależności państwowej Wielkopolski (już wyzwolonej przez powstańców) i przyznawał Polsce część Pomorza, zgodnie z postulatem Thomasa Woodrowa Wilsona o polskim dostępie do morza. Faktycznie sprawa była dość problematyczna, gdyż jedyny port w tym rejonie, Gdańsk, mimo polskich starań otrzymał status Wolnego Miasta, praktycznie niezależnego od Polski. O pozostałych rejonach (Śląsk, Warmia, Mazury) miały rozstrzygnąć w przyszłości plebiscyty. Minęły jednak miesiące, nim Polacy mogli obsadzić granice już ustalone. Wielkopolska prawnie została włączona do państwa polskiego 10 stycznia 1920 r., a tydzień później wojsko polskie zaczęło obsadzać Pomorze.

Nieco wcześniej (21 XI 1919) Rada Najwyższa Sprzymierzonych przyznała Polsce Galicję Wschodnią (w czasie ofensywy lipcowej oddziały polskie pokonały wojska zachodnioukraińskie i wyparły je za Zbrucz, na którym dawniej przebiegała granica austriacko-rosyjska), dodając przy tym zastrzeżenie, że po 25 latach zostanie przeprowadzony plebiscyt, rozstrzygający o dalszej przynależności państwowej tego rejonu



(po kilku latach zrezygnowano z tego zastrzeżenia). W tym samym czasie (wrzesień 1919 r.) dzięki traktatowi pokojowemu z Austrią doszło do prawnego uznania suwerenności polskiej na terenie byłego zaboru austriackiego.

W 1920 r. nastąpiły dalsze wydarzenia mające istotne znaczenie dla kwestii granic. Toczyła się wojna polsko-sowiecka, której wynik miał przesądzić o przebiegu granicy polskiej na wschodzie, przeprowadzono plebiscyt na Warmii i Mazurach (lipiec 1920 r.), a Rada Ambasadorów dokonała podziału Śląska Cieszyńskiego. W tych dwóch ostatnich sprawach zapadły decyzje dla Polski niekorzystne. W plebiscycie udało się Polakom odzyskać jedynie małe skrawki utraconego w czasie rozbiorów terenu, a na Zaolziu nie uwzględniono zasięgu etnograficznego polskości i w rezultacie państwo polskie utraciło przemysłową część Śląska Cieszyńskiego z bardzo ważnym gospodarczo okręgiem karwińsko-trzynieckim. Była to ogromna strata, gdyż los Górnego Śląska nie został jeszcze wówczas przesądzony, a polska gospodarka potrzebowała pilnie węgla i stali produkowanych w dużych ilościach na Zaolziu.

Za pewien sukces można by uznać konwencję polsko-gdańską z listopada 1920 r., na podstawie której Wolne Miasto zostało włączone do polskiego obszaru celnego. Oznaczało to, że spełzły na niczym usiłowania gdańskich Niemców, dążących do uzyskania przez miasto statusu państwa i uniezależnienia się od Polski.

W marcu 1921 r. zakończono rokowania w Rydze. Traktat ryski nie tylko wytyczył polską granicę wschodnią (uznaną przez Zachód dwa lata później), ale określał warunki pokoju. Strony zapewniały wzajemne poszanowanie suwerennych praw na podzielonym terytorium oraz zobowiązały się zapewnić swobodny rozwój języka i kultury swym mniejszościom narodowym. Zrzekano się też wzajemnych roszczeń w związku z wydatkami i zniszczeniami wojennymi i zobowiązywano do wymiany jeńców wojennych oraz repatriacji osób, które zdecydują się na wybór obywatelstwa polskiego lub sowieckiego - w praktyce po stronie sowieckiej wybierano masowo obywatelstwo polskie, wypadków wybierania obywatelstwa sowieckiego po stronie polskiej nie było. Polska miała też otrzymać zagrabione przez władze rosyjskie dobra kulturalne oraz przedsiębiorstwa, tabor kolejowy i inny majątek przywłaszczony przez Rosjan w czasie działań wojennych. Ponadto rząd sowiecki zobowiązał się do wypłacenia Polsce 30 mln rubli w złocie, a Polska miała rozwiązać rosyjskie formacje antybolszewickie.

Granica ustalona w Rydze przebiegała w zasadzie wzdłuż linii II rozbioru i była, zdaniem ówczesnej opinii polskiej, dowodem umiaru i ustępliwości Rzeczypospolitej.

W dwa dni po Rydze (20 III) odbył się plebiscyt na Górnym Śląsku, ale o losie przemysłowej części Śląska zadecydowało dopiero trzecie Powstanie Śląskie, które wybuchło 3 maja 1921 r. W skład terytorium państwa polskiego Górny Śląsk został faktycznie włączony w połowie 1922 roku.

W lutym 1922 r. rozstrzygnął się los Wileńszczyzny, gdzie „buntownik” Żeligowski utworzył Litwę Środkową, państwo formalnie niezależne od Polski. Sejm wileński uchwalił następnie zjednoczenie Litwy Środkowej z państwem polskim.

Ostatnim problemem granicznym była kwestia Jaworzyny w Tatrach. Rada Ambasadorów wytyczyła tam granicę we wrześniu 1924 roku.

Terytorium państwowe Drugiej Rzeczypospolitej zostało więc uznane przez Europę - i to nie przez całą - w ciągu sześciu lat. Polska międzywojenna (o powierzchni 388 tys. km<sup>2</sup>) zajmowała 52% dawnego państwa „obojga narodów” (przed 1772 r. - 734 tys. km<sup>2</sup>). Prawie 2% dawnych ziem Rzeczypospolitej pozostało przy Niemcach, 0,26% stanowił obszar Wolnego Miasta Gdańska, 7% weszło w skład Litwy, ponad 2% - Łotwy, a w granicach Rosji pozostało 37% Polski przedrozbiorowej. Jedynie półtora procenta terytorium RP stanowiły ziemie uzyskane na zachodzie, a nie należące przed 1772 r. do Polski. Terytorialnie nie zdołano więc odzyskać dawnego stanu posiadania, ale Polska nie była

państwem małym. W Europie zajmowała szóste miejsce (po Rosji, Francji, Hiszpanii, Niemczech i Szwecji) pod względem wielkości terytorium.

Kształt państwa wytyczony nowymi granicami nie był zbyt korzystny. Biorąc pod uwagę położenie geopolityczne, można nawet powiedzieć, że zdecydowanie zły. Granice w nikłym procencie przebiegały wzdłuż przeszkód naturalnych, więc były trudne do obrony. Granica z Niemcami była wszędzie otwarta. Pomorze i Wileńszczyzna, Górny Śląsk i Wielkopolska kusiły sąsiadów możliwością odcięcia ich od Polski. Z Poznania było blisko do Berlina, ale równie blisko mieli Niemcy do Warszawy z terenu Prus Wschodnich. Pod względem wojskowym znacznie lepiej wyglądała - sądzono - granica wschodnia. Dzięki błotom poleskim i licznym rzekom, przecinającym kresy wschodnie i Małopolskę Wschodnią, była ona - według polskiego Sztabu Głównego - naturalnie obronna.

Skoro przebieg granic nie przedstawiał się najkorzystniej, tym ważniejszy był potencjał gospodarczy, znajdujący się na terenie państwa. W ostatecznym rachunku to przecież zasoby materialne i gospodarka miały decydować o trwałości tych granic i integralności całego terytorium Rzeczypospolitej.

Władysław Grabski obliczał, że przed wybuchem I wojny światowej na ziemiach, które później weszły w skład polskiego terytorium państwowego, znajdował się majątek o wartości 88,4 mld złotych (zabór pruski - 22,5 mld złotych, zabór austriacki - 18 mld złotych, Kongresówka - 42,6 mld złotych i kresy wschodnie - 5,3 mld złotych). W porównaniu z wartością majątku innych państw nie było to mało (np. Niemcy - 417,4 mld złotych, Włochy - 113 mld złotych, Francja i Rosja po 302,7 mld złotych). Jeszcze lepiej wypadły relacje po przeliczeniu na jednego mieszkańca. Okazywało się, że Polska (3250 zł) górowała nad Włochami (3228 zł) i Rosją (2144 zł).

Jednak zasoby materialne i majątek narodowy służyły przez dziesiątki lat zaborcom, którzy nie dbali o rozwój polskich ziem. Kolonialny wyzysk sprawiał, że potrzeby ludności (oświata, służba zdrowia, opieka społeczna, mieszkania) były zaspokajane w sposób wysoce niedostateczny. Przysłowiowa była „nędza galicyjska”, w Kongresówce wcale nie było lepiej, a rozpaczliwie za Bugiem. Cała gospodarka ziem polskich nastawiona była na rynki państw zaborczych. Dobra produkowane na ziemiach polskich w nikłym odsetku służyły produkującemu je społeczeństwu. Uzależnienie gospodarcze było tak silne, że wydawało się, iż przekreślało wszelkie szanse odzyskania niepodległości i oderwania się od zaborców. „Produkcja, wymiana, transport - pisała Róża Luksemburg - wszystko to powikłało się w Polsce [Kongresówce - *R.Sz.*] i w Rosji w jeden mocny węzeł [...] przynależność Polski do Rosji staje się coraz bardziej warunkiem ekonomicznego bytu pierwszej”. Pisząca wyciągała absurdalne wnioski o szkodliwości zrywania związków z Rosją i tworzenia niepodległego państwa z niezależnym organizmem gospodarczym.

W 1918 r. Polska nie mogła liczyć, że jej produkcja znajdzie zbyt na warunkach obowiązujących przed rokiem 1914. Z drugiej strony należało możliwie szybko zaspokoić wszystkie potrzeby, o które zaborcy nie dbali - przede wszystkim w zakresie oświaty. W 1919 r. jedynie jedna trzecia nauczycieli miała odpowiednie kwalifikacje, a nauką objęta była mniej niż połowa dzieci w wieku szkolnym. Aż 92% szkół odziedziczonych po zaborcach stanowiły jednoklasowe szkoły elementarne (szkoły siedmioklasowe jedynie 2%). Wśród dorosłej ludności analfabeci stanowili ponad 33% - większość z nich znajdowała się na kresach wschodnich.

Uzależnienie od obcego kapitału i obcych rynków zbytu oraz zaniedbania niemal wszystkich dziedzin życia społecznego nie były jedynym problemem, jaki Polska musiała rozwiązać. Należało nie tylko budować, ale odbudowywać to, co zburzyła wojna, która dla Polski trwała jeszcze kilka lat po zawarciu pokoju z Niemcami.

Działania wojenne spustoszyły około 90% polskiego terytorium państwowego. Jedna piąta polskich ziem, na których toczyły się walki pozycyjne, została zniszczona niemal

doszczętnie. Ruchy wojsk powodowały ruinę i dewastację gospodarki. Proceder ten rozpoczęli w 1914 r. Rosjanie, wywożąc z Kongresówki ponad 150 większych zakładów przemysłowych, a wraz z nimi siedemdziesiąt tysięcy wykwalifikowanych pracowników. Cofając się przed wojskami państw centralnych, oddziały carskie pozostawiały „spaloną ziemię”. Wspomnijmy chociażby o 300 szybach naftowych zniszczonych w Zagłębiu Borysławskim (przed wojną uzyskiwano tam 5% światowego wydobycia ropy).

Podobnie jak Rosjanie zachowali się Niemcy, którzy pozbawili przemysł na polskich ziemiach ponad 41 tys. silników elektrycznych, spalinowych i turbin oraz prawie 4 tys. obrabiarek. Zagrabiono liczne zapasy surowców. Przemysł został praktycznie unieruchomiony. Straty wojenne polskiego przemysłu w 1918 r. oceniano na 2,5 mld dolarów (była to równowartość dziesięciu budżetów państwowych Polski międzywojennej).

Rozpaczliwa stała się sytuacja rzemiosła, zatrudniającego uprzednio setki tysięcy osób. W Kongresówce liczono straty rzemiosła na 30 mln rubli, a w Galicji na 103 mln koron. Dodajmy, że nie były to dane kompletne.

Poważne zniszczenia notowano w substancji mieszkaniowej, szczególnie na kresach wschodnich. Brześć nad Bugiem stracił 70% budynków, nie lepiej było też w Łucku, Stanisławowie czy Tarnopolu. Ogółem miasta straciły około jednej piątej swojej zabudowy. Na wsi z 7,5 mln budynków zniszczeniu uległo 1,7 mln, w tym w województwie tarnopolskim ponad 230 tys., a w wołyńskim około 200 tys. Zniszczenia nie ominęły też terenów rdzennej Polski - w powiecie chełmskim straty wynosiły 42% zabudowań, w powiecie ostrołęckim - 40%, a w innych powiatach wahały się od 10% do 38%.

W podstawowym dziale gospodarki, rolnictwie, wojna najmocniej odcisnęła swe piętno, gdyż inwentarz i zbiory były najbardziej narażone na rekwizycje, grabieże oraz zniszczenia. Wstępne szacunki wykazały, że 4,6 mln hektarów ziemi leżało odłogiem. Brakowało 37,5% pogłowia bydła, 47% koni, 50% trzody chlewnej i aż 60% owiec. Znacznie spadła powierzchnia zasiewów, a zatem wielkość plonów - pszenicy o 60%, a żyta o 50%.

Podobnie wyglądała sytuacja w transporcie, opierającym się wówczas prawie wyłącznie na przewozach kolejowych. Polska, łącząca w całość tereny graniczne trzech różnych państw, dziedziczyła trzy różne systemy komunikacyjne. Młode państwo nie dysponowało najniezbędniejszymi teraz połączeniami. Stolica państwa nie miała połączenia z Poznaniem, Krakowem, Gdańskiem i Katowicami. Rozmiary zniszczeń na kolei wyliczono na 600 mln franków w złocie. Kolej straciła 51 % mostów i ponad 60% dworców. Z 5600 parowozów, znajdujących się przed wojną na ziemiach polskich, w 1918 r. naliczono 2500; ze 156 tysięcy wagonów istniejących w 1913 r. zostały w roku 1918 zaledwie 44 tysiące.

Wniosek, jaki nasuwał się po zbilansowaniu strat (pogłębionych wojną 1920 r.), był oczywisty. Majątek odziedziczony po okresie zaborów został w znacznej części (co najmniej w jednej czwartej) zniszczony. Proces odbudowy w ówczesnych warunkach, nie tylko finansowych i technicznych, był zadaniem niebotycznym. Nie ma w tym przesady, skoro państwo znacznie zamożniejsze (Francja) nie potrafiło do 1940 r. zniwelować swych strat wojennych, których ogólna kwota równała się trzem budżetom państwowym III Republiki.

Drugim elementem, mającym ogromny wpływ na pozycję państwa, była ludność. Skład społeczny i narodowościowy, poziom wykształcenia i zamożności decydowały o wielu sprawach, a już na pewno o możliwościach odbudowy kraju i kształcie ustrojowym państwa.

Według szacunkowych obliczeń w styczniu 1919 r. liczbę ludności Polski określano na 26,3 mln osób. Na tym samym obszarze przed wybuchem wojny mieszkało 30,9 mln osób, a zatem na skutek wojny liczba ludności zmniejszyła się o 4,6 mln. Pewna część wywiezionych i wypędzonych wróciła wprawdzie po wojnie do kraju (głównie robotnicy przymusowo wywiezieni do Niemiec), znaczna część jednak - oblicza się tę grupę na około 2,5 mln osób - nie trafiła już do Polski.

Migracje powojenne, w części tylko obejmujące Polaków, stanowiły poważny problem dla młodego państwa. Wystarczy przypomnieć, że w ciągu kilku pierwszych miesięcy po listopadzie 1918 r. władze polskie zanotowały przejazd 900 tys. Rosjan udających się do swego kraju. Tym ludziom, będącym często w trudnym położeniu materialnym, trzeba było zapewnić żywność, transport, lekarstwa. I to w sytuacji, gdy jednej trzeciej ludności Polski groziła śmierć głodowa, a w wielu rejonach kraju szerzyły się choroby. Miliony ludzi przemierzających Polskę w różnych kierunkach stanowiły poważne obciążenie dla państwa.

Wśród ludności Drugiej Rzeczypospolitej dominowali oczywiście Polacy, jednak byli nie tylko oni. Ze spisu dokonanego w 1921 r. wynikało, że Polacy stanowili 69% ludności państwa, Ukraińcy - 14%, Żydzi - 8%, a Białorusini i Niemcy po 4%.

Ustalenie rzeczywistych stosunków narodowościowych było wówczas niezwykle trudne. Świadomość narodowa wielu ludzi nie była jeszcze wykrystalizowana i ci w czasie spisu określali się jako „tutejsi”. Władzom polskim zależało na zawyżeniu odsetka Polaków, niejednokrotnie więc wywierano nacisk na respondentów. Z drugiej jednak strony trzeba też pamiętać, że nie wszyscy członkowie mniejszości narodowych byli wrogami państwowości polskiej. Trudno byłoby stwierdzić, ilu z miliona Białorusinów, którzy po 1920 r. wybrali obywatelstwo polskie i repatriowali się z Rosji Sowieckiej, należało zaliczyć do naszych przeciwników. Nieporozumieniem jest też zaliczanie do mniejszości narodowych Polaków pochodzenia niepolskiego - głównie Żydów. Nie ma żadnych powodów, aby ludziom, pamiętającym o swym pochodzeniu, a czującym się Polakami, tej polskości odmawiać na podstawie tak wątpliwej i skompromitowanej jak kryteria rasowe.

Należy jednak pamiętać, że problem mniejszości żydowskiej był ogromnie skomplikowany. W okresie przedrozbiorowym niejednokrotnie znajdowali w Polsce schronienie Żydzi uchodzący przed prześladowaniami dotyczącymi ich w innych krajach Europy. Z czasem polonizowali się, a wcale znaczna liczba uzyskała szlachectwo. Ten proces zrastania się narodów w jedno społeczeństwo Rzeczypospolitej przerwały rozbiory. Świadoma polityka rządu carskiego spowodowała, że na ziemiach polskich osiedliła się w zwartych grupach, częściowo zrusyfikowana, masa Żydów rosyjskich, nazywanych Litwakami. Stanowili oni zamkniętą, hermetyczną społeczność, w której było najwięcej zwolenników sił Polsce wrogich. Historyk piłsudczykowski, Władysław Pobóg-Malinowski, podaje wiele przykładów wrogich zachowań ludności żydowskiej w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Były wypadki, że Żydzi strzelali w plecy polskich żołnierzy i współpracowali z sowieckim najeźdźcą. Młodzież żydowska, np. w Kielcach, urządziła prowokacyjną manifestację na cześć Trockiego, którego armie atakowały Polskę. Reakcje władz i społeczeństwa polskiego na te wybryki były przedstawiane przez ośrodki żydowskie jako akty antysemityzmu. Antoni Słonimski, którego nikt nie podejrzewa o antysemityzm, tak pisał w „Wiadomościach Literackich” (nr 35 z 1924 r.): „Naród ten, narzekający na szowinizm innych ludów, jest sam najbardziej szowinistycznym narodem świata. Żydzi, którzy skarżą się na brak tolerancji u innych, są najmniej tolerancyjni”. Szmajahn Lewin - cytowany przez Wiktora Drymmera - pisał w 1938 r.: „Żydzi nie zrobili nic albo bardzo mało, by poznać Polaków z problemem żydowskim [...], sprowadzając go raczej do poziomu utyskiwań na antysemityzm Polaków, w s z y t k i c h Polaków”. Badając historię KPP spostrzegłem, że ponad 60% aktywistów tej partii było pochodzenia żydowskiego. Przy czym nie przeszkadzało im, że Stalin był zaciekłym antysemitą i w końcu stał się sojusznikiem programowego wroga narodu żydowskiego, Hitlera. Wspomniany już Drymmer, w końcowych latach Drugiej RP pracownik polskiego MSZ, wspominał: „Gdy w roku 1938 Niemcy siłą usunęli z Niemiec 15 000 Żydów, zamieszkałych tam od dziesiątków lat, Polska ich przyjęła i dała pracę, stosując do Niemiec retorsje, wydalając tysiące Niemców z Polski”. W tym samym czasie bogate kraje Zachodu odmawiały przyjmowania żydowskich uchodźców z Niemiec, a prezydent Czechosłowacji, uznawany przez Żydów za przyjaciela,

wydał zarządzenie, uniemożliwiające Żydom osiedlenie się w jego ojczyźnie. W Polsce okazywano Żydom niechęć, ale niechęć ta wynikała głównie z przesłanek politycznych lub ekonomicznych, a nie rasowych.

Mimo to nie powinniśmy zapominać, że i w Polsce istniały czynniki sprzyjające asymilacji, co musiało wpływać na zmianę stosunków narodowościowych (w 1931 r. na terenie województw lwowskiego, nowogródzkiego i wileńskiego Polacy stanowili ponad połowę mieszkańców, a w tarnopolskim około połowy).

Można więc chyba stwierdzić, że liczba ludności aprobującej swój status obywatela RP przekraczała znacznie 70% (nie musieli to być wyłącznie Polacy) i w miarę upływu lat rosła. W tym też leżała jedna z tajemnic dużej spoistości państwa już w pierwszych latach niepodległości.

O tym, jak zagmatwane były wówczas stosunki narodowościowe, świadczy fakt, że chociaż granice sięgały poza polski obszar etnograficzny, wielu Polaków znalazło się poza granicami kraju. Antoni Sujkowski (*Polska Niepodległa*, wyd. 1926) obliczał, że na terenie Czechosłowacji mieszkało w 1923 r. 240 tys. Polaków, w tym 130 tys. na Śląsku Cieszyńskim (66% zaludnienia), 1,5 mln w Niemczech (1 mln na terenach przygranicznych), 105 tys. na Łotwie, 250 tys. na Litwie (na Kowieńszczyźnie 26% ludności) i około 1,5 mln w ZSSR. Oznaczało to, że co piąty Polak mieszkał na terenach państw graniczących z Polską. Polacy mieszkający poza granicami swej ojczyzny liczyli ogółem 7,7 mln osób - prawie połowa z nich znajdowała się w państwach ościennych.

Na siłę państwa wpływała również struktura społeczno-zawodowa zamieszkującej w nim ludności. W masie 27,2 mln osób (w 1921 r.) największe grupy stanowili chłopci (14,5 mln) - 53,2% całego społeczeństwa - i robotnicy (7,5 mln) - 27,5% ludności. Poważną liczebnie grupę tworzyli też drobnomieszczenie (3 mln) i pracownicy umysłowi (1,4 mln).

Palącym problemem młodego państwa było zaspokojenie potrzeb warstw najuboższych. Wielu chłopom i robotnikom powodziło się bowiem nie najlepiej. Do najbiedniejszych zaliczali się chłopci małorolni (7,2 mln), na pewno robotnicy rolni (3 mln), gorzej zarabiający pracownicy umysłowi (0,9 mln) oraz bezrobotni. Można więc bez większego ryzyka błędu stwierdzić, że biedę cierpiało co najmniej 40% ludności. Poglądów i postaw tych ludzi nie można było lekceważyć.

Politycy, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za budowę aparatu państwowego, musieli liczyć się przede wszystkim z postulatami robotników - najbardziej świadomej i najlepiej zorganizowanej części polskiego świata pracy.

Kwestią podstawową były kłopoty z zatrudnieniem, gdyż zniszczenia i dewastacja gospodarki sprawiły, iż nie można było zapewnić pracy większości robotników. Przemysł Kongresówki mógł wchłonąć nie więcej jak 14% pracowników zatrudnionych w 1913 r. Władze państwowe obliczyły, że w najbliższym czasie liczba bezrobotnych sięgnie miliona osób. Fakt, że w rzeczywistości liczba ta nie doszła do 700 tys., był małym pocieszeniem.

Rząd usiłował zmusić właścicieli fabryk do podjęcia produkcji, były nawet wypadki, kiedy władze przejmowały zakłady pod własny nadzór, ale rozmiar zniszczeń i brak surowców stanowiły barierę trudną do pokonania. W tej sytuacji nie dały oczekiwanych rezultatów nawet organizowane przez władze roboty publiczne.

Może wydać się paradoksalne, ale dopiero wojna 1920 roku umożliwiła rozwiązanie tego poważnego problemu. Mobilizacja i szybka rozbudowa armii okazała się niezamierzonym sposobem na rozładowanie bezrobocia. Podczas wojny uruchomiono wiele zakładów, w których później stopniowo zatrudniano demobilizowanych żołnierzy. „Po zakończeniu wojny polsko-radzieckiej - piszą Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski - dzięki dobrej koniunkturze przemysłowej, mimo rozpoczętej w listopadzie 1920 r. demobilizacji wojska do etatów pokojowych, bezrobocie w pierwszej połowie 1921 r. zwiększyło się w stosunku do 1920 tylko umiarkowanie”.

Innym istotnym zagadnieniem była kwestia zaopatrzenia ludności w żywność i opał. Wojna ogołociła kraj z zapasów w takim stopniu, że nie było chętnych do objęcia urzędu ministra aprowizacji. Rząd wprowadził więc system kartkowy, dzięki któremu unormowano zaopatrzenie dużych miast i okręgów przemysłowych, mieszkańcy małych ośrodków miejskich nadal jednak znajdowali się w trudnej sytuacji. Tam poprawa nastąpiła dopiero wraz z odbudową produkcji rolnej. Niebezpieczeństwo głodu i szerzące się choroby zdołano opanować.

Generalnie jednak w położeniu warstw pracujących, zwłaszcza najbiedniejszych, nie było zbytnej poprawy. Występowało nawet relatywne pogorszenie w stosunku do okresu przedwojennego. Czy oznaczało to, że ci ludzie nie potrzebowali Polski? Pytanie to wydaje się dziś bezsensowne, a przecież byli niegdyś tacy, którzy starali się uzasadnić, że polskim chłopom i robotnikom państwo polskie nie było potrzebne.

W pewnych dziedzinach życia świat pracy jednak odczuwał zmianę na lepsze. Postęp notowano w zakresie uprawnień pracowniczych. Jeden z pierwszych dekretów naczelnika państwa wprowadzał ośmiogodzinny dzień i czterdziestosześciogodzinny tydzień pracy; nie mogło to wywołać obniżki płac. Zmiana musiała być odczuwalna - wszak ustawodawstwo rosyjskie dopuszczało dziewięcio- a nawet dwunastogodzinny dzień pracy, pruskie i austriackie natomiast nie znało czterdziestosześciogodzinnego tygodnia pracy. Rząd powołał do życia państwową Inspekcję Pracy, która miała czuwać, by pracodawcy respektowali prawa pracownicze. Obok związków zawodowych był to istotny instrument kontroli poczynań właścicieli fabryk.

W styczniu 1919 r. ogłoszono dekret o obowiązkowych ubezpieczeniach pracowników, zapewniając im w ten sposób bezpłatną opiekę lekarską i zasiłki chorobowe. Składkę ubezpieczenia w 40% opłacał ubezpieczony, a w 60% jego pracodawca.

W maju 1922 r. wprowadzono ustawę o płatnych urloпах (Polska była drugim krajem świata, obok Austrii, który wprowadził to uprawnienie). Wydano też przepisy zabraniające eksmitowania bezrobotnych z mieszkań 1- i 2-izbowych.

Ważnym faktem było objęcie robotników rolnych układami zbiorowymi, które regulowały warunki płacy i pracy tej grupy pracowniczej. Mimo oporu części właścicieli ziemskich postanowienia te weszły w życie, a Inspekcja Pracy zaczęła kontrolować obok fabryk majątki ziemskie.

Potężną bronią, którą uzyskali robotnicy, było prawo do strajku. Korzystano z niego w całej rozciągłości, skoro nawet w wojennym 1920 r. statystyka odnotowała 471 strajków. Legalizacja akcji strajkowej była wielką mądrością polityczną, chociaż przeciwko strajkom można się było opowiadać nie tylko z pobudek wrogich interesom robotniczym. „Ruch strajkowy - piszą cytowani wyżej Landau i Tomaszewski - mając cechy zdecydowanie pozytywne, często oddziaływał jednak ujemnie na bezpośrednie życie gospodarcze kraju. Doprowadzał bowiem do dezorganizacji wytwórczości i handlu. Tak też było w Polsce w latach 1918-1923. W państwie odbudowującym się ze zniszczeń, o ogromnych potrzebach materialnych i słabej bazie produkcyjnej strata 15 milionów dni roboczych w ciągu 3 lat, w okresie kształtowania się korzystnej koniunktury, była nie do odrobienia”.

Na postawę władz musiała wpływać w jakimś stopniu obawa grup zamożniejszych przed radykalizacją polskiego świata pracy. Ale nie bez znaczenia były też wpływy PPS i fakt, że Piłsudski był niegdyś jednym z przywódców polskich socjalistów. Ustawodawstwo Polski niepodległej dawało masom pracującym prawo do walki o poprawę swego losu. Do walki i e g a l n e j i z o r g a n i z o w a n e j! Dlatego w społeczeństwie mogły rozwijać się procesy, dzięki którym ludzie, bez względu na miejsce zajmowane na drabinie społecznej, zaczęli identyfikować się z państwem i uznali je za własne.

Trzecim elementem wpływającym na pozycję państwa była - obok terytorium i ludności - władza. Omawiając trudności, jakie napotykała Polska, wkraczając na arenę

międzynarodową, musimy pamiętać, że ich usuwanie należało do aparatu państwowego, który jak całe państwo dopiero się tworzył. Jego zaczątkiem były instytucje zależne od Rady Regencyjnej, powołanej 12 września 1917 r. przez okupantów austro-niemieckich. Ta zależność od obcych powodowała, że była to -jak słusznie pisał Adam Próchnik - „władza pozorna”. Na jej dobro trzeba jednak zapisać, że stworzyła załączki administracji państwowej oraz usiłowała (nieskutecznie) uwolnić się spod niemieckiej kurateli.

Innym organem, już samodzielnym, była utworzona 28 października 1918 r. w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna. Jak wynikało z samej nazwy, PKL miała za zadanie usunąć władze zaborcze z Galicji. Organami lokalnymi, współdziałającymi z PKL, były Rada Narodowa dla Księstwa Cieszyńskiego oraz lwowski Komitet Bezpieczeństwa i Ochrony Dobra Publicznego.

W grudniu 1918 r. powstała w Poznaniu Naczelną Radą Ludową, zarządzająca Wielkopolską i mająca ambicje opanowania całego zaboru pruskiego. W nocy z 6 na 7 listopada 1918 r. Ignacy Daszyński powołał w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, nazwany przez SDKPiL „samozwańczym i nieodpowiedzialnym”.

Władzą powszechnie uznaną - najpierw w kraju, a później za granicą - stał się jednak dopiero naczelnik państwa. Został nim niedawny komendant I Brygady, Józef Piłsudski, więziony od 22 lipca 1917 r. w Magdeburgu. 10 listopada 1918 r. wrócił on z więzienia i następnego dnia rząd Daszyńskiego oddał mu władzę, a Rada Regencyjna przekazała dowództwo nad wojskiem. Naczelnik powołał rząd i zapowiedział wybory do sejmu. Parlament miał rozstrzygnąć o ustrojowym kształcie państwa. Uchwalona w marcu 1921 r. konstytucja określiła Polskę jako republikę parlamentarną. Władza prezydenta sprowadzała się w zasadzie do reprezentacji. Rząd był całkowicie zależny od układu sił w sejmie.

Czy było możliwe inne rozwiązanie? W tamtych latach wiele narodów głównie państw, które przegrały I wojnę światową lub załamały się w rezultacie wydarzeń wewnętrznych, jak to było w Rosji, uległo nastrojom rewolucyjnym. Polacy nie poddali się temu prądowi, chociaż i na polskich ziemiach było wielu bezrolnych i bezrobotnych, a wojna ciągle trwała. Konstanty Grzybowski zastanawiał się po latach, czy u zarania niepodległości Polski istniała alternatywa: państwo demokracji parlamentarnej albo republika według bolszewickiego wzoru, i doszedł do wniosku, że takiej alternatywy nie było również i dlatego, że przeciwnicy demokracji parlamentarnej stanowili mniejszość nawet wśród delegatów rad robotniczych tworzonych na terenie Polski. W istocie wpływy partii komunistycznej były znikome. Można je było dostrzec jedynie na terenie byłego zaboru rosyjskiego, i to głównie wśród robotników rolnych. Na ziemiach zachodnich (Wielkopolska, Śląsk, Pomorze) i w byłym zaborze austriackim komuniści nie mieli prawie żadnych zwolenników. Program partii komunistycznej, odmawiający ziemi chłopom, lekceważący polskie dążenia narodowe i zapowiadający utworzenie republiki sowieckiej zjednoczonej z „czerwoną” Rosją, z granicami pozostawiającymi Niemcom polskie ziemie zachodnie, a Rosjanom Wilno i Lwów - nie mógł liczyć na poparcie Polaków. Paweł Zaremba podaje, że komuniści na krótko zdolali opanować tylko jedną Radę Delegatów Robotniczych w Dąbrowie Górniczej, co zakończyło się krwawymi rozruchami. Poza nią wszędzie przeważały wpływy robotniczych formacji patriotycznych.

W Polsce toczył się spór o kwestie ustrojowe, lecz był to spór wyłącznie o kształt polskiego parlamentaryzmu. Prawica chciała ograniczyć rozmiary reform, socjaliści i ludowcy dążyli do przyznania najszerszych uprawnień ludziom pracy, jedni i drudzy jednak, wszystkie polskie partie polityczne i ugrupowania, widziały drogę do osiągnięcia swych celów politycznych w ramach porządku parlamentarnego w niepodległym państwie polskim.

Odpowiadało to przekonaniom prawie całego społeczeństwa, które było również społeczeństwem prywatnych właścicieli. Wprawdzie ci właściciele często przymierali głodem, ale i chłop małorolny, i ubogi rzemieślnik mieli coś własnego do stracenia.

Powstanie Polski niepodległej rodziło wśród ludzi nadzieję, że pozbędą się biedy, dostaną ziemię, rozwinie się rynek wewnętrzny, przybędzie miejsc pracy. Julian Marchlewski ze zdziwieniem zauważył, że agitacja bolszewików wśród chłopów Wileńszczyzny i Białostoczczyzny całkowicie zawiodła: „[...] chłopci bynajmniej nie kwapili się - poza bardzo nielicznymi wyjątkami - do zabrania ziemi dworskiej, nawet tam, gdzie wyraźnie ich do tego zachęcano”. W tym czasie państwo sowieckie borykało się z ogromnymi trudnościami, a położenie ludności było cięższe niż w Polsce.

Naród musi najpierw odzyskać własne państwo i dopiero wówczas może dążyć do jego urzędzenia zgodnie ze swymi pragnieniami. Im szersza podstawa społeczna władzy, tym mniejsza groźba zaburzeń i pewniejszy proces reform i doskonalenia struktur państwowych. Rewolucja w Rosji była prostą konsekwencją tego, że carat był reprezentantem wąskiej grupy. Polacy znajdujący się pod uciskiem zaborców nie mogli zyskać takiego doświadczenia jak robotnicy rosyjscy. Polacy zasadnie sądzili, że w niepodległej Polsce zdołają w sposób demokratyczny rozwiązać problemy, jakie wynikały ze sprzeczności między kapitałem a pracą. Wprawdzie program rewindykacji socjalnych miał wielu zwolenników w polskim społeczeństwie (przykład rewolucji 1905 r.), ale jednocześnie bez trudu można spostrzec, że Polacy nie mogli poprzestać na programie zdobyczy socjalnych. Prędzej czy później w świadomości społecznej zwycięża przekonanie, iż nie ma poprawy w warunkach niewoli. Nawet gdy myśli się jedynie o sprawach ekonomicznych. Niepodległość oznacza budowę własnego państwa, a kwestia rozwiązań socjalnych to sfera polityki związana z władzą i państwem. Czy można wobec tego myśleć o trwałych zdobyczach socjalnych, gdy ich osiągnięcie i utrzymanie zależy od władzy, na którą społeczeństwo nie ma wpływu? Miał rację Piłsudski, gdy działając w PPS, stwierdził: „Socjalista w Polsce musi dążyć do niepodległości, a niepodległość jest warunkiem socjalizmu”.

Decydującym politycznie ośrodkiem państwa stał się sejm, który rozstrzygał o składzie rządu i jego polityce wewnętrznej oraz zagranicznej. Układ sił politycznych w sejmie wskazywał, że główne nurty myślenia i działania politycznego miały równe wpływy - np. w 1925 r. prawica miała 26,8% mandatów poselskich, lewica - 26,5%, centrum - 26,5% i mniejszości narodowe - 18,7%. W takiej sytuacji sprawą bardzo trudną było sformowanie trwałej większości sejmowej, która stanowiłaby mocne oparcie dla rządu. Był to warunek, od którego spełnienia zależało powodzenie całego programu odbudowy państwa, jego siły i znaczenia w Europie.

Oceniając możliwości polskie na arenie międzynarodowej, można stwierdzić, że były one skromne. Jedynym atutem, gwarantującym Polsce prestiż w stosunkach z innymi państwami, była armia. Nie wynikało to ze specjalnych skłonności militarystycznych czy imperialistycznych odrodzonej Polski. W sytuacji gdy granice państwa zostały nie tyle wytyczone, co wyrąbane, kiedy gospodarka była sparaliżowana zniszczeniami i zależnością od obcych, często wrogów Polski, Wojsko Polskie było jedynym zabezpieczeniem istnienia Rzeczypospolitej. Armia była tą osłoną, która w ówczesnej sytuacji miała zapewnić czas konieczny do zjednoczenia ziem i całkowitej integracji społeczeństwa, do odbudowy i rozwoju gospodarki oraz stworzenia takiej linii polityki zagranicznej, która gwarantowałaby państwu pokój i bezpieczeństwo.

Wysiłek państwa włożony w organizację i wyposażenie wojska musiał być znaczny, skoro armia Rzeczypospolitej zajmowała bardzo wysokie miejsce w świecie (w 1922 r. ZSSR posiadał 563 tys. żołnierzy, Francja 410 tys., Polska 247 tys., Anglia - 220 tys., Rumunia - 200 tys., Włochy i Hiszpania po 150 tys., Czechosłowacja - 120 tys., Jugosławia - 105 tys. i Niemcy - 100 tys.). Ale wojsko mogło być jedynie doraźnym gwarantem istniejącego stanu rzeczy. Czas działał na korzyść tych, którzy dysponowali większymi zasobami materialnymi, nowocześniejszą gospodarką, większą liczbą ludności, sprawniejszymi urządzeniami państwowymi. W ostatecznym rozrachunku od tego przecież zależał stan armii. Czy



rozumiano to w Warszawie? Czy kierownicy polskiego życia politycznego dostrzegali, że wojsko to zbyt mało, aby uzyskać bezpieczną pozycję na kontynencie? Na te pytania miały odpowiedzieć najbliższe lata.

## 2. „Zastępczy sojusznik”

Po zakończeniu I wojny światowej młode państwo polskie stanęło wobec problemów przerastających jego siły. Znalazszy się w żelaznych okowach sąsiedzkiej nienawiści, musiała Warszawa znaleźć sojuszników, którzy zagwarantowałyby Polsce pokój i bezpieczeństwo. Nie wystarczyło odzyskać niepodległość; trzeba było ją utrwalić i zapewnić państwu istnienie na politycznej mapie Europy.

Wielu polskich polityków widziało sojusznika we Francji, która pokonała niedawno jednego z zaborców - pruską Rzeszę, i wydawała się tradycyjnym sojusznikiem Polski. Przywoływano pamięć czasów napoleońskich, związki kulturowe i cywilizacyjne. W rzeczywistości historia nie podsuwała wcale tak oczywistych przykładów, jak mogło się wydawać w listopadzie 1918 r.

Od czasów panowania króla Francji Henryka IV, to znaczy od momentu, gdy stosunki polsko-francuskie nabrały cech trwałości, Polacy wiele razy usiłowali doprowadzić do współdziałania z Francuzami. Próby te zawiodły w latach potopu szwedzkiego, w czasie insurekcji kościuszkowskiej, w okresie powstania listopadowego i styczniowego. Francja nieodmiennie poświęcała polską sojuszniczkę, aby uzyskać pomoc Szwecji, Turcji, a wreszcie Rosji.

Lata poprzedzające rok 1918 były pod tym względem najgorsze. Po klęsce 1870 r. Paryż uznał, że niepodległość Polski jest sprzeczna z interesami Francji. Lapidarnie stwierdził to jeden z przedstawicieli francuskiej myśli politycznej Anatol Leroy-Beaulieu (*La France, la Russie et l'Europe*, 1888): „Aby pozyskać Rosję, Francja musi przekroczyć trupa Polski”.

Francuska opinia publiczna w przytłaczającej większości wspierała polityków, którzy aż do 1917 r. starali się nie zaprzętać sobie zbyt głębi „polskim trupem”. Jeszcze w 1916 r. byli nad Sekwaną ludzie, którzy uważali, że podnoszenie sprawy niepodległości Polski to atak wymierzony w sojusz francusko-rosyjski, i to atak inspirowany przez Żydów! Wśród Francuzów byli i tacy, którzy dowodzili, że niepodległość zaszkodzi samym Polakom. Edmond Laskine pisał: „Całkowita niepodległość Polski [...] oznaczałaby dla niej natychmiastową ruinę ekonomiczną, a wkrótce również i ruinę polityczną. Przyjaciele tego szlachetnego narodu życzą mu innej przyszłości. Z różnorodnych względów widzą oni przyszłość Polski w unii z największym narodem słowiańskim, tj. Rosją”.

W tej sytuacji wystąpił ze swymi poglądami lider endecji, Dmowski, którego praca *Rosja, Niemcy i kwestia polska* już w 1909 r. dotarła do czytelników we Francji. Główne tezy tej książki znalazły pełne uznanie w oczach francuskich polityków. W recenzjach podkreślano „realizm” i „trzeźwość” Dmowskiego. W przedmowie do francuskiego przekładu profesor Leroy-Beaulieu pisał, że Polacy „posłuchali wreszcie rad udzielanych im przez długi czas na próżno”. Nic też dziwnego, że odtąd poglądy Dmowskiego i jego stronnictwa uznawane były przez Francuzów za dążenia całego narodu polskiego. Prasa francuska z radością pisała o takich faktach, jak obecność Dmowskiego i generał-gubernatora Georgija Skallona na jakimś odczycie. Ogłoszenie manifestu Mikołaja Mikołajewicza z 1914 r. nazwano we Francji „*Resurrection de la Pologne*”, a Mikołaja II chwalono za „piękno gestu” i „szlachetność myśli”. Pisząc o projektach autonomii dla Polski, „*Le Temps*” zapewniał, że „Polacy zbierają [...] owoce swej długiej cierpliwości, skupienia i rozumu

politycznego, dojrzałego w próbach”. Jednocześnie ta sama gazeta - i nie tylko ona - nie dostrzegła orędzia prezydenta USA Wilsona z 22 stycznia 1917 r.: „Mężowie stanu wszędzie są zgodnego zdania, że winna powstać Polska zjednoczona, niepodległa i samoistna”. Wynikało to z faktu, że od kilku lat wiele gazet francuskich (również popularny „Le Matin”) korzystało z pieniędzy wypłacanych przez ambasadę rosyjską w Paryżu.

Zachowanie Francji nie może dziwić. Podstawowym kłopotem Paryża było znalezienie potężnego sojusznika przeciwko rosnącej potędze Niemiec. Dostrzeżono go wreszcie w caracie, chociaż początkowo istniały obustronne uprzedzenia. „Nie można się sprzymierzać ze zgnilizną” - mówił rosyjski minister spraw zagranicznych Mikołaj Giers do syna „żelaznego kanclerza” Herberta Bismarcka. Również Francuzi mieli obawy przed związaniem się z „reżimem kozaków”. Mimo to sojusz doszedł do skutku. Do Rosji napłynęły francuskie kapitały. W 1914 r. obliczano ich wysokość na 20 mld franków, a ponadto 1,6 mln Francuzów dysponowało rosyjskimi papierami wartościowymi na kwotę 12 do 15 mld franków. Wojna światowa scementowała ten sojusz. Paryż nie mógł wyobrazić sobie zwycięstwa nad Berlinem bez pomocy Petersburga (rosyjska armia liczyła 5,5 mln żołnierzy, 142 dywizje i około 8 tys. dział). Czym wówczas dysponowała Polska? Eligiusz Kozłowski i Mieczysław Wrzosek, autorzy pracy o dziejach polskiego oręża, podają, że około 1,2 mln Polaków służyło w armii rosyjskiej i 2,2 mln w szeregach armii państw centralnych. Był to jednak ciągle bardziej fakt statystyczny niż polityczny, który mógłby wesprzeć działania polskich polityków.

Mimo to sprawa polska musiała budzić głębszą refleksję, skoro nawet w niewoli Polska okazała się organizmem żywym. Nie można było jej pogrzebać. Krótkowzroczna polityka Petersburga zaostrzała jeszcze stan spraw w Polsce. Rosyjska przegrana na Dalekim Wschodzie w wojnie z Japonią i rewolucja 1905 r., która na ziemiach polskich przybrała charakter powstania narodowego, wpłynęły na to, że Francuzi zaczęli przyglądać się Polakom. Zbliżający się konflikt wojenny między blokami „Trójprzymierza i „Trójporozumienia” powodował, że ludność polska miała się znaleźć po obu stronach barykady. A więc Polacy mogli albo wzmocnić, albo znacznie osłabić blok francusko-rosyjski. Obawa była tym poważniejsza, że jak informował d'Anglade, konsul francuski w Warszawie: „Władze rosyjskie w Polsce całkowicie powróciły do błędów, które w przeszłości przyniosły tak opłakane rezultaty”. W tym kontekście dość znamieną była wypowiedź współpracownika Georges Clemenceau, Stephena Pichona, wobec redaktora „Gazety Warszawskiej” Stanisława Lesznowskiego: „Czas pracuje na was i dla was”.

Wyraźne zmiany w stanowisku Francji zaszły jednak dopiero po wybuchu rewolucji lutowej, a zdecydowany już zwrot nastąpił wraz ze zwycięstwem bolszewików i obaleniem Rządu Tymczasowego w Rosji. Polityczny program Lenina godził przecież w zasadnicze założenia polityki francuskiej na wschodzie, hasło „pokój” oznaczało dla Francji likwidację frontu niemiecko-rosyjskiego, a postulaty przebudowy społecznej pozbawiały francuską burżuazję ulokowanych w Rosji pieniędzy. A tę stratę odczuła Francja tym dotkliwiej, że była poważnie zadłużona, a stan jej finansów przedstawiał się katastrofalnie. Wystarczyło więc powodów, aby koła polityczno-gospodarcze III Republiki wrogo patrzyły na umacniającą się władzę bolszewików. Premier Clemenceau sądził, że tym szybciej oni przegrają, im prędzej uda się „skoordynować akcję wszystkich ich przeciwników”. W tej grupie nie mogło zabraknąć Polski, będącej tradycyjnym wrogiem Rosji. Paryż sądził, że uda się skierować Polaków przeciwko „czerwonym”. W miarę upływu czasu porażki „białych”, protegowanych Paryża, i sukcesy „czerwonych” dowodziły, że Polska była jedyną zorganizowaną siłą, na którą Francja mogła liczyć. Dlatego Paryż musiał coraz częściej spoglądać ku Warszawie.

Sytuacja Francji, mimo zwycięstwa w wojnie, nie była najlepsza. Francuskiej opinii publicznej wydawało się, że skoro ich państwo wygrało wojnę z Niemcami, to tym samym

stanie się, jak niegdyś, pierwszym mocarstwem Europy. Rzeczywistość odbiegała jednak znacznie od wyobrażeń przeciętnego Francuza.

Republika poniosła szczególnie dotkliwe straty w ludziach (1350 tys. zabitych i 600 tys. inwalidów, nie licząc 4266 tys. rannych), co obniżało drastycznie możliwości rozwoju demograficznego. Szybko obliczono, że straty te będzie Francja odrabiać przez 66 lat, podczas gdy Niemcy uczynią to w ciągu 12 lat (w 1919 r. ludność Niemiec była o 20 mln liczniejsza od ludności Francji). Poważne były też straty materialne - sięgały jednej piątej majątku narodowego - mimo że działania wojenne objęły tylko 7% terytorium państwa.

Trzeba było z dnia na dzień przestawić gospodarkę na tory pokojowe i jednocześnie dać pracę milionom demobilizowanych żołnierzy. Wyraźnie spadła, wartość pieniądza, a wraz z tym nastąpił wzrost cen i spekulacja. Zadłużenie skarbu państwa sięgało 156 mld franków (w 1914 r. tylko 35 mld franków). Deficyt w handlu zagranicznym wzrósł z 1,5 mld do 17 mld franków. Nie było w tym nic dziwnego, skoro import w 1919 r. kształtował się na poziomie około 90% stanu przedwojennego, a eksport równał się niecałemu 25% stanu z 1913 r. Wspominaliśmy już o stracie kapitałów zainwestowanych w Rosji. Sytuację pogorszył również nieurodzaj, zmuszając rząd do importu milionów ton zboża i innych artykułów spożywczych.

Wszystko to świadczyło, że zwycięstwo nad Niemcami nie było tak trwałe i ostateczne, jak wydawało się wyczerpanemu wojną społeczeństwu francuskiemu. W wyniku wojny Francja uzależniła się w ogromnym stopniu od pomocy i dostaw anglo-amerykańskich, straciła też rosyjskiego sojusznika na wschodniej granicy Niemiec i mogła się spodziewać, że Berlin będzie w stanie przygotować się do rewanżu. Politycy francuscy uświadomili sobie, że w konfrontacji z Niemcami Francja nie miała zbyt wielkich szans.

Pewną formą zabezpieczenia mogło być skrępowanie polityki niemieckiej odpowiednimi postanowieniami traktatowymi i narzucenie Rzeszy wysokich odszkodowań za straty wojenne. Tak wysokich, aby sparaliżowały niemiecki potencjał gospodarczy. W Paryżu pamiętano, że Francja nie tak dawno przecież płaciła Niemcom reparacje za wojnę 1870 r. Dlaczegoż więc Berlin nie miałby uczynić tego samego? „*Le boche payera tout*” (Szwab zapłaci wszystko) - takie było hasło francuskiej polityki w obliczu Wersalu. W rezultacie strona francuska określiła swoje roszczenia na 209 mld franków w złocie i domagała się, aby zobowiązać Niemcy do zapłaty tej ogromnej sumy. Brytyjczy eksperci ocenili, że zdolności finansowe Rzeszy zamykały się w kwocie 12 mld franków. Lloyd George nie chciał zbyt osłabiać Niemiec, obawiając się, że wtedy Paryż uzyska nadmierną przewagę w Europie, a Berlin może związać się z Moskwą. Londyn zapewniał, że w razie zagrożenia niemieckiej armii brytyjska natychmiast pospieszy Francji z pomocą, i chociaż marszałek Foch ostrzegał, że taka pomoc nie zapobiegnie klęsce Francji, politykom francuskim nie udało się uzyskać trwałego zabezpieczenia od strony Niemiec.

Tak więc ponownie Paryż stanął przed koniecznością znalezienia sojusznika, który mógłby go wesprzeć na wypadek konfrontacji z Niemcami. Na Rosję „białą” nie można było już liczyć, Rosję Sowiecką zaś traktowali Francuzi jako sprzymierzeńca Niemiec i wroga traktatu wersalskiego. Dlatego Francji pozostała tylko Polska, sojusznik o wiele słabszy od imperium Romanowów, ale niewątpliwie państwo najsilniejsze na terenie Europy Środkowej. „Polska - pisał Józef Kukułka (*Francja a Polska po traktacie wersalskim 1919-1922*) - zajmowała miejsce szczególne w planach francuskich ze względu na swe położenie geograficzne, obszar, ilość ludności i stosunkowo dużą armię; liczne konflikty z sąsiadami czyniły z niej chwiejny czynnik równowagi europejskiej, ale w związku z tym pewnego klienta Francji”. Paryż sądził, że zdoła związać z sobą państwa Europy Środkowej - nie tylko Polskę, ale również Czechosłowację, Jugosławię, Rumunię, a nawet Austrię i Węgry. Politykom francuskim wydawało się, że w gąszczu sprzecznych interesów w tym rejonie

zachowują rolę arbitra, który skutecznie zdoła zahamować niemiecką ekspansję na teren Europy Środkowej.

Postawa Polski decydowała w znacznym stopniu o postawie innych państw środkowoeuropejskich, wypadało więc skonkretyzować linię polityki Francji wobec Rzeczypospolitej. Na Quai d'Orsay było nadal wielu zwolenników odbudowania „wielkiej” Rosji, dlatego Polska miała być „przedsionkiem”, z którego można by odzyskać stracone kapitały. Polski przedsiönek nie musiał być zbyt wielki, aby nie drażnić Rosjan, ale winien być gospodarczo podporządkowany Francji. Ten ostatni postulat miał gorących zwolenników w kołach francuskich przemysłowców, którzy pamiętali o 300 mln franków ulokowanych w przemyśle na terenie należącym do Polski.

Rząd polski spotkał się wkrótce z żądaniami, które swymi rozmiarami wykraczały znacznie poza ramy normalnych stosunków międzypaństwowych. Czynniki rządowe Francji domagały się, aby władze polskie cofnęły uprawnienia przyznane polskim robotnikom (m.in. podwyżki płac, zasiłki dla bezrobotnych, prawo do strajku), a jednocześnie przyznały przedsiębiorstwom francuskim takie same uprawnienia, jakimi dysponowały polskie zakłady. Próbowano wywierać naciski, aby Polska nabywała francuskie towary luksusowe (np. perfumy, wina), posuwając się nawet do groźby, że w przeciwnym wypadku rząd Francji nie będzie popierał polskich postulatów terytorialnych. Wreszcie francuskim przedsiębiorstwom nie wystarczyło zrównanie w prawach z Polakami i zaczęto się domagać specjalnych uprawnień. Wspomniany już Józef Kukułka pisze: „Rzuca się w oczy fakt nierównoprawnego traktowania Polski, którą ze względów politycznych przedstawiciele Francji nazywali sojuszniczką. Tego rodzaju żądania ekonomiczne i interwencje dyplomatyczne były rzeczą niezwykłą w normalnych stosunkach międzypaństwowych równych partnerów”.

Na szczęście stanowisko Quai d'Orsay i francuskich bourgeois nie miało decydującego wpływu na postawę rządu. Szczerymi sojusznikami Polski byli prezydent Alexandre Millerand i marszałek Ferdinand Foch. Politycy ci uważali, że Francja musi doprowadzić do odbudowania wielkiej Polski, gdyż tylko wówczas będzie ona mogła stabilizować sytuację w Europie Środkowej. Zdanie to podzielało wielu francuskich wojskowych. Charakterystyczne były na przykład dwie notatki przesłane Fochowi przez gen. Paula Henrysa w styczniu 1920 r. Wynikało z nich, że generał - szef francuskiej misji wojskowej w Polsce - był przekonany o klęsce rosyjskich kontrrewolucjonistów i o konieczności wsparcia Polski w jej planach utworzenia „bariery obronnej” na Białorusi i Ukrainie.

„W 1919 r. - pisał w pamiętnikach były minister spraw zagranicznych Georges Bonnet - staraliśmy się o zapewnienie sobie na nowo sojusznika na wschodzie. Rosja podpisała w Brześciu Litewskim pokój z Niemcami. Była ona bardzo osłabiona, a w dodatku w opozycji ideologicznej. Clemenceau i Tardieu uważali, że nie może ona przyjść z żadną skuteczną pomocą Francji i że sojusznika należy szukać gdzie indziej. Decydujące francuskie czynniki umieściły wszystkie swe nadzieje w odrodzeniu Polski wolnej i niepodległej”. Sojusz z Polską stał się więc dla Francji palącą koniecznością. Temu też należy przypisać szybkie postępy na drodze do nawiązania bezpośrednich rozmów.

Początkowo pewną trudność stanowił fakt, że rząd w Warszawie został sformowany przez obóz przeciwników stronnictwa, które dotychczas miało monopol na stosunki z Francją (endecja). Francuzi podejrzewali piłsudczyków o skłonności germanofilskie, czego nie zarzucali endecji. Zdrażnienia powodował poseł Francji w Warszawie Eugene Prelon, usiłujący decydować o polityce polskiej. Na tym tle doszło nawet do rozdźwięków między Prelonem a generałem Henrysem, który potrafił nawiązać bardzo dobre stosunki z polskimi władzami, w tym również z Piłsudskim. Atmosfera ociepliła się, gdy Paryż zamienił aroganckiego posła na taktownego Hectora de Panafieu, który należał do grupy zwolenników rzeczywistej współpracy z Polską. On też uświadomił kierowniczym kołom Francji, że

endecy nie mieli monopolu na frankofilizm i, co więcej, coraz bardziej tracili wpływy na rzecz obozu Piłsudskiego. Wniosek był oczywisty: należało jak najszybciej nawiązać kontakty z marszałkiem. 25 grudnia 1920 r. rząd francuski zaprosił naczelnika państwa do złożenia oficjalnej wizyty we Francji.

3 lutego 1921 r. Józef Piłsudski w towarzystwie ministra spraw zagranicznych, Eustachego Sapiehy, i ministra spraw wojskowych, generała Kazimierza Sosnkowskiego, przybył do Paryża. W trakcie czterodniowej wizyty uzgodniono potrzebę podpisania sojuszniczego układu politycznego oraz zawarcia porozumień handlowych i konwencji wojskowej.

Dwa tygodnie później (19 lutego) akty te zostały podpisane. We wstępie do umowy politycznej partnerzy zapewniali, że podzielają troskę o zachowanie pokoju i bezpieczeństwa w Europie oraz że będą dążyli do zabezpieczenia swych terytoriów państwowych, a także wzajemnych interesów politycznych i gospodarczych. Służyć temu miały traktaty „wspólnie podpisane lub które będą później wzajemnie uznane”.

W pierwszym artykule strony zobowiązywały się „działać w porozumieniu we wszelkich sprawach polityki zagranicznej dotyczących obu państw”. Artykuł drugi zobowiązywał Francję i Polskę do nawiązania zgodnej współpracy gospodarczej. W trzecim rządy postanawiały uzgodnić formy obrony w wypadku, gdyby jedno z umawiających się państw stało się obiektem nie sprowokowanej agresji. W następnym artykule zobowiązywano się do wzajemnych konsultacji nowych układów, dotyczących polityki obu państw w Europie Środkowej i Wschodniej. Ostatni - piąty - postanawiał, że umowa polityczna będzie obowiązywała od momentu podpisania odpowiednich umów handlowych. Ten artykuł, jak słusznie podkreślił Jan Ciałowicz, dowodził, że „negocjatorzy francuscy, wobec jaskrawej dysproporcji, jaka zachodziła w potencjale Francji i Polski, nie uznawali tej ostatniej za równorzędnego sojusznika, a strona polska innego wyboru, jak przyjąć projekt francuski, nie miała”. Tekst umowy wskazywał, że wpływy sekretarza generalnego MSZ Philippe'a Berthelota (niechętnego sojuszowi z Polską), któremu zlecono redakcję tego aktu, zaznaczyły się w wyraźnym zachwianiu proporcji między jego polityczną a gospodarczą zawartością.

Mimo to Polsce zależało na rychłym podpisaniu umowy z Francją ze względu na wymogi ówczesnej sytuacji politycznej. Chodziło o zapewnienie bezpieczeństwa od strony Niemiec, mocniejszą pozycję w rokowaniach w Rydze, możliwość zawiązania sojuszu z Rumunią i wreszcie poparcie Paryża w staraniach o rewindykację Górnego Śląska. Wszystko to przełamywało obiekcje Polaków, którzy dostrzegali dotkliwość warunków gospodarczych i politycznych sojuszu - Paryż mógł zawsze interpretować umowę w duchu niekorzystnym dla Polski. Obawy takie można było żywić choćby na podstawie wątpliwości trapiących Francuzów, które wyraził ówczesny polityk Jacques Bainville: „[...] byłoby już szaleństwem wyobrazić sobie, że Polacy będą naszymi przyjaciółmi w naszym konflikcie z Niemcami”.

Podobne wątpliwości pojawiły się w związku z zamiarem zawarcia konwencji wojskowej. Sekretarz generalny Quai d'Orsay Berthelot twierdził, że „sojusz wojskowy francusko-polski nie jest ani możliwy, ani pożądaný”, natomiast Foch sugerował, aby z zawarciem sojuszu poczekać, aż Polacy umocnią państwo, ustabilizują gospodarkę i zorganizują armię. Dowodem tej stabilizacji miało być zawarcie traktatu pokojowego z Rosjanami. Przeważało jednak stanowisko Milleranda.

W dniu podpisania umowy politycznej podpisano też konwencję wojskową.

Artykuł pierwszy konwencji wskazywał na Niemcy jako potencjalnego agresora i wyliczał sytuacje, które nakładały na strony obowiązek czynnego reagowania (ogłoszenie przez Berlin mobilizacji lub niewykonywanie postanowień traktatowych). W takich wypadkach miano „udzielić sobie pomocy skutecznej i szybkiej i działać wspólnie”. „Za agresję niemiecką - stwierdzono - uważana będzie wszelka agresja wychodząca z terytorium

podlegającego rządowi niemieckiemu, tak jak to terytorium określone jest przez traktat wersalski”.

Drugi artykuł obowiązywał Francję do wsparcia Polski w wypadku „zagrożenia wojną przez republikę Sowiecką lub w razie napadu tej ostatniej”. W takich sytuacjach Francja miała zapewnić Polsce „bezpieczeństwo od strony Niemiec”.

W trzecim artykule precyzowano zagadnienie francuskiej „pomocy bezpośredniej” dla Polski, którą ograniczono do „wysyłki materiału wojennego i kolejowego”, natomiast wykluczono „wysyłanie walczących wojsk francuskich”. Ponadto Francja „w miarę swych środków” miała zabezpieczyć linie komunikacyjne między obu państwami.

Artykuł czwarty określał skalę wysiłku zbrojnego Polski i rozmiary pomocy francuskiej. W punkcie „A” czytamy: „Polska zobowiązuje się wprowadzić dwuletnią obowiązkową służbę wojskową oraz utrzymywać w czasie pokoju 9 brygad kawalerii i minimum 30 dywizji piechoty (łącznie z odpowiednimi broniąmi i służbami, stanowiącymi organiczną część dywizji), a w drugiej kolejności odpowiednią proporcjonalnie ilość formacji odwodów wszystkich głównych broni (artyleria lekka, artyleria ciężka, czołgi, saperzy, lotnictwo itd.)”.

Punkt „B” określał rozmiary zobowiązań francuskich. Polegały one na pomocy materiałowej przy unifikacji uzbrojenia polskiej piechoty i artylerii, tworzeniu zapasów mobilizacyjnych amunicji i granatów na okres 6 miesięcy wojny oraz rozbudowie wojsk pancernych, lotnictwa, wojsk łączności i chemicznych. Ponadto ustalono etat wielkich jednostek WP.

W artykule piątym stwierdzono: „[...] w celu zapewnienia armii polskiej materiału wojennego, niezbędnego do jej mobilizacji i do zaopatrzenia weń podczas wojny, Polska zobowiązuje się do rozbudowy, z pomocą Francji, swego przemysłu wojennego według specjalnego planu”.

W ostatnich artykułach określono warunki współpracy władz wojskowych obu krajów. Tekst konwencji był tajny.

Artykuły konwencji bardzo wyraźnie określały zobowiązania Polski, natomiast dość enigmatycznie obowiązki Francji. I w tym wypadku partner polski nie miał takich samych uprawnień jak strona francuska. Było to niewątpliwie działanie dość krótkowzroczne, gdyż współpracy Polski Francja wówczas bardzo potrzebowała. Można by się zastanowić, w jakim stopniu na sposób funkcjonowania sojuszu w przyszłości wpłynęła tzw. zła wola Warszawy, a w jakim był to efekt błędów francuskich popełnionych już w trakcie jego zawierania.

Przekonanie, że Polska była jedynie „zastępczym sojusznikiem”, musiało tu odgrywać pewną rolę, skoro nawet Millerand określił takim mianem nową sojuszniczkę.

### **3. Złe lata**

Rozdrobnienie polityczne w Polsce uniemożliwiało stworzenie trwałej większości sejmowej, która mogłaby stać się podstawą ustabilizowanego rządu. Mimo to Ministerstwo Spraw Zagranicznych było bodaj jedynym resortem, na którym nie odbiły się zbyt wyraźnie kryzysy rządowe. Wprawdzie po zabójstwie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza, i upadku ówczesnego gabinetu było kolejno pięciu ministrów spraw zagranicznych, ale poza Aleksandrem Skrzyńskim wszyscy oni wywodzili się z kręgu Narodowej Demokracji. Powinno więc być prawdziwe stwierdzenie, że do przewrotu majowego zwolennicy Dmowskiego mieli bezpośredni lub co najmniej pośredni, ale dominujący - jako najsilniejsze ugrupowanie w sejmie - wpływ na polskie poczynania na arenie międzynarodowej.

Podstawowym założeniem polityki zagranicznej Narodowej Demokracji było orientowanie się na Francję. Wprawdzie sojusz z Francją nie był nigdy kwestionowany i obowiązywał również wtedy, gdy narodowi demokraci stracili swe wpływy, jednak zwolennicy Piłsudskiego nie mieli tak „bezkrytycznego” stosunku do polityki III Republiki jak narodowcy. Te sympatie wynikały z linii politycznej Dmowskiego, który po porażce koncepcji stawiającej na „białą” Rosję uznał Francję za głównego alianta Polski.

Myśl polityczna obozu narodowego była jednoznacznie antyniemiecka, co nie oznaczało, niestety, że wpływała korzystnie na działalność ministrów I z ND. Po pierwsze sam Dmowski nie umiał stworzyć jasnych i realnych podstaw programowych polityki zagranicznej Polski Odrodzonej. Dowodem na to była wydana w 1925 r. - a więc uwzględniająca doświadczenia pierwszych lat niepodległości - książka Dmowskiego *Polityka polska i odbudowanie państwa*, w której znalazły się jedynie trochę odświeżone, ale formułowane jeszcze przed wybuchem I wojny światowej poglądy na sprawę polską. Dotyczyło to głównie fundamentalnej dla ideologii polskich narodowców pracy Dmowskiego *Niemcy, Rosja i kwestia polska* z roku 1908. *Polityka polska...* została odebrana jako dorobione *ex post* uzasadnienie działalności endecji w okresie narodzin Drugiej Rzeczypospolitej i ta metoda wycisnęła wyraźne piętno na potraktowaniu problemu niemieckiego. Ideolog narodowych demokratów zdawał się przeceniać siłę państwa polskiego, co było naturalne o tyle, że endecja uważała się za właściwego twórcę państwa. Nie umiała jednak przyznać, że stworzyła państwo słabe.

Wróćmy jednak do problemu niemieckiego. „Odbudowanie Polski silnej - czytamy w *Polityce...* - z jej ziemiami zachodnimi uniemożliwiło Niemcom ciężenie nad Rosją i ekspansję na południowy wschód”. Dmowski zarzucił tak interesujący w jego twórczości wątek geopolityczny, który przed laty prowadził go do wielu konstruktywnych wniosków niezbędnych dla polityki państwa znajdującego się nadal „między Niemcami a Rosją”. A nawet zaczął bagatelizować siły Niemiec. Doszedł do przekonania, że kryzys gospodarczy i chaos polityczny zlikwiduje podmiotową rolę Rzeszy w Europie. Na skutek tych wszystkich zmian - twierdził Dmowski - ambicje imperialistyczne Niemiec tracą całkowicie podstawy realne. Naród niemiecki będzie musiał pozostać w swych granicach i w nich walczyć z ciężkimi skutkami przewrotu światowego”. Taka perspektywa inspirowała endecję do snucia planów gospodarczego i politycznego pokonania Niemiec w odległym czasie. Być może, że takie też było źródło koncepcji gospodarczego „obiedniania” Prus Wschodnich, które w rezultacie miały stać się kiedyś częścią Rzeczypospolitej.

W ten sposób wewnętrzne spory o „zasługi” między piłsudczykami a narodowcami przesłaniały elitom politycznym rzeczywisty obraz siły Polski. Granice zachodnie - których wytyczenie zapisywała endecja na swoje konto - były nie do obrony przy ataku przeważających sił niemieckich, a Narodowa Demokracja nie potrafiła sięgnąć po zdecydowane środki przy sprzyjającej koniunkturze międzynarodowej, jak to czynił niejednokrotnie Piłsudski. Stracone na zachodzie możliwości tym bardziej obciążają narodowych demokratów, że właśnie oni uważali się za zwolenników Polski antyniemieckiej - „piastowskiej”. Tymczasem wiara we Francję pozwalała tej ostatniej nie przejmować się zbyt interesami państwowymi Polski. Model sojuszniczej polityki na tę modłę zrealizowano w innym kraju - w Czechosłowacji. Jej rezultatem było Monachium. Pozycja polskiego ministra spraw zagranicznych podczas konferencji w Locarno stanowiła dość oczywisty dowód, że błędna była taka polityka.

Te słowa krytyki mogą się wydać nieporozumieniem, gdyż jednocześnie przedstawiciele Narodowej Demokracji prezentowali się społeczeństwu jako zwolennicy twardego kursu w stosunku do Niemiec. Były to niestety tylko słowa. W pamiętnikach długoletniego posła polskiego w Berlinie, Alfreda Wysockiego, znajdujemy następującą opinię: „Gdy czytało się »Gazetę Warszawską«, »Kurier Poznański« czy inny organ endecki,

zdawało się, że jest to stronnictwo ludzi najbardziej wojowniczych i w obronie praw naszych zjadłych. Cechy te znikwały jednak zupełnie, gdy zasiadali oni przy zielonym stole obrad z cudzoziemcami. Umowy zawarte za rządów Dmowskiego czy Seydy (Gdańsk, Włochy) były przeważnie okupowane dużymi stratami materialnej czy moralnej natury. Tak samo [...] prof. Rybarski, jeden z czołowych liderów narodowej demokracji, nie sprostął wytrawnym a podstępny luminarzom trybunałów międzynarodowych i zgodził się na dalsze ograniczenie suwerenności państwa polskiego, będące następstwem niedbałej i nienależycie uzasadnionej redakcji odnośnych postanowień traktatu wersalskiego”. W tym samym okresie, ale za rządów Skrzyńskiego, inny działacz endecji - Stanisław Kozicki - wołał na sali sądowej: „Potępiamy metodę uchylania się od stanowczych wystąpień w obronie najżywoźniejszych interesów państwa polskiego”. Wydaje się, że beznamiętny obserwator Wysocki miał sporo racji.

Narodowa Demokracja usiłowała zbliżyć Polskę do Czechosłowacji. Wszyscy wybitni politycy endecji, z Dmowskim na czele, doceniali znaczenie przyjaznych stosunków z południowym sąsiadem. Ale i w tej sprawie nie odnotowano znaczniejszych sukcesów. Eduard Beneš nie był najlepszym partnerem do rozmów z Polakami. Nie chciał on wiązać się z Polską, której granice miarodajne czynniki czeskie uważały za nietrwałe. W Czechosłowacji sądzono dość naiwnie, że Berlin zapomni o trzech milionach Niemców na terenie Czech, jeżeli zaspokoi swe rewizjonistyczne żądania na obszarze Polski. Nie świadczyło to najlepiej o przenikliwości czeskich polityków i ich przede wszystkim należy obciążyć winą za brak ścisłej współpracy między obu krajami. Jest więcej niż pewne, że taką współpracę można było nawiązać w czasie Locarno, gdyż politycy Narodowej Demokracji byli dla Czechów wyśmienitymi partnerami. Tymczasem właśnie podczas ministerium Mariana Seydy - jak twierdzi Jerzy Krasuski - stosunki z Pragą sięgnęły dna.

Po 1923 roku - zdaniem tego samego autora - dyplomacja polska nie miała żadnej koncepcji ułożenia stosunków z zachodnim sąsiadem. I chociaż może się wydać przesadzona opinia, że do 1925 r. politycy polscy nie zajmowali się problemem niemieckim, to na pewno prawdziwe jest stwierdzenie, że zajmowali się nim nieskutecznie. A były to lata, w czasie których Niemcy odbudowały swą mocarstwową pozycję w Europie (na szczęście nie uzyskały jeszcze równouprawnienia w zbrojeniach); minister Stresemann zdołał utwierdzić przyjazne Rzeszy stanowisko Anglii, doprowadzić do odprężenia z Francją, a zawierając układy lokarneńskie nie stracił dobrych stosunków z ZSSR.

W polskiej opinii publicznej zaczęły znajdować rezonans krytyczne uwagi piłsudczyków o stanie polskich interesów na arenie międzynarodowej. Trzeźwa linia polityki Poincarego ustępowała pacyfistycznym złudzeniom Brianda. Francja coraz wyraźniej schodziła na pozycje wykonawcy londyńskich dyrektyw.

W lutym 1924 r. zebrała się sejmowa komisja spraw zagranicznych, aby omówić politykę zagraniczną Polski. W toku obrad zabierali głos głównie działacze PPS. Domagali się oni porzucenia Francji i związania się z Anglią lub co najmniej większej samodzielności w stosunkach z Paryżem. Posłowie lewicowi sądzili, że pacyfizm okaże się kierunkiem korzystniejszym dla interesów Polski, stąd też postulat, aby dyplomacja polska włączyła się do przygotowań konferencji w Locarno. Posłowie prawicy nadal preferowali bezwzględne oparcie się na Francji.

Rezultat obrad ciała najbardziej miarodajnego dla ówczesnego MSZ był niewielki. Poza spostrzeżeniem, że polityczne centrum Europy przemieściło się z Paryża do Londynu, nic więcej nie zdołano wymyślić.

Znalezienia dróg wyjścia podjął się nowy minister spraw zagranicznych, a wkrótce również premier, Aleksander Skrzyński. Piastował on urząd ministra spraw zagranicznych od połowy 1924 r. do maja 1926 r., uważany był za zawodowego dyplomatę i cieszył się dość



sporym autorytetem w sejmie. W swojej polityce starał się uwzględniać poglądy wszystkich grupowań parlamentarnych.

Podstawą działalności Skrzyńskiego było dążenie do zbliżenia z Anglią ; bez konieczności osłabienia sojuszu z Francją. Zdając sobie sprawę z dążeń III Republiki, która zabiegała o angielskie gwarancje dla swych granic z Rzeszą, polski minister sądził, że działając na rzecz zbliżenia francusko-angielskiego; umocni pozycję własnego kraju. Pogląd ten wynikał z przekonania, że Rzeczpospolita zawdzięczała swoje istnienie traktatowi wersalskiemu, który był rezultatem współdziałania Paryża i Londynu. Dlatego coraz wyraźniejsza zbieżność polityki Anglii i Francji napawała go optymizmem. Utrwalenie tej tendencji miało według niego uchronić Polskę przed „dyplomatycznym atakiem Niemiec”.

Ważnym elementem umacniającym pozycję Polski w oczach Zachodu miały być dobre stosunki ze Związkiem Sowieckim. Skrzyński chciał uczynić Polskę pośrednikiem gospodarczym i politycznym między ZSSR a mocarstwami Europy Zachodniej.

Zabiegi Skrzyńskiego na terenie Anglii nie dawały początkowo wyraźniejszych rezultatów. Bardziej zachęcająca była postawa strony sowieckiej, która odpowiedziała pozytywnie na polskie inicjatywy. Ludowy komisarz spraw zagranicznych Geоргий Cziczerin w przemówieniu wygłoszonym 14 maja 1925 r. stwierdził: „[...] porozumienie [z Polską - R.Sz.] jest niezwykle ważne, ponieważ żadna większa napaść wojenna na nas nie może nastąpić bez udziału Polski. [...] Właśnie dlatego w ogólnych planach naszej pokojowej polityki stworzenie trwałych stosunków z Polską zajmie jedno z głównych miejsc”. Znaczenie tych słów osłabiał fakt, że zostały one wygłoszone w sytuacji, gdy Moskwa obawiała się, że Berlin porzuci linię Rapallo na rzecz bliskich związków z Anglią i Francją. Mimo to wizyta Cziczerina w Warszawie była ważnym wydarzeniem.

Pewne ocieplenie można też było obserwować w stosunkach z Czechami. Minister Beneš podkreślał publicznie, że jest zainteresowany kontaktami ze Skrzyńskim. I w tym wypadku musiało działać widmo porozumienia lokarneńskiego, które dla Czechów, podobnie jak dla Rosjan, było niewygodne. Praga obawiała się osamotnienia w prawdopodobnej konfrontacji z Rzeszą.

Na konferencję w Locarno zaproszono Beneša i Skrzyńskiego. Obaj ministrowie mieli szansę podjęcia wspólnej walki o równe prawa dla swych państw i taka taktyka wydawała się oczywista. Ich zdecydowana postawa mogła nie tylko pokrzyżować podstępne plany Stresemanna, ale nawet storpedować samą konferencję. Szczególnie spore były szanse Skrzyńskiego. Przybywał on do Locarno poprzedzony spekulacjami na temat niedawnego spotkania z Cziczerinem. Nikt nie wiedział, co polski minister chowa w zanadrzu. Stanowił czynnik niepewny, a więc godny zabiegów.

Niestety, możliwość wywarcia nacisku na Francuzów i Anglików zaprzepaścił sam Skrzyński. Natychmiast po przyjeździe zwołał konferencję prasową i wobec licznie zgromadzonych dziennikarzy zdementował pogłoski, jakoby Polska odnosiła się wrogo do przedmiotu obrad w Locarno. Przy okazji przedstawił merytoryczny zakres rozmów z sowieckim dyplomata i pozbawił się w ten sposób ostatniego atutu w rozgrywce, która go czekała. Niemcy i Anglicy uspokoili się, Francuzi odetchnęli z ulgą. Z interesami Polski można się było nie liczyć, skoro ze strony jej ministra nic nie zagrażało.

O taktyce Skrzyńskiego słusznie napisał znawca problematyki Locarno Wiesław Balcerak: „[...] zasygnalizowane posunięcie nie wydaje się właściwe. Jeżeli przyjęto skwapliwie propozycję wizyty radzieckiego męża stanu, jeżeli następnie przyjmowano go aż tak demonstracyjnie ciepło i serdecznie w przededniu spodziewanego wyjazdu do Locarno, to chyba z jakąś rachubą na oddziaływanie w celu uzyskania tam lepszych warunków. Postępując konsekwentnie, należałoby trzymać zebrany kapitał polityczny, który niejako siłą rzeczy owocowałby, chociażby w postaci nieświadomości i nurtujących wątpliwości, a nie roztrwaniać go przez stwierdzenie wszem wobec istotnego stanu. Tego kroku Skrzyńskiego

nie usprawiedliwia ewentualna obawa przed niebezpieczeństwem interpretacji zmiany stosunków polsko-radzieckich jako próby zastraszenia ani też stworzenia podatnego klimatu dla propagandy niemieckiej, insynuującej delegacji polskiej zamiar storpedowania konferencji. To prawda, że akcentowanie przez przedstawicieli polskich faktu zarysowującego się zbliżenia ze wschodnim sąsiadem jako dywersji przeciwko zachodowi pozostawałoby w sprzeczności z ogólnymi założeniami polityki polskiej, ale wystarczyło zachować poprawno-konstruktywne stanowisko z odpowiednią powściągliwością i pozostawienie partnerom nurtujących ich wątpliwości. Dlatego też zdaje się, że w danym wypadku Skrzyński [...] przeholował w swym bazowaniu na pokojowo-konstruktywnej zasadzie, determinującej poczynania polskie na konferencji lokarneńskiej”.

Metoda postępowania Skrzyńskiego w rezultacie odbiła się na nim samym. Musiał bowiem czekać pod drzwiami sali obrad, aż delegacja niemiecka zgodzi się na wprowadzenie Polaków i Czechów. „Panowie Beneš i Skrzyński - mówił z satysfakcją Stresemann w jednym ze swych publicznych wystąpień - musieli [...] siedzieć w sąsiednim pokoju, dopóki ich nie wpuściliśmy. Była to sytuacja państw, które dotychczas sztucznie podkarmiano, by były sługami innych, a porzucono je w momencie, gdy uznano za możliwe porozumieć się z Niemcami”.

Debata ratyfikacyjna w sejmie oraz głosy publicystów i wojskowych określały rezultaty Locarno jednoznacznie jako cios zadany interesom Polski przez jej francuskiego sojusznika. Nie pomogły krzepiące wypowiedzi ministra Skrzyńskiego, który dowodził, że „udało mu się” zachować jednolity front z Anglią i Francją”. Zresztą w samej Francji znaleźli się ludzie nazywający „pakt reński” zdradą Polski przez francuską sojuszniczkę.

Józef Piłsudski negatywnie ocenił Locarno, widząc w nim dyskryminację Polski, nadszarpięcie międzynarodowego autorytetu Rzeczypospolitej i zachętę dla niemieckiego rewizjonizmu. Marszałek uważał, że polski minister nie powinien był podpisywać aktów końcowych konferencji lokarneńskiej. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że Locarno było jednym z czynników utwierdzających Piłsudskiego w przekonaniu, że powinien sięgnąć po władzę.

Podpisanie „paktu reńskiego” zbiegło się w czasie z inną „pokojową” akcją Rzeszy. Była nią wojna celna, którą Niemcy nękały gospodarkę polską przez całe dziesięciolecie (do 1934 r.). Był to niejako uboczny zysk umacniania przyjaznych stosunków między dwoma potężnymi sojusznikami kosztem interesów Polski. W wypadku polityki ministra Skrzyńskiego raz jeszcze potwierdziło się przysłowie o dobrych chęciach. W polityce liczą się nie tylko programy, ale i skutki ich realizacji. Nie ulega natomiast wątpliwości, że program Skrzyńskiego nie przyniósł Polsce zbyt wiele dobrego. Sumując wyniki obrad w Rapallo i Locarno, można było bez trudu stwierdzić, że Polska znalazła się w kompletnej izolacji.

#### **4. *Polnische Wirtschaft i Ostflucht***

W połowie lat dwudziestych europejska opinia publiczna przestawała z wolna wierzyć niemieckim zapewnieniom o „sezonowości” państwa polskiego. Rzeczpospolita mimo licznych trudności i niepowodzeń radziła sobie często lepiej niż silna i zasobna Rzesza.

W Berlinie rozumiano, że jedynym środkiem zdolnym wymusić na Polakach ustępstwa może być wojna. I wybuchła ona wiele lat przed „wrześniem”, wiele też lat przed zajęciem przez Adolfa Hitlera fotela kanclerskiego. Tyle tylko, że była to wojna bez wystrzałów. Rolę najeźdźczych armii wyznaczył niemiecki rząd gospodarce Rzeszy. Właśnie wtedy gdy Polska zaczynała dźwigać się ze straszliwych zniszczeń wojennych, miał

paść cios. Odcięcie Polski od rynków zbytu jej produktów, zahamowanie dopływu nowych maszyn i urządzeń, blokowanie handlu w Gdańsku, torpedowanie transakcji pożyczkowych - oto środki, którymi chciano zastąpić bombardowania, bitwy i okupację.

Atak został skierowany w najsłabsze ogniwo młodego państwa. Można bowiem w miarę szybko stworzyć administrację państwową, nawet armię, ale stworzenie sprawnego i zintegrowanego organizmu gospodarczego z dnia na dzień jest niemożliwością. Budowanie potencjału gospodarczego wymaga wysiłku pokoleń. Tymczasem sytuacja gospodarki polskiej, odziedziczonej po zaborcach, była wyjątkowo trudna. Dawne związki gospodarcze zostały przerwane, przecięte nowymi granicami. Obcy kapitał - ze znacznym udziałem niemieckiego - chciał nadal eksploatować, natomiast nie był skłonny do inwestowania. Wpływy niemieckich, angielskich i francuskich kapitalistów ciążyły fatalnie na słabej gospodarce polskiej. Trzeba było jednoczyć ziemie należące przedtem do trzech różnych organizmów gospodarczych i opierać się tendencjom odśrodkowym.

Sytuacja skarbu państwa polskiego w pierwszych latach niepodległości była bardziej niż zła, była rozpaczliwa. Nie istniały podstawowe instytucje aparatu skarbowego, używano sześciu rodzajów pieniędzy. Lata wojny nie tylko zubożyły, ale i zdemoralizowały podatników. Wydatki rządu tworzącego się państwa rosły w szybkim tempie.

Poszukiwano gwałtownie źródeł finansowania podstawowych dziedzin życia państwowego. Najprostszym sposobem wydawało się uzyskanie pieniędzy z podatków. Ale najpierw należało przeprowadzić unifikację stawek podatkowych, gdyż przedwojenne były nieadekwatne do sytuacji po 1918 r. Państwo, z gospodarką opartą na prywatnych przedsiębiorstwach, nie mogło też zbyt zaostrzać zobowiązań fiskalnych, ponieważ ograniczając wielkość zysku, można było spowodować zamykanie fabryk i zaostrzenie bezrobocia. Brak najbardziej podstawowych danych w tej dziedzinie nie pozwalał na właściwe ustawienie stopy podatkowej w całym państwie. Musiały minąć lata, aby można było tę sytuację unormować.

Innym rozwiązaniem, które wówczas wydawało się jedynym, były próby uzyskania pomocy finansowej z zagranicy. Premier Ignacy Paderewski twierdził, że Polska potrzebowała „wielkiej, ogromnej pożyczki [...], ogromnego zagranicznego kredytu”. Usiłowano zainteresować kapitał obcy różnymi ułatwieniami, aby tylko zechciał on zaangażować się w odbudowę przemysłu.

Starania o kredyty nie dały jednak oczekiwanych rezultatów. W ciągu ośmiu lat zebrano niewiele ponad 300 mln dolarów. Pieniądze te, uzyskane często na bardzo ciężkich warunkach, nie odegrały jednak większej roli w rozwiązywaniu gospodarczych problemów Polski.

Władzom nie pozostało więc nic innego jak emisja banknotów. Początkowo korzystano z zapasów pieniędzy pozostawionych przez okupantów. Niskie dochody i rosnący niedobór w budżecie państwa powodowały, że kolejni ministrowie skarbu zwiększali obieg pieniędzy. W rezultacie wzrósł on z 8 mld marek polskich w 1918 r. do 125 372 mld marek w 1923 r. W ten sposób gospodarka polska weszła ze stanu ożywienia podinflacyjnego do hiperinflacji, grożącej państwu katastrofą finansową.

Podatki i pożyczki zagraniczne uzależnione były od stanu gospodarki, którą należało dopiero odbudować. A odbudować to sprowadzić maszyny i urządzenia oraz znaleźć rynki zbytu na polskie produkty. Polski rynek wewnętrzny był ciągle ubogi, a struktura wytwórczości nie odpowiadała potrzebom wewnętrznym państwa.

Problem przypominał kwadraturę koła. Gospodarka polska miała wadliwą strukturę, aby ją jednak zmienić, trzeba było uzyskać odpowiednie środki. Środki te można było otrzymać tylko po odtworzeniu tradycyjnych kontaktów handlowych z państwami niegdyś zaborczymi. Państwa te tymczasem, przede wszystkim Niemcy, zdawały sobie sprawę z

dążeń Warszawy i aprobowały wymianę handlową, ale taką, która umacniałaby uzależnienie Polski i nie pozwalała na stworzenie odrębnego organizmu gospodarczego.

Sytuacja Polski była, tym trudniejsza, że jedynym poważnym partnerem w ówczesnej sytuacji mogła być Rzesza. Podstawowym artykułem polskiego eksportu na rynki niemieckie była przed wojną żywność (przed 1914 r. 80% zboża i 100% bydła rzeźnego wywożono z zaboru pruskiego do Rzeszy). Przemysł górnośląski, opanowany przez kapitał niemiecki, był ściśle powiązany z gospodarką Niemiec. Rzesza produkowała maszyny i urządzenia tak bardzo potrzebne zdewastowanej gospodarce polskiej. A więc wydawało się, że było co kupować i czym płacić.

Znacznie słabiej wyglądały możliwości odtworzenia związków z rynkiem rosyjskim. I chyba niekoniecznie ze względów ideologicznych. Zniszczona w czasie wojny Rosja Sowiecka podobnie jak Polska potrzebowała maszyn i urządzeń przemysłowych. I podobnie jak Polska mogła zaoferować do wymiany handlowej żywność i surowce. A zatem handel polsko-sowiecki dawał obu stronom małe korzyści. Wprawdzie Polska miała stosunkowo silny przemysł ciężki na Górnym Śląsku, ale okręg ten objęła w posiadanie dopiero 29 czerwca 1922 r. A Rosja Sowiecka kilka miesięcy wcześniej (16 IV 1922) zawarła układ w Rapallo, który gwarantował współpracę z Niemcami. W tych warunkach atrakcyjność handlowej oferty Polaków musiała jeszcze bardziej zmaleć. Dodajmy, że władze polskie miałyby duże trudności, gdyby chciały zmusić obcych kapitalistów do zerwania związków z rynkiem niemieckim i skierowania górnośląskich wyrobów do ZSSR. Manewr taki był możliwy dopiero po istotnym ograniczeniu obcych wpływów na Górnym Śląsku (około 1930 r.).

Rząd Niemiec doskonale zdawał sobie sprawę z położenia Polski. W Berlinie znano wyliczenia ekspertów, którzy stwierdzili, że zniszczenia wojenne opóźniły rozwój polskiej gospodarki o 14 lat. Gospodarka niemiecka, będąca potęgą przed wojną i rozwijająca się w czasie wojny, nie została zniszczona. Rzesza miała wyśmienitą pozycję do „agresji ekonomicznej” na Polskę.

Niemiecka propaganda szerzyła pogardliwą tezę o polskiej niezdolności do działania w sposób zorganizowany. Pokpiwano z polskiej gospodarki (*polnische Wirtschaft*), która miała być synonimem bałaganu i marnotrawstwa. Wystarczyło więc postarać się, by ta opinia potwierdziła się w życiu, a Polacy znaleźliby się w poważnych tarapatkach. Myśl tę podzielał, jak się zdaje, sam Stresemann, skoro w jednym z listów dał wyraz przekonaniu, że uregulowanie spraw zagranicznych z Polakami będzie tak długo niemożliwe, jak długo „Polska nie znajdzie się w katastrofalnej sytuacji finansowej, a cały jej organizm państwowy w stanie zupełnego rozkładu”. Jak przełożyć tę myśl na język praktyki? - zastanawiali się podwładni Stresemanna.

Postanowiono zerwać stosunki gospodarcze z Polską. Rzesza wstrzymała import węgla i produktów rolnych z Polski, wprowadziła obostrzenia celne i nie zgadzała się na podjęcie rokowań handlowych bez wstępnych ustępstw politycznych ze strony polskiej. Auswärtiges Amt wyrażał przekonanie, że zawarcie układu handlowego ożywiłoby życie gospodarcze Polski i mogło rozwiązać wątpliwości państw anglosaskich dotyczących pożyczki dla Warszawy. Miałoby to - twierdzili niemieccy specjaliści od stosunków zagranicznych - groźne następstwa, oznaczałoby bowiem stabilizację polskiej gospodarki. „Jasne jest - czytamy w sporządzonej w tej sprawie instrukcji - że taka Polska nie będzie skłonna do ustępstw wobec niemieckich żądań rewizji granic”.

Gończącymi zwolennikami wojny gospodarczej z Polską byli właściciele majątków w Prusach Wschodnich. Przyczyną tej postawy, obok wrogości do naszego kraju, były interesy junkrów, którzy obawiali się, że import polskiej żywności spowoduje spadek cen na artykuły rolne z terenów pruskich. Sekundowali im właściciele kopalń węgla kamiennego, obawiający się konfrontacji cenowej z polskim węglem. Rzecznikiem interesów pruskich obszarników

był minister wyżywienia i rolnictwa Martin Schiele. W jego memoriale przedstawionym rządowi Niemiec znalazły się znamienne dla pruskich obaw słowa: „[...] przyszłość polityczna niemieckiego Wschodu zależy bezpośrednio od stworzenia pasa możliwie gęstego zaludnienia chłopstwem zasiedzającym i wiernym niemczyźnie. Polska wykazuje znacznie wyższy przyrost naturalny niż Rzesza Niemiecka. [...] Przeciwwstawienie akcji rozkładowej, podjętej ze strony polskiej, skutecznego, żywotnego i zdolnego do życia bastionu z tej strony granicy niemieckiej jest nieuniknioną koniecznością (...) dla bytu narodowego nie tylko niemieckiego Wschodu, lecz w ogóle narodu niemieckiego”.

Odmienne zdanie miał na ten temat minister przemysłu, Julius Curtius. Oczywiście nie chodziło o jakikolwiek polonofilizm. Po prostu przemysłowcy niemieccy wiedzieli, że warunkiem wstępnym podporządkowania Polski Niemcom musi być zależność gospodarcza, a tej nie można osiągnąć przez odcięcie się od polskiego rynku. Curtius przypominał czasy, kiedy to Niemcy decydowały o jednej trzeciej polskiego handlu zagranicznego. Tłumaczył kolegom ministrom, że Polska jest jednym z „największych państw europejskich”, zdolnym „do wielkiego rozwoju”, a Niemcy, wstrzymując się od kontaktów handlowych, przyspieszają jej rozwój przemysłowy, umacniają jej niezależność i tracą drogi tranzytowe do ZSSR i krajów azjatyckich. Dlatego koła przemysłowe Rzeszy były przeciwne wojnie gospodarczej z Polską.

Mimo to konflikt trwał i przybierał na sile. A widoki na załamanie Polaków malały z każdym dniem. Niemieckie MSZ z zaniepokojeniem notowało wzrost nastrojów opozycyjnych w gronie przemysłowców niemieckich niechętnych wojnie celnej. Wybijał się w tym zdecydowanie przemysł śląski. Już w maju 1927 r. - kiedy Auswärtiges Amt sądził jeszcze, że doprowadzi do kapitulacji Polski - we Wrocławiu powstała organizacja, stawiająca sobie za cel doprowadzenie do porozumienia gospodarczego z Polską. Deutscher Wirtschaftsbund für Polen skupił czołowych przedstawicieli dolnośląskiego przemysłu. Jego działacze byli autorami opracowania przesłanego prezydentowi Rzeszy, w którym dowodzili - nie bez racji - że wojna gospodarcza zagraża samym Niemcom. Przemysłowcy wskazywali na organiczny związek przemysłu nadodrzańskiego z ziemiami znajdującymi się w granicach Polski. Dowodzili, że przerwanie tych więzi spowoduje całkowitą pauperyzację niemieckich prowincji wschodnich. „Jeśli obecny stan - stwierdzano w konkluzji - niskiego poziomu dobrobytu prowincji wschodnich będzie trwał nadal, to wszystkie te obszary - a szczególnie cenny Dolny Śląsk - zostaną zagrożone również pod względem narodowym, albowiem będą musiały opustoszeć [...], ich zaś obszary zostaną zalane masami obcej ludności o niższych wymaganiach życiowych. Państwa sąsiednie [...] wyciągną konsekwencje z napływu ich ludności na obszary graniczne”.

Jakże odmienne były reakcje strony słabszej w konflikcie - Polski. Polacy mieli niezachwianą pewność, że podejmowane wysiłki nie dadzą Berlinowi oczekiwanych wyników. Świadomość poprawy koniunktury gospodarczej i zakończona - w zasadzie - odbudowa zniszczeń wojennych napawały optymizmem tak rząd, jak i społeczeństwo. Przemysł polski z ulgą witał wycofanie się groźnego konkurenta niemieckiego z polskiego rynku. W ogłoszonym w lipcu 1925 r. artykule premiera Władysława Grabskiego można było przeczytać: „Witamy tę walkę z radością. W ogniu wielkiej wojny światowej został wykuty kosztem wielkich ofiar i strat z naszej strony nasz niepodległy byt państwowy. W twardej walce o nasz codzienny byt gospodarczy wywalczymy wreszcie ostatecznie całkowitą niezależność gospodarczą od naszych sąsiadów”. Po upływie pięciu lat pismo „Polska Gospodarcza” mogło w pełni potwierdzić, że optymizm Grabskiego był uzasadniony. W komentarzu redakcyjnym wskazywano, że wojna gospodarcza przyspieszyła procesy integracyjne ziem polskich i definitywnie odwróciła przemysł górnośląski od Rzeszy. Zbudowany w Gdyni port uwolnił polski handel od konieczności korzystania z usług

wrogię Polsce Gdańska, a Niemcy straciły swą monopolistyczną pozycję w handlu zagranicznym Polski.

Konsultacje rządu z przedstawicielami polskich sfer gospodarczych utwierdzały polityków w nieustępliwości. Jedno z takich spotkań, zorganizowane przez premiera Kazimierza Bartla 1 listopada 1928 r., stanowiło dobitny dowód, jak reagował polski przemysł na wojnę gospodarczą z Rzeszą. Uczestnik tego spotkania Andrzej Wierzbicki wskazywał na rozbudowę polskiego przemysłu i uniezależnienie się od Niemiec. „Niemcom Bóg widocznie rozum odebrał” - powiedział prezes Centralnego Związku Polskiego Przemysłu. Podobnego zdania była reszta zebranych, zapewniając premiera, że w interesie Polski leży dalsza nieustępliwość rządu.

W końcu marca 1930 r. w „Gazecie Polskiej” zostało zamieszczone oświadczenie Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów, w którym tak oceniono minione lata konfliktu gospodarczego z Rzeszą: „[...] polskie organizacje gospodarcze twierdziły, że w sprawie tej każda zwłoka jest dla nas korzystna i że czas gra na rękę Polsce. Życie to potwierdziło [...]. Czas był naszym sprzymierzeńcem wiernym, my zaś sami aktywnie pracowaliśmy nad wzmocnieniem naszej sytuacji gospodarczej wewnętrznej i międzynarodowej, co nas w coraz większym stopniu uniezależniało od niemieckiego handlu i od niemieckiego kredytu”.

Formalnie rzecz biorąc wojna gospodarcza trwała do 1934 r., a szczególnie zastrzeżeniu uległa w latach 1932-1933. Był to już jednak tylko łabędzi śpiew niemieckich planów gospodarczego powalenia Polski. W 1930 r. kierownicze koła polityczne Rzeszy uświadomiły sobie, że Polacy wyszli z konfliktu obronną ręką. Zaślepieni nienawiścią Niemcy nie byli w stanie użyć bardziej podstępnego narzędzia ekspansji, jakim byłoby pogłębienie zależności Polski od Niemiec za pomocą określonych kontraktów handlowych. Obiektywnie rzecz ujmując, mieli przecież doskonałe pozycje wyjściowe do ataku. Był bowiem okres w naszych stosunkach handlowych (przed 1925 r.), kiedy to polski import z Rzeszy wynosił 34,5% globalnego importu Rzeczypospolitej, a eksport aż 43,2% - odpowiednie wielkości w roku 1934 wynosiły 13,5% oraz 16,6%. Niemcom nie udało się odzyskać dawnej dominującej pozycji w polskim handlu zagranicznym. A wiadomo przecież, że granica pięćdziesięciu procent w handlu jednego państwa z drugim, przy jednostronności tej relacji, oznacza uzależnienie gospodarcze, utratę suwerenności państwowej i ograniczenie niepodległego bytu. Przed wybuchem wojny celnej Berlin był więc bliski ideału. I z tego właśnie względu plany przedstawiciele niemieckich kół przemysłowych były znacznie groźniejsze dla przyszłości Polski niż zamiary pruskich junkrów, wegetujących dzięki pomocy finansowej udzielanej im przez rząd w Berlinie.

Wprawdzie wielki kryzys gospodarczy zahamował rozwój Polski, zapoczątkowany w latach 1926-1929, ale nie pozbawił jej wywalczonej samodzielności gospodarczej. Niemiecka teza o „polskiej gospodarce”, synonimie bałaganu, musiała powędrować do lamusa, tak jak to wcześniej trzeba było uczynić z hasłem o polskim *Saisonstaat*. Nie należy przy tym zapominać o kosztach wojny celnej, które Polska poniosła. Były one znaczne, zwłaszcza na terenie byłego zaboru pruskiego, gdzie związki z gospodarką niemiecką były szczególnie silne. Jednak mimo to polityczny, a w przyszłości także gospodarczy efekt tego konfliktu był dla Polski korzystny.

Niemcy przegrywały nie tylko w wojnie celnej. Podobnie działo się w sprawach mniejszości narodowych. Tutaj, tak jak w gospodarce, środki materialne przeważały szalę na stronę niemiecką. Ale Rzesza nie była już tak pewna wygranej z polskością jak przed laty. Co więcej, Niemcy uważali się za stronę atakowaną i przegrywającą. Niepodległa Polska była groźna nie tyle jako państwo, ale jako realny kształt polskich dążeń, który umacniał się mimo przewagi niemieckiej. Zachodnie dzielnice Rzeczypospolitej były bardzo silne i

narodowo zwarte, a graniczyły ze wschodnimi prowincjami pruskimi, które dawno straciły swe gospodarcze i wojskowe znaczenie dla Rzeszy.

Proces „ucieczki ze Wschodu” znajdował po 1918 r. dodatkowe uzasadnienie. Dla przeciętnego Niemca, który czytał prasę, straszącą agresją polską, który pamiętał powstania śląskie i wielkopolskie oraz wiedział, ile dywizji liczy Reichswehra, a ile Wojsko Polskie, było oczywiste, że na Zachodzie będzie mu nie tylko lepiej pod względem materialnym, ale i bezpieczniej. W ten sposób propaganda, zamiast mobilizować, jeszcze bardziej osłabiała wolę pozostania na „niebezpiecznym” pograniczu z Rzeczpospolitą.

Polska, państwo o ileż uboższe od Niemiec, potrafiła nie tylko szybko włączyć odzyskane ziemie zaboru pruskiego do polskiego organizmu gospodarczego i zapewnić im rozwój, ale również je zaludniła. W tym czasie po drugiej stronie granicy ziemie „pod Niemcem” borykały się z poważnymi, trudnościami. Ich rolniczy charakter oznaczał brak miejsc pracy w przemyśle, a pruscy obszarnicy strzegli swoich majątków, torpedując plany reformy rolnej, która zapewniłaby prawidłową strukturę własności i większą stabilizację gospodarczą tych terenów.

To wszystko wprawiało Prusaków w jeszcze większe rozdrażnienie. Świadomość, że rola Prus będzie ciągle malała, nie sprzyjała wyciąganiu prawidłowych wniosków. W Królewcu i Opolu sądzono, że ten niekorzystny trend można odwrócić poprzez brutalną walkę z polskością. Stąd bowiem szedł główny atak. Pruskie koła konserwatywne widziały, jak w ciągu kilku lat Polacy uporali się ze skutkami długoletniego procesu germanizacyjnego, który miał gwarantować, że Pomorze, Poznańskie i Śląsk pozostaną równie niemieckie jak zgermanizowane ziemie między Odrą a Łabą.

Należało więc jeszcze raz zastosować wobec Polski wypróbowaną pruską metodę „parcia na Wschód”. Jednym z argumentów uzasadniających konieczność Drang nach Osten było przeludnienie Rzeszy. Rzeczywiście, gęstość zaludnienia Niemiec była znaczna. Wynosiła ponad 130 osób na 1 km<sup>2</sup>, co stanowiło 0 60% więcej niż w Polsce. Nie oznaczało to jednak, że całe Niemcy i cała Polska były jednolicie zaludnione. Jeżeli bowiem w zachodnich, przemysłowych rejonach Rzeszy na 1 km<sup>2</sup> przypadało prawie 300 osób (Nadrenia - 297, Westfalia - 236), to w prowincjach graniczących z Polską wskaźnik ten był o wiele niższy. Gęstość zaludnienia była tu nawet mniejsza niż na przylegających do granicy ziemiach polskich (gęstość zaludnienia Prus Wschodnich - 61 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>, a województwa warszawskiego - 86 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>; Pomorza niemieckiego - 62 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>, a województwa pomorskiego - 66 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>; niemieckiej strony pogranicza - 43 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>, a województwa poznańskiego - 80 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>; niemieckiego Śląska - 142 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>, a Śląska polskiego - 307 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>).

Tak niski poziom zaludnienia wschodnich prowincji Rzeszy wydaje się niezrozumiały, gdyż właśnie tam notowano najwyższe liczby urodzeń. Na Górnym Śląsku wskaźnik przyrostu naturalnego wynosił 14,9, w Prusach Wschodnich - 11,7, na terenach graniczących z woj. poznańskim - 11,3, na Pomorzu - 10,5. Sprawa stawała się jasna po bliższym zbadaniu. Po pierwsze, największy przyrost naturalny miały te rejony Niemiec, gdzie była ludność polska. Po drugie, Niemcy wyjeżdżali, a tego ubytku nie mógł skompensować mały przyrost naturalny ludności niemieckiej. Na miejscu pozostawali gospodarze tych ziem - Polacy. Zresztą gdyby było inaczej, ludność Prus Wschodnich liczyłaby w 1925 r. ponad trzy miliony, a było jej o 800 tysięcy mniej. Niemieckie określenie *Volk ohne Raum* (naród bez obszaru), odnoszące się do wschodnich terenów pruskich, należało zamienić na „obszar bez narodu” niemieckiego.

Jak już wspominaliśmy, po zawarciu traktatu wersalskiego Rzesza nie mogła pozwolić sobie na likwidację „polskiego niebezpieczeństwa” siłą. Należało więc podjąć takie

działania, które nie pozwoliłyby wyjść z wprawy w walce z polskością i na razie likwidować ją na terenach znajdujących się w granicach Rzeszy.

Organizacją, czującą do tego szczególne powołanie, była dobrze znana przed wojny Hakata. Skupieni w niej ludzie opracowali obszerny program działań, których podstawowym celem miała być „ochrona Niemców mieszkających w [...] marchii granicznej przed dalszym naporem Polaków, szczególnie z za granicy, kosztem Niemców z pozostałych przy nas [przy Rzeszy - R.Sz.] terytoriów”.

Postanowiono zwalczać „polonizację” zwłaszcza tam, gdzie niebezpieczeństwo to było szczególnie widoczne (np. w powiecie złotowskim na Pomorzu). Działacze Hakaty ubolewali, że *Ostflucht* osłabia siłę bojową niemieczyny, i dokonali nawet obliczeń, ile to potencjalnych pułków piechoty tracili w ten sposób rokrocznie Niemcy na Wschodzie.

To Hakata wymyśliła fundowanie specjalnych stypendiów dla studentów pochodzących z rejonów nadgranicznych. W zamian absolwenci mieli wracać w swoje rodzinne strony i tam pracować nad wychowaniem młodzieży w niemieckim duchu. Warunkiem otrzymania takiego stypendium było niemieckie pochodzenie, miejsce zamieszkania na Wschodzie, a ponadto rodzice kandydata powinni należeć do grona aktywnych propagatorów niemieczyny. Do organizacji terenowych Hakaty należało wyszukiwanie odpowiednich kandydatów.

Działaniem obliczonym na znacznie szerszy zasięg było opracowywanie tzw. programów wschodnich, postulujących wprowadzenie ustawodawstwa wyjątkowego, godzącego w prawa obywatelskie mieszkającej w Rzeszy ludności polskiej. Programy takie przygotowywały zarządy terenowe Hakaty na Śląsku i na Pomorzu w 1927 r. Przewidywano w nich wprowadzenie zakazu osiedlania się na tych terenach Polaków, wydalenia polskich robotników sezonowych i delegalizację organizacji polskich. Zalecano też, aby zabronić księżom wygłaszania kazań w języku polskim, i zwracano uwagę na konieczność odpowiedniego doboru księży katolickich; chodziło o to, aby wspierali oni „politykę państwową”. Poza tym postulowano „utworzenie przez rozsądną politykę osiedleńczą pasa wzdłuż granicy wschodniej zasiedlonego godnym zaufania chłopstwem niemieckim” i „przeniesienie garnizonów do prowincji granicznych”.

Tym razem jednak hakatyści przedobrzyli. Pruscy obszarnicy nie zamierzali rezygnować z taniego polskiego robotnika sezonowego, tym bardziej że próby zatrudnienia niemieckich bezrobotnych nie dawały oczekiwanych rezultatów. Działacze pomorskiego okręgu Hakaty narzekali, że niemieccy bezrobotni są zbyt zepsuci akcją socjalną, a część z nich to jawni „bolszewicy”.

Sprawa nie została załatwiona. Rocznie około 300 tysięcy polskich robotników zjawiało się w niemieckich majątkach, a pewna część z nich starała się zostać tu na stałe.

Hakata postanowiła temu zapobiec przez powołanie specjalnej organizacji młodzieżowej (*Antanenenbewegung*), mającej zrzeszać młodych Niemców, którzy chcieliby podjąć pracę zarobkową na roli. Członkowie tej organizacji poddani byli dryłowi wojskowemu i wychowaniu nacjonalistycznemu. Ich patriotycznym obowiązkiem było żądać za pracę nie więcej, niż otrzymywali robotnicy polscy. Cel organizacji sformułowano następująco: „Pierwsze zadanie [...] polega na współzawodnictwie z pracą Polaków na roli. Najpierw zwycięstwo w ojczyźnie, najpierw zmęczenie i przewyciężenie w ojczyźnie - tak pojmujemy pieśń: »Na Wschód chcemy jechać«”.

Ale i tym razem wysiłki Hakaty dały mizerne wyniki. Po dwóch latach musiano stwierdzić, że walka z polskim robotnikiem została przegrana, ponieważ do *Antanenenbewegung* zgłaszało się zbyt mało chętnych.

Skoro zabrakło ochotników do wspierania niemieczyny, należało sięgnąć po środki państwowe. Stąd też w rezolucjach Hakaty zaczęły się pojawiać postulaty utworzenia w rządzie Rzeszy specjalnego ministerstwa prowincji wschodnich, które koordynowałoby działalność całego państwa w zakresie walki z polskością.



Rząd Niemiec nie pozostawał głuchy na te postulaty.

Utworzono specjalny fundusz centralny, którym dysponował wysoki urzędnik w randze ministra, tak zwany komisarz do spraw pomocy wschodniej. Fundusz ten miał stanowić wsparcie dla „narodowo zagrożonych prowincji wschodnich” i od 1926 r. Reichstag zaczął uchylać stałe kwoty na tzw. pomoc wschodnią - *Osthilfe*. W ciągu pięciu lat wydatkowano w ten sposób ponad miliard marek (równowartość rocznego budżetu Polski), ale widocznych rezultatów nie osiągnięto. Niemal całą tę kwotę pochłonęły akcje oddłużeniowe gospodarstw rolnych, a i tak nie zapewniło im to rentowności i nie wpłynęło na powstanie nowych miejsc pracy. Co więcej, rosnące trudności gospodarcze powodowały ponowne zadłużenie gospodarstw już uwolnionych od ciężarów i w ten sposób *Osthilfe* przynosiła jedynie straty. Dodać przy tym należy, że wpływy, jakie posiadali wielcy właściciele ziemscy w sferach rządowych, gwarantowały im uzyskiwanie większości sum z dotacji na „pomoc wschodnią”, co paraliżowało racjonalną gospodarkę znacznymi w końcu kwotami. Ustalono, że ponad połowę finansowych nakładów przeznaczonych dla prowincji wschodnich zagarnęli właściciele 720 majątków pruskich.

Junkrzy przeciwstawiali się też tzw. kolonizacji wewnętrznej (był to postulat Hakaty), która polegała na parcelacji dużych posiadłości i przekazywaniu ziemi w ręce chłopskie. Konserwatyści pruscy widzieli w tym przejaw „komunizmu” i przyczynili się do usunięcia rzecznika tego programu, komisarza Hansa Schlenge-Schoningena, z rządu niemieckiego.

Znacznie wyraźniej - co było bardziej zrozumiałe - Niemcy przegrywali na terenie państwa polskiego. Jednak i w tym wypadku relacje czynników materialnych niewiele tłumaczyły. Zwłaszcza że przewaga materialna utrzymywała się nadal po niemieckiej stronie. Pozycja społeczna i środki, jakimi dysponowała mniejszość niemiecka, decydowały o jej dużym wpływie na życie Polski. „W rękach burżuazji niemieckiej - napisał badacz społeczeństwa Drugiej Rzeczypospolitej Janusz Żarnowski - której udział był szczególnie wysoki wśród posiadaczy wielkich zakładów, znajdowała się niemała część majątku narodowego”.

Ludność niemiecka dysponowała rozwiniętą siecią własnych szkół i własnej informacji prasowej. W roku szkolnym 1926/1927 na terenie państwa polskiego istniały 754 niemieckie szkoły powszechne (90 tys. uczniów) i 41 szkół średnich. W 1932 r. ukazywało się 106 gazet i czasopism niemieckich, wśród których znaczną liczbę (42,5%) stanowiły pisma o charakterze politycznym. Działały partie niemieckie, stowarzyszenia gospodarcze i kulturalne. W sejmie i senacie zasiadali reprezentanci mniejszości niemieckiej: w 1919 r. - 8 posłów, w 1922 r. - 17 posłów i 5 senatorów, w 1928 r. - 21 posłów i 5 senatorów.

Mimo to w miarę upływu czasu liczba ludności niemieckiej odziedziczona po latach zaboru malała. Najpierw opuścił Polskę element napływowy bezpośrednio związany z niemieckim aparatem władzy. Później rząd Rzeszy spowodował wyjazd niemieckich nauczycieli, urzędników i kolejarzy, chcąc w ten sposób przysporzyć kłopotów młodemu państwu polskiemu, które nie miało jeszcze własnej kadry urzędniczej. Źródła niemieckie podawały, że w ciągu dziesięciu lat opuściło Polskę około miliona Niemców. Nie wszyscy jednak wyjechali. Pozostała stuczterdziestotysięczna masa kolonistów niemieckich, których Polska miała prawo usunąć. W czasie spisu ludności w 1931 r. obliczono, że w województwach zachodnich mieszkało około 411 tys. Niemców (stanowili oni niewiele ponad 9% ludności tych ziem), zaś liczba ludności niemieckiej na terenie całej Rzeczypospolitej sięgała 730 tys. osób.

Pozycję tej grupy narodowej można było bez przesady nazwać uprzywilejowaną. Niemców chroniło prawo międzynarodowe, narzucono bowiem Polsce pakt o ochronie mniejszości. W każdym sporze między władzami polskimi a poszczególnymi członkami mniejszości niemieckiej interweniował rząd w Berlinie. Sprawy mniejszościowe stanowiły

duże obciążenie stosunków wzajemnych, a winą za ten stan należało obarczać głównie Niemców.

Znacznie gorsza była pozycja ludności polskiej w Rzeszy, chociaż w liczbach bezwzględnych stanowiła ona grupę o wiele liczniejszą od mniejszości niemieckiej w Polsce.

Na terenie Niemiec Polacy mieszkali zarówno w dużych skupiskach, jak i w małych, często oddalonych od siebie grupach. Największe skupisko stanowiła ludność polska na Górnym Śląsku. Szacunkowe obliczenia mówiły, że na Opolszczyźnie przebywało od 600 do 800 tys. Polaków. Następnym co do wielkości rejonem były Prusy Wschodnie. Znajdowało się tam około 400-500 tys. Polaków. Ponadto większe skupiska polskie znajdowały się na Pomorzu i Dolnym Śląsku. Liczną też była polska emigracja zarobkowa w zachodnich Niemczech - w granicach 120 tys. osób. Co do ogólnej liczby ludności polskiej w Rzeszy, to trudno ją dokładnie ustalić. Statystyki niemieckie należy odrzucić, gdyż świadomie fałszowano w nich dane, zwłaszcza dotyczące rejonów pogranicznych. Stąd wszelkie obliczenia przeprowadzane były na podstawie różnych danych częściowych, takich na przykład jak dynamika przyrostu naturalnego. Znaczący tego zagadnienia Wojciech Wrzesiński wyliczył, że w 1933 r. zamieszkiwało Rzeszę ponad półtora miliona Polaków.

Pozycja ludności polskiej w hierarchii społecznej Niemiec nie pozwalała na pełne wykorzystanie tego ogromnego potencjału ilościowego. Polacy, jako ludność autochtoniczna, prześladowana przez dziesiątki lat, mieli utrudniony awans społeczny: jego ceną było zgermanizowanie się. Ci, którzy zachowali świadomość narodową, musieli pogodzić się z tym, że ich polem działania może być tylko rodzinna wieś. Do wyjątków należeli członkowie mniejszości polskiej, którzy osiągnęli taką pozycję społeczną, by móc zmierzyć się z obywatelem - Niemcem. W przeciwieństwie do dzieci niemieckich w Polsce dzieci polskie w Niemczech nie miały większych szans na zdobycie wykształcenia w języku ojczystym. Na terenie Rzeszy istniało jedynie 31 szkół polskich i dopiero po wielu staraniach powstały dwa polskie gimnazja (w 1932 r. w Bytomiu i w 1937 r. w Kwidzynie). Ze 115 tys. młodych Polaków nie więcej niż 5,5 tys. mogło się uczyć języka polskiego. Ukazywały się tylko 4 dzienniki polskie. Dwa razy Polacy zdobyli po dwa mandaty do pruskiego Landtagu (w 1921 i 1924 r.) W Reichstagu nie było nigdy polskiego przedstawiciela. Szykany, naciski i przewaga ekonomiczna powodowały, że liczba głosów padających na listy polskie malała w każdym kolejnych wyborach (ze 140 tys. głosów w 1922 r. do 33 tys. w 1932 r.).

Organizacją zasługującą na najwyższe uznanie był założony w 1922 r. Związek Polaków w Niemczech (ZPwN). Działał on w niezwykle trudnych warunkach, dysponował nad wyraz skromnymi środkami, a mimo to potrafił jednoczyć ludność polską, prowadzić szeroką działalność oświatową i kulturalną i hamować zapędy germanizacyjne władz niemieckich.

Związek stworzył rozległą siatkę terenową. Podstawową jednostką były dzielnice: pierwsza, z siedzibą w Opolu, swoim zasięgiem obejmowała Śląsk Opolski i Okręg Dolnośląski, druga, z centrum w Berlinie, obejmowała stolicę Rzeszy, Saksonię, Brandenburgię, Hamburg, Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie i Pogranicze, trzecia, z siedzibą w Bochum, działała na terenie Westfalii, Nadrenii, Badenii i w Palatynacie oraz czwarta, z siedzibą w Olsztynie, utworzona została dla Warmii, Mazur i Powiśla. W 1923 r. przybyła jeszcze piąta dzielnica, w Złotowie, dla pogranicza poznańsko-pomorskiego. Bieżącą pracą ZPwN kierowała centrala znajdująca się w Berlinie. Z danych opracowanych dla polskiego MSZ przez poselstwo polskie w Berlinie wiadomo, że w 1930 r. Związek liczył 45 tys. członków i oddziaływał na 700 tys. Polaków w Niemczech.

Oceniając wysiłki działaczy polskich w Niemczech, trzeba powiedzieć, że potrafili oni zrobić rzeczy zdawałoby się niemożliwe. Mimo skromnej pozycji wykonali pracę, która przybliżyła powrót Polski nad Odrę i Bałtyk.. Działacze Związku Polaków w Niemczech

podjęli trud, który ówczesnym realistom musiał się wydawać bezsensowny, i doczekali się owoców swej pracy już kilkanaście lat później.

## **5. Dwa wymiary Revisionspolitik**

Niemieccy fachowcy od roboty propagandowej podjęli ogromne starania, aby przekonać światową opinię publiczną o słuszności praw Rzeszy do polskiego Pomorza, Śląska i Poznańskiego. W tej dziedzinie początek lat trzydziestych zaznaczył się znacznym ożywieniem działalności.

Organizatorami wrogich Polsce akcji agitacyjnych były tak szacowne urzędy jak ministerstwa spraw wewnętrznych, poczty i komunikacji, Reichswehra, a nawet Kancelaria Rzeszy. Całością przedsięwzięć kierowały wyspecjalizowane komórki Auswärtiges Amt. Ważną rolę odgrywały też placówki dyplomatyczne Rzeszy wspomagające działalność propagandową prowadzoną na terenie innych państw. „Zagraniczna propaganda Republiki Weimarskiej wobec Polski - pisał Janusz Sobczak - rozumiana jako propaganda o Polsce, nie była w pierwszej kolejności adresowana do polskiego społeczeństwa”. Jej zadaniem było zjednanie społeczeństw Europy Zachodniej i Ameryki dla postulatów niemieckich i doprowadzenie do izolacji Polski na arenie międzynarodowej. W Niemczech liczone na ignorancję polityków Zachodu w sprawach Europy Środkowej, a zwłaszcza Polski i jej sąsiadów. Niemcy wiedzieli, że ich język dociera do znacznie szerszych kręgów niż język polski, a ich zabiegi niejednokrotnie kamuflowane i jedynie pośrednio prowadzące do określonych celów, znajdowały często naiwnych, którzy w imię „realizmu, prawa, pokoju i sprawiedliwości” dawali wiarę niemieckiej propagandzie.

Jedną z niemieckich organizacji zajmujących się zagraniczną działalnością propagandową - założone w 1922 r. Towarzystwo do Spraw Gospodarczo-Politycznych - wypracowała cały arsenał środków, za pomocą których Niemcy zamierzali zjednywać wpływowych sojuszników w kołach politycznych Zachodu. Zrezygnowano z bezpośredniego i masowego propagowania znanych rewizjonistycznych haseł, natomiast starano się wpływać na zagraniczną prasę odpowiednio preparowanymi biuletynami. Inspirowano wydawanie książek i publikacji oczerniających Polskę oraz zaopatrywano uczonych i ośrodki naukowe w materiały, które miały potwierdzić niemieckie prawa do ziem znajdujących się w granicach państwa polskiego. Organizowano dla zagranicznych polityków, naukowców i publicystów wycieczki do wschodnich prowincji Rzeszy, proszono ich o wykłady, a jednocześnie urabiano w pożądanym dla Niemiec duchu. Lista takich prelegentów odpowiednio ustawionych w czasie pobytu na terenie Niemiec obejmowała setki nazwisk. Niejednokrotnie też Berlin stanowił miejsce, z którego zagraniczni korespondenci obserwowali bieg wydarzeń w Polsce. Anglicy na przykład uważali, że w Warszawie nie muszą przebywać korespondenci brytyjskich pism, gdyż nad Wisłą „nic ciekawego się nie dzieje”.

Żelazna zasada niemieckiej propagandy kazała docierać do starannie dobranych osób, co wykluczało przypadkowość działania i zapewniało znaczny stopień dyskrecji. Usiłowano wynajdywać sympatyków Rzeszy wśród członków innych narodów, uważając, nie bez racji, że Anglik i Francuz będzie wzbudzał większe zaufanie u swoich ziomków niż Niemiec.

Dużo uwagi poświęcano werbowaniu zwolenników niemieckiej polityki w Wielkiej Brytanii. Za szczególnie wpływowych uważano angielskich dziennikarzy, toteż każdy odwiedzający Niemcy brytyjski publicysta był przyjmowany z najwyższymi honorami. Jednak nie wszyscy Anglicy, korzystający z niemieckiej gościny, mieli ochotę oczerniać Polskę na łamach swojej gazety. Dlatego Niemcy nie wahali się wynajmować ludzi, którzy za określoną kwotę gotowi byli służyć swym piórem i nazwiskiem Rzeszy. Jednym z takich

piszących najemników był R.W. Polson Newman. Jak wynikało z umowy zawartej między Anglikiem a niemiecką ambasadą w Londynie, Newman zobowiązał się do rozlicznych usług. Miał więc pisać artykuły do angielskich gazet o „polskim korytarzu”, ale mógł też co pewien czas krytykować Niemców, aby zamaskować prawdziwą inspirację wygłaszanych poglądów. Niemcy żądali od Newmana, by swoją książkę *Britain and the Baltic* zakończył wnioskiem o konieczności oddania Rzeszy Pomorza i Gdańska.

Wyjątkowo przedsiębiorczym okazał się pułkownik G.S. Hutchinson także świadczący Niemcom płatne usługi. Po powrocie z Górnego Śląska napisał on antypolski paszkwil *Silesia Revisited* i około stu utrzymanych w tym samym duchu artykułów, a następnie domagał się od niemieckiej ambasady ciągle nowych sum za te publikacje.

Podobnych współpracowników znaleźli Niemcy na terenie Stanów Zjednoczonych. Jednym z nich był niejaki Paul Marker-Branden. Wielkim sukcesem nazwał konsul niemiecki w Nowym Jorku przedruk jednego z jego antypolskich artykułów w 72 dziennikach amerykańskich. W zasięgu finansowego oddziaływania Auswärtiges Amt znaleźli się tacy dziennikarze, jak K. Kingsley Kitchen z „New York Sun”, Ellery Walter z „New York Herald Tribune”, John Page Jones z „Brooklyn Eagle” i inni. Ożywioną działalność przejawiała panna Mildred S. Wartheimer, której bliskie kontakty z radcą Erichem Zechlinem, kierującym polskim referatem w Auswärtiges Amt, zaowocowały publikacjami bez zastrzeżeń popierającymi niemieckie żądania pod adresem Polski.

Jednak polska opinia publiczna, opowiadająca się za sojuszem z Francją, najboleśniej odczuwała, kiedy rewizjonistyczne dążenia Niemców popierali Francuzi. Anglosasów od czasów Wersalu nie podejrzewano w Polsce o sympatie dla Rzeczypospolitej, Francję natomiast uważano za tradycyjną przyjaciółkę Polski. Z przykrością trzeba stwierdzić, że lista francuskich popleczników Niemiec była spora. Wymieńmy kilku.

Jednym z nich był eks-major Olivier d'Etchegoyen, który znał Polskę z czasów, kiedy to jako członek francuskiej misji wojskowej zjawiał się nad Wisłą. Jego książki tchnęły skrajną nienawiścią do wszystkiego co polskie. Francuz lżył polski naród, rząd, instytucje, a nawet osoby prywatne, wymienione z nazwiska. Wyśmiewał polskie starania o uzyskanie miejsca w Radzie Ligi Narodów, dowodził, że Niemcy mieli słuszość w sporze z Polakami, i zalecał Francji co rychlejsze zerwanie sojuszu z Rzeczpospolitą. Uważał nawet, że w imię pokoju należało dokonać ponownego rozbioru Polski.

Byłemu majorowi wtórował Pierre Valmigre, który w książce *Et demain? France, Allemagne et Pologne* już w 1929 r. pytał Francuzów, czy chcą umierać za Polskę. Autor dowodził, że jego kraj nie prowadzi polityki francuskiej, lecz „proślowiańską” - przed I wojną korzystną dla Rosji, po wojnie dla Polski. Czas z tym zerwać, gdyż „pijana nacjonalizmem Polska jest niebezpieczna dla Europy”. Wpłacone przez Auswärtiges Amt pieniądze natchnęły tego „przyjaciela Polaków” do udzielenia Polsce rady, aby we własnym interesie zrezygnowała z „korytarza”.

Książki innego paszkwilanta, Roberta Tourly'ego, pisane były nie tylko na zamówienie, ale wręcz pod dyktando niemieckie. Znalazły się w nich bzdurne twierdzenia, jakoby polskie zagrożenie było przyczyną braku inwestycji niemieckiego przemysłu we wschodnich prowincjach Rzeszy. Niesmacznie brzmiały słowa Francuza, nazywającego sojuszniczą Polskę państwem „anachronicznym” i „monstrualnym”.

Najbardziej znanym i najlepiej zakamuflowanym był Rene Martel. Podobnie jak wyżej wymienieni brał niemieckie pieniądze, ale skrętniej ukrywał swoje powiązania z ambasadą Rzeszy. Pisząc o sprawach polskich, zawsze zaczynał od prezentacji poglądów Polaków - cytował takich znawców Niemiec, jak Kazimierz Smogorzewski czy Stanisław Sławski - a potem, zyskawszy zaufanie czytelnika, przytaczał stanowisko „francuskie”, będące wiernym powtórzeniem niemieckich sloganów. Martel twierdził za Niemcami, że Pomorze i Śląsk znalazły się w granicach Polski tylko przez przypadek. Rozwodził się nad wyższością

cywilizacyjną Niemców i nieproduktywnością oraz niedołęstwem gospodarczym Polaków. Oczywiście dostrzegał agresywne plany Polski i twierdził, że Niemcy są usposobione pokojowo. Jedną z książek Martela, *La France et la Pologne*, wydana w Paryżu w 1932 r., miała rozwiązać „legendę o przyjaźni polsko-francuskiej”.

Odnajdujemy jeszcze, że książki Francuzów kolaborujących z Niemcami ukazywały się w latach 1929-1932, a zatem w okresie szczególnie napastliwej agitacji antypolskiej Berlina. Wprawdzie większość wrogich Polsce publikacji wychodziła spod pióra wąskiej grupy ludzi, ale któż mógł ten fakt beznamytnie analizować, skoro ataki były wymierzone w niezwykle istotne dla Polski sprawy.

Wszelkie transakcje między urzędami Rzeszy a współpracownikami niemieckiej propagandy przeprowadzane były w największej tajemnicy. Wielu publicystów, znajdujących się od lat na niemieckim żołdzie, uchodziło w swoich krajach za obiektywne i rzetelne dziennikarzy. Tym większego rozgłosu nabrała sprawa lorda Rothemere'a. Z dokumentów ogłoszonych w 1932 r. w prasie francuskiej wynikało, że istniał bezpośredni związek między pieniędzmi płaconymi przez Niemców Anglikowi a kampanią prasową w sprawie zwrotu „korytarza”, którą wszczęły pisma zależne finansowo od lorda.

Dość często słyszy się opinie, że nie należy przeceniać sukcesów niemieckiej propagandy, skoro nie zapobiegła ona klęsce Niemiec. Nie odpowiada to w zupełności prawdzie. Działalność niemieckiej propagandy doprowadziła do zgromadzenia znacznego kapitału w postaci opinii sprzyjającej Rzeszy. Kapitał ten został jednak roztrwoniony przez niemiecką politykę zagraniczną, w której częściej dochodziła do głosu germańska buta i brutalność niż chęć znalezienia sojuszników i partnerów. Rząd państwa wiążącego się z Berlinem prędzej czy później spadał do roli niemieckiego wasala. W rezultacie antyniemiecki ruch oporu działał z równą siłą w krajach podbitych przez Rzeszę, jak i na terenie państw satelickich. Było to jednak efektem niemieckiej polityki, a nie braku skuteczności propagandy. W latach trzydziestych nie spodziewano się, jak „złymi” Europejczykami okazały się Niemcy.

W kwestii sporów polsko-niemieckich rysowały się dość wyraźnie trzy grupy, reprezentujące różne poglądy. Pierwsza, niezwykle liczna na terenie Anglii, uważała, że traktat wersalski skrzywdził Niemcy. Tą krzywdą był „polski korytarz”, czyli dostęp Rzeczypospolitej do Bałtyku. Takie opinie można było znaleźć w „Daily Express”, „Evening Standard”, „Observer”, „Manchester Guardian” i innych.

Drugą grupę stanowili ludzie, których trudno było podejrzewać o sprzyjanie Niemcom, ale którzy także nie popierali Polski. Uważali oni, że chociaż Polacy mogli mieć sporo racji, to granicy polsko-niemieckiej nie będzie można utrzymać, gdyż siły Rzeszy są znacznie większe od polskich. A skoro tak, to wobec stanowczej postawy Berlina Warszawa - w imię zachowania pokoju - powinna ustąpić. Biadano nad egoizmem Polaków, którzy nie umieli myśleć kategoriami europejskimi, a po cichu liczono, że mimo wszystko wojny nie będzie.

Wreszcie trzecia grupa, w latach trzydziestych malejąca, manifestowała pełne zrozumienie dla stanowiska polskiego. Ludzie należący do tej grupy uważali, że Zachód powinien bezwzględnie poprzeć Polskę, gdyż jej podbój będzie oznaczał początek nowej wojny światowej.

Wspominaliśmy już, że na rzecz Niemiec działali nie tylko opłacani agenci, ale również osoby, które trudno podejrzewać o takie powiązania. Wprowadzane w błąd, nie dostrzegały sprytnych manewrów rządu niemieckiego i robiły na ochotnika to, za co innym Rzesza musiała płacić ciężkie pieniądze.

Wspomnijmy chociażby historyka i prywatnego sekretarza Lloyda Geорга, Harbutta Dawsona. W połowie 1931 r. bawił on na własne życzenie w Niemczech i zapewniał urzędników Auswärtiges Amt, że przekona swego szefa o konieczności zwrotu Rzeszy „korytarza”. Dawson twierdził, że Niemcy mogłyby uzyskać poparcie brytyjskie w tej

sprawie, gdyby wyraziły zgodę na przesiedlenie ludności polskiej z „korytarza” do centrum Polski. Po tak zachęcającym wstępie Niemcy starali się, aby poglądy Dawsona ujrzały światło dzienne na kartach książki. Wkrótce też ukazała się praca Anglika pt. *Germany under the Treaty*. Autor głosił w niej konieczność zwrotu Niemcom polskiego Pomorza i Poznańskiego, bagatelizując niemieckie zbrojenia twierdził też, że każdy naród, znajdujący się w takim położeniu jak Niemcy, dążyłby do rewizji granic.

Zwiedzający „krwawiącą granicę” Friedrich C. Lienfield - były członek Izby Gmin - zapewniał, że jako „zdecydowany przyjaciel Polski” będzie się starał o odebranie jej Pomorza, gdyż tego wymaga „interes Europy”. Angielski polityk pozwolił sobie na wyrażenie zdania, iż jedynie względy strategiczne zadecydowały niegdyś o tym, że Polsce pozwolono odebrać Niemcom sporne tereny. Od czasu rozbrojenia Niemiec i ustabilizowania się „pokojoyej” polityki zagranicznej Berlina groźba agresji niemieckiej odeszła w przeszłość - stąd wniosek: ziemie przyznane Polsce powinny wrócić do Rzeszy.

Osobą, którą uważano w Berlinie za niemieckiego sprzymierzeńca w Stanach Zjednoczonych, był senator Wilhelm Edgar Borah. Pełnił on funkcję przewodniczącego komisji spraw zagranicznych i był kontrkandydatem Herberta Hoovera w wyborach prezydenckich. W licznych wypowiedziach Borah podkreślał, że rozbrojenie tak długo będzie niemożliwe, jak długo będą istniały takie punkty zapalne jak granica polsko-niemiecka. Prawdę powiedziawszy, działalność Boraha nie przyniosła zbyt wielkiego pożytku Niemcom, gdyż amerykańska opinia zaczęła się zastanawiać, cóż to za ważny kraj ta Polska, skoro od jej postawy zależą losy pokoju w Europie.

Na terenie Włoch najbardziej znaczącą postacią wśród przeciwników polskich granic był Francesco Nitti. Polityk liberalny, profesor uniwersytetu, wielokrotny minister i przez pewien czas premier rządu włoskiego, podobnie jak wielu innych dostrzegał zagrożenie pokoju na granicy polsko-niemieckiej. Pisał on, że traktat wersalski: „stworzył nową Polskę - nie tę, o której myśleli wszyscy z Wilsonem na czele, ale przepelnioną szerokimi masami ludności niemieckiej i rosyjskiej, zaledwie w połowie czysto polskiej, która swoimi obłądnymi imperialistycznymi ideami gotuje sobie straszną przyszłość [...]. Powstała ona [Polska - R.Sz.] w wyniku absurdalnych postanowień zwycięzców po to tylko, by być agentem wojskowym Francji przeciwko Niemcom oraz by dwa najliczniejsze i najekspansywniejsze narody, tj. Niemcy i Rosję, na zawsze od siebie oddzielić”. O polskim Pomorzu pisał Nitti: „Wydano w ten sposób Polsce trzy miliony Niemców, a dwadzieścia jeden okręgów Prus Zachodnich wraz z południowym kątem Prus Wschodnich bez plebiscytu oddzielono od Niemiec jedynie po to, aby stworzyć ów korytarz, stanowiący w nowoczesnej historii największy polityczny i gospodarczy absurd”. W podobny sposób widział włoski polityk zagadnienie Śląska. „Nikt z poważnych ludzi nie mógł nawet pod rozważkę wziąć innego rozwiązania sprawy jak zwrot całego, nie podzielonego Śląska Niemcom”. „Oddzielić Śląsk od Niemiec - można było przeczytać w innym miejscu - to znaczy zabić przemysł śląski całkowicie lub przynajmniej częściowo”. Konsekwencją tych opinii było stwierdzenie Nittiego o konieczności usunięcia „bezmyślności zawartych w traktatach”. „Korytarz gdański i oddzielenie Śląska nie może w przyszłości egzystować” - stwierdzał Włoch.

Wypada tu dodać, że profesor Nitti wyciągał swoje wnioski polityczne z danych bardzo wątpliwych. Zbiegiem okoliczności doczekał się on usunięcia „bezmyślnych” granic Polski, ale także aresztowania przez gestapo, czego się i, i na pewno nie spodziewał.

Wśród zwolenników niemieckiego rewizjonizmu nie zabrakło niestety naszych pobratymców z południa. Wiele złego zrobiła znana wypowiedź prezydenta Tomaśa Masaryka o nietrwałości polskich granic. Słowa prezydenta Czechosłowacji, dementowane w Pradze, dowodziły, że czescy politycy nie doceniali w pełni zagrożenia niemieckiego. Szczególne zainteresowanie Berlina wzbudziły poglądy socjaldemokratycznego polityka i senatora Jaroslava Vozki. Jego książka *Polska więzieniem narodów*, oparta na takich

źródłach jak prace Martela i Oertzena, informowała o prześladowaniach niemieckiej mniejszości w Rzeczypospolitej. Nieświadomie, jak się wydaje, czeski polityk powtórzył wszystkie hasła niemieckiej propagandy.

Czytając książkę Vozki można się zastanowić nad ślepotą polityków, którzy widzą rzekome zło u innych, a nie chcą dostrzec tego samego we własnym państwie. A przecież położenie mniejszości narodowych w ĆSR (poza mniejszością niemiecką) było dalekie od ideału. Separatystyczne ruchy słowackie i węgierskie podkopywały fundament I Republiki tak dalece, że została ona bez oporu powalona, gdy tymczasem polskie „więzienie narodów” miało dość sił, aby walczyć w 1939 r. Na korzyść Vozki może przemawiać jedynie fakt, że po dojściu Hitlera do władzy wycofał się ze swych poglądów, dowodząc, że rewizji polskich granic chciał wyłącznie dla Republiki Weimarskiej, a nie dla Rzeszy hitlerowskiej.

Równie ślepych politycznie w sprawach niemieckich można było znaleźć nad Sekwaną. Deputowany Henri de Chambon wzywał naród francuski do pojednania się z Niemcami kosztem sojuszu z Polską. Przywódca radykałów i minister robót publicznych Edouard Daladier ogłosił na łamach „La Republique” (4 XI 1930) artykuł popierający stanowisko niemieckie w sprawie zmiany granicy polsko-niemieckiej. Deputowany lewicowy Edouard Borel proponował utworzenie dwóch dróg - kolejowej i samochodowej - łączących terytorium Rzeszy z Prusami Wschodnimi. Natomiast Leon Blum sprzeciwiał się (maj 1932 r.) udzieleniu pożyczek Polsce, chociaż jednocześnie uważał za wskazane wspomóc finansowo przemysł Rzeszy.

Na początku lat trzydziestych nastroje francuskiego społeczeństwa przesunęły się w kierunku mało obiecującym dla Polski. Zawarte przed kilku laty pakti lokarneńskie, zakaz wojny w pakcie Brianda-Kellogga, wreszcie plany jedności europejskiej - wszystko to uspokajało Francuzów. Tym bardziej musiały ich drażnić polskie spory z Rzeszą. Nic więc dziwnego, że uczestnicy ankiety miesięcznika „Evolution”, a byli wśród nich Romain Rolland, Raoul Reboux, Charles Veldrac, Ferdinand Buisson, wypowiedzieli się za „wycięciem wrzodów” na ciele Europy. Pierwszym na liście do wycięcia był „polski korytarz”.

Lata trzydzieste to nie tylko działalność propagandowa. Był to jednocześnie szczególnie napięty okres w stosunkach polsko-niemieckich. Sytuacja wewnętrzna Niemiec, tak polityczna, jak i gospodarcza, komplikowała się z każdym dniem coraz bardziej. Ostatnie miesiące przed wyborami do Reichstagu przebiegały pod znakiem niezwykle agresywnych wypowiedzi działaczy niemieckich partii. Kryzys gospodarczy (najgłębszy obok USA spadek produkcji), masy bezrobotnych, rozwój ruchu robotniczego i Komunistycznej Partii Niemiec, a z drugiej strony dynamika NSDAP i rosnąca polityczna rola jej „wodza” Adolfa Hitlera, wszystko to nie napawało niemieckiego mieszczucha wiarą w przyszłość.

W tej atmosferze napaści na Polskę stawały się kartą, którą nacjonałiści różnego autoramentu starali się używać w wyborczej grze. Ale arsenał antypolskich środków, jakie mogli stosować weimarscy politycy, był pusty. Dawno rozwiały się nadzieje na upadek Polski spowodowany przez komunistów, kryzys przekreślał i tak już wątpliwe możliwości wojny gospodarczej, a militarnie Rzeczpospolita miała jeszcze przewagę nad Rzeszą. Cóż pozostało? Tylko propaganda. Przemówienia na wiecach, artykuły w prasie, programy radiowe, film, wydawnictwa bardziej i mniej naukowe - wszystko to miało służyć propagandowej ofensywie przeciwko Polsce.

Gorliwiej niż przed rokiem głośzono, że wytyczenie granicy polsko-niemieckiej odbyło się z krzywdą dla Rzeszy. Duża liczba Niemców cierpiała pod „polskim jarzmem”. Niemieckie wydawnictwa kartograficzne produkowały mapy fałszujące obraz narodowościowy na Pomorzu, Wielkopolsce i Śląsku. Bywało, że w zaciętrzewieniu popadano w sprzeczność z danymi niemieckimi sprzed I wojny światowej.

Twierdzono, że pozbawienie Niemiec „korytarza” i części Śląska spowodowało niepowetowane straty w niemieckiej gospodarce. Argumenty te tym mocniej wybijano, że

niemiecka klasa robotnicza w znacznej swej części była bez pracy. „Czyżby Niemcy sądzili - pisał polski dziennikarz - że rozładują bezrobocie wysyłając 6 milionów bezrobotnych do sadzenia kapusty na polskim Pomorzu?” Prawica niemiecka nie chciała dostrzec rzeczywistych źródeł kryzysu gospodarczego i głosiła Europie, że Niemcy nie są w stanie spłacać reparacji wojennych, ponieważ nie zostały uregulowane granice z Polską.

Niemieccy propagandyści krzyczeli o „krzywdzie”, jaka spotkała Prusy Wschodnie, „odcięte od Niemiec korytarzem”, i Gdańsk, który Polacy „perfidnie wykańczają”. Zbudowali przecież własny port w Gdyni zamiast korzystać z usług gdańskich Niemców.

Ale najgłośniej rozprawiano chyba o polskim „imperializmie” i „militaryzmie”. Zdaniem Niemców Rzeczpospolita była gotowa do napaści na „pokojuowe i rozbrojone Niemcy” i mogła to uczynić w każdej chwili. To hasło budziło żywe zaniepokojenie w Rzeszy. Zdawano tam sobie sprawę, że polska przewaga militarna miała charakter przejściowy. Czy więc Polacy nie zechcą rozwiązać problemu niemieckiego, dopóki ich przewaga wojskowa była faktem?

Wraz ze śmiercią Stresemanna zakończyła się w Auswärtiges Amt metoda powolnej i kamuflowanej realizacji celów strategicznych niemieckiej polityki zagranicznej. To co dawniej głosili przywódcy organizacji nacjonalistycznych i paramilitarnych i co nawet im uchodziło, teraz, w latach kryzysu, mówili bez osłonek ludzie zajmujący najwyższe stanowiska państwowe. Do najaktywniejszych z nich należeli: komisarz Rzeszy do spraw *Osthilfe* Gotfried Treviranus i nowy kierownik niemieckiego MSZ Julius Curtius. Co prawda Curtius domagał się jedynie „pokojuowej” rewizji granic, czynił to jednak wielokrotnie, twierdząc przy tym, że jeżeli nie zostanie usłuchany, wówczas do głosu dojdą zwolennicy bardziej radykalnych rozwiązań. Tak więc winna wojny byłaby nieustępliwa Polska.

Bardziej napastliwy był Treviranus. Wzburzenie polskiej opinii publicznej i protest rządu Rzeczypospolitej wywołało słynne wystąpienie komisarza przed członkami Heimattreue Ostverbände podczas demonstracji zorganizowanej i przez tę organizację w Berlinie 10 sierpnia 1930 r. Mówca nawoływał Niemców do „jedności i zaangażowania” w sprawę wschodnie. Nazwał odzyskane przez Polskę ziemie „rozdartym krajem” i „okaleczonym płatem płucnym Rzeszy”. Twierdził, że państwo polskie powstało dzięki „ofiaram niemieckiej krwi”, a jego przyszłość będzie niepewna dopóty, dopóki nie zlikwiduje się „niesprawiedliwego wytyczenia granic”. Treviranus zapewniał zebranych, że Niemcom „nie grozi na Wschodzie katastrofa”. Słowa mówcy: „[...] miejmy odwagę pokonania wszelkich trudności” - odebrano w Polsce jako zapowiedź zastosowania przez rząd niemiecki ostrzejszych środków w stosunkach z Polską. Zdawały się to potwierdzać dalsze słowa komisarza: „Nadejdzie dzień, w którym bój o słuszność uwolni Niemcy i Europę”. Mówca nie poprzestał na wystąpieniu berlińskim, w podobny sposób przemawiał na wiecach w Królewcu i Hanowerze.

Wypowiedzi polityków znalazły gorące poparcie członków nacjonalistycznych organizacji niemieckich. W rezolucji uchwalonej przez Hakatę domagano się od rządu utworzenia nowych oddziałów wojskowych dla „obrony wschodnich granic”, „mianowanie ministra Rzeszy z daleko idącymi kompetencjami dla pogrążonego w kryzysie wschodu” (komisarz Treviranus nie wystarczał?), „silnego poparcia wszelkich roszczeń prawnych Niemców w Gdańsku i na Litwie” oraz zwrotu ziem „zagrabionych przez Polskę”.

Dokładnie rok później (12 I 1931), w czasie demonstracji zorganizowanej przez Hakatę, wołano, że „Polska nie może dłużej panować nad mniejszością niemiecką”, i ponownie domagano się rewizji granic. Twierdzono, że Polska zagraża bezpieczeństwu Rzeszy. „Dlatego domagamy się zbrojeń” - skandowano.

W tej atmosferze łatwo było o incydenty antypolskie. W maju 1930 r. pod Opaleniem „nieznani sprawcy” ostrzelali polską placówkę straży granicznej. Poza prześladowaniami, które spotykały na co dzień Polaków zamieszkałych w Niemczech, posuwano się do napaści



na obywateli polskich przebywających czasowo na terytorium Rzeszy. Polska prasa donosiła o szykanowaniu, a nawet pobiciach polskich turystów, studentów i artystów. Dziesiąta rocznica plebiscytu stanowiła jeszcze jeden pretekst do zorganizowania licznych demonstracji antypolskich w całym pasie przygranicznym. „Kancelarz Bruning - pisał „Przewodnik Katolicki” - zwany »kancelerzem głodowym«, objeżdżał Prusy Wschodnie i Śląsk i tyle się nagardłował o »krwawiących« granicach, że się położył i zachorował w końcu”.

Niemcy mieszkający na terenie Polski mieli dostarczać „kosze skarg” do Ligi Narodów na działalność polskich władz. Solą w oku Niemców była polityka wojewody Michała Grażyńskiego na Górnym Śląsku, więc najmniejszy nawet incydent starano się wykorzystać do ataku na rząd w Warszawie. Tadeusz Katelbach w książce *Niemcy współczesne wobec zagadnień narodowościowych* pokazał na licznych przykładach, jak ścisły związek łączył politykę rewizjonistyczną z jądrem stosunków narodowościowych w Polsce.

Jedną ze znaczących form oddziaływania propagandowego były wydawnictwa o Polsce. Szczególnie uwypuklonym wątkiem informacyjnym w tych książkach, adresowanych do szerokich rzesz czytelników, był „polski imperializm”.

Bardziej znaną pozycją „antyimperialistyczną” była powieść pt. *Uwaga! Rozgłośnia Marchii Wschodniej! Oddziały polskie dziś w nocy przekroczyły granicę wschodniopruską* napisana przez oficera Reichswehry z Malborka, ukrywającego się pod pseudonimem Hans Nitram. Książka ta, ukazująca fikcyjny obraz wojny, w której „rozbrojone” Niemcy ulegają polskiej agresji, reklamowana na słupach ogłoszeniowych tekstem przypominającym do złudzenia doniesienie agencyjne, stała się przyczyną niepokojów, a nawet paniki w kilku miejscowościach Prus Wschodnich.

Inny „ekspert” od polskich problemów, F.W. Oertzen, w publikacji *Polen an der Arbeit* dowodził, że Polacy zaatakują Prusy Wschodnie, stosując akcję podobną do tej, której wynikiem było przyłączenie Wilna do Polski przez zbuntowanego generała Żeligowskiego. Opinia taka nie była w Rzeszy odosobniona.

Do zwolenników porozumienia z Polakami (byli bowiem i tacy Niemcy) należał Georg Cleinow, profesor berlińskiej Wyższej Szkoły Nauk Politycznych. Szersze horyzonty politycznego myślenia pozwalały mu mniej dogmatycznie patrzeć na rolę Polski w Europie. Jako rzecznik niemieckich koncepcji podporządkowania Polski w ramach związku federacyjnego z Rzeszą („Mitteleuropa”) usiłował do nowej sytuacji dostosować dawne plany. Jego referat ze stycznia 1930 r. (*Problem kresów wschodnich w momencie umowy warszawskiej*), wygłoszony na posiedzeniu kierownictwa Hakaty (sic!), zalecał jako najlepsze rozwiązanie „kombinację środkowoeuropejską z włączeniem w nią Polski”. Warunkiem, który musiała jednak spełnić Rzeczpospolita była „rewizja polskich poglądów na suwerenność państwową”; zdaniem Cleinowa były one przestarzałe i „przesiąknięte silnie elementem rosyjskim” (?). Za pomoc gospodarczą miała Polska zapłacić swoim terytorium. Okrojona przez sojuszników Niemcy Rzeczpospolita miała, przy niemieckim poparciu, uzyskać terytorialną rekompensatę na ziemiach wchodzących w skład ZSSR. Tak więc Cleinow chciał „silnej i niepodległej” Polski, ale przesuniętej na wschód i wiernie służącej imperialnej polityce Rzeszy. Pomysł ten, jak się później okazało, podjął polityk, którego wówczas nikt o to nie podejrzewał; był nim Hitler. A zrealizował faktycznie Stalin, tyle że przesunął Polskę w przeciwnym kierunku.

Na razie plany Cleinowa nie znalazły uznania. Dużym wzięciem cieszyła się natomiast kolejna książka Oertzena, wydana w 1932 r., *Das ist Polen*. Zawarte w niej poglądy odegrały znaczną rolę w procesach kształtowania niemieckich wyobrażeń o Polsce. Naukowy charakter publikacji sugerował, że prezentowane w niej sądy były obiektywne i w pełni uprawnione. Jedynie tekst umieszczony przez wydawcę na obwolucie wskazywał na propagandowy charakter wydawnictwa. Nie przeszkadzało to recenzentom - nie tylko niemieckim - uznać Oertzena za „najlepszego znawcę wszystkich polskich zagadnień”.

Z książki Oertzena można się było dowiedzieć, że Polska to „państwo brutalnej przemocy”, w którym cierpią nieludzki ucisk miliony Niemców i inne mniejszości narodowe. Polacy - pisał autor - z „prerażającą konsekwencją” zmierzają do zdławienia wszelkich dążeń wolnościowych na Śląsku i Pomorzu. Polityką tą kierują „Piłsudscy, Korfanci, Grażyńscy”, znajdując oparcie w monopartyjnym systemie, wprowadzonym po maju 1926 roku (?). Ta Polska - zdaniem Niemca - jest ślepo popierana przez Francję, która w ten sposób zdradziła demokrację i parlamentaryzm europejski. Nieprawdziwie i tendencyjnie zostały przedstawione stosunki Polski z jej sąsiadami; Oertzen wszędzie szukał i starał się dowieść złej woli polskiej strony. Niemiecki publicysta podkreślał litewskość Wilna i odmawiał Polakom jakichkolwiek praw do kresów wschodnich i zachodnich. Wyraźnie zadbał, aby wykorzystać wszystkie argumenty, jakie były możliwe do użycia przeciwko Rzeczypospolitej.

Przykłady poglądów takich, jak Nitrama, Oertzena czy Martela, można by cytować stronami. Napastliwy ton agitacji skierowanej przeciwko Polsce sugerował pytanie - co zamierza robić Rzesza? Czyżby rozpętana przy okazji wyborów kampania antypolska była tylko przygrywką do wojskowej napaści? Wewnętrzna sytuacja polityczna Rzeszy zmieniała się, do głosu dochodzili nieobliczalni ekstremiści. Niemcy zrzuciły nałożony przez zwycięzców I wojny gorset republikańskich instytucji. Od stycznia 1933 r. miała się zacząć historia „tysiącletniej” III Rzeszy, której kanclerzem i wodzem został przywódca NSDAP Hitler.

## **6. Polityczny remis**

Przewrót dokonany w maju 1926 r. i jego swoista legalizacja, której dokonał sejm, wybierając organizatora przewrotu na prezydenta państwa, były polityczną sensacją. Wprawdzie sam Piłsudski nie chciał przyjąć prezydentury, ale było oczywiste, że mimo to Marszałek będzie decydował o wielu dziedzinach życia państwowego Rzeczypospolitej. Piłsudski, przed majem 1926 r. dość powszechnie uważany jedynie za specjalistę wojskowego, a nawet postać historyczną, zdystansował wszystkich fachowców od polityki. Ten „skończony polityk” -jak kilka dni przed 12 maja mówił ówczesny premier Wincenty Witos - stał się osobą wytyczającą kierunek polskiej polityki zagranicznej.

Warszawskie wypadki nie miały dobrej prasy w stolicach państw europejskich. Zwłaszcza w Paryżu. Obawiano się tam, że piłsudczycy podejmą działania, które zburzą francuskie plany gospodarczego i politycznego jednoczenia Europy. Plan, który zrodził się w głowie ministra spraw zagranicznych III Republiki Brianda, miał zapewnić Francji (ściśle związanej z Niemcami) pozycję równorzędną tej, jaką zajmowały ZSSR, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania.

Piłsudski zaś obawiał się, aby politycy wielkich mocarstw nie umacniali się w przekonaniu, że Polska pod jego rządami wkroczyła na drogę polityki zagranicznej opartej na awanturnictwie. Dlatego zadbano, aby deklaracje polityczne nowego rządu podkreślały kontynuowanie linii ministra Skrzyńskiego, który nie sprawiał kłopotów Paryżowi i Londynowi. Nowym ministrem spraw zagranicznych został August Zaleski, zawodowy dyplomata, znany z wystąpienia w Lidze Narodów, gdzie był oceniany jako człowiek spokojny w słowach i rozważny w poczynaniach. Nic dziwnego, że nie mając najwyższego mniemania o wartości Ligi Narodów - Piłsudski zalecał manifestowanie jak najlepszego stosunku Polski do tej instytucji.

Zasadniczą przesłanką planowania działań na arenie międzynarodowej była następująca opinia Marszałka: „Wszystko zdaje się wskazywać na to, że w ciągu co najmniej

pięciu lat nie zajdą w Europie wstrząsy, w które państwo nasze mogłoby być wmieszane. Mamy przeto dla siebie trochę czasu w dziedzinie wojskowej i wewnętrznej. Nie należy przewidywać, abyśmy w tym okresie mieli zainicjować jakąś poważną akcję”.

W ciągu pięciolecia spodziewał się Piłsudski na tyle umocnić państwo, by sama jego pozycja międzynarodowa wymuszała respekt dla interesów Rzeczypospolitej. Aby to jednak osiągnąć, „potrzebny był - jak pisał Eugeniusz Kwiatkowski - p o k ó j”.

Wykorzystanie pokojowych warunków do umacniania państwa utrudniały złe stosunki z zachodnim sąsiadem, a okazane w Locarno francuskie zrozumienie dla potrzeby rewizji granicy polsko-niemieckiej nie pomagało Polakom w ich normalizowaniu. Piłsudczykowski publicysta Wojciech Stpiczyński ostrzegał, że przesuwająca się na wschód „fala pangermanizmu” nie tylko uniemożliwia „stabilizację warunków wewnętrznych Polski”, ale jednocześnie „podmywa fundamenty pokoju” całej Europy. Jednak politycy francuscy nie podzielali tych obaw. Stawało się widoczne, że polityka profrancuska nie przynosi Polsce oczekiwanych korzyści. Narzucał się zatem wniosek, że jedynie wyemancypowanie się Warszawy spod politycznej kurateli Paryża może skłonić Francuzów do respektowania interesów polskiej aliantki.

Cytowany wyżej Kwiatkowski, zwracając uwagę na słabość polityczną i gospodarczą kraju, domagał się, aby w słusznym „rachunku na własne siły” za ich podstawowe źródło uznać rozwój ekonomiczny. Sytuacja polityczna tamtych lat wykluczała jednak możliwość wskazania, w jaki sposób w krótkim stosunkowo czasie można było zmienić na korzyść Polski „dysproporcje” gospodarczych potencjałów sąsiadów Rzeczypospolitej. Pozostawało jedynie Polakom pokładać nadzieję w grze politycznej i umiejętnym wykorzystaniu międzynarodowej koniunktury.

A taka sytuacja zdawała się rysować. Decydujące wówczas w Europie stanowisko Wielkiej Brytanii zaczynało ewoluować w kierunku przychylniejszym Polsce. Widoczny rozwój gospodarczy Rzeszy i osłabienie Francji poczęło niepokoić Londyn. Wzrost Niemiec ponad granice wytyczające, według Brytyjczyków, stan równowagi sił na kontynencie był Anglikom nie na rękę. Pamięć I wojny światowej też jeszcze nie wygasła. Brytyjscy politycy nie zamierzali poświęcać „kości grenadierów JKM” w obronie polskich praw nad Bałtykiem, zaczęli jednak rozumieć, że równie dobrze mogą je narazić, jeżeli Niemcy nie pohamują swych agresywnych dążeń. Pakty lokarneńskie nie dawały w tej sprawie żadnych gwarancji. Niemcy w zamian za zbliżenie z Zachodem nie zamierzały rezygnować z linii Rapallo w stosunkach z ZSSR. Wrogą Związkowi Sowieckiemu politykę brytyjską poczęła znowu nękać dawna zmora niemiecko-rosyjskiego bloku, wymierzonego w całość brytyjskiego imperium.

Znajdująca się w złych stosunkach z obu sąsiadami, Polska zaczęła się Anglikom rysować jako potencjalny sojusznik, zdolny do izolowania Berlina od Moskwy. A przewrót majowy utwierdzał ich jeszcze w przekonaniu, że Polacy nie zmienią niechętnego stosunku do ZSSR. Zdając sobie z tego sprawę, Piłsudski zalecał posłowi polskiemu w Moskwie, aby zwlekał z poprawą „sytuacji ogólnej” (sprawa układu o nieagresji) i załatwiał jedynie drobne kwestie, wcale dotkliwie obciążające wzajemne kontakty. Wydaje się, że Marszałek obawiał się normalizacji stosunków ze wschodnim sąsiadem również dlatego, że mogłoby to pozbawić Polskę angielskiego poparcia w polityce europejskiej. Jak dalece te rachuby były realne, miał pokazać czas. Jest jednak faktem, że Stresemann zaczął bardziej liczyć na współdziałanie Francji. Zacytujemy słowa wygłoszone przez niemieckiego ministra w Reichstagu: „Kiedy [...] przyjdzie czas i dyskutowanie kwestii wschodniej w jakiegokolwiek formie stanie się możliwe, Niemcy będą musieli zdać sobie dokładnie sprawę z tego, że kwestie te można załatwić tylko w łączności z Francją, że przede wszystkim trzeba się starać o porozumienie z Francją i że wobec tego w stosunkach między obu narodami i państwami zapanować musi atmosfera umożliwiająca załatwienie dalej sięgających spraw”. Sytuacja stawała się

paradoksalna. Niemcy zaczynały spoglądać na Francję, a Polska na Anglię. Najdziwniejsze zaś było to, że rachuby te były w poważnym stopniu realne.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych musiało więc skonkretyzować swoje zamiary w odniesieniu do Niemiec w nowych warunkach. Miarodajny dla tych prób wydaje się referat *Kilka uwag o stosunku Niemiec do Polski* z grudnia 1926 r. autorstwa Kazimierza Olszowskiego, który wówczas kierował polskim poselstwem w Berlinie. Dyplomata polski wskazywał na nieuchronność zbrojnego starcia z Niemcami. Wynikało to - zdaniem Olszowskiego - z dążenia Niemców do ponownego zagarnięcia polskiego Pomorza i chęci uzależnienia Polaków od Rzeszy w sprawach handlu i gospodarki. Poseł wyrażał nawet przekonanie, że wojna wybuchnie w ciągu ośmiu-dziesięciu lat (1934-1936). Wnioskiem autora referatu było stwierdzenie, że w „naszym interesie leży możliwe przedłużenie okresu, o którym mowa”. Dlatego Olszowski nalegał, aby Polska „zakończyła możliwie najszybciej cały szereg spornych kwestii zachodzących między Polską a Niemcami” i dążyła do zawarcia traktatu handlowego, normującego warunki wymiany towarowej. Poseł sądził, że ustępstwa w sprawie likwidacji niemieckich majątków na terenie Polski i naciski niemieckiego przemysłu zainteresowanego polskim rynkiem będą stanowiły realną podstawę takiego porozumienia. Normalizacja miała według Olszowskiego zapewnić Polsce stabilizację i napływ pożyczek zagranicznych, niezbędnych dla rozwoju gospodarczego

Opinię tę zdawał się podzielać zarówno Zaleski, jak i Piłsudski. Marszałek był jednak znacznie sceptyczniej nastawiony do możliwości ułożenia stosunków z Niemcami kosztem jakichś, nawet małych, ustępstw ze strony polskiej. Piłsudski sądził, że skuteczniejszą metodą będzie z jednej strony manifestowanie chęci normalizacji, z drugiej zaś wykazywanie, że za brak postępów w rozmowach należy obwiniać Berlin. Polska dyplomacja miała więc przy każdej okazji - zwłaszcza w Genewie - demaskować rzeczywiste zamiary Niemiec. Przy pełnym powodzeniu tego rodzaju działań Polska mogła zyskać sojuszników przeciwko Niemcom, ale nawet ograniczone rezultaty musiały oznaczać co najmniej zachwianie wiary francuskich pacyfistów w stresemannowskie deklaracje o pokoju. Byłoby dobrze - twierdził Marszałek - gdyby Niemcy ujawniły żądania rewizjonistyczne pod adresem pozostałych sąsiadów. Może wówczas Francja by przejrzała?

To stanowisko Piłsudskiego było zbieżne z poglądem Olszowskiego na temat ewentualnego przyłączenia Austrii do Rzeszy. Poseł twierdził, że „wspólna granica włosko-niemiecka” stałaby się źródłem trwałego sporu między Włochami a Rzeszą. Faszystowska Italia twardą ręką trzymała swoich Niemców na terenie Górnej Adygi i trudno było sobie wyobrazić, aby w tych warunkach parlamentarne Niemcy znalazły wspólny język ze *stato totalitario* Mussoliniego.

Olszowski nie starał się wyciągnąć bardziej praktycznych wniosków w swym referacie. Skonstatował jedynie, że upadek carskiej Rosji, słabość Francji i rysy na budowlu brytyjskiego imperium dają szansę wzrostu Niemcom, wzrostu, który nie może być tak równoważony jak przed wybuchem I wojny światowej. Spostrzeżenie to, tak oczywiste, nie wskazywało, co powinna robić Polska, aby uchronić się przed najgorszym. Przecież mimo „przeciwwagi” wojna w 1914 r. wybuchła. Czegóż więc należało się spodziewać teraz, gdy Niemcy miały szansę podjęcia działań, nie licząc się z kimkolwiek.

Pretensje pod adresem autora referatu są tym bardziej uzasadnione, że Olszowski znał świetnie Niemców, a sam wiele razy zdołał trafnie przewidzieć bieg wydarzeń. Jego sugestie adresowane do nowego rządu w momencie, gdy Piłsudski formował własny pogląd na sprawy zagraniczne, mogły mieć znaczenie decydujące. Bardzo długo przecież w Polsce pokutowała opinia wyrażona przez Olszowskiego, że Włochy będą antyniemieckim sojusznikiem Polski - takiego zdania był też przez jakiś czas następca Zaleskiego, Józef Beck.

Znacznie bardziej radykalny - być może dlatego, że publicysta może sobie na to pozwolić - był Wojciech Stpiczyński. W opublikowanej w 1929 r. książce: *Polska, która idzie*, pisał on o „prymitywizmie niemieckiej polityki zagranicznej” i prorokował Niemcom, że „przeżyją jeszcze wiele rozczarowań”. Europa zachowa się solidarnie - twierdził - w obliczu „zachwiania równowagi”, do czego prowadzi wzrost potęgi Rzeszy.

Koncepcja polityki zagranicznej sanacji dopiero powstawała. Wydaje się jednak, że mimo wszystko wiele podejmowanych wówczas doraźnych działań zaważyło na kształtującej się generalnej linii. Przytoczmy w tym miejscu fragment raportu ambasadora Francji Julesa Laroche'a: „[Polacy - R.Sz.] zaczynają rozumieć, że dla Polski nie wybór między Rosją a Niemcami wchodzi w grę, lecz trwanie dla zyskania na czasie. Polityka odprężenia z Berlinem nie ma innych celów. Kraj ten [Polska - R.Sz.] powinien jedynie dokładać wszystkich sił, aby utrzymać pokój, który pozwoli mu umacniać swą strukturę, swe bogactwo i swą siłę oporu”.

Ocena politycznych efektów rządów Piłsudskiego w latach 1926-1931 nie jest łatwa. Znawcy problematyki nie są zgodni, czy linia polityki zagranicznej była kontynuacją (Krasuski), czy też zaprzeczeniem polityki Skrzyńskiego (Ciałowicz). Trudno to jednoznacznie przesądzić. Deklaracje słowne ministra Zaleskiego nawiązywały wyraźnie do koncepcji jego niekontrowersyjnego wobec Zachodu poprzednika - Skrzyńskiego, jednocześnie zaś jakościowo inne były konkretne posunięcia polskiej polityki zagranicznej. Zaznaczyło się to głównie w stosunku do Niemiec.

Rząd polski czynił wiele, aby unormować stosunki z Rzeszą. Ale nie chodziło przecież o ustępstwa jednostronne (polskie). W tym też sensie Berlin nie zyskał nic na zmianie rządu w Warszawie. Zresztą ustępliwość Piłsudskiego wobec zachodniego sąsiada bardziej widzieli niektórzy polscy historycy niż Niemcy. Zacytujemy opinię posła niemieckiego w Warszawie Ulricha Rauschera o autorze przewrotu majowego, zawartą w raporcie wysłanym do Berlina w maju 1926 roku. Niemiecki dyplomata uważał Piłsudskiego za polityka „negującego wszelką koncepcję autorytetu państwa”, który w swoim życiu nie stworzył nic konstruktywnego. Rauscher twierdził, że Marszałek to „polityk przewrotu i wojny”, nieodpowiedni w czasach, „gdy trzeba wykazywać rzeczywistą pracę państwową, gdy męstwo musi się okazać w konsekwentnej, spokojnej polityce zagranicznej”. Dlatego uznał Piłsudskiego za „najmniej odpowiedniego sternika państwowości”. Jak widać, Marszałkowi nie pomogło pomawianie go o germanofilstwo.

Rzesza zdecydowanie negatywnie oceniała politykę rządu sanacyjnego w sprawach mniejszości niemieckiej. Wspominaliśmy już, jak wielkiego znaczenia nabierała polityka narodowościowa w wypadku Polski i Niemiec. Pozycja polskich obywateli pochodzenia niemieckiego była o wiele lepsza od pozycji ludności polskiej w Rzeszy: mniejszość niemiecka mogła zawsze powoływać się na traktat mniejszościowy, któremu poddano regulację spraw narodowościowych na obszarze Rzeczypospolitej, natomiast Polacy w Rzeszy mogli się odwoływać jedynie do wewnętrznego prawa niemieckiego.

Niepokój polskich Niemców co do kierunku polityki rządu Piłsudskiego zdawał się być uzasadniony. Najpierw ich liczna przed majem reprezentacja parlamentarna (24 osoby) zmniejszyła się po wyborach w 1930 r. do pięciu posłów i trzech senatorów. Można to było tłumaczyć bezpardonową walką sanacji z partiami opozycyjnymi, ale stanowiło to małą pociechę dla Niemców, gdyż oni znajdowali się w opozycji do każdego rządu polskiego, a nie tylko sanacyjnego.

Wytoczono też procesy przywódcom niemieckich organizacji, które zbyt śmiało zaczęły sobie poczynać. Zakończono m.in. wlokący się od siedmiu lat proces bydgoskiego *Deutschtumsbundu*.

Od końca sierpnia 1926 r. rozpoczął urzędowanie nowo mianowany wojewoda autonomicznego województwa śląskiego, Michał Grażyński, który niegdyś powoływał do

życia Polską Organizację Wojskową na Górnym Śląsku i uczestniczył w powstaniach śląskich. Został on wkrótce znienawidzony przez Niemców, co dowodziło, że polityka nowego wojewody nie dawała niemieckim organizacjom zbyt dużej swobody.

Pociągnięciem szczególnie dla Niemców bolesnym była sprawa tzw. szkół mniejszościowych. Naciski wywierane na polskich robotników przez niemieckich pracodawców, a także umiejętna propaganda, głosząca wyższość szkół niemieckich nad polskimi, powodowały, że część polskich rodzin na Śląsku posyłała swoje dzieci do szkół niemieckich. Sprawiało to, że na terenie państwa polskiego pojawiła się realna groźba germanizacji młodych Polaków. Dlatego przed rozpoczęciem roku szkolnego 1926/1927 polskie władze zbadały, czy dzieci zapisane do szkół niemieckich posługują się tym językiem na co dzień. Polskie obawy potwierdziły się: wśród uczniów był znaczny procent takich, którzy dopiero mieli nauczyć się niemieckiego. Oczywiście strona niemiecka nie chciała dać za wygraną. Osoby prywatne i organizacje, jak np. Volksbund, skierowały skargi do Ligi Narodów, twierdząc, że polska administracja narusza prawa mniejszości niemieckiej. Spór toczył się wiele lat, nie przynosząc widocznych korzyści Polsce, jednak faktycznie sparaliżował niemiecką próbę germanizowania ludności polskiej za pomocą szkoły. Sprawa szkół stała się przedmiotem ostrego zatargu między polskim a niemieckim ministerstwem spraw zagranicznych. Minister Zaleski, działając wyraźnie według poleceń Piłsudskiego, oświadczył na posiedzeniu Rady Ligi Narodów (15 XII 1928 r.), że Niemcy w Polsce „nadużywają praw mniejszościowych, a organizacje takie jak Volksbund tworzą polityczne rozgorączkowanie, a nawet prowadzą akcję wywrotową”.

Kolejną falę skarg i protestów spowodowała realizacja ustawy o reformie rolnej z 1925 r. Ustawa przewidywała obowiązkowe parcelowanie majątków ziemskich, których obszar przekraczał 60 hektarów w rejonach uprzemysłowionych i 180 hektarów na terenach pozostałych. Jedynie w województwach wschodnich (Polesie) określono jako górną granicę 300 hektarów. Ustalono obszar rocznej parcelacji na około 200 tys. hektarów i operację taką powtarzano każdego roku aż do wybuchu wojny. W rezultacie w okresie międzywojennym rozparcelowano i scalono grunty o łącznej powierzchni przekraczającej 8 mln hektarów; utworzono ponad 700 tys. nowych i scalono około 860 tys. gospodarstw chłopskich. Z tego wynika, że reforma rolna objęła swym zasięgiem ponad 30% użytków rolnych.

Niemcy uważali, że ich interesy zostały szczególnie naruszone, ponieważ majątki ziemskie mieli na ogół na terenach uprzemysłowionych. Pretensje te były o tyle nieuzasadnione, że rząd polski dokonywał parcelacji na podstawie wykupu gruntów od ich właścicieli. W grudniu 1932 r. minister Beck, przemawiając na posiedzeniu Rady Ligi, określił istotę niemieckich pretensji pod adresem Rzeczypospolitej w następujący sposób: „kryła się ona w fakcie, że polscy Niemcy chcieli uzyskać pozycję uprzywilejowaną wśród obywateli RP, aby paraliżować działalność gospodarczą i administracyjną nienawistnego im państwa. Nikt też nie powinien się dziwić - oświadczył Beck - że rząd polski będzie podejmował odpowiednie przeciwdziałania”.

Bezsilność w sporach o urojone naruszenia praw polskich Niemców nastrajała ich wrogo do rządzącej sanacji. Poseł na sejm Eugen Naumann powiedział w czasie jednego z posiedzeń polskiego parlamentu, że „żaden gabinet nie negocjował tak świadomie i bez najmniejszych ogródek najelementarniejszych praw ludności niemieckiej” jak rząd premiera Kazimierza Świątalskiego. W podobnym duchu przemawiał inny poseł, August Utta, wypominając, że rządy Piłsudskiego uchylały się od kontroli parlamentarnej i tym samym prowokowały „polskich szowinistów” do prześladowania niemieckiej mniejszości.

Zaburzenia społeczne i szybka hitleryzacja Niemiec sprawiały, że Rzesza r stawała się coraz mniej pewnym politycznie państwem. Osłabiała to pewność siebie mieszkających w Polsce Niemców, a także miało pewien wpływ na ; zmianę stosunku mocarstw zachodnich do Berlina i do Warszawy.

Politycy Republiki Weimarskiej nie przewidywali, że to nie Polska, ale właśnie Niemcy w swym republikańsko-parlamentarnym kształcie miały okazać się „sezonowe”. W 1926 r. mogło się jednak wydawać, że wszystko zmierza ku lepszemu. Bezpośrednim następstwem paktów lokarneńskich było przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów, a zatem Rzesza - jak przystało na mocarstwo - otrzymała stałe miejsce w Radzie Ligi i „zasiadła” obok Anglii, Francji, Japonii i Włoch. Zniesiono międzynarodową kontrolę nad siłami zbrojnymi Niemiec, a do końca czerwca 1930 r. wojska angielskie, belgijskie i francuskie opuściły Nadrenię. Dwa lata później pojawiły się pierwsze zwiastuny niemieckich zbrojeń. Były to tzw. pancerniki kieszonkowe, których budowę podjęły wkrótce stocznie niemieckie. Rzesza obchodziła w ten sposób obowiązujące ją zakazy, nowe konstrukcje były bowiem okrętami silniejszymi pod względem uzbrojenia od krążowników i szybszymi od pancerników, których zgodnie z postanowieniami traktatowymi nie mogła posiadać. W ten sposób Reichsmarine miała jednostki mogące zatopić każdy okręt słabszy od „kieszonkowego”, a jednocześnie zdolne uniknąć walki z każdym okrętem silniejszym dzięki znacznej przewadze szybkości. Według ministra obrony Groenera budowane okręty miały służyć do odparcia „agresji polskiej”, chociaż było powszechnie wiadomo, że największymi ówczesnie polskimi okrętami były niszczyciele -jednostki słabsze od krążowników.

Korzystną dla Niemiec i niebezpieczną dla Polski koniunkturę polityczną „zwichnął” rozwój sytuacji wewnętrznej Rzeszy. Wielki kryzys gospodarczy, który rozpoczął się w końcu 1929 r., skomplikował i tak już trudną sytuację polityczną Republiki Weimarskiej. Spadek produkcji, wzrost liczby bezrobotnych (w ciągu czterech lat do ponad sześciu milionów osób), pauperyzacja mas i niepewność jutra, którą odczuwał przeciętny niemiecki mieszczuch - wszystko to stawiało pod znakiem zapytania stabilność niemieckiego państwa. Wzrost partii komunistycznej straszył zachodnich kapitalistów widmem rewolucyjnych Niemiec zjednoczonych w działaniu ze Związkiem Sowieckim, ale i rozwój drapieżnego ruchu narodowych socjalistów nie wzbudzał sympatii w liberalno-demokratycznych kręgach zachodnich społeczeństw. Antysemickie burdy powodowały gwałtowny odpływ kapitałów z Niemiec. Zamknięto banki i ogłoszono „wakacje bankowe”, co historycy uznali za przykład niebywałego w dziejach publicznego bankructwa państwa: państwa - dodajmy - które oskarżało Polskę o nieudolność, bałagan i brak zdolności organizacyjnych.

Do tego Rzesza sięgnęła po środki, które zaalarmowały europejską opinię publiczną. Niemieccy politycy doszli bowiem do wniosku, że od krachu gospodarczego może ich kraj uratować zjednoczenie... z Austrią. 21 marca 1931 r. ogłoszono, że rządy austriacki i niemiecki doszły do porozumienia w sprawie zawarcia unii celnej. W kołach politycznych Europy zdawano sobie sprawę, że był to wstęp do zjednoczenia politycznego. Dlatego posunięcie Berlina spotkało się ze stanowczym „nie!” Negatywne stanowisko Francji i orzeczenie Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze zniweczyły ten zamiar; jednocześnie zaufanie Zachodu do czystości niemieckich intencji zostało nadszarpnięte. W tym samym czasie wyborcy na terenie Rzeszy wydali wyrok śmierci na niemiecki parlamentaryzm, znaczna ich bowiem liczba głosowała na partie programowo antyparlamentarne. Jedną z nich - NSDAP - zdobyła 37% głosów, a komuniści uzyskali 15% głosów. obrońcy parlamentaryzmu i demokracji stanowili odtąd w parlamencie Republiki Weimarskiej mniejszość.

Położenie Polski, chociaż trudne, było jednak znacznie korzystniejsze od niemieckiego. Lata po przewrocie majowym dowiodły, że Piłsudski nie jest kandydatem na „polskiego Kiereńskiego” (jak twierdziła endecja), a drastyczne wypadki brzeskie z 1930 r. były interpretowane na Zachodzie jako dowód, że sanacja nie dopuściła do zbolszewizowania kraju. To musiało umacniać zaufanie kół zachowawczych Zachodu do stabilności rządu w Warszawie. Coraz częściej rozumiano polskie argumenty w polemikach z Niemcami, a głos Rzeczypospolitej zyskał na akustyce od momentu zajęcia przez Polskę stałego *de facto*

miejsca w Radzie Ligi Narodów. Polska starała się umacniać przekonanie, że jest państwem pragnącym pokoju - co było prawdą. W miarę możliwości łagodzono i normalizowano stosunki nie tylko z Niemcami, czego najbardziej znanym dowodem było genewskie spotkanie marszałka Piłsudskiego z litewskim premierem Augustinasem Voldemarasem, kończące operetkowy stan wojny między Litwą a Polską.

W tym samym czasie postępująca hitleryzacja polityki zagranicznej Niemiec i przekreślenie przez Berlin linii Rapallo zmieniały sytuację strony sowieckiej. Wprawdzie początkowo wpływowe osoby z niemieckiego MSZ i wojska (Neurath, gen. Blomberg) usiły kontynuować politykę współpracy z Moskwą, ale ich wysiłki były niweczone przez coraz ostrzejsze wypady Hitlera przeciwko ZSSR, utrudnienia czynione dziennikarzom sowieckim, a także rewizje w sowieckich misjach handlowych w Hamburgu i Lipsku. Wkrótce Hitler wydał zakaz współpracy wojskowej z Armią Czerwoną (lato 1933 r.) i ZSSR musiał szukać innych sojuszników.

Kryzys gospodarczy nie ominął i Polski, ale jego skutki nie były tak drastyczne jak w Rzeszy. Udało się Polakom utrzymać z takim trudem osiągniętą stabilizację pieniądza - w okresie międzywojennym złoty polski był uważany za jedną z najpewniejszych walut świata (w 1931 r. 1 dolar odpowiadał 9 zł, w 1933 r. - 7 zł, a od 1934 do 1939 r. - 5 zł), a wojna gospodarcza nie tylko nie przyniosła zwycięstwa Niemcom, ale nauczyła Polaków tej prostej prawdy, że podstawą niepodległego bytu musi być służący interesom własnego państwa potencjał gospodarczy. Przemysł, nawet najpotężniejszy, jeśli pozostaje w obcych rękach nie daje żadnych gwarancji rozwoju społecznego i bezpieczeństwa kraju. Stąd rząd polski starał się ograniczyć wpływy zagranicznego kapitału na polską gospodarkę.

W pierwszych latach po 1930 r. Rzesza straciła wiele w oczach Zachodu. Faktycznie załamała się dotychczasowa linia polityczna Stresemanna, usiłującego odzyskać utracone po I wojnie światowej pozycje Niemiec i zjednać Francję oraz Anglię dla sprawy rewizji granic z Polską.

Politycy polscy stanęli teraz przed koniecznością znalezienia metod skutecznej obrony interesów państwowych Rzeczypospolitej w obliczu zagrożenia ze strony nowej, III Rzeszy. Groźnym memento dla Polaków było uzyskanie przez Niemcy w 1932 r. formalnego równouprawnienia w zbrojeniach. Dobiegały kresu lata, gdy Polska mogła szachować Niemcy wojskiem. Atut siły militarnej wymykał się, a różnica potencjałów gospodarczych wskazywała, że wyścig zbrojeń z Niemcami Polska musi przegrać.

Jak należałoby zbilansować lata 1926-1931? Wydaje się, że wynik sporów polsko-niemieckich był remisowy. Piłsudski powiedział Stresemannowi, że na wrogię wobec Rzeczypospolitej polityce Rzeszy „Polska nic nie straciła, a Niemcy nic na niej nie zyskały”. Od 1932 r. zaczęły się lata, w których Polska mogła bardzo dużo stracić, gdyby nie zdołała stworzyć skutecznej bariery przed niemieckim ekspansjonizmem.



## Rozdział III NA ZAKRĘCIE

### 1. „Francja nas zdradzi”

Bezdyskusyjna wydaje się teza, że rządy piłsudczyków oznaczały osłabienie związków polsko-francuskich. W rzeczywistości jednak stosunki z Francją zaczęły się psuć na wiele miesięcy przed objęciem władzy przez Piłsudskiego. Wynikało to z faktu, że o umocnieniu lub osłabieniu sojuszu (zwłaszcza wojskowego) decydowała i decyduje nadal silniejsza strona. Wprawdzie mogą być sojusze, w których wszystko odbywa się pod dyktando hegmona, ale wówczas taki związek stanowi najczęściej jedynie przykrywkę zależności politycznej, ułatwiającej gospodarczą eksploatację. Politycy francuscy zbyt często wyobrażali sobie, że według tego modelu będą układali stosunki z Polakami. Postępowanie władz Rzeczypospolitej wtedy wzbudzało sympatię w Paryżu, gdy odpowiadało poglądom francuskich polityków. Kiedy jednak Polska domagała się od Francji poparcia dla swojej polityki, wówczas często słyszało się nad Sekwaną głosy, wypominające Polakom „egoizm”, a nawet „zdradę” Francji. „Przeciętny Francuz - pisał radca ambasady polskiej w Paryżu Anatol Muhlstein - uważa za normalne, że w pewnych sprawach Francja z Polską nie solidaryzuje się. Sytuacja odwrotna jest dla niego niepojęta i uważana za swego rodzaju zdradę”.

Wszystko to zostało powiedziane nie dla usprawiedliwienia polityki polskiego rządu. Chodziło jedynie o to, aby szukając winnych osłabienia sojuszu polsko-francuskiego, dostrzec właściwe proporcje. Strona polska zdawała sobie sprawę z wagi związków z Francją, ale to od Francji przede wszystkim zależało, czy związek ten stanie się politycznym konkretem. Tak było w 1925 r. (Locarno), w 1932 r. (równouprawnienie w zbrojeniach dla Niemiec), w 1933 r. (pakt czterech i sprawa wojny prewencyjnej), w 1936 r. (zajęcie Nadrenii) i wreszcie w 1939 r., gdy wybuchła wojna.

W latach 1925-1932 ministrem spraw zagranicznych Francji był Aristide Briand. Jego polityka miała zapewnić Francji trwały pokój i ostateczne pojednanie z Niemcami. Terenem działania Brianda była głównie Genewa i Liga Narodów, gdzie francuski polityk starał się wpoić swym europejskim kolegom wstręt do wojny.

Mimo dość jednoznacznej linii, jaką reprezentował Briand, nie dało się go równie jednoznacznie scharakteryzować. Dla jednych był on „łatwowiernym pacyfistą o mętnych koncepcjach”, dla innych „potworem zręczności”. Jeszcze w okresie I wojny światowej oskarżano Brianda o niedostateczną stanowczość w czasie rozmów z obcymi politykami. Zarzucano mu, że wikłał się w nieporozumieniach. Mówiono, że odraczając trudne decyzje, sądzi, iż tym samym uniknie kłopotów. Stanisław Zabełło nazwał francuskiego ministra „politykiem o zmiennej orientacji”, co nie wydaje się przekonujące.

Koncepcja porozumienia z Niemcami powstała w umyśle Brianda na wiele lat przed Locarno. Jeszcze bowiem w 1917 r., kiedy Francja toczyła wojnę z cesarską Rzeszą, Briand zaczął snuć plany doprowadzenia do pokoju. Wówczas Poincaré nazwał ten pomysł „pacyfistyczną intrygą ukutą przez ambicje Brianda”. W połowie lat dwudziestych rozwój pacyfizmu umożliwił Briandowi powrót do dawnych pomysłów, które mógł wcielić w życie, gdy został szefem Quai d'Orsay.

Po zakończeniu wojny Briand doszedł do wniosku, że naród francuski jest tak wyczerpany, iż nie stać go na żaden wysiłek. A takim wysiłkiem, według niego, byłyby bardziej stanowcza polityka wobec Rzeszy. Głównym celem polityki Francji miało więc być

porozumienie i pojednanie z Niemcami, a później wszechstronna współpraca. To była gwarancja pokoju i bezpieczeństwa wschodniej granicy III Republiki. Ustępstwa i rezygnacje miały być francuską ceną za *pax Germanica*. Pierwszym takim ustępstwem ze strony Brianda było wycofanie francuskich wojsk okupacyjnych z Zagłębia Ruhry (czerwiec 1925 r.). Znany z nieprzejednanej postawy antyniemieckiej Poincare nazwał linię polityczną ministra „polityką zdechłego psa, płynącego z prądem rzeki”.

Kolejnym posunięciem Brianda było Locarno. Zawarte tam pakt podkopały zaufanie Warszawy i Pragi do lojalności francuskiego sojusznika. Nie równoważyły tego - wbrew pozorom - pokojowe gesty Stresemanna.

Z nazwiskiem Brianda został związany układ, którego formalnym inicjatorem był amerykański sekretarz stanu Frank Billings Kellogg. Układ nazywany „paktem Brianda-Kellogga” zawierał uroczystą deklarację o potępieniu wojny jako metody rozwiązywania sporów międzynarodowych. Prawdę powiedziawszy, pakt Brianda-Kellogga z 1928 r. nie różnił się zbyt od polskiego wniosku w tej samej sprawie, zgłoszonego i przyjętego na posiedzeniu Ligi Narodów w 1927 r. Istotna różnica polegała na tym, że Polacy realizowali swoją inicjatywę przez Ligę Narodów, natomiast Briand całkowicie pominął forum Ligi. Merytorycznie układ miał małą wartość, co dość dobitnie określił w rozmowie z Alfredem Wysockim Piłsudski, mimo to Polska była jednym z pierwszych państw, które go podpisały.

Pomijając Ligę Narodów, Briand mimo woli obniżył autorytet tej i tak niezbyt cenionej organizacji. Gieorgij Cziczerin na przykład nazywał Ligę „zorganizowaną niemocą światową”, Lloyd George określał ją jako diament, któremu nie przydano odpowiedniej oprawy, a „bez nacisku diament szkła nie przetnie”, a Piłsudski w rozmowie z Briandem (w 1927 r.) podkreślał, że jedynie stworzenie odpowiedniej egzekutywy, którą powinna stanowić międzynarodowa siła zbrojna, mogłoby zapewnić Lidze skuteczność. Przytoczone wyżej opinie ludzi o odmiennych przecież poglądach politycznych wskazują wyraźnie, jakie były rzeczywiste powody nieskuteczności polityki prowadzonej przez Ligę.

Czy tę słabość Ligi dostrzegał również uważany za jej entuzjastę Briand? Być może tak. Dlatego chyba starał się stworzyć pewniejszą podstawę swojej polityki. Miała to zapewnić zjednoczona „Paneuropa”.

Promotorami idei zjednoczenia „starego kontynentu” byli w głównej mierze przemysłowcy Francji i Niemiec. Dostrzegając zachwianie dynamiki wzrostu gospodarczego obu krajów, przemysłowcy zamierzali temu zaradzić przez stworzenie w Europie „wielkiego rynku konsumpcyjnego”. Tacy ludzie jak Richard Coudenhove-Calergi, Louis Luchaire i Emile Meyerisch szukali pilnie płaszczyzn porozumienia i zaczęli organizować komitety celem skupienia kół przemysłowych Francji i Niemiec. Powstała „Paneuropejska Rada Gospodarcza”, która była miejscem „serdecznych” rozmów przemysłowców obu krajów. Oczywiście nie poprzestano na rozmowach. Jeszcze w październiku 1926 r. zostało powołane do życia Międzynarodowe Porozumienie Stali, a później podobne organizacje dla przemysłów produkujących nawozy sztuczne i inne środki chemiczne. Te zachęcające postępy na drodze zacieśniania więzi gospodarczych natchnęły obie strony do zwołania europejskiego kongresu gospodarczego, którego datę ustalono na 17 maja 1930 r., miejsce zaś wyznaczono w Berlinie (!). A wszystko to działo się w okresie, gdy związana sojuszem z Francją Polska toczyła wojnę gospodarczą z Niemcami.

Hasło „Paneuropa” stało się modne we Francji. Działał ruch paneuropejski, którego honorowym prezesem został minister Briand, natomiast wiceprezesem Leon Blum. Młodzi zwolennicy zjednoczenia występowali pod nazwą „Młoda Europa”, a pismo tej grupy - „Plans” - głosiło: „Aby ocalić Niemcy, Francję i Europę, trzeba stworzyć stany zjednoczone Francji i Niemiec”. O sprawie tej mówiono na francusko-niemieckich obozach młodzieżowych. Wkrótce jednak ujawniły się sprzeczności wśród „paneuropejczyków”. „Starzy” działacze chcieli zjednoczenia na liberalno-konserwatywnej podstawie, „młodzi” zdradzali

sympatie dla programów prawicowo-radykalnych, widząc ich egzemplifikację w narodowym socjalizmie.

Ale ani młodzież, ani przemysłowcy nie byli w stanie dokonać zjednoczenia Europy. Do tego potrzebny był znacznie szerszy prąd społeczny, stymulowany przez rządy państw europejskich, tymczasem konsultacje z nimi dowiodły, że projekt Brianda był oparty na niezwykle kruchych podstawach. Prawie wszystkie rządy wyraziły, jeżeli nie wrogość czy niechęć, to co najmniej obawę, że projekt ów będzie oznaczał hegemonię niemiecko-francuską. Pomysł Brianda upadł po krachu na Wall Street, stanowiącym początek wielkiego kryzysu, i po śmierci Stresemanna. „Co do Brianda (może zbyt wrażliwego na pochlebstwa swego otoczenia) - czytamy w *Historii tajnej dyplomacji* - wydaje się, że przerachował się, licząc na potęgę swej wymowy”.

W koncepcji politycznej francuskiego ministra bardzo mało miejsca zajmowała sprawa sojuszu z Polakami. A na tej drodze - jak dowiodła historia - mogli Francuzi znacznie skuteczniej bronić pokoju, gdyby pacyfistyczna ułuda nie przesłoniła im prostej prawdy: o funkcjonowaniu sojuszu decyduje stopień zaufania między partnerami. Polityka Brianda nie umacniała tego zaufania.

Tuż po objęciu urzędu Briand spowodował odwołanie z Polski ambasadora Francji Hectora de Panafieu, którego określano jako „wiernego strażnika aliansu polsko-francuskiego”. Odwołanie było o tyle symptomatyczne, że podano powód tak błahy, jak przekroczenie przez dyplomatę sześćdziesiątego roku życia, natomiast dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że minister uważał, iż Panafieu zbyt liczył się z Polakami, a nawet, jego zdaniem, zapominał o obronie interesów Francji w Warszawie. Francuski dyplomata J.B. Barbier nazwał wyjazd Panafieu z Polski „podzwonnym dla sojuszu polsko-francuskiego”. Nowym ambasadorem został zaufany szefa Quai d'Orsay Jules Laroche, którego podejrzewano, że pojechał do Warszawy z zadaniem osłabiania aliansu z Polakami.

Należy dodać, że Briand, chociaż należał do grona twórców układu sojuszniczego z Polską, nie zaliczał się do jego szczególnych zwolenników. W listopadzie 1920 r. wyrażał opinię, że zawieranie porozumień z Warszawą było przedwczesne. Francuski polityk chciał wprawdzie, aby Rzeczpospolita stała się „tamą dla komunizmu”, ale jednocześnie polityka Francji nie powinna być „spowodować nieodwracalnej wrogości Rosji”. Briandowi chodziło oczywiście o „białych”. Uważał on - i nie zmienił tego poglądu - że Piłsudskiemu powinno wystarczyć, iż Polacy będą mieli we Francji „wypróbowanego przyjaciela”. Francuz nie kłopotał się o to, co Paryż winien uczynić, aby Marszałek rzeczywiście nabrał takiego przekonania. Zresztą Briand przyznawał, że gdyby nie Rzesza, to rozmowy z Polakami nie miałyby sensu.

Po Locarno obawa przed Niemcami zbladła tak bardzo, że francuski minister postanowił uwolnić III Republikę od uciążliwego sojuszu. Przewrót majowy w 1926 r. obudził nadzieję Brianda na to, że Piłsudski będzie bardziej uступliwy wobec Niemiec, a więc kwasy polsko-niemieckie nie będą psuły francusko-niemieckiego pojednania. W depeszy do Laroche'a (16 V 1926) pisał: „W Europie zdaje się przeważać zdanie, że Piłsudski, wrogi i podejrzliwy wobec Rosji, szukać będzie porozumienia z Berlinem, w każdym razie w dziedzinie ekonomicznej, i spotka się z tendencjami pojednawczymi”.

Okazało się wkrótce, że Warszawa nie stała się bardziej uступliwa, a Berlin nie zamierzał ograniczać się do dziedziny ekonomicznej. Przeciwnie: Rzeczpospolita domagała się zahamowania remilitaryzacji Niemiec i nie kryła swego krytycznego stanowiska wobec polityki realizowanej przez Francję. Z drugiej strony Brianda coraz bardziej drażniły utarczki polsko-niemieckie w sprawach narodowościowych. „Sprawy mniejszości - mówił francuski minister - nie powinny stać się dźwignią przeznaczoną do [...] zakłócania pokoju, nie powinny być groźbą wiszącą nad nami”. Briand biadał, że to Polska z jej problemami mniejszości niemieckiej była „kamieniem u szyi” francuskiej polityki pokojowej.

Uzyskanie przez Polskę miejsca w Radzie Ligi Narodów (19 IX 1926 r.) było według francuskiego ministra wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, toteż doszedł do wniosku, że w tej sytuacji Polacy nie potrzebują dodatkowych środków zabezpieczających. W listopadzie 1927 r. przybył do Polski marszałek Louis Franchet d'Esperey. Oficjalnym powodem wizyty było dekorowanie Piłsudskiego wysokim odznaczeniem wojskowym Francji. Rzeczywisty powód przyjazdu francuski marszałek wyjawiał podczas rozmów z Piłsudskim w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Chodziło o zmianę kilku istotnych postanowień w konwencji wojskowej obowiązującej sztaby obu armii - Francuzowi zależało przede wszystkim na wykluczeniu automatycznego wystąpienia Francji w wypadku zagrożenia Polski ze strony Niemiec. Kilka miesięcy później (w styczniu 1928 r.) z podobnymi projektami wystąpił ambasador Francji w rozmowie z odpowiedzialnym pracownikiem polskiego MSZ. Z propozycji Laroche'a można było wnioskować, że Paryż zamierzał się wycofać nie tylko z pomocy w ewentualnym konflikcie polsko-radzieckim, ale ze zobowiązań dostarczenia efektywnego wsparcia w wojnie Polski z Niemcami. „Piłsudski, kiedy mu zreferowano projekt Laroche'a - pisze Jan Ciałowicz - zorientował się w problematyczności pomocy francuskiej i z miejsca przeciął wszelkie na ten temat rozmowy. Uważał on, że w wypadku wojny ze Związkiem Radzieckim sojusz z Francją będzie bardzo ważnym czynnikiem, a choć pomoc francuska nie przedstawiała wartości bezpośredniej, to miała zasadnicze znaczenie jako zabezpieczenie tyłów od strony Niemiec”. W polskim GISZ wiedziano o rachubach Rzeszy na konflikt Polski z Rosjanami. Obowiązywała przecież linia Rapallo, której wojskowe znaczenie tak jasno tłumaczył Hans Seeckt. Piłsudski wiedział bardzo dobrze, że każdy konflikt zbrojny Polski z którymkolwiek sąsiadem Rzeczypospolitej zostanie natychmiast wykorzystany przez Reichswehrę. Dla Polski oznaczało to w każdym wypadku wojnę na dwa fronty. Dotychczasowe poczynania polityków i wojskowych Francji zaniepokoiły Warszawę. W lecie 1928 r. udał się do Paryża generał Tadeusz Kutrzeba, aby na polecenie Piłsudskiego zbadać rzeczywiste zamiary naczelnych władz wojskowych Francji. W rozmowie z szefem Sztabu Generalnego generałem Debeneyem polski wojskowy oświadczył, powołując się na zdanie Piłsudskiego, że w razie agresji niemieckiej na Francję Rzeczpospolita niezwłocznie zmobilizuje swe wojska i wystąpi zbrojnie przeciwko Rzeszy. Po tym oświadczeniu Kutrzeba zapytał, jak zachowa się Francja, gdyby Polska znalazła się w analogicznej sytuacji. Francuski szef sztabu odpowiedział wymijająco, że decyzja w tej sprawie należy do czynników politycznych. Do tego Debeney sugerował, że miarodajne dla Francuzów będzie stanowisko Londynu.

Czynniki polskie podejmowały próby zacieśniania współpracy z Francją. Jedną z nich były zgłoszone w czasie dyskusji nad paktem Brianda-Kellogga poprawki, gwarantujące tak Polsce, jak i Francji prawo do „koniecznej samoobrony” na wypadek agresji państwa trzeciego. W Polsce obawiano się, że Paryż uzna, iż zakaz wojen uniemożliwia pomoc napadniętej Polsce. Inną próbę stanowiły starania o uzyskanie pożyczki francuskiej na dobrojenie armii w obliczu przedterminowej ewakuacji okupowanej strefy nadreńskiej. Obydwie próby nie dały jednak pożądanego rezultatu.

Polityka Brianda znalazła wyraźne odbicie w doktrynie wojennej Francji. W 1930 roku podjęto budowę reklamowanej szeroko linii Maginota, która miała stanowić, obok paktów lokarneńskich, pewne zabezpieczenie francuskiej granicy z Niemcami. Na odcinku 450 kilometrów, kosztem około 7 miliardów franków w złocie (około 2,5 mld złotych), wzniesiono potężny system fortyfikacyjny. Pasy umocnień i schronów bojowych, połączonych podziemnymi tunelami, wyposażone w elektrownie, windy, system łączności i magazyny, wydawały się Francuzom szczytem techniki wojennej. Zespoły wież pancernych uzbrojonych w działa i karabiny maszynowe były obsadzone wojskiem, dowożonym specjalnymi kolejkami podziemnymi. Linia Maginota miała być „siłą odpierającą”, którą

francuskie dowództwo doskonaliło i rozbudowywało ze szkodą dla ofensywnej „siły uderzeniowej”; ta w poglądach generałów schodziła na dalszy plan.

Należy dodać, że Czesi wzniesli podobne umocnienia na granicy z Niemcami, Austrią, Węgrami i częściowo od strony Polski - odcinek od Bogumina do Cieszyna (planowany koszt tych umocnień obliczano na 10 mld koron, do 1938 r. wydano 7 mld koron). Czechosłowacja starała się wiernie kopiować francuską doktrynę wojenną.

Duch Locarno zaciążył nie tylko na doktrynie armii francuskiej. Odcisnął swe piętno także na współpracy wojsk sojuszniczych. Jedną z podstawowych form współpracy w okresie pokojowym było współdziałanie służb wywiadowczych. Od 1925 r. kontakty polskiego Drugiego Oddziału Sztabu Głównego z francuskim Deuxieme Bureau były coraz gorsze. Wywiad francuski przekazywał Polakom materiały nie posiadające większego znaczenia. Polski wywiad podejrzewał (dziś wiemy, że nie bez racji), iż Francuzi postępowali nieszczerze.

Wszystko to dodatkowo pogłębiało nieufność Piłsudskiego do polityków francuskich. „Są u nas tacy - mówił Marszałek - którzy chcą koniecznie włączyć panom z Paryża czy Londynu, więc niech to czynią, ale na własny rachunek. Ja będę się trzymał ogólnych linii przymierza, lecz poza tym będę robił to, co mnie się podoba, a nie innym”. Jeszcze dobitniej określił Piłsudski polskie obawy w pierwszej rozmowie z francuskim attache wojskowym, pułkownikiem Charlesem d'Arbonneau. Ostrzegając przed chłodem, który go spotka w kontaktach z Polakami, Marszałek stwierdził, że wypływa to z „pożałowania godnej polityki stosowanej przez Francję wobec Polski”. I kontynuując myśl powiedział, że Polacy widzą, jak Francja osłabia sojusz z Polską. „Francja nas porzuci - usłyszał francuski oficer. - Francja nas zdradzi”.

O następstwach polityki Brianda napisał w wydanych w 1976 r. wspomnieniach Stanisław Schimitzek: „[...] na plan pierwszy wybijały się konsekwencje wynikające dla bezpieczeństwa Polski z polityki zbliżenia między Francją a Niemcami, polityki, z której wobec rozbieżnych celów, jakie przyświecały obu stronom, korzyści na dłuższą metę mogła osiągnąć tylko Rzesza. Obawy, jakie żywiłszy co do następstw polityki Brianda, sprawdziły się do tego stopnia, że spisywane o nich po drugiej wojnie światowej relacje wydawać by się mogły wymyślone *ex post* dla udowodnienia daru przewidywania tych osób, które w owym okresie z niepokojem śledziły rozwój wydarzeń. W pogoni za uludą bezpieczeństwa własnego kraju kolejne rządy francuskie lekcewały najżywotniejsze interesy wschodniej aliantki. Proponowane przez te rządy formuły, które by dostosowały sojusz polsko-francuski do systemu bezpieczeństwa stworzonego w Locarno, a więc uzależniły funkcjonowanie w krytycznej chwili tego sojuszu i związanej z nim konwencji wojskowej z 21 lutego 1921 roku od zawilej procedury przewidzianej w Pakcie Ligi Narodów, w praktyce byłyby tylko ułatwieniem dla Niemców w grze podporządkowanej niezmiennie jednemu celowi.

[...] idylliczne stosunki między Stresemannem a Briandem nie przeszkadzały temu, że prądy nacjonalistyczne w Niemczech stawały się coraz silniejsze, zaborczy rewizjonizm skierowany przeciwko Polsce coraz śmielej podnosił głowę”.

Toteż nic dziwnego, że widząc obiekcje Francji w sprawie deklaracji o nieagresji pomiędzy Polską a Niemcami w styczniu 1934 roku, mógł Beck ironicznie wyjaśnić, iż Polacy zrealizowali jedynie myśl polityczną Brianda.

## **2. Złamany pakt o nieagresji**

Objęciu władzy przez Piłsudskiego towarzyszyło dość powszechne w Europie przekonanie, że wybuch wojny ze Związkiem Sowieckim będzie kwestią najbliższego czasu.

We Francji nawet poważna prasa wskazywała, że zabójstwo Semena Petlury w Paryżu tuż po przewrocie majowym w Polsce oznaczało, że w ten sposób sowieckie GPU, odpowiedzialne za tę zbrodnię, chciało uniemożliwić odtworzenie dawnego sojuszu polsko-ukraińskiego. W kierownictwie ZSSR dość sceptycznie zapatrywano się na działania KPP, która udzieliła poparcia piłsudczykom, licząc, że akcja Marszałka będzie wstępem do komunistycznej rewolty. „Celem walki - mówił w czerwcu 1926 r. Stalin - jest umocnienie, stabilizacja państwa burżuazyjnego. [...] Nadzieje pewnych warstw polskich klas pracujących są obecnie wykorzystywane nie dla rewolucji”.

Ideowy rodowód piłsudczyków, nawiązujących do tradycji niepodległościowych walk powstańczych z 1863 r., pamięć zwycięskiej wojny z Sowiecami w 1920 r., wreszcie obfita publicystyka zwolenników Marszałka - wszystko to zdawało się nie pozostawiać złudzeń co do kierunku polskiej polityki zagranicznej na wschodzie.

Niechętny stosunek Piłsudskiego do mocarstwowej Rosji - bez względu na jej ustrój polityczny - wynikał ze stwierdzenia faktu, że wschodni sąsiad urósł w potęgę kosztem terytorium i niepodległości Polski. A postawa Rosji Sowieckiej wskazywała, że w stosunkach polsko-rosyjskich nic się nie zmieniło i Moskwa nadal będzie usiłowała zdominować Warszawę. Przekonanie to podzielało prawie całe społeczeństwo polskie. Piłsudski uważał, że możliwości Rosji byłyby znacznie mniejsze, gdyby jej granice nie wychodziły poza zwarte zasiedlenie narodu rosyjskiego. Tylko utrata Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii i Ukrainy oraz republik kaukaskich mogła osłabić rosyjską politykę wymierzoną w polski interes narodowy. „Cóż mi po zajęciu Moskwy - mówił Piłsudski Paderewskiemu w czasie ofensywy na Kijów. - Moskal zawsze pozostanie Moskałem”. Jednocześnie piłsudczycy nie wykluczali sojuszu z etnograficznym państwem rosyjskim, gdyby powstała groźba antypolskiej współpracy Ukrainy z Niemcami.

Ten pogląd Piłsudskiego skryształizował się jeszcze w latach, gdy działał on w niepodległościowym nurcie PPS. Jednak to nie oznaczało, że Piłsudski uważał, iż jedynym narzędziem polskiej polityki wschodniej musiało być wojsko. Marszałek był realistą, zawsze kierował się rzetelną oceną sił własnych i przeciwnika, brał też pod uwagę układ stosunków międzynarodowych, pozostawiając przy tym znaczny margines na imponderabilia. Dlatego realizm co innego dyktował mu w 1919 r., a co innego musiał dyktować w roku 1926. Marszałek zdawał sobie sprawę, że bezpieczeństwo Polski na wschodzie zależało od przebudowy stosunków polityczno-państwowych wschodniego sąsiada i do takiej sytuacji doszło po załamaniu się Rosji carskiej. Niestety wraz z upływem lat na wschodzie wyrosło nowe mocarstwo rosyjskie. Tym razem była to Rosja Sowiecka. W tych warunkach, biorąc pod uwagę różnicę potencjałów Rzeczypospolitej i ZSSR, aktywna polityka polska byłaby zwyczajnym awanturnictwem. Dlatego wszystkie plany wojskowe na odcinku wschodnim od 1926 r. miały tylko jeden wariant - o b r o n n y . W tym też kierunku - obrony przed agresją ZSSR - zmierzały postanowienia konwencji wojskowych zawartych przez Polskę z Francją i Rumunią.

Po załamaniu się planów federacyjnych Piłsudski uznał, że partnerów do sfederowania się z Polską jeszcze nie było. Słabość Rosji Sowieckiej, a siła Polski, zdaniem Marszałka, tkwiły w strukturze narodowościowej obu państw. Piłsudski był przekonany, że w miarę upływu czasu wśród narodów zamieszkujących ZSSR wzrośnie niechęć i rozczarowanie do Rosjan, dominujących w Sowietach a tym samym wzrośnie też sympatia do Polski. Ta sytuacja miała zepchnąć Rosjan do defensywy i w końcu doprowadzić do rozpadu imperium sowieckiego na niepodległe państwa narodowe. Ale jednocześnie Marszałek wiedział, że ten proces będzie trwał całe dziesięciolecie, a więc nie mógł on być podstawą aktualnej polityki polskiej wobec ZSSR. Należało oczywiście interesować się zmianami zachodzącymi za wschodnią granicą i analizować je, ale dopóki siła ZSSR była znaczna, Warszawa nie mogła sobie pozwalać na radykalizm antysowiecki w stosunkach z Moskwą. A że ostateczny efekt

tych procesów miał być niejako naturalnie korzystny dla Polski, Marszałek nie widział potrzeby sztucznego ich przyspieszania. Dlatego plany „krucjaty” na ZSSR nie znajdowały uznania w oczach Piłsudskiego. Restauracja dawnej Rosji, „białej”, bo taki mógłby być tylko cel owej „krucjaty”, stanowiłaby zagrożenie dla interesów Polski na wschodzie. Także współpraca z Niemcami była niebezpieczna, bowiem po pokonaniu bolszewików największym mocarstwem europejskim stawałaby się Rzesza niemiecka. Dlatego Marszałek powiedział ambasadorowi Francji, że będąc zwycięzcą w jednej wojnie (1920 r.), nie zamierza ryzykować polskiej przegranej w następnym konflikcie zbrojnym z Sowiecami.

Strona polska obawiała się natomiast agresji sowieckiej. Jak wiadomo, Związek Sowiecki należał do grona wrogów traktatu wersalskiego i blisko współpracował z niemieckimi kołami wojskowymi. Przez lata całe trwało ścisłe współdziałanie Reichswery z sowiecką Armią Czerwoną. Na terenie ZSSR Niemcy budowali fabryki zbrojeniowe i w zamian przeprowadzali doświadczenia z nowymi rodzajami uzbrojenia, czego nie mogli robić we własnym kraju. Niemieccy oficerowie uczestniczyli też w organizowaniu sił zbrojnych ZSSR. Autorzy pracy *Czwarty rozbiór Polski* obliczają, że „co najmniej dziewięćdziesięciu wyższych oficerów radzieckich odbyło szkolenia sztabowe w Niemczech”. Sowieci uczyli się na tajnych kursach sztabowych Reichswehry i studiowali w niemieckich szkołach wojskowych.

Na czele państwa sowieckiego stali ludzie głoszący hasło „eksportu rewolucji”. Organizator armii sowieckiej, Lew Trocki, mówił: „Niezwykle ważna jest możliwość rozprzestrzeniania się rewolucji na sąsiednie kraje [...]. Albo rewolucja rosyjska rozpęta burzę walki na Zachodzie, albo kapitaliści wszystkich krajów zduszą naszą rewolucję”.

Walka o władzę między Trockim, „eksporterem rewolucji”, a Stalinem, głoszącym hasła budowy socjalizmu w jednym kraju, łagodziła nieco obawy Warszawy. Jednocześnie jednak reorganizacja Armii Czerwonej i przejście z formuły milicyjnej na wojskową nie pozwalały polskim sztabowcom na osłabienie zainteresowania wzrostem potęgi militarnej ZSSR. Związek Sowiecki był niewątpliwie najsilniejszym wojskowo sąsiadem Polski. Dlatego Sztab Główny WP pracował nad planem wojny obronnej „Wschód”. Obok tego wywiad skrupulatnie zbierał informacje o zamiarach ZSSR i agentury komunistycznej, działającej w naszym kraju. Czytano też uważnie takie publikacje, jak na przykład wydana w Moskwie w 1930 r. książka A. Wasilewskiego *Polska faszystowska i wojna przeciwko ZSSR*, w której znajdowały się tego typu stwierdzenia: „Przyszła wojna, chociaż tak usilnie przygotowywana przez dyktaturę faszystowską Piłsudskiego, nie tylko zagrozi, ale i zniszczy Polskę burżuazyjną, stawiając w jej miejsce Polską Republikę Rad. Rękojmnią tego jest wyrosła przez 10 lat moc bojowa Związku Sowieckiego i jego Armii Czerwonej”.

Istnieje przekonanie, że na temat stosunków polsko-sowieckich w tamtych latach wiemy niezwykle mało i że tylko w niewielkim stopniu wzbogaciły tę naszą wiedzę liczne opracowania i zbiory dokumentów opublikowane w kraju po upadku PRL. Powstaje jednak pytanie, czy najdokładniejsze nawet poznanie archiwów byłego państwa sowieckiego wniesie coś istotnego, coś, co może zmienić naszą ocenę postępowania Stalina i aparatu władzy ZSSR. Myślę, że wiemy wystarczająco dużo, aby ocenić rolę, jaką odegrał Związek Sowiecki w dziejach naszego kraju, złowrogą rolę.

Propaganda PRL obwiniała władze RP o obsesję „antyradzieckości”. Jednym z dowodów tego stanu miał być prometeizm - koncepcja stawiająca na odśrodkowe i niepodległościowe tendencje narodów, które znalazły się w granicach ZSSR. Polityka prometejska budziła zainteresowanie dwu grup ludzi z kręgów aparatu władzy RP. Pierwsi rekrutowali się z grona zwolenników federacyjnych planów Piłsudskiego z początków niepodległego bytu Rzeczypospolitej. Ich aktywność przejawiała się w publicystyce i różnych projektach działań, które nie znajdowały jednak zrozumienia u polityków kierujących państwem.

Do drugiej grupy zalicza się niektórych oficerów polskiego wywiadu wojskowego, chociaż w odniesieniu do nich określenie to jest mało precyzyjne. Chodziło bowiem raczej nie o ich poglądy, a o korzystanie z usług sympatyków idei prometejskich w pracy polskiego wywiadu wojskowego. Ludzie z tego kręgu wykorzystywali swoje kontakty na terenie ZSSR do zbierania informacji. Jednak wbrew pozorom i tych kontaktów nie należy przeceniać. „Rozbudowa Oddziału II Sztabu po maju 1926 roku - czytamy w pracy Władysława Kozaczuka - [...] należy do tego rodzaju pozornych paradoksów, jakie starają się dyskutować dość łatwo niektórzy historycy i publicyści. Widzą oni w tym po prostu przejaw umacniającej się dyktatorskiej pozycji Józefa Piłsudskiego i jego obozu. Wyraźniejsza rozbudowa Oddziału II nastąpiła jednak dopiero w 1933 r., a więc wraz ze wzrostem napięcia i komplikującą się sytuacją międzynarodową”.

Drugi Oddział był tylko i wyłącznie wywiadem wojskowym, dobrze, a często bardzo dobrze wykonującym swoje zadania. Zważywszy ponadto, że szefowie „dwójki” byli wymieniani co dwa lata, trudno sobie wyobrazić, aby wywiad miał inny niż odpowiadający swej profesji charakter.

Tak więc sumując sprawę prometeizmu i zestawiając tę działalność z akcjami sowieckiej agentury komunistycznej na terenie Rzeczypospolitej, trudno postawić zarzut, że to postawa Warszawy zdecydowała o złym stanie stosunków z Moskwą. Co więcej, Marszałek dążył do normalizacji stosunków z ZSSR. Miało to także pragmatyczny wymiar w konfrontacji z rosnącym napięciem na granicy zachodniej.

W tym czasie w Moskwie przeceniano wpływy Zachodu na poczynania rządu polskiego. Głoszono tam pogląd, że koła polityczne Anglii i Francji będą chciały uczynić z Polski awangardę agresji na ZSSR. Tymczasem fakty mówiły same za siebie. Kiedy w grudniu 1928 r. Maksim Litwinow zwrócił się z propozycją wcześniejszego wprowadzenia w życie paktu Brianda-Kellogga, spotkał się ze zrozumieniem w Polsce. Wkrótce też podpisano tzw. protokół Litwinowa, mimo że w tym samym czasie zostały czasowo zerwane stosunki dyplomatyczne między ZSSR a Francją i Anglią. Był to wyraźny dowód polskiej suwerenności politycznej, czego Kreml zdawał się nie dostrzegać.

Bezpośredniemu zagrożeniu Polski ze strony brunatniejącej Rzeszy odpowiadało rosnące zagrożenie dalekowschodniej granicy sowieckiej powodowane przez Japonię. W drugiej połowie 1931 r. w Moskwie zaczęto akcentować chęć zbliżenia z Polską. W sierpniu tego roku rząd polski, zaniepokojony postępami niemieckiej kampanii rewizjonistycznej na terenie sojuszniczej Francji, zaproponował rządowi sowieckiemu wznowienie rozmów w sprawie zawarcia paktu o nieagresji. Wprawdzie komunikat agencji TASS informował o odrzuceniu polskiej inicjatywy, ale po wrześniowej okupacji Mandżurii przez Japończyków sytuacja zmieniła się tak dalece, że w listopadzie ogłoszono wznowienie rozmów. W końcu lipca 1932 r. pakt o nieagresji między Polską a ZSSR został podpisany, a w grudniu 1932 r. wymieniono w Warszawie dokumenty ratyfikacyjne.

W części wstępnej paktu obie strony stwierdzały, że pragną utrwalenia istniejącego między Rzeczpospolitą Polską a ZSSR pokoju, co miało stanowić „wybitny czynnik w dziele utrzymania pokoju powszechnego”. Cel ten zamierzano osiągnąć na drodze „pokojuowego załatwiania sporów międzynarodowych i usuwania wszystkiego, co miałyby się sprzeciwiać normalnemu stanowi stosunków między państwami”. Podstawę pokojowego układania wzajemnych stosunków miały stanowić traktat pokojowy z Rygi (1921 r.) i pakt Brianda-Kellogga (1928 r.).

Artykuł pierwszy zobowiązywał oba państwa do wyrzeczenia się wojny jako narzędzia polityki narodowej. Polska i ZSSR oświadczały, że powstrzymają się „od wszelkich działań agresywnych lub od napaści (...) zarówno samodzielnie, jak i łącznie z innymi mocarstwami”. Dążąc do wyraźnego sprecyzowania pojęcia agresji, w dokumencie stwierdzano: „Za działania sprzeczne z zobowiązaniami niniejszego artykułu [pierwszego -



R. Sz.] uznany będzie wszelki akt gwałtu naruszający całość i nietykalność terytorium lub niepodległość polityczną drugiej umawiającej się strony, nawet gdyby te działania były dokonane bez wypowiedzenia wojny i z umknięciem wszelkich jej możliwych przejawów”.

W artykule drugim oba rządy zobowiązywały się nie pomagać innym państwom w wypadku, gdyby były one w stanie wojny z jednym z sygnatariuszy układu (Polsce chodziło o Niemcy, a ZSSR o Japonię).

Trzeci artykuł zabraniał udziału w porozumieniach „z punktu widzenia agresji jawnie dla drugiej strony wrogich”.

Kolejny, czwarty, artykuł stwierdzał, że zawarte poprzednio przez jedną ze stron umowy nie mogą ulec ograniczeniom, chyba że „zawierają w sobie element napaści”. Dalej wskazywano na metody pokojowego rozstrzygnięcia sporów i określono czas obowiązywania paktu. Należy tu dodać, że w maju 1934 r. artykuł siódmy, odpowiednio zmieniony, przedłużał ważność paktu o nieagresji do 31 grudnia 1945 roku.

Układ z ZSSR polska opinia publiczna przyjęła z zadowoleniem. Przychylne stanowisko prezentowano w prasie Polskiej Partii Socjalistycznej. „Robotnik”, trochę naiwnie, widział w układzie początek procesu stabilizacji stosunków polsko-sowieckich, a wraz z tym szansę na zmieszenie zbrojeń. Przedstawiciel obozu rządzącego, Franciszek Lansdorf, pisał w czerwcowym numerze teoretycznego pisma sanacji („Droga” z 1932 r.): „[...] stosunki uległy zupełnej zmianie. Przywrócenie pokojowych stosunków z ZSSR - z jednej, a terytorialne rewindykacje Rzeszy Niemieckiej z drugiej strony doprowadziły politykę polską do założeń oddalonych od programu antyrosyjskiego”.

Podpisanie paktu z ZSSR rozdrażniło polityków francuskich, którzy w tym samym czasie starali się o zawarcie ze Związkiem Sowieckim podobnego układu. Ukazująca się nad Sekwaną prasa piętnowała ministra Józefa Becka jako „zdrajcę Europy”, a Polskę oskarżała o „zdradzenie interesów cywilizacji zachodniej”. Francuskie obiekcje wyrażane były tak głośno, że w Moskwie zaczęto się obawiać, czy układ z Polską zostanie w ogóle ratyfikowany. Bieg wydarzeń dowiódł raz jeszcze, że Polska nie była satelitą Francji. Jednocześnie polska prasa pisała, jak nieuzasadnione były francuskie pretensje o normalizację stosunków z ZSSR, skoro jeszcze nie tak dawno zarzucano Polsce, że chce wciągnąć Francję do wojny przeciwko Sowietom.

Inna reakcja na układ polsko-sowiecki była w Niemczech. Zaraz po nominacji Becka „Kolnische Zeitung” pisała, że polskie sfery wojskowe (Piłsudski?) zarzucały Zaleskiemu zbyt łagodne stanowisko wobec Niemiec, co miało przyczynić się do odwołania tego ministra i nominacji na jego miejsce pułkownika Becka. Jeszcze dalej szedł komentarz w „Berliner Tageblatt”, w którym stwierdzono, że strona sowiecka widzi w Becku „człowieka nowej polityki w stosunku do Rosji sowieckiej”. Beck według Niemców miał być antyniemiecki i prosowiecki.

Była to oczywista przesada, niemniej jedno jest pewne - wbrew wygłaszanym niekiedy opiniom pakt z 1932 r. nie był pociągnięciem taktycznym, lecz rzeczywistym celem polityki zagranicznej Piłsudskiego i Becka. Gdyby było inaczej, propozycja Hitlera o wspólnym marszu na wschód znalazłaby w Polsce zrozumienie. Rzeczypospolitej niewątpliwie zależało na pokoju z ZSSR. Strona sowiecka zapewniała ustami Litwinowa, że pragnie tego samego. 20 maja, na uroczystym posiedzeniu Ligi Narodów zwołanym po zgonie Piłsudskiego, Litwinow powiedział: „Polska pod rządami Marszałka Piłsudskiego podpisała z rządem, który reprezentuję, pakt o nieagresji, stanowiący jeden z kamieni węgielnych pokoju i bezpieczeństwa, jakie usilnie pragniemy utwierdzić w obecnym dla Europy krytycznym okresie”. Obok tego dziennik „Izwestija” zapewniał, że: „Pakt o nieagresji nie jest dla ZSSR wyłącznie dokumentem dyplomatycznym, lecz wyrazem głębokiego pragnienia, by żyć z Polską w pokoju. Naszą sprawą nad mogiłą człowieka, którego jedyną namiętnością była myśl o niepodległości i wielkości Polski, tak jak On to rozumiał - jest wyciągnąć dłoń do

narodu polskiego i powiedzieć mu: »Nic nie grozi Polsce od strony Związku Sowieckiego. Przyjaźń Polski i ZSSR może stać się kamieniem węgielnym pokoju w Europie«».

Minęły zaledwie cztery lata od śmierci Marszałka, a w Moskwie zapomniano o tych słowach. Mołotow podpisał pakt z Ribbentropem i wkrótce Sowiety wspólnie z Rzeszą hitlerowską napadły na Polskę. Konfrontując te zdarzenia z przytoczonymi wyżej deklaracjami sowieckimi, dochodzimy do gorzkich refleksji nad ich wartością i szczerością. Postępku Stalina i Mołotowa nie da się niczym usprawiedliwić. Moskwa wiarołomnie podeptała pakt, układy i zobowiązania podpisane z Polską.

### **3. W oczach Polaków**

Rozwój ruchu hitlerowskiego wskazywał coraz szerszym kręgom opinii europejskiej, że NSDAP może w niedługim czasie wysunąć się na pozycję dominującą w niemieckiej polityce. Dla Polaków oznaczało to konieczność poznania, oceny i - w konsekwencji - zmian w wielu dziedzinach i tak już nie najlepszych stosunków z Rzeszą. Należało ustalić, co jest wspólne, a co dzieli hitlerizm od innych partii Republiki Weimarskiej. Czy zmiana rządu w Berlinie może oznaczać jakiś zwrot w stosunkach z Polską, czy też należało oczekiwać utrzymania dotychczasowej wrogiej linii. Pytania te nurtowały w równym stopniu polityków, jak i całe społeczeństwo polskie. Do tego jednak, aby móc na nie odpowiedzieć trzeba było poznać charakter hitlerizmu, a zatem potrzebne były informacje i spostrzeżenia dotyczące doktryny, programu i przywódców NSDAP.

„Narodowy socjalizm - pisał publicysta katolickiego „Prądu” - nie jest doktryną ani programem, lecz ruchem mesjanistycznym”, głoszącym wiarę w świetlaną przyszłość brunatnej III Rzeszy. W podobny sposób oceniano NSDAP na łamach piłsudczykowskiej „Drogi”. W artykule *Hitlerizm* nieznanymi z nazwiska autor wskazywał na sferę emocjonalną w działalności nazistów: „Cały ruch gubi się w mistycyzmie, w nieokreślonych abstrakcjach, które zastępują logikę i zdrowy rozsądek”. Przyszłość i „wybawienie” Niemiec miała zapewnić realizacja bojowych haseł, w których naziści nawoływali do fizycznego unicestwienia „żydów i marksistów”. Zwycięstwo narodowych socjalistów w walce o władzę zostało nazwane w prasie katolickiej „szaleństwem, które opanowało Niemcy”.

Te oceny (niewątpliwie słuszne) nie mogły zastąpić dokładniejszej analizy ideologii Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei i programu, który głosił jej führer Adolf Hitler.

Podstawową przesłankę ideologii hitlerowskiej upatrywano w przeświadczeniu szefa NSDAP o konstruktywnej roli nienawiści. Nienawiść do wszystkiego, co zdaniem führera zagrażało Niemcom, miała spełniać rolę spoiwa ideowego, cementującego hitlerowski „gmach Tysiącletniej Rzeszy”. Upatrywano w tym błąd Hitlera, ponieważ „bez istotnej podstawy światopoglądowej, opartej na zdecydowanej postawie moralnej [...] żaden ruch polityczny czy społeczny nie może okazać się twórczym”. Dlatego w Polsce oceniano hitlerizm nie jako rozwojową kontynuację myśli europejskiej, lecz jako pewną anomalię polityczną, która ujawniła „najgorsze strony tej ciężkiej dla kultury epoki”, jaką świat przeżywał w latach wielkiego kryzysu gospodarczego.

Drugim elementem ideologii NSDAP omawianym w Polsce był rasizm. Według Hitlera - pisano w polskiej prasie - niemieccy nordycy mieli stanowić „rasę wybraną”, predestynowaną do zajęcia przodującego miejsca w świecie. A oto jak jeden z publicystów „Drogi” oceniał polityczne konsekwencje rasizmu:

„a) zastąpienie antagonizmów klasowych antagonizmami rasowymi;

b) dążenie do zwycięstwa »rasy wyższej« nad narodami, którym Hitler odmawiał tego miana, co w konsekwencji oznaczało: »wszyscy inni mają stać się niewolnikami«;

c) ochrona czystości rasy »niemieckiej« i wyniszczenie biologiczne innych narodów”.

Ludwik Koniński na łamach „Przeglądu Powszechnego” przypominał, że antropolodzy w Rzeszy szacowali odsetek „czystych nordyków” na 4 do 6 procent ogólnej ludności niemieckiej i martwili się, iż wśród Polaków był on znacznie wyższy.

W grupie przywódców nazistowskich na czoło wysuwał się Hitler. Ideolog polskich narodowców, Roman Dmowski, pisał, że Hitler to „warunek szybkiego i potężnego rozwoju ruchu”. Dmowski uznawał wodza za czynnik konieczny nie tylko w hitleryzmie, lecz w każdym ruchu „rewolucji narodowej”. „Najbardziej uderzającym zjawiskiem w obu ruchach narodowych [faszysmie i hitleryzmie - R.Sz.] jest to - pisał Dmowski - że każdy z nich posiada centralną postać swego wodza, dookoła którego się organizuje, którego rozkazów słucha i którego na swych barkach niesie do władzy. Wódz ten odgrywa tak potężną rolę, iż ma się poczucie, że bez niego cały ruch by nie powstał”. Ale to wszystko w wypadku Hitlera nie oznaczało jeszcze, że będzie on „czymś więcej niż świetnym agitatorem i organizatorem” - mówił ideolog endecji.

Publicystów związanych z obozem rządowym raziło w zachowaniu führera nadmierne reklamiarstwo. We wspomnianym artykule *Hitleryzm* można przeczytać: „Hitler przystąpił do polityki jak dobry kupiec. Jest pierwszym kierownikiem partii politycznej, który nie tylko należycie ocenił reklamę, ale potrafił również maksimum wydobyć z niej dla siebie”. W konkluzji stwierdzano, że ta reklama maskowała pustkę ideową i programową führera.

Przytoczmy jeszcze charakterystyki innych przywódców nazistowskich, sformułowane przez Czesława Długołęckiego. Stwierdzał on, że Alfred Rosenberg, zdecydowany wróg katolicyzmu, nosił się z zamiarem rozpętania nowego *Kulturkampf* na terenie Rzeszy, Joseph Goebbels miał na polecenie Hitlera „wprowadzać metody bezwzględności w walce z przeciwnikami politycznymi”, a Hermanna Göringa nazywał „fanatykiem idei”, który nawet bez zachęty führera zdobędzie „laury bezwzględności”.

Należało też przyznać rację autorowi następującego spostrzeżenia: „Z tego, że »ideologia« hitlerowska mieści w sobie szereg oczywistych głupstw, nie wynika wcale, by nie mogła stać się wyrazem wiary rozfanatyzowanych mas, i wykazanie jej absurdalności wcale nie musi pociągać za sobą zabijania jej w oczach mas”. Zresztą, aby przekonać kogokolwiek, potrzebna jest dyskusja, a do rzeczowej dyskusji dojść nie mogło.

Ideologia NSDAP została oceniona krytycznie, a jej polityczne następstwa uznano za szkodliwe dla narodów europejskich. Określono ją jako „godzącą w istotne założenia chrześcijaństwa, a wraz z tym w elementarne formy humanistycznego współżycia”.

Nawet najwnikliwsza analiza założeń ideowych nazizmu nie wyjaśniała powodów, niebywałego sukcesu wyborczego partii Hitlera. A było ich przecież ! wiele. W „Strażnicy Zachodniej” Jan Ziemiński wskazywał na jeden z nich: powierzchowność i brak głębszego zrozumienia dla demokracji. Publicysta „Strażnicy” pisał: „Widocznie myśl republikańska i idea porozumienia z Zachodem nie wystarczyły, aby ugruntować wpływy demokratów w narodzie niemieckim”. Po dokonaniu przeglądu programów poszczególnych partii niemieckich Ziemiński dochodził do wniosku, że polityczne zaplecze Republiki Weimarskiej było niezwykle szczupłe. Polski publicysta twierdził, że Niemcy, podobnie jak kilka innych narodów w Europie, uznali liberalizm, indywidualizm i demokrację parlamentarną za anachronizm. Było to tym łatwiejsze, dodajmy, że ideały liberalno-demokratyczne nie miały zbyt wielu zwolenników w Rzeszy również wtedy, gdy inne narody budowały porządek państwowy według założeń liberalizmu. Hitlerowski totalitaryzm i kolektywizm miały naturalne podglebie w niemieckiej myśli i tradycji politycznej od czasu, kiedy Prusacy zjednoczyli Niemcy. Nic zatem dziwnego, że „naród niemiecki nie pragnął wolności osobistej, lecz nakazu i dyscypliny”.

Klimat moralnej i politycznej aprobaty nazizmu w umysłach niemieckich powodował, że politycy weimarscy nie byli zbyt konsekwentni w likwidowaniu źródeł zasilających ruch Hitlera. „Kardynalnym błędem” nazwano w Polsce niewykorzystanie kompromitacji ustroju monarchistycznego w wyniku klęski wojennej II Rzeszy i pozostawienie ognisk drapieżnego nacjonalizmu, skupionych w kołach oficerskich i różnorakich związkach egzystujących dzięki wsparciu Reichswehry. W miarę upływu lat programy republikańskich i parlamentarnych partii niemieckich coraz mniej odpowiadały rosnącej w siłę i wpływy armii. Wojskowi z coraz większą sympatią spoglądali na ruch hitlerowski, „którego cechą najznamienitszą od początków powstania była forma militarnie zdyscyplinowanej organizacji”. Ponadto Hitler obiecywał Niemcom obalenie siłą traktatu wersalskiego i odbudowę potrzebnej do tego militarnej potęgi Rzeszy - takie hasła znajdowały, rzecz jasna, zrozumienie u wojskowych.

Innym czynnikiem warunkującym powodzenie NSDAP było akcentowanie przez nazistów społecznej orientacji ich partii, która była przecież nie tylko „narodowa”, ale także „socjalistyczna” i „robotnicza”. Hitler zapewniał społeczeństwo nękane trudnościami gospodarczymi, że potrafi przezwyciężyć kryzys i zlikwidować bezrobocie. Połączenie haseł nacjonalistycznych ze społecznymi zadecydowało o powodzeniu ruchu hitlerowskiego - stwierdzał Tadeusz Katelbach. Sanacyjny publicysta wskazywał, iż wszyscy niemieccy nacjonałiści, bez względu na ich osobisty stosunek do nazizmu, „zgodnie twierdzili, że dziejową zasługą Hitlera było obudzenie w szerokich masach narodu wiary w przyszłość”.

Hitler, traktowany przez wielu jako postać bez przeszłości, nie wyrósł z żadnego wielkiego ruchu ideowego, nie miał za sobą sławy wojennej, nie reprezentował widocznych wartości intelektualnych. Był za to autentycznym człowiekiem ulicy i ta ulica poparła go, dając trzynaście milionów głosów w wyborach; to ludzie, „z których znaczna część jest mu fanatycznie oddana, widzą w nim swego bohatera, swego najwyższego kierownika”. Oczywiście w Polsce dostrzegano, że o zwycięstwie zadecydowały miliony głosów, ale również miliony marek wyasygnowane nazistom przez wielki przemysł niemiecki. W artykule *Hitleryzm* czytamy: „[...] kapitały, które szły do Hitlera, miały na celu mordowanie i niszczenie ośrodków zawodowo-politycznych organizacji socjalistycznych i komunistycznych w Niemczech”. Kapitalistyczni mocodawcy Hitlera nie wyczuwali, że za hasłami walki z komunizmem kryło się znacznie więcej, kryło się przekonanie, że wszystko, co nie jest nazistowskie, należy zlikwidować.

Pod adresem niemieckich socjalistów i komunistów kierowano w Polsce ostre słowa krytyki, zarzucając kierownictwom tych partii, że nie zainteresowały się w odpowiednim czasie „kandydatem na niemieckiego Mussoliniego” i w rezultacie będą musiały przeżyć wiele rozczarowań i przegranych. Wytykając KPD błędy taktyczne, polscy publicyści obwiniali głównie socjaldemokrację. „Socjalistyczna partia Niemiec wykazała swą zupełną niezdolność do walki [z hitleryzmem - R.Sz.], co gorsza, na nią spada odpowiedzialność za haniebną klęskę demokracji niemieckiej”.

Przy tak jednoznacznie negatywnych ocenach narodowego socjalizmu zaskakiwało odmienne stanowisko Dmowskiego. Przywódca ideowy polskich narodowców uważał, że nazizm „wpływa dodatnio moralnie na swych członków, zwłaszcza tych, których szereguje do czynnej walki, koszaruje i utrzymuje”. Ideolog endecji stwierdzał, że przewrót majowy Piłsudskiego zahamował polityczny rozwój Polski, gdyż uniemożliwił dokonanie „rewolucji narodowej” na polskich ziemiach. W rezultacie najpierw Włochy, a później Niemcy wyprzedziły Polskę w rozwoju politycznym i społecznym. Poglądy Dmowskiego na rolę faszystów należą do najbardziej kontrowersyjnych w jego twórczości ideowej, w znacznej części są błędne i - dodajmy - nie podzielało ich wielu działaczy Narodowej Demokracji.

Włoski faszyzm nie był tak jednoznacznie potępiany w Polsce jak niemiecki. Czy narodowy socjalizm, jako ruch wrogi parlamentaryzmowi, był bliski ruchowi „czarnych

koszul”? Dostrzegając raczej intuicyjnie wspólną ideologiczną duece i führera, jedni przypominali słowa Hitlera o „zbiorowisku pluskiew parlamentarnych, trzymających się kurczowo i za każdą cenę wygrzanych foteli”, i zestawiali je ze słowami Mussoliniego, zapewniającego, że rola faszystów w parlamencie ograniczy się do „rozbitcia i zniszczenia tej instytucji”, inni twierdzili, że faszyzm był prądem twórczym w przeciwieństwie do antysemitycznego nazizmu. Na poparcie tej ostatniej tezy w prasie polskiej przytaczano słowa duece z 1927 r.: „Antysemityzm oznacza zburzenie i rozłam, antysemityczny faszyzm jest dlatego absurdem, my w Italii bawimy się doskonale, gdy słyszymy, że w Niemczech antysemita próbują swego szczęścia z faszyzmem. Protestujemy z całą stanowczością, żeby w ten sposób kwalifikować faszyzm. Antysemityzm jest produktem barbarzyństwa, faszyzm stoi na najwyższym szczeblu cywilizacyjnym i wobec tego jest diametralnie przeciwny antysemityzmowi”. W późniejszym okresie w sprawie antysemityzmu nastąpiło daleko idące ujednoczenie poglądów Hitlera i Mussoliniego.

Dmowski od początku widział ideowe pokrewieństwo faszystów z nazistami. Ale i przeciwnicy polityczni Dmowskiego dostrzegali związki faszyzmu i hitleryzmu. „Przymierze faszystowsko-hitlerowskie jest nie tylko wypadkiem doraźnym politycznie [...] międzynarodówka nacjonalistyczna [faszystowska - R.Sz.] w rzeczywistości jest czymś [...] możliwym do realizacji”, pisano w Polsce, wyprzedzając fakt powstania osi Berlin-Rzym.

Jednak najważniejsza dla Polaków była odpowiedź na pytania o kierunek polityki zagranicznej hitlerowskiej Rzeszy. Jedną z prób rozszyfrowania koncepcji polityki zagranicznej führera stanowił odczyt Henryka Strasburgera pt. *Polska a Niemcy hitlerowskie*, wygłoszony w 1933 r. na zebraniu BBWR w Katowicach. Zacytujmy fragment tego wystąpienia: „[...] główny teren ekspansji Hitler widzi na wschodzie, w Rosji, a pośrednio w Polsce. Główny wróg Niemiec znajduje się na zachodzie [podkr. Strasburgera]. Adolf Hitler mówi wyraźnie w swych enuncjacjach z czasu przed dojściem do władzy, że główny wróg to Francja. [...] Izolacja Francji celem jej pobicia i zniszczenia - oto jeden z głównych momentów polityki Adolfa Hitlera [...]. Wystarczy pobić Francję, aby mieć wolną drogę do ekspansji na wschód”.

W przeciwieństwie do Strasburgera Katelbach twierdził, że zarysowana w *Mein Kampf* hitlerowska *Ostpolitik* to „zbiór mętnych sformułowań”, z których trudno coś konkretnego odczytać. Ale i on dostrzegł wrogi stosunek Hitlera do Francji, „państwa, które stoi na przeszkodzie rozwojowi niemieckiemu”. To antyfrancuskie stanowisko wskazywało, zdaniem Katelbacha, że najbliższe cele hitlerowskiej polityki zagranicznej to „realizacja zadań niemieckich na południu i zachodzie Europy”. Sanacyjny publicysta - podobnie jak czynniki rządowe Rzeczypospolitej - wyrażał przekonanie, że wrogi Polsce pruski kierunek polityki zagranicznej ulegnie osłabieniu w wyniku hitleryzacji Niemiec. Katelbach sugerował, jakoby reakcyjne koła Prus obawiały się, że Hitler „zaniedba” wschód i będzie kierował politykę Rzeszy na zachód Europy.

Stanisław Dangel uważał, że hitlerowskie nawoływanie do marszu na wschód i straszenie agresją bolszewicką było jedynie manewrem propagandowym, obliczonym na zjednanie wpływowych kół prawicowych zachodniej Europy.

Nie oznaczało to, że nie było w Polsce głosów ostrzegających przed planami Hitlera dotyczącymi wschodu. Wymieńmy tu chociażby Karola Stojanowskiego, działacza Stronnictwa Narodowego. W książce *Rasizm przeciwko Słowiańszczyźnie* pisał on, że „rewolucja narodowa 1933 roku” oznaczała „nowe przegrupowanie ofensywne przeciwko Słowiańszczyźnie”, a przede wszystkim przeciwko państwom zachodniosłowiańskim - Czechosłowacji i Polsce. Stojanowski twierdził, że siły Rzeszy były niewystarczające do zrealizowania planów Hitlera. Dlatego Niemcy będą szukali „sojuszników”, najlepiej wśród samych Słowian, aby rozbić ich jedność, osłabić i wszystkich podporządkować Berlinowi. „Zawsze Słowianie mieszkający na wschód od najbliższych Słowian, sąsiadujących z

Niemcami, cieszą się ich pseudoprzyjaźnią [...]. Przyjaźnili się z Niemcami wszyscy, począwszy od nadbałtyckich ludów, znanych jedynie z nazwy, aż po Rosjan”.

Szczupłość sił niemieckich - w stosunku do szerokich planów führera - i konieczność znalezienia sojuszników polityki hitlerowskiej podkreślano w artykule *Adolf Hitler i jego program*, zamieszczonym w „Przeglądzie Powszechnym”. Przypomniano w nim słowa Hitlera: „[...] naszymi sojusznikami mogą i muszą być Anglia i Włochy [...] politykę swą skierujemy przeciwko Francji i w kierunku zdobywania ziem na wschodzie”.

Jedno, co w Polsce odnotowano z zadowoleniem, to przekreślenie przez hitlerowców polityki Rapallo, z którą weimarscy poprzednicy führera wiązali plany zniszczenia Rzeczypospolitej. Wizja sojuszu niemiecko-sowieckiego wydawała się teraz zupełnie nierealna. Wspomniany już Strasburger twierdził, że Hitler zerwał z bismarckowską koncepcją polityki wschodniej (sojusz z Rosją), której hołdowało liczne grono polityków Republiki Weimarskiej. „Wschód potrzebny Hitlerowi do kolonizacji to w jego przekonaniu przede wszystkim Rosja”. Polska odchodziła w tych planach na dalsze miejsce i jeżeli interesowała Hitlera, to tylko jako „korytarz” do ZSSR. Polska w zamiarze Hitlera miała być instrumentem pomocnym w zawładnięciu Rosją.

Inaczej odczytywał wschodnie plany Hitlera Karol Stojanowski. Stwierdzał on, że Polska nie powinna pomagać Rzeszy w podbojach na wschodzie. Najprawdopodobniej Hitler będzie się starał otoczyć dwa państwa zachodniosłowiańskie (Polska, Czechy) pierścieniem państw wrogich (Austria, Węgry, Litwa) oraz wykorzystać ruchy mniejszości niemieckiej i ukraińskiej, aby w końcu pobić Polaków i Czechów, a ich terytoria państwowe włączyć do Rzeszy. W ten sposób „po uporaniu się z państwami zachodniosłowiańskimi przyszlaby kolej na rozsadzenie Rosji”. I wtedy dopiero miały się spełnić słowa Hitlera, który tak przepowiadał przyszłość ZSSR: „Olbrzymie państwo wschodnie dojrzało do upadku. Koniec panowania żydów w Sowietach będzie końcem Rosji jako państwa. Jeszcze będziemy świadkami załamania się tego komunistycznego systemu, co będzie potwierdzeniem teorii o wartości i znaczeniu rasy. Wówczas niemiecki miecz przysporzy ziemi niemieckiemu pługowi”.

Bez względu na to, jaką drogą miała pójść Rzesza pod wodzą Hitlera, jedno nie ulegało wątpliwości - Polska znajdowała się na tej drodze, gdyż była sojusznikiem Francji i sąsiadem ZSSR. Stąd stosunek hitlerowców do Polski i koncepcja polityki wobec Polski miały zasadnicze znaczenie, na tej podstawie bowiem można było określić, ile czasu dzieliło Rzeczpospolitą od nieuchronnego starcia z Rzeszą.

Pewną wskazówką były słowa samego Hitlera, który krytykował dotychczasową politykę Niemiec w stosunku do Polski. Była ona - według führera - niezdecydowana, połowiczna i chwiejna i to sprawiło, że Niemcy nie osiągnęły ani zwycięstwa, ani zgody z Polakami. Ale nadal nie było wiadomo, czy Hitler będzie preferował zdecydowaną, czy zgodną politykę wobec Polski. Zabór i wojna - oto program Hitlera - pisano w „Przeglądzie Powszechnym”, a więc dla Polski zmiana władzy w Berlinie nie oznaczała niczego nowego i dobrego. Ludwik Koniński w artykule opublikowanym w okresie, gdy nagonka antypolska w Rzeszy przybrała niezwykle na sile, informował: „[...] cały szeroki front grzmi hasłem: »rozbić państwa pograniczne« i [...] »jak długo istnieje Polska, tak długo zagrażać będzie Niemcom«”.

Stanowisko Rzeczypospolitej - podkreślano w polskiej prasie, i to niezależnie od poglądów politycznych wypowiadających się osób - będzie zawsze takie samo. Oznacza ono: „Żadnych ustępstw czy koncesji w sprawach Śląska i Pomorza”. Wielu stwierdzało, że Polska nie może stać się narzędziem walki na wschodzie. „Porozumienie z Rosją [pakt o nieagresji z 1932 r. - R.Sz.] - pisał Henryk Strasburger - posiada kapitalne znaczenie dla polityki polskiej i powinno być stałą, trwałą podstawą tej polityki. To nie tylko taktyka, to już klasyczna polityka zagraniczna Polski: pokój i porozumienie na wschodzie”. Strasburger

wskazywał, że Hitler zupełnie poważnie proponował Polsce za udział w agresji na ZSSR wolną rękę na Ukrainie. Były generalny komisarz Rzeczypospolitej w Gdańsku (podobnie zresztą jak sam Piłsudski) odrzucał zdecydowanie te awanse czynione Polsce cudzym kosztem. Stojanowski ostrzegał przed ewentualnością, która mogła pozostawić Polskę samą na samą z Rzeszą. Jego zdaniem należało natychmiast przystąpić do tworzenia „związku zachodniosłowiańskiego”, który, obejmując 50 milionów ludności, stanowiłby silną barierę na drodze hitlerowskiego *Drang nach Osten*. Paradoksalnie prawdziwa w konfrontacji z historią stosunków polsko-niemieckich była myśl Stojanowskiego: „W ciągu historii Polska nigdy nie traciła na wojnie z Niemcami, lecz na pokoju, zgodzie i przyjaźni”.

Nieco patetycznie, ale głęboko prawdziwie brzmiały słowa jednego z artykułów zamieszczonych w „Drodze”: „Zdawszy sobie sprawę z grozy cywilizacyjnej i dziejowej wiejących od prądów neohakackich, należałoby wysnuć stąd wnioski dla nas: Kto zaniedbuje lub osłabia naszą obronę przed Niemcami, ten bierze najstraszniejszą odpowiedzialność za prosty ludzki los naszych pokoleń! Nie ma też myśli najhaniańczej nad tą, że w naszym ewentualnym starciu się z Niemcami moglibyśmy nie wydobyć z siebie najwyższej sumy męstwa i sprawności. [...] Polska jest potrzebną nie tylko dla nas, lecz i dla nich. [...] Obowiązkiem i prawem Polski jest stać się osią nowego systemu politycznego tej części Europy”.

Hitlerizm oznaczał nie tylko zagrożenie pokoju, oznaczał również niebezpieczeństwo dla samych Niemców. Jan Ziemiński pisał, że naziści wysunęli hasła, których wprowadzenie w życie oznaczałoby powrót do sytuacji sprzed I wojny światowej. Wzrost NSDAP nie został zahamowany również i dlatego, że partie „demokratyczne” myślały to samo, co hitlerowcy mówili głośno. Ten „pochód nacjonalizmu”, jak pisano w „Strażnicy Zachodniej”, prowadził Niemców w jednym kierunku - do wojny. Hitlerizm niósł Europie i Niemcom wstrząsy, które mogły nie tylko zakłócić pokój, ale także zniszczyć państwo niemieckie. „Narodowy socjalizm - pisano w „Strażnicy Zachodniej” - może oznaczać zbiorowe samobójstwo narodu niemieckiego”.

Wspominany parokrotnie Ludwik Koniński starał się zestawić najbardziej oczywiste zasady, wynikające z nazistowskiej ideologii. Przedstawił je jako swoistą „logikę swastyki”:

- 1) gdziekolwiek jest jeden Niemiec, tam rozciąga się niemiecka ojczyzna;
- 2) konieczne jest zdobycie nowych ziem dla niemieckiej kolonizacji;
- 3) gdziekolwiek wkroczy jeden Niemiec, tam automatycznie powstają ziemie należące do Rzeszy;
- 4) według niemieckiego prawa tylko rodowity Niemiec może być obywatelem niemieckim;
- 5) gdziekolwiek istnieje lub powstaje niemiecka ojczyzna, tam zaczyna działać niemieckie prawo;
- 6) wszyscy mieszkańcy podbitych przez Niemców ziem tracą prawa obywatelskie po wsze czasy;
- 7) prawo ma czuwać, aby niemiecka krew zdobywców nie „kałała się” krwią „tubylców”;
- 8) niemieckie prawo zaleca, stosowanie zasady „cel uświęca środki”, nawet najbardziej brutalne;
- 9) „tubylcy” mają być masowo wywłaszczani, przede wszystkim z ziemi, i wysiedlani;
- 10) ludzie „ras niższych” nie mogą sprawować funkcji kierowniczych;
- 11) filozofia „wiecznych nawrotów”, nawiązująca do prymitywnych form współżycia ludzkiego, ma wyzwolić Niemców z nakazów sumienia;
- 12) chrześcijaństwo staje się „czynnikiem destruktywnym” i jako takie „byłoby tępione również bezlitośnie jak w Bolszewii”.

Proroczo brzmiały słowa umieszczone w artykule Jana Ziemińskiego *Upadek niemieckiej lewicy*: „Nie wątpimy, że opamiętanie nastąpi, gdyż i nacjonalizm niemiecki nie będzie wieczny, lecz może otrzeźwienie w Niemczech przyjdzie zbyt późno, by zapobiec katastrofie, która wstrząsnąć może całym światem w ten sam sposób, jaki to miało miejsce w 1914 roku”. Słowa te oddawały właściwie zaniepokojenie polskiej opinii zmianami zachodzącymi w Rzeszy.

#### **4. Dwa państwa**

Rozwój ruchów faszyzujących i zwycięstwa totalitaryzmu w walce z demokracją i parlamentaryzmem nie były w latach trzydziestych czymś wyjątkowym.

Rzeczywistość społeczna i polityczna po zakończeniu I wojny światowej wykluczała powrót do liberalnej konstrukcji państwa - „stróża nocnego”. Wzrost nastrojów rewolucyjnych, rozwój ruchu robotniczego kierowanego przez komunistów, kryzysy gospodarcze, powszechny upadek zaufania do demokracji parlamentarnej - wszystko to stawiało państwa demokratyczne przed alternatywą: albo umocnić władzę wykonawczą w państwie, albo przyzwolić na rewoltę komunistyczną. Teoretycy prawa ustrojowego i politycy widzieli wyraźnie, że ówczesny model parlamentaryzmu nie stwarzał pomyślnych perspektyw dla trwałości państw demokratycznych.

Trudności na linii parlament-społeczeństwo występowały z różnym natężeniem w różnych państwach. Do dramatycznych napięć dochodziło zwłaszcza tam, gdzie system parlamentarny został wprowadzony na wzór ustroju zwycięskich państw Ententy - głównie Francji - bez uwzględniania warunków, w jakich miał funkcjonować. Dotyczyło to przede wszystkim młodych państw w Europie Środkowej i Południowej, gdzie brak zdecydowanej przewagi jednego ze stronnictw politycznych lub trwałych koalicji w parlamencie uniemożliwiało stworzenie stabilnego rządu. Rząd był zależny od zmiennych układów międzypartyjnych, co prowadziło do częstych zmian gabinetów, korumpowania posłów, nadużyć itp. Tworzyły się coraz to nowe partie i partyjki, piętrzyły się trudności w polityce wewnętrznej.

W latach dwudziestych problemy rozwoju życia politycznego nabrały drastycznej ostrości. Do najważniejszych zadań należało określenie pozycji i roli władzy wykonawczej, ustalenie zakresu kompetencji parlamentu oraz tworzenie porządku społecznego, którego domagały się nowe prądy społeczne, za którymi stały silne ruchy polityczne. Pojawiło się zagadnienie, jak realizować te zadania, a jednocześnie nie zgubić praw, które uzyskał obywatel dzięki parlamentaryzmowi. Zastanawiano się, czy „nowy ład” społeczny ma być wprowadzany metodą przekonywania i perswazji, czy drogą gwałtu politycznego agresywnej mniejszości na społeczeństwie.

Spełniały się przewidywania „proroka wieku mas”, Alexisa de Tocqueville'a, który już w połowie XIX wieku przewidywał nieuchronność ingerencji państwa w procesy społecznego rozwoju. Widział on niebezpieczeństwo poddania ludzi „tyraniu bardziej logicznej, bardziej równej, ale na pewno pełniejszej od dawnej”. Jedną z takich tyranii XX wieku stworzył Benito Mussolini. *Stato totalitario* podporządkowywało ludzi dyktaturze partii wspierającej tę dyktaturę (monopartii), zmuszało społeczeństwo do manifestowania poparcia dla totalitaryzmu.

Wiele państw europejskich doświadczyło zamachów stanu, przewrotów i mniej lub bardziej gwałtownych zmian rządów, których efektem było zawsze osłabienie roli parlamentu, uderzenie w „partyjniactwo” itp. Po „marszu na Rzym” w 1922 r. również Polska cztery lata później przeżyła swój „marsz na Warszawę”.



Skoro sanacja była jednym z kierunków niechętnych parlamentaryzmowi, podobnie jak faszyzm, to czy obalenie „demoliberalizmu” w Rzeszy stwarzało ideologiczną płaszczyznę porozumienia i współpracy między nazizmem a sanacją? Taka wspólnota ideowa pozwoliła przecież Mussoliniemu zapomnieć o „małym przyjacielu”, kanclerzu Austrii, i zrezygnować z pretensji do Dolnej Adygi. Czy można przypuszczać, że identyczne powody mogły przeważać nad poprzednimi sporami granicznymi między Warszawą a Berlinem?

Współczesna polska historiografia dysponuje w tej mierze istotnym rozróżnieniem, pozwalającym uniknąć nieporozumień. Ruchy antyparlamentarne podzielono na totalitarne i autorytarne. Odeszliśmy od tezy, przeniesionej do nauki historycznej z terenu propagandy, o „faszyzacji” Drugiej Rzeczypospolitej. Stwierdzono, że autorytaryzm sanacyjny, wprowadzając dość dotkliwe nieraz ograniczenia swobód obywatelskich, nie osiągnął nigdy formy państwa totalitarnego, jak to się stało między innymi we Włoszech i w Niemczech. W tym sensie autorytaryzm Piłsudskiego stanowił przeciwieństwo faszyzmu.

Faszyzmem nazywa się taki kierunek polityczny, który określając się jako nacjonalistyczny oraz wrogi demokracji i liberalizmowi, zmierza do stworzenia państwa totalitarnego rządzonego przez monopartię. Państwo faszystowskie kontrolowało całokształt życia społeczeństwa w dziedzinie stosunków politycznych, gospodarczych i społecznych, podporządkowywało sobie wszystkie ruchy i zrzeszenia społeczne, likwidowało wszelkie formy kontroli społecznej i ograniczało sferę prywatności. Opinia publiczna miała być sterowana przez władzę i miała służyć umacnianiu dyktatury.

A oto jak określił ustrój państwa autorytarne Engelbert Dollfuss:

- a) autorytet należy do rządu jako organizacji państwa;
- b) celem autorytarne rządu jest ujednoczenie wielorakich interesów duchowych i materialnych;
- c) autorytarne kierownictwo, wykonywane przez rząd, jest reprezentantem całości państwa;
- d) autorytet to „uporządkowana władza”, a nie samowola ani dyktatura;
- e) system państwowy jest hierarchiczno-autorytarny, toteż rząd może skupić w swym ręku silniej niż przedtem prawa zwierzchnie;
- f) poparcie społeczeństwa dla instytucji wyrasta z szerokiej sfery wolności duchowych, a nie jednolitego światopoglądu.

Wiele ze wskazanych przez kanclerza Austrii cech można było odnaleźć w konstrukcji ustrojowej Polski sanacyjnej. Dotyczyło to także wprowadzonej w 1935 r. konstytucji kwietniowej i modelu państwa, które Stanisław Car charakteryzował w następujący sposób: „Państwo, które chcemy stworzyć w oparciu o nową Konstytucję, nie ma być państwem liberalnym XIX w., ale też nie ma być państwem władcym lub - jak się teraz mówi - państwem totalnym, w którym jednostka dzierżąca władzę sprawuje rządy arbitralnie nad swymi obywatelami, odsuwając ich od udziału w życiu publicznym. Nasze Państwo ma być wspólnym dobrem wszystkich obywateli [podkr. Cara], syntezą między wolnością obywatela a mocą państwa”.

Od faszyzmu jako ustroju odcinał się zdecydowanie sam Piłsudski. W wywiadzie udzielonym „Le Matin” w kilka dni po zamachu majowym zapewniał, że faszyzm „nie mógłby się przyjąć w Polsce”. „Nie, to nie dla nas - mówił Marszałek - gdy patrzę na historię mojej ojczyzny, nie wierzę - naprawdę - aby można było rządzić w niej batem. Nie lubię bata [...]. Nie! Nie jestem za dyktaturą w Polsce”. Przy innej okazji zapewniał Władysława Baranowskiego: „Nie myślcie, bym w systemie rządzenia chciał małpować Mussoliniego. Te wzorki z zagranicy, które mogą imponować naszym nacjonalistom, wcale nie pasują do psychiki polskiej, ani nie są w moim guście”.

Zresztą ani Mussolini, ani Hitler nie uważali nigdy Polski rządzonej przez sanację za państwo totalitarne. Duce wyrażał nawet wobec posła polskiego w Rzymie żal, że Piłsudski

oglądał się zbyt na „konstytucyjne formułki” zamiast wykorzystać dla dobra państwa swą „potężną indywidualność”.

Wybitny działacz PPS, Mieczysław Niedziałkowski, protestował przeciwko zaliczaniu stworzonego przez Piłsudskiego systemu rządów do faszyzmu. Zacytujmy słowa tego polityka, wygłoszone na posiedzeniu egzekutywy Międzynarodówki Socjalistycznej w Paryżu (12 II 1927): „[...] byłoby błędem rozumieć obecny stan polityczny Polski jako faszyzm. Żyjemy pod naciskiem przewagi jednostki marszałka Piłsudskiego z zachowaniem form konstytucyjnych”.

Ale w Polsce, tak jak gdzie indziej, byli także zwolennicy budowania *stato totalitario*. Tylko że od zamachu majowego byli oni w opozycji do rządów Piłsudskiego. Tendencje totalitarne ujawniły się dość wyraźnie w obozie narodowym, a patronował im sam Dmowski. To o faszyzmie pisał ideolog Narodowej Demokracji jako o „nauce dla obozów narodowych innych krajów”, z której należało odpowiednio skorzystać w celu „doprowadzenia do zwycięstwa”. Nie były to tylko słowa, skoro w grudniu 1926 r. została powołana do życia nowa organizacja narodowców, gotowa do przyswojenia doświadczeń włoskich. Obóz Wielkiej Polski - tak bowiem nazwano tę organizację - miał „nie wkraczając na sejmowy teren działania rozwinąć pracę w kraju, skupiając rozbite dotychczas siły narodowe w jeden wielki obóz [podkr. R.Sz.]”. „Gdy taki silny obóz stanie w kraju - mówił Dmowski - dalsze trwanie dzisiejszego układu stronnictw będzie niemożliwe. Wtedy - jesteśmy przekonani - i w Sejmie będziemy mieli jedno wielkie stronnictwo narodowe [podkr. R. Sz.]”. Już w 1925 r. Dmowski dostrzegał pozytyw dyktatury jako metody sprawowania władzy. I chociaż dyktatura bez człowieka tej miary co Mussolini byłaby „nieszczęściem”, to sama idea rządów dyktatorskich nie była Dmowskiemu „wstrętną”.

Rozwój OWP został zahamowany decyzjami administracyjnymi, aż wreszcie w 1933 r. organizację zlikwidowano. W ten sposób prądy totalne, chociaż istniały w Rzeczypospolitej, do wybuchu II wojny światowej nie znalazły sprzyjających warunków do zwycięstwa.

Piotr Łossowski, zajmujący się badaniem historii najnowszej państw nadbałtyckich, dostrzegł interesującą prawidłowość w zachowaniu rządów autorytarnych. Otóż prześladowały one nie tylko lewicę komunistyczną, ale także faszystowskie ugrupowania. Kanclerz Dollfuss po zawieszeniu konstytucji austriackiej w 1933 r. zakazał działalności narodowym socjalistom na terenie państwa. Autorytarny przewrót Konstantina Patsa w Estonii (1934 r.) położył kres działalności estońskich faszystów. Podobnie zachował się po dokonaniu zamachu Karlis Ulmanis na Łotwie, likwidując faszystowską organizację Perkonkrusta. Wreszcie dyktatura Karola II w Rumunii oznaczała aktywną walkę z Żelazną Gwardią i śmierć jej przywódcy Corneliusa Codreanu. Przykładów tego typu można przytoczyć znacznie więcej.

Powody przesądzające o zwycięstwie faszyzmu lub autorytaryzmu nad parlamentaryzmem były w znacznej mierze uzależnione od siły ruchu komunistycznego, grożącego obaleniem państwa. „Potężny nacisk, jaki ten ruch proletariacki wywiera na nastroje i politykę Europy - pisał Hans Kelsen w pracy O istocie i wartości demokracji - wywołuje zarazem reakcję burżuazji, skierowaną również przeciwko demokracji. Jej wyrazem teoretycznym jest faszyzm włoski [podkr. Kelsena]”. Ale burżuazja niechętnie „klękała przed kolbą dyktatury faszystowskiej”. Nie należy zapominać, że warstwom posiadającym było dobrze z ustrojem parlamentarnym i prawami obywatelskimi. Natomiast państwo faszystowskie, nie pozbawiając własności, poddawało również burżuazję dotkliwym ograniczeniom i pozbawiało organizacji służących jej interesom. Represje dotyczyły także posiadacza, jeżeli nie podporządkował się woli totalitarnej partii. Dlatego poparcie udzielane faszyzmowi przez warstwy posiadające było ostatecznością i decydowano się na nie dopiero wtedy, kiedy nie widziano innej siły politycznej, która mogłaby zahamować wzrost ruchu

komunistycznego. „Faszystowskie ruchy i dyktatury - piszą autorzy *Istorii wtoroj mirowoj wojny 1939-1945* - powstały w latach dwudziestych i trzydziestych w tych krajach, w których wpływ wielkiego kryzysu był szczególnie silny i zanosilo się na rozwiązanie drogą rewolucyjną”. Opinia ta, dość efektowna, jest tylko w części prawdziwa. Faszyzm włoski zwyciężył, zanim doszło do wielkiego kryzysu, a w innych krajach - Francja, Anglia, Stany Zjednoczone AP - mimo ostrych oznak kryzysowych nie widać było znaczących ruchów faszystowskich. Jedynie sytuacja Niemiec zdaje się potwierdzać pogląd autorów *Istorii...*

Uwzględniając powyższe, należy stwierdzić, że taka sytuacja nie wystąpiła w Polsce w dobie przewrotu majowego w 1926 r. Z jednej strony endeckie straszenie komunizmem nie było brane poważnie (sejm nie uchwalił ustawy o walce z komunizmem), z drugiej zaś ugrupowania komunistyczne - według Adolfa Warskiego-Warszawskiego - były dalekie „od napięcia rewolucyjnego”.

Autorytaryzm, jak to podkreślaliśmy, osłabiając możliwości działania skrajnej lewicy, uniemożliwiał jednocześnie zdobycie władzy faszystom. Likwidował bowiem system rządów liberalnych, które Ernst Nolte nazwał pierwszym i niezbędnym warunkiem powstania totalitaryzmu.

Drugim elementem warunkującym powodzenie faszyzmu był brak konkurencyjnego wodza, przywódcy należącego do polityków orientacji faszyzmowi przeciwnych (z wykluczeniem komunistów), który byłby zdolny siłą swego autorytetu wymusić konieczne zmiany ustrojowe. Zauważmy, że faszyzm dochodził do władzy, tworząc ideologie i budując partie, które przekreślały „demoliberalizm”, a faszystowski wódz zdobywał swoją pozycję w równej mierze demagogią społeczną, co siłą pięści swoich bojówkarzy.

Autorytaryzm natomiast był uosabiany przez polityka, który miał pewne zasługi i dlatego cieszył się znaczną popularnością (Stanisław Zabełło stwierdził, że co najmniej 40% polskiego społeczeństwa popierało Piłsudskiego). Dzięki temu polityk taki zyskiwał poparcie bardzo różnych sił, które łączyła chęć uzdrowienia sytuacji politycznej i przekonanie, że może tego dokonać odpowiedni „autorytet”.

Atutu wodzowskiego byli pozbawieni polscy narodowcy. Dmowski nie miał kwalifikacji na przywódcę ruchu totalnego, będąc raczej intelektualistą z etykietką demokracji, i sam w prywatnych rozmowach często utyskiwał, że nie może go zastąpić „ktoś młodszy”. Jednoznacznie brzmiały słowa Aleksandra Świętochowskiego wypowiedziane na łamach „Myśli Narodowej” w jego stałym felietonie *Liberum veto*: „Mussolini to jest prawdziwy geniusz polityczny. [...] Każdy naród, nawet widząc jego uchybienia, może pragnąć, ażeby jego los dał mu takiego przewodnika”.

Piłsudski zdystansował nie tylko potencjalnych przywódców totalizmu, ale również tych polityków polskich, którzy podobnie jak on zdolni byli do sprawowania rządów autorytarnych (Wojciech Korfanty, Władysław Sikorski, Wincenty Witos). Pogląd ten jest w pełni uzasadniony. Najłatwiej można spostrzec tendencje autorytarne w działalności generała Sikorskiego, zwłaszcza gdy był on naczelnym wodzem i premierem rządu na uchodźstwie. Zdominował wówczas prezydenta Rzeczypospolitej i dość surowo traktował opozycję, o czym przekonał się chociażby generał Stefan Dąb-Biernacki. Również Witos skłaniał się ku takiej formie rządów przed majem 1926 r., gdy zapowiadał - jak to napisał Adam Próchnik - „rządy silnej ręki”. Może najsłabiej tę tendencję przejawiał Korfanty, który nie miał okazji odegrać takiej roli jak wyżej wymienieni. Trzeba jednak pamiętać o jego dyktatorskiej władzy w czasie powstań śląskich. Później PPS podejrzewała Korfantego o pragnienie odegrania roli „silnego człowieka”, co potwierdziło stanowisko, jakie zajął wobec wydarzeń krakowskich 1923 roku.

Zwolennicy faszyzmu zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa „wodzowskiej konkurencji”, skoro hitlerowcy zamordowali „silnego człowieka” Reichswehry generała Kurta von Schleichera, austriaccy narodowi socjaliści - kanclerza Dollfussa, chorwaccy

nacjonaliści - króla Aleksandra I, a i zabójca prezydenta Narutowicza oświadczył, że zamierzał zabić Piłsudskiego.

Myślą przewodnią ustroju Polski piłsudczykowskiej miała być zasada sformułowana przez Piłsudskiego: „Siła bez wolności i sprawiedliwości jest tylko przemocą i tyranią. Sprawiedliwość i wolność bez siły jest gadulstwem i dzieciństwem”. Autorytarny system polityczny w Polsce miał być sposobem ochrony wywalzonego z takim trudem niepodległego państwa. Niepodległość Rzeczypospolitej byłaby zagrożona - zdaniem Piłsudskiego - w warunkach „sejmowładztwa”. Podobnie byłoby i wtedy, gdyby do władzy doszli zwolennicy „zagranicznych wzorków” politycznych - bez względu na barwę sztandaru, pod którym byłyby one wprowadzane w życie. Marszałek starał się respektować prawa obowiązujące w Polsce (co nie oznacza, że nie nagiął ich do własnych wymagań) i podkreślał, że przez wybór jego osoby na prezydenta sejm zalegalizował przewrót majowy. Piłsudski korzystał z urządzeń ustrojowych poprzedniego okresu i zapewniał: „Ja nie idę na skasowanie sejmu, chcę uznawać obecne formy państwa”.

W sejmie opozycja zajmowała wcale widoczne miejsce. Nawet po wyborach w 1930 roku (roku „Brześcia”) z ramienia opozycji zasiadało w sejmie: prawica - 63 posłów, centrum - 24 posłów, lewica - 69 posłów (w tym pięciu komunistów), mniejszości narodowe - 33 posłów. Sanacyjny Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem miał 247 posłów, co stanowiło około 56% ogółu mandatów.

Ugrupowania opozycyjne istniały nie tylko w sejmie, skoro w 1932 r. OWP skupiał w swych szeregach 120 tys. członków, Stronnictwo Narodowe osiągnęło w 1938 r. 180 tys. członków (w 1939 r. o 20 tys. więcej), Stronnictwo Ludowe liczyło w 1933 r. 100 tys. członków, a Polska Partia Socjalistyczna w 1932 r. ponad 30 tys. Ukazywała się też liczna prasa opozycyjna. Wymieńmy niektóre dzienniki: narodowe - „Gazeta Warszawska”, „Kurier Poznański”, chadeckie - „Rzeczpospolita”, „Głos Narodu”, „Postęp”, „Nowy Kurier”, „Dziennik Bydgoski”, „Polonia”, ludowe - „Włościanin”, „Piast Wielkopolski”, „Codzienny Goniec Ludowy”, socjalistyczne - „Robotnik”, „Walka Ludu” i wiele innych.

Sytuacja taka była nie do pomyślenia w warunkach państwa totalitarnego. W wyniku zwycięstwa hitlerowców w Rzeszy Polska oddaliła się od Niemiec również pod względem ustrojowym i ideologicznym. Między hitlerowskim programem wojny i podboju a polskim obrony terytorium określonego w traktatach (zwłaszcza wersalskim i ryskim) widać było zasadnicze sprzeczności.

## **5. Rok 1933**

Styczeń 1933 roku zapoczątkował „rok odwilży”, jak go nazwał po latach ówczesny pracownik polskiego poselstwa w Moskwie i historyk Drugiej Rzeczypospolitej Stanisław Zabięło. Na początku miesiąca nastąpiła zmiana na stanowisku posła Polski w stolicy wschodniego sąsiada Rzeczypospolitej. Odszedł Stanisław Patek, który prowadził długie rokowania o pakt nieagresji, a jego miejsce zajął młody i energiczny, zaufany ministra Becka, Juliusz Łukasiewicz. Miał on utwierdzać radzieckie kierownictwo polityczne w przekonaniu, że Polska pragnie odprężenia i pokoju.

W tej sytuacji tym drażliwsze stały się dysonanse w stosunkach polsko-francuskich. 20 stycznia Polacy z niepokojem słuchali doniesień o wystąpieniu Edouarda Herriota, który wypowiedział się za szybkim rozwiązaniem problemu „polskiego korytarza”. To oświadczenie premiera i ministra spraw zagranicznych III Republiki wskazywało wyraźnie, że za stworzenie systemu bezpieczeństwa z udziałem Niemiec miała zapłacić Polska. Stanowisko to znajdowało pełne uznanie takich polityków, jak Alfred Hugenberg, Franz von

Papen czy Kurt von Schleicher, którzy zdawali się mieć decydujący głos w polityce zagranicznej Rzeszy. Wkrótce (23 I) lewicowa „La Republique” poparła premiera, wypowiadając się za taką rewizją traktatów, aby Niemcy uzyskały „równe prawa”, a polskie Pomorze przeszło pod kondominium niemiecko-polskie. Pomysły te przybrały znacznie konkretniejsze formy podczas konferencji (29-30 I) przemysłowców reprezentujących wielki kapitał Belgii, Francji i Niemiec. Oto jej rezultaty: postanowiono doprowadzić do likwidacji „korytarza”, aby Prusy Wschodnie mogły dołączyć do reszty Niemiec, podobnie jak Wolne Miasto Gdańsk, a nawet niedawno zbudowany port polski w Gdyni; w zamian Polska miała otrzymać dostęp do morza w Kłajpedzie (sic!), odszkodowanie za Gdynię, umowę handlową dla „wsparcia polskiej gospodarki” i gwarancje co do pozostałych granic. Należy tu jeszcze dodać, że Polska nie została poinformowana przez Francję o konferencji, chociaż przemysłowcy francuscy zasiadali tam za wiedzą i z upoważnienia rządu III Republiki. Co więcej, rząd francuski zaaprobował wyniki obrad i nie zmienił swego stanowiska, mimo że Hitler został właśnie kanclerzem Rzeszy.

Niemieckie plany zbrojeniowe niepokoiły Polaków coraz bardziej. W początkach stycznia Piłsudski postanowił ponownie wy badać stanowisko Francji wobec zamierzonych przez dowództwo Reichswehry planów rozbudowy armii niemieckiej. W tym celu senator Jerzy Potocki udał się do Paryża, aby poprzez swoje koneksje rodzinne dotrzeć do wpływowych kół politycznych Francji i zorientować się, jakie są rzeczywiste zamiary francuskiego rządu. O celu wyjazdu Potockiego sam Piłsudski mówił: „kazałem zapuścić sondę”. Wynik sondażu był jednoznaczny: Francja nie tylko sama nie zamierzała czynnie przeciwstawiać się niemieckim zbrojeniom, ale nawet obawiała się, by Polska nie poczyniła jakiś „awanturniczych” kroków.

30 stycznia Adolf Hitler objął urząd kanclerza Rzeszy i sformował rząd koalicyjny, w którym zasiadał Alfred Hugenberg i jego ośmiu zwolenników (Franz von Papen - wicekanclerz i komisarz dla Prus, Konstantin von Neurath - sprawy zagraniczne, Werner von Blomberg - obrona, Lutz von Schwerin-Krosigk - finanse, Alfred Hugenberg - gospodarka, wyżywienie i rolnictwo, Franz Seldte - praca, Paul Eltz-Rubenach - poczta i komunikacja, Otto Giereke - walka z bezrobociem) oraz trzech nazistów (Hitler, Wilhelm Frick - resort spraw wewnętrznych, i Hermann Göring - minister bez teki); nie obsadzono ministerstwa sprawiedliwości przewidzianego dla chrześcijańskiej demokracji. Polsce nie wróżyło to niczego dobrego - takie przekonanie było dość powszechne. Wystarczyło bowiem, aby Hitler chciał kontynuować linię Stresemanna, a Polska mogłaby się znaleźć w krytycznej sytuacji. Czyż naziści nie zapowiadali, że „nie spoczną, dopóki zrabowana ziemia nie wróci do Rzeszy”? Polskie władze nie wątpiły, że głosząc taki program Hitler mógł zapewnić sobie współdziałanie z Hugenbergiem, poparcie Reichswehry i znacznej części społeczeństwa niemieckiego, które ulegało dość łatwo zajadłej propagandzie antypolskiej. Zastanawiano się, czy Hitler zamierza zrobić „rewolucję narodową”, do której nawoływał szef Sturm-Abteilungen, Ernst Rohm, czy też będzie wolał szukać sojuszników w kołach konserwatywnych. 2 lutego Hitler złożył wizytę dowódcy wojsk lądowych generałowi Kurtowi von Hammerstein. W spotkaniu tym uczestniczył „człowiek Reichswehry” w rządzie Hitlera - minister wojny generał Blomberg, oraz grupa czołowych generałów i admirałów. W dwugodzinnym wystąpieniu kanclerz zapewniał generalicję, że odbuduje potęgę militarną Niemiec i nie dopuści do wojny domowej (poczęły się bowiem pojawiać rozbieżności między nim a kierownictwem SA). Po tym wystąpieniu przymierze Hitlera z kołami tradycyjnie wrogimi Polsce stało się faktem.

Kilka dni później, jakby w następstwie spotkania z wojskowymi, führer ujawnił publicznie swój pogląd na cele polityki zagranicznej Niemiec. W wywiadzie dla brytyjskiego pisma „Daily Mail” z 6 lutego znalazły się słowa: Traktat wersalski jest nieszczęściem nie tylko dla Niemiec”. Hitler wyraził też przekonanie, że rewizji traktatu będą domagali się nie

tylko Niemcy. Słowa te stały się potwierdzeniem francuskich nadziei i polskich obaw. 9 lutego polski konsul generalny w Berlinie informował: „Pierwszym zadaniem Niemiec po dojściu Hitlera do władzy jest rewizja wschodnich granic Niemiec”. Słowa raportu potwierdzał kolejny wywiad Hitlera z 12 lutego. Tym razem kanclerz Rzeszy mówił wprost pułkownikowi P.T. Ethertonowi z „Sunday Express”, że „polski korytarz” powinien być natychmiast zwrócony Niemcom, aby wyrównać „haniebną niesprawiedliwość traktatu wersalskiego”. Mimo dementi ogłoszonego następnego dnia przez niemiecką agencję Wolfa słowa Hitlera zrobiły ogromne wrażenie w Europie. Polscy politycy mieli jeszcze mniej powodów, by wierzyć niemieckiemu dementi, gdyż poselstwo polskie w Berlinie donosiło, że Anglik sam złagodził „dzikie” słowa Hitlera, aby nie alarmować opinii publicznej.

Odpowiedzią na wywiady Hitlera był artykuł *Polityka czy agitacja* („Gazeta Polska” z 14 lutego). Pisano w nim: „Wobec [...] psychozy szerzącej się u sąsiada należy oczywiście przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, które na pewno nie będą polegać na gadaniu”. Z głosem dziennika korespondowało sejmowe wystąpienie Józefa Becka z 15 lutego, w którym przedstawiał on stanowisko rządu w sprawie Niemiec. Streszczało się ono w stwierdzeniu: „Nasz stosunek do Niemiec i ich spraw będzie taki sam, jak stosunek Niemiec do Polski. W praktyce zatem więcej zależy w tej dziedzinie od Berlina niż od Warszawy”. Wypowiedź Becka trudno nazwać „wyciągnięciem ręki” - jak to się niekiedy nazywało w pracach historycznych. Wydaje się, że było to raczej ostrzeżenie, wskazujące zachodnim zwolennikom pacyfizmu, kto jest rzeczywistym agresorem w stosunkach polsko-niemieckich.

Antytraktatowe wywiady Hitlera spowodowały odruch solidarności w Czechosłowacji. Polski attache wojskowy w Pradze, podpułkownik Czerwiński, pisał w raporcie z 16 lutego, że czeska opinia publiczna „należycie” zareagowała na wystąpienia Hitlera, „solidaryzując się zupełnie i lojalnie z polską racją stanu”. Wyływało to z przekonania o „łącności losów własnego kraju z losami Polski”.

W obliczu tak istotnych problemów ważny był głos opozycji politycznej w Polsce. Wiadomo przecież, że sanacja nie reprezentowała całości społeczeństwa. 26 lutego Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji na zjeździe Rady Naczelnej uchwaliło rezolucję „przeciwko roszczeniom Rzeszy Niemieckiej do naszych ziem zachodnich, a szczególnie przeciwko zbrodnicy atakom kanclerza Rzeszy Niemieckiej Adolfa Hitlera na Pomorze polskie”. Jako wytyczną dla polskiej polityki zagranicznej rezolucja zalecała „ścisłą kooperację” z państwami, które „przeciwstawiały się dążeniom do rewizji terytorialnych”. Tymi państwami były: Francja i członkowie Małej Ententy. Patrząc krytycznie na ten fragment rezolucji, trzeba stwierdzić, że ani Francja, ani Czechosłowacja (*spiritus movens* Małej Ententy) nie były przeciwne rewizjom terytorialnym, jeżeli ograniczały się one do terytorium Polski. W rezolucji natomiast nie wspomniano o roli ZSSR, który w obliczu nazyfikacji Niemiec musiał zrewidować dawną politykę Rapallo, wyrażającą się w niechęci do postanowień Wersalu. Związek Sowiecki mógł być cennym partnerem w rozgrywce ze zwolennikami rewizjonizmu. Trzeba jednak dodać, że podobną ewolucję jak w wypadku ZSSR przechodziła polityka zagraniczna Czechosłowacji.

Tymczasem organizacje hitlerowskie prowadziły intensywną agitację, posługując się hasłami antypolskimi, zaczęły się też nasilać incydenty na terenach przygranicznych. 17 lutego dokonano napaści na budynek konsulatu Rzeczypospolitej w Kwidzynie. Niemiecka prasa prowincjonalna domagała się zerwania stosunków z „polską bandycką hołotą”. Takich faktów przybywało z każdym dniem. Ale wydarzenia w Rzeszy miały nie tylko antypolski charakter. Wieczorem 27 lutego wybuchł pożar w budynku Reichstagu. Stał się on pretekstem do rozpętania nagonki przeciwko niemieckim antyfaszystom - zlikwidowano też konkurentów do władzy z partii komunistycznej (KPD). Stanisław Schimitzek zastanawiał się, czy ta prowokacja nie była zamierzona na szerszą skalę, gdyż właśnie w tym samym

czasie przez Berlin przejeżdżał komisarz spraw zagranicznych ZSSR Maksim Litwinow. „Jeżeli istniał zamiar powiązania tych dwóch faktów - pisze polski dyplomata - to cofnięto się w ostatniej chwili”.

Innymi następstwami pożaru Reichstagu były dwie ustawy „o obronie państwa i narodu”, wydające Niemcy na łaskę hitlerowskiej dyktatury. Efektem tych ustaw były przeprowadzone w majestacie prawa aresztowania przeciwników reżimu. W ciągu kilku dni znalazło się w więzieniach około siedmiu tysięcy działaczy komunistycznych, a wśród nich przywódca KPD, Ernst Thalmann. Nie ograniczono się zresztą do konkurentów do władzy z partii komunistycznej, wzmożyły się też szykany antyżydowskie.

W końcu lutego Piłsudski ponowił sondaż stanowiska Francji w sprawach niemieckich. Tym razem osobą zaufaną Marszałka był generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Piłsudski był przekonany, że niebezpieczeństwo niemieckie nieustannie przybiera na sile, dlatego najwłaściwszym rozwiązaniem byłoby „wyjść mu na spotkanie” przez przedłożenie Hitlerowi ultimatum w sprawie zbrojeń, a po odmowie wkroczenie wojsk polskich do Prus Wschodnich i na Śląsk, a francuskich do Nadrenii i Bawarii. Pomoc Anglii wobec niewielkich liczebnie sił zbrojnych Rzeszy była, niepotrzebna.

Wynik wizyty Wieniawy rozwiewał nadzieje na tego rodzaju ingerencję w sprawy remilitaryzacji Niemiec. Francuzi starali się nadal dystansować od sporu polsko-niemieckiego.

W marcu napięcie polsko-niemieckie nie malało. Represje dotknęły organizacje polskie działające na terenie Rzeszy, a jednym z elementów tej akcji było zawieszenie 3 marca takich gazet polskich, jak „Nowiny Codzienne”, „Dziennik Raciborski”, „Głos Pogranicza i Kaszub”, „Dziennik Berliński”, „Gazeta Olsztyńska”, „Naród”. Władze policyjne konfiskowały materiały przygotowane na kampanię wyborczą (5 marca wybory do Reichstagu i 12 marca do samorządów), dokonano rewizji w lokalach organizacyjnych i mieszkaniach prywatnych polskich działaczy.

4 marca w Królewcu, stolicy Prus Wschodnich, przemawiał Hitler. Stwierdził on, że Rzesza pod jego rządami pozbyła się „kajdan i niewoli”, a jej przyszłość zależy od siły i odwagi Niemców. Kiedy kanclerz umilkł, na wzgórzach przy granicy z Polską zapłonęły ogniska wzniecone przez esamanów. Miały one symbolizować „płonącą granicę”. W Europie to przemówienie Hitlera uznano za wyzwanie rzucone Polakom.

W tym samym czasie dowódca marynarki wojennej kontradmirał Jerzy Świrski wydał z polecenia marszałka Piłsudskiego rozkaz o wzmocnieniu garnizonu wojskowego na Westerplatte. Pretekstem była uchwała Senatu Gdańska z 16 lutego o zniesieniu policji portowej i zastąpieniu jej policją gdańską. Rankiem 6 marca ORP „Wilja” wysadził na Westerplatte oddział piechoty morskiej. Następnego dnia „Gazeta Polska” opublikowała komunikat PAT o przyczynach tego kroku. W komentarzu redakcyjnym pisano o „podniecaniu umysłów” i „krwawych wypadkach w Niemczech”, których nieobliczalne następstwa mogły naruszyć prawa Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście. Wraz ze wzmocnieniem załogi Westerplatte Piłsudski zarządził stan pogotowia w 16 dywizjach piechoty i w jednostkach kawalerii, stacjonujących nad granicą Prus Wschodnich (były to siły odpowiadające planowanej w 1923 r. operacji pruskiej). Zarządzeniom o charakterze wojskowym towarzyszyły gwałtowne demonstracje antyniemieckie w całej Polsce, inspirowane i kierowane przez organizacje i związki prorządowe. Wśród organizatorów demonstracji można wymienić terenowe koła BBWR, Związek Rezerwistów, Związek Obrony Kresów Zachodnich i szczególnie aktywny Legion Młodych. W sprawozdaniu kwartalnym ówczesnego MSW (za I kwartał 1933 r.) stwierdzono, że „przeprowadzenie kampanii protestów antyniemieckich przypadło organizacjom prorządowym”.

Jednak i tym razem, gdy sprawa stała na porządku dziennym Rady Ligi Narodów (14 III), Polska nie uzyskała poparcia jej głównych członków. Ani Francja, ani tym bardziej

Anglia nie znajdowały zrozumienia dla poczynań Warszawy. W tym stanie rzeczy Beck wyraził zgodę na kompromis - Polska wycofała swoich żołnierzy, a Gdańsk uchwałę o policji.

Druga połowa marca nadal nie wróżyła Polsce niczego dobrego. Otóż 14 marca Niemcy, a 18 marca Wielka Brytania otrzymały projekt paktu autorstwa Mussoliniego. Uczestnikami tego układu miały być Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Włochy, dlatego układ nazwano paktem czterech. Szczególne powody do zaniepokojenia musiał budzić artykuł drugi projektowanego dokumentu: „Cztery mocarstwa potwierdzają zasadę rewizji ! traktatów zgodnie z postanowieniami Paktu Ligi Narodów w razie, gdy by stwierdzono istnienie sytuacji mogących spowodować zatarg między państwami”. A więc podstawową myślą paktu było umożliwienie ingerencji Anglii, Francji, Niemiec i Włoch w żywotne interesy mniejszych państw europejskich.

Tymczasem związek między nazizmem a pruskim konserwatyzmem zdawał się umacniać. 21 marca - w rocznicę otwarcia Reichstagu II Rzeszy przez cesarza Wilhelma II - dokonano inauguracji nowo wybranego parlamentu. Symboliczne było miejsce uroczystości - kościół protestancki w Poczdamie, związany z rodzinną tradycją pruskiej dynastii. W centralnym miejscu ustawiono pusty fotel dla nieobecnego cesarza. Uroczystości patronował marszałek Hindenburg i przedstawiciele pruskiego militarystyki oraz kanclerz Hitler ze zwolennikami brunatnego porządku. W uroczystości nie brali udziału posłowie socjaldemokracji, którzy nie zjawili się w Poczdamie, i komuniści, którzy byli w więzieniach.

Następnego dnia prasowy organ führera „Volkischer Beobachter” pisał: „Niemcy obaliły marksizm, podziały, partykularyzmy, które były relikami średniowiecza. Nawiązują do tradycji, która zapewniała im wielkość i dla której zginęły dwa miliony Niemców”.

„Od 44 lat - pisała „Borsen-Zeitung” - hasłem była wolność i pokój. Nie jest to dewiza pruska. Prusy głosiły walkę, posłuch, wyrzeczenie. Dzisiaj „Prusy, duch pruski, tradycja pruska przyświecają kierownictwu spraw niemieckich. To nowy chrzest. [...] Taki jest sens dnia 21 marca i powód, dla którego uroczystość była obchodzona w Poczdamie”.

23 marca niemiecki parlament skapitulował przed Hitlerem. Dzięki głosom konserwatywnych nacjonalistów kanclerz otrzymał nieograniczone pełnomocnictwa dla „przeprowadzenia koniecznych reform”. Od tego dnia przez cztery lata Hitler miał prawo ogłaszania ustaw bez zgody Reichstagu. Rząd nie musiał liczyć się z konstytucją Republiki Weimarskiej i mógł zawierać traktaty z innymi państwami - przedtem było to zastrzeżone dla parlamentu. Po delegalizacji innych partii NSDAP zyskiwała możliwość swobodnego budowania monopartyjnego państwa dyktatury totalitarnej.

Pakt czterech i wypadki w Niemczech wskazywały na konieczność znalezienia sojuszników wśród państw w równym stopniu jak Polska zagrożonych przez hitlerizm. W początkach marca polskie MSZ postanowiło nawiązać rozmowy z władzami Czechosłowacji. Minister spraw zagranicznych ČSR, Eduard Beneš, przygotowywał pakt przyjaźni z Polską. Ustalono też miejsce spotkania. Miała nim być Genewa. Gotowość Beneša do rozmów osłabła jednak po interwencji posła ČSR w Warszawie, Wacława Girsy. Dowiedziawszy się o planowanym spotkaniu, w liście z 18 marca przestrzegał Beneša przed traktowaniem Becka jako partnera do rozmów, gdyż nie miał on „potrzebnych walorów duchowych”, a efekt rokowań - według Girsy - mógł być łatwo zdezawuowany przez Piłsudskiego. Jak pisał Jerzy Kozeński, stanowisko Girsy „budzi podejrzenie braku dobrej woli”. W ten sposób czeski dyplomata osłabił jedną z nielicznych możliwości porozumienia między Polską a Czechosłowacją.

W tym czasie wyraźnie zmieniło się stanowisko ZSSR dotyczące oceny sporu polsko-niemieckiego. Z prasy sowieckiej zniknął termin „korytarz”, pisano o „polskim Pomorzu”, a linię kolejową Śląsk-Gdynia nazywano „strategiczną linią kolejową Polski”. Z aprobatą



wyrażano się o stanowczości polskiego rządu w sprawie Westerplatte. „Izwiestija” z 23 marca zamieściły artykuł Karola Radka, w którym pisał on o zdecydowanym stanowisku Polski w obronie jej praw do Pomorza.

Zdecydowany protest Polski w sprawie paktu czterech znalazł niespodziewane wsparcie ze strony Małej Ententy, której przedstawiciele na wspólnej konferencji 23 marca odrzucili przedstawiony im projekt. Stanowisko Małej Ententy, będące efektem postawy Beneša, skłoniło Piłsudskiego do ponownego szukania porozumienia z Czechami. Następnego dnia (24 III) minister Beck zaproponował posłowi Girsie swoją wizytę w Pradze oraz zorganizowanie spotkania Piłsudskiego z prezydentem Masarykiem. Wizytę Becka ustalono na 31 marca. Tym razem Girsia wyzbył się uprzedzeń i nalegał, aby Praga poważnie potraktowała polską ofertę.

Wzmocniona wsparciem Małej Ententy Polska podjęła energiczne kroki w sprawie paktu czterech. Początkowo wydawało się, że Francja nie aprobowwała projektu Mussoliniego. Dlatego pierwszym aktem ze strony Polski była rezygnacja Jerzego Potockiego ze stanowiska posła RP przy Kwirynale (24 III). Ta demonstracja miała tym ostrzejszą wymowę, że placówka była nie obsadzona, a Potocki uzyskał już wstępną akceptację rządu włoskiego. Tego samego dnia minister Beck wezwał ambasadora Wielkiej Brytanii w Warszawie i po stwierdzeniu, że rząd polski nie był informowany o pakcie czterech, oświadczył, że Polska nie będzie się czuła związana decyzjami uczestników tego paktu. Kilka dni później dotarł do Becka raport charge d'affaires z Rzymu (z 25 III). Z raportu wynikało, że ambasador Francji, Henri de Jouvenel, omawiał z Mussolinim „rewizję stanu terytorialnego na [...] Pomorzu”. Mussolini miał nawet wysunąć projekt utworzenia dziesięciokilometrowego korytarza, prowadzącego przez polskie terytorium i łączącego Niemcy z Prusami Wschodnimi. Ale głównym przedmiotem rozmowy było zasadniczo akceptujące stanowisko Francji w sprawie paktu czterech.

29 marca Beck w sposób demonstracyjny odłożył swoją wizytę w Paryżu. Strona francuska była do tego spotkania przygotowana, toteż ambasador Francji usiłował skłonić polskiego ministra do zmiany decyzji. „Gazeta Polska” w numerze z 29 marca pisała o pakcie czterech: „Opinia polska musi z wielką uwagą śledzić grę, zmierzającą do zniszczenia podstaw dzisiejszego współżycia narodów, grę, chcącą niedoskonałe zastąpić złym”. Ambasador Rzeczypospolitej w Paryżu utwierdzał kierownika polskiego MSZ w nieustępliwości. Raport z 31 marca. informował, iż w samej Francji istnieje wielu przeciwników paktu czterech, dlatego - pisał - „energiczne zajęcie przez nas stanowiska może odegrać decydującą rolę”.

W kwietniu demonstracje antyniemieckie nie ustawały. Do frontu wrogiego Rzeszy dołączały dalsze partie opozycyjne. Uchwała Rady Naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej z 1 kwietnia nazwała hitleryzm, a zwłaszcza jego politykę zagraniczną, groźbą dla niepodległości narodów, które wyzwoliły się po I wojnie światowej. W uchwale stwierdzano, że sojusz z Francją stanowił podstawę polityki polskiej w odniesieniu do Niemiec i ubolewano, że we Francji brakło wpływowych zwolenników zdecydowanej polityki antyniemieckiej, a tak liczni są ci, którzy szukają porozumienia z Rzeszą.

Dyplomaci zasiadający w berlińskim Auswärtiges Amt zaczynali obawiać się, czy Rzesza nie nazbyt wcześnie zrezygnowała z linii Rapallo. Ta polityka - według ministra Neuratha - zapewniała dotychczas szachowanie Polski, co przy ówczesnej polskiej przewadze militarnej było nie bez znaczenia. Stąd też pod jego naciskiem rada ministrów Rzeszy ratyfikowała protokół przedłużający traktat niemiecko-sowiecki z 1926 r. Jednocześnie Hitler uznał zasadność sugestii ministra spraw zagranicznych, aby ambasador ZSSR został przyjęty przez kanclerza przed posłem Rzeczypospolitej.

Te zabiegi Neuratha nie mogły wystraszyć Polaków. Kontakty polsko-sowieckie były stałe, a stanowiska obu rządów wydawały się zbieżne. Od dłuższego czasu trwały przecież

półoficjalne rozmowy między zaufanymi Piłsudskiego: Bogusławem Miedzińskim i Ignacym Matuszewskim, a posłem ZSSR Władimirem Antonowem-Owsiejenką. Artykuł Miedzińskiego, opublikowany w „Gazecie Polskiej” (początek kwietnia), zawierał - zdaniem autora - rekapitulację tych rozmów. Z enuncjacji redaktora naczelnego sanacyjnego dziennika wynikało, że mimo różnic ustrojowych i ideologicznych nie było powodów do napięć we wzajemnych stosunkach. Sugestią strony sowieckiej było przeniesienie rozmów do Moskwy. W ten sposób Miedziński został zaproszony do ZSSR przez redakcję dziennika „Izwestija”.

Stanowisko w żywotnych dla Polski sprawach starał się referować moskiewski korespondent „Gazety Polskiej”. W jego korespondencji z 5 kwietnia czytamy: „Związek Bałtycki na Północy, zaś Mała Ententa na Południu, spięte klamrą wspólnego porozumienia i wzajemnego zaufania polsko-sowieckiego - oto mur, o który musiałyby się załamać niemiecki *Drang nach Osten* [...] byłyby to, jak mówią, jedyna godna odpowiedź na rzymsko-germańskie projekty o »czterech dyktatorach Europy«”.

Zupełnie „nowy język” usłyszał Jules Laroche w rozmowie z Beckiem tegoż 5 kwietnia. Beck zagroził, że jakiegokolwiek próby zmiany granic polskich będą oznaczały wojnę. Twierdził, że Berlin zrozumiał to lepiej niż Rzym, Londyn, a nawet Paryż. Jednocześnie polski minister twierdził, że Hitler nie czuje się jeszcze „zbyt pewnie na nogach”, należy więc rozmówić się z nim, zanim reżim hitlerowski okrzepnie. Podobny ton można było odnaleźć w artykule Matuszewskiego Prawdziwa stawka („Gazeta Polska” z 15 kwietnia): „Dla nas ta sprawa [rewizja granic - R. Sz.] nie istnieje, nie istniała i nie będzie istniała. Żadnych rozmów w żadnym trybie o żadnej z granic Polski żaden rząd polski prowadzić z nikim nie będzie. »Tryb« rozmów z Polską na ten temat jest tylko jeden - ogień działowy. Wtedy będziemy odpowiadać. Każdemu. Ze wszystkich armat”.

Tego samego dnia radca ambasady polskiej w Paryżu pisał o przychylnym nastawieniu premiera Paula-Boncoura do niemieckich planów rewizji granic na Wschodzie. Francuz nie taił „konieczności wszczęcia rozmów na temat rewizji granicy polskiej”.

18 kwietnia - jak wspominał adiutant Piłsudskiego major Mieczysław Lepecki - otrzymał on do przepisania tekst dekretu o powołaniu Rządu Obrony i Jedności Narodowej przewidzianego na wypadek wojny. Na pytanie adiutanta, czy Polsce grozi agresja wojsk Hitlera, Marszałek odpowiedział zagadkowo: „Nawet gdybyśmy na niego napadli, to też byłaby obrona”. Tego samego dnia wydane zostały rozkazy o postawieniu w stan pogotowia części jednostek wojskowych.

Wypada żałować, że zamiar powołania Rządu Obrony i Jedności Narodowej nie został zrealizowany we wrześniu 1939 r. Opozycja zgłaszała wówczas pragnienie uczestniczenia w pracach rządu i „sanacja” dość arogancko odrzuciła tę ofertę. Następcy Piłsudskiego nie rozumieli, jak wielkie znaczenie miał wówczas udział ugrupowań opozycyjnych w podejmowaniu decyzji państwowych. Rozumiał to dobrze Piłsudski.

W tym samym czasie Beck wysłał instrukcje do posła Alfreda Wysockiego w sprawie rozmowy z Hitlerem. Jako jej przedmiot zalecał sprawy gdańskie. Wysocki miał stwierdzić, że polska opinia publiczna przypisywała Hitlerowi „ingerencję w sprawy gdańskie, przeciw prawom i legalnym interesom Polski”. Rząd Rzeczypospolitej wzywał, aby Hitler zakazał publicznie takiej działalności. „Niesprecyzowanie tego stanowiska - czytamy w instrukcji - stwarzałoby naszym zdaniem trudności i zmuszałoby nas do wyciągnięcia pewnych konsekwencji”. Beck domagał się wyjaśnienia tej sprawy, ponieważ „Marszałek przywiązuje bardzo dużą wagę do tej rozmowy wobec konieczności ustalenia naszej polityki gdańskiej, co w znacznej mierze będzie zależeć od wyniku tej rozmowy”.

Kiedy Wysocki oczekiwał na spotkanie z Hitlerem, prasa wileńska (20 IV) w dodatkach nadzwyczajnych zapowiadała przybycie Piłsudskiego do miasta. Komunikaty oficjalne donosiły o koncentracji wielu tysięcy wojska oraz przyjeździe premiera Aleksandra

Prystora i ministra Becka. Odbywały się konferencje Marszałka, najpierw z premierem i ministrem spraw zagranicznych, później z wyższymi dowódcami skoncentrowanych jednostek wojskowych. I chociaż wszystko działo się w pobliżu Litwy, to w Berlinie nie było wątpliwości, nad czym radzili Polacy. Zaniepokojenie w Rzeszy, a zwłaszcza w Prusach Wschodnich, rosło. Pierwszy raz mieli Niemcy okazję wołać o polskim „imperializmie” z pełnym przekonaniem.

22 kwietnia (okres wileńskich narad Piłsudskiego) opanowany zwykle von Moltke, poseł niemiecki w Warszawie, zjawił się u Laroche'a. Tym razem nie potrafił ukryć swoich uczuć - był widocznie zdenerwowany. Niemiecki poseł pytał francuskiego dyplomate, dlaczego „rząd [polski - R. Sz.] podnieca umysły, zamiast je uspokajać”. Na zapewnienie ambasadora Francji, że nie można mówić o wojnie, chyba że byłaby to dla Polski wojna obronna, Moltke zauważył, iż jest rzeczą niezwykle trudną stwierdzić, jaką wojnę należy uznać za obronną, a jaką za agresywną. Laroche nadal uspokajał Moltkego, przekonując, że sojusz polsko-francuski będzie zawsze interpretowany w Paryżu w duchu defensywnym. Francja nie poprze Polski, gdyby ta chciała atakować Niemcy. Stwierdzenie to Moltke przyjął z „widoczną ulgą”.

Demonstracjom w Polsce odpowiadały wiece i wybryki antypolskie na terenie Rzeszy. Na zjeździe SA w Sztumie (23 IV) nawoływano do wojny z Polską. Na wiecu w Opolu wśród powszechnego entuzjazmu recytowano wiersz, zaczynający się od zdania: „Czego chcecie, bandyci, nad gdańskim morzem”, a kończący się wezwaniem: „Wstań, Hitlerze, chwyć za miecz i prowadź nas do Polski, do zwycięstwa”. Powtarzały się incydenty wymierzone przeciwko konsulatom Rzeczypospolitej. Jednocześnie poseł Moltke informował swoich przełożonych (26 IV), że „atmosfera wojny prewencyjnej utrzymuje się w Warszawie”.

O wydarzeniach kwietniowych pisał obszernie czeski poseł Girsy w swym okresowym raporcie z 10 maja. Twierdził on, że wojna polsko-niemiecka jest nieunikniona, a Polacy, chcąc być pewnymi zwycięstwa, podejmą ją, nim Hitler się umocni. Ta idea *preventivni valky* miała - według Girsy - zwolenników w marszałku Piłsudskim i polskim Sztabie Głównym. Na początku kwietnia Polska poczyniła przygotowania wojskowe. Poseł twierdził, że przy granicy niemieckiej na Suwalszczyźnie koncentrowano kawalerię, a „korytarz” został obsadzony formacjami Korpusu Ochrony Pogranicza, ściągniętymi z granicy polsko-sowieckiej. Wojna miała wybuchnąć po wyborach w Gdańsku, które, przynosząc zwycięstwo hitlerowcom, stanowiłyby pretekst do podjęcia działań. Wtedy - pisał Girsy - „trudno będzie stwierdzić, kto kogo zaatakował”. Wileńską defiladę wojskową uważał poseł jedynie za maskowanie rzeczywistych zamiarów.

Zachowanie Polski zdawało się odpowiadać Czechosłowacji, skoro w wystąpieniu Beneša (25 IV) na posiedzeniu praskiego parlamentu znalazły się słowa: „Nasze stosunki z Polską są coraz bardziej przyjazne. Świadomość wspólnych interesów stale wzrasta, przy czym z obu stron specjalne zainteresowania jednej i drugiej są w pełni respektowane. [...] Nasza polityka zagraniczna ma w programie porozumienie się z Polską o charakterze wiecznej i trwałej przyjaźni”.

W początkach maja zaczęły się moskiewskie rozmowy Miedzińskiego z Radkiem. Obaj politycy nie kryli, że prezentują poglądy decydujących politycznie czynników Polski i ZSSR. Ze wspomnień Miedzińskiego dowiadujemy się o przebiegu rozmowy, w której zapewniał on Radka, że Polska nie sprzymierzy się nigdy z Niemcami przeciwko ZSSR. Uzasadniając to stanowisko Piłsudskiego, Miedziński stwierdził: „[...] co leży u podstaw takiego stanowiska zajętego przez Polskę: nie to naturalnie, żebyśmy was nagle i płomiennie pokochali, lecz nasz własny interes. Gdybyśmy się przyłączyli do niemieckiego ataku na Rosję - to jakież są perspektywy? W wypadku niepowodzenia - katastrofa dla nas oczywista. A w razie powodzenia niechże pan patrzy na tę mapę i wyobrazi sobie, w jakiej sytuacji znalazłaby się

Polska, otoczona nowymi podbojami niebywałego dotąd imperium, na jego całkowitej łasce i nielasce. Czy myśli pan, że tego nie dostrzegamy?”

1 maja Piłsudski w obecności Becka przyjął na audiencji posła ZSSR w Warszawie, Antonowa-Owsiejkę. Treść rozmowy do dziś pozostała tajemnicą. Jednak rozgłos, jaki nadała temu spotkaniu prasa, oraz fakt, że oskarżany o antysowieckość Piłsudski przyjmował posła ZSSR właśnie 1 maja, dawały dużo do myślenia. Zwłaszcza że następnego dnia poseł Wysocki miał rozmawiać z Hitlerem.

2 maja o godzinie dwunastej Alfred Wysocki został przyjęty przez Hitlera i ministra Neuratha. Wysocki w długim wystąpieniu przedstawił polską ocenę polityki Rzeszy, a wynikała ta ocena „z zachowania się stronnictwa narodowosocjalistycznego w Gdańsku. Jego przywódcy i prasa - mówił Wysocki - przekonują obywateli Wolnego Miasta, że przyłączenie do Rzeszy to kwestia najbliższych dni, szczególnie odkąd pan kanclerz objął ster rządów w Rzeszy”. Odpowiedź Hitlera była niezwykle pojednawcza. Zapewniał on Wysockiego, że jest zwolennikiem pokoju i porozumienia z Polską, twierdził, że Niemcy i Polska mają wspólnego wroga w Związku Sowieckim, wyraził też zgodę na ogłoszenie komunikatu, którego domagała się strona polska, i z własnej inicjatywy rozszerzył jego treść na całokształt stosunków z Polską. Komunikat podkreślał „zdecydowany zamiar rządu niemieckiego postępowania w ramach istniejących traktatów” i zalecał, aby „obydwa kraje na nowo rozpatrzyły swoje wspólne interesy i traktowały je beznamiętnie”.

Następnego dnia Beck w rozmowie z ambasadorem Francji, mówiąc o spotkaniu Hitler-Wysocki, stwierdził: „Ci, co oskarżają rząd polski o chęć wywołania wojny przewencyjnej [...], będą mogli równie dobrze oskarżyć go o rzucenie się w ramiona Niemiec”.

Metoda prowadzenia rozmów z Hitlerem z pozycji siły wydawała się słuszna, a ranga Polski rosła. Nawet Beneš w wywiadzie dla francuskiego dziennika „L'Echo de Paris” (4 V) zapewniał, że „z 32 milionami mieszkańców Polska jest wielkim mocarstwem”.

Nieprawdopodobny obrót spraw w stosunkach polsko-niemieckich (jak odnotowała prasa europejska) znalazł znacznie słabszy rezonans w Polsce. Rządowa „Gazeta Polska” 5 maja pisała, że dopiero trwałość wysiłków ze strony Niemiec może stworzyć „układ pokojowego współżycia między narodem polskim a niemieckim”. Tego samego dnia ukazał się wywiad Hitlera w „Daily Telegraph”: kanclerz zapewniał, że los Niemiec zależy od ich granic wschodnich. Natomiast „Prawda” publikowała artykuł Radka przeciwny rewizji traktatu wersalskiego.

W dniach 5-6 maja odbyła się w Wydziale Zachodnim MSZ konferencja na temat stosunków z Rzeszą. Jej uczestnicy postanowili żądać ratyfikacji umów, normujących stosunki handlowe i sposoby usuwania incydentów granicznych, oraz domagać się likwidacji propagandy wrogiej Polsce na terenie Niemiec.

Mimo pewnego złagodzenia napięcia „Gazeta Polska”, nie przestawała poruszać spraw niemieckich. 7 maja publikowano ostrą odpowiedź na wydany w Rzeszy antypolski paszkwil Ernsta Thiela *Polen greiffen*. Następnego dnia pułkownik Gustaw Paszkiewicz w artykule *Powaga chwili* twierdził, że Niemcy będą „zarzewiem przyszłej wojny o nasileniu bardziej okrutnym aniżeli miniona z lat 1914-1918”, a attache wojskowy w Berlinie podpułkownik Antoni Szymański informował Drugi Oddział Sztabu Głównego: „Posunięcia niemieckie wypływają z sytuacji aktualnej, są manewrem, zatem ze szczerością, poważniejszą zmianą stosunków polsko-niemieckich` nie mają nic wspólnego. [...] Umizgi hitlerowskie pod naszym adresem mają charakter tymczasowy”.

8 maja Piłsudski przyjął na audiencji niemieckiego attache wojskowego, generała Maxa Schindlera. Sama rozmowa - jak wskazują źródła - nie zawierała nic istotnego dla stosunków Polski z Rzeszą.

14 maja gdańscy naziści zapewnili wysokiego komisarza Ligi Narodów, Helmera Rostinga, że po zwycięstwie ich partii w wyborach do senatu hitlerowcy zaczną realizować program „przyjaznego porozumienia z Polską oraz respektowania jej praw na terenie Gdańska”. 17 maja w przemówieniu Hitlera na forum Reichstagu znalazło się stwierdzenie o konieczności godzenia „zrozumiałych aspiracji Polski z naturalnymi prawami Niemiec”.

Zadowolenie, jakie wyraził Beck Moltkemu z powodu mowy Hitlera, było wyraźnym dysonansem wobec komentarza „Gazety Polskiej”, nazywanej „tubą Becka”. W artykule zamieszczonym w dzienniku 19 maja zalecano „sceptycyzm” przy ocenianiu wystąpienia kanclerza Niemiec, a w numerze z 22 maja pisano, że słowa Hitlera nie różniły się od tego, co mówili politycy weimarscy. Dziennik dostrzegwał „czający się między wierszami [przemówienia Hitlera - R. Sz.] duch rozbiorów Polski”. Nie było w tym nic dziwnego, skoro polskie MSZ dowiadywało się z raportu posła Rzeczypospolitej w Berlinie (21 V), że generałowie cieszący się zaufaniem Hitlera, nie kępując się zbyt, mówili o planach odebrania Polsce Pomorza i przesiedlenia ludności polskiej.

22 maja Girsza potwierdził wobec Becka pogłoski, że Mała Ententa wycofała się z poprzednio zajętego stanowiska w sprawie paktu czterech. „Wycofanie się Małej Ententy z opozycji przeciwko paktowi czterech - czytamy w pracy Jerzego Kozeńskiego - było wyraźnym dziełem Beneša. [...] Ryzykował on mało, gdyż na pierwszą ofiarę rewizjonizmu niemieckiego przeznaczono w tym czasie Polskę”. Trudno się zatem dziwić, że 1 czerwca poseł Wacław Grzybowski zapowiedział odwołanie uzgodnionej wizyty Becka w Pradze, motywując to zmianą stanowiska rządu Czechosłowacji w sprawie paktu czterech. Ta sytuacja stała się kolejną okazją dla Francuzów, by mogli podkreślić realizm Beneša i podzielić, jak zawsze, swoich sojuszników na dobrych (Czesi) i złych (Polacy). Paul-Boncour miał nawet powiedzieć posłowi Czechosłowacji w Paryżu, że Francja zastanawia się nad wypowiedzeniem umowy sojuszniczej z Polską, która zbyt sobie „pozwala”, protestując przeciwko paktowi czterech.

Tymczasem wybory do Gdańskiego Senatu dobiegały swego brunatnego końca. 27 maja, w przededniu wyborów, gdańszczanie wysłuchali przez radio przemówienia Hitlera wygłoszonego w Królewcu, z którego wynikało, że „narodowy socjalizm odrzuca wszelką politykę zmiany granic kosztem innych narodów”. Wiadomo było, o jaki naród chodziło kanclerzowi. W pełni uzależnione od Hitlera polityczne kierownictwo Wolnego Miasta było już tylko posłusznym narzędziem Berlina. Nic też dziwnego, że prezydent senatu dr Herman Rauschnig w swym przemówieniu na forum Volkstagu 23 czerwca mówił: „Jeśli chodzi o stosunki Wolnego Miasta z Polską, oświadczamy się za zasadą polityki pokoju, polityki respektowania istniejących traktatów i umów”.

3 lipca Rauschnig i jego zastępca Artur Greiser złożyli wizytę w stolicy Rzeczypospolitej. Rauschnig zapowiadał, że oznacza to początek „nowej epoki” w stosunkach polsko-gdańskich. W czasie rozmowy z Piłsudskim Niemcy usłyszeli dość znamienne słowa: „Cieszę się, że szukacie jedynie rozsądnej drogi w naszych wzajemnych stosunkach! Nie życzę wam przybycia tu w charakterze wrogów: źle by się to dla was skończyło, gorzej, niż sobie wyobrażacie”. Tego samego dnia dziennik „Petit Parisien” zamieścił wywiad z Rauschnigiem, w którym zapewniał on, że nowe władze Gdańska będą dążyły do likwidacji wszelkiego napięcia w stosunkach z Polską.

Koniec czerwca to także rewizyta Radka w Polsce. Doszło do niej na wyraźne polecenie Stalina. W kolejnych rozmowach z Miedzińskim polityk sowiecki, zgadzając się z zapewnieniami o pokojowych celach polskiej polityki zagranicznej, zapytał: „Cóż zrobicie, jeśli Niemcy postawią wam ultimatum, że albo pójdziecie razem z nimi, albo przejdą przez was siłą?” Miedziński odpowiedział, że „w takim przypadku przeciwstawimy się, będziemy się bić, nie rozważając ani szans zwycięstwa, ani stosunku sił”.

3 lipca Afganistan, Estonia, Iran, Łotwa, Polska, Rumunia, Turcja i ZSSR podpisały konwencję o definicji napastnika. Akt ten uzupełniał w istotny sposób obowiązujący od 1928 r. pakt Brianda-Kellogga. Józef Beck pozytywnie ocenił podpisany dokument, nazywając go „ważnym aktem politycznym o znaczeniu wybitnie twórczym”. „Dla polityki zagranicznej Polski - mówił minister - konwencja o definicji napastnika jest logiczną konsekwencją szeregu instrumentów politycznych, na których podstawie kształtują się coraz pomyślniej stosunki polsko-sowieckie”. Dziennik PPS „Robotnik” (5 VII) nazwał konwencję „ciosem” w pakt czterech.

Kontakty polsko-sowieckie były dostrzegane przez Niemców, a dyplomaci starej bismarckowskiej szkoły cierpli na myśl o sojuszu polsko-rosyjskim. Uznawany za eksperta od spraw polskich Erich Zechlin, będący wówczas posłem Rzeszy w Kownie, pisał w raporcie z 6 lipca, iż „nie można już dłużej mówić o antagonizmie rosyjsko-polskim. Można przypuszczać, że zbliżenie polsko-rosyjskie zmieni sytuację w Europie wschodniej, co jest dla nas fatalne”.

Tym korzystniejsze dla Niemców było wystąpienie Edouarda Daladiera, o którym pisała 11 lipca „Gazeta Polska”. Premier Francji podkreślał pokojowe tendencje paktu czterech i nie omieszczał dodać, że przed Francją stanęła konieczność utrzymania przyjaznych stosunków z „wielkim sąsiadem wschodnim, który wskutek nieporozumień był zbyt długo oddalony od Francji”. Również Anglia nie traciła nadziei na pozyskanie Niemiec przez poparcie rewizjonizmu - zapowiadał to minister John Simon podczas spotkania z pracownikami Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (11 VII), który to Instytut miał się zająć studiowaniem możliwości zmian granic.

13 lipca odbyła się kolejna rozmowa Wysockiego z Hitlerem. Führer stwierdzał historyczne prawa Polski do istnienia i rozwoju, a przy okazji już drugi raz przy Wysockim powiedział, że „gdyby tzw. korytarz był przesunięty dalej na wschód”, wówczas między Rzeszą a Polską nie byłoby spornych problemów. Nawiązywał też do licznych pomysłów skompensowania polskiego dostępu do morza częścią terytorium Litwy. Pośrednią odpowiedzią na te sugestie był artykuł Henryka Korab-Kucharskiego w „Gazecie Polskiej” z 13 lipca. „W Polsce wiedzą ludzie coś niecoś o fantastycznych planach Alfreda Rosenberga, który chciałby załatwić polubownie spory z Polską i pchnąć ją jednocześnie ku wielkim zdobyczom na Ukrainie czy na Litwie. Nikt się tym specjalnie nie wzruszył i rząd nie odstąpił od linii swych działań, doprowadzając gorliwie do podpisania londyńskiego paktu [chodziło o konwencję z 3 lipca 1933 r. - R.Sz.]”.

W końcu lipca nastąpiła zmiana posła w Berlinie. 21 lipca Wysocki, który udawał się na placówkę do Rzymu, zgłosił się do Piłsudskiego po instrukcje. Rozmowa przeprowadzona podczas tego spotkania, dość dokładnie odtworzona na podstawie sporządzonej przez Wysockiego notatki, oddaje najprawdopodobniej rzeczywiste zamiary Piłsudskiego w polityce zagranicznej. Nawet zakładając, że Marszałek nie wszystko wyjawiał dyplomacie (znana była nieufność Piłsudskiego do dyplomatów i pewna jego skrytość wyniesiona z konspiracji), to, co powiedział, na pewno było szczere.

Po wymianie zdań na temat hitleryzmu Piłsudski stwierdził, że „ustalenie się reżimu hitlerowskiego” nie musi oznaczać pogorszenia stosunków z Polską. Tym, co utwierdzało Piłsudskiego w takim przekonaniu, było usunięcie przez Hitlera „junkrów i nacjonalistów” od wpływu na politykę zagraniczną Rzeszy. Wskazując na traktaty, dzięki którym Polska uzyskała pewne uprawnienia, Piłsudski mówił, że jeśli państwa europejskie zaprzestaną obrony postanowień traktatowych, wówczas i Polska zrobi to samo. Zwłaszcza że byłaby to okazja do uwolnienia się od „tych wszystkich zobowiązań, które przez traktaty zostały nam narzucone”.

Mówiąc o Małej Entencie, Marszałek nie wykluczał możliwości porozumienia z Czechami, sądząc jednak po słowie, którym określił Beneša, nie był najlepszego zdania o

polityce czeskiego ministra. Napięcie w stosunkach włosko-niemieckich z powodu Austrii zdawało się sugerować Piłsudskiemu, że w ten sposób Hitler uwikła się w konflikt z całą Europą Zachodnią (w tym z Włochami), a więc w rejonach dość odległych od granic Polski. Politykę wobec ZSSR chciał Marszałek opierać na przyjaznym i trwałym odprężeniu. Następnie przechodząc do sprawy sojuszu z Francją, mówił: „Jesteśmy zawsze gotowi spełniać nasze zobowiązania wobec Francji, jeżeli zajdzie tego potrzeba, i uważam przymierze z nią za jedną z podstaw mojej polityki narodowej. Staje się ona aktualna w razie agresji Niemiec w stosunku do Francji lub nas, pozostawia jednak obu stronom zupełną swobodę ruchów”.

Słowa Piłsudskiego o sporach niemiecko-włoskich znalazły swoje odbicie na łamach prasy. „Gazeta Polska” z 18 sierpnia uznała „parcie Rzeszy ku połączeniu z Austrią” za „naturalne”. „Dlatego - czytamy w dzienniku - prawdziwa ofensywa polityczna Niemiec obrała kierunek południowy, a nie wschodni”. Głębsze uzasadnienie stanowiska Polski w sprawie Austrii przedstawił Beck w jednej z rozmów z ambasadorem Francji. Stwierdził mianowicie, że o los Austrii winny się zatroszczyć państwa „powołane specjalnie do zajęcia się tym zagadnieniem, jak Francja, Wielka Brytania i Włochy”. Jednocześnie Beck wyraził wątpliwość, czy wysiłki tych państw uratują austriacką niepodległość, „chyba że Francja i Włochy przeprowadzą mobilizację”.

29 sierpnia „Izwestija” i „Gazeta Polska” jednocześnie drukowały artykuł Radka pt. *Odrodzona Polska i Związek Sowiecki*. W artykule podkreślono zbieżność polityki zagranicznej obu państw, a Polskę nazwał Radek sojusznikiem ZSSR w walce o pokój. Powstanie niepodległej Polski było jednym z nielicznych - jak pisał autor artykułu - pozytywnych rezultatów I wojny światowej.

Życzliwy komentarz do artykułu Radka zamieszczony w sanacyjnym dzienniku potwierdzał „zbieżność polityki międzynarodowej Polski i Rosji Sowieckiej” i oceniał, że miała ona „przed sobą przyszłość pozytywną”. „Być może - jest to naszym szczerym pragnieniem - przeżywany przez nas okres polityki europejskiej znajdzie swoje miejsce pod nagłówkiem: *Ex oriente pax*”.

W początkach września Piłsudski i Beck dokonali analizy sytuacji wewnętrznej Niemiec pod kątem stosunków polsko-niemieckich. Obaj politycy uznali, że dojście hitlerowców do władzy pozwala Polsce podnieść sprawy, których nie można było poprzednio załatwić. Piłsudski sądził, że zjednoczenie północnych (Prusy) i południowych (Austria) Niemiec doprowadzi do osłabienia polityki antypolskiej, gdyż w polityce Rzeszy powinny wziąć górę interesy zachodnich Niemiec.

Z takim poglądem Beck wyjechał do Paryża (20-21 IX), aby następnie udać się na genewską sesję Rady Ligi Narodów. W Genewie spotkał się z politykami niemieckimi, 25 września z Neurathem, a 26 września z Goebbelsem. Wtedy też pierwszy raz padła ze strony niemieckiej propozycja bardziej gruntownej normalizacji stosunków na zasadzie kontaktów bilateralnych. Znalazło to oddźwięk w słowach Becka, że trzeba zacząć przedstawiać nastroje opinii publicznej w tym kierunku.

Październik okazał się jednak złym miesiącem do rozmów z Niemcami. Początkowo wszystko szło po dawnemu. Ustąpiły kwasy polsko-francuskie. Wrześniowa wizyta polskiego ministra spraw zagranicznych w Paryżu była przedstawiana przez Quai d'Orsay jako moment wyjaśniający wszystkie poprzednie nieporozumienia. Paul-Boncour w publicznych wystąpieniach nazywał politykę Becka „mądrą” i stwierdzał, że Francja z zadowoleniem wita odprężenie stosunków Polski z jej wielkimi sąsiadami. Tymczasem rozpoczęły się przygotowania do konferencji rozbrojeniowej, a Anglia i Francja podjęły bezpośrednie rozmowy przygotowawcze. W Polsce pojawiły się znowu pogłoski, że zanim przyjdzie do rozbrojenia, zalegalizuje się zbrojenia niemieckie. „Gazeta Polska” z 3

października zamieściła artykuł o znamionym dla polskich obaw tytule - *Niepokojące pogłoski o nowych ustępstwach Francji*.

14 października wybuchła bomba. Niemcy ogłosiły, iż nie wezmą udziału w konferencji rozbrojeniowej i występują z Ligi Narodów. W ten sposób Hitler zdrwił z całej konstrukcji międzynarodowego bezpieczeństwa, tworzonej z takim samozaparciem przez zachodnich polityków, i odzyskał pełną swobodę w zbrojeniach. Jak było do przewidzenia, Anglia i Francja zdobyły się jedynie na złożenie protestu w Berlinie. Polska i Związek Sowiecki zrezygnowały z protestów, zdając sobie sprawę, że protestami nie uda się poskromić Hitlera.

Niemcy liczyły się z najgorszym, wiedząc, że ich krok był wyzwaniem rzuconym całemu ówczesnemu światu. W Rzeszy sądzono, że Francja, wsparta przez Anglię, będzie chciała uruchomić swoje sojusze i wymusić na Niemcach rezygnację z remilitaryzacji. Działania wojenne miała rozpocząć - według dowództwa Reichswehry - Polska, wspierana przez Czechów i Belgów, a później wkroczyłaby Francja. Przewidywanie to było oparte na obliczeniach szybkości mobilizacyjnej wojsk Polski, Czechosłowacji, Belgii i Francji. Polska niewątpliwie jako pierwsza zakończyłaby mobilizację. W wypadku polskiego ataku dyrektywy ministra wojny Rzeszy (z 25 października) przewidywały ewakuację Śląska, walki opóźniające i obronę na linii Odra-Nysa oraz utrzymanie ufortyfikowanego rejonu wokół Królewca.

Tym gorliwiej więc strona niemiecka zaczęła zapewniać, że Berlin pragnie jak najdalej idącej normalizacji stosunków z Warszawą. 17 października, na naradzie z działaczami NSDAP, Hitler wyraził gotowość zawarcia układu likwidującego spory z Polską, a Rauschningowi polecił podjęcie starań o doprowadzenie do spotkania Hitler-Piłsudski.

Stanowisko Polski było wyczekujące, lecz nie pozbawione elementów groźby wobec Niemiec. Wykorzystując bowiem rocznicę odsieczy wiedeńskiej, zarządzono wielką rewie kawalerii, a wraz z tym koncentrację licznych pułków jazdy i artylerii konnej w Krakowie. W tym samym okresie (21 X) Piłsudski zorganizował w Belwederze naradę, w której wzięli udział, obok Becka i wiceministra MSZ Jana Szembeka, szef Sztabu Głównego, generał Janusz Gąsiorowski, oraz referenci spraw niemieckich w sztabie, pułkownicy Witold Wartha i Kazimierz Glabisz. W wyniku tej narady Marszałek polecił, aby przedstawiono mu w ciągu pięciu dni (krótki termin!) kompletne dane o stanie niemieckich zbrojeń.

Sprawozdanie o zbrojeniach miało zawierać - tak sobie życzył Piłsudski - stan czynnych jednostek wojskowych, możliwości produkcyjne przemysłu zbrojeniowego, wielkość budżetu wojskowego, stan rozwoju broni pancernej, lotnictwa i broni chemicznej oraz służb specjalnych Reichswehry.

Dane polskiego wywiadu postanowiono skonfrontować z informacjami, które zdołał zgromadzić wywiad francuski. W tym celu zaproszono do Warszawy pułkownika Koeltza, szefa francuskiego Drugiego Oddziału. Jego rozmowy, również z samym Piłsudskim, upewniły Francuzów, że w Warszawie nadal uważano Niemcy za kraj wrogi.

Ze studium porównawczego o niemieckich zbrojeniach, które przedstawiono Piłsudskiemu, wynikało, że gotowość bojową wojsko niemieckie osiągnie około 1943 r. (nie wykluczano terminu o 2-3 lata krótszego).

Na przełomie października i listopada - pisał Jan Ciałowicz - miała miejsce kolejna misja osobistego wysłannika Piłsudskiego do Paryża. Tym razem wybór Marszałka padł na Ludwika Hieronima Morstina, byłego oficera łącznikowego przy marszałku Fochu. Z instrukcji Piłsudskiego wynikało, że jego wysłannik miał za pośrednictwem generała Maxime'a Weyganda postawić rządowi Francji dwa pytania:

1) Czy w razie zaatakowania Polski przez Niemcy na jakimkolwiek odcinku jej granicy Francja odpowie ogólną mobilizacją sił zbrojnych?



2) Czy wystawi w tym wypadku wszystkie siły zbrojne, jakimi dysponuje, na granicy Niemiec?

Odpowiedź, której oczekiwał Piłsudski, miała brzmieć: „tak” lub „nie”. Poprzez Weyganda pytania Marszałka trafiły do Paula-Boncoura i na posiedzenie francuskiego rządu. Odpowiedź była następująca: „W wypadku zaatakowania Polski przez Niemcy Francja nie zarządzi ogólnej mobilizacji i nie wystawi swych sił na granicy Niemiec”. Przyrzekano jedynie pomoc w uzbrojeniu i „organizowaniu opinii publicznej na korzyść Polski”.

Ale Francja, nie decydując się na bardziej stanowczą politykę w stosunku do Rzeszy, spostrzegła, że Polska może wejść na drogę porozumienia z Niemcami bez francuskiego błogosławieństwa, i do tego z inicjatywy Berlina. Konsekwencje takiego kroku wydawały się Francuzom mało sympatyczne. Zagraniczna aktywność hitlerowców mogłaby się przenieść w rejony bliższe sercu Francji niż Gdańsk czy „korytarz”. 2 listopada Laroche zapytał Becka o pogłoski na temat paktu nieagresji polsko-niemieckiej. Beck odpowiedział - zgodnie z prawdą - że takiego projektu Polska nie otrzymała, ale jeżeli się to stanie, wtedy Rzeczpospolita przestudiuje zagadnienie uważnie, ponieważ nie powinno się to odbić na sojuszu Polski z Francją.

4 listopada w obecności Becka Piłsudski przyjął posła polskiego w Berlinie Józefa Lipskiego. Ustalono tryb rozmów z Niemcami. Od początków listopada Polska zaostrzyła swoje wymagania w toczących się rokowaniach o skończenie zaczętej w 1925 r. wojny gospodarczej. Na tym tle doszło nawet do różnicy zdań między Neurathem a Hitlerem; minister sugerował zerwanie rozmów, aby „przywołać Polaków do porządku”, kanclerz jednak zdecydował, że Niemcy powinny ustąpić. Żądania polskie ponowił Lipski już po rozmowie z Piłsudskim, natomiast 11 listopada w czasie spotkania Becka z Moltkem polski minister oświadczył, że postulaty polskie muszą być uwzględnione, w przeciwnym wypadku „byłoby trudno ominąć istniejące przeszkody bez przedstawienia [...] dużych korzyści gospodarczych”.

Kilka dni później (15 XI) doszło do rozmowy Lipskiego z Hitlerem. Polski dyplomata stwierdził, że dojście hitlerowców do władzy spowodowało zamieszanie w stosunkach międzynarodowych, w związku z tym Polska rozważała możliwość zastosowania środków obronnych. Ostatecznie władze Rzeczypospolitej zrezygnowały z tego, uznając, że polityka kanclerza nie stwarza takiej konieczności. Bezpieczeństwo Polski opiera się - mówił Lipski - na dwu zasadach. Są to dwustronne stosunki z innymi państwami i współpraca w ramach Ligi Narodów. Jednak od czasu wystąpienia Niemiec z Ligi bezpieczeństwo Polski dosiało zachwiane. Rząd polski zapytuje więc - mówił poseł - czy Niemcy nie zechcą wyrównać tego osłabienia przez nawiązanie bezpośrednich rokowań z Polską.

W odpowiedzi Hitler zapewniał, że rozumie stanowisko Polski, i zaproponował, aby pierwszym punktem porozumienia było wyrzeczenie się wojny w stosunkach polsko-niemieckich. Po rozmowie ukazał się w prasie polskiej i niemieckiej komunikat stwierdzający „zupełną zgodność obu rządów w ich zamiarze traktowania na drodze bezpośrednich rokowań spraw dotyczących obu krajów”.

Następnego dnia (16 XI) Beck poinformował Laroche'a o przebiegu rozmowy Lipskiego z Hitlerem. Minister zapewniał ambasadora, że Polska chciała jedynie przywrócić zachwianą ostatnio równowagę bezpieczeństwa w stosunkach z Niemcami, natomiast nie chce naruszać sojuszu z Francją i odprężenia z ZSSR.

Tego samego dnia rada ministrów Rzeszy postanowiła przystąpić do prac nad przygotowaniem propozycji porozumienia, mającego normalizować stosunki z Polską, a także przyjąć żądania w sprawie eksportu polskiego węgla na teren Rzeszy. Do 20 listopada wydział prawny niemieckiego MSZ opracował projekt deklaracji o nieagresji, a 27 listopada poseł Moltke przekazał ten dokument marszałkowi Piłsudskiemu. Aprobując ogólne założenia projektu, Piłsudski stwierdził, że strona polska musi dysponować pewnym czasem,

aby dokładnie go przestudiować. Dla Niemców oznaczało to przedłużenie rokowań. W końcowej części rozmowy Marszałek stwierdził, że obok przyczyn politycznych również sytuacja gospodarcza każe Polsce unormować wzajemne stosunki.

Ostatni miesiąc 1933 roku upłynął pod znakiem rozmów polsko-niemieckich, zmierzających do podpisania deklaracji o nieagresji.

9 grudnia minister Beck wraz z Lipskim i Dębickim przystąpił do szczegółowej analizy przedłożonego przez Niemców projektu dokumentu. Jednocześnie Beck polecił Lipskiemu, aby ten zwlekał z bezpośrednimi rozmowami na temat deklaracji. W ten sposób dopiero 20 grudnia miało dojść do spotkania posła z upoważnionym pracownikiem Auswärtiges Amt, podczas którego strona polska miała przedstawić swoje uwagi do niemieckiego projektu.

W rozmowie z ambasadorem Anglii (4 XII) Beck tłumaczył, że Polska skorzystała z niemieckiej oferty dopiero wtedy, „gdy się okazało, że nie będzie jakiegoś kolektywnego wystąpienia zainteresowanych państw, którego można było się spodziewać”. Beckowi chodziło o sytuację, jaka powstała w momencie opuszczenia Ligi Narodów przez Rzeszę.

A Niemcom spieszyło się coraz bardziej. 11 grudnia przybył do Warszawy Hermann Rauschning. Polacy wiedzieli, że niemiecki gość był zwolennikiem współdziałania polsko-niemieckiego, a jednocześnie należał do zaufanych ludzi führera. Ukoronowaniem wizyty Rauschninga była rozmowa z Piłsudskim. O jej przebiegu dowiadujemy się z notatki sporządzonej przez Kazimierza Papego. Marszałek, mówiąc o narodowym socjalizmie, określił go jako „rewolucję niemiecką, posługującą się metodami bardzo ryzykownymi”. W postępowaniu Hitlera nie dostrzegał polski przywódca respektu dla niemieckiej maksymy: „po umiarze poznać mistrza”. Kiedy Rauschning zaczął się rozwodzić na temat pokojowej polityki kanclerza Rzeszy, Piłsudski się zgodził, iż nie należy przyspieszać wojny, „która może wybuchnąć dopiero za sto lat”. Wreszcie na propozycję spotkania z Hitlerem w cztery oczy Marszałek zasłonił się „trudnościami technicznymi”, które, jego zdaniem, uniemożliwiały takie spotkanie. Mówiąc dalej o stosunkach polsko-gdańskich, Piłsudski ostrzegał swego rozmówcę, iż polska opinia publiczna nadal traktuje odprężenie nieufnie, przeświadczona, że Niemcy postępują nieszczerze.

W tym samym czasie toczyły się i inne rozmowy. Naciskana mocno przez czeskie koła wojskowe z propozycjami porozumienia wystąpiła bowiem Praga. Współpraca sztabów obu armii przebiegała pomyślnie, a nastroje polonofilskie w czechosłowackim wojsku umacniały się, gdyż oficerowie zdawali sobie sprawę, że bez Polski obrona granic Czechosłowacji stoi pod znakiem zapytania. W pierwszej dekadzie grudnia poselstwo polskie w Pradze otrzymało propozycję uzgodnienia współpracy obu krajów w trzech płaszczyznach: polityki międzynarodowej, współpracy ekonomicznej i wojskowej. Poseł Grzybowski w opinii przekazanej do polskiego MSZ (10 XII) stwierdzał, że poza sprawami wojskowymi porozumienie nie dawałoby Polsce żadnych większych korzyści. Pojawił się znany motyw pomawiania Beneša o oportunizm w stosunku do Francji (czego zresztą Beneš umiał stwarzać pozory). Najlepszym przykładem była sprawa paktu czterech, które zachwiała wiarę Warszawy w samodzielność praskiej polityki. Grzybowski stwierdzał, że „obecne uzależnienia Czechosłowacji od Francji [...] czynią z niej [Czechosłowacji - R. Sz.] partnera mało realnego”. Dodatkowym elementem budzącym niechęć do Beneša była jego odmowa uznania traktatu ryskiego z 1921 r. za podstawę stosunków polsko-sowieckich. (Nie chodziło tu o sympatie do ZSSR; w 1933 roku Czechosłowacja ciągle nie uznawała państwa sowieckiego, a traktat ryski uważała za godzący w suwerenne prawa „białej” Rosji do polskich ziem zabużańskich).

18 grudnia odbyło się spotkanie Becka z posłem Girsą. Czeski dyplomata, zawsze nieufny w stosunku do polskiego ministra, tym razem spędził dwie godziny na szczerej wymianie zdań. Beck nie ukrywał, że prowadzi rokowania z Niemcami, i podkreślał, że nie

zmieni to w niczym polityki polskiej. Przedstawiwszy jej główne zasady poprosił Girse o przekazanie treści rozmowy Benešowi.

Finał rozmów z Czechami miał miejsce podczas genewskiego spotkania Becka z Benešem (z inicjatywy Becka) 20 stycznia 1934 r. Wiesław Balcerak przekonująco uzasadnił, że Beck starał się zasugerować Benešowi zawarcie sojuszu o charakterze antyniemieckim. Z zamiaru tego polski minister wycofał się po oświadczeniu Czecha: „[...] z Niemcami żadnych sporów nie mamy, sporów granicznych między nami nie ma, żadne inne spory także nie istnieją, przeto my sami nie znajdujemy się w konflikcie z Niemcami”. W takiej sytuacji trudno było myśleć o proponowaniu sojuszu skierowanego przeciwko Niemcom.

26 stycznia 1934 r. między Rzeszą Niemiecką a Rzeczpospolitą Polską została podpisana deklaracja nieagresji.

## **6. Wojna prewencyjna?**

Wydarzenia 1933 r. są do dnia dzisiejszego interpretowane na wiele sposobów. Nie ma w tym nic dziwnego. Normalizacja stosunków polsko-niemieckich w 1934 r., a zwłaszcza następstwa tej normalizacji stanowią jeden z węzłowych problemów historii najnowszej Europy. Odpowiedź na pytanie, czy Piłsudski rzeczywiście zamierzał w wojnie prewencyjnej zniszczyć odradzającą się potęgę militarną Niemiec, jest o tyle trudna, że do pewnego czasu miała ona wymiar polityczny. Zwolennicy Piłsudskiego potwierdzali taki zamiar Marszałka, chcąc dowieść, że „Komendant miał zawsze rację”, przeciwnicy sanacji zaprzeczali, widząc w polityce Piłsudskiego, a nade wszystko Becka, flirt z Hitlerem i frankofobię. Dziś po upływie ponad półwiecza od tamtych dni można chyba pokusić się o próbę ponownego zinterpretowania zamiarów polskiego rządu.

Wiele dokumentów bezspornie dowodzi, że w Warszawie zdawano sobie sprawę, na jak kruchych podstawach zbudowano pokój w Europie. Jednym ze szczególnie wątpliwych założeń było przeświadczenie, że Niemcy wywiążą się ze zobowiązań nałożonych przez traktat wersalski i - co najważniejsze - nie będą dążyły do odbudowy swej siły militarnej. Politycy polscy wiedzieli, że przewaga wojskowa armii polskiej nad Reichswehrą jest przejściowa i w pewnym stopniu sztuczna. Wystarczyło zresztą porównać potencjał ludnościowy i gospodarczy obu państw, aby nie mieć co do tego złudzeń. Stąd w interesie Rzeczypospolitej leżało przeciwstawianie się wszelkimi możliwymi sposobami remilitaryzacji Niemiec. Dopóki siły zbrojne Polski górowały przeszło dwukrotnie nad niemieckimi, Rzeczpospolita mogła zbytnio nie obawiać się niemieckiego rewizjonizmu, a nawet wojny gospodarczej. Niestety, w miarę upływu lat Niemcy coraz wyraźniej odzyskiwały utracone w wyniku klęski pozycje. Na Zachodzie rosła sympatia i poparcie dla niemieckich planów rewizjonizmu polskiej granicy. Niemieccy politycy, układni i pokojowi w stosunku do mocarstw zachodnich, starali się doprowadzić do osamotnienia Polski, aby w izolowanym konflikcie wymóc na niej ustępstwa. Układ monachijski z 1938 r. dowiódł, że taka polityka przynosiła Niemcom sukcesy - Paryż i Londyn umiały bronić pokoju cudzym kosztem.

Samotna Polska nie mogła okiełznać niemieckiego militarizmu. Potrzebne i było współdziałanie Francji również przeciw zagrożonej niemieckimi dążeniami odwetowymi. Ale Francuzi prowadzili politykę ustępstw, zadowolając się pokojowymi deklaracjami Berlina. 11 grudnia 1932 r. III Republika zgodziła się już nie tylko na ustępstwo, lecz wręcz na wyłom w postanowieniach zabezpieczających istotne interesy Francji. Oto genewska uchwała Anglii, Francji, Włoch, USA i Niemiec przywracała tym ostatnim

równouprawnienie w zbrojeniach w ramach „systemu przewidującego bezpieczeństwo wszystkich narodów”. Urzędujący od 2 grudnia nowy kanclerz Niemiec, generał Kurt von Schleicher, zapowiadał zniszczenie Polski, a jednocześnie zabiegał o porozumienie z Francją. Zamiar ten nieomal powiódł się. Francuska prasa zapowiadała nawet powstanie „niemiecko-francusko-sowieckiej ententy”.

Południowy sąsiad Polski, Czechosłowacja, również nie widział, że niemieckie plany stanowią poważną groźbę dla pokoju. Tamtejszy minister spraw zagranicznych, Beneš, już na początku 1932 r. domagał się przyznania Niemcom równouprawnienia w zbrojeniach.

Zdawało się, że objęcie urzędu kanclerza przez Hitlera będzie hamowało niekorzystne dla Polski procesy na terenie europejskim. Rzesza z powodu polityki nazistów traciła sympatię w oczach liberalnych kół Zachodu, a wojowniczy antykomunizm führera sprawiał, że jednocześnie nieaktualna stawała się linia Rapallo. „Hitler ma tę zasługę - pisała „Gazeta Polska” - że rozwiał wiele złudzeń bardzo niebezpiecznych, bo zaciemniających prawdziwy obraz sytuacji [...]. Rewizja granic wschodnich jest tylko jednym z wielu punktów programu narodowych socjalistów. Milionowa armia wyborców żąda znacznie więcej, żąda wskrzeszenia państwa niemieckiego w dawnych granicach, restytucji ich przedwojennej potęgi mocarstwowej, całkowitego obalenia traktatu wersalskiego i planu Younga [...]. W rozpędzie zwycięskim Hitlera kwestia granic wschodnich stanowi odcinek względnie mało znaczący w porównaniu z frontem bojowym zwróconym przeciw byłym aliantom. Hitler to raczej *Drang nach Westen* niż *Drang nach Osten*”.

Od stycznia 1933 r. polskie argumenty wysuwane w sporze z Rzeszą zaczęły znajdować coraz więcej zrozumienia w stolicach państw ościennych. To sytuacja zewnętrzna, a nie czynniki wewnętrzne wpłynęły na tak daleką idącą normalizacją stosunków polsko-sowieckich. Decydowała oczywiście postawa Niemiec, które pod rządami Hitlera zerwały z dotychczasową linią Rapallo. Zabiegi Moskwy, aby Berlin nie rezygnował ze współpracy, okresowo spełżyły na niczym. Kolejnym dowodem tych zmian było usunięcie z terenu Niemiec i Gdańska zagranicznych biur KPP, dotąd działających tam bez przeszkód. W tej sytuacji nieprzyjazna Niemcom Rzeczpospolita stawała się dla ZSSR partnerem, o którego względy warto było zabiegać.

Podobna ewolucja dokonała się w postępowaniu Pragi. Istotę tego zagadnienia przedstawił szef kancelarii wojskowej prezydenta I Republiki, generał František Blaha, w rozmowie z posłem Grzybowskiem. Czeski wojskowy stwierdzał, że bez współpracy z Polską „Czechosłowacja nie będzie w stanie stworzyć żadnego planu operacyjnego”. Rzecznikiem współpracy z Polską był również zastępca szefa sztabu czechosłowackiej armii, generał Lev Prchala (po 1939 r. dowódca korpusu ochotników czechosłowackich przy Wojsku Polskim). W rozmowach z polskimi oficerami deklarował się jako „prowadzący od dawna agitację polonofilską w wojsku czechosłowackim”.

Wojskowe zamiary Rzeszy były dość dobrze rozszyfrowane przez polski wywiad wojskowy. Jednym z ważniejszych dokumentów armii niemieckiej z tamtego okresu był tzw. plan Umbau, o rozbudowie Reichswehry, opracowany przez Schleichera. Po jego zrealizowaniu armia niemiecka składałaby się z 21 dywizji piechoty, 5 dywizji kawalerii, 34 wielkich jednostek Grenzschtzu oraz dwumilionowej „armii uzupełnienia”. Całość sił zbrojnych miała być wyposażona w ciężką artylerię, czołgi i samoloty. Z taką armią Wojsko Polskie z trudnością mogło konkurować.

Informacje o planie Umbau musiały trafić do Piłsudskiego, skoro miał go polski Drugi Oddział Sztabu Głównego (stwierdzili to m.in. historycy francuscy). Styczniowa zmiana na fotelu kanclerskim w Niemczech nie zahamowała prac nad realizacją planu Schleichera, a nawet oznaczała zdwojenie wysiłków. Informował o tym obszernie ambasadora Laroche'a a minister Beck.

W tej sytuacji trudno było zakładać, że będzie można utrzymać pokojowe stosunki z Rzeszą. Mogło się przy tym wydawać, że Francja zdecyduje się na bardziej stanowcze kroki, skoro hitlerowska Rzesza miała zagrozić również jej granicom. Polski attache wojskowy w Paryżu, pułkownik Jerzy Błęszyński, pisał w swoim raporcie z 1932 r., że linia polityki Brianda bankrutuje i że po wyborach znaczne wpływy zyskali przeciwnicy łagodzenia stosunków z Rzeszą. „Utrzymanie dawnej linii politycznej - czytamy w raporcie Błęszyńskiego - staje się niemożliwe, powstaje bowiem obawa agresji niemieckiej, nadwężenie sojuszów i prestiżu Francji”.

Misje Potockiego i Wieniawy stanowiły swoisty sondaż opinii polityków francuskich i chociaż prawdopodobnie Polacy nie przedłożyli formalnie propozycji, dotyczących wojny prewencyjnej (jak dotąd nie odnaleziono żadnych dokumentów na ten temat), to sugestia była na tyle wyrazista, że gdyby odpowiadała zamiarowi Francji, powinna być podjęta. O tym, że sugestie Piłsudskiego zostały w Paryżu właściwie odczytane, świadczyło uporczywe ostrzeżenie rządu polskiego przed zdecydowaną polityką i powtarzanie, że Francja poprze tylko Polskę napadniętą.

Rezultaty misji wysłanników Marszałka przesądzały sprawę o tyle, że polskie czynniki rządowe miały już świadomość, iż nie mogą liczyć na wspólną akcję zbrojną Francji i Polski przeciwko Hitlerowi. Była jednak ważna wskazówka: Polska mogła się bronić, gdyby Hitler, umiejętnie sprowokowany, napadł na Rzeczpospolitą. Oczywiście trudno sobie wyobrazić, aby Polska mogła samodzielnie pokonać Niemcy, co jednak nie oznaczało, że Wojsko Polskie było skazane jedynie na obronę, jak to nastąpiło w 1939 roku. Przecież sam generał Seeckt pisał, że niewystarczające uzbrojenie Niemiec tylko chwilowo nie pozwala, „ostatecznie rozliczyć się z Polską”. Charakterystyczne też, że właśnie ten fragment książki Seeckta - co odkrył Karol Jonca - został przesłany 10 marca 1933 r. nadprezydentowi prowincji górnośląskiej Hansowi Lukaszkowi w Opolu (był to rejon, który miał być ewakuowany w wypadku wojny z Polską).

Przypomnijmy plany wojenne Polski opracowane w 1923 r., zwłaszcza te dotyczące operacji wojskowych w Prusach Wschodnich. Mimo upływu 10 lat Reichswehra ciągle dysponowała tymi samymi siłami - było to 7 dywizji piechoty, każda po 3 pułki piechoty i 1 pułku artylerii, oraz 3 dywizje kawalerii po 6 pułków konnych i 1 dywizjonie artylerii. Ponadto miała 1 pułk wartowniczy i 35 tys. skoszarowanych policjantów wyposażonych w broń maszynową oraz 150 samochodów pancernych. Przeciwko Polsce mogli Niemcy skierować nie więcej niż 6 dywizji, gdyż ich sytuacja była zbyt mglista, aby dowództwo Reichswehry zdecydowało się na ogołocenie z wojska i policji granic od strony Belgii, Czechosłowacji i Francji. Nawet gdyby udało się Rzeszy wzmocnić wojska regularne częścią formacji policyjnych i granicznych, to i tak nie skoncentrowano by przeciwko Polsce więcej niż 80-90 tys. ludzi. Dla jasności trzeba dodać, że w tych wyliczeniach nie uwzględniono niemieckich organizacji paramilitarnych, gdyż ich wartość bojowa była znikoma. Mogły one pełnić co najwyżej funkcje pomocnicze na odcinkach pozbawionych styku z wojskami regularnymi przeciwników Niemiec.

Polskie jednostki czynne, znajdujące się na etapie pokojowym, miały stany osobowe niższe od stanów dywizji Reichswehry. Przy założeniu, że Polska nie miałaby czasu - jako przedmiot agresji - na przeprowadzenie mobilizacji i mogłaby wprowadzić do działań jedynie te wojska, których garnizony znajdowały się w pobliżu granicy z Prusami Wschodnimi (14 dywizji piechoty i 8 brygad kawalerii), to i tak dysponowałyby około 80 tys. żołnierzy (w Prusach Wschodnich mogło być wówczas nie więcej niż 30 tys. niemieckiego wojska i policji). Do tego siły polskie mogły być natychmiast wzmocnione artylerią ciężką (ponad 300 dział, w tym moździerz 210 mm, zakupione w 1932 r. w Czechosłowacji, przydatne w burzeniu umocnień pruskich), większością sił pancernych (przede wszystkim 300 nowoczesnych czołgów rozpoznawczych TK) i lotnictwem (około 500 samolotów z

nowoczesnymi myśliwcami P-7). A zatem całość sił, którymi mógł natychmiast dysponować Piłsudski, sięgała 120 tys. żołnierzy, co stanowiło mniej niż połowę pokojowego stanu armii polskiej (około 290 tys. żołnierzy). Do wojsk regularnych należało jeszcze dodać 21 tys. żołnierzy KOP, ponad 5 tys. straży granicznej i 31 tys. funkcjonariuszy Policji Państwowej. Podobnie jak w wypadku Niemiec pominieliśmy członków formacji paramilitarnych - Przysposobienie Wojskowe, Związek Strzelecki, związki kombatanckie - liczących około 1,3 mln ludzi. I trzeba też dodać, że w przeciwieństwie do Niemców polskie dowództwo nie musiało obawiać się o bezpieczeństwo granic na wschodzie i południu. Można sądzić, że Polska dysponowała wystarczającymi siłami do opanowania Prus Wschodnich i działań defensywnych przeciwko ewentualnej agresji z terenów Rzeszy. Organ teoretyczny WKP(b) „Bolszewik” 21 VIII 1932 r. w artykule *Ekonomiczne i strategiczne znaczenie polskiego korytarza* ocenił: „Zajęcie Prus Wschodnich jest w pełni możliwe. Spojrzenie na mapę daje wyraźny obraz tego, że obszar Prus Wschodnich stanowi w istocie odizolowany, stosunkowo ograniczony obszar położony w zasięgu 150-200 km, licząc od polskiego punktu granicznego Mławy do morza (Królewca). W warunkach współczesnej wojny taki obszar można zlikwidować przy pomocy jednej operacji wojskowej trwającej 10-15 dni [podkr. autora artykułu]”. Dalej stwierdzano, że przez dwa, trzy miesiące Polacy będą przeważali wojskowo nad Niemcami, a to pozwoli „szybkim rzutem wysunąć się ku właściwym niemieckim obszarom na linię Odry, aby zapewnić sobie następnie możliwości ofensywy na Berlin”.

Realizacja takiego planu wymagała jednak spełnienia co najmniej dwóch warunków. Po pierwsze, stroną napadającą musiała być Rzesza. Po drugie, konflikt powinien trwać krótko i po wstępnych rozstrzygnięciach militarnych należało go zakończyć na płaszczyźnie politycznych rokowań. Zakładając bowiem nawet bardzo prawdopodobną ewentualność, że pierwsze klęski na froncie spowodowałyby obalenie Hitlera przez doświadczoną srodze opozycję, nie można było mieć pewności, że wraz z tym wojna wygaśnie. A do długotrwałych działań przy pełnej mobilizacji zasobów ludnościowych i materialnych Polska nie miała dość sił. Dlatego tak ważne było poparcie Francji i jej sojuszników, nawet gdyby ograniczyło się ono tylko do sfery politycznej.

Jakie były zamiary polskich władz? Poseł Moltke w raporcie z 29 kwietnia 1933 r. zajął się wyłącznie sprawą wojny prewencyjnej. Po przedstawieniu argumentów za i przeciw Moltke stwierdzał, że nikt nie jest w stanie określić, czego pragnie Piłsudski. „Znajdujący się obok niego kierownik polityki zagranicznej - wyjaśniał dalej - pułkownik Beck, ma tylko jeden cel: stabilizację obecnego stanu posiadania Polski. Jest on człowiekiem mocnych metod i nie zawaha się na pewno przed użyciem silnych środków, gdyby sądził, że nie potrafi osiągnąć swych celów w żaden inny sposób. Powstanie poznańskie i górnośląskie oraz zajęcie Wilna przez Żeligowskiego pokazują aż nazbyt jasno, z jakimi możliwościami należy się liczyć w tym kraju; wczorajsze zaś uroczystości w Wilnie i parada powstańców na Górnym Śląsku przypominają o tym na nowo”.

W konkluzji poseł niemiecki pisał, że odnosi wrażenie, iż rząd polski nie byłby „niezadowolony, gdyby prowokacje wywołały kontrakcję ze strony Niemiec”.

Generał Tadeusz Kutrzeba w tajnym *Studium nad możliwościami wojennymi Niemiec i Polski*, opracowanym na polecenie generalnego inspektora sił zbrojnych w 1936 r., stwierdzał: „Do 1935 r., kiedy pokojowa armia niemiecka nie przekraczała oficjalnie 100 000, Polska miała szansę narzucić Niemcom wojnę i zyskać zwycięstwo”. Jakże znamienne są te słowa - „narzucić wojnę”! Można oczywiście zastanawiać się, czy pogląd generała Kutrzeby nie był nazbyt optymistyczny. Zastanawiał się nad tym także generał, pisząc swoją pracę o bitwie nad Bzurą. I wówczas, już po przegranej we wrześniu 1939 r. uznał, że jednak miał rację. Podzielałam opinię tego wybitnego wojskowego.

Wydaje się, że taki sens miały te wszystkie posunięcia Piłsudskiego z marca i kwietnia 1933 r., w których widać było wyraźne drażnienie Niemców. W wyniku marcowego incydentu na Westerplatte w Gdańsku umocniła swe wpływy Deutsche Nationale - partia reprezentująca, ostry kurs antypolski. Czy rzeczywiście był to „niezamierzony” skutek „afery” na Westerplatte, jak uważa Marian Wojciechowski? Oczywiście, gdybyśmy założyli, że hitlerowcy reprezentowali kierunek ugodowy w stosunku do Polski, a Piłsudskiemu zależało jedynie na normalizacji, Wojciechowski miałby rację. Jeżeli jednak Marszałkowi potrzebni byli Niemcy wrogo nastawieni do Polski, to ten efekt incydentu na Westerplatte mógł być zamierzony.

Dodatkowymi faktami, zdającymi się potwierdzać ten tok rozumowania, były demonstracje antyniemieckie i koncentracja wojsk, o której tak obszernie pisał w swym raporcie poseł Girsa. Trudno przecież podejrzewać czeskiego dyplomata, że chciał już w 1933 r. tworzyć materiał historyczny dowodzący przenikliwości sanacyjnych polityków. Girsa wydaje się tu obiektywnym obserwatorem, gdyż Piłsudskiego i Becka nie znosił. „W marcu 1933 r. - czytamy w *Istorii Polszy* - Piłsudski poinformował rząd francuski o tym, że wojska polskie są gotowe wystąpić przeciwko Niemcom, jeżeli Francja wesprze Polskę w przypadku polsko-niemieckiego konfliktu wojennego. Po pewnym czasie rząd polski zaproponował wprost rządowi francuskiemu omówienie problemu wojny prewencyjnej, aby przeszkodzić zbrojeniom Niemiec i siłą zbrojną umocnić zachwiany system wersalski”.

Przy tej okazji warto jeszcze zacytować historyka wojskowości, generała Jerzego Kirchmayera. Wspominając o planach wojennych, opracowanych w 1923 r., pisał on: „Po powrocie Piłsudskiego do władzy stała się ona [sprawa planów - R. Sz.] znów aktualna, zwłaszcza w latach 1932-1933, kiedy to generał Romer przeprowadził kilka gier wojennych na ten temat, a sam Piłsudski przyjechał demonstracyjnie do Torunia, żeby dać tamtejszemu inspektorowi armii, generałowi dywizji Neugebauerowi, wskazówki dotyczące zamierzonego wykonania tej koncepcji w kierunku Warmii”.

Hitler był jednak wystarczająco przenikliwy, by dostrzec, co kryło się za tymi posunięciami Polski. Stąd brały się jego pojednawcze i pokojowe gesty pod adresem Warszawy. Musiał pamiętać słowa Becka, że Polska zachowa się tak samo jak Niemcy.

Ze względu na sytuację międzynarodową Piłsudski nie mógł rozpocząć działań wojennych, chociaż dysponował wystarczającymi siłami. Jako inicjator konfliktu Polska narażała się na utratę poparcia Francji, a Niemcy mogły łatwo kreować się na ofiarę nie sprowokowanej agresji. Berlin zyskałby dodatkowe argumenty na rzecz zbrojeń, a Polska zostałaby okrzyknięta państwem awanturniczym. Dlatego rząd polski przyjął niemieckie propozycje rozmów o normalizacji, dając do zrozumienia Francji, że powinna silniej wspierać wschodnią sojuszniczkę, jeśli nie chce jej stracić.

Druga szansa rozstrzygnięcia sprawy niemieckiej remilitaryzacji pojawiła się w październiku 1933 r. Wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów i ogłoszenie zamiaru odbudowy siły militarnej Rzeszy zaniepokoiło Piłsudskiego do tego stopnia, że mimo pokojowych ofert Hitlera Polska, jak się wydaje, powróciła do planów z początku roku i usiłowała montować wystąpienie polsko-francuskie godzące w zamiary Hitlera. Dowodziła tego chociażby wymiana między wywiadami informacji o stanie tajnych zbrojeń niemieckich, koncentracja kawalerii w rejonie Krakowa i wreszcie misja Morstina w Paryżu. Efekt tych wysiłków był taki sam jak w marcu. Piłsudski postanowił więc nie rezygnować z możliwości normalizacji stosunków z Niemcami i, odwracając w ten sposób uwagę Berlina od granic Polski, poczekać, aż Zachód „stwardnieje”.

Przedstawiony powyżej tok rozumowania zdaje się tłumaczyć, dlaczego nie natrafiono dotychczas na ślad składanych w Paryżu oficjalnych dokumentów z propozycjami wojny prewencyjnej, a także dlaczego nie można ustalić w miarę dokładnej daty polskiej inicjatywy - wiosna czy jesień. W gruncie rzeczy jednak precyzyjne ustalenie daty nie ma tak wielkiego

znaczenia: gdyby Francja wykazała zrozumienie dla polskich sugestii, wystarczyłoby, aby zadziałał polsko-francuski sojusz wojskowy. Gdyby zaś Niemcy napadły na Polskę, stany pokojowe Wojska Polskiego były wystarczające nie tylko do obrony, ale również do przeprowadzenia operacji zaczepnych co najmniej w Prusach Wschodnich. Pamiętajmy, że Hitler obawiał się wówczas Francji, a Polska była czasowo w dobrych stosunkach z ZSSR. „Najbardziej niebezpieczny jest czas odbudowy Wehrmachtu - tłumaczył Hitler generałom na początku 1933 r. - Tu okaże się, czy Francja posiada mężów stanu; jeśli tak, to nie pozostawi nam czasu, lecz napadnie na nas przypuszczalnie ze swoimi wschodnimi satelitami”.

Natomiast mało prawdopodobna wydaje się hipoteza, że polskie sugestie były tylko elementem nieszczerej gry wobec Francji, aby uzyskać alibi dla porozumienia z Hitlerem. Nikt bowiem nie mógł stwierdzić z całą pewnością, że Francja odrzuci polską inicjatywę. Cóż by się stało, gdyby Francja podjęła propozycję Warszawy? Nie można też wierzyć twierdzeniom, jakoby Piłsudski straszył Niemców, nie dysponując siłami koniecznymi do rozegrania konfliktu na swoją korzyść. Jest to więcej niż wątpliwe. Berlin orientował się doskonale, jakimi siłami dysponowali Polacy. A gdyby Hitler napadł na Polskę? Czy wówczas Piłsudski gotów był skapitulować? Wreszcie, skoro hitlerowcy w opinii Piłsudskiego -jak zapewniają zwolennicy tej hipotezy - byli ugrupowaniem skłonny do porozumienia z Polską, to po cóż ich straszono? Normalizację można było uzyskać bez pobrzękiwania szabelką i przeprowadzania kosztownych koncentracji wojsk.

Wątpliwości wyjaśnia artykuł zamieszczony w „Berliner Tageblatt” 12 marca 1936 r. Pisano w nim, że podstawą „wielkomocarstwowej polityki polskiego państwa”, podjętej w latach 1932-1933, była dobrze uzbrojona i gotowa do akcji armia, licząca 266 tys. żołnierzy, podczas gdy ówczesne Niemcy posiadały tylko stutysięczną armię, której brakowało ponadto nowoczesnych środków walki. „Stosunek sił odwrócił się i z korzystnego położenia Polski w 1932 r. pozostało jeszcze tylko wspomnienie” - konstatowała z ulgą niemiecka gazeta. Na to jednak trzeba było kilku lat intensywnych zbrojeń niemieckich. Należy o tym pamiętać przy rozważaniu problemu wojny prewencyjnej w 1933 roku.

## **Rozdział IV**

### **POLITYKA RÓWNOWAGI**

#### **1. Deklaracja**

Wydarzenia 1933 r. zdawały się potwierdzać tak powszechne wówczas w Europie przekonanie o rychłej wojnie polsko-niemieckiej. I oto w styczniu 1934 r. europejska opinia publiczna obserwowała ze zdumieniem, jak dwaj śmiertelni wrogowie podpisują dokument stanowiący przekreślenie całej dotychczasowej rewizjonistycznej polityki Niemiec. Jeszcze zanim minister Konstantin von Neurath i poseł Józef Lipski złożyli podpisy pod „Deklaracją o niestosowaniu przemocy”, kanclerz Hitler mówił (12 I 1934) na posiedzeniu Reichstagu: „Polska i Niemcy powinny pogodzić się z faktem wzajemnej egzystencji. Dlatego rozsądniej jest uregulować stan spraw, którego ostatnie tysiąc lat nie zdołało uregulować i którego następne tysiąc lat nie zdoła uregulować również tak, aby narody wyniosły z tego faktu największe korzyści”.

20 lutego, a zatem już po podpisaniu deklaracji, minister Beck w swym wystąpieniu sejmowym mówił o „radykalnym zwrocie w stosunkach z zachodnim sąsiadem”. Zdaniem mówcy Hitler był pierwszym politykiem niemieckim, który dostrzegł możliwość pokojowego



ułożenia stosunków z Polską. W rezultacie „powstał nowy dokument pokoju [...] znaczeniem swym przerastający zwykle stosunki sąsiedzkie”.

Ratyfikowany w lutym 1934 r. tekst deklaracji we wstępie określał, że nastąpił odpowiedni moment do zmiany dotychczasowej polityki. Rzeczpospolita i Rzesza uznawały, że nastąpi to przez „bezpośrednie porozumienie się”. Jako podstawę porozumienia wskazywano na pakt Brianda-Kellogga z 1928 r., który zakazywał wojny jako środka w rozwiązywaniu konfliktów międzynarodowych. Obie strony stwierdzały, że ich dotychczasowe zobowiązania nie stały na przeszkodzie takiemu rozwojowi wzajemnych stosunków. Ponadto stwierdzono, że „niniejsza deklaracja nie dotyczy takich zagadnień, które zgodnie z prawem międzynarodowym należy uznać za należące wyłącznie do spraw wewnętrznych jednego z państw”. Dotychczasowe zobowiązania to w wypadku Polski między innymi jej sojusz wojskowy z Francją i Rumunią. „Sprawy wewnętrzne” dotyczyły drażliwych dla Polski i Niemiec kwestii mniejszości narodowych. Uznawano za celowe „porozumiewać się bezpośrednio we wszelkiego rodzaju zagadnieniach, dotyczących [...] wzajemnych stosunków”. Za jedyną drogę rozwiązywania sporów uznano bezpośrednie rokowania. „W żadnym jednak wypadku - mówiła deklaracja - nie będą się one [Polska i Niemcy - R.Sz.] uciekały do stosowania przemocy w celu załatwienia tego rodzaju spraw spornych”. W dalszych częściach dokumentu strony dały wyraz przekonaniu, że będą dążyły do rozwiązań opartych na „sprawiedliwym i słusznym wyrównaniu obustronnych interesów”. Spodziewano się owocnego rozwoju stosunków, które miały doprowadzić do „ugruntowania dobrosąsiedzkiego pożycia”. Wyrażono przekonanie, że deklaracja będzie miała pozytywne znaczenie dla innych państw europejskich. Okres obowiązywania deklaracji ustalono na dziesięć lat, czyli do 1944 roku.

Trafny wydaje się pogląd badacza stosunków narodowościowych na Opolszczyźnie, Karola Joncy, który uznał, że nazwa „deklaracja” była zbyt skromna w porównaniu z merytoryczną wagą dokumentu. Miała ona niewątpliwie „walor układu o nieagresji” i „spowodowała skutki rzutujące na wspólne działania Polski i Niemiec oraz na położenie mniejszości”.

Obie strony wyciągały realne korzyści z normalizacji stosunków, mimo to wydają się przesadzone opinie tych, którzy dopatrywali się w deklaracji oznak zbliżenia czy nawet daleko idącej współpracy antysowieckiej, co starał się kiedyś udowodnić Karol Lapter w książce o fałszywym tytule *Pakt Piłsudski-Hitler*.

Granice Drugiej Rzeczypospolitej krystalizowały się w warunkach konfliktowych, linia graniczna Polski międzywojennej była kwestionowana ciągle przez jej sąsiadów. Nawet sojusznicza Rumunia zgłaszała w pewnym okresie tego typu pretensje pod adresem Polski. Najbardziej atakowana była granica polsko-niemiecka. Normalizacja na tym odcinku była Polsce szczególnie potrzebna, zważywszy na sytuację polityczną i gospodarczą Rzeczypospolitej w Europie. Nowy kanclerz Niemiec zamierzał osiągnąć znacznie więcej niż restaurowanie granic z 1914 r. Nie widział więc powodu, by spierać się teraz o Pomorze czy Śląsk, skoro w przyszłości chciał opanować cały kontynent, a obecnie utwierdzał się w zamiarze pchnięcia Polski na Związek Sowiecki.

To prawda, że po opuszczeniu Ligi Narodów Niemcom potrzebne były pokojowe gesty, ale nie należy z tego powodu przeceniać znaczenia dokumentu z 1934 r. dla Hitlera. Można przypuszczać, że führer mógł osiągnąć równouprawnienie w zbrojeniach i rewizję granic z Polską kontynuując sprawdzoną już linię polityki niemieckiej sprzed 1933 r. Różnica w potencjałach państwowych była wielka i powiększała się nadal. W Europie działało zbyt wielu tzw. realistów, aby z powodu Ligi długo potępiano Berlin. Wroga Niemcom Polska po 1934 r. byłaby prawdopodobnie równie samotna jak w 1925 (Locarno) czy w 1932 roku.

Zarzucanie władzom polskim, że normalizacja stosunków w Rzeszę spowodowała osłabienie sojuszu z Francją, wydaje się niesłuszne, jeśli weźmie się pod uwagę rzeczywiste zamiary polityczne przywódców III Republiki. Istnieje sporo dowodów, że to Francuzi wielokrotnie usiłowali nakłonić Polskę do osłabienia sojuszu i że sąsiedzi Rzeszy często nie mieli nic przeciwko zmianie granic między Niemcami a Polską. Zresztą sama Francja utrzymywała jak najlepsze stosunki z Rzeszą, gdy tymczasem sojusznicza Rzeczpospolita była nieomal na krawędzi konfliktu zbrojnego z Niemcami. Mimo to nie słyszy się jakoś, aby czyniono z tego powodu Francji zarzut osłabienia sojuszu z Polską. Miał dużo racji kontrowersyjny w swych wypowiedziach Stanisław Cat-Mackiewicz, kiedy podkreślał znaczenie deklaracji z 1934 r. dla wyzwolenia się politycznego Polski spod kurateli francuskiej.

Reakcja w poszczególnych stolicach europejskich na wiadomość o deklaracji zależała między innymi od tego, jak daleko od granic niemieckich znajdowało się dane państwo.

W Londynie i w Moskwie wstrzeźliwie oceniono wagę układu. Brytyjczycy uważali, że są zwolnieni od konieczności wnikania się w pogmatwane sprawy Europy Środkowej i Wschodniej. Londyn próbował nawet nakłonić Warszawę do wywarcia nacisku na Berlin w sprawie powrotu Rzeszy do Ligi Narodów. Jednocześnie w Wielkiej Brytanii poczęto zdawać sobie sprawę, że Polska jest jednak czynnikiem politycznie samodzielnym, a Francja nie ma mandatu na reprezentowanie interesów Rzeczypospolitej na Zachodzie.

Związek Sowiecki, uspokojony dobrymi stosunkami z Polską i zapowiedzianą na luty wizytą Becka w Moskwie, nie miał istotniejszych powodów do potępienia Warszawy. Wprawdzie w prasie sowieckiej pojawiły się wątpliwości, czy za uznanie granic polskich Niemcy nie spodziewają się jakichś rekompensat, ale jednocześnie organ teoretyczny WKP(b) „Bolszewik” przewidywał szybkie załamanie się reżimu hitlerowskiego. Stąd znaczenie deklaracji z 26 stycznia wydawało się niewielkie.

Zaniepokojenie przejawiały natomiast czynniki oficjalne Pragi i Wiednia. Minister Beneš, zapominając o rozmowach, w których uznawał konieczność rewizji granicy polsko-niemieckiej, zarzucał Polakom załamanie jednolitego (?) frontu antyniemieckiego, a kanclerz Austrii w rozmowie z posłem polskim stwierdził, że normalizacja stosunków polsko-niemieckich „zabiera Austrii ostatnią deskę ratunku”. Nawet Włochy, mimo rosnącej tam sympatii do hitleryzmu, oceniały krok Polski ujemnie. „Włosi nie byli zainteresowani likwidacją napięcia na granicy polsko-niemieckiej - pisał w swej pracy o stosunkach polsko-włoskich Stanisław Sierpowski. - obawiali się, że Niemcy, mające zapewniony pokój na wschodzie, całą swą uwagę skoncentrują na Anschlussie”. Niemniej jednak dzięki deklaracji, jak stwierdził Jerzy Krasuski, znaczenie Polski poważnie wzrosło, gdyż stała się czynnikiem niezawisłym, o którego względy zabiegały Niemcy, Francja, a nawet Związek Radziecki”.

Polityka Hitlera w stosunku do Polski zaskoczyła opinię niemiecką, nauczoną, że w stosunkach ze wschodnim sąsiadem jedyną polityką powinna być wojna. Nastroje te jednak nie mogły ujawnić się w pełni, gdyż hitlerowcy kontrolowali całość życia państwowego. W krótkim czasie zreorganizowali lub wręcz rozwiązali wiele związków rewizjonistycznych, prowadzących wrogą wobec Polski działalność. W wyniku procesu „ujednolicania” jeszcze w maju 1933 r. powołano w Niemczech Bund Deutscher Osten, w którym wszelkie poczynania na Wschodzie poddano nazistowskiej kontroli. Nawet osławiona Hakata została rozwiązana decyzją berlińskiego Gestapo. W piśmie podpisanym przez Heinricha Himmlera zdezorientowane władze Hakaty przeczytały, że „związek jest reprezentantem ostrego kursu antypolskiego i jako taki zagraża porozumieniu polsko-niemieckiemu”, a więc zostaje rozwiązany.

Oczywiście byli i tacy, którzy natychmiast wyczuli nową koniunkturę. Jednym z „gorących zwolenników” porozumienia z Polską okazał się Oertzen. „Polska Zachodnia” w ten sposób pisała o owej metamorfozie: „Z chwilą dojścia do władzy reżimu hitlerowskiego i

zmiany ustosunkowania się reżimu do Polski zaszła w metodach pracy Oertzena przedziwna ewolucja. Już w nowym charakterze zadebiutował Oertzen w minionym roku książką poświęconą Marszałkowi Piłsudskiemu, by ostatnio wydać nową rzecz, pełną niskich ukłonów w stronę Polski, tej Polski, którą jeszcze dwa lata temu tak zożydzał. Książka jest poświęcona apoteozie polskiej myśli narodowej i nosi tytuł *Alles oder nichts. Polens Freiheitskampf*”.

Najbardziej zaskoczone zmianami były organizacje niemieckiej mniejszości w Polsce. Według Karola Gostyńskiego można je było dzielić na cztery nurty - niemieckonarodowy, do którego publicysta „Spraw Narodowościowych” zaliczał Deutsche Vereinigung, Deutscher Volksbund i Deutscher Volksverband, socjalistyczny, reprezentowany przez Deutsche Sozialistische Arbeitspartei, narodowosocjalistyczny, organizowany przez Jungdeutsche Partei, wreszcie ugodowców w rodzaju Deutscher Kultur- und Wirtschaftsband - ale w gruncie rzeczy podział ten nie miał większego znaczenia. Zdecydowaną większość organizacji niemieckich łączyła bowiem niechęć, jeżeli nie nienawiść, do państwa, w którym przyszło im działać. „Rządy pomajowe [Piłsudskiego - R.Sz.] - mówił niemiecki poseł Bernhard Jankowski - zmierzają stale w tym kierunku, by uciskać lud niemiecki na Pomorzu, w Poznańskim, na Śląsku, w Łodzi, na Wołyniu i w Galicji za pomocą mniej lub bardziej gwałtownych środków”. W wypadku niemieckich socjaldemokratów niechęć do państwa polskiego była umacniana autorytarnymi rządami sanacji.

Mimo to jednak posłuszeństwo wobec decyzji, które rząd w Berlinie uznał za słuszne, zwyciężyło.

Jeden z przywódców Deutsche Partei, dr Krull, na wiecu w Królewskiej Hucie (dawna nazwa Chorzowa) mówił: „Przez pakt dwaj wielcy mężowie, Adolf Hitler i Marszałek Piłsudski, stworzyli możliwość, mimo niezaprzeczalnych różnic, załatwienia wzajemnych zagadnień tylko na drodze życzliwych, bezpośrednich rokowań i w ten sposób uniknęły ciężkiego konfliktu, co dla całej Europy będzie błogosławieństwem”. Mówca nie omieszczał przy tym wtrącić, że deklaracja powinna wpłynąć na uspokojenie prasy polskiej, „szkalującej” niemiecką mniejszość w Polsce.

Delegacja kolonistów pochodzenia niemieckiego z województwa lwowskiego zapewniała tamtejszego wojewodę, że ich postawa będzie się wyrażała „w zupełnej lojalności względem ojczyzny polskiej i w szczerzej chęci współpracy z czynnikami państwowotwórczymi oraz społeczeństwem Polski dla dobra i chwały naszego państwa”. W tym czasie jeden z przywódców niemieckich w Poznańskim, Erik von Witzleben, w *Odezwie do wszystkich, którzy są dobrej woli* twierdził, że „pakt 10-letni między Polską a państwem niemieckim powitany został przez wszystkich [Niemców - R.Sz.] szczerze”.

Prasa wydawana przez Związek Zachodni z niesmakiem pisała o natrętnym akcentowaniu lojalności Niemców wobec Polski. „W swej akcji na terenie województwa poznańskiego Jugenddeutsche Partei posługuje się taktyką krzykliwego manifestowania swej lojalności w stosunku do Państwa Polskiego, jadąc na koniku polsko-niemieckiego paktu. [...] Należy pamiętać - czytamy w „Gazecie Zachodniej” - że u fundamentów Jugenddeutsche Partei leży zasada, że partia jest ideowo związana z ruchem Adolfa Hitlera w Niemczech, a manifestowanie lojalności w stosunku do państwa polskiego wypływa z nakazów zewnętrznych, podyktowanych względami polityki Rzeszy”.

Najbardziej syntetyczną wykładnię stanowiska niemieckiej mniejszości narodowej wobec Polski po podpisaniu deklaracji (odpowiadającą temu, co pisała „Gazeta Zachodnia”) przedstawił poseł Kurt Graebe: „Jest wolą Adolfa Hitlera, abyśmy państwu, które nam daje schronienie, dochowali wierności i sprawiedliwości, pozostając poza tym jako głęboko niemiecki, zjednoczony lud”. A więc należało czekać, aż wola Hitlera zwolni od przykrego obowiązku wierności wobec państwa, które „dawało schronienie”. Nienawidzące Polski koła

militarystyczne i szowinistyczne nabrały wody w usta i formalnie podporządkowały się zaskakującym posunięciom kanclerza.

Polska opinia publiczna z ulgą przyjęła normalizację stosunków polsko-niemieckich, które były dotąd jednym z najpoważniejszych problemów Rzeczypospolitej. Berliński korespondent „Gazety Zachodniej” pisał, że „nadzieja tych, co marzyli o zaprzęgnięciu mas narodowosocjalistycznych do swej politycznej fortuny, rozwiały się chyba bezpowrotnie”. Kazimierz Smogorzewski miał na myśli tych wszystkich w Rzeszy, którzy spodziewali się, że po objęciu władzy przez Hitlera wybuchnie wojna z Polską. Publicysta, dostrzegając totalitarny charakter władzy hitlerowskiej, był przekonany, że uniemożliwi ona nawrót do polityki Rapallo. Zwłaszcza że „Hitler nie wybrał kierunku ekspansji na Polskę”.

Ciekawą interpretację antagonizmu polsko-niemieckiego przedstawił na łamach „Drogi” inny publicysta, Jaromir Ochęduszek. Twierdził on, że źródła konfliktu z Niemcami tkwiły w sprzeczności interesów Polski i Prus. Oznaczało to, że Polacy w zasadzie mieli o co się kłócić jedynie z częścią Niemiec. Dopóki jednak o kierunku polityki zagranicznej decydowali Prusacy, dopóty Polsce zagrażały całe Niemcy. Ale w miarę jak Prusacy tracą swe wpływy, pokojowe ułożenie stosunków polsko-niemieckich będzie możliwe. Chcąc - zdaniem Ochęduszki - odpowiedzieć na pytanie, co niesie hitleryzm, należy zbadać, jaki jest stosunek Hitlera do roli Prus. Jeżeli w Niemczech „południe” zdominuje „północ”, wówczas Polska będzie mogła patrzeć spokojnie na przyszłość stosunków z Niemcami. Deklaracja o nieagresji dała Polsce tę korzyść - zdaniem autora - że Niemcy nauczyły się „patrzeć na Polskę jak na równouprawnionego partnera”. Publicystyka polska powinna uświadamiać opinię publiczną o „dwojakim charakterze” problemu polsko-niemieckiego, zwłaszcza że skład personalny kierownictwa NSDAP (brak Prusaków) i nawoływanie do Anschlussu świadczyły, iż w Niemczech biorą górę tendencje sprzyjające Polakom.

W końcu 1934 roku „Front Zachodni” - pismo wydawane przez Związek Zachodni, organizację zainteresowaną stanem polskiego posiadania na kresach zachodnich - zamieścił na pierwszej stronie artykuł bilansujący polską politykę wobec Niemiec. Oceniono - bardzo ostrożnie - że jeszcze za wcześnie na stwierdzenie dodatnich czy ujemnych następstw normalizacji stosunków z Rzeszą. „Z polskiego punktu widzenia znaczenie tej deklaracji polega przede wszystkim na tym, że kładzie ona przynajmniej na pewien czas kres złośliwej legendzie, że pogranicze polsko-niemieckie jest rzekomo najdrażliwszym i najmniej pewnym punktem stabilizacji stosunków europejskich”.

W artykule, po wyliczeniu antypolskich posunięć wobec Polaków zamieszkujących Niemcy, stwierdzono znaczne polepszenie „rzecowego” położenia ludności polskiej, jednakże słusznie konstатовano „daleko idące pogorszenie prawnej pozycji Polaków”. Wyrażano zaniepokojenie intensywną mobilizacją sił niemieckich, wzrostem produkcji zbrojeniowej i jawnym łamaniem postanowień zabraniających Rzeszy rozbudowy armii. W konkluzji wyrażono następującą opinię: „[...] pomimo poważnych rezultatów osiągniętych przez polityków polskich lat ostatnich na polu zabezpieczenia pokoju i spokoju na wszystkich odcinkach naszych granic państwowych, musimy wchodzić w progi nowego 1935 roku z tą samą zdrową tendencją do utrzymania wszystkich czynników polskiej siły i energii w stopniu nie zmniejszonym, z jaką wchodziliśmy w progi roku 1934 i jego poprzedników”.

Publicystyka Narodowej Demokracji przyjęła deklarację dość wstrzemięźliwie. Z jednej strony tradycyjne nastawienie antyniemieckie niezbyt łatwo godziło się z nową sytuacją, którą interpretowano jako odnowienie się „germanofilstwa” piłsudczyków i osłabienie sojuszu z Francją, z drugiej strony sympatycy niemieckiej „rewolucji narodowej” wyrażali przekonanie, że hitleryzm będzie oznaczał poprawę położenia Polski. Dmowski pisał: „[...] pruska polityka wschodnia, rozbiory Polski, organizacja Niemczyzny w zabranych prowincjach i intrygowanie w innych dzielnicach polskich, próby zagarnięcia nowych ziem podczas wojny światowej i pozyskanie dla tego celu Polaków, wreszcie mącenie w

odbudowanym państwie polskim - wszystko to było i jest oparte na robocie łóż masońskich”. Tymczasem „program organizacji narodu na zewnątrz nakazuje Hitlerowi walkę z masonerią”. To, zdaniem Dmowskiego, uśmiercało dotychczasową politykę niemiecką wrogą Polsce.

Znamiennym i niepokojącym, chociaż marginesowym zjawiskiem było powstanie kilku polskich quasi-partii, identyfikujących się już nie tyle z faszyzmem włoskim, ile wprost z narodowym socjalizmem (Partia Narodowych Socjalistów i Związek Młodzieży Narodowosocjalistycznej w Warszawie, Polska Partia Narodowosocjalistyczna w Krakowie i kilka innych). Na szczęście zwolenników wyciągania tak daleko idących konsekwencji ze zwycięstwa „rewolucji narodowej” w Rzeszy nie miała Polska zbyt wielu.

Niezwykle ostra i niekiedy słuszna była krytyka deklaracji przeprowadzona przez PPS. Zarówno Mieczysław Niedziałkowski, jak i Kazimierz Czapiński wskazywali na słabe strony normalizacji stosunków z Niemcami. Po pierwsze niesła ona, twierdzili, osłabienie sojuszu z Francją, następnie wzmocnienie opinii o pacyfizmie Hitlera, ułatwienie mu polityki i oddanie Niemcom wpływów w Gdańsku, wreszcie mogła wywołać niekorzystne „[...] refleksje w Moskwie nad tą polityką polską”. „Muszę przy tym zauważyć - stwierdził Czapiński - że wzmocnienie i pogłębienie przyjaznych stosunków z Rosją Sowiecką uważam za bardzo cenne”.

„Pamiętajmy o tym - pisał z Paryża Herman Lieberman - że Niemcy dzisiejsze nie są ani demokracją, ani »socjalizmem«. Są armią, obozem wojennym, w którym dniem i nocą kipi od gorączkowych przygotowań wojennych. Obozem żadnym łupu i zdobyczy”.

Katolickie kręgi opinii publicznej wyrażały swe poglądy na normalizację w sposób podobny do większości polskiego społeczeństwa. Za reprezentatywny dla tych opinii może być uważany artykuł Henryka Dembińskiego *Nowa faza w stosunkach polsko-niemieckich* zamieszczony w „Przeglądzie Powszechnym”. Konflikt z Niemcami sięga „zamierzonego średniowiecza” - pisał autor. Traktat wersalski zrealizował tylko część postulatów polskich nad Bałtykiem, a mimo to Niemcy uważają się za skrzywdzone. Hasła rewizjonistyczne są chyba jedynymi, które łączą Niemców różnych orientacji politycznych. Dembiński sądził, że Polska nie będzie bezpośrednio zagrożona niemiecką ekspansją, gdyż Hitler w *Mein Kampf* mówił tylko o Rosji jako terenie *Lebensraum*, przypomniał też, że jedynie Polacy zastosowali „zdecydowaną” politykę wobec Hitlera w 1933 r. Podpisanie deklaracji było - zdaniem Dembińskiego - wymuszone przez Polskę na Niemcach. Mimo to autor zdawał sobie sprawę z ograniczonych możliwości polskich, skoro stwierdzał: „Wobec stanowiska Polski, żadnej zawsze pokoju, ale pod pewnym względem nieustępliwej, wobec warunków, które zapewniają Hitlerowi długi okres dyktatorskiej władzy, dalsze skutki deklaracji będą więc prawie wyłącznie zależeć od jego stosunku do polskiego problemu”.

Dembiński, podobnie jak większość publicystów (i nie tylko publicystów), żywił nadzieję, że Niemcy dotrzymają warunków podpisanego porozumienia, które zapewni Polsce dziesięć lat cennego pokoju. W ciągu dziesięciolecia miały się wyjaśnić sprzeczności między Polską a Niemcami. W rzeczywistości okres pokoju trwał jedynie pięć lat.

## **2. Polska w planach Hitlera**

Często i to nie tylko w naszym kraju zastanawiano się, jakie były rzeczywiste zamiary Hitlera w stosunku do Polski. Powszechne właściwie przekonanie, że normalizacja stosunków w 1934 r. była jedynie zręcznym manewrem „wodza” III Rzeszy, nie znajduje jednak pełnego potwierdzenia w faktach. Oczywiście dziś może wydawać się to mało prawdopodobne; pamiętamy przecież „wrzesień” i okupację hitlerowską i tym się sugerując

wyciągamy wniosek, że jedynym planem Hitlera była wojna z Polską. Nie powinniśmy wszelako ulegać sugestii późniejszych wydarzeń. Pamiętajmy, że przed wybuchem II wojny światowej, a nawet w pierwszym jej okresie, kiedy było wiadomo, że Niemcy są agresorem, wcale liczna grupa państw utrzymywała niezwykle poprawne stosunki z III Rzeszą. Wszak nie tylko Włochy i Japonia, ale również Finlandia, Hiszpania, Słowacja, Węgry, Rumunia i Bułgaria zaliczały się do grona sojuszników Hitlera. Nawet ZSSR zabiegał o zawarcie paktu nieagresji z Niemcami i podpisał ten układ w sierpniu 1939 r. W tej perspektywie Polska wcale nie musiała się jawić Hitlerowi jako wróg *a priori*. Sanacyjna Polska nie miała zbyt wielkiego szacunku dla parlamentaryzmu, stosunki z Francją nie układały się najlepiej, a o szerszej współpracy z ZSSR trudno było myśleć. Oczywiście równie wielkie były sprzeczności polsko-niemieckie, ale pretensje terytorialne miały Niemcy nie tylko na Wschodzie.

To samo terytorium przez Włochów nazywane było Górną Adygą, a przez Niemców Południowym Tyrolem, mimo to już w 1920 roku przyszły kanclerz III Rzeszy mówił: „Niemcy muszą iść ręką w rękę z Włochami, które przeżywają narodowe odrodzenie i wielką mają przed sobą przyszłość. Do tego potrzebne jest wyraźne i wiążące wyrzeczenie się przez Niemców ziomków z Południowego Tyrolu. Gadania o Południowym Tyrolu i puste frazesy [...] tylko nam szkodzą, odtrącają od nas Włochów. W polityce nie ma sentymentów”.

Pozostaje jedynie pytanie, czy Polska mogła wydawać się równie cennym partnerem politycznym jak Włochy? Czy jej postawa mogła wpłynąć na powodzenie zamiarów Hitlera?

W połowie lat trzydziestych pozycja Polski była stosunkowo mocna. Polska i Włochy miały wówczas równej wielkości armie lądowe. W Polsce na stopie pokojowej było 30 dywizji piechoty i 12 brygad kawalerii, we Włoszech 34 dywizje piechoty i 3 dywizje kawalerii. Wojsko Polskie cieszyło się opinią armii walecznej i dobrze uzbrojonej. Zwycięstwo w 1920 r., a zwłaszcza sierpniowa bitwa pod Warszawą, wywarło ogromne wrażenie na Zachodzie. To o tej bitwie pisał angielski dyplomata lord Edgar d'Abernon jako o „osiemnastej decydującej bitwie w dziejach świata”. Dziś jeszcze brytyjski historyk wojskowości John Fuller umieszcza warszawską bitwę z 1920 r. w swojej historii sztuki wojennej. Na temat waleczności armii włoskiej można było usłyszeć znacznie mniej. Wszak znane było w Europie powiedzonko, że Pan Bóg po to stworzył Austriaków, aby i Włosi mieli kogo zwyciężać.

Terytorium państwowe Rzeczypospolitej liczyło 388 tys. km<sup>2</sup>, Włoch - 310 tys. km<sup>2</sup>. Ludność Włoch liczyła w połowie lat trzydziestych 42 mln, Polski - 33,5 mln. Przemysł włoski górował nad polskim w produkcji surówki żelaza (0,5 mln ton - 0,3 mln ton) i stali (1,7 mln ton - 0,8 mln ton), ale Polska przewyższała Włochy w produkcji cukru, żyta, ziemniaków, cynku (63 tys. ton - 23 tys. ton), wydobywaniu węgla i ropy naftowej.

Coraz częściej mówiono o Polsce jako o mocarstwie, i to nie tylko w państwach słabszych od niej. Dla jasności wyводу należy dodać, że w okresie międzywojennym termin „mocarstwo” używany był w innym znaczeniu niż dziś. Mocarstwem nazywano państwo niezależne, kierujące się w polityce zagranicznej suwerennymi decyzjami swego rządu. Była to więc nazwa państwa w języku dyplomatycznym, państwa - podmiotu stosunków międzynarodowych. Dlatego w Niemczech używano pojęcia *Staat i Macht*, we Francji - *etat i puissance*, we Włoszech - *stato i potenza*, w Anglii - *state i power*, a w Polsce „państwo” i „mocarstwo”. W tym sensie niezależność polskiej polityki od Paryża, uznawanego uprzednio za protektora Warszawy, upoważniała do nazwania polityki polskiej mocarstwową, a Polski - mocarstwem.

Współczesnego znaczenia (mocarstwo = wielkie państwo) pojęcie to nabrało dopiero w czasie II wojny światowej. Jeszcze przed jej wybuchem dla określenia państw prowadzących politykę globalną używano nazwy wielkie mocarstwo. Wynika z tego, że były też inne mocarstwa, mniejsze. Gdybyśmy chcieli określić ówczesną mocarstwowość Polski według

dzisiejszych kryteriów, to na pewno nie zasługiwała ona na takie miano. Można by jedynie zastanowić się, czy nie miała pozycji określanej obecnie mianem mocarstwa regionalnego. Postawa Polski decydowała przecież o pozycji i roli wielu państw regionu, w którym Rzeczpospolita posiadała własne interesy. Polska przyjazna Rzeszy hitlerowskiej oznaczała nie tylko ogromne ułatwienie ataku na ZSSR, ale również minimalizowanie zagrożenia Niemiec wynikającego z sojuszu polsko-francuskiego.

Zasadniczym celem polityki Hitlera było takie wykorzystanie sprzeczności wśród państw europejskich, aby unicestwić traktat wersalski i zbudować wielkie państwo niemieckie, państwo, będące w stanie podporządkować sobie całą Europę. Hitler, w przeciwieństwie do Bismarcka, zamierzał zjednoczyć wszystkie narody germańskie w jednym państwie, które określał „Gross Deutschland”. Bismarck - jak wiadomo - dążył do zjednoczenia Niemców pod hegemonią Prus, ale bez Austriaków, mogących tę hegemonię osłabić. Dlatego koncepcję „żelaznego kanclerza” nazwano „Klein Deutschland”.

Przywódcą. NSDAP zdawał sobie sprawę, że jego polityka zagraniczna może doprowadzić do wojny na dwa fronty, którą uważał za bezpośredni powód niemieckiej klęski w I wojnie światowej. Dlatego postanowił szukać sojuszników wśród państw niezadowolonych z rezultatów pokoju wersalskiego. Takim państwem były niewątpliwie Włochy. Również Anglia zdawała się z niechęcią spoglądać na francuską hegemonię na kontynencie. A Francja była w mniemaniu Hitlera głównym konkurentem Niemiec od strony zachodniej, konkurentem, uniemożliwiającym wzrost potęgi niemieckiej. Tradycyjny sojusznik Rosji nie pozostałby bezczynny, gdyby Rzesza ruszyła na Wschód - tak sądził führer. „Francja jest i pozostanie nieubłagany wrogiem narodu niemieckiego” - napisał w *Mein Kampf*.

Zniszczenie Francji przy poparciu Włoch i neutralnym stanowisku Anglii wydawało się Hitlerowi planem realnym, gdyby nie sojusznicy Francji na Wschodzie. Wojska Czechosłowacji i Polski, zwłaszcza tej ostatniej, mogły zaatakować Niemcy w wypadku agresji Rzeszy na III Republikę. I nawet gdyby udało się rozbić Polaków i Czechów, zakładając, że Francja nie zdobyłaby się na ofensywę w obronie sojuszników, to i tak groźba wojny na dwa fronty pozostawała. W miejsce wyeliminowanej Polski wchodził bowiem ZSSR, partner o ileż cenniejszy dla Francji niż Polska czy Czechosłowacja. Znacznie łatwiej byłoby - rozumował Hitler - gdyby Polska oparła się na Rzeszy. ZSSR nie mógłby zagrozić Niemcom, Francja straciłaby sojusznika, a Czechosłowacja zostałaby całkowicie sparaliżowana.

Sprawy te uświadomił sobie Hitler w momencie, gdy zobaczył, że Polska jest nie tylko groźna, ale również daleka od niewolniczego wypełniania dyrektyw politycznych Paryża. „Czy Polska pozostanie neutralna, jeśli stanę się aktywny na Zachodzie?” - zapytał Rauschninga, gdy ten ostatni referował treść rozmów prowadzonych w czasie styczniowej (1934 r.) wizyty w Warszawie. Ciągnąc dalej ten wątek führer stwierdzał, że „swoją politykę na Wschodzie” woli prowadzić z Polską niż przeciw niej. „Dam Polsce szansę” - powiedział „wspaniałomyślnie”. Kontynuując swoje wywody kanclerz Rzeszy twierdził, że Niemcy powinni wspólnie z Polakami zaatakować ZSSR. Oczywiście nie oznacza to, że powstanie nowe mocarstwo polskie, ale Niemcy powinni pamiętać - mówił Hitler - że dzielenie Polski kosztowałoby zbyt wiele. Dlatego Polska miała dopiero w dalekiej przyszłości dobrowolnie wyrzec się części swego terytorium w zamian za zdobycze nad Dnieprem. W ten sposób Niemcy, Austria, Czechy, Morawy i zachodnie ziemie Polski stanowiłyby „niezniszczalny stumilionowy blok, bez rysy obcych narodów”. Natomiast przesunięta na wschód Polska, Węgry, państwa nadbałtyckie i bałkańskie, Ukraina, „Wolgaland” i Gruzja stałyby się federacją narodów podporządkowanych Niemcom wojskowo, politycznie i gospodarczo. Byłaby to „wspólnota narodowosocjalistyczna” pod hegemonią Niemiec. Blok polityczny decydujący o losach świata.

Należy się zastanowić, czy słowa Hitlera wypowiedziane przy Rauschningu były wywołane jedynie nastrojem chwili, czy też istniał lub powstawał właśnie jakiś konkretny zamiar wobec Polski.

Zostając kanclerzem Hitler przejął po Republice Weimarskiej dwie wpływowe instytucje - Auswärtiges Amt i Reichswehrę. Jego plany i poglądy nie zawsze były jednak zgodne ze słowami i czynami niemieckich dyplomatów i wojskowych. W 1934 r. plany führera i kół konserwatywno-militarystycznych nie oznaczały jeszcze tego samego.

Wszyscy Niemcy dążyli do obalenia traktatu wersalskiego, ale realizację tego zamierzenia rozumieli różnie. Według kół związanych z Reichswehrą i MSZ wystarczało odbudować dawną pozycję wojskową w świecie i odebrać utracone terytoria - stąd postulat powrotu do granic z 1914 r. Hitler krytykował takie stanowisko. Twierdził (w *Mein Kampf*), że żądanie przywrócenia granic z 1914 r. jest politycznym nonsensem. Uważał, że z punktu widzenia strategicznych celów Niemiec przedwojenne granice były nieodpowiednie, a kręgi konserwatywne, domagając się ich restauracji, nie tylko nie przybliżyły zwycięstwa Niemiec, ale wręcz je oddalały. Walka o te granice - według Hitlera - „wiązała nieustannie na nowo rozpadłą koalicję naszych przeciwników”. W tym sensie działalność Seeckta czy Stresemanna była „nieomal przestępstwem”.

Słowa führera: „Wstrzymujemy odwieczny pochód germański na południe i zachód Europy i kierujemy swój wzrok na tereny wschodnie”, oznaczały w praktyce dążenie do współdziałania z Anglią (zachód) i Włochami (południe). „Przestrzeń życiową dla narodu niemieckiego” widział Hitler na terenie Rosji i „podległych jej państw ościennych” (Ukraina, Białoruś?). Charakterystyczne, że w tekście *Mein Kampf* wśród obiektów niemieckiej agresji nie wymieniono Polski. Trudno przypuszczać, aby Rzeczpospolita była w oczach Hitlera państwem podległym ZSSR.

Można sądzić, że losy Polski nie były tak jednoznacznie przekreślone, jak to wynikało z zamiarów hołubionych w Auswärtiges Amt. Junkrzy z Reichswehry i MSZ, dążąc do odbudowy dawnej Rzeszy, widzieli w zasadzie tylko jedną drogę - po trupie Polski. Hitler nie sądził, aby możliwość odzyskania pozycji Niemiec była tak ściśle związana z koniecznością likwidacji państwa polskiego. Być może, że projekty połączeń komunikacyjnych z Prusami Wschodnimi (autostrada, kolej), które Hitler przedstawiał tyle razy polskim dyplomatom - początkowo jako „rozwiązanie techniczne” na przyszłość - były próbami znalezienia jakiegoś *modus vivendi* w sprawie drażliwego dla Niemców „korytarza”. Marian Wojciechowski pisze: „[...] jeżeli przypomnimy sobie »autostradowe« pomysły Hitlera z lat 1934 i 1935, przyjąć trzeba, iż brał on pod uwagę również możliwość pozostawienia Pomorza przy Polsce, zapewne w pierwszym tylko etapie zacieśnionej współpracy polsko-niemieckiej, w zamian za obietnicę wspólnej akcji przeciwko ZSRR”.

Zagadnieniem stosunku Niemiec do Polski zajmował się Alfred Rosenberg, piastujący w 1934 r., stanowisko kierownika Urzędu Spraw Zagranicznych NSDAP. Placówka ta była odpowiednikiem i konkurentem Auswärtiges Amt, a pamiętajmy, że Hitler nie miał zaufania do von Neuratha i jego personelu. Wyniki swej pracy Rosenberg przedstawił Hitlerowi w maju 1934 r. w specjalnym memoriale. Wprawdzie nie znamy dokładnej jego treści, ale wiadomo, że motywem, który miał skłonić Polskę do współdziałania, była próba nawiązania do dawnych aspiracji polskich na Ukrainie. Wydaje się dość wątpliwe, aby Hitler chciał pozostawić Polsce Pomorze i jeszcze obdarować ją Ukrainą, ale po dokładniejszym zastanowieniu się można dojść do wniosku, że nie było to całkiem niemożliwe. Hitler nie odbierał wprawdzie Pomorza (przynajmniej na razie), ale w zamian miał uzyskać nienaruszony potencjał całej Polski, dominację nad Europą Środkową i wyśmienitą pozycję do agresji na ZSSR. Czy było to rzeczywiście tak mało w porównaniu z czasową rezygnacją z Pomorza?



Możliwość wykorzystania Ukrainy jako ceny za trwały związek Warszawy z Berlinem rozważał Hitler z całą powagą. Jedną z pierwszych tego oznak był wydany przez władze niemieckie zakaz działalności Organizacji Ukraińskich Narodowców, która dotąd znajdowała oparcie w Reichswehrze. Jednocześnie doszło wówczas do próby storpedowania „linii 26 stycznia” przez jej niemieckich przeciwników. Otóż w czasie wizyty Goebbelsa w Warszawie grupa ukraińskich terrorystów, powiązana z wojskowymi kołami Rzeszy, dokonała udanego zamachu na polskiego ministra spraw wewnętrznych, Bronisława Pierackiego. Cios był dobrze wymierzony, nic więc dziwnego, iż władze hitlerowskie starały się dowieść, że nie miały nic wspólnego z zamachowcami. Doszło do faktu bezprecedensowego. Oto na żądanie polskich władz Gestapo aresztowało jednego z zamachowców, który zaopatrzony w Gdańsku w niemiecki paszport uciekł do Rzeszy, a następnie - na polecenie Hitlera - ominięto całą procedurę ekstradycyjną i odesłano aresztowanego do Warszawy. Miało to stanowić dowód, że kanclerz nie popiera ukraińskiej dywersji przeciwko Polakom. Być może plany kuszenia Polski Ukrainą spowodowały, że hitlerowcy zlekceważyli ukraińskich nacjonalistów, tak mocno wierzących w niemieckiego pseudosojusznika. Hitler nie bardzo wiedział, co ma zrobić z Ukraińcami w 1939 r., a nawet w 1941, po napaści na ZSSR. Wbrew nadziejom Stefana Bandery należące przed 1939 r. do Polski ziemie Małopolski Wschodniej nie stały się Piemontem narodowej Ukrainy, lecz zostały a włączone do Generalnego Gubernatorstwa. Oznaczało to, że zagadnieniem ukraińskim rzeczywiście nie zajmowano się zbyt poważnie, tak jakby zaważyły na tym wcześniejsze plany Hitlera.

„Polityka polsko-niemiecka - mówił Hitler w 1935 r. Rosenbergowi - nie powinna zakończyć się po upływie 10 lat, tylko winna trwać dalej”. Rosenberg, jedyny w otoczeniu Hitlera, który brał poważnie ideologiczne kanony narodowego socjalizmu, w 1939 r. bolał nad „zdradą” Rzeszy, która wbrew paktowi antykominternowskiemu zawarła układ z ZSSR i napadła na „aryjską” Polskę. Ten brak elastyczności przyplacił zresztą utratą łask dyktatora na rzecz swego cynicznego konkurenta, Ribbentropa. Ale rok 1939 miał dopiero nadejść. W 1934 r. niewątpliwym celem Hitlera było zjednanie Polski.

Obietnicami, naciskami i szantażem spodziewał się führer osiągnąć więcej niż wojnę, która była nie tylko ryzykowna, ale oznaczała również konieczność poniesienia znacznych strat. A w waleczność Polaków Hitler nie wątpił nigdy. Dlatego po 1934 r. umizgi pod adresem Warszawy były motywem powtarzającym się we wszystkich rozmowach z Polakami. Misją kaptowania Polski obarczył Hitler swego zaufanego, *nota bene* premiera Prus, Hermanna Göringa. Przed jego pierwszą wizytą w Warszawie w styczniu 1935 r. kanclerz udzielił wysłannikowi szczegółowych instrukcji. Göring miał przekonać polskich rozmówców, że normalizacja wzajemnych stosunków nie wynikała z chwilowego oportunisty, ale z powodów zasadniczej natury. Według tego, co mówił Göring Lipskiemu, kanclerz deklarował, że „[...] gotów jest uznać traktatowo, iż kwestia korytarza nie stanowi przedmiotu sporu pomiędzy obu państwami, jednak - aby być całkowicie szczerym - polityka niemiecka musi w przyszłości szukać ekspansji w jakimś kierunku. Ekspansji tej w porozumieniu z Polską Niemcy mogą szukać i znaleźć na Wschodzie, ustalając rejon zainteresowania dla Polski na Ukrainie, dla Niemiec - na północnym wschodzie”.

Göring wykonywał instrukcje swego führera, odwiedzając Polskę w styczniu i lutym 1935 r. W rozmowie z Beckiem i premierem Leonem Kozłowskim (31 I) zapewniał, że „Niemcy [...] życzą sobie Polski silnej, zdolnej stworzyć przy poparciu Niemiec bastion przeciwko Rosji”. Hitler, w przeciwieństwie do Schleichera, który chciał „zlikwidować” Polskę współdziałając z Francją i ZSSR, postanowił likwidować Związek Sowiecki we współdziałaniu z Polską. Polska - według Göringa - jako pomost łączący Bałtyk i Morze Czarne, mogła zapewnić sobie (u boku Hitlera) „szerokie możliwości na Ukrainie”.

W podobny sposób precyzował Göring zamiary Rzeszy w rozmowie z generałami Fabrycym i Sosnkowskim (1 II). Proponował Polakom przymierze antysowieckie i „wspólny marsz na Moskwę”. Propozycje te, mimo sugestii Hitlera, aby Göring był bardziej wstrzeźliwy, dotarły do Piłsudskiego. Rozmowa Niemca z Marszałkiem trwała ponad dwie godziny. Piłsudski niejako na marginesie oferty Hitlera przypomniał, jak to Berlin chciał w czasie I wojny światowej obietnicami bez pokrycia uzyskać „sto tysięcy polskiego rekruta” pod niemieckie rozkazy. Pragnienia te nie zostały zrealizowane, gdyż Polacy nie zamierzali służyć obcym. Göring natychmiast zapewnił (tak przynajmniej twierdzi Cat-Mackiewicz), że Hitler widzi w Piłsudskim naczelnego wodza wojsk polskich i niemieckich ruszających na ZSSR. Marszałek odpowiedział, że granica polsko-sowiecka jest zbyt długa, aby stać na niej z bronią w ręku. Polska potrzebuje pokoju ze wschodnim sąsiadem. Tym samym polski przywódca stanowczo „przeciął sprawę”.

Pierwsze niepowodzenia nie zraziły Hitlera. Postanowił jedynie inicjatywę w polskich sprawach przejąć we własne ręce. Dowodem na to było przemówienie kanclerza w Reichstagu (21 V 1935), w którym obszerny fragment poświęcony został stosunkom z Polską. Według słów Hitlera Rzesza miała zamiar nie tylko „ślepo” dochować deklaracji o nieagresji, ale przedłużyć czas jej obowiązywania i dążyć do pogłębienia przyjaźni z Polską.

Następnego dnia Hitler rozmawiał z ambasadorem Lipskim. Führer mówił polskiemu dyplomacie o swym podziwieniu dla Piłsudskiego (zgon Marszałka uczczono w Rzeszy żałobą państwową) i potępił dawną politykę niemiecką (linia Rapallo), która prowadziła Rzeszę na drogi niebezpiecznej współpracy z ZSSR. Przeciwnikiem Niemiec jest Rosja - tłumaczył - która posiada potrzebną Niemcom „przestrzeń życiową”, a nie Polska, takiej przestrzeni pozbawiona. Polska i Niemcy mają więc wspólny interes w uzgodnieniu polityki wobec ZSSR i to powinno stanowić najpewniejszą rękojmię współdziałania. Kanclerz wspominał też (raz jeszcze) o możliwości zbudowania autostrady przez „korytarz”, ale jednocześnie zastrzegł, że projekt ten nie będzie mógł zostać zrealizowany w najbliższych latach. Ważniejsze od marginalnej sprawy „korytarza” - jego zdaniem - są problemy współdziałania polsko-niemieckiego. Hitler zaczął nalegać, aby minister Beck odwiedził Berlin.

Wizyta Becka doszła do skutku dopiero w początkach lipca 1935 r. I tym razem Hitler usiłował oczarować polskiego dyplomata mirażami planów antysowieckich. W rozmowie w cztery oczy Hitler twierdził, że w swym programie polityki zagranicznej miał dwa cele: porozumienie na Zachodzie (z Anglią) i na Wschodzie (z Polską). Wyraził przekonanie, że wszyscy muszą sobie uświadomić, iż „próby odepchnięcia Polski od Bałtyku byłyby szaleństwem”. Zapewniał Becka, że silna i przyjazna Niemcom Polska stanowiła czynnik zasadniczy ze względu na „najstraszniejsze niebezpieczeństwo” (ZSSR), będące „na przyszłość jedynym czynnikiem zagrażającym naprawę pojęciu Europy jako całości”.

Odpowiedź Becka była wstrzeźliwa. Oświadczył, że dopóki Niemcy będą dochowywali warunków określonych w deklaracji z 26 stycznia, mogą mieć pewność, że Polacy nie zgotują im niespodzianki. Nawiązując do przejrzystych propozycji antysowieckich, polski minister przypomniał Hitlerowi o pakcie nieagresji z ZSSR - podstawie polityki polskiej na wschodzie. „Będziemy się oczywiście tego trzymać - mówił Beck - ponieważ, jak kanclerz sam najlepiej rozumie, stać na takiej granicy w stałym pogotowiu z karabinem u nogi nie jest ani pożądane, ani na dłuższą metę możliwe”.

W ten sposób kolejna próba nawiązania współpracy antysowieckiej zawiodła.

W maju 1935 r. miejsce Piłsudskiego zajął generał Edward Śmigły-Rydz. Rosnące wpływy nowego generalnego inspektora, który zdawał się bardziej niż Beck doceniać sojusz z Francją, zaniepokoiły Berlin. Wprawdzie ambasador Polski w Berlinie zapewniał uspokajająco, że wszystkie bez wyjątku grupy zwolenników Marszałka Piłsudskiego będą realizowały jego linię polityki zagranicznej, ale jednocześnie doszło do wizyty generała Maurice'a Gamelina w Polsce i Śmigłego-Rydzia we Francji. Początkowo Berlin nie wierzył

zapewnieniom Warszawy, że w kwestiach zagranicznych nie ma różnic między ministrem spraw zagranicznych a nowym generalnym inspektorem. Stan ten potwierdził jednak Rydz-Śmigły w rozmowie z ambasadorem Moltke (26 XI 1936). Śmigły powiedział, że w pełni docenia wagę deklaracji polsko-niemieckiej dla polityki zagranicznej Rzeczypospolitej. Kiedy Niemiec z uporem wrócił do sprawy współpracy wymierzonej w ZSSR, usłyszał stary polski argument o długiej granicy i potrzebie pokoju na wschodzie oraz - co ucieszyło niemieckiego ambasadora - zapewnienie, że „Polska nie znajduje się w obozie bolszewickim”. Nie było to jednak nic więcej ponad to, co Berlin słyszał już z ust Piłsudskiego i Becka. A więc Hitler w ciągu dwóch lat nie posunął się ani o krok na drodze do realizacji swego planu.

W kancelarii Rzeszy zaczęły się rodzić wątpliwości, czy wobec Polski zastosowano właściwe metody. Propozycje sojusznicze i obietnice nie odnosiły skutku. Czy należało przejść do nacisków, zwłaszcza że sytuacja wojskowa Niemiec i Polski uległa istotnej zmianie? Szybka odbudowa Wehrmachtu umożliwiała usztywnienie polityki niemieckiej i dawała Berlinowi coraz większą pewność w stosunkach z Polską.

Mimo to należy pamiętać, że „przełom w stosunkach polsko-niemieckich nie był tylko pociągnięciem taktycznym, lecz wynikał ze zmiany celów strategicznych” Niemiec - pisze Jerzy Krasuski.

### **3. Jak siedzieć na dwóch stołkach?**

W 1934 r. mogło się wydawać, że Polska osiągnęła od dawna upragniony stan normalizacji stosunków z wielkimi sąsiadami. Pozycja międzynarodowa Rzeczypospolitej niewątpliwie umocniła się, myślenie o przyszłości musiało jednak napawać niepokojem. Siły Niemiec rosły z miesiąca na miesiąc. W potęgę wschodniego sąsiada Polski nie wątpił nikt. Wprawdzie nie groziły już napięcia z okresu Niemiec weimarskich i szantażowanie Polaków linią Rapallo, ale nie przekreślało to ewentualności *Drang nach Osten*. Cóż powinna zrobić Polska, aby uniknąć najgorszego?

Ważna - jak się wydaje - będzie próba stwierdzenia, jak dalece Piłsudski uważał osiągnięty stan za trwały, a w jakim stopniu dopuszczał myśl o przejściowej wartości układów, które w połowie lat trzydziestych gwarantowały integralność terytorialną i bezpieczeństwo państwa. Czy rozważano sytuację, w której potężna Rzesza zechce wciągnąć Polskę w orbitę swych wpływów i pchnąć ją przeciwko ZSSR? Czy mogą zaistnieć, w razie oporu Polaków, warunki powrotu Niemiec do linii Rapallo i - co gorsza - wspólna agresja obu wielkich sąsiadów na Polskę? Odpowiedź na te pytania są ważne również dlatego, że rok później Józef Beck był jedynym autorytetem w polskiej polityce zagranicznej. Dotychczasowy wykonawca dyrektyw Marszałka musiał rozstrzygać wcale niełatwe problemy.

Ostatnie miesiące życia Piłsudskiego miały decydujące znaczenie dla kierunku polityki zagranicznej, a przecież jednocześnie było wiadomo, że stan zdrowia Marszałka pogorszył się widocznie. Stąd właśnie biorą się przypuszczenia, że albo Piłsudski był tak chory, iż jego umysł nie potrafił już precyzyjnie określić niebezpieczeństwa i dlatego doszło do utrwalenia zabójczej dla Polski linii zbliżenia z Berlinem, co wiernie przeprowadzał Beck, albo chory Piłsudski był jedynie marionetką w rękach sprzyjającego Hitlerowi, przebiegłego Becka.

Opinie takie, wysoce krzywdzące Becka, są pozbawione podstaw chociażby dlatego, że choroba Piłsudskiego (rak żołądka i wątroby) nie miała niszczącego wpływu na umysł Marszałka. Ambasador Francji w Warszawie, Laroche, zanotował w swych pamiętnikach: „Ze swej strony znajdowałem, że Piłsudski jest pod względem fizycznym dość zmęczony,

lecz umysł ma całkowicie żywy. Nie można było, słuchając go, mieć wątpliwości, że Beck jest tylko wykonawcą dyrektyw, wykonawcą, który potrafił, gdy było możliwe, zrecznie je interpretować”.

Piłsudski zaś zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa zagrażają Polsce. Dostrzegał niepokojące implikacje, które wynikały z położenia słabej gospodarczo Polski między dwoma potężnymi sąsiadami. Marszałek obawiał się, że siły polskie są zbyt małe, aby Francja trwale wiązała swoje plany antyniemieckie z interesami Rzeczypospolitej. Stąd w Warszawie sądzono, że prędzej czy później Paryż zechce oprzeć się na potężniejszym od Polski ZSSR, a w związku z tym marsz sowiecki przeciwko Hitlerowi musi spowodować co najmniej wyeliminowanie Polski z gry. Pozycja najsilniejszego państwa w bloku antyniemieckim niezbyt odpowiadała Francuzom. To właśnie stąd miała się brać wrogość Hitlera do III Republiki - najpierw należało zniszczyć najmocniejsze ogniwo. W Paryżu sądzono, że gdyby ZSSR znalazł się w gronie wrogów Niemiec, wówczas agresja Hitlera musiałaby zwrócić się przeciwko Rosjanom, których siły były większe od francuskich. Aby do tego doprowadzić, Francja mogła - sądził Piłsudski - przyjąć do wiadomości, że granice Europy zachodniej kończą się na wschodnich granicach Niemiec. Niemiec demokratycznych i wyzwolonych z panowania nazistowskiej dyktatury.

Porównując siły obu sąsiadów, Marszałek widział, iż obaj są groźni; jeżeli jednak wzrost potęgi Niemiec, dla Francji niekorzystny, zmuszał w końcu Paryż do działania, to rosnąca potęga militarna ZSSR była Francuzom na rękę. A to, jak przewidywał Piłsudski, oznaczało degradację roli Polski, ewentualność jej politycznego podporządkowania Moskwie, a może nawet utratę niepodległości. Silne związki francusko-sowieckie będą godziły w integralność terytorialną Polski - mówili piłsudczycy.

Wnioski te należy uznać za zupełnie logiczne, gdy uświadomimy sobie ówczesną sytuację Polski i ZSSR. Państwa o przeciwnych, a nawet wrogich ustrojach, głęboka obustronna nieufność, liczna ludność niepolska na kresach wschodnich, umacnianie się w ZSSR systemu stalinowskiego, a wraz z tym rosnąca fala represji i mordów. I jeszcze traktat ryski, który ustalił granicę polsko-sowiecką, uznawany w ZSSR za kompromis nie najszcześniejszy. A do tego Francja prowadząca dość osobliwą politykę; dopóki liczyła na porozumienie z Niemcami kosztem Polski, dopóty była, wroga ZSSR (stanowisko Francji było niechętnie polsko-sowieckiemu układowi o nieagresji z 1932 r.), kiedy jednak Hitler nadzieje te przekreślił, wówczas Francuzi poczęli usilnie zabiegać o współpracę z Moskwą.

Zmiana rządu w Berlinie i deklaracja o nieagresji z 1934 r. uświadomiły Paryżowi, że Hitler uzyskał znaczną swobodę rozgrywania swojej partii na Zachodzie. Skoro Polska ześliznęła się z ostrza niemieckiego bagnetu, Francja musiała znaleźć takiego sojusznika, który byłby w stanie zaabsorbować nazistów jak najdalej od linii Maginota. W polityce francuskiej było bardzo wiele z maksymy wypowiedzianej przez Churchilla w czasie drugiej wojny światowej: „Będziemy bili się z Hitlerem do ostatniego żołnierza rosyjskiego”.

Stalin jednak nie był aż tak naiwny, aby odpowiadać na zapotrzebowanie rządu popierającego do niedawna czynnie „białą” Rosję, czego Polska nie robiła. W tej mierze Polska wydawała się lepszym partnerem. Nie zamierzał też ściągać na swoje państwo agresji niemieckiej, zwłaszcza że Hitler łatwo przekształciłby ją w krucjatę antykomunistyczną. Cóż więc mogła Francja zaoferować ZSSR oprócz wojny z Hitlerem? Państwu - dodajmy - które nie miało wspólnych granic z Rzeszą. W Warszawie sądzono, że Paryż posłuży się dawnym wariantem: będzie usiłował zainteresować Rosjan, jak niegdyś Niemców, możliwością korektur granicznych kosztem terytorium Rzeczypospolitej. W tym, jak można sądzić, tkwi istota zaakceptowania linii Curzona jako podstawy do wytyczenia wschodniej granicy polskiej w czasie II wojny światowej - czego nie mogli pojąć politycy zasiadający w rządzie polskim na emigracji.

Obawy tego rodzaju, podzielane przez Piłsudskiego, odcisnęły wyraźne piętno na koncepcji polityki zagranicznej Drugiej Rzeczypospolitej. Marszałek usiłował izolować ZSSR od wpływu na politykę europejską, zapewniając jednocześnie Rosjan, że Polska nie przepuści nigdy Niemców przez swoje terytorium na Wschód. Zarazem starano się utrzymać poprawne stosunki z Berlinem, aby Rzesza mogła realizować swoje plany na południu i zachodzie, czyli stwarzać zagrożenie Francji, która powinna „stwardnieć” i podjąć zdecydowane kroki antyniemieckie. W ten sposób narodziła się „polityka równowagi” między Moskwą a Berlinem, którą Rzeczpospolita usiłowała prowadzić przez kilka lat.

„Wojna z Niemcami była koszmarem - pisała po latach Aleksandra Piłsudska - który dręczył mego męża nieustannie z uwagi na fatalne położenie geograficzne Polski między Rosją a Niemcami. Liczył się z tym, że do niej dojdzie prędzej czy później, i cała jego polityka zagraniczna polegała na utrzymaniu równowagi między tymi dwoma państwami i dążeniu do zyskania na czasie dla wzmocnienia się naszego państwa”. Można by wątpić, czy żona Marszałka była rzeczywiście osobą najlepiej poinformowaną o politycznych planach męża, znając jednak fakty i świadectwa innych osób, m.in. Kazimierza Świtalskiego, bez trudu stwierdzimy, że opinia pani Piłsudskiej odpowiadała rzeczywistości.

Ta linia polityki zagranicznej obowiązywała również po śmierci Piłsudskiego. Bieg wydarzeń naruszył jednak znacznie wcześniej, niż można było sądzić w styczniu 1934 r., wyłożone wyżej zasady. A więc ważna będzie odpowiedź na pytanie, czy w Warszawie zdawano sobie z tego sprawę i czy przygotowano się do wprowadzenia korektur w skryształizowanej niedawno koncepcji politycznej.

12 kwietnia 1934 r. Piłsudski zwołał naradę, w której uczestniczyli wojskowi i dyplomaci. Obok Becka i szefa sztabu zaproszeni zostali inspektorzy armii, wyżsi oficerowie Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych oraz wiceminister Jan Szembek. Przedmiotem narady stała się analiza położenia międzynarodowego państwa i stanu bezpieczeństwa granic. Zebrani mieli odpowiedzieć na zadane przez Piłsudskiego pytanie: „Które z tych państw [Niemcy, ZSSR - R.Sz.] jest niebezpieczniejsze dla Polski i prędzej niebezpiecznym stać się może?”

Spośród 21 uczestników spotkania jedynie generał Janusz Gąsiorowski uważał, że większe niebezpieczeństwo - w najbliższym czasie - grozi Polsce ze strony ZSSR. Generałowie Kasprzycki, Piskor, Rydz-Śmigły i Sosnkowski uważali obu sąsiadów za jednakowo groźnych. Minister Beck odpowiedział: „W ciągu 3 - 4 lat Rosja może być pierwsza niebezpieczna. Duże prawdopodobieństwo, że potem stan rzeczy może się odwrócić”. Pozostali uczestnicy ankiety: 9 generałów (był wśród nich Stefan Dąb-Biernacki i Kazimierz Fabrycy) i 4 pułkowników - uznali Niemcy za groźniejszego sąsiada.

W celu opracowania tego zagadnienia i prowadzenia dalszych studiów nad problemem sformułowanym przez Piłsudskiego utworzono specjalną komórkę przy GISZ pod nazwą „Laboratorium”. Szefem tej komórki został generał Fabrycy, natomiast koordynatorem pułkownik Głabisz, któremu podlegali referenci spraw niemieckich (major Milewski) i sowieckich (major Pstrokoński). Zadaniem „Laboratorium” było badanie sytuacji wewnętrznej obu państw, poziomu zbrojeń i wyciąganie wniosków mających znaczenie dla bezpieczeństwa Polski.

Lato i jesień 1934 r. to okres intensywnych badań zagadnień niemieckich. Analizowano dostępne dokumenty i informacje uzyskane przez wywiad, pułkownik Głabisz, dokładnie poinstruowany przez Piłsudskiego, osobiście jeździł kilka razy do Rzeszy, pod pozorem wzięcia udziału w polowaniu udał się tam też szef „Laboratorium”, generał Fabrycy.

W końcu listopada 1934 r. uczestnicy narady kwietniowej ponownie zebrali się u Marszałka. Referaty wygłosili Fabrycy i Głabisz, a wspólnym ich wnioskiem było stwierdzenie, że zagrożenie ze strony Niemiec może nastąpić w ciągu najbliższych pięciu lat (1939 r.!). Wniosek ten stanowił podstawę dyskusji, podczas której znaczna część obecnych -

jak twierdził Fabrycy - uznała Niemcy za wroga nr 1. W podsumowaniu Piłsudski oznajmił, że wnioski o zagrożeniu niemieckim wydają mu się przedwcześnie i dlatego „Rosja jest i będzie jeszcze długo niebezpieczna”. Epilogiem narady była rozmowa Piłsudskiego z Głabiszem. Marszałek - według Głabisza - powiedział mu, że krytykując wnioski zawarte w referatach zdawał sobie sprawę, iż było w nich dużo racji. „Ja nikomu prawie nie ufam, cóż dopiero Niemcom. Muszę jednak grać, bo Zachód jest obecnie parszywieńki. Jeżeli niebawem nie przejrzy i nie stwardnieje, będzie trzeba przestawić się w pracach”.

Z relacji Głabisza wynika bezspornie, że położenie Polski osiągnięte dzięki deklaracji z 26 stycznia było w zamiarze Marszałka jedynie elementem gry obliczonej na Paryż i jego reakcje w sprawach istotnych dla Polski. Restytut Staniewicz tak pisał o planach Piłsudskiego: „Obstając na razie z uporem przy upatrywaniu głównego zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego, podtrzymując w związku z tym stawkę na zbliżenie z Niemcami, dopuszczał [Piłsudski] prawdopodobnie możliwość zmiany całego rozumowania w miarę ewolucji sytuacji międzynarodowej i wojskowo-politycznej w Europie”.

Strona polska nie zamierzała też tracić francuskiego sojusznika. Zaraz po podpisaniu deklaracji z Niemcami Piłsudski w towarzystwie Becka spotkał się z ambasadorem Laroche'em i starał się rozwiać wątpliwości Francuzów co do rzeczywistych motywów normalizacji stosunków z Berlinem. Kiedy Laroche zapytał, czy nowa sytuacja, w jakiej znalazła się Polska, będzie oznaczała, iż Francja zostanie osamotniona w swych wysiłkach, mających na celu zahamowanie remilitaryzacji Niemiec, Piłsudski stanowczo zapewnił, że każda zdecydowana akcja Paryża wymierzona w niemieckie zbrojenia znajdzie natychmiastowe i całkowite poparcie Polski. Przy tej okazji Beck nie omieszkiał wtrącić, że taka akcja w wydaniu francuskim wydaje się mało prawdopodobna. Nawiązując do tej uwagi Becka Marszałek dodał, że momentem rozstrzygającym o polskim stanowisku w sprawie pokojowych ofert Hitlera były rozmowy francusko-niemieckie, których wynik mógł być dla Polski niekorzystny. W końcowej części rozmowy Piłsudski raz jeszcze podkreślił gotowość współdziałania z Francuzami przeciwko zbrojeniom Rzeszy.

Obawa przed zbrojeniami niemieckimi była - jak się wydaje - jedyną płaszczyzną, realnej polityki sojuszniczej Polski i Francji. Także przed zapowiedzianą wizytą ministra Louisa Barthou w Warszawie Piłsudski polecił wy badać, jakie stanowisko zajmował następca Brianda w interesującej Polskę kwestii. Pytanie przekazane przez ambasadora Alfreda Chłapowskiego miało wyjaśnić, co zamierza zrobić Paryż za kilka lat, kiedy Niemcy będą największą potęgą militarną kontynentu. Odpowiedź nie rozwiała polskich obaw i stała się powodem dalszego osłabienia związków z Francją.

Jedną z istotnych przesłanek „polityki równowagi” było stwierdzenie zasadniczej, ideologicznej sprzeczności między Rzeszą a ZSSR. Sprzeczność ta, zdaniem Piłsudskiego i jego ministra, uniemożliwiała współdziałanie rosyjsko-niemieckie. Piłsudski sądził, że utrzymując liczną armię na stopie pokojowej tworzył swoistą „siłę odstraszenia”, która pozwalała Polsce uniezależnić się od sąsiadów, a jednocześnie ostrzegała ewentualnego agresora przed znacznymi kosztami wojny i w konsekwencji bezpośrednim zetknięciem się z wrogiem o wiele groźniejszym. Wydawało się, że w tym układzie Polska będzie mogła zachować swą niezależną linię polityczną, jeżeli tylko przekona potężnych sąsiadów, że nie będzie narzędziem agresji ani na wschód, ani na zachód. Aby tę linię zachować, należało wystrzegać się zależności od jednego sąsiada, gdyż w ten sposób można było ściągnąć na siebie odwet drugiego.

Jak widzimy, Warszawa nie rozpatrywała możliwości, że Berlin i Moskwa porozumieją się między sobą i przeciw Polsce skierują swe siły. Jest oczywiste, że szanse oporu Polski malały wówczas do zera, i dlatego politycy winni byli zrobić wszystko, aby uniknąć takiej niekorzystnej sytuacji. Wprawdzie i Hitler, i Stalin deklarowali wzajemną wrogość ideologiczną, lecz wnikliwy obserwator (a takimi byli i Piłsudski, i Beck) winien był dostrzec

daleko idące podobieństwa obu dyktatur. Były one, jak się okazało w sierpniu 1939 r., wystarczającą podstawą do zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow.

Koncepcja równowagi, niezwykle ambitna, w praktyce była trudna do realizacji ze względu na ogromną różnicę potencjałów Polski i jej wielkich sąsiadów. Do tego piętnastoletni okres, w którym siła militarna Rzeszy była sztucznie ograniczona, a ZSSR dopiero budował industrialną podstawę swej i potęgi, dobiegał kresu. Gdyby oba układy o nieagresji zostały podpisane w połowie lat dwudziestych, wtedy szanse Polski byłyby większe. Wyścig zbrojeń, zdynamizowany przez Hitlera w 1935 r., oznaczał nie tylko zbliżający się kres skuteczności polityki równowagi, ale niósł śmiertelne niebezpieczeństwo jeżeli nie dla niepodległości, to co najmniej dla integralności terytorialnej Rzeczypospolitej.

Ambasador polski w Moskwie, a później w Paryżu, Juliusz Łukasiewicz napisał w swojej książce Polska jest mocarstwem, że podstawą polityki zagranicznej Rzeczypospolitej było oparcie się na własnej sile, na sojuszach i dobrych stosunkach z sąsiadami. Mówiliśmy już, że stosunki z sąsiadami zdołała Polska unormować w okresie 1932-1934, sojusze z Francją i Rumunią zachowały nadal swoją aktualność, pozostało więc spojrzeć na siłę Polski, która miała zapewnić skuteczność polityki zagranicznej.

O sile państwa stanowią m.in.: wielkość terytorium, liczba zamieszkującej je ludności, poziom gospodarki i wartość jej produkcji, stan armii i wreszcie relacje między wielkością tych czynników a wielkościami, którymi dysponują państwa uważane za przeciwników. Spójrzmy więc, jakie zmiany zaszły w tych relacjach między Polską a Niemcami i ZSSR w okresie stosunkowo krótkim po skryształowaniu się polityki równowagi (1933 -1936).

Ludność Rzeczypospolitej liczyła w 1933 r. 33,4 miliona obywateli i w ciągu wspomnianego czterolecia wzrosła o 400 tys. W tym samym czasie Rzeszę zamieszkiwało 65,1 mln, aby wkrótce osiągnąć wielkość 67,1 mln (a więc niekorzystne proporcje pogłębiły się jeszcze bardziej). Ludność ZSSR przeważała nad ludnością Polski znacznie wyraźniej (165 mln). Same te wielkości nie dawały jednak pełnego obrazu. Trzeba bowiem dodać, że w Niemczech zamieszkiwała ludność bardziej jednolita narodowo (ponad 90% to rdzenni Niemcy), gdy tymczasem w Rzeczypospolitej Polacy liczyli 70% ogółu ludności. Wprawdzie nad granicą polską po stronie niemieckiej istniały zwarte grupy polskiego zasiedlenia (liczbę Polaków w Rzeszy oceniano na półtora miliona), ale i w Rzeczypospolitej byli Niemcy w Wielkopolsce i w „korytarzu”. Jeszcze gorzej wyglądał problem ludnościowy na polskiej granicy wschodniej. Wśród 13 mln zamieszkujących kresy wschodnie było 5,6 mln Polaków, 4,3 mln Ukraińców, 1,6 mln Białorusinów i 1 mln Żydów. Związek Sowiecki był państwem wielonarodowym, ale sami Rosjanie przeważali nad Polakami trzykrotnie, a do tego pobratymcy polskich mniejszości narodowych (Białorusini i Ukraińcy) mieli na terenie ZSSR republiki sowieckie o pewnych atrybutach państwowości. Zresztą nawet polityczni wrogowie Moskwy woleli współpracę z Berlinem, Pragą czy Kownem niż z Warszawą. To wszystko osłabiało Polskę, a jej władze obawiały się sytuacji, w której kilka milionów obywateli Rzeczypospolitej będzie mogło stanąć przed możliwością „zjednoczenia” z Białorusinami i Ukraińcami mieszkającymi w ZSSR. A więc potencjał ludnościowy Polski nie mógł stanowić całkowicie pewnego oparcia dla polityki zagranicznej, chociaż po próbie 1939 r. można powiedzieć, że obawy te były bezpodstawne.

Terytorium państwowe Rzeczypospolitej było o prawie 80 tys. km<sup>2</sup> mniejsze od terytorium Rzeszy (Niemcy 470 tys. km<sup>2</sup>), a obszar ZSSR swym ogromem wielokrotnie przewyższał obszar Polski. Przy tym granice państwowe uważane za zagrożone były najdłuższe - granica polsko-niemiecka 1912 km, a polsko-sowiecka 1412 km - liczyły bowiem łącznie prawie 60% całości granic Rzeczypospolitej. W dodatku granica z Rzeszą była linią wyjątkowo trudną do obrony - Prusy Wschodnie wiszące nad Warszawą, Pomorze wciśnięte w terytorium Niemiec, nie mające pewnego oparcia o morze, przemysł skupiony głównie na przygranicznym Śląsku. Dodajmy jeszcze, że granice Polski mogły konkurować

długością z państwami znacznie od niej większymi (np. łączna długość granic Francji wynosiła 5,6 tys. km, Polski natomiast - 5,5 tys. km). Inaczej licząc, na jeden kilometr długości granic wypadało: w Polsce - 74 km<sup>2</sup> powierzchni państwa, w Niemczech - 78 km<sup>2</sup>, we Francji - 98 km<sup>2</sup>, w ZSSR - 614 km<sup>2</sup>.

Następnym elementem materialnej siły państwa była gospodarka. I tutaj porównania z sąsiadami wyglądały wręcz drastycznie niekorzystnie dla Polski.

Spróbujmy prześledzić zmiany na odpowiednich wskaźnikach produkcji. Produkcja energii elektrycznej w Polsce wzrosła z 2,4 mld kilowatogodzin do 3,1 mld kilowatogodzin (w 1936). W tym samym czasie w Niemczech nastąpił wzrost z 23,5 mld kilowatogodzin (1933) do 42,5 mld kilowatogodzin (1936). W ZSSR odpowiednio wielkości wynosiły - 15,9 mld kilowatogodzin i 32,7 mld kilowatogodzin.

Wydobycie węgla kamiennego, stanowiące mocną pozycję Polski - 3% światowej produkcji - wzrosło w ciągu czterech lat o 3 mln ton (30 mln ton w 1936 r.). Było to jednak znacznie mniej od wskaźników uzyskanych w Rzeszy (110 - 158 mln ton) i w ZSSR (76 - 124 mln ton).

Produkcja surówki żelaza wyrażała się w następujących wielkościach: Polska 0,8 mln ton w 1933 r. i 0,6 mln ton w 1936 r. (a więc spadek), Niemcy 5,2 - 15,3 mln ton, ZSSR 7,1 - 14,4 mln ton. Nieco lepiej kształtowały się relacje w produkcji stali: Polska z 0,5 do 1,1 mln ton, Rzesza 7,5 - 17,8 mln ton, ZSSR 6,8 - 16,2 mln ton.

Niemcom udało się zdystansować Polskę nawet w tej dziedzinie, w której w 1933 r. miała przewagę - chodzi o cynk. Polskie 83 tys. ton stanowiły 10% światowej produkcji, podczas gdy Rzesza miała tylko 51 tys. ton. W 1936 r. Rzesza produkowała już 136 tys. ton, więc mimo wzrostu (93 tys. ton) produkcja w Polsce była mniejsza niż w Niemczech.

Nieco lepiej wyglądała sytuacja w rolnictwie. Produkcja czterech zbóż w Polsce wynosiła 126 mln kwintali i nie uległa zmianie w 1936 r. W tym czasie produkcja zbóż w Niemczech spadła z 221 mln kwintali w 1933 r. na 198 mln kwintali w 1936 r. Statystyki ZSSR podają, że w 1933 r. zebrano 657 mln kwintali, a w 1935 r. 694 mln kwintali (brak danych z 1936 r.).

Ten stan gospodarki powodował między innymi, że udział Polski w handlu światowym był mały (odpowiadał wielkościom sowieckiego importu i eksportu). Wartość niemieckiego importu przewyższała polski 9 razy, a wartość eksportu 10 razy (import i eksport polski po 1 mld złotych).

Na relatywne osłabienie proporcji gospodarczych wpływały oczywiście różnorakie czynniki. Trzeba pamiętać, że porównywany okres to lata wielkiego kryzysu gospodarczego, który nie pozwalał na działalność inwestycyjną - jedyną realną drogę wzmocnienia polskiego potencjału. Potrzeby inwestycyjne polskiej gospodarki szacuje się na około 40 mld złotych (8 mld dolarów), a kwoty tej nie można było uzyskać w warunkach, gdy ponad 20 mld pochłonęła odbudowa zniszczeń wojennych, a drugie tyle wydano na wojsko. Występowały również niezawinione, a odczuwalne, zaniedbania i zacofanie odziedziczone po zaborcach, zwłaszcza rosyjskim, których nie można było zlikwidować w ciągu dziesięciu lat. Dodatkowe trudności stwarzały te działy produkcji, które znajdowały się w rękach obcego kapitału, bardziej skłonnego do eksploatacji niż inwestowania. Rosnące sprzeczności społeczne także rzutowały na zdolność produkcyjną polskiej gospodarki. Wystarczy przypomnieć, że akcja strajkowa pochłonęła w Polsce 3844 tys. dni roboczych w 1933 r. i 3950 tys. dni w 1936 r. (ogółem w całym dwudziestolecu strajki pochłonęły ponad 56,7 mln dni roboczych). Niemcy z powodu strajków straciły jedynie 1112 tys. dni roboczych w 1933 r. (w 1936 r., pod rządami Hitlera, już nie strajkowano).

Różnice w potencjałach gospodarczych widać było najwyraźniej przy porównaniu wielkości dochodu narodowego (dane z 1929 r.): Polska - 28 mld złotych, Niemcy - 115 mld



złotych i ZSSR - 112 mld złotych (na jednego obywatela odpowiednio: w Polsce 870 zł, w Rzeszy 1850 zł, w ZSSR 750 zł).

Ludność, terytorium i gospodarka, nie mówiąc już o agresywnych zamiarach sąsiadów Polski, miały wpływ na stan armii, jej wielkość i uzbrojenie.

Jak wiadomo, na ziemiach polskich zaborcy nie budowali zakładów zbrojeniowych, toteż Polska musiała tworzyć przemysł obronny dosłownie od podstaw. Lata 1930-1935 były okresem, w którym należało podjąć szeroką działalność inwestycyjną nie tylko w imię celów gospodarczych, ale i po to, aby wojsko mogło dysponować nowoczesnym sprzętem. Było to zadanie w ówczesnych warunkach niewykonalne. Przy tym Piłsudski obawiał się, że intensyfikacja zbrojeń może doprowadzić do obniżenia stopy życiowej, a więc automatycznie do zaostrzenia napięć społecznych.

Sytuacja wojskowa mogła nie budzić większych obaw, dopóki Rzesza miała słabą Reichswehrę. W końcu 1935 r. Hitler podniósł jednak pokojowe stany wojsk tak znacznie, że po polskiej przewadze pozostało wspomnienie. Niemcy zwiększyły liczbę dywizji piechoty do 24, sformowały 3 dywizje pancerne, pułki artylerii ciężkiej i wystawiły około 1000 samolotów bojowych. A Polska nadal miała 30 dywizji piechoty, 12 brygad kawalerii, 3 pułki pancerne i 600 samolotów. Tymczasem Hitler zapowiadał formowanie kolejnych 12 dywizji piechoty.

Nie lepiej było po wschodniej stronie granicy. ZSSR od dość dawna prowadził intensywne zbrojenia i zajmował pierwsze miejsce na światowej liście zestawionej pod kątem wydatków zbrojeniowych. Jego armia została w istotny sposób zreformowana - zrezygnowano z licznych w latach dwudziestych formacji typu milicyjnego i zastąpiono je zwartymi oddziałami wojsk regularnych - a jej liczebność wzrosła z 560 tys. do 940 tys. żołnierzy w 1936 r. (tylko wojska regularne). Do jednostek sowieckich zaczęły napływać setki nowych czołgów i samolotów (np. w 1931 r. Armia Czerwona miała 300 czołgów - tyle co Polska - a w 1933 r. ich liczba sięgała już 5 tys.).

Nawet z tego powierzchownego przeglądu elementów siły, która miała zapewnić skuteczność polityki równowagi, widać dość wyraźnie, że problem był niezwykle trudny. Wprawdzie Europa - również sąsiedzi Polski - wiedziała, że zamach na integralność terytorialną lub suwerenność polityczną Rzeczypospolitej oznacza „ogień armatni”, ale w miarę upływu lat liczba armatnich „argumentów” przechylała się na korzyść wrogów Polski.

Na jednej z narad Piłsudski powiedział: „Ponieważ mamy dwa pakt, siedzimy na dwu stołkach. To nie może długo trwać, musimy wiedzieć, z którego najpierw spadniemy i kiedy”. Rzeczywiście, Polska zdołała „wysiedzieć” tylko cztery lata. Minister Beck miał wkrótce nie tylko odpowiedzieć na pytanie postawione przez Marszałka, ale musiał znaleźć rozwiązanie tego problemu.

#### **4. W poszukiwaniu sprzymierzeńców**

Normalizacja stosunków polsko-niemieckich interesowała państwa leżące na południe od Karpat bardziej niż poprzednie ocieplenie na linii Warszawa - Moskwa (na dobrą sprawę stosunkami z ZSSR zainteresowana była wówczas, ze względu na Besarabię, jedynie Rumunia).

Do 1934 r. obiektem ataków niemieckich była Polska i w cieniu tego konfliktu rządy państw naddunajskich starały się o dobre stosunki z Niemcami. Jeżeli coś je martwiło, to granice, które nie odpowiadały ich ambicjom. Odprężenie w stosunkach Polski z Niemcami stawało pod znakiem zapytania naddunajskie *status quo*. Austria musiała liczyć się coraz bardziej z naciskami hitlerowskiej Rzeszy, Czechom przypominała się mniejszość niemiecka,

dążąca do oderwania Sudetów, Węgry miały nadzieję na niemiecką protekcję dla swych planów rewizji granic, a Rumunia musiała brać pod uwagę wzrastające uzależnienie gospodarcze od Berlina.

Te obawy i niepokoje wydawały się sprzyjać Polsce. Dzięki nim mogło jej przybyć sojuszników w nieuchronnej rozgrywce z Niemcami.

Najbardziej zagrożona i najbardziej Polsce potrzebna ze względu na bezpieczeństwo granic wydawała się Czechosłowacja. Jej przemysł i armia mogły wydatnie wesprzeć południowe skrzydło ugrupowania wojsk polskich. Z drugiej strony Polska była czynnikiem niezbędnym dla istnienia Czechosłowacji. To przeświadczenie, panujące w kołach wojskowych, nie znajdowało jednak zrozumienia wśród dyplomatów. Minister spraw zagranicznych, a wkrótce i prezydent Republiki, Eduard Beneš, nie doceniał jakościowej zmiany w położeniu północnego sąsiada, czego dał dowód w instrukcji rozesłanej do własnych placówek dyplomatycznych 18 kwietnia 1934 r. Krytykował w niej politykę Polski, która, jak twierdził, nie dostrzegała wzrostu i potęgi Francji. Deklaracja o nieagresji była według Beneša dokumentem bez większego znaczenia, skoro zawarto ją z Hitlerem, którego sytuacja w miarę upływu czasu będzie coraz trudniejsza. Co do Anschlussu, to jego zdaniem führer już go przegrał. „Gdy Niemcom przyzna się prawo do większych zbrojeń - pisał Beneš - wówczas nastanie większa równowaga sił, co zbliży Anglię i Francję. Włochy zaś będą podtrzymywać nową równowagę przeciwko przewadze Niemiec”. Polska w tej sytuacji zrozumie, jaki błąd popełniła podpisując pakt z Niemcami, i będzie musiała zabiegać o względy Czechosłowacji. Jednocześnie, mimo tak smutnych perspektyw Niemiec, minister zalecał wykorzystanie wszelkich możliwości bezpośredniego porozumienia z Berlinem.

Negatywną ocenę Polski Beneš powtórzył w rozmowie z posłem brytyjskim w Pradze, Josephem Addisonem. Minister spraw zagranicznych Czechosłowacji nazwał Rzeczpospolitą państwem niepotrzebnym i zawadczającym w stosunkach europejskich. Przewidywał jej upadek, na który w pełni zasłużyła. Angielski dyplomata, zaskoczony słowami Beneša, napisał w raporcie, że czuł się, jakby rozmawiał z hitlerowcem, a nie przedstawicielem państwa sojuszniczego.

Przewidywania Beneša nie spełniły się. Polacy nie zabiegali o względy Pragi, natomiast zaczęli stosować naciski. Rozpoczęto od kampanii prasowej, w której krytykowano położenie ludności polskiej na Zaolziu. A rzeczywistość powodów do krytyki było sporo, gdyż kurs polityki narodowościowej stosowany w Pradze wobec mniejszości polskiej nie należał do najłagodniejszych. Przy końcu 1934 r. Polska zerwała trwającą od wielu lat i dobrze się układającą współpracę sztabów, co spowodowało poważne zaniepokojenie wśród czeskich wojskowych. Prezydent Masaryk musiał nawet zwołać specjalne zebranie wyższych dowódców, podczas którego przekonywał ich, że brak pomocy polskiej nie musi wcale oznaczać nieuchronnej klęski Czech.

Napięcie w stosunkach z Polską wywołało nastroje bliskie paniki wśród ludności Czechosłowacji. W dniu imienin Piłsudskiego w 1935 r. oczekiwano nawet wkroczenia wojsk polskich na Zaolzie. Obawy te musiały udzielić się także Benešowi, skoro w maju, korzystając z pośrednictwa Laval'a, usiłował dowiedzieć się od Becka, czy Polska napadnie na Czechosłowację, gdyby ta znalazła się w konflikcie z Rzeszą. Był to znak, że sprawy zaszły zbyt daleko. Beck nie chciał niepokoić Pragi aż do tego stopnia. Nie chodziło bowiem o rozbięcie południowego sąsiada, lecz o to, by nacisk skłonił Pragę do większej uległości wobec Warszawy. Pod koniec 1935 r. Polska wyciszyła akcję na Zaolziu, Słowacji i Rusi Podkarpackiej. Jednocześnie czeski attache wojskowy w raporcie za IV kwartał 1935 r. donosił, że szef oddziału organizacyjnego polskiego sztabu (prawdopodobnie pułkownik Józef Jaklicz) zapewniał go, że Polska nie wierzy Niemcom, a sztaby armii nie utrzymują między sobą żadnych kontaktów.

Władze Czechosłowacji zaczęły obawiać się o przyszłość państwa. I zastanawiające, że Beneš myśląc o bezpieczeństwie postanowił przyjąć rozwiązanie podobne do polskiej koncepcji równowagi. Chciał nawiązać rozmowy z Rosjanami i Niemcami w celu normalizacji stosunków, a jednocześnie oprzeć się na bloku sojuszników z Małej Ententy i zachować walor przymierza z Francją. W tej koncepcji nie było miejsca dla czynnika destruktywnego, to znaczy Polski.

W maju 1935 r. Czechosłowacja i Związek Sowiecki zawarły układ o przyjaźni i pomocy wzajemnej, w którym zaznaczono wyraźnie, że wystąpienie Armii Czerwonej uwarunkowane będzie wcześniejszą akcją wojsk Francji (układ miał ścisły związek z zawartym dwa tygodnie wcześniej podobnym układem francusko-sowieckim). Była to jednak tylko jedna strona medalu. Nadzieje na porozumienie z Hitlerem zawiodły: podejmowane w 1936 r. próby nawiązania rozmów nie przyniosły żadnych rezultatów. Czeska polityka równowagi zawisła na jednym zawiasie.

Wpłynęło to na postawę władz polskich, które początkowo ciepło przyjęły normalizację stosunków czesko-sowieckich, później jednak zaczęły mieć obawy co do samej istoty współpracy obu państw. W raporcie posła Mariana Chodackiego (8 IV 1936) czytamy: „Pakt z ZSSR staje się obok aliansu z Francją jednym z głównych filarów polityki z Sowietami i rozwija się w atmosferze coraz większej przyjaźni, przy czym wojsko gra z obu stron rolę łącznika. [...] Armia sowiecka zaczyna wywierać coraz silniejszy wpływ na problem obrony CSR, przy czym potwierdzają się wiadomości o czynnym jej udziale w organizowaniu lotnisk na terenie Czechosłowacji”. Według Becka stan ten mógł prostą drogą prowadzić do zetknięcia Niemiec i ZSSR, a więc do „wojny religijnej” hitleryzmu z komunizmem. W ten sposób łamała się cała koncepcja polityczna wymyślona w Belwederze. Cechy wydawały się pod tym względem bardzo niebezpieczne.

Kroplą, która przelała „czarę goryczy”, była praca Jana Šeby, posła czeskosłowackiego w Bukareszcie, pt. *Rusko a Mala Dohoda w polityce svetove* (wyd. 1936 r.). Autor uzasadniał w niej pogląd o konieczności stworzenia wspólnej granicy czesko-sowieckiej, mającej gwarantować niepodległość Czech. W Polsce twierdzono, że plan ten można zrealizować jedynie pod warunkiem totalnej katastrofy Polski lub Rumunii. Posmaku skandalu dodawał fakt, że wstęp do książki Šeby napisał jego szef, minister spraw zagranicznych, Kamil Krofta. Czesi bronili się, twierdząc, że i w Polsce wydawano książki postulujące podział Czechosłowacji, ale faktem jest, że ani Beck, ani inny dyplomata nie popełnił takiego nietaktu. W tym sensie afera Šeby była wyjątkowa i nasuwała myśl, że zawarte w książce poglądy nie były poglądami prywatnymi czeskiego dyplomaty.

W rezultacie ten splot wydarzeń spowodował, że Warszawa uznała Pragę za straconego sprzymierzeńca. Radca polskiego poselstwa w Pradze, Zygmunt Hładki, pisał w notatce z 20 listopada 1936 r.: „Podkreślając stale dobrą wolę porozumienia z Polską, Czechosłowacja nie uczyniła żadnego pozytywnego kroku, by tę dobrą wolę poprzeć czynem. Dyplomacja czeska wyzyskuje napięcie polsko-czechosłowackie do przyspieszenia likwidacji mniejszości polskiej na Śląsku, uznając, że Polska w obecnej chwili nie jest w stanie ująć się za Ślązakami, a z drugiej strony myśląc, że koniunktura międzynarodowa zmusi Polskę do obrania wspólnej linii z Czechosłowacją i normalizacji stosunków”.

Drugim południowym sąsiadem Polski była Rumunia. Państwowość rumuńska uformowała się ostatecznie w połowie XIX w., a udział Rumunii w I wojnie światowej po stronie Ententy pozwolił Bukaresztowi, mimo porażek i poniesionych strat, zrealizować aspiracje terytorialne. Obszar państwa powiększył się ze 140 do około 300 tys. km<sup>2</sup>, a ludność z 8 do 17 milionów. Ale „Wielka Rumunia” („Romania Mare”) miała równie wielkie problemy do rozwiązania, a do najtrudniejszych z nich należały kwestie graniczne. Uzyskana z dawnego terytorium Rosji carskiej Besarabia stała się kością niezgody w stosunkach z sowieckim sąsiadem, ziemie Banatu i Siedmiogrodu należały przedtem do Węgier, które

obok Niemiec zaliczano do państw rewizjonistycznych, rejon południowej Dobrudży leżał przed 1913 r. w granicach Bułgarii. Rumunia szukała więc bezpieczeństwa w sojuszach z Francją i Polską oraz w bloku Małej Ententy.

Rumunia była dla Polski słabym sojusznikiem zarówno pod względem gospodarczym, jak i wojskowym. Mimo to Warszawa unikała wszelkiego protekcjonizmu i okazywania swojej przewagi nad Bukaresztem. Traktowała Rumunię i jej interesy ze szczerym zainteresowaniem, dążąc do umocnienia jej pozycji międzynarodowej. Takie stanowisko sprawiło, iż Rosjanie uznali, że Polacy są „bardziej rumuńscy niż sami Rumuni”. O ile potencjał rumuński i siłę jej armii traktowała Polska bardziej w kategoriach przyszłości, o tyle inny czynnik uznawała za istotny już w chwili obecnej: w wypadku wojny z Niemcami przez Rumunię biegła jedyna nie zagrożona linia komunikacyjna z Zachodem. Tylko tą drogą można było oczekiwać dopływu zaopatrzenia dla armii, jeśli brało się pod uwagę możliwość zablokowania przez Niemców Bałtyku.

Przez wiele lat alians Warszawy z Bukaresztem uważany był za aksjomat. Stan ten uległ zmianie, kiedy na czele rumuńskiego MSZ stanął Nicolae Titulescu (był ministrem od 1932 do 1936 r.). Zdaniem Titulescu w Europie istniały dwie grupy państw - wielkie mocarstwa i małe państwa, do których Rumun zaliczał swój kraj. Losy tych drugich zależały od ich stosunków z mocarstwami. A więc bezpieczeństwo Rumunii zależało od tego, czy nie znajdzie się w konflikcie z potęgami. Titulescu chciał być użyteczny i potrzebny mocarstwom. Sądził, że dzięki temu, a także swym osobistym wpływom umocni pozycję kraju w oczach Paryża, Londynu czy Moskwy. Chciał doprowadzić do stanu, w którym mocarstwa zachodnie i ewentualnie Niemcy, zagwarantowałyby nienaruszalność granicy rumuńsko-sowieckiej, a ZSSR poręczyłyby całość granic Rumunii od strony Węgier i Bułgarii.

W tej koncepcji sojusz z Polską był nie tylko zbędny, ale nawet szkodliwy, gdyż prowadził do konfliktu z mocarstwami - tak przynajmniej sądził Titulescu. Rumunowi wydawało się, że osłabienie, a następnie przekreślenie sojuszu z Polakami będzie wystarczającą ceną za zrzeczenie się przez ZSSR roszczeń do Besarabii. Titulescu bardziej sprzyjał polityce Beneša, starał się też, chociaż bez większych rezultatów, nawiązać współpracę z innymi państwami pod hasłem „Bałkany dla Bałkańczyków”.

9 czerwca 1934 r. Rumunia i ZSSR nawiązały stosunki dyplomatyczne. Titulescu chciał pominąć etap paktu o nieagresji i od razu przystąpić do rokowań nad układem o pokoju i współpracy. Jednocześnie sugerował, że po przyjęciu tej oferty ujawni istotny sens konwencji wojskowej z Polską i stępi ostrze aliansu z nią. Moskwa nie podjęła tej propozycji. Stosunki ZSSR z Polską układały się bardzo dobrze, Rzeczpospolita była niewątpliwie ważniejsza od Rumunii, źle by się więc stało, gdyby utrata rumuńskiego sojusznika spowodowała zwrot Polski w kierunku Berlina.

Warszawa nie była przeciwna normalizacji stosunków rumuńsko-sowieckich, ale obawiała się drogi, którą obrał Titulescu. Polacy wiedzieli wystarczająco dużo o poglądach szefa rumuńskiego MSZ, by mogli zachować złudzenia co do jednomyślności z Rumunami. Antoni Zieliński w następujący sposób ocenił stosunki Bukareszt-Warszawa w okresie ministerium Titulescu: „Koncepcje polityczne Titulescu oraz Piłsudskiego i Becka były nie tylko odmienne, lecz nawet przeciwstawne. Gdy polscy mężowie stanu kładli nacisk na działanie »własnymi siłami« przy jednoczesnym braniu pod uwagę także sił innych państw śródkoeuropejskich, Rumun je lekceważył. Nie przywiązywał większej wagi do sojuszu z Polską, a sternicy polskiej polityki zagranicznej uważali alians z Rumunią za jeden z istotnych elementów swej polityki”. W innym miejscu Zieliński stwierdza: „Polityka zagraniczna Polski i Rumunii toczyła się co najmniej od pół roku [1934 - *R.Sz.*], a stan ten utrzyma się do sierpnia 1936 r., odmiennymi torami. Kontakty między ministerstwami spraw

zagranicznych spadną do minimum, a osią stosunków Bukareszt - Warszawa będzie walka o zmianę kierunku polityki rumuńskiej kierowanej przez Titulescu”.

Utrata nadziei na pozyskanie Czechosłowacji i rosnące wątpliwości wobec polityki rumuńskiej aliancki skierowały zainteresowania Polski ku Węgrom. Wkrótce też doszło do kilku spotkań i rozmów na najwyższym szczeblu. Akcentowana przyjaźń i serdeczność zdawała się sugerować, że stronom chodziło o coś więcej niż tylko o wymianę poglądów.

Węgry były wówczas bardzo trudnym i niezwykle obciążonym partnerem. Choć w momencie wkraczania do wojny nie były w pełni suwerenne, kiedy znalazły się w gronie państw pokonanych, zostały potraktowane znacznie surowiej niż właściwy sprawca I wojny światowej - Niemcy. Na mocy traktatu pokojowego Budapeszt utracił większość swego przedwojennego terytorium (z 325 tys. km<sup>2</sup> utracono 233 tys. km<sup>2</sup>), a liczba ludności zmniejszyła się z 21 do 8 milionów. Największy udział w utraconych przez Węgry terenach miała Rumunia - 102 tys. km<sup>2</sup>. Jugosławia otrzymała 63,6 tys. km<sup>2</sup>, Czechosłowacja - 62,4 tys. km<sup>2</sup>, nawet Austrii przypadło 4 tys. km<sup>2</sup> dawnego terytorium węgierskiego.

W ten sposób w granicach sąsiadów znalazła się znaczna liczba Węgrów. W Rumunii oceniano ich na 1,5 - 1,7 mln osób (9,1 % ludności Rumunii), w Czechosłowacji znajdował ponad milion (prawie 6% zaludnienia), w Jugosławii pół miliona i około 25 tys. w Austrii. Oznaczało to, że w wyniku traktatu pokojowego co trzeci Węgier znalazł się poza granicami własnego państwa.

Przekonanie o „krzywdzących postanowieniach traktatowych” dzieliło wielu Węgrów bez względu na ich poglądy polityczne. Koła konserwatywne chciały stworzyć państwo węgierskie, które decydowałoby o polityce basenu naddunajskiego, oczywiście po niezbędnych korekturach granic. Komuniści, bezwzględnie zwalczani przez rząd admirała Mikłosa Horthyego, uważali, że narody mieszkające przed I wojną światową w granicach państwa węgierskiego miały na wzór Związku Sowieckiego ponownie znaleźć się w granicach federacji węgierskiej jako jej składowe republiki sowieckie.

W październiku 1934 r. do Warszawy przybył z wizytą premier Węgier Gyula Gómbós. Odbił on rozmowy z Piłsudskim, Beckiem i innymi przedstawicielami polskich władz, wręczył też Piłsudskiemu osobisty list od regenta Horthyego.

O celach wizyty można wnioskować z opracowania ministra spraw zagranicznych Kalmana Kanyi, który towarzyszył premierowi w podróży do Polski. Po przeprowadzonej analizie naszego położenia politycznego Węgrzy doszli do przekonania o nieuchronności konfliktu polsko-czeskiego. Miało to wynikać z tego, że „dopóki Ruś [Podkarpacka - R.Sz.] znajduje się w czeskim ręku, Czechy będą dokładać wszelkich starań do zbliżenia z Rosją, a to jest możliwe tylko poprzez Galicję Wschodnią, czyli poprzez terytorium polskie”. Na tej płaszczyźnie dostrzegli Węgrzy wspólnotę interesów z Polakami i możliwość daleko idącego współdziałania. „Osiągnięcie polsko-węgierskiej wspólnej granicy, choć byłaby ona jedynym radykalnym lekarstwem, w dzisiejszej sytuacji jest niemożliwe”. Postulat ten spodziewano się zrealizować w przyszłości. Jedyłą obawę, jaką wyrażano w opracowaniu, można dostrzec w pytaniu, czy Warszawa będzie skłonna uznać prawa Węgier do Słowacji (hasło autonomistów słowackich brzmiało: „brat Polak pomoże Słowakowi zrzucić czeskie jarzmo”). Mimo tych wątpliwości Węgrzy sądzili, że zdołają „wspólnym węgiersko-polskim wysiłkiem złamać władzę i wpływy Czechów na Słowacji”. Dlatego zamierzali doprowadzić do „wspólnego mianownika” politykę obu krajów w kwestii popierania ruchów autonomicznych.

Rozmowy przeprowadzone w Warszawie nie przyniosły oczekiwanych przez Węgrów rezultatów. Polscy rozmówcy bardzo wstrzemięźliwie wyrażali się o niedawnej normalizacji stosunków z Niemcami, natomiast mocno interesowali się problemem Austrii i stosunkiem Węgrów do niemieckich zakusów na jej niepodległość. Piłsudski sugerował Gómbósowi, że bliska współpraca pięciu państw (Austrii, Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii i Węgier)

pod kierownictwem Francji mogłaby zagwarantować Austrii niepodległość. Łatwo można odczytać z wypowiedzi Marszałka, że Warszawa chciała użyć Francji jako konkurenta Niemiec w strefie naddunajskiej. W takiej sytuacji Włochy wspierające Austrię stanęłyby obiektywnie po stronie Francji, a przeciwko Niemcom. Gómbós nie zrozumiał lub nie chciał zrozumieć intencji Piłsudskiego. Twierdził, że udział w takim ugrupowaniu byłby akceptacją Małej Ententy i rezygnacją z dążeń rewizjonistycznych, a więc dla Węgier jest nie do przyjęcia. Piłsudski zapewniał premiera węgierskiego, że Polacy nie myślą o uszczupleniu interesów Budapesztu. W sprawach granic ostrzegał jednak przed pośpiechem i radził, aby dla pomyślnego załatwienia postulatów wybrać „najszcześniejszy spośród momentów szczęśliwych”. Ostrzegał też przed niemieckim ekspansjonizmem, który „sprowokuje linię Belgrad - Rzym - Paryż”, a wówczas Węgry będą samotne. W odpowiedzi Gómbós zapewniał Marszałka, że Budapeszt robi wszystko, aby pogodzić Rzym z Berlinem. Nie trzeba dodawać, że na takiej zgodzie Warszawie nie zależało.

Wymiana poglądów przekonała polskich polityków, że Węgrzy nie odczuwali zagrożenia ze strony Niemiec, a nawet uważali ich za potencjalnego sojusznika przeciwko Małej Entencie. Podobne wnioski wyciągnęli, jak się wydaje, sami Węgrzy. „Podróż warszawska - pisał w sprawozdaniu Gómbós - nie jest zakończeniem czegoś, lecz początkiem, i to początkiem takiej polsko-węgierskiej polityki, której ostrze musi się obrócić przeciwko Czechosłowacji. Nad jej rozbudową warto się trudzić”.

Polska wbrew nadziejom Budapesztu nie chciała uzgadniać polityki antyczeskiej.

Państwem, którego polityka zdawała się zmierzać w kierunku pożądanym przez Warszawę, była Jugosławia. Mimo znacznej odległości dzielącej go od Polski, kraj ten odgrywał istotną rolę w polskich planach. Jugosławia tak jak Polska była sojuszniczką Francji i podobnie jak Rzeczpospolita rozczarowała się do polityki III Republiki. Z rządem w Belgradzie należało liczyć się na Półwyspie Bałkańskim chociażby przez fakt, że Jugosławia była jednym z największych państw tamtego rejonu (około 250 tys. km<sup>2</sup> i 15 mln ludności).

Przez długie lata Belgrad miał poważne kłopoty, których podłożem były kwestie narodowościowe. Ludność państwa stanowiła niespotykaną nawet w Europie Środkowej mozaikę. Serbowie - naród, który zjednoczył Jugosławię - stanowili około 40% ludności. Chorwaci (część z nich wrogo nastawiona do Serbów) - 35%, a trzeci naród, Słoweńcy (do 1929 r. Jugosławia nosiła nazwę Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców) - 8,5%. Ponadto były liczne mniejszości narodowe (Niemcy, Węgrzy, Albańczycy, Turcy, Rumuni, Włosi), stanowiące łącznie około 17% ludności całego państwa. Spory z sąsiadami - głównie z Włochami i Węgrami - były świetną pożywką dla podsycania waśni i zaburzeń wewnętrznych. Najbardziej uciążliwa była działalność założonej w 1929 r. organizacji nacjonalistów chorwackich „Ustasz”.

W połowie lat trzydziestych Jugosławii udało się opanować tendencje ośrodkowe, a Belgrad coraz aktywniej działał na arenie europejskiej. Procesu tego nie zdołało zahamować zabójstwo króla Aleksandra I dokonane w Marsylii przez ustaszowskich terrorystów.

Rząd sformowany przez Milana Stojadinovicia (zarazem ministra spraw zagranicznych) dążył do większej niezależności Belgradu w stosunkach z zagranicą. Wprawdzie nowy premier ciepło wyrażał się o polityce Niemiec, ale jednocześnie dostrzegał potencjalne zagrożenie państw naddunajskich przez hitlerowski ekspansjonizm. Sądził też, że istnieje możliwość współpracy z Węgrami, jeżeli Budapeszt wyrzeknie się swych pretensji do terenów uzyskanych przez Jugosławię w rezultacie podziału Austro-Węgier. Negatywnie oceniał politykę Beneša i Titulescu, traktując nieufnie ich gwałtowny zwrot w kierunku Moskwy.

Takie poglądy premiera rządu Jugosławii odpowiadały planom Becka. Warszawa podjęła nawet konkretne wysiłki, aby poprawić stosunki między Belgradem a Budapesztem. Sądzono, że byłby to istotny krok na drodze wyeliminowania wzajemnych uprzedzeń i

przekroczenia utrwalającego się podziału na zwycięzców i pokonanych. Osiągnięto nawet pewne rezultaty, jednak nie takie, aby doprowadziły one do zasadniczego zwrotu w polityce obu państw. Polska na przykład starała się nakłonić Jugosławię do współpracy z tzw. blokiem rzymskim (Austria, Włochy, Węgry), uważała bowiem, iż taka współpraca ma realne podstawy (w 1935 r. w handlu zagranicznym państwa „bloku rzymskiego” zapewniały 25% importu i 3% eksportu Jugosławii, Niemcy odpowiednio 16% i 19%).

Belgrad ze swej strony z najwyższym uznaniem wyrażał się o polskiej polityce zagranicznej, chociaż, jak się wydaje, nie wiedział zbyt dokładnie, na czym polegała jej istota. Dostrzegano jednak dążenie Polski do stworzenia „pełnej samodzielności obszaru naddunajskiego” w obliczu zakusów wielkich mocarstw. Stwierdzono też, że „Polska jako szóste mocarstwo europejskie w swej konfiguracji geopolitycznej ma ogromne znaczenie w rozwoju wypadków w Europie”.

W końcu maja 1936 r. minister Beck złożył oficjalną wizytę w Belgradzie. Rozmowy ze Stojadinoviciem potwierdzały zgodność poglądów poza jednym zagadnieniem - oceną rozmiarów zagrożenia niemieckiego. W rezultacie i tę polską inicjatywę można uznać jedynie za rekonesans polityczny bez konkretnych następstw. Beck oceniał, że belgradzki teren był ciągle „zbyt śliski”, i wyrażał obawę, czy Jugosławia nie przechyliła się zbyt mocno na stronę Niemiec. „Odmienna rola Niemiec, Włoch, Węgier w koncepcji polityki Becka i Stojadinovicia - pisze Anna Garlicka - stanowiła poważną przeszkodę dla rozszerzenia współpracy”.

Istotnym zagadnieniem w polskiej polityce, kierującej się po 1934 r. tak wyraźnie w rejon naddunajski, była postawa i zamiary Włoch. Ta „najmniejsza z największych potęg” chciała dorównać Anglii, Francji i Niemcom i jeden ze sposobów osiągnięcia tego widziała w zajęciu pozycji Austro-Węgier na terenie Europy Południowo-Wschodniej. Nastroje Włochów, które najlepiej oddawał popularny slogan związany z wynikami I wojny światowej: „okaleczone zwycięstwo”, wykorzystywał faszyzm do osiągnięcia swych imperialistycznych celów. Terenem włoskich wpływów miały być przede wszystkim ziemie leżące tuż za Adriatykiem. Stąd aktywna polityka na odcinku jugosłowiańskim, austriackim i węgierskim. Rzym zawarł ogromną liczbę traktatów przyjaźni i pomocy - w 1924 r. z Jugosławią, w 1926 r. z Albanią i Rumunią, w 1927 r. z Węgrami, w 1928 r. z Grecją i Turcją, a w 1930 z Austrią. W miarę jak słabły wpływy Francji, rosła pozycja Włoch, głównie w Wiedniu i Budapeszcie. Trzeba też przyznać, że w imię tych związków Włochy potrafiły podtrzymywać nawet niekorzystne dla siebie umowy handlowe.

Zmiana rządów w Niemczech zdopingowała Włochów do działania. Gdy Hitler ujawnił swoją chęć przyłączenia do Rzeszy „austriackiej ojczyzny”, Mussolini oświadczył: „Niemcy są w błędzie, łudząc się nadzieją zdobycia Austrii. Jestem zdecydowany do tego nie dopuścić”. Wkrótce Włochy ogłosiły plan powołania związku państw naddunajskich, które miały współpracować ze sobą politycznie i gospodarczo. Włochy spodziewały się, że porty Triest i Fiume zastąpią Czechom i Węgrom porty niemieckie. Kiedy okazało się, że tak szeroka formuła jest trudna do realizacji, doszło do zbliżenia z Wiedniem i Budapesztem. 17 marca 1934 r. kanclerz Dollfuss i premier Gómbós podpisali z Mussolinim tzw. protokoły rzymskie dla „podniesienia na duchu Austrii i Węgier i stwierdzenia, że nie są one odosobnione”. Jednocześnie Rzym dążył do ocieplenia stosunków z Paryżem. Najgłośniejsze było spotkanie premierów Anglii, Francji i Włoch w Stresie, gdzie ustalono wspólną politykę, m.in. wobec Niemiec. Po zabójstwie ministra Louisa Barthou, który doceniał kontakty z Rzymem, linię tę zdawał się kontynuować jego następca Pierre Laval.

Początkowo Mussolini nie darzył Hitlera zbyt dużą sympatią. Uważał nazizm za marną kopię „twórczego” faszyzmu, a hitlerowską Rzeszę traktował jako konkurenta dybiącego na pozycję Włoch wśród państw rewizjonistycznych. Swoją mniejszość niemiecką rząd faszystowski traktował bardzo surowo. Dwustu tysiącom włoskich Niemców zakazano

używania języka ojczystego w szkołach i odebrano im samorządy. Nawet napisy na nagrobkach zmieniane były z niemieckich na włoskie. Włoskie statystyki narodowościowe nie uwzględniały Niemców. Z prawnego punktu widzenia niemiecka mniejszość narodowa we Włoszech nie istniała.

Mussolini słusznie uważał Hitlera za konkurenta nad Dunajem. „Basen naddunajski jest naszym europejskim zapleczem - mówił duce - dlatego poszukujemy tam trwałej pozycji. Bez niego będziemy zmuszeni grać rolę wyspy bez znaczenia na krańcu Europy. Możemy być pchnięci nawet do Afryki. Nie ma czasu do stracenia. Hitler będzie działał natychmiast, zacznie się zbroić”.

Publicystyka włoska, poddana kontroli władz faszystowskich, krytycznie oceniała politykę Hitlera. Virginio Gayda w komentarzu do sprawy Saary pisał, że „Niemcy zdają się sposobici do stawiania innych, równie niebezpiecznych postulatów”. Twierdził, że pod rządami hitlerowców nastąpiła prawdziwa eksplozja pangermanizmu. Z zaskakującą dokładnością Mussolini przewidywał czas niemieckiej agresji: „Niemcy za cztery lata [ tj. w 1938 r. - R.Sz.] zaczną dyktować swoją wolę Europie. Ich polityka jest na razie pokojowa, bo nie skończyli jeszcze swych zbrojeń”. W proteście Włoch, złożonym w Berlinie po wprowadzeniu przez Hitlera powszechnej służby wojskowej, pisano, że ten samowolny krok „wzbudza poczucie niepewności we wszystkich krajach”.

Włochy stworzyły więc wystarczającą ilość przesłanek, aby zaliczyć je do grona co najmniej niechętnych hitlerowskiej Rzeszy. W kwietniu 1934 r. Rzym zaproponował Warszawie podjęcie rozmów na temat układu politycznego. Miał on zawierać stwierdzenie wspólnoty interesów polskich i włoskich nad Dunajem i pogłębić współpracę gospodarczą i polityczną obu krajów. Korespondent Agencji Stefani mówił polskim dyplomatom, powołując się na Mussoliniego: „Włochy i Polska mogłyby prowadzić w stosunku do Berlina politykę wspólną, która by ich możliwości na terenie berlińskim znacznie rozszerzyła. Po zawarciu układu polsko-włoskiego w razie jakiegoś nieporozumienia czy zatargu pomiędzy Polską a Niemcami Włochy wypowiedziałyby się po stronie polskiej, a gdyby w myśl swojej polityki równowagi europejskiej nie mogły tego uczynić, to w każdym razie uniknęłyby udzielenia swego poparcia Niemcom”.

Rok później do Warszawy przybył bliski współpracownik włoskiego dyktatora Roberto Forges-Davanzati. Rozmawiał on z Beckiem i wiceministrem Szembekiem oraz przewodniczącymi sejmowej i senackiej komisji spraw zagranicznych. Włoch przestrzegał Polaków przed „iluzjami co do właściwych celów polityki niemieckiej” i zachęcał do zacieśnienia związków z jego krajem.

Beck nie przyjmował jednak włoskich propozycji. Być może odgrywała tu rolę obawa, że w takim sojuszu Rzeczpospolita byłaby swoistą przynętą dla Hitlera. Stan naprężenia w stosunkach polsko-niemieckich dogadzał przecież interesom włoskim, gdyż absorbował siły Rzeszy na wschodzie. Włochy zawsze traktowały Polskę przyjaźnie, ale Warszawa dostrzegała ich ciche zadowolenie ze sporów polsko-niemieckich. Deklarację z 26 stycznia Mussolini uważał za dokument o znaczeniu doraźnym. Analizując sytuację, jaka wytworzyła się po styczniu 1934 r., mówił swoim współpracownikom, że mimo normalizacji sprawa „korytarza” wkrótce wróci. Chodziło więc Włochom chyba o to, aby spory polsko-niemieckie odżyły jak najprędzej.

W Warszawie doceniano - a może nawet przeceniano - antyniemiecki kierunek polityki włoskiej nad Dunajem. Beck mówił Szembekowi, że brak Włoch w tym rejonie powodowałby wzrost wpływów Berlina i Moskwy. W tej sytuacji Polska musiałaby wejść w konflikt z państwami, z którymi stosunki niedawno znormalizowała. Nie trzeba dodawać, że w takim wypadku nie można by było myśleć o równowadze politycznej. Polska wyrażała zainteresowanie paktem naddunajskim i zgłaszała chęć uczestniczenia w gwarancjach dla



niepodległości Austrii, ale nie chciała wracać na pierwsze miejsce wśród wrogów Niemiec. A o to, jak się wydaje, chodziło Włochom, gdy proponowały Polsce „zacieśnienie współpracy”.

Absurdalna i nieprzemyślana wyprawa włoska do Abisynii przekreśliła dotychczasową politykę Rzymu. Anglia, Francja, a wraz z nimi Polska oddalały się coraz bardziej od Włoch. jednocześnie sprawdzały się przypuszczenia Mussoliniego co do roli Niemiec, przypuszczenia, o których duce tak szybko zapomniał.

Musi zastanawiać duża aktywność polskiej dyplomacji na terenie Europy Południowej, warto więc chyba wyjaśnić jej przyczyny. Według opracowania sporządzonego przez MSZ, dotyczącego celów polityki polskiej, Rzeczpospolita miała być „drogowskazem” informującym innych o niemieckich zagrożeniach. Warszawa chciała doprowadzić do zbliżenia i współpracy między państwami naddunajskimi i uważała, że pierwszym krokiem na tej drodze powinno być przewyciężenie podziału na zwycięzców i pokonanych - z jednej strony Czechosłowacja, Jugosławia, Rumunia, z drugiej Austria, Bułgaria i Węgry. Blok Małej Ententy był zdaniem Becka zawałdą, gdyż umacniał jedynie podziały. Minister stwierdzał, że „dla Rumunii najgłówniejszym zagadnieniem była Rosja, dla Czech Niemcy, dla Jugosławii Włoch”. Rozbieżne interesy uczestników Małej Dohody nie gwarantowały współdziałania, a dzieląc rejon Dunaju osłabiały go w obliczu ekspansji Niemiec. „Dlatego - mówił Beck - Polska ze sceptycyzmem odnosiła się do tego związku”.

Konkludując, można stwierdzić, że rozmowy, spotkania i wizyty polskich dyplomatów były właściwie próbą ustalenia rzeczywistych zamiarów poszczególnych rządów.

Wydaje się, że zamiary Becka dobrze odczytał nasz poseł w Wiedniu, Jan Gawroński. Dyplomata ten pisał: „Na razie Beck zbierał informacje, zastanawiając się, czy nie dałoby się utworzyć bloku państw podlegających wpływom Polski i razem z nią szukających bezpieczeństwa między konkurującymi ze sobą mocarstwami”.

## **5. Skierować Hitlera na wschód**

Zmiana rządów w Rzeszy na hitlerowskie i normalizacja stosunków polsko-niemieckich w 1934 r. oznaczały bankructwo polityki Brianda, dążącego do zapewnienia bezpieczeństwa Francji przez porozumienie z Niemcami. W lutym 1934 r. ministrem spraw zagranicznych został Louis Jean Barthou, przyjaciel Poincarego, zwolennik śmielszej polityki w sprawach niemieckich. Czynnikiem zjednoczającym mu poparcie w Zgromadzeniu Narodowym była również swoista równowaga, jaką uzyskała Polska, rewanżując się za pakt lokarneński deklaracją z 26 stycznia. W Paryżu krążyły plotki, że Polska zapewniła Hitlerowi swobodę działań na zachodzie w zamian za gwarancje swoich granic, co wydawało się francuskim politykom nawet prawdopodobne, pamiętali bowiem, że sami niegdyś proponowali Niemcom różne formy kompensat kosztem Polski za spokój na zachodzie. Prawdopodobieństwo tych plotek było tym większe w sytuacji, kiedy zadrażnienia w politycznej współpracy z Warszawą rosły, a jednocześnie Berlin czynił wszystko, aby przekonać Europę o jak najlepszych stosunkach z Polską.

Wydaje się, że mieli sporo racji ci, którzy wskazywali, iż zachodnie mocarstwa starały się wszelkimi sposobami skierować niemiecką ekspansję na wschód. Grały przy tym rolę nie tylko względy ideologiczne, ale również klasyczna zasada polityki, polegająca na tym, aby niebezpieczeństwo wojny oddalać i wchodzić do konfliktu mając jak najwięcej swobody. Taką swobodę traciło się będąc obiektem agresji. Francuzi nie chcieli jako pierwsi odczuć siły hitlerowskiego uderzenia, a wszystko wskazywało na to, że tak się stanie. W Paryżu nie rozumiano Polaków, którzy twierdzili, że najlepszym sposobem powstrzymania agresji niemieckiej byłoby uniemożliwienie Rzeszy remilitaryzacji. Przeciwnie, uważano, że

zagwarantowanie równouprawnienia w zbrojeniach wpłynie uspokajająco na nastroje w Niemczech, a po spełnieniu kilku postulatów terytorialnych Berlina (np. zwrot „korytarza”) pokój zostanie zachowany. Kiedy zorientowano się, jak mylnie było to przekonanie, stało się za późno na odbudowę sojuszu z Polską, a Hitler mógł kpić z potęgi francuskiej armii.

Sytuację tę zdawał się dostrzegać lepiej od innych Barthou, toteż postanowił doprowadzić do stworzenia takiego systemu powiązań politycznych w Europie, aby potencjalny agresor musiał się liczyć nie tylko z siłami napadniętego, ale również pozostałych państw. Po rozmowach w Warszawie i Pradze doszło do spotkania francuskiego ministra z komisarzem Litwinowem w Genewie (18 V 1934). Barthou zaproponował zawarcie wschodnioeuropejskiego paktu wzajemnej pomocy, nazwanego później „paktem wschodnim” lub „wschodnim Locarno”. Francuski projekt przewidywał, że Polska, Czechosłowacja, ZSSR, państwa bałtyckie i Niemcy zawarłyby układ zobowiązujący do nieudzielenia pomocy państwu-agresorowi, a także do wzajemnych narad nad sposobami udzielenia pomocy napadniętym. Związek Sowiecki miał zapewnić mniejszym państwom bezpieczeństwo i wspierać je swymi siłami w razie zagrożenia, a Francja gwarantowałaby to samo ZSSR. Pod wpływem nacisków angielskich Barthou zmodyfikował swój projekt, uwzględniając wśród gwarantów bezpieczeństwa również hitlerowskie Niemcy.

Propozycja francuska była tylko pomysłem, i do tego mało realnym, a poza tym przychodziła za późno. „Powodzenie paktu - pisze Jarosław Jurkiewicz -- zależało od zgody wszystkich jego uczestników, a więc także od Niemiec”. Tymczasem Berlin był zdecydowanie przeciwny projektowi Barthou. W depeszy z 8 czerwca 1934 r., wysłanej przez Auswärtiges Amt do niemieckich placówek dyplomatycznych, stwierdzano: „Polityczna tendencja nowej propozycji paktu jest jasna. Niemcy mają być wciągnięte w system opanowany przez Francję i Związek Sowiecki. (...) Przy swym centralnym położeniu Niemcy stałyby się piłką w rosyjsko-francuskiej grze politycznej i wskutek tego zostałyby wciągnięte we wszystkie możliwe konflikty pomiędzy poszczególnymi państwami Wschodu. Rosjanie i Francuzi nie mogą pozostawać w nieświadomości co do tego, że nie możemy przystąpić do tego paktu. Łudzą się jednak, myśląc, że gdy odrzucimy tę propozycję, to ściągniemy na siebie odium za fiasko międzynarodowych starań w sprawie uregulowania problemu rozbrojenia. By pokrzyżować te plany, postąpimy właściwie nie odrzucając projektu *a limine*, przy czym będziemy mogli obok naszych zastrzeżeń podnieść jednocześnie pozytywne momenty propozycji i starać się o to, by ze strony innych państw wystąpiły również możliwie najliczniejsze obiekcje”. 13 czerwca Neurath tłumaczył Litwinowowi, że rząd niemiecki „odnosi się negatywnie” do kwestii paktu wschodniego, a w końcu sierpnia sugerował ambasadorowi Lipskiemu, że polski akces do paktu może wprowadzić Niemcy na drogę wrogiej Polsce polityki przypominającej okres Republiki Weimarskiej. Wreszcie ostatecznie 10 września 1934 r. rząd Rzeszy ogłosił komunikat i rozesłał zainteresowanym państwom obszerny memoriał wykluczający udział Niemiec w pakcie wschodnim.

Musiało to rzutować na stanowisko rządu polskiego; w tej sytuacji stanął on przed koniecznością wyboru między iluzorycznym paktem bezpieczeństwa, którego zawarcie było sprawą problematyczną, a zaostrzeniem stosunków z Niemcami i rezygnacją z podpisanego niedawno porozumienia gwarantującego Polsce odprężenie na tak trudnym odcinku niemieckim. Dla Becka czynnikiem dodatkowo nastrajającym nieufnie było przekonanie, że rezultatem paktu wschodniego będzie „pchnięcie krajów Europy Wschodniej, a zwłaszcza nas [Polski] i Czechosłowacji w objęcia Rosji, a następnie podporządkowanie całej tej grupy polityce francuskiej”. Dlatego Warszawa, nie dystansując się od projektu Barthou, postanowiła czekać na rezultaty francuskich zabiegów. Jednocześnie polska dyplomacja zgłosiła wiele zastrzeżeń do francuskiego projektu.

W połowie sierpnia 1934 r. w polskim MSZ zostały opracowane „Uwagi na temat stosunku Polski do paktu wschodniego”. Pierwsza część zawierała „zastrzeżenia natury politycznej”. Wskazywano w niej, że Polska nie może gwarantować bezpieczeństwa Litwie, skoro Kowno nie chce utrzymywać stosunków dyplomatycznych z Warszawą. Dowodzono, że brak Rumunii w projektowanym układzie osłabia system istniejących sojuszy (Rumuni podpisali konwencję określającą napastnika i byli związani z Polską sojuszem wojskowym). Obawiano się, czy udział Czechosłowacji w pakcie nie wciągnie Polski w orbitę polityki antywęgierskiej.

W drugiej części wspomnianego dokumentu zajmowano się „wątpliwościami natury prawno-traktatowej”. Poważne obawy budził fakt, że pakt wschodni nie gwarantował jego uczestnikom granic. Stwierdzano też, że ewentualna napaść na Polskę z zachodu lub wschodu nie dawała Rzeczypospolitej żadnych zobowiązań francuskich ponad te, które zostały określone w zawartym w 1921 r. sojuszu wojskowym. Obawiano się też skutków politycznych ewentualnej pomocy ZSSR dla Francji w wypadku wojny francusko-niemieckiej.

Zasadnicze obiekcje Warszawy wynikały z faktu, że każdy kolejny układ multilateralny oznaczał nowe ustępstwa na korzyść Niemiec i pozostawienie Rzeczypospolitej na łasce potężniejszych sąsiadów. Wysiłki Francji mające na celu zrewidowanie sojuszu z Polską wydawały się niezwykle podejrzane. Beck wiedział przecież, że Barthou zyskał poparcie angielskie i włoskie dla swego projektu dopiero po zapewnieniu, iż warunkiem zawarcia paktu wschodniego będą równe prawa w zbrojeniach dla Niemców. A Hitler nie zamierzał czekać na przyzwolenie mocarstw zachodnich. W początkach 1935 r. ogłosił przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej, zwiększenie pokojowych stanów armii i odtworzenie Luftwaffe. 21 marca 1935 r., rozmawiając z Laroche'em Beck z obawą mówił o zagrożeniu pokoju, które stworzyły Niemcy. Francuski dyplomata odniósł wówczas wrażenie, że polski minister czekał na „stanowcze reakcje” i konkretne propozycje. I tym razem jednak Paryż ograniczył się jedynie do protestu dyplomatycznego. Francja traciła coraz bardziej nadzieję na powstrzymanie zbrojeń w Rzeszy i starała się jedynie je „legalizować”, sądząc, że w ten sposób będzie można zachować nad nimi kontrolę.

Różnice w stanowiskach Warszawy i Paryża uwidoczniły się raz jeszcze podczas kwietniowej wizyty ministra Barthou w Polsce. Rozmowa szefa dyplomacji francuskiej z Piłsudskim dotyczyła między innymi spraw niemieckich. Kiedy Barthou zapewniał Marszałka, że Francja nie będzie więcej ustępowała Niemcom, usłyszał komentarz: „Ustąpicie, panowie, ustąpicie, nie byłibyście tym, czym jesteście, gdybyście nie ustąpili”. Po ponownym zapewnieniu Barthou, że nadszedł kres ustępstw, Piłsudski zapytał, co konkretnego zamierza zrobić Francja w sprawie niemieckiej remilitaryzacji. Francuz odpowiedział, że jego rząd nie uzna tych zbrojeń za legalne. Wówczas Marszałek zauważył ironicznie, że nielegalne armaty strzelają równie dobrze jak legalne.

Podobną ironię mógł dostrzec francuski attache wojskowy, kiedy w rozmowie z szefem polskiego sztabu usłyszał: „Możemy się tylko radować z posiadania z obu stron tak dobrze uzbrojonych sąsiadów”. Była to przejrzysta aluzja do paktu wschodniego, w myśl którego jeden z sąsiadów miał gwarantować bezpieczeństwo Polski przed zakusami drugiego.

Zastrzeżenia co do wartości paktu wschodniego wyrażały w Polsce nie tylko koła popierające Piłsudskiego. Zbieżna w znacznym stopniu była na przykład opinia na ten temat wyrażona przez Jana Maurycego Borskiego na łamach socjalistycznego dziennika „Naprzód” (18 VII 1934): „Zanim projekt francuski wejdzie w życie, jeśli w ogóle wejdzie w życie, upłynie jeszcze dużo wody. A tymczasem Niemcy zbroją się w zawrotnym tempie; podczas gdy dyplomacja francuska zabiega dopiero o zmobilizowanie Europy przeciw militarizmowi hitlerowskiemu, ten wzmacnia się z dnia na dzień. I może nadejść chwila, że Francja

zwycięży dyplomatycznie, ale zwycięstwo to okaże się niedostateczne i mało skuteczne wobec ogromnej przewagi Niemiec”.

Ostatecznie stanowisko Polski zostało przedstawione Francji 27 września 1934 r. Było to ponad dwa tygodnie po komunikacie niemieckim. Polskie MSZ stwierdziło: „Zdaniem Rządu Polskiego realizacja projektu układu o wzajemnej pomocy, zgodnego z koncepcjami Rządu Francuskiego, wymagałaby bez wątpienia przyłączenia się doń Niemiec”. W związku z tym oświadczone, że Polska „może jedynie potwierdzić swoje stanowisko dotychczasowe wobec projektu układu o pomocy, wysuniętego przez Rząd Republiki Francuskiej”.

Projekt paktu wschodniego był właściwie nie do zrealizowania. Plan Barthou, niezwykle skomplikowany technicznie, usiłował bowiem sprowadzić do wspólnego mianownika rozbieżne interesy różnych państw w Europie Środkowej i Wschodniej, a jednocześnie oddzielić spokojny i bezpieczny zachód od awanturniczego wschodu. Jeżeli pakt miał powstrzymać Niemcy, to musiało dziwić, że wśród jego sygnatariuszy zabrakło miejsca dla Austrii, państwa najbardziej narażonego na agresję hitlerowskich Niemiec. Po latach dość często słyszy się opinie, że to stanowisko Polski zadecydowało o krachu francuskiego projektu. Pojawia się przedziwna, ale nierzadko spotykana interpretacja możliwości polskich - tam gdzie można było coś osiągnąć i osiągnięto, zasługi przypisuje się wszystkim, tylko nie Polsce, natomiast kiedy jakaś inicjatywa się nie powiodła, to wówczas się okazuje, że wpływ Polski i Becka był tak przemożny, iż zaszkodził tej inicjatywie. Wydaje się, że podobnie rzecz się miała z paktem wschodnim.

Tym, co rzeczywiście rozstrzygnęło o realności projektu paktu wschodniego, było stanowisko Anglii. W Londynie bowiem należało wówczas szukać odpowiedzi na pytanie, jak się zachowa Francja. A w Londynie kształtowała się właśnie polityka „appeasement”. Przy końcu 1935 r. wysoki urzędnik Foreign Office, Ralph Stevenson, przedstawił bez osłonek aktualną linię polityczną brytyjskiego rządu: „W stosunku do Niemiec trzeba wybierać między dwiema metodami: albo kupować pokój, albo prowadzić wojnę. Anglia będzie się starała do ostatnich granic możliwości stosować pierwszą metodę. [...] Anglia będzie interweniować tylko w obronie *status quo* na zachodzie Europy, ale żadna Izba Gmin nie zgodzi się na interwencję w obronie istniejącego porządku rzeczy w centralnej lub wschodniej Europie, np. w obronie korytarza”. Pikanterii tej wypowiedzi dodawał fakt, że została ona wygłoszona w obecności polskich dyplomatów (Władysława Kulskiego i Jana Wszelakiego).

Stanowisko brytyjskie było właściwie rozumiane w Paryżu, skoro po śmierci ministra Barthou Francja porzuciła projekt paktu wschodniego.

A Hitler coraz mniej liczył się ze stanowiskiem Francji. Agresja włoska w Abisynii spowodowała konflikt polityczny między Paryżem i Londynem a Rzymem. Była to woda na młyn Hitlera. 13 stycznia 1935 r. w Zagłębiu Saary odbyło się głosowanie, w którym 90% uczestników wypowiedziało się za włączeniem do Rzeszy. Utworzone w 1919 r. Territoire de la Sarre było obszarem oddzielnym od Niemiec i administrowanym przez Francję z ramienia Ligi Narodów. Ten niewielki stosunkowo rejon (1900 km<sup>2</sup> i 800 tys. mieszkańców) stanowił niezwykle cenny nabytek dla hitlerowskiej maszyny wojennej. W Zagłębiu Saary znajdowały się kopalnie wysokoprocentowej rudy żelaza i węgla kamiennego (zasoby węgla obliczano na 9,2 mld ton).

I tym razem Francja nie podjęła żadnego działania. Nie uczyniła nic, aby nie utracić tego cennego obszaru. Oczywiście Hitler złożył ponownie „szczerze” zapewnienia o pokojowych celach polityki niemieckiej, a nawet zrzekł się pretensji do Alzacji i Lotaryngii.

Minął rok i Paryż otrzymał kolejny cios wymierzony przez Hitlera. 7 marca 1936 r. führer wypowiedział pakty lokarneńskie i obsadził wojskiem zdemilitaryzowaną strefę Nadrenii. Tym razem sprawa była znacznie poważniejsza. 50-kilometrowy pas niemieckiego terytorium na lewym brzegu Renu z Kolonią, Koblencją i Moguncją, pozbawiony umocnień i

garnizonów wojskowych, był terenem, z którego Francja mogła z łatwością opanować Zagłębie Ruhry. A to oznaczało sparaliżowanie niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Wprawdzie zniesienie okupacji Nadrenii przez wojska alianckie w 1930 r. pozwalało przypuszczać, że kiedyś Rzesza zajmie ten obszar, ale jednocześnie można się było spodziewać bardziej zdecydowanej reakcji Francji.

Informacje o hitlerowskich zakusach w stosunku do Nadrenii przedostały się dość wcześnie do Francji i Polski. Trzeba zresztą przyznać, że Niemcy nie czyniły tajemnicy z tych planów, tak jakby chciały przygotować Paryż na nieuchronne.

Stanowisko Polski w sprawie remilitaryzacji Nadrenii starał się wy badać minister spraw zagranicznych III Republiki Pierre Flandin w czasie rozmowy z ambasadorem Chłapowskim (17 II 1936 r.). Flandin rozpoczął swoją wypowiedź od przypomnienia, że Polska zabiega obecnie o uzyskanie pomocy finansowej, mającej pokryć część wydatków na zakup uzbrojenia, i sugerował, że Francja uzależnia przyznanie tej pożyczki od spełnienia przez Warszawę pewnych warunków. Twierdził także, że Francja nie jest pewna stanowiska Polski zarówno w sprawie Nadrenii, jak i w wypadku ataku niemieckiego na Czechosłowację, toteż powstały pewne trudności w sprawie pożyczki zbrojeniowej. Flandin groził, że brak współdziałania polskiego w sprawie Nadrenii unieruchomi armię francuską i „Polska byłaby wskutek tego zniewolona liczyć tylko na własne siły”. Wreszcie kierownik Quai d'Orsay wyłożył, czego oczekiwał od Warszawy. Chciał, aby Polska wraz z Francją złożyła w Berlinie protest dyplomatyczny, gdyby Hitler chciał rzeczywiście zająć strefę zdemilitaryzowaną. Polski ambasador krytycznie ocenił propozycję Flandina, wskazując, że dotychczasowa polityka francuska była najlepszym dowodem, dokąd można dojść wręczając Niemcom protesty dyplomatyczne.

Pojawiła się jednak konieczność bardziej dokładnego sprecyzowania stanowiska Polski w sprawie, która była przedmiotem rozmowy dyplomatów. Wprawdzie z prawnego punktu widzenia zajęcie Nadrenii nie naruszało integralności terytorialnej Francji, a więc nie obligowało Polski do wywiązania się z zobowiązań sojuszniczych, niemniej jednak Warszawa nie mogła przyglądać się temu faktowi obojętnie. Utrzymanie *status quo* nad Renem miało istotne znaczenie dla powodzenia operacji francuskich w razie agresji niemieckiej na Polskę. Zdawał sobie z tego sprawę Beck, będąc oficerem dyplomowanym, a także nowy szef GISZ generał Rydz-Śmigły, który właśnie wdrożył prace przygotowawcze nad nowym planem wojny z Niemcami.

Polskie dowództwo miało prawo przypuszczać, że francuscy wojskowi dostrzegali znaczenie strefy zdemilitaryzowanej. Zwłaszcza że generał Gamelin jeszcze w styczniu 1936 r. zapewniał generała Sosnkowskiego, iż w wypadku zajęcia Nadrenii Francja odpowie mobilizacją swojej armii. Trudno było nie traktować poważnie oświadczenia szefa sztabu sojuszniczej armii złożonego wobec najstarszego stopniem generała Wojska Polskiego. Połączone siły francusko-polskie, wsparte prawdopodobnie wojskami Belgii i Czechosłowacji, dysponowały nadal druzgocącą przewagą nad Niemcami. Nastroje wyrażające gotowość wystąpienia Polski po stronie Francji były tak powszechne, że informował o nich attache wojskowy Estonii, i to na podstawie rozmowy z szefem sztabu generałem Stachiewiczem.

Rankiem 7 marca 1936 r. słabe oddziały niemieckie wkroczyły do Nadrenii. Beck, uzgodniwszy stanowisko z prezydentem, premierem i generalnym inspektorem, wezwał ambasadora Francji Leona Noela na rozmowę i powołując się na wolę najwyższych władz swego kraju, oświadczył, że „wobec tego, co zaszło, Polska pragnie zapewnić Francję, iż w konkretnym wypadku pozostanie wierna swoim zobowiązaniom sojuszniczym”.

Słowa Becka wywarły ogromne wrażenie na ambasadorze, który nie podejrzewał, że usłyszy tego rodzaju oświadczenie. Podobne wrażenie wywarła polska deklaracja, kiedy przekazał ją francuskim władzom wojskowym zastępca attache wojskowego major Gustaw

Łowczowski. Nasz oficer został przyjęty przez Gamelina, który zapewnił, że Francja jest gotowa do działania, i dziękował Polsce za poparcie.

Niestety, fakty nie potwierdzały gotowości francuskiej. W Paryżu szerzył się defetyzm i obawa przed wybuchem wojny. Dowództwo największej armii lądowej zachowało się w obliczu nielicznych oddziałów niemieckich jak sparaliżowane. A przecież nie była wówczas potrzebna ani mobilizacja, ani działania wojenne, a jedynie ograniczona akcja o charakterze policyjnym, która przywołałaby Hitlera do porządku. Kanclerz Rzesz już wcześniej w dał swym oddziałom rozkaz natychmiastowego wycofania się, gdyby Francja interweniowała - interwencji jednak nie było. Ostatecznie postanowiono w Paryżu przekazać sprawę Nadrenii Lidze Narodów, z której Niemcy w 1933 r. wystąpiły. Anthony Eden, przemawiający w Izbie Gmin 9 marca 1936 r., potępił zajęcie Nadrenii, ale jednocześnie dodał: „Na szczęście nie ma jak dotąd żadnych powodów do przypuszczania, że obecne poczynania Niemiec kryją w sobie niebezpieczeństwo wojny”.

Przewidywania Becka potwierdziły się. Francja zaprzepaściła kolejną okazję umocnienia sojuszu z Warszawą i wspólnego poskromienia Hitlera. W tej sytuacji polski minister wykonał kilka manewrów asekuracyjnych, aby nie pogorszyć stosunków z Rzeszą. Czyż można widzieć w tym dowód „nieszczerości” polskiej oferty z 7 marca? Biorąc pod uwagę ówczesne wydarzenia, można odpowiedzialnie stwierdzić, że nie. Ma rację Henryk Bułhak pisząc o tej sprawie: „Ani [...] Anglia, ani Francja, pogrążone w marazmie, nie dawały Polsce żadnego ekwiwalentu za porzucenie przez nią »linii 26 stycznia«. Można by natomiast podejrzewać, że Flandinowi zależało na tym, aby przez poróżnienie Polski z Niemcami pchnąć ich ekspansję ponownie na wschód. Wiadomo także, że nawet tzw. dwulicowa gra Becka nie podważała w umyśle Noela przekonania o naturalnym niejako w wypadku wojny udziale Polski po stronie Francji. Co ważniejsze, we francuskich sferach politycznych, zwłaszcza wojskowych, szybko utwierdzała się świadomość lojalnej postawy Polski wobec Francji w okresie krytycznym”.

Politykom w Warszawie wydawało się, że linia równowagi nadal obowiązuje. Raz jeszcze wspólne interesy polsko-francuskie zostały nadwreżone brakiem zdecydowania nad Sekwaną.

## **6. Obrona czy atak?**

W latach poprzedzających rok 1939 wojskowi coraz częściej odgrywali pierwszoplanowe role w polityce wielu państw Europy. Reżimy totalitarne żywcem przenosiły wzory wojskowe na sferę życia społecznego. Wojsko było potrzebne zarówno wrogom „wersalskiego dyktatu”, jak i jego obrońcom. W miarę upływu lat coraz mniej prawdopodobna stawała się możliwość pokojowego rozstrzygnięcia nabrzmiewających konfliktów, a po 1933 r. było już jasne, że zbliża się wojna. Wojna, o której pisał Karl von Clausewitz, że jest „prawdziwym narzędziem polityki”.

Analiza ówczesnej myśli wojskowej i koncepcji strategicznych dojrzewających w sztabach armii europejskich dawała wiele do myślenia, gdyż często umożliwiała dostrzeżenie tego, czego nie można było odczytać z pokojowych i rozbrojeniowych deklaracji polityków.

Dominujący wpływ na myśl wojskową kształtującą się w owym czasie miały doświadczenia I wojny światowej. Wojny, która miała trwać krótko i przynieść szybkie, błyskotliwe zwycięstwo, a zamieniła się w długotrwałe walki pozycyjne toczone o każdy metr powierzchni między liniami okopów, pod ulewą pocisków, okupowane stosami zabitych. W okopach I wojny umarła myśl o manewrze i szybkim zwycięstwie. „Artyleria zdobywa teren, który piechota tylko zajmuje” - tak uogólniał doświadczenia wojenne mar-

szałek Philippe Petain. Obrona uzyskała trwałą przewagę nad atakiem, twierdzono w zwycięskiej Francji.

Nie wszystko jednak było tak oczywiste, jak sądziła francuska generalicja. W ostatniej fazie wojny pojawiły się dwa rodzaje broni, które miały zrewolucjonizować poglądy na temat przyszłej wojny. Były to czołg i samolot.

Początkowo nie znalazły one uznania w oczach czynników kierowniczych wielu armii. Francuzi uważali samolot za bezużyteczny na froncie, a Anglicy wątpili, czy czołgami można wygrać wojnę. Mimo to czołgi i samoloty zdołały jeszcze w 1918 r. dowieść swej przydatności bojowej. W rezultacie obok piechoty, artylerii i kawalerii pojawiły się nowe rodzaje wojsk - lotnictwo i wojska pancerne. Ich zwolennicy usiłowali przekonać świat, że przyszła wojna będzie „powietrzna”, „pancerna”, „motorowa”, a liczba czołgów i samolotów zadecyduje o zwycięstwie.

Potrzebę formowania wielkich armii pancernych dostrzegali początkowo tylko wojskowi sprzymierzonych. Twórca francuskiej broni pancernej, generał Jean Baptiste Estienne, już w 1922 r. domagał się tworzenia dywizji czołgów. Generał uważał, że Francja powinna sformować stutysięczną armię przewożoną na dziesięciu tysiącach samochodów i dysponującą czterema tysiącami czołgów. Sprzęt ten miał gwarantować wielkie zdolności ofensywne. Brytyjski generał John Fuller zalecał (w 1918 r.), aby aliansi zorganizowali trzy grupy pancerne, (razem 5 tys. czołgów) i zmasowanym atakiem przełamali front, a następnie zdruzgotali siły zbrojne Rzeszy. Podobnie jak Estienne, Anglik postulował tworzenie małych armii całkowicie zmechanizowanych, które miały gromić wroga wykorzystując zaskoczenie i szybkość. Koncepcję tę rozwinął w 1934 r. austriacki generał Ludwig von Eimensberger w pracy *Wojna pancerna* (polskie wydanie w 1937 r.). Twierdził on, że państwo dysponujące armią składającą się z 10 dywizji pancernych i takiej samej liczby zmotoryzowanych może być pewne wygranej nawet przy niezbyt licznych innych rodzajach wojsk.

Najciekawszą i najpełniejszą koncepcję użycia wojsk pancernych przedstawił ówczesny pułkownik Charles de Gaulle. W książce *Vers l'armee de metier* (wyd. 1934) proponował on utworzenie armii uderzeniowej będącej niejako grotem wojsk z mobilizacji powszechnej. „Oto nadszedł czas żołnierskiej elity i doborowych załóg” - pisał. Doborowy skład i wysoki poziom wyszkolenia miały gwarantować takiej armii „przewagę nad mniej lub bardziej bezładną masą wojsk” przeciwnika. De Gaulle proponował sformowanie armii na zasadzie zawodowej i ochotniczej. Liczbę jej określał na 100 tys. Jądro armii stanowiłyby dywizje zmechanizowane (sześć) i jedna lekka. Łącznie armia miała dysponować trzema tysiącami czołgów, silnym wsparciem artylerii i lotnictwa.

Konieczność sformowania takiej armii uzasadniał de Gaulle potrzebami wynikającymi z sytuacji politycznej w Europie. Przypominał o zobowiązaniach Paryża w Europie Środkowej i o rewizjonizmie Niemców. „Skoro możemy się znaleźć tu, następnie tam i gdzie indziej wobec faktów dokonanych, skoro pewnego dnia możemy zostać bez sojuszników i bez przyjaciół, wśród wzgardy świata i wobec nieprzyjaciół wzmocnionych swymi sukcesami, musimy być przygotowani, by w każdej chwili i w każdej sytuacji podjąć działania na zewnątrz granic naszego kraju”.

Poglądy pułkownika nie zyskały uznania władz III Republiki. Książka jego znalazła natomiast czytelników poza granicami Francji (przetłumaczono ją i wydano w Niemczech i ZSSR).

Możliwości i rola lotnictwa były drugą dominującą ideą, której wcielenie w życie miało zdaniem jej zwolenników zmienić oblicze wojny. O „wojnie powietrznej” pisali Hugh Trenchard, marszałek brytyjskiego lotnictwa, i Amerykanin Bill Mitchell. Największy rozgłos zyskała jednak praca włoskiego generała Giulio Douheta *Panowanie w powietrzu* (wydana w 1921 i ponownie w 1927 r.). Koncepcje Douheta miały poważny wpływ na rozwój lotnictwa wojskowego, najwyraźniejszy na US Air Forces.

Douhet był przekonany, że lotnictwo samo może wygrać wojnę. Wystarczyło mieć tysiąc samolotów i ich połową codziennie atakować wroga, aby zmusić go do kapitulacji. Generał zgadzał się z poglądami, że obrona zyskała przewagę nad natarciem, dlatego widział szansę w natarciu powietrznym, w natarciu, którego narzędziem miał być samolot ciężki, silnie uzbrojony i zdolny do przenoszenia wielkiej liczby bomb. Takie maszyny, latające dużymi grupami, służyłyby do atakowania żywotnych ośrodków na terytorium wroga i paraliżowania jego obrony. Douhet zamierzał zdobyć panowanie w powietrzu niszczącej ziemię. Budowę myśliwców i walki powietrzne uważał za zbędne. Pogląd ten miał poważny wpływ na zahamowanie rozwoju lotnictwa myśliwskiego między innymi w Polsce.

Wreszcie wypada wspomnieć o koncepcjach tzw. wojny totalnej, która zdaniem generała Ericha von Ludendorffa miała zawładnąć machiną wojenną państw znajdujących się w konflikcie zbrojnym. Jej wpływ na hitlerowski sposób prowadzenia wojny - co często podkreślano - był chyba przeceniany. Polityczne drogi autora *Wojny totalnej* i Hitlera rozeszły się na wiele lat przed opublikowaniem tej książki. Wprawdzie w czasie wojny wojska niemieckie zachowały się tak, jakby realizowały wskazania Ludendorffa, ale wydaje się, i że bardziej wynikało to z istoty hitleryzmu aniżeli ze stosowania myśli Ludendorffa.

W poglądach szerzących się w połowie lat trzydziestych można więc wyróżnić cztery kierunki. Zwolennicy pierwszego uważali za wystarczające doświadczenia wyniesione z I wojny światowej, propagatorzy drugiego dostrzegali czynnik decydujący w motorze i pancerzu, trzecia grupa przypisywała tę rolę samolotom, wreszcie czwarta widziała wojnę jako całościową, „totalną”, konfrontację wszystkich zasobów państw walczących. Zależnie od sytuacji geopolitycznej i celów polityki zagranicznej poglądy te miały mniejszy lub większy wpływ na kształt i rozbudowę armii. Dość łatwo można było rozpoznać, które państwa chcą utrwalenia *status quo*, a które dążą do zburzenia pokoju.

Głównym sojusznikiem Polski była Francja, a jej pomoc wojskowa miała gwarantować Rzeczypospolitej powodzenie w walce o utrzymanie niepodległości. Armia III Republiki, która pokonała II Rzeszę, miała uchronić porządek wersalski przed zakusami III Rzeszy. Elementy materialnej potęgi Francji wydawały się wystarczające do poskromienia Niemiec. Armia francuska liczyła ponad 500 tys. żołnierzy, a plany mobilizacyjne zakładały sformowanie pięciomilionowej armii na wypadek wojny. W 1934 r. Paryż utrzymywał na stopie pokojowej w metropolii 28 dywizji piechoty, 3 dywizje kawalerii oraz 2 dywizje lekkie (po 220 czołgów każda). Ogółem Francja miała prawie 3000 czołgów i 3600 samolotów. Marynarka wojenna zajmowała wysoką, czwartą pozycję w świecie.

Mimo to armia francuska nie przedstawiała się najlepiej jako siła ofensywna. Czołgi jedynie w 40% można było zaliczyć do nowoczesnych, a w lotnictwie ponad 60% stanowiły samoloty rozpoznawcze (bombowce 17%). Planowano podwojenie dywizji na wypadek wojny (do 70), ale nie zamierzano wystawiać dywizji pancernych. Obrona przeciwpancerna nie istniała, a obrona przeciwlotnicza dysponowała głównie starymi działami. Polski attache wojskowy, obserwujący ćwiczenia armii francuskiej w październiku 1934 r., i z przerażeniem informował, że „pod względem technicznego wyekwipowania wojska przedstawiały obraz z ostatniego roku wielkiej wojny (także w zakresie artylerii)”.

Dlaczego Francja nie dbała o nowoczesne środki walki? Dlatego, że były one zbędne. Podstawą planowania wojennego było przygotowanie do biernej obrony granicy z Niemcami, nad którą przez wiele lat budowano fortyfikacje, nazwane linią Maginota. Miały one zapewnić utworzenie „frontu ciągłego”, na którym ofensywa niemiecka połamie sobie zęby. Francuski historyk wojskowości A. Goutard następująco określał dążenia kierownictwa armii III Republiki: „»zamarynowanie« idei natarcia, stworzenie idealnego »frontu ciągłego« (linia Maginota), utrzymanie broni pancernej w jej dotychczasowej roli pomocniczej broni piechoty”. Jedynym rozbudowanym rodzajem wojsk przed 1936 r. były oddziały forteczne.



Na kierunki rozwoju armii wywierały wpływ poglądy Petaina, Gamelina i Weyganda. De Gaulle'a nie zamierzano słuchać. A Petain uważał że „front ciągły” jest „wielką rewelacją”. Potępiał broń pancerną, głosząc „bankructwo czołgów”. „Te dywizje pancerne są narzędziem zbyt ciężkim i mało zwrotnym” - skwitował wiadomość o stworzeniu pierwszych Panzerdivision w Rzeszy. Podobnie oceniał lotnictwo. „Bezpośredni udział lotnictwa w bitwie jest iluzją. Nie ma też mowy o bitwie powietrznej”. I czołgi, i samoloty miały być jedynie dodatkowym wsparciem dla działań piechoty.

Wojsko francuskie szkolono do działań defensywnych. Jego siła przebojowa była odwrotnie proporcjonalna do liczby dział, czołgów i samolotów, znajdujących się w dyspozycji francuskiego dowództwa. I wkrótce zaczęło się wydawać, że nie tylko ofensywa, ale każdy marsz do przodu to ryzykowne przedsięwzięcie o nieobliczalnych wprost następstwach. Kompleksu tego nie umiała Francja przełamać w latach 1933-1936, 1938-1939 i wreszcie w 1940 roku, roku klęski. Armia francuska straciła wolę walki na długo przed wybuchem wojny. Było to groźne memento dla jej polskiej sojusznicy.

Autorytetem politycznym dla Paryża był Londyn. Brytyjskie siły zbrojne miały wesprzeć wojska francuskie i tym samym zdecydować o skuteczności pomocy Zachodu dla Polski.

Imperium brytyjskie, rozpościerające się na 34 mln km<sup>2</sup> zamieszkałych przez ponad pół miliarda ludzi, było niewątpliwie pierwszą potęgą ówczesnego świata. Wprawdzie blask jej gasł przy rosnących wskaźnikach gospodarczego rozwoju Stanów Zjednoczonych, ale mało kto sądził, że brytyjski kolos ulegnie erozji w ciągu kilkunastu lat. W 1936 r. nikt prawdopodobnie nie przypuszczał, że Anglików zdystansują nie tylko dawni podwładni brytyjskiej korony, Amerykanie, ale także Niemcy, Japończycy i Rosjanie.

Już wówczas jednak brakowało Anglikom wiarygodnego dowodu siły - potężnej armii lądowej. Wojska brytyjskie (230 tys. ludzi), liczące 17 dywizji piechoty, 2 brygady kawalerii i jedną czołgów, nie miały czym zaimponować. Siły pancerne to 375 czołgów, a lotnictwo - 500 samolotów.

Podstawową siłą Anglii była jej flota opierająca się na wielkich okrętach liniowych i krążownikach (prawie 500 okrętów strzegło rozległych kolonii), angielska myśl wojskowa hołdowała bowiem ciągle starej koncepcji „panowania na morzach”. Flota była czynnikiem, który miał odstraszać konkurentów do kolonii i zapewnić sprawne przerzucenie korpusów ekspedycyjnych do tłumienia buntów. Europa interesowała Londyn o tyle, o ile mógł tam wyrosnąć jakiś morski konkurent. Anglia starała się więc zwalczać najsilniejsze państwo Europy, w miarę możliwości „cudzymi rękami”, i w końcowej fazie wojny włączyć się zbrojnie, aby wpłynąć na warunki pokoju.

Londyn nie dostrzegł w porę, że polityczne losy świata będą zależały od państw, które zdołają stworzyć silne armie lądowe, że wrogi lotnictwo może zagrozić bezpieczeństwu brytyjskiej metropolii, a flota nie zdoła temu zapobiec. „Dyplomacja kanonierek” przestawała wystarczać. Okręty liniowe nie miały większego wpływu na poczynania wojsk lądowych. Słaba armia lądowa Anglii - chociaż nowoczesna i wyszkolona w duchu ofensywnym - nie była w stanie wpłynąć decydująco na przebieg wypadków w Europie.

Sens doktryny wojennej Wielkiej Brytanii oddawało w istocie jedno zdanie wypowiedziane przez wybitnego teoretyka myśli wojskowej Basila Liddell Harta: „Wyrazem doskonałej strategii byłoby osiągnięcie celu bez poważnej walki”.

A zatem z dwóch potencjalnych sojuszników polskich sił zbrojnych jeden był zdolny tylko do obrony (dość mizernej, jak dowiódł 1940 r.), a drugi mógł przystąpić do działań po dłuższym okresie przygotowań i mobilizacji całości sił.

Najbardziej niezadowolone z pokoju w 1918 r. były Niemcy. Forsowne zbrojenia zaczęła Rzesza pod rządami NSDAP i w 1936 r. armia niemiecka nie przypominała już swej poprzedniczki Reichswehry, do której Europa zdołała się przyzwyczaić. Stan liczebny wojsk

Rzeszy wzrósł błyskawicznie z nominalnych 100 tys. do 550 tys. żołnierzy, powstały nowe dywizje piechoty (razem było ich 36), kawaleria została ograniczona do jednej brygady i kilkunastu samodzielnych pułków, a jej miejsce zajęły 3 dywizje pancerne i jedna brygada lekka. Liczba czołgów zbliżyła się do 1500, a Luftwaffe osiągnęła 1900 samolotów w pierwszej linii. Rozbudowa Kriegsmarine postępowała w znanym kierunku - okrętów podwodnych. Armia Rzeszy miała jednak liczne braki. Nie było wyszkolonych rezerw, czołgi - słabe i źle uzbrojone - nadawały się najwyżej do szkolenia, w lotnictwie używano dwupłatowych myśliwców Arado, a w marynarce wojennej nie zadbano o budowę lotniskowców. Mimo to wyraźnie rysowała się tendencja rozbudowy wojska pod kątem ataku.

Taka tendencja zwyciężyła w Niemczech jeszcze w czasach Republiki Weimarskiej. Dowódca Reichswehry, von Seeckt, uważał atak za najwłaściwszy rodzaj działań wojennych, toteż respektując formalnie ograniczenia traktatowe, usiłował maksymalnie rozbudować kawalerię, wówczas wojsko manewru i ataku. Jednocześnie wyrażał pogląd, że posiadanie dużej ilości uzbrojenia jest zbędne, skoro tak szybko się ono starzeje. Jego zdaniem w zupełności wystarczy, jeżeli Niemcy nie zaniedbają prac projektowych i studialnych nad nową bronią, a przemysł zachowa stałą gotowość dostarczania sprzętu do oddziałów w chwili wojny.

Hitler, nie liczący się zupełnie ze zobowiązaniami międzynarodowymi, podjął zbrojenia i nie zamierzał czekać z wykorzystaniem armii do chwili, gdy będzie ona całkowicie gotowa do wojny. Stała się ona instrumentem jego polityki od zaraz.

Przywódca NSDAP dążył do zmian w układzie sił na kontynencie europejskim na korzyść Niemiec i wiedział, że wojna o *Lebensraum* będzie starciem na śmierć i życie. Aby wygrać tę walkę, należało więc najpierw unicestwić Francję. Byłoby to łatwe, gdyby sojusznicy Paryża znaleźli się w politycznej orbicie Berlina. Hitlerowi potrzebne były również porozumienia z Rzymem i Londynem. Założenia były następujące: silniejszych zjednać, słabszych zastraszyć, izolować i rozbić Francję, a następnie na czele „ucywili-zowanej” przez Niemcy Europy uderzyć na ZSSR.

„Jak osiągnąć moralne załamanie nieprzyjaciela przed rozpoczęciem działań wojennych - oto zagadnienie, które mnie zajmuje”, te słowa führera dowodziły, że armia miała być elementem nacisku politycznego, tak obliczonego, aby uniknąć walki. „Dlaczego mam usiłować doprowadzić do rozkładu nieprzyjaciela środkami wojennymi - mówił Hitler przy innej okazji - skoro mogę to osiągnąć lepiej i taniej innym sposobem”.

Hitler zdawał sobie sprawę, że przedwczesne użycie sił zbrojnych może narazić Niemcy - po uruchomieniu systemu sojuszy francuskich - na klęskę militarną. Wolał więc straszyć wojenną potęgą Niemiec, kamuflując jej niedostatki, i kolejne zamiary wprowadzać w życie przez szantaż. Propaganda niemiecka ze wszystkich sił rozdmuchiwała wielkość nakładów Rzeszy na zbrojenia, lotnictwo zwiększano pokazując zagranicznym dziennikarzom ciągle te same samoloty, tyle że ze zmienionymi numerami, urządzono defiladę 500 czołgów i twierdzono, że tak wygląda każda niemiecka dywizja pancerna. W ten sposób Berlin oddziaływał paraliżująco na Paryż i z wolna podporządkowywał sobie Europę Środkową.

Hitler potrzebował armii, która umożliwiałaby Berlinowi szybkie i skuteczne interwencje w wybranych miejscach Europy, zgodnie ze starą maksymą Clausewitza: „Strategia polega na tym, aby zawsze być bardzo silnym w punkcie decydującym”.

Niemiecka myśl wojskowa nie stworzyła jednak nic odkrywczego. Wojskowi niemieccy wykazywali natomiast inną wyjątkową umiejętność: potrafili zręcznie wykorzystać dla własnych potrzeb zdobyte obcej myśli. Właściwy twórca niemieckich wojsk pancernych generał Heinz Guderian stwierdzał wprost: „Głównie książki i artykuły Anglików - Fullera, Liddell Harta i Martela - były tymi, które rozbudziły moje zainteresowania i dały materiał do przemyśleń [...]. Głęboko poruszony tymi ideami

próbowałem rozwinąć je w sensie praktycznym w naszej własnej armii”. Podobnie było z lotnictwem, skoro niemiecki spec od tych zagadnień, Helder, w książce *Wojna powietrzna 1936* powtórzył w zasadzie poglądy Douheta, modyfikując je nieznacznie dla potrzeb Luftwaffe.

Czołg i samolot były więc odpowiednimi środkami dla polityki Hitlera, polityki groźby i szantażu. Narodził się z tego *Blitzkrieg*, działający tak bardzo na wyobraźnię Europejczyków.

Drugim sąsiadem Polski był Związek Sowiecki. Polityczne i wojskowe położenie ZSSR było, zdaniem Moskwy, wysoce niekorzystne. Obsesja krucjaty imperializmu nie schodziła z łamów sowieckiej prasy, była obecna w wystąpieniach polityków i w propagandzie. Wprawdzie ogromne zasoby materiałowe i ludnościowe, równie wielkie przestrzenie, oraz wzrost wpływów zagranicznych partii podporządkowanych Kominternowi dawały duże możliwości obrony, ale defensywny wariant strategii był dla Kremla nie do przyjęcia. Jeżeli ustrój panujący w Rosji miał zwyciężyć w świecie, to nie można było zamykać go w granicach ZSSR. Stalin, odrzucając koncepcję tzw. permanentnej rewolucji, propagowanej przez Trockiego, nie zamierzał rezygnować z ekspansji poza granice swego imperium. Jego zamiar opierał się jednak przede wszystkim na akcji własnej armii regularnej.

W połowie lat trzydziestych kierownictwo sowieckie wzmogło rozbudowę potencjału wojskowego. Pomyślne wyniki osiągnięte w budowie przemysłu ciężkiego pozwalały na produkcję tysięcy czołgów, samolotów i dział. Źródła zachodnie podawały, że w lutym 1937 r. Armia Czerwona liczyła 1650 tys. żołnierzy. Oprócz tego formacje graniczne i NKWD oceniano na 220 tys. Armia była uzbrojona w 10,3 tys. dział, 10 tys. czołgów i 6 tys. samolotów. Według danych polskiego wywiadu ZSSR posiadał 93 dywizje piechoty, 22 dywizje kawalerii, 3 korpusy i 18 brygad zmechanizowanych (korpus - równowartość niemieckiej dywizji pancernej).

Ta potężna armia była przygotowana do wojny, którą władze ZSSR widziały jako wojnę koalicji państw kapitalistycznych z Sowietami. „Ostry klasowy charakter tej wojny z góry określał - piszą autorzy sowieckiej Strategii wojennej - że jej cele militarno-polityczne były absolutnie zdecydowane i wykluczały wszelką możliwość jakichkolwiek kompromisów”. Oceniano, że wojna będzie długotrwała i będzie wymagała zaangażowania wszystkich, środków znajdujących się w dyspozycji państwa. Ten pogląd na wojnę nie wykluczał - zdaniem sowieckich dowódców - możliwości szybkiego rozbicia słabszych uczestników wrogiej koalicji. Musiało to wpływać na plany Polski, która uważnie śledziła rozwój sowieckiej doktryny wojennej i ofensywnej siły armii ZSSR.

Podstawowym manewrem przerabianym w procesie szkolenia wojsk sowieckich był atak. „Zwycięży ten - pisał Michaił Frunze - kto znajdzie w sobie wolę nacierania”. Natarcie, jak przewidywano, toczyć się będzie na terytorium wroga, a tam, na co poważnie liczone, powinno dojść do współdziałania miejscowych mas pracujących z oddziałami Armii Czerwonej. Dlatego między innymi prawie zupełnie nie zajmowano się obroną, sprowadzając ją do roli podrzędnej.

Podstawą ofensywy miały być działania wojsk lądowych. O losach wojny decydowałyby „królowa broni” - piechota, i „bóg wojny” - artyleria. Dalekie rajdy wojsk pancerno-kawaleryjskich i wsparcie lotnictwa powinny tylko ułatwić wykonanie zadań piechocie. Teorie absolutyzujące rolę mas pancernych nie znajdowały zrozumienia u Stalina, skoro zaledwie jedna trzecia czołgów znajdowała się w wielkich jednostkach pancernych. W lotnictwie zarzucono myśl o rozwoju bombowców na rzecz lotnictwa pola walki (szturmowego), w marynarce wojennej natomiast ograniczono budowę okrętów podwodnych i lotnictwa morskiego, wzmacniając flotę wielkich okrętów nawodnych. „Również w radzieckiej doktrynie wojennej - pisze Julian Lider - ciążyło w pewnym stopniu przecenianie doświadczeń minionej wojny, w tym wypadku wojny domowej lat 1918-1921. [...] część

kierownictwa sił zbrojnych za aprobatą Stalina hamowała rozwój tych rodzajów wojsk [pancernych - R.Sz.] i tworzenie wielkich związków pancernych i zmechanizowanych”.

Armia sowiecka, uznawana za potężną, miała istotny minus wyraźnie dostrzegany przez polski wywiad. Ogromne masy uzbrojenia, dostarczane wojsku w latach 1933 - 1936, wymagały od gospodarki ZSSR permanentnej zdolności do ciągłej wymiany tego sprzętu w równie dużych ilościach. Wysiłek modernizacyjny rozpoczęty około 1930 r. zaowocował szczytem gotowości bojowej sił zbrojnych ZSSR w 1936 r. W razie braku konfliktu wojennego w ciągu najbliższych 4-5 lat cały ten sprzęt musiał się zestarzeć. W Polsce przewidywano, że w latach 1940-1941 w Związku Sowieckim będzie konieczny ponowny wielki wysiłek zbrojeniowy, jeżeli Armia Czerwona będzie chciała nadal zachować swoje zdolności ofensywne. Wydaje się, że tak też oceniał sytuację Hitler, skoro uderzył w czerwcu 1941 r. - w trakcie przeobrażania armii sowieckiej.

Jak na tym tle rysowała się sytuacja Polski?

Sąsiedzi dysponowali potężnymi i zdolnymi do szybkiego manewru armiami, a ich koncepcje prowadzenia wojny były wybitnie ofensywne, sojusznicy Rzeczypospolitej natomiast dalecy byli od zrozumienia prostej prawdy, że najlepszą formą obrony jest atak. Armia polska znajdowała się od lat pod względem ilościowym na takim samym poziomie. Wyścig zbrojeń powodował gwałtowne pogorszenie pozycji wojskowej Polski i jej sojuszników (według danych Ligi Narodów w 1936 r. ZSSR wydał ponad 31 mld złotych na zbrojenia, Niemcy 27 mld, Anglia nieco ponad 9 mld, a Francja jedynie 7 mld). Nie mieli oni dobrego sprzętu pancernego, bombowców, dział przeciwpancernych, środków łączności. W 1936 r. Wojsko Polskie znalazło się na najniższym poziomie gotowości bojowej.

Polskie poglądy na przyszłą wojnę wynikały nie tylko z doświadczeń ostatniej wojny (głównie 1920 r.), ale w równej mierze z analizy materialnych możliwości kraju i jego położenia geopolitycznego. Celem politycznym i wojskowym miała być obrona niepodległości i integralności terytorialnej państwa przed agresją zewnętrzną bez względu na jej kierunek. Za najgroźniejszych uważano Rosjan i Niemców oraz Litwinów, którzy mogli przyłączyć się do każdego ataku na Polskę. Czechosłowacja nie zagrażała Polsce, Łotwa była przyjaźnie neutralna, a Rumunia - sojusznicza, związana z Rzeczypospolitą układem i konwencją wojskową.

Początkowo rozpatrywano trzy warianty planu wojny: „N” - z Niemcami, „R” - ze Związkiem Sowieckim i „N+R” -jednocześnie z obydwoma sąsiadami. Rozwój sił zbrojnych potencjalnych przeciwników ukazał nierealność obrony przy trzecim wariantcie. Po 1928 r. w polskim sztabie pracowano nad planem wojny „Wschód”, a później planem „Zachód”, w obu wypadkach uwzględniając tylko jednego przeciwnika. Było to zrozumiałe w kategoriach planowania ściśle wojskowego, natomiast politycznie błędne. Należało przygotować plan działań chociażby tylko demonstracyjnych, ale dających światu dowód zorganizowanego oporu w razie agresji obu sąsiadów. Brak ten zemścił się 17 września 1939 r. na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej.

Podstawową przesłanką w polskim planowaniu wojennym było przekonanie, że wojsko polskie będzie działało w obronie. Ani plan „Wschód”, ani plan „Zachód” nie przewidywały polskich działań ofensywnych na terytorium wroga. Nie oznaczało to jednak, że obrona miała być statyczna i pozycyjna jak we Francji. Piłsudski uważał, że „tatyka opasłego okopu” była w polskich warunkach nieprzydatna (obliczono, że koszt ufortyfikowania granicy polsko-niemieckiej wyniósłby 20 mld złotych). Preferowano działania manewrowe i uderzenia na tyły i skrzydła wroga, zgodnie z przekonaniem Marszałka, że „tylko ruch da zwycięstwo”. Polskie czynniki kierownicze uważały, że będą w stanie wyprzedzić mobilizację wroga i zadać mu straty, nim zdoła on skoncentrować całość swych wojsk. Koncepcja ta była słuszna dopóty, dopóki sąsiedzi nie uzyskali tak sprawnego narzędzia wojny jak broń pancerna i lotnictwo. Odtąd trudno było myśleć, aby liczna, ale wolna piechota i słaba kawaleria mogły

zadać poważniejsze straty armiom dysponującym tysiącami czołgów i samolotów. Polska musiała stworzyć dla swej doktryny wojny manewrowej nowoczesne czynniki siły, jeżeli chciała dotrzeć do czasu wystąpienia swych sojuszników znad Sekwany i Tamizy.

W 1936 r. armia polska nie miała praktycznie szans na wykonanie zadań stawianych przez władze polityczne kraju. Najprostszym rozwiązaniem byłoby wyposażenie wojska w taką liczbę czołgów i samolotów, aby mogły poważnie zagrozić ewentualnym agresorom. Ale nowoczesny czołg lekki kosztował ponad 200 tys. złotych, bombowiec ponad 300 tys. złotych, samochód ciężarowy od 20 do 70 tys. złotych, działo przeciwpancerne około 37 tys. złotych, działo przeciwlotnicze 103 tys. złotych, haubica 155 mm 131 tys. złotych, a moździerz 220 mm ponad 511 tys. złotych. W sytuacji gdy budżet państwa sięgał 2,5 - 3 mld złotych, trudno było myśleć o zbrojeniach odpowiadających tempem Niemcom czy Związkowi Sowieckiemu. „Kierownictwo wojskowe II Rzeczypospolitej - pisze Bohdan Skaradziński w recenzji pracy Kazimierza Krzyżanowskiego poświęconej wydatkom wojskowym Polski - miało do rozstrzygnięcia problem zasadniczy: jak rozdysponować bardzo ograniczone środki finansowe pomiędzy będące we względnym nadmiarze zasoby ludzkie. Można było podzielić arytmetycznie ilość pieniędzy przez liczbę zdolnych do noszenia broni mężczyzn, mielibyśmy wówczas wojsko silne liczebnie, lecz z wyposażeniem nie odbiegającym ponad karabin maszynowy. Można też było nastawić się na najwyższy osiągalny poziom techniczny - armię zmechanizowaną i rozwinięte lotnictwo, wtedy otrzymalibyśmy bardzo postępowe wskaźniki nasycenia sił zbrojnych sprzętem, ale siły byłyby maleńkie, z pewnością niezdolne do podjęcia efektywnej obrony kraju, i pozostałby nie wykorzystany praktycznie cały potencjał ludzki, stanowiący wówczas w całym świecie podstawowy element obronności”.

Dylemat ten polskie dowództwo miało rozstrzygnąć w najbliższym czasie.

## **7. „Drugi marszałek”**

Obóz zwolenników marszałka Piłsudskiego nie miał nigdy cech jednolitej partii politycznej. Wśród piłsudczyków można było znaleźć ludzi o poglądach dość zróżnicowanych - od konserwatystów, głoszących potrzebę odbudowy monarchii z Piłsudskim na czele, do lewicujących zwolenników reformy rolnej i swobód demokratycznych. Do Piłsudskiego przyznawało się „Słowo” wileńskie i utworzone przy końcu okresu międzywojennego Stronnictwo Demokratyczne. Nawet organizacja firmująca oficjalnie sanację - Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem - nie miała nigdy jednolitego charakteru. Dodajmy przy tym, że nie wszyscy politycy uważający się za piłsudczyków należeli do BBWR.

Czynnikiem łączącym wszystkich był autorytet Marszałka. Dla każdego piłsudczyka, bez względu na odcień osobistych poglądów, wola Komendanta miała znaczenie decydujące. Ona rozpraszała wszelkie wątpliwości. Te wątpliwości rosły jednak po zamachu majowym, gdy ludzie Piłsudskiego ujmując ster rządów podporządkowali państwo swojemu przywódcy. Układ z ZSSR w 1932 r., dość szeroki margines działania pozostawiony opozycji (posłowie komunistyczni zasiadali w sejmie do 1935 r.), rozwój ruchu związkowego i strajki nie podobały się piłsudczykom, szukającym natchnienia w totalnych wzorach władzy. Rozbicie Centrolewu, wybory „brzeskie” w 1930 r., założenie obozu karnego w Berezie Kartuskiej i wiele innych faktów niepokoiło lewicujących zwolenników Piłsudskiego.

12 maja 1935 r., dzień śmierci Marszałka, był dla sanacji i dla Drugiej Rzeczypospolitej - skoro sanacja rządziła - dniem przełomowym. Odtąd każdy z prominentów starał się uzyskać pozycję jedyne „interpretatora” myśli zmarłego

przywódcy. W obrębie sanacji zniknął rozstrzygający czynnik, jakim był Marszałek, a pojawiły się liczne interpretacje myśli wodza. Spory rozpoczęły się niemal nazajutrz po złożeniu zwłok Piłsudskiego na Wawelu.

Konstytucja kwietniowa tworzyła system ustrojowy, w którym rolę pierwszoplanową powinien odgrywać prezydent Rzeczypospolitej. Twórcy kwietniowej ustawy popełnili błąd podobny do tego, który ciążył nad konstytucją marcową: w jednym i drugim wypadku uprawnienia prezydenta przykrojono na miarę Piłsudskiego. W 1921 r. siły polityczne niechętnie Piłsudskiemu ograniczyły prerogatywy prezydenta, sądząc, że Marszałek nim zostanie, a w 1935 r. sanacyjni prawnicy rozbudowali uprawnienia głowy państwa z tego samego powodu. System państwowy „po kwietniu” nie mógł zdać egzaminu, gdy po Piłsudskim przyszli ludzie ustępujący mu zdolnościami politycznymi i popularnością w społeczeństwie.

Następcą Marszałka nie mógł być prezydent Mościcki, który za życia Piłsudskiego nigdy nie starał się wykorzystać formalnej przewagi, jaką dawała mu funkcja głowy państwa. Sam Marszałek przygotowywał Mościckiego do odejścia, upatrując kandydata na prezydenta w osobie swego przyjaciela i najbliższego współpracownika, pułkownika Walerego Sławka. Ale i Sławek miał dopiero „dorosnąć” do urzędu pod okiem Piłsudskiego. Jednocześnie wiele posunięć Marszałka wskazywało na to, że przyszły generalny inspektor sił zbrojnych powinien skupić się na zagadnieniach czysto wojskowych.

Zgon Piłsudskiego - mimo wyraźnych oznak pogarszającego się stanu zdrowia Marszałka - zaskoczył sanację. Wkrótce okazało się, że Mościcki, wspierany przez Kwiatkowskiego, nie zamierza zrezygnować z urzędu na rzecz Sławka. Takie stanowisko prezydenta groziło rozłamem w łonie sanacji. Rysowała się wyraźnie grupa „pułkowników” wspierających Sławka - wśród nich był Beck - i grupa „zamkowa”, opowiadająca się za Mościckim. Po pewnym czasie stało się widoczne, że Sławek nie chce walczyć z Mościckim o „realizację testamentu Komendanta” i między obiema grupami doszło do kompromisu. Beck został na swym stanowisku ministerialnym w rządzie powołanym przez Mościckiego i rozłam rysujący się w obozie piłsudczyków został załagodzony. Wszyscy jednak wiedzieli, że Mościcki nie miał szans na zdobycie rzeczywistego przywództwa politycznego. Tym większe nadzieje musieli wiązać z osobą nowego generalnego inspektora. Było to stanowisko piastowane przez cały okres pomajowy przez Piłsudskiego.

Wydaje się, że nie Mościcki, Beck, Sosnkowski czy nawet Sławek, ale właśnie Edward Rydz-Śmigły miał najwięcej atutów w walce o przywództwo po Piłsudskim. Należało mu się ono niejako naturalnie (nie trzeba przeceniać propagandowych zabiegów Wojciecha Stpiczyńskiego) i to z wielu powodów. Po pierwsze jako generalny inspektor zostawał „wodzem” z urzędu, a po drugie dysponował wojskiem, tak ważnym w tamtych warunkach czynnikiem, którym umiejętnie posługiwał się Piłsudski. Po trzecie wreszcie, spośród sanacyjnej czołówki miał niewątpliwie najwięcej szans na zdobycie popularności w społeczeństwie. W pamięci narodu zachowało się wspomnienie jego zasług jako dowódcy armii w wyprawie kijowskiej i w bitwie nadniemeńskiej, natomiast nikt go nie obciążał odpowiedzialnością za niepopularne decyzje rządowe po maju. Takiej pozycji nie miał Sławek, a tym bardziej Beck. Wiele wskazywało, że z czasem nie tylko sprawy wojskowe, ale również polityka wewnętrzna i zagraniczna znajdą się ponownie w gestii generalnego inspektora. Jednak już teraz Beck musiał się liczyć z poglądami Śmigłego i nie miał takiej swobody działania, o jaką podejrzewał go ambasador Francji Leon Noel.

Śmigły-Rydz miał 49 lat, kiedy został generalnym inspektorem. Nazwisko Rydz otrzymał po przybranym ojcu, woziwodzie z Brzeżan, a pomoc jednej z rodzin inteligenckich umożliwiła mu zdanie matury i rozpoczęcie studiów malarskich. W 1908 r. Edward Rydz podjął działalność w konspiracji niepodległościowej kierowanej przez Piłsudskiego. W 1913 r. zaczął robić karierę jako oficer w ruchu strzeleckim (dowodził pierwszym batalionem

strzelców), a podczas wojny służył w Legionach - dowodził batalionem, pułkiem i przejściowo I Brygadą. W tym czasie przyjął pseudonim Śmigły, który stał się częścią nazwiska. W Polsce Odrodzonej stał na czele dużych jednostek wojskowych, później był inspektorem armii w Wilnie.

Czy rzeczywiście Piłsudski upatrywał w tym generale swojego następcę w sprawach wojskowych? Wiele wskazuje na to, że tak. Opublikowana przed laty ocena generałów polskich, którą sporządził Piłsudski jeszcze w 1922 r., zdaje się potwierdzać ten pogląd. Zacytujmy fragment dotyczący Śmigłego-Rydza:

„Pod względem charakteru dowodzenia. Silny charakter żołnierza., mocna wola i spokojny, równy, opanowany charakter. Pod tymi względami nie zawiódł mnie ani w jednym wypadku. Wszystkie zadania, które mu stawiałem jako dywizjonerowi czy dowódcy armii, wypełnił zawsze energicznie, śmiało, zyskując w pracy zaufanie swych podwładnych, a rzucałem go zawsze podczas wojny na najtrudniejsze zadania. Pod względem mocy charakteru i woli stoi najwyżej pośród generałów polskich. Z podwładnymi jest równy, spokojny, pewny siebie i sprawiedliwy. Natomiast co do otoczenia własnego i sztabu - kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiegokolwiek spory. W pracy operacyjnej ma zdrową, spokojną logikę i uporczywą energię dla spełniania zadania. Śmiała koncepcja go nie przeraża, niepowodzenia nie łamią. Szybko zyskuje wpływ moralny na podwładnych. Piękny typ żołnierza panującego nad sobą i mającego silną dyscyplinę wewnętrzną. Pracuje zawsze dla rzeczy, nie dla ludzi.

Pod względem objętości dowodzenia. Polecam każdemu dla dowodzenia armią. Jeden z moich kandydatów na naczelnego wodza. Bałbym się u niego dwóch rzeczy: 1) że nie dałby sobie rady w obecnym czasie [tzn. w 1922 r.] z rozkapryszonymi i przerośniętymi ambicjami generałów i 2) nie jestem pewien jego zdolności operacyjnych w zakresie prac naczelnego wodza i umiejętności mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz całego państwa swego i nieprzyjacielskiego”.

Obok Śmigłego kandydatami Piłsudskiego na naczelnego wodza byli Sosnkowski i Sikorski (sic!). Jednak opinia o Rydzu była niewątpliwie najlepsza. Potwierdził ją Piłsudski raz jeszcze w 1934 r., a zatem nominacja Śmigłego była zgodna z wolą Marszałka. Pogląd taki wyrażał zresztą generał Kutrzeba, który nazwał nominację Śmigłego „dosłowną” realizacją „wojskowego testamentu” Piłsudskiego.

Polityka zagraniczna, kształtowana przed 1935 r. przez Piłsudskiego przy pewnym udziale Becka, znalazła się teraz w gestii ministra, prezydenta i generalnego inspektora. Ci dwaj ostatni byli gorącymi zwolennikami współdziałania z Francją, co ograniczało możliwości manewru w kwestiach niemieckich, które zdawał się preferować Beck. Śmigły-Rydz nie kwestionował kompetencji Becka, niemniej jednak patrząc na sytuację Polski przez pryzmat wojska, dostrzegał, jak pogarszało się położenie Polski między Rzeszą a ZSSR. Francja miała więc obiektywnie duże znaczenie i generalny inspektor postanowił umocnić nadszarpnięty sojusz modernizując jednocześnie własne wojsko.

W czasie pierwszej rozmowy z ambasadorem Francji w Warszawie Śmigły zapewniał go, że Polska nie ma żadnego tajnego układu z Niemcami, a podczas jednej z rozmów z Szembekiem w końcu czerwca 1936 r. zalecał większą ostrożność w kontaktach z Berlinem. „Zbrojenia prowadzone przez nich [Niemców - R.Sz.] w sposób niekwestionowany skierowane są przeciw nam” - powiedział wówczas Śmigły. W Berlinie z niepokojem obserwowano nowego naczelnego wodza polskiej armii, natomiast w Paryżu uważano Rydza za polityka godnego zaufania.

Od dnia objęcia nowego stanowiska Śmigły-Rydz przystąpił do modernizacji wojska i przyspieszenia prac nad planem wojny Niemcami. W maju 1936 r. dekretem prezydenta powołano Komitet Obrony Rzeczypospolitej (KOR), w którym Śmigły został wiceprzewodniczącym. KOR miał koordynować wszystkie przedsięwzięcia dotyczące

przygotowań obronnych państwa. W Sztabie Głównym, kierowanym wówczas przez generała Wacława Stachewicza, podjęto prace planistyczne nad modernizacją armii. Do końca listopada 1936 r. zamierzano stworzyć plan przebrojenia i unowocześnienia wojska. Wkrótce pojawiły się pierwsze opracowania odnoszące się do poszczególnych rodzajów wojsk: artylerii (9 VIII 1936), lotnictwa (13 X 1936), obrony przeciwlotniczej (17 XII 1936). W tym samym czasie rozpoczęto studia sztabowe nad przygotowaniem planu „Z” - wojny z Niemcami.

W 1935 r. generalny inspektor polecił Sztabowi Głównemu i kilku generałom indywidualnie, by przystąpili do opracowania zapowiadanych studiów operacyjnych. Efektem było tzw. Studium „Niemcy”, którego pełna nazwa brzmiała: *Ocena sytuacji strategicznej Polski i wynikających z tej sytuacji możliwości działań obu stron*, przygotowane przez Sztab Główny.

Rozważając wojskowe położenie Polski w 1936 r. autorzy studium stwierdzali, że najgroźniejszy mógłby być atak niemiecki z północy („Ofensywa z tego kierunku na centrum Polski daje najszybsze i najpewniejsze wyniki”), ale nie z obszaru Prus Wschodnich, gdzie nie było możliwości wcześniejszej koncentracji większych sił. Występ śląski, wciśnięty między Polskę a Czechosłowację, też nie stanowił odpowiedniego terenu do zgromadzenia wojsk koniecznych do działań ofensywnych. Wisła dzieliła Polskę na dwie części, z których jedna, gospodarczo zasobniejsza i zamieszкана przez ludność rdzennie polską, była skazana na utratę. W dodatku zniszczenie dwu mostów na Wiśle i opanowanie Warszawy pozwoliłoby Niemcom na odcięcie i rozbitcie co najmniej jednej trzeciej sił zbrojnych Polski. „Wypływa stąd następujący wniosek - czytamy w opracowaniu Sztabu Głównego - jak długo istnieje zagrożenie z Prus Wschodnich, Polska nie posiada swobody działania w stosunku do Niemiec”. Oceniając możliwości działań polskich, autorzy studium wyraźnie stwierdzali, że powodzenie ofensywy polskiej będzie uzależnione od ofensywy francuskiej. Dopóki nie ruszy ta ofensywa, Polska będzie musiała wytrzymać napór niemiecki, broniąc rejonów Warszawa- Łódź i Kujawy-Wielkopolska oraz bijąc jednocześnie wojska niemieckie w Prusach Wschodnich. Po uzyskaniu swobody operacyjnej armia polska miała podjąć szersze działania zaczepne na kierunku zachodnim.

Na podstawie otrzymanych przesłanek Śmigły stworzył tzw. prowizoryczny plan wojny z Niemcami zatwierdzony tuż przed przyjazdem generała Gamelina (w lipcu 1936 r.) do Warszawy. Generalny inspektor zakładał, że stroną atakującą będzie Rzesza, a terenem bronionym - rejon kujawsko-wielkopolski (wyraźny wpływ Studium „Niemcy”). W tym celu zamierzał skoncentrować główne siły - trzy armie (20 dywizji piechoty i 8 brygad kawalerii) - w trójkącie, którego wierzchołki opierały się o Grudziądz, Wartę za Poznaniem i Kutno. Na skrzydłach głównego ugrupowania miały działać dwie armie -jedna przeciwko ewentualnemu atakowi na Śląsk, druga przygotowana do ataku na Prusy Wschodnie.

Plan ten, jak oceniali specjaliści, był nie tylko ambitny, ale również realny. Jednocześnie jednak w planie tym uderza brak wniosków, które Śmigły powinien był sformułować, wniosków, wskazujących, co należało uczynić dla poprawienia geopolitycznego położenia walczących armii. Zakładano też przyjęcie na siebie głównego uderzenia niemieckiego i jednocześnie godzono się *a priori*, że Francja wystąpi później. Czy można było to tłumaczyć tylko względami mobilizacyjnymi? Nie potrafiono (nie chciano?) także dostrzec równie zagrożonej Czechosłowacji, uzyskać wydatniejszej pomocy od Rumunii i przede wszystkim - Francji (choćby lotnictwa i marynarki wojennej). Śmigły wydawał się nie brać pod uwagę udziału sąsiadów w konflikcie z Rzeszą - wystarczyło mu, aby byli neutralni. I to w latach, gdy Hitler nie zaniedbywał umacniania potencjału Rzeszy, podporządkowując coraz większe tereny przyległe do granic niemieckich. Czyżby potwierdzała się obawa Piłsudskiego, że Śmigły nie potrafi działać całością sił państwa?



Rozmowa Rydza-Śmigłego z generałem Gamelinem w Warszawie była okazją do wymiany poglądów na temat współdziałania obu armii. Gamelin uznał polską koncepcję działań wojennych za słuszną, ale ostrzegał Śmigłego przed zbyt dalekim wysunięciem wojsk na zachód. Jednocześnie poruszył sprawę współdziałania armii polskiej, czeskiej i sowieckiej. Zdaniem Francuza ZSSR mógłby udzielić Polsce pomocy, gdyby jego wojska przeszły przez Litwę i uderzyły na Prusy Wschodnie. Czechosłowacja natomiast mogłaby wraz z Polską założyć kleszcze na występ śląski. Generalny inspektor odrzucił pierwszą z sugestii Gamelina, twierdząc, że pomoc sowiecka powinna ograniczyć się do wsparcia lotnictwem, a współdziałanie z Czechami miałoby, jego zdaniem, walor operacyjny dopiero w czasie ofensywy francuskiej. Dlatego Śmigły starał się skłonić swego rozmówcę do wyraźniejszego sprecyzowania zamiarów francuskiego dowództwa. Niestety, w tej sprawie nie udało się dojść do bardziej konstruktywnych ustaleń. „Generał Gamelin - relacjonował szef polskiego sztabu - nie chciał dać żadnych ściślejszych zobowiązań co do sposobu i czasu czynnego wystąpienia sił zbrojnych francuskich w wypadku ataku Niemiec na Polskę”. Mimo to rezultaty wizyty Gamelina w Warszawie miały niewątpliwie pozytywny wydźwięk, gdyż utwierdzały Paryż w przekonaniu, że Niemcy były nadal wspólnym wrogiem Polaków i Francuzów.

30 sierpnia 1936 r. generał Śmigły-Rydz przybył z rewizytą do Francji. Program wizyty, której w Paryżu nadawano wielkie znaczenie, był bardzo bogaty. Gość z Polski uczestniczył w manewrach na terenie Szampanii, zwiedzał linię Maginota, rozmawiał z Gamelinem, premierem Blumem, ministrem spraw zagranicznych Delboscem, ministrem finansów Auriolem, wreszcie prezydent Republiki Lebrun dekorował go Wielką Wstęgą Legii Honorowej. Oto, jak pisał Ciałowicz o zamierzonych efektach tej wizyty:

„Celem podróży generała Śmigłego - ustalonym w porozumieniu z Beckiem i Łukasiewiczem, który przeprowadzał wstępne rozmowy na gruncie paryskim, a generał Stachiewicz w Warszawie z francuskim attache wojskowym - było:

- przywrócenie pełnej ważności układowi sojuszniczemu z 1921 r., którego tekst był lepszy i pełniejszy od lokarneńskiego paktu gwarancyjnego z 1925 r.;
- uzyskanie dwóch miliardów franków kredytu wojskowego, podzielonego na kredyt finansowy i materiałowy;
- zacieśnienie współpracy wojskowej w celu zapewnienia automatycznego i skutecznego działania sojuszu”.

Rozmowy Śmigłego w sprawie uzyskania pożyczki szły niezwykle opornie. Początkowo rząd francuski godził się jedynie na kredyt materiałowy bez przyznawania Polsce pieniędzy. W projekcie francuskim znalazła się nawet klauzula, w myśl której Francja zamierzała zapewnić sobie pełną kontrolę nad sposobami wykorzystania dostarczonego Polakom uzbrojenia i materiałów wojennych. Dyskwalifikowało to oczywiście w oczach Śmigłego cały projekt. W rezultacie Francuzi musieli go zmienić i w końcu zdecydowano, że Polska otrzyma taki kredyt, jakiego żądała - łącznie 2250 mln franków. 6 września 1936 r. na zamku w Rambouillet została podpisana przez generała Śmigłego-Rydza i prezydenta Lebruna umowa dotycząca pożyczki. Do 1939 r. zdołano wykorzystać 1380 mln franków, w tym z części materiałowej (1 mld franków) otrzymała Polska jedynie 13% przyznanej kwoty.

Rozmowy polsko-francuskie zainicjowane przez Śmigłego nie były jedynymi oznakami rosnących wpływów politycznych generalnego inspektora. Od końca 1935 r. Śmigły-Rydz zaczął coraz częściej zjawiać się na licznych zjazdach wojskowych i kombatanckich, gdzie wygłaszał przemówienia. Jego pozycja umocniła się jeszcze po dymisji rządu Mariana Kościłkowskiego - sprzymierzeńca Mościckiego. Nowy premier generał Felicjan Sławoj Składkowski publicznie zapewniał, że „z rozkazu Śmigłego poszedł na patrol”. Rząd Sławoja, będący rezultatem kompromisu między grupami sanacyjnych polityków, okazał się w praktyce wzmacniającym wpływy jednego z nich - Śmigłego. Dzięki dekretni

prezydenta, który mianował Rydza formalnie naczelnym wodzem - faktycznie był nim w dniu objęcia GISZ - uznał on, że może korzystać z uprawnień przekraczających ramy konstytucyjne. 9 maja 1936 r. zjawił się na posiedzeniu gabinetu i wystąpił z pozycji nadrzędnych w stosunku do ministrów. Przedstawił wtedy własną ocenę międzynarodowego położenia Polski, ale zaakceptował w zasadzie prowadzoną przez Becka politykę równowagi. Na pewno jaśniej dostrzegał zagrożenie niemieckie i dlatego domagał się aby rząd podjął wysiłki umożliwiające rozbudowę potencjału wojskowego państwa.

Kilka dni później (24 V 1936) Śmigły mówił na zjeździe legionistów: „[...] zwracam się do was - spójrzcie na naszą wschodnią i zachodnią granicę i przeprowadźcie sobie krótkie porównanie. Nie będę mówił o statystyce przemysłu i handlu, nie będę wam mówił o uzbrojeniu, o bogactwach naturalnych, o innych wielkościach i cyfrach. Chcę tylko na jeden moment zwrócić uwagę, na drogę, na której na pewno możemy dorównać sąsiadom. Jest to sprawa zorganizowanej i kierowanej woli ludzkiej [...]. Uważam, że jedynym naszym hasłem, które może być pionem naszym moralnym, jest hasło obrony Polski. Jestem głęboko przekonany, że w tym programie wszystko się znajdzie, że znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie. Mam wrażenie, że hasło obrony Polski jest jak gdyby potężnym łańcuchem, który jest jednym końcem przytwierdzony do Polski. Chodzi o to, ażeby jak najwięcej dłoni chwyciło za ten łańcuch, trzeba go sobie przerzucić przez ramię i ciągnąć, ciągnąć, chociażby w krzyżach trzeszczało. Aby Polskę podciągnąć wyżej!”

Inny fragment przemówienia był zaadresowany wprost do zebranych. „Koledzy! Trzeba umieć patrzeć prawdzie w oczy. Gdybyśmy uważali, że Polska może liczyć tylko na nas, mając trzydzieści kilka milionów obywateli, to świadczyłoby tragicznie o Polsce. Wy, mając twarde, wyrobione dłonie, jesteście do tego przygotowani, aby pierwsi chwycić za ten łańcuch, ale obok was muszą stanąć inni i wy musicie starać się o to, aby obok was stanęli [...]. Jeżeli nie potraficie karnie, bez zastrzeżeń, z wyrzeczeniem się osobistych perspektyw pracować we wspomnianym przeze mnie kierunku, w takim razie należy sobie powiedzieć: jesteśmy żołnierzami, którzy walczyli o niepodległość Polski, to jest nasz zaszczyt, nasz dawny tytuł do sławy, lecz Polsce dzisiejszej nie mamy nic do powiedzenia, niech jej inni przewodzą”.

13 lipca 1936 r. prezydent Mościcki - jak się wydaje - pogodził się z faktami. Tego dnia bowiem uznał Śmigłego za osobę współrządzającą państwem. Premier wykorzystał to natychmiast i ogłosił dość niezręczny okólnik (15 VII 1936), w którym rozkazywał, aby wszyscy urzędnicy państwowi „z prezesem rady ministrów na czele” okazywali Śmigłemu „objawy honoru i posłuszeństwa”.

Wreszcie ostatnim krokiem na drodze Śmigłego-Rydza do uzyskania nadrzędnej pozycji w państwie było wręczenie mu 11 listopada 1936 r. buławy marszałkowskiej.

Mimo to „drugi marszałek” nie zdobył takiego autorytetu, jakim cieszył się jego poprzednik. Musiał liczyć się ze stanowiskiem innych piłsudczyków. Wpływy Śmigłego, tak wyraźnie zaznaczające się w różnych działach życia państwowego, były zdecydowanie za małe w dziedzinie kierowanej przez Becka. Generalny inspektor jasno widział chmury zbierające się nad zachodnią granicą Polski, starał się opracowywać plany działań obronnych i modernizacji armii, usiłował rozbudować przemysł obronny, było to jednak tylko poprawianie położenia, a nie rozwiązanie trudnego zagadnienia. Wiadomo przecież, że Polska nie mogła wygrać wyścigu zbrojeń z Hitlerem. Rzeczypospolitej potrzebna była nowa koncepcja polityki zagranicznej, która zapewniałaby jej wojsku szanse wykonania trudnych zadań.

Tego Śmigły nie widział, czy nie chciał widzieć?

## Rozdział V KU WOJNIE

### 1 . Zwiastuny wojny

Aktem zwiastującym nadciągającą wojnę był pakt antykominternowski podpisany 25 listopada 1936 r. przez Niemcy i Japonię, a rok później (6 XI 1937) przez Włochy. W części paktu ujawnionej opinii publicznej stwierdzano, że państwa układ ten podpisujące zobowiązywały się do wymiany informacji o działaniach III Międzynarodówki i zamierzały uzgadniać wspólne kroki w zwalczaniu Kominternu. W protokole dodatkowym zapowiadały utworzenie stałej komisji, która miałaby za zadanie koordynować walkę z ruchem komunistycznym. Istniały również tajne postanowienia paktu. W jednym z nich Rzesza i Japonia zobowiązywały się do życzliwej neutralności i konsultacji, w wypadku gdyby jedno z państw znalazło się w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim. Ten sam dokument nakładał obowiązek niezawierania układów politycznych z ZSSR. Nawiasem można dodać, że tego punktu w 1939 r. Hitler nie respektował. W okresie walk japońsko-sowieckich nad Chałchyn-goł (11 V - 31 VIII 1939) Berlin układał stosunki z Moskwą, czego widowym dowodem był pakt o nieagresji. „Po zawarciu paktu niemiecko-radzieckiego w sierpniu 1939 r. - pisze Marian Wojciechowski - rząd japoński stwierdził w nocy przekazanej rządowi Rzeszy, że pakt ten stoi w sprzeczności z tajnymi postanowieniami paktu antykominternowskiego”. Jak widać, Hitler dość dowolnie traktował swoje założenia ideowe. Japonia zresztą odpłaciła Rzeszy tą samą monetą, zawierając z ZSSR pakt o nieagresji 13 kwietnia 1941 r., czyli w przededniu ataku Hitlera na Związek Sowiecki.

Z polskiego punktu widzenia ważniejsze od udziału Japonii było przystąpienie Włoch do montowanego przez Berlin bloku. Stanowisko Rzymu oceniano wówczas jako dość chwiejne, a zainteresowanie Austrią i rejonem naddunajskim zdawało się wskazywać, że Mussoliniego wiele dzieli od Niemców. Jednak agresja włoska na Abisynię, a później współdziałanie z Hitlerem w popieraniu generała Franco połączyły Berlin i Rzym mimo pewnych sprzeczności interesów. Stało się to jasne, gdy dyktator Włoch, jeszcze przed przystąpieniem do paktu antykominternowskiego, ogłosił światu powstanie osi Rzym - Berlin jako nowego elementu w polityce międzynarodowej. Spektakularne sukcesy w Afryce przesłoniły Mussoliniemu rzeczywisty interes Włoch, nakazujący trzymać się jak najdalej od Niemiec.

Włochy potrzebne były Hitlerowi do zrealizowania planów na południu, głównie w Austrii. W Berlinie zdawano sobie sprawę, że duce był łatwy do kupienia gestami obliczonymi na pokaz, toteż w czerwcu 1936 r. Hitler zapewnił go, że Niemcy uznają natychmiast „imperium” włoskie, jeżeli Rzym tylko sobie tego zażyczy. Przy końcu września przyjechał do Rzymu niemiecki minister sprawiedliwości Hans Frank, aby w imieniu Hitlera zaprosić Mussoliniego do odwiedzenia Rzeszy. Frank przy tej okazji zapewniał duce, że Hitler „uważa Morze Śródziemne za morze wyłącznie włoskie”. „Włochy mają prawo - mówił hitlerowski minister - do uprzywilejowanej pozycji nad tym morzem i do władania nim. Niemiecka sfera interesów leży nad Bałtykiem, który jest ich [Niemców - R.Sz.] Morzem Śródziemnym”. Frank poruszył też sprawę Austrii oraz kolonii i zapewnił ponownie o niemieckiej gotowości uznania włoskich zdobyczy terytorialnych. W końcu wyraził przekonanie Hitlera o potrzebie „coraz silniejszej współpracy Niemiec i Włoch”.

Franka rewizytował minister spraw zagranicznych Włoch Galeazzo Ciano, który został przyjęty również przez von Neuratha (21 X 1936) i Hitlera (24 X 1936). Główną treścią

wywodów kanclerza podczas rozmowy z Ciano była potrzeba wspólnego frontu przeciwko „bolszewizmowi i mocarstwom zachodnim”. Hitler zastanawiał się wówczas, czy owego frontu nie powinny uzupełnić takie państwa jak Polska, Węgry i Japonia, gdyż tego typu blok miałyby decydujący wpływ na stanowisko Wielkiej Brytanii. Gdyby jednak Londyn okazał się wrogiem „osi”, wówczas jej siły byłyby wystarczające do pokonania Anglii. „Zbrojenia niemieckie i włoskie - mówił führer - postępują znacznie szybciej, niż mogą postępować zbrojenia Wielkiej Brytanii, gdzie chodzi nie tylko o produkcję statków, armat i samolotów, lecz także o psychologiczne zbrojenia, co jest znacznie trudniejsze i trwa dłużej. Niemcy będą gotowe za trzy lata, za cztery bardziej niż gotowe, a jeśli będą miały przed sobą pięć lat, to jeszcze lepiej [...]. Anglicy uważają, że na świecie są teraz dwa państwa kierowane przez awanturników: Niemcy i Włochy. Ale Anglią też kierowali awanturnicy, kiedy budowała swoje imperium. Dziś rządzą nią tylko niedołęgi”.

Mimo awansów czynionych Włochom przez Hitlera, Rzym nie zdecydował się na przystąpienie do paktu antykominternowskiego. Rok 1937 poświęcił więc Hitler na intensywną konsolidację „osi”, wysyłając więcej niż zwykle swoich zauszników nad Tybr. W styczniu 1937 r. pojechał do Włoch Göring, w maju - Neurath, w czerwcu - Blomberg, w październiku - Ribbentrop. O stanowisku Rzymu przesądziła wizyta Mussoliniego w Niemczech, którą odbył przy końcu września. O wizycie duce tak napisał angielski historyk Alan Bullock: „Hitler przyjął Mussoliniego w Monachium, we wspaniałej scenerii, włączając w to wielką defiladę oddziałów SS. Nie dając Mussoliniemu nawet dobrze odsapnąć, zawieziono go na pokaz militarnej potęgi Niemiec, na manewry w Meklemburgii i do zakładów Kruppa w Essen, aby zapoznał się z przemysłowymi zasobami kraju. Ukoronowaniem tej wizyty było przyjęcie w Berlinie: miasto przystroјиło się odświętnie na przyjęcie czulego pod tym względem gościa, a obaj dyktatorzy, stojąc obok siebie, przemawiali do 800-tysięcznego tłumu [...]. [Mussolini - R.Sz.] wrócił do Rzymu urzeczony pokazem potęgi tak starannie dla niego wyreżyserowanym”.

Nic też dziwnego, że październikowa wizyta Ribbentropa przyniosła Hitlerowi upragniony akces Włoch do antykominternowskiego paktu. Mussolini powiedział wówczas Ribbentropowi, że „znudziło mu się” stanie na straży austriackiej niepodległości. „Austria - oświadczył duce - jest niemieckim państwem nr 2. Nigdy nie będzie mogła niczego dokonać bez Niemiec, a cóż dopiero przeciwko nim. Włochy obchodzi ona teraz mniej żywo niż przed paroma laty przede wszystkim dlatego, że imperium włoskie rozwija się w kierunku Morza Śródziemnego i kolonii”. I nawiązując do niedawnej wizyty kanclerza Austrii we Włoszech, dodał, że Schuschniggowi „wyraźnie powiedziano”, iż na wypadek jakiegoś kryzysu w Austrii „Włochy się nie ruszą”. W sprawie austriackiej Mussolini zaczął się posługiwać argumentami Hitlera, gdy stwierdził, że nie należy „narzucać Austrii niepodległości”.

Pakt antykominternowski stał się faktycznie instrumentem hitlerowskiej agresji przeciwko mocarstwom zachodnim. Zanim wybuchła II wojna światowa, przystąpiły do niego Węgry (24 II 1939) i Hiszpania (27 III 1939), natomiast po rozpoczęciu działań wojennych Bułgaria, Dania, Finlandia, Rumunia, Słowacja i marionetkowe państwo Mandżukuo. Charakterystyczne, że wśród tych państw nie było Polski, chociaż to przede wszystkim jej udział gwarantowałyby Hitlerowi szybką ekspansję w kierunku wschodnim.

O stanie stosunków polsko-niemieckich w okresie międzywojennym świadczyły zwykle położenie ludności polskiej mieszkającej w Rzeszy i respektowanie interesów państwa polskiego na terenie Wolnego Miasta Gdańska.

Formalnie pozytywne zmiany, jakie zaszły w Rzeszy po podpisaniu deklaracji o nieagresji w 1934 r., faktycznie nie znalazły odzwierciedlenia na tych terenach Niemiec, na których Polakom wypadło żyć. Dlatego też Naczelna Rada Związku Polaków w Niemczech postanowiła starać się o rozmowę z Hitlerem, aby przedstawić rzeczywiste położenie ludności polskiej. W uzasadnieniu tej decyzji polscy działacze pisali, że „oświadczenia

oficjalne, zapowiadające zaniechanie germanizacji, nie zostały natychmiast poparte zmianą stosunków rzeczywistych. Przeciwnie, stosunek do ludności polskiej w Niemczech został zaostrzony przez systematyczne utrudnienia w pielęgnowaniu narodowej odrębności oraz stałe przeciwstawianie się zaspokajaniu najprostszych nawet narodowych uprawnień w dziedzinie kościelnej i religijnej, oświatowej i kulturalnej, społecznej i gospodarczej”. Na potwierdzenie tych słów można było przytoczyć liczne szykany, którym poddawano ludność polską w Rzeszy. W lipcu 1937 r. na przykład policja niemiecka przeprowadziła rewizję w berlińskich biurach Centrali ZPwN i w redakcji „Dziennika Berlińskiego”. Podobne rewizje miały miejsce na Śląsku Opolskim - w Raciborzu, Gliwicach, Opolu i w prywatnym mieszkaniu Arki Bożka w Markowicach. Szukano „niedozwolonych” książek, do których zaliczano między innymi *Na tropach Smętka* Melchiora Wańkowicza, *Śpiewnik dla kół śpiewających Westfalii i Nadrenii*, *Śpiewnik harcerski*, *Na Śląsku Opolskim* Stanisława Wasylewskiego. Gestapo domagało się spisów członków polskich organizacji młodzieżowych, którym to organizacjom zakazywano zebrzań. Zwiększyły się trudności przy przekraczaniu granicy z Polską. 16 sierpnia 1937 r. aresztowano kilkudziesięcioosobową grupę młodych Polaków ze Śląska, a rozgłos, jaki nadano tej sprawie, wskazywał, że Niemcom chodziło o to, aby los zatrzymanych stał się monetą przetargową w rozmowach z rządem polskim. Berlinowi zależało, aby sprawy mniejszości narodowych zostały uregulowane we wspólnym porozumieniu polsko-niemieckim.

W tygodniku „Wiarus” z 16 X 1937 r. obszernie omawiano położenie ludności polskiej w Rzeszy. Powołując się na hitlerowski „Volkischer Beobachter”, który pisał wówczas o nagromadzeniu się „ciężkiego powietrza” na pograniczu polsko-niemieckim, w tygodniku polskim stwierdzano, że minął krótki okres, gdy to powietrze było dla Polaków lżejsze. Atmosfera „zgęstniała”, a Berlin zachowuje się tak, jakby zapomniał o normalizacji dokonanej w 1934 r. W artykule podkreślano, że w sprawach mniejszości Niemcy trzymały się zasady: „mnie wszystko, drugiemu nic”. „Trąbiono w świat - pisano w sanacyjnym tygodniku - o rzekomo »rajskim« życiu Polaków w Niemczech, a urojonych krzywdach Niemców w Polsce”. I dalej oświadczano, że „reżim narodowosocjalistyczny zasadniczo polepszania doli Polaków nie przyniósł”. Wspominano też o ustawodawstwie hitlerowskim stwarzającym władzom terenowym wiele możliwości szykanowania Polaków. W końcowej części artykułu znalazło się takie zdanie: „Wyrosła na gruncie ugody polsko-niemieckiej delikatna roślina harmonijnego współżycia obok siebie dwóch odrębnych społeczeństw poczęła schnąć dla braku pielęgnacji i podcięcia jej soków żywotnych”. I wreszcie w konkluzji przypomniano, że Polska ma „swoich” Niemców i może wobec nich zastosować zasadę wzajemności, jeśli nie ustanie represjonowanie Polaków mieszkających na terenie Rzeszy.

O prześladowaniach Polaków na Śląsku Opolskim informowała wiele razy gazeta Polskiego Związku Zachodniego „Polska Zachodnia”. Stwierdzano w niej, że poczynania władz niemieckich poruszyły społeczeństwo polskie, głównie na Śląsku, i powoływano się na liczne wiece i zebrania, których uczestnicy wyrażali pełną solidarność z rodakami zza granicy. Zgłaszano postulaty do władz Rzeczypospolitej, domagając się podjęcia skutecznych środków w celu obrony prześladowanych przez Niemców Ślązaków. W „Polsce Zachodniej” pisano: „[...] jedynie konsekwentne zastosowanie zarówno przez władze, jak i przez społeczeństwo zasady wet za wet wobec mniejszości niemieckiej w Polsce może przynieść ulgę Polakom w Niemczech”. A dalej oświadczano: „Polacy w województwie śląskim nie zapomną nigdy o swych braciach za miedzą, a gdy nie pomoże akcja protestacyjna, społeczeństwo polskie na Śląsku zdecydowaną i solidarną postawą wobec mniejszości niemieckiej samo upomni się o prawa Polaków w Niemczech”.

Stanowcze postawienie sprawy w Polsce doprowadziło w końcu do przyjęcia przez Niemcy polskiego punktu widzenia w kwestii mniejszości. 5 listopada 1937 r. w Berlinie i

Warszawie ogłoszone zostały deklaracje rządów, dotyczące regulacji problemów mniejszości, z wyraźnym określeniem, że jest to wewnętrzna sprawa każdego z państw.

W deklaracji przedstawionej przez Hitlera delegacji ZPwN Rzesza gwarantowała mniejszości polskiej:

1. Wzajemny szacunek dla narodowości polskiej i niemieckiej, zakazujący wszelkiej przymusowej asymilacji mniejszości, podawania w wątpliwość przynależności do niej lub czynienia trudności w ujawnieniu tej przynależności (zwłaszcza miał być zakazany wszelki nacisk na młodocianych członków mniejszości w celu ich wynarodowienia);

2. Prawo do swobodnego używania swego języka w słowie i piśmie zarówno w stosunkach osobistych i gospodarczych, jak też w prasie i na zebraniach publicznych (pielęgnowanie języka i obyczajów ojczystych w życiu publicznym i prywatnym nie mogło pociągać za sobą ujemnych następstw);

3. Prawo do zrzeszania się w stowarzyszenia o charakterze kulturalnym i gospodarczym;

4. Możliwość zakładania i utrzymywania szkół z nauką prowadzoną w języku ojczystym, prawo do pielęgnowania życia religijnego w swym ojczystym języku oraz prawo do organizacji kościelnej (kwestie wyznaniowe i działalność dobroczynna nie mogły być przedmiotem ingerencji).

Członkom mniejszości z powodu ich przynależności narodowej - zapisano w dokumencie - nie mogą być czynione trudności lub stawiane przeszkody przy wyborze i wykonywaniu zawodu lub w działalności gospodarczej. We wszystkich tych wypadkach będą oni korzystać z tych samych praw, z jakich korzystają członkowie większości.

Hitler zapewniał delegację ZPwN, że nie zamierza robić z Polaków Niemców, i wypowiadał się przeciwko korekturom granic, gdyż we wzajemnych stosunkach (z Polską) nie prowadziło to do niczego konstruktywnego.

Można chyba przypuszczać, że inicjując akcję represyjną wobec ludności polskiej w Niemczech, Berlin szukał sposobu skłonienia Polski do zbliżenia. W końcu Rzesza zastosowała się do polskich postulatów, a więc Niemcy respektowały interesy polskie, czyli można było zaufać Hitlerowi. Czy tak rozumowano w Berlinie?

Istnieje przekonanie, że władze ówczesnej Polski nie przykładają zbyt wielkiej wagi do losu Polaków w Niemczech. Odwrotnie niż do problemu mniejszości polskiej w Czechosłowacji, która to mniejszość miała być bardziej uprzywilejowana - mogła wszak posłużyć do irredenty przeciwko Czechom. Roli takiej nie mogła odegrać mniejszość polska w Rzeszy. W rzeczywistości wstrzeźliwość polskiego rządu w tych sprawach nie miała aż tak makiawelskiego charakteru. Wynikała po prostu z taktyki Becka, który starał się, aby sprawy mniejszości rozpatrywane dwustronnie nie stanowiły pretekstu do interwencji Niemiec w wewnętrzne sprawy Polski. Dlatego Warszawa usiłowała sprowadzać problem mniejszości do ram wewnątrzpaństwowych. Ale jednocześnie prasa rządowa nie wahała się krytykować polityki narodowościowej III Rzeszy. Wśród pism, szczególnie ostro piętnujących praktyki niemieckie na terenach zamieszkałych przez Polaków, były nie tylko „Sprawy Narodowościowe”, „Front Zachodni” czy „Polska Zachodnia”, ale również „Polska Zbrojna” i organ rządowy „Gazeta Polska”.

Drugim tradycyjnym narzędziem służącym do „zmiękczenia” Polski był Gdańsk. „Sprawa Gdańska - pisał w Ostatnim raporcie Beck - niezależnie od jej praktycznego znaczenia dla Polski, w moich oczach była probierzem naszych stosunków z Niemcami”.

W owym czasie sytuacja wewnętrzna w Gdańsku bardziej sprzyjała zadrażnieniu niż łagodzeniu stosunków z Polską. Zwolennik respektowania praw Polski Hermann Rauschning jeszcze w 1935 r. zerwał z hitleryzmem i udał się na emigrację. Nowym prezydentem senatu gdańskiego został jawny wróg polskośći Artur Greiser, któremu sekundował równie wrogo do Polski nastawiony gauleiter NSDAP w Gdańsku Albert Forster.

Postępujące szybko *Gleichschalten* Gdańska na podobieństwo hitlerowskich Niemiec i zapowiadanie przez działaczy partyjnych rychłego włączenia Wolnego Miasta do Rzeszy zaniepokoiło polską opinię. W styczniu 1937 r. w jednym z numerów „Gazety Lwowskiej” pisano: „[...] stać musimy nieugięte na stanowisku, że czynniki gdańskie nie mogą ani na chwilę zapomnieć, iż podstawowym warunkiem, od którego zależy prawidłowy stan rzeczy, jest pełne uznanie przez Gdańsk uprawnień politycznych i gospodarczych, zagwarantowanych Polsce w umowach międzynarodowych, i ściśle respektowanie ich w praktyce. [...] Możemy nie mieć żadnego sentymentu dla opozycji gdańskiej, ale w imię interesów własnych musimy wyteńczyć wszystkie siły, aby statut gdański nie stał się świstkiem papieru”.

Obawy polskie znalazły jeszcze jedno potwierdzenie w sporze, jaki wywołał senat gdański, nie uznając nowo mianowanego wysokiego komisarza Ligi Narodów. Hitlerowcy z Gdańska próbowali uwolnić się od nadzoru Ligi, wypełniając niewątpliwie polecenie Berlina. Sprawa rozpatrywana była na posiedzeniu Rady Ligi i ostatecznie senat gdański przegrał, do czego walenie przyczyniła się Polska.

W tym czasie pojawiły się ponownie pogłoski o bliskim włączeniu Gdańska do Niemiec, tyle że pisano o tym nad Sekwaną. We francuskiej prasie twierdzono, że Polska i Niemcy zawarły porozumienie, na podstawie którego Rzeczpospolita miała rewindykować Śląsk Cieszyński, a ceną za „przymknięcie oczu” przez Berlin w sprawach czeskich miał być Gdańsk. Rewelacje francuskich dziennikarzy (inspirowane prawdopodobnie przez Niemców) spowodowały liczne polemiki i sprostowania strony polskiej.

We wrześniu wzburzenie opinii publicznej w Polsce wywołały szykany Niemców w stosunku do listonoszy polskich pracujących na terenie Wolnego Miasta. „Ilustrowany Kurier Codzienny” groził, że Polska porzuci metodę dwustronnych rokowań z Gdańskiem i odwoła się do Ligi Narodów: „Niech sobie o tym pamiętają pp. Greiserzy - zmieniały się czasy. Dawniej w sprawach polsko-gdańskich Gdańsk na terenie Genewy miał z góry lepszą pozycję niż Polska, a delegaci Niemiec stanowili dla burmistrza gdańskiego potężne zaplecze. Dziś nie ma Niemców w Genewie, a sympatie dla hitlerowskiego »senatu« gdańskiego są równe zeru. Tak więc słuszne żądania polskie będą na pewno uwzględnione, a front wobec Greiserów i spółki będzie jednolity”. Inna gazeta - „Kurier Polski” - wskazywała, że polityka hitlerowców gdańskich była na pewno szczegółowo uzgadniana z Berlinem, a więc „za to, co się teraz dzieje w Gdańsku, opinia polska ma prawo czynić odpowiedzialnym przede wszystkim Berlin i z prawa tego zrobi też w całej pełni użytek”. Na ten sam aspekt wskazywał „Czas”, a „Gazeta Polska” ostrzegała, że następstwa tej polityki mogą się „ujemnie odbić na dobrosąsiedzkich stosunkach między Polską a Niemcami”.

W październiku NSDAP opanowała Wolne Miasto tak dalece, że za przykładem Rzeszy zlikwidowała funkcjonujący przedtem system wielopartyjny. Wkrótce też Gdańsk podobnie jak Niemcy stał się miejscem licznych ekscesów antyżydowskich.

Listopadowy zjazd partii hitlerowskiej na terenie Wolnego Miasta był kolejnym tematem gdańskim relacjonowanym i komentowanym w polskiej prasie. Sprawozdawca „Kuriera Poznańskiego” cytował wypowiedzi hitlerowców zamieszczone w oficjalnym „Vorposten”. W dniu otwarcia zjazdu pisano tam: „Maszerujemy w brunatnych i czarnych szeregach na *Reichsparteitag* i bierzemy udział w innych uroczystościach narodu niemieckiego. Cieszymy się, jeśli Rzesza Niemiecka ma powody do radości, dzielimy troski narodu, gdy Führer staje przed decydującymi posunięciami, Gdańsk jest częścią Rzeszy Niemieckiej”. Delegat Hitlera na zjeździe, Robert Ley, wołał: „Ja już nie mówię o jakimś oderwanym Gdańsku, bo tutaj się czuję jak w Niemczech, jak u siebie w domu”. Oświadczenie prezydenta senatu Greisera wyrażało tęsknotę za Berlinem: „Gdańsk rozbity przez najprzeróżniejsze partie i organizacje nie mógłby obrać drogi, której koniec i cel nie

leży w Warszawie, lecz w kierunku zachodnim. Niemiecka ojczyzna jest najlepszą gwarantką tego, że nasz siedemnastoletni okres cierpienia nie będzie już trwał tak długo”.

W ostatnich miesiącach 1937 r. znów szpalty gazet zapełniły się pogłoskami, plotkami i domysłami na temat Gdańska. Zupełnie wyraźnie dawało się wyczuć, że u podłoża gdańskich niepokojów leżał postępujący od dawna proces załamywania się struktury traktatu wersalskiego, z którym ze względów formalno-prawnych łączono istnienie Wolnego Miasta. Ten rodzaj wiązania pojęć nazywano w Polsce „kardynalnym błędem”. W Warszawie wskazywano, że rozkład pewnych postanowień traktatu wersalskiego był rezultatem ewolucji politycznej w Europie, co w Polsce uwzględniano. Łączenie jednak z tym procesem kwestii Gdańska można było nazwać co najmniej dyletantyzmem politycznym. Życiową i trwałą przyczyną istnienia Gdańska jako organizmu odrębnego od Niemiec były nie postanowienia formalne, ale realne interesy polskie. A od czasu gdy Polska odzyskała niepodległość, Gdańsk mógł się rozwijać tylko stojąc u boku Rzeczypospolitej.

Nagromadzenie się faktów psujących stosunki Polski z Gdańskiem stało się przedmiotem rozmowy ambasadora Lipskiego z Hitlerem. Jej rezultatem było zapewnienie wodza III Rzeszy, że hitlerowcy w Gdańsku zagwarantują Polsce rzeczywistą nienaruszalność polskich uprawnień w Wolnym Mieście. W komentarzu polskim do tego oświadczenia pisano: „Pewne jest bowiem, że jedynie w obronie interesów i praw Polski na terenie Wolnego Miasta Polska gotowa jest wystąpić aktywnie, rzucając na szalę potęgę swego państwa”.

A więc podobnie jak w sprawach mniejszości Hitler pokazywał, że miał możliwości jątrzenia stosunków z Polakami, ale mimo to liczył się z interesami ich kraju.

W 1937 r. sytuacja w obozie sanacji wyklarowała się tak dalece, że było już pewne, iż Beck zachował swą pozycję. A polski minister był uważany w Berlinie za zwolennika zbliżenia z Rzeszą. Dlatego pewne napięcia w sprawach gdańskich i mniejszościowych dość wyraźnie zaczęły korespondować z intensywnymi usiłowaniami przyciągnięcia Polski do paktu antykominternowskiego. Ta metoda kija i marchewki miała doprowadzić do politycznego związania Warszawy z „osią”.

Na przełomie sierpnia i września 1936 r. przebywał w Polsce Hermann von Raumer, bliski współpracownik Ribbentropa i twórca projektu paktu antykominternowskiego. Przeprowadził on rozmowy w kołach arystokracji polskiej, duchowieństwa i dyplomacji, usiłując znaleźć zwolenników niemieckiej koncepcji stworzenia bloku państw zwalczających komunizm. Wyniki rozmów były raczej mizerne. Jak można wnosić z notatki Raumera, przedłożonej Ribbentropowi 27 listopada 1936 r., „polska arystokracja była antykomunistyczna i antyrosyjska, Kościół katolicki przeciwny Rosji, komunizmowi i Niemcom, a mieszczaństwo w równej mierze antyrosyjskie jak antyniemieckie”. Mimo to żaden z rozmówców Raumera nie widział potrzeby udziału Polski w projektowanym pakcie. Twierdzili zgodnie, że struktura państwa polskiego była wystarczająco odporna „na wpływy bolszewickie”. Opinia ta spowodowała - zdaniem Hansa Rossa - że Hitler zaniechał na razie proponowania Polsce udziału w pakcie antykominternowskim.

Minęło kilka miesięcy i „przyjaciół” Polski Göring ponownie wystąpił z propozycjami przystąpienia Warszawy do paktu. Doszło do tego podczas rozmowy Niemca z marszałkiem Śmigłym przeprowadzonej 16 lutego 1937 r., a więc jeszcze przed podpisaniem układu przez Włochy. Göring zapewniał polskiego marszałka, że ZSSR nadal nosi się z zamiarem „rozpętania rewolucji światowej”, a zatem Polska będzie bezpieczna tylko wtedy, kiedy rozszerzy współpracę polityczną i wojskową z Rzeszą. W odpowiedzi Śmigły stwierdził, że Polska jest wystarczająco bezpieczna i nie obawia się zagrożeń ze strony komunizmu.

Nie tylko Niemcom zależało na wciągnięciu Polski do antykominternowskiego bloku. W lipcu 1937 r. zatarg japońsko-chiński przekształcił się w wojnę i od tej chwili Japonia



poświęcała Polsce coraz więcej uwagi, chcąc jej armią szachować Związek Sowiecki od zachodu i w ten sposób ograniczyć jego możliwości wojskowe na Dalekim Wschodzie.

13 sierpnia attache wojskowy Japonii w Berlinie generał Hiroshi Oshima zorganizował specjalną konferencję z Niemcami, aby omówić sposoby skłonienia Polski do podpisania układu. Wśród uczestników spotkania znalazł się między innymi wspomniany wyżej Raumer i attache wojskowy Japonii w Warszawie generał Sawada. Uczestnicy konferencji byli zgodni, że panujące w Polsce wrogie Niemcom nastroje utrudniają zrealizowanie planu. Dlatego postanowiono podjąć wspólne wysiłki, mające na celu neutralizowanie nieprzychylnych Berlinowi tendencji, a jednocześnie zastosować elementy nacisku, które miały zasugerować Warszawie, że w razie dalszych oporów Polska może więcej stracić, niż sądzi.

Wizyta wiceministra Szembeka w Berlinie (listopad 1937 r.) była kolejną okazją do przedstawienia Polakom dobrodziejstw paktu antykominternowskiego. Szembek zanotował następujące słowa Göringa: „[...] podobnie my jak i oni [tzn: Niemcy i Polacy - R.Sz.] nie lubimy Rosji ani Czechów. Możemy być pewni, że gdybyśmy mieli jakiegokolwiek trudności na naszej granicy wschodniej, to zawsze możemy liczyć na całkowite zrozumienie i poparcie ze strony Trzeciej Rzeszy. [...] Powtórzył wreszcie tak często już przez niego wypowiedziane zdanie o potrzebie istnienia [dla Niemiec - R.Sz.] Polski silnej, wtrącił przy tym, że Polsce Bałtyk nie wystarcza i że powinna mieć okno na Morze Czarne”.

Mimo licznych i atrakcyjnych propozycji Berlina władze polskie zachowały swoje uprzednie negatywne stanowisko w sprawie przystąpienia Rzeczypospolitej do paktu antykominternowskiego. W listopadowej instrukcji przesłanej przez Becka polskim placówkom dyplomatycznym minister stwierdzał: „Polska nie mogłaby przystąpić do takiego protokołu ze względu na swoje specyficzne położenie, jako sąsiad ZSSR, oraz na zasadnicze stanowisko przeciwne blokom”. Szef polskiej dyplomacji widział dobrze, jaką rolę miał odegrać podpisany przez rządy Niemiec i Japonii układ. A Polska nie zamierzała wspierać hitlerowskiej agresji.

Przystąpienie Włoch do bloku Berlin -Tokio pozwalało Niemcom na planowanie śmielszych działań. Hitler ciągle jeszcze wierzył, że zdoła zawładnąć Polską bez wojny, ale nie był już takim optymistą jak w 1934 r. Dowodzi tego chociażby tajna narada zwołana przez niego 5 listopada 1937 r. Przebieg jej, znany z protokołu sporządzonego przez szefa adiutantury kanclerza, pułkownika Friedricha Hossbacha, dokładnie tłumaczy najbliższe plany Hitlera.

Führer stwierdził wtedy, że Niemcy zakończyły pierwszy etap (jawna remilitaryzacja i zajęcie Nadrenii) i powinny przejść do realizowania drugiego etapu swojej polityki. Jej celem miało być przygotowanie klęski politycznej i wojskowej Francji.

Hitler uważał, że odtąd politykę zagraniczną Niemiec prowadzić należy bardziej agresywnie. „Celem niemieckiej polityki jest bezpieczeństwo i rozwój narodu niemieckiego, co w konsekwencji sprowadza się do problemu przestrzeni życiowej [*Lebensraum*]. [...] naród niemiecki liczy 85 mln ludności [ludność Rzeszy liczyła wówczas 67,8 mln - R.Sz.] i tworzy pod względem liczby i gęstości zaludnienia jednolitą rasowo europejską zbiorowość”, a przy tym dysponuje zbyt małym terytorium.

Czynnikami „zmuszającymi” Rzeszę do agresji były według Hitlera:

- a) położenie ludności niemieckiej w Austrii i Czechosłowacji;
- b) obniżenie liczby urodzin na skutek szczupłości terytorium;
- c) osiągnięcie granicy wydajności gleby;
- d) znaczny wzrost wydatków dewizowych na zakup żywności;
- e) ograniczone możliwości zakupu żywności w świecie.

„Motywy ekonomiczne - stwierdzał Hitler - stanowią podstawę ekspansji Włoch i Japonii, a te same konieczności gospodarcze zmuszają do tego Niemcy”.

Nadzieje na neutralność Anglii w niemieckiej rozgrywce z Francją okazały się płonne, wobec tego Hitler uznał ją za wroga. „Niemiecka polityka musi liczyć się z obydwojma wrogimi państwami - Wielką Brytanią i Francją, dla których silny niemiecki kolos w środku Europy jest solą w oku. Przy czym oba państwa wykluczają dalszy wzrost niemieckiej siły zarówno w Europie, jak i w krajach zamorskich”. Konstatacja ta była dość istotna. Skoro przeciwnikami były największe mocarstwa ówczesnego świata, Niemcy musiały zmobilizować całą swą siłę militarną, również morską. Aby jednak atak na Francję powiódł się, potrzebne było ubezpieczenie od strony ZSSR. Hitler sądził, że uda mu się stworzyć taki system zależności europejskich sąsiadów Związku Sowieckiego od Rzeszy, że Wehrmacht będzie mógł bez obawy o tyły pomaszerować na Paryż.

„Dla polepszenia naszej pozycji militarnej pierwszym celem - mówił Hitler - powinno być zdobycie Czechosłowacji i Austrii”.

Włączenie potencjałów tych krajów i stopniowe podporządkowanie państw naddunajskich dawało Hitlerowi tereny niezbędne do realnego planowania wojny z Francją. Uzależnienie Europy Środkowej miało być zrealizowane przez szantaż siłą zbrojną, ale bez wojny. Planowano też wykorzystanie piątej kolumny, która miała rekrutować się z mniejszości niemieckiej na terenach poszczególnych państw.

Jak można wnosić z tego, co mówił Hitler, Polska nadal nie była uważana za przedmiot agresji, kanclerz jednak nie był pewny jej postawy. Wprawdzie uważał, że „po zdobyciu Czechosłowacji i po uzyskaniu wspólnej granicy niemiecko-węgierskiej neutralność Polski w wypadku konfliktu zbrojnego niemiecko-francuskiego zdaje się bardziej prawdopodobna”, ale jednocześnie ostrzegał, że „w razie niepowodzeń niemieckich należy się liczyć z atakiem Polski na Prusy Wschodnie, Pomorze i Śląsk”.

Przewidując zachowanie mocarstw zachodnich, Hitler słusznie sądził, że Czechosłowacja zostanie pozostawiona na łasce Rzeszy. Anglia nie będzie chciała angażować się w terenie tak dla niej egzotycznym jak Europa Środkowa, a to musi wpłynąć na wzmocnienie defensywnej postawy Francji. Pozostawał jeszcze Związek Sowiecki, ale bezpieczeństwo z tamtej strony powinna Niemcom zapewnić Polska.

Wojna z Francją winna mieć szybki i zwycięski dla Niemiec przebieg. „Rozmiary i szybkość naszej akcji zbrojnej - raz jeszcze podkreślił Hitler - zadecydują o stanowisku Polski. Polska nie będzie skłonna wystąpić zbrojnie przeciwko zwycięskim Niemcom, mając Rosję na zapleczu”. Wynika z tego, że nawet sojusznicza Polska nie była wówczas traktowana jako pewny partner, a zatem zakusy w stosunku do Czechosłowacji miały ją natchnąć lojalizmem i związać z rydwanem hitlerowskiej polityki zagranicznej.

Hitler planował, że przygotowanie odpowiednich sił i zaplecza do wojny z Francją zajmie mu około sześciu, siedmiu lat. Dopiero wtedy, gdy Europa Środkowa będzie podporządkowana Niemcom, a siły zbrojne Rzeszy osiągną planowaną wielkość, miało dojść do zbrojnego ataku. „Rada Obrony Państwa oraz rząd akceptowały i Hitler zatwierdzał plany rozwoju sił zbrojnych opracowane przez sztab generalny i dowództwa rodzajów sił zbrojnych. Nie miał zastrzeżeń do terminów gotowości, które zostały wyznaczone na lata 1943-45” (cytowane zdania pochodzą z pracy Czesława Bermiana *Mobilizacja w teorii i praktyce*). W czasie wyżej opisanej narady ten właśnie termin (1944 r.) uznał Hitler za optymalny do ataku na Francję. Użycie sił zbrojnych w terminie wcześniejszym byłoby możliwe - według Hitlera - gdyby we Francji wybuchła wojna domowa albo armia francuska musiała toczyć wojnę z wojskami innego państwa (Hiszpania, Włochy?). „Nie przypuszczał wtedy [Hitler - R.Sz.] - czytamy w pracy Jerzego Krasuskiego - że Austrię zdobędzie zaledwie w cztery, a Czechosłowację w szesnaście miesięcy później”.

Łatwość, z jaką udało się Hitlerowi osiągnąć cel, na którego wprowadzenie w życie jeszcze w listopadzie 1937 r. planował kilka lat, była pośrednią przyczyną wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. W 1938 r. Hitler postanowił przyspieszyć proces wiązania Warszawy z

Berlinem. I tym razem miał nadzieję, że obejdzie się bez wojny. „W końcu 1938 roku [w okresie wysunięcia żądań pod adresem Polski - *R.Sz.*] - pisze generał Burkhardt Muller-Hillebrandt - Hitler kategorycznie zażądał od dowódcy wojsk lądowych, aby w ciągu dłuższego czasu skupił całą uwagę na podniesieniu poziomu szkolenia armii, gdyż, jak oświadczył, nie przewiduje użycia sił zbrojnych w ciągu najbliższych lat”.

Zrozumiemy lepiej znaczenie polskiego „NIE!” w 1939 roku dla losów II wojny światowej i rolę Polski w planach Hitlera, gdy porównamy siły, których zamierzał on użyć przeciw Francji, z siłami, którymi w rzeczywistości rozpoczął wojnę światową w 1939 roku.

Planowano w 1943-1945	Stan 1 IX 1939	Procent realizacji	
<b>wojska lądowe</b>			
dywizje	300	106	35,3 %
<b>wojska lotnicze</b>			
bombowce	7300	1180	16,1%
samoloty bombowe nurkujące	1500	480	32,0%
samoloty szturmowe	2000	360	18,0%
myśliwce	2000	771	38,5%
samoloty rozpoznawcze	750	684	91,2%
samoloty lotnictwa morskiego	500	240	48,0%
samoloty transportowe	625	644	103,0%
razem	14675	4359 (2433 w I linii)	29,5%
<b>marynarka wojenna</b>			
okręty liniowe	10	2 + 2 w budowie	20,0%
pancerniki „kieszonkowe”	15	3	20,0%
lotniskowce	4	0 + 1 w budowie	00,0%
krążowniki ciężkie	21	2	9,5%
krążowniki lekkie	6	6	100,0%
niszczyciele	68	22	32,3 %
okręty podwodne	249	57	22,9%
tonaż ogółem	1 mln ton	0,22 mln ton	22,0%
<b>zapasy surowców</b>			
stal	36 mln ton	25 mln ton	69,4%
ruda żelaza (poł. potrzeb)	10 mln ton	3,7 mln ton	47,0%
aluminium	0,22 mln ton	0,18 mln ton	81,8%
paliwa płynne	4 mln ton	2,3 mln ton	57,5%
kauczuk	0,08 mln ton	0,022 mln ton	27,5%

Z raportu z 31 sierpnia 1939 r. wynika, że zapasy i produkcja bieżąca zapewniały Rzeczy zaopatrzenie wojsk w benzynę lotniczą na 4,8 miesiąca prowadzenia wojny, paliwa do silników czołgowych na 4,9 miesiąca, ale olejów silnikowych jedynie na 2,6 miesiąca działań wojennych. Skuteczna blokada linii zaopatrzeniowych Niemiec w surowce strategiczne gwarantowała unieruchomienie czołgów i samolotów Hitlera.

Równie krytycznie przedstawiały się zapasy amunicji. Niemcom brakowało w magazynach mobilizacyjnych 60% naboju karabinowych, od 45 do 60% pocisków do haubic, 75% pocisków do dział polowych, 70% do dział przeciwlotniczych i 95% do dział przeciwpancernych.

A więc do 1939 r. plan niemieckich zbrojeń zrealizowano średnio w 36%. Stan zapasów był wysoce niezadowalający. Jednoczesna rozbudowa liczebna wojska i potrzeby

szkoleniowe nie pozwalały Rzeszy na gromadzenie odpowiednich ilości amunicji, surowców i materiałów pędnych. Nasuwa się spostrzeżenie, że rok 1944, do którego miała obowiązywać deklaracja o nieagresji między Polską a Niemcami, nie był jedynie dziełem przypadku. Polskie nadzieje na dziesięcioletni pokój, chociaż nierealne, były oparte na prawdziwych przesłankach.

Wojna wybuchła dla Rzeszy zbyt wcześnie, gdyż Hitler, nie doceniając gotowości ofensywnej Zachodu, jednocześnie przecenił swoje możliwości nacisku na Warszawę. W tym sensie determinacja polska była czynnikiem niweczącym misterny plan opracowany w Kancelarii Rzeszy. O tym należy pamiętać, kiedy rozważamy motywy „polskiej” polityki Hitlera po 1934 r. i rzeczywiste cele rządu w Warszawie. Wielu politykom wydawało się wówczas, a niektórym historykom wydaje się jeszcze dziś, że oferty Hitlera były tak kuszące, iż władze Drugiej Rzeczypospolitej myślały jedynie o współpracy z Hitlerem i usadowieniu się na Ukrainie. Wrzesień 1939 r. i znane dziś dokumenty miały dopiero dowieść, jak krzywdzące było to podejrzenie.

## **2. Austria, Litwa i ich sąsiedzi**

Od momentu gdy Rzesza została opanowana przez NSDAP, a Hitler mógł kpić z Ligi Narodów i protestów międzynarodowych, widać było wyraźnie, że nazizm nie zatrzyma się w granicach Niemiec. Potem zaś, gdy padły słowa kanclerza, że Niemcy wezmą pod swoją ochronę dziesięć milionów ziomków, mieszkających poza granicami Rzeszy, wielu zrozumiało, że dni niepodległej i Austrii są policzone. Hitler „Austriak” zapowiadał przecież od dawna, że „zjednoczy” ten kraj z Rzeszą Niemiecką.

Pomysł zjednoczenia z Niemcami nie był początkowo dla polityków austriackich aż tak odrażający, jak to można było wnosić z wypadków 1938 r. Rezultaty I wojny światowej, uszczuplając potęgę niemiecką, nie pozbawiły jej waloru mocarstwowości. W Berlinie, już po zawarciu traktatu wersalskiego, można było snuć całkiem realne plany odbudowy dawnej pozycji Niemiec na kontynencie europejskim.

Austria po rozpadzie cesarsko-królewskich Austro-Węgier stała się w ciągu kilku dni państwem małym, o skromnych możliwościach, z czym trudno było się pogodzić politykom wychowanym w czasach habsburskiej potęgi. Rosły też trudności gospodarcze i finansowe, a wraz z tym nastroje lewicowe i rewolucyjne, co niepokoiło austriackie kręgi konserwatywne. ; Już w 1919 r. pojawiły się w Wiedniu projekty połączenia się z Niemcami, ale wówczas nie znalazły one zrozumienia w Berlinie. Gorącymi rzecznikami Anschlussu były dwa z trzech decydujących ugrupowań politycznych Austrii. „Wszechniemcy” podkreślali związki krwi z Niemcami w Rzeszy i uważali, że należy doprowadzić do zjednoczenia narodu niemieckiego, socjaldemokraci sądzili natomiast, że przez związek z Berlinem będą mogli urzeczywistnić swój program reform. Zwolennikiem Anschlussu był między innymi wybitny działacz socjalistyczny Otto Bauer - ówczesny minister spraw zagranicznych Austrii.

Jedynie ugrupowania katolickie przeciwne były Anschlussowi, widząc polityczną przyszłość Austrii w bloku państw naddunajskich, który po pewnym czasie miał się przekształcić w federację. Była to próba restaurowania dawnych Austro-Węgier w nowoczesnej formie. Ale ugrupowania proanschlussowe zdecydowanie przeważały (np. w marcu 1919 r. katolicy mieli 63 mandaty w parlamencie, natomiast socjaliści i „wszechniemcy” 75), toteż przez wiele lat słyszano w Austrii hasło: *Grossdeutschland ist unsere Zukunft* - Wielkie Niemcy to nasza przyszłość.

Wprawdzie traktat pokojowy w St. Germain zakazywał Austrii zjednoczenia z Niemcami, ale dla zwolenników Anschlussu nie był to wystarczający powód do rezygnacji z

planów połączenia. W 1926 r. oba państwa znajdowały się o krok od podpisania paktu zobowiązującego Wiedeń i Berlin do przygotowania zjednoczenia na płaszczyźnie gospodarczej i politycznej. Następną - bardziej znaną - próbą był projekt unii celnej opracowany w 1930 r. i praktycznie realizowany w 1931 r. Protesty wielu państw i respekt, jaki mimo wszystko żywili poprzednicy Hitlera w stosunku do Paryża i Londynu, uniemożliwił wprowadzenie unii w życie.

Od 1933 r. zmiany zachodzące w sytuacji wewnętrznej Niemiec zaczęły działać przeciwko zwolennikom Anschlussu na terenie Austrii. Najpierw socjaliści zrezygnowali z pomysłów zjednoczeniowych, zdając sobie sprawę, że hitleryzm oznacza dla nich śmiertelne niebezpieczeństwo. Osłabiło to „wszechniemców”, którzy poczuli ulegać politycznie austriackiej filii NSDAP. Ekstremizm hitlerowców wymierzony w państwo austriackie doprowadził do odwetowych działań władz.

Rosły więc wpływy katolickich przeciwników Anschlussu. W 1934 r. kanclerzem został Engelbert Dollfuss, uważany dziś za symbol austriackich dążeń niepodległościowych tamtych lat. Kanclerz doprowadził do zmian ustrojowych, przekształcając Austrię w państwo autorytarne bardziej odporne na wpływy nazistów od republiki parlamentarnej. Zwalczał socjalistów, w których widział nie tylko przeciwników ideologicznych, ale również potencjalnych zwolenników Anschlussu (socjaliści odłożyli sprawę zjednoczenia z Niemcami do czasu zwycięstwa demokracji w Rzeszy), jednocześnie uderzył w narodowych socjalistów. Dollfuss sądził, że autorytarna Austria poparta przez Włochy będzie wystarczająco silna, aby przeciwstawić się zakusom Hitlera.

Koncepcja ta w praktyce nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Sam kanclerz został zamordowany przez nazistów austriackich, natomiast Włochy porzuciły wkrótce kraj „małego przyjaciela” dla „osi”, w której znajdował się jego wróg. Następca Dollfussa, Kurt von Schuschnigg, uległ presji niemieckiej.

11 marca 1938 r. na politycznej mapie Europy zaznaczono pierwszą poważną zmianę: Austria utraciła suwerenność; co prawda urzędował jeszcze austriacki rząd, ale opanowany już przez popleczników Hitlera. Opinia europejska zdawała sobie sprawę, że kanclerz Rzeszy nie ważyłby się na ten krok, nie mając pewności, iż nikt nie ujmie się zbrojnie za niepodległością Austrii. Trzeba też przyznać, że moment został wybrany bardzo dobrze. Ciężkie i skomplikowane przesilenie rządowe we Francji wiązało ręce Quai d'Orsay i utrudniało porozumienie z Londynem. Anglia, po odejściu ministra Edena i rekonstrukcji rządu, nie była zdolna do podjęcia zdecydowanych kroków. ZSSR, przechodzący okres tzw. czystek wewnętrznych, koncentrował swoją uwagę na postępach militarnych Japonii na Dalekim Wschodzie. Mali sąsiedzi Austrii wykazali obojętność wobec jej losów, czując respekt przed siłą hitlerowskiego Wehrmachtu.

Najprzychylniej potraktował krok Berlina Mussolini. Tydzień po wkroczeniu Niemców do Wiednia dyktator Włoch publicznie odżegnywał się od polityki, która przed dwoma laty, kiedy to wydawało się, że Hitler zamierza wkroczyć do Austrii, kazała mu koncentrować dywizje nad austriacką granicą. Niepomny tego duce mówił: „Zapytano nas po tamtej stronie Alp, dlaczego nie broniliśmy Austrii. Na to odpowiadamy, że nie podejmowaliśmy się nigdy tego zadania ani wprost, ani pośrednio, pisemnie czy werbalnie. Zainteresowanie niepodległością Austrii egzystowało we Włoszech, opierało się jednak na przypuszczeniu, że przynajmniej większość obywateli tego sobie życzy. A przecież wypadki ostatnich dni pokazują, że ta większość jest za Anschlussem”.

Dziwaczna była reakcja Anglii, której premier w długim przemówieniu opowiadał członkom Izby Gmin, jak bezceremonialnie obszedł się Hitler z brytyjskim protestem w sprawie austriackiej. Paryż zareagował jeszcze ostrożniej. Nowy minister spraw zagranicznych Georges Bonnet polecił jedynie, aby ambasador Francji w Berlinie złożył aide-memoire na ręce niemieckiego wiceministra spraw zagranicznych.

Sąsiedzi Austrii, Węgry i Jugosławia, przyjęli do wiadomości, że wojska austriackie zastąpił na granicy Wehrmacht. Na licznych punktach granicznych doszło do spotkań wojskowych, były nawet wspólne defilady (np. w Radkersburgu, na granicy jugosłowiańsko-austriackiej). W tym czasie Czechosłowacja „czekała -jak pisał w pamiętnikach Beneš - co zrobią mocarstwa zachodnie”. A przecież włączenie Austrii do Niemiec sprawiło, że położenie Czech stało się beznadziejne. Granica czesko-niemiecka wydłużyła się z 1454 km do 2012 km, przy czym oznaczało to nie tylko kompletne okrążenie Czech i Moraw, lecz również odsłonięcie tyłów linii obronnej budowanej przez Czechów na granicy z Rzeszą przed rokiem 1938. Henryk Batowski nazwał politykę Beneša krótkowzroczną. Czy w Pradze nie zdawano sobie sprawy, że Austria (6,5 mln Niemców) to dopiero część z wymienionych przez Hitlera 10 milionów rodaków? Pozostali Niemcy mieszkali w Sudetach.

Anschluss, jak stwierdził w swych pamiętnikach Leon Noel, wywołał w Polsce ogromne wrażenie. Lwowska gazeta „Wiek Nowy” z 13 marca 1938 r. pisała: „Dzień dzisiejszy przechodzi do historii jako otwarcie nowej serii powikłań europejskich i jako posępny tryumf polityki gwałtu i faktów dokonanych. [...] Dla Polski wypadki te bezpośredniego zagrożenia nie stwarzają, są poważnym ostrzeżeniem”.

Polskie czynniki oficjalne starały się w sprawie austriackiej zachować neutralnie. Dla Becka Austria była jedynie polem obserwacji metod hitlerowskich i zachowania się mocarstw zachodnich wobec wydarzeń, które przecież winny je żywo obchodzić. Zdając sobie sprawę, że wzmocnienie Rzeszy austriackim potencjałem nie było dla Polski korzystne, na Wierzbowej uznano, że polska nie miała realnych szans, aby temu zapobiec. Zresztą Anschluss nie napawał Becka niepokojem, gdyż zdawał się potwierdzać jego przewidywania, że ekspansja hitlerowskiej Rzeszy skieruje się w rejony odległej od polskich granic. Był wprawdzie okres, kiedy polski minister przejawiał zainteresowanie projektem paktu naddunajskiego, łączącego Austrię, Węgry, Małą Ententę oraz Francję i Polskę w jeden blok, ale nic przecież nie mógł poradzić na to, że wskutek wzajemnych rozdzźwięków nie doszło do jego realizacji.

Beck nie miał złudzeń co do stanowiska Paryża i Londynu w sprawie austriackiej. Wiedział, że podobnie jak Włochy państwa te nie uczynią nic, by powstrzymać Hitlera. W rozmowie z Szembekiem (23 II 1938) Beck stwierdził: „Zachód na pewno się nie ruszy o Austrię i raz już dał mi nauczkę podczas zajmowania Nadrenii”. Postawa Becka, świadczyła, iż w gruncie rzeczy nie rozumiał on polityki Hitlera. Z drugiej jednak strony musimy pamiętać, że Polska miała zbyt szczupły potencjał, by stać się czynnikiem skutecznie powstrzymującym niemiecką ekspansję. Nie umiały lub nie chciały tego zrobić mocarstwa, dlatego więc mamy oskarżać o bierność szefa polskiego MSZ.

W rezultacie Beck oświadczył Niemcom, że kwestię Anschlussu Polska potraktowała jako wewnętrzną sprawę Austrii. Rzeczpospolita - usłyszał przy tym Hitler - zainteresowana jest zabezpieczeniem swych interesów gospodarczych w Wiedniu. Oczywiście Niemcy skwapliwie zapewnili polskiego ministra, że interesy te nie będą narażone na szwank.

Tuż po zajęciu Austrii w wileńskim „Słowie” ukazał się artykuł czołowego publicysty tej gazety i jej redaktora naczelnego, Stanisława Cata-Mackiewicza. Artykuł kończył się trafnym spostrzeżeniem: „Wzmocnienie naszego sąsiada bez jednoznacznego wzmocnienia nas byłoby katastrofą, przed którą musimy bronić się wszystkimi sposobami”.

Mała Austria stanowiła dla Hitlera wcale niemały łup. Dzięki Anschlussowi powstała przecież „Wielkie Niemcy”, terytorialnie większe od Niemiec cesarskich z 1914 r. (555 tys. km<sup>2</sup>), z ludnością liczącą 75 milionów. A więc pod względem powierzchni i liczby ludności hitlerowska Rzesza stała się drugim po ZSSR państwem w Europie. Dzięki potencjałowi gospodarczemu zajętego kraju wydobycie węgla brunatnego wzrosło w Rzeszy o ponad 3 mln ton, a rudy żelaza o dodatkowe 2 mln ton. W Austrii wydobywano miedź (129 tys. ton), ołów i cynk (po 127 tys. ton) tak bardzo potrzebne przemysłowi zbrojeniowemu Niemiec.

Przemysł ciężki zwiększył produkcję żelaza o 650 tys. ton wytwarzanych w hutach austriackich. Niemcom przybyło 200 tys. samochodów osobowych i 60 tys. ciężarowych. Zasoby ludzkie i gospodarcze pozwalały nie tylko włączyć w skład Wehrmachtu 8 dywizji austriackich (w tym jedna zmotoryzowana), ale zwiększyć ich liczbę - w czasie II wojny światowej Niemcy sformowali dzięki Austriakom o 25 dywizji więcej.

Anschluss zmienił jeszcze bardziej na niekorzyść Polski różnicę potencjałów między nią a Niemcami. „Ilustrowany Kurier Codzienny” w kwietniu 1938 r. wskazywał, że Niemcy nie używając sił zbrojnych są w stanie pogłębiać niekorzystny dla Polski proces, podporządkowując sobie państwa naddunajskie. „Jeśli chodzi o dorzecze Dunaju i Bałkany, to już dziś Niemcy wyprzedziły tam inne mocarstwa w dziedzinie gospodarczej. Dostarczają one 80% całego importu maszyn Bułgarii, 70% Węgrom, 56% Jugosławii i 35% Rumunii. Od przyścia Hitlera do władzy przywóz Rzeszy do krajów naddunajskich i bałkańskich wzrósł o 52%, wywóz o 43%”.

Po Anschlussie było widoczne dla każdego, że Niemcy stały się potęgą militarną i konkurentem politycznym groźnym nie tylko dla Polski. „Sądziłem - napisał Beck w swym pamiętniku - że w każdym razie byłoby niebezpiecznie pozostać całkowicie biernym w obliczu ekspansji niemieckiej. Jeżeli chcemy utrzymać naszą pozycję w Europie Wschodniej, to musimy myśleć o zabezpieczeniu interesów polskich, w wypadku gdyby ktoś zdecydował się targnąć na istniejący stan rzeczy [...]. Drażliwe dla nas punkty były jak zawsze te same: Gdańsk, stosunki z Litwą, Zaolzie i wreszcie sprawa wspólnej granicy z Węgrami w wypadku rozbioru Czechosłowacji”.

Szczególnie drażliwy był problem stosunków polsko-litewskich. Niechęć Litwinów do Rzeczypospolitej opinia polska tłumaczyła sobie intrygą niemiecką. Trzeba przy tym stwierdzić, że Niemcy miały spory udział w umacnianiu władzy państwowej w Kownie. Pod opieką okupacyjnych władz niemieckich quasi-parlamentarny organ Taryba przekształcił się w rząd litewski, od Rzeszy też otrzymała Litwa pomoc w postaci broni, amunicji i pieniędzy (np. w 1919 r. 100 mln marek), potrzebnych na zorganizowanie armii. W Berlinie spodziewano się, że satelicka Litwa będzie odgrywała rolę państwa buforowego (*Pufferstaat*) między Rzeszą a Rosją. Nastroje wrogie Polsce, która nadal sądziła, że uda się jej odbudować dawne państwo „obojga narodów”, podsycane były w Kownie przez mających tu wpływy Niemców. W ten sposób doszło do otwartego konfliktu między pobratymczymi narodami, a inkorporacja Wileńszczyzny wywołała falę nienawiści ze strony Litwinów. W Kownie nie zamierzano rezygnować z historycznej stolicy Litwy - Wilna.

Sytuacja ta nie groziła zbytnio Polsce w czasach pokoju, ulegała jednak radykalnej zmianie w razie konfliktu z którymś z wielkich sąsiadów. W takim wypadku sztab polski, planując działania wojenne, musiał do granicy zagrożone wojną dodać 507 km granicy z Litwą. Odwrotnie, przyjazna lub tylko neutralna Litwa oznaczałaby co najmniej 4 dywizje, które można by było zwolnić z osłony Wileńszczyzny i skierować na główny front.

Rozwój wewnętrznej sytuacji na Litwie zdawał się iść w kierunku korzystnym dla Polski. W 1923 r. Litwini zainicjowali akcję powstańczą na terenie Kłajpedy i włączyli ten okręg do swego państwa. Stworzyło to zarodek przyszłego konfliktu z Niemcami. Rzesza nie zamierzała rezygnować z portu Memel tak brzmiała niemiecka nazwa Kłajpedy), a już najdalszy od tego był Hitler. Zamach stanu w grudniu 1926 r. i ustanowienie ustroju autorytarnego na Litwie, uosobianego przez prezydenta Antonasa Smetonę i premiera Augustinasa Voldemarasa, stały się początkiem rywalizacji między obu politykami. W efekcie Voldemaras - rzecznik kursu wrogiego Polsce i zbliżenia z Niemcami - przegrał, a po nieudanej próbie zamachu stanu w czerwcu 1934 r. został skazany na 12 lat więzienia.

Politycy litewscy musieli poważnie się zastanowić nad przyszłością państwa. Niewątpliwie sprawa Wilna komplikowała stosunki z Polakami. Smetona mógł się obawiać, że rezygnacja z dawnej stolicy może stanowić koniec jego rządów w Kownie, z drugiej

jednak strony Polska była w dobrych stosunkach z Berlinem i z Moskwą, a to oznaczało, że szanse odzyskania Wilna malały do zera. Litwini musieli brać pod uwagę fakt, że nie odzyskają Wileńszczyzny, a tracą Kłajpedę. Wspólną granicę miała Litwa przecież nie tylko z Polską, lecz również z Niemcami.

Realna ocena wartości Wilna i Kłajpedy dawała pierwszeństwo portowi. Nawet gdyby włączenie Wileńszczyzny okazało się możliwe, to korzyści - poza emocjonalnymi - nie były aż tak wielkie. Liczba ludności polskiej wzrosłaby wtedy na Litwie do miliona (Litwini 1,5 mln) i nie mogłoby tego zrównoważyć 70 tys. Litwinów mieszkających wówczas na Wileńszczyźnie. Wzrosłaby też liczebność innych grup mniejszościowych, np. Żydów i Białorusinów (niemal po 300 tys. osób). Po włączeniu Wileńszczyzny Litwini we własnym państwie stanowiliby nie 80%, ale niecałe 49% ludności, a Polacy nie 10%, lecz prawie 30%. Do tego równie dobrze mogła napaść na Litwę Polska pozbawiona Wileńszczyzny (po odwróceniu się niekorzystnej koniunktury). Trudno bowiem było wyobrazić sobie, aby piśsudzczycy nie chcieli odzyskać „miłego miasta” ich Komendanta.

Z punktu widzenia interesów Litwy Kłajpeda była niewątpliwie ważniejsza. Uzyskany po 1918 r. port rybacki w Połędzie był praktycznie nieprzydatny, gdyż nie mógł przyjmować statków morskich. Port w Kłajpedzie decydował więc o rozmiarach litewskiego handlu zagranicznego (przez Kłajpedę szło około 80% litewskiego eksportu), a przyłączony w 1923 r. okręg Kłajpedy (3% terytorium i 6% ludności Litwy) dawał jedną trzecią produkcji przemysłowej państwa. „Kłajpeda była więc - pisze Jerzy Ochmański w *Historii Litwy* - jakby płucami i sercem gospodarki Litwy”.

Innymi słowy, niepodległa Litwa istniała bez Wilna, ale nie mogła istnieć bez Kłajpedy. Podobnie jak Polska bez Gdyni i Pomorza.

Dobre stosunki litewsko-niemieckie z czasów Republiki Weimarskiej wyraźnie zaczęły się psuć po 1933 r. Mieszkający w Kłajpedzie Niemcy (ponad 60% ludności miasta) coraz częściej i śmielej kwestionowali prawa Litwy do portu, a państwo niemieckie, będące przedtem głównym dostawcą i odbiorcą w litewskim handlu zagranicznym, ograniczyło obroty towarowe z Litwą o dwie trzecie. W końcu maja 1935 r. Hitler oświadczył, że Berlin jest gotów zawrzeć pakt o nieagresji ze wszystkimi sąsiadami z wyjątkiem Litwy. W tym samym roku Rzesza wprowadziła obostrzenia celne, równające się właściwie blokadzie gospodarczej litewskiej republiki. Kowno zaczęło szukać nowych rynków zbytu dla swoich produktów i wysiłki te zostały uwieńczone powodzeniem, od 1936 r. można już było bowiem odnotować pomyślną koniunkturę w litewskim handlu zagranicznym. Wyraźnie zaczął się też rozwijać przemysł, zwłaszcza przetwórczy i spożywczy. Faktem jest, że przy końcu okresu międzywojennego globalna produkcja Litwy przekroczyła 2,1 raza wielkość produkcji sprzed I wojny światowej.

Z posunięciami w dziedzinie gospodarczej korespondowały wrogie hitlerowcom wystąpienia polityków litewskich. Wpływowy publicysta Valentinas Gustainis, omawiając ideologię i plany NSDAP, pisał, że „żaden naród, w poczuciu swej siły biologicznej i twórczego potencjału, nie zgodzi się zostać ofiarą Niemców”. Prezydent Smetona w grudniu 1933 r., na zjeździe rządzącej partii tautininków, mówił: „[...] jest on [hitleryzm - R.Sz.] otwarcie agresywny. Dąży nie tylko do odzyskania straconych przez Niemcy w ostatniej wojnie ziem, lecz do zagarnięcia nowych obszarów na wschodzie, kosztem krajów bałtyckich, a dalej i Rosji”. Trzeba też dodać, że podobnie jak w Polsce, tak i na Litwie wydany został zakaz rozpowszechniania *Mein Kampf*.

Wiele wskazywało na to, że bez normalizacji stosunków z Polską Litwa nie będzie mogła oprzeć się naciskom Rzeszy (nasuwa się analogia Austrii i Włoch). W styczniu 1935 r. prezydent Smetona zwołał naradę poświęconą kwestii stosunków z Polską. W konsekwencji minister spraw zagranicznych Stasys Lozoraitis przygotowywał dla prezydenta specjalne memorandum, w którym stwierdził: „Kłajpedę posiadamy, ale zagraża jej duże



niebezpieczeństwo. Wilna nie mamy i nie można mieć nadziei na odzyskanie go w najbliższej przyszłości. [...] Stosunki nasze z Niemcami układają się w ten sposób, iż grozi nam nawet fizyczne niebezpieczeństwo, dlatego musimy dążyć, ażeby nie tylko wyeliminować niebezpieczeństwo ze strony Polski, lecz co więcej, uzyskać jej pomoc w walce z Niemcami”.

Od 1929 r. toczyły się, utrzymywane w największej tajemnicy, rozmowy polsko-litewskie. Brali w nich udział ministrowie spraw zagranicznych, Lozoraitis i Beck, przyjaciel Piłsudskiego Aleksander Prystor, krewny Marszałka, a zarazem obywatel litewski Włodzimierz Zubow, i zaufany Lozoraitisa Kazimierz Narutowicz (bratanek zamordowanego prezydenta). W końcu lipca 1934 r. polski dyplomata Anatol Muhlstein proponował Lozoraitisowi nawiązanie stosunków dyplomatycznych i zawarcie układu o współpracy. Polska miała udzielić Litwie gwarancji jej granic, co musiało mieć istotne znaczenie w obliczu niemieckich zakusów wobec Kłajpedy. Muhlstein wskazywał też na konieczność nawiązania współpracy wojskowej. Ponadto Polska miała proponować Litwie, aby drażliwe kwestie wileńskie rozwiązać przez nadanie Wileńszczyźnie autonomii i całkowite otwarcie granicy polsko-litewskiej.

W lutym 1937 r. pod przewodnictwem Franciszka Charwata, przyszłego posła Rzeczypospolitej w Kownie, udała się do Gdańska delegacja polska na rozmowy z Litwinami. Do spotkania jednak nie doszło. Mimo niezaprzeczalnej wspólnoty interesów i licznych kontaktów nieoficjalnych nie udało się doprowadzić do normalizacji stosunków. Otoczenie prezydenta Smetony zdawało się sugerować, że postęp na drodze normalizacji tylko wtedy będzie możliwy, jeżeli Rzeczpospolita użyje pewnych form nacisku na Litwę. Chodziło o sparaliżowanie grup wrogich ułożeniu stosunków z Polską.

Rząd Polski wykorzystał wkrótce jeden z incydentów granicznych i skierował do rządu litewskiego ultymatywne żądanie nawiązania stosunków dyplomatycznych. Patrząc na skromność polskiego żądania, mimo druzgocącej przewagi militarnej, i skwapliwe przyjęcie go przez Kowno (za przyjęciem polskiego ultimatum wypowiedzieli się prezydent republiki i naczelny wódz generał Stasys Raštikis), można chyba przypuszczać, że w rzeczywistości nie chodziło o „marsz na Kowno”. Obawy Leona Noela, że zatarg między Kownem a Warszawą może przekształcić się w wojnę, były pozbawione podstaw. Francuski ambasador -jak stwierdził Stanisław Zabiełło - nie tylko przeceniał swoją rolę w „uratowaniu pokoju”, ale nieświadomy rzeczywistego stanu rzeczy mógł nawet zaszkodzić pozytywnemu załatwieniu incydentu.

Polska prasa rządowa entuzjastycznie przyjęła normalizację stosunków z Litwą. „Każdy Polak zapomina dziś o przeszłości - pisał Tadeusz Katelbach - i chce, aby każdy Litwin wiedział, że Naród Polski nie pragnie z Litwinami wojny, lecz pokoju”. I dalej stwierdzał, że „radość serdeczna i wyciągnięta dłoń do Litwinów - oto obraz Polski dzisiejszej”. Bogusław Miedziński w artykule *Sprawa litewska a zasady polityki polskiej*, zamieszczonym w „Gazecie Polskiej” 25 marca 1938 r., pisał, że Polska nie chciała aneksji, unii czy też wymuszonego na Litwie sojuszu. Polska chciała pokoju i współpracy. „Zrobiony został dobry początek - czytamy w artykule - który przyczyni się do oczyszczenia atmosfery, nad którą wciąż ciąży cienie przeszłości”. „Ilustrowany Kurier Codzienny” informował o stanie gospodarki litewskiej i zastanawiał się, jakie będą możliwości eksportowe Polski na Litwie. Wspomniał też o politycznych implikacjach normalizacji stosunków. „Polska powinna wziąć w swoje ręce inicjatywę nowego bloku ściślejszej współpracy gospodarczej państw od Bałtyku do Morza Czarnego”. W „Kurierze Bałtyckim” podkreślono znaczenie portu w Kłajpedzie dla rozwoju polskich ziem północno-wschodnich i nawoływano do nawiązania współpracy między Gdynią a Kłajpedą.

W Berlinie zmiany w stosunkach między Kownem a Warszawą przyjęto wstrzeźliwie. Ribbentrop powiedział Hitlerowi, że bliższe związki Polski z Litwą uniemożliwią Rzeszy skompensowanie Polakom zwróconego Niemcom Pomorza.

Przychylna, jak się wydaje, była reakcja Londynu. W komentarzach pism brytyjskich przejawiała się myśl, że posunięcie Polski stanowiło wstęp do powstania silnego bloku państw między Rzeszą a Związkiem Sowieckim.

Problemy polsko-litewskie i niemiecko-austriackie wykazywały jakieś przekorne podobieństwa. Litwini i Polacy, narody ongiś sobie bliskie, a w okresie międzywojennym wrogie (dotyczyło to bardziej Litwinów), musieli w końcu wysnuć wnioski wynikające z położenia obu państw. Bieg wydarzeń zmuszał oba narody do jednoczenia się. Proces rozpoczęty w 1938 r. został drastycznie przerwany, był jednak wystarczająco silny, aby Polacy mogli być pewni neutralności Litwy we wrześniu 1939 r.

Trudno porównywać Anschluss z polskim ultimatum skierowanym do Kowna. Polsce chodziło o porozumienie i - w przyszłości - sojusz, a nie włączenie czy podporządkowanie Litwy. Siły zbrojne Rzeczypospolitej miały nad armią litewską dziesięciokrotną przewagę (stosunek sił między Niemcami a Austrią był taki sam), nie musiała się zatem Polska martwić, czym poprzeć swoje żądania. Nie o to jednak chodziło, aby licytować się z Hitlerem w awanturach i upokarzać bliski Polakom naród, lecz aby zabezpieczyć północne skrzydło przyszłego frontu polsko-niemieckiego.

### **3. Dramatyczny finał**

Podporządkowanie Czechosłowacji było w planach Hitlera kolejnym etapem na drodze do przygotowania agresji na Francję. Podbita Czechosłowacja miała - jak to określił führer podczas listopadowej narady w 1937 r. - stanowić środek do wymuszenia lojalnej postawy Polski. Po stosunkowo łatwym opanowaniu Austrii Hitler, ośmielony ustępliwością mocarstw zachodnich, postanowił uczynić następny krok. Tym razem jednak sprawa była bardziej skomplikowana. Przeciwnikiem było państwo większe i silniejsze od Austrii, państwo cieszące się politycznym poparciem Paryża i znajdujące się w sojuszu z Rumunią, Jugosławią i ZSSR. Wariant „wyzwolenia” Niemców sudeckich był więc, obiektywnie rzecz biorąc, mało realny - tak przynajmniej myśleli wątpiący w polityczne talenty „feldfebla” niemieccy generałowie.

Czechosłowacja uzyskała niepodległość po upadku Austro-Węgier. Aspiracje terytorialne polityków czeskich sięgały daleko poza etnograficzne granice Czech. Program terytorialny, sformułowany pod koniec I wojny światowej i przedłożony Entencie w lutym 1919 r., obejmował wszystkie ziemie „korony św. Wacława”. Czesi domagali się złączenia ze Słowakami, inkorporacji Rusi Podkarpackiej, korytarza przez tereny austriackie i węgierskie do Jugosławii, poprawek na korzyść Czech od strony Prus, Saksonii, Bawarii i Austrii, w tym włączenia ziemi kłodzkiej i całego Śląska Cieszyńskiego aż po Bielsko.

Program ten udało się Masarykowi i Benešowi w zasadzie zrealizować. Niepodległa Czechosłowacja zajmowała terytorium liczące 140 tys. km<sup>2</sup> i zamieszkiwało w niej ponad 14 mln ludzi, a szczęśliwy traf uczynił ją państwem należącym do czołówki krajów przemysłowych, gdyż tylko traf sprawił, że na jej ziemiach znalazło się 75% przemysłowego potencjału cesarsko-królewskich Austro-Węgier (90% wydobywania węgla, 75% produkcji surówki i stali, 80% produkcji maszyn, taki sam procent produkcji tekstyliów itd.). W 1938 r. Czechosłowacja produkowała po 2,3 mln ton stali i surówki, a było to więcej, niż zdołały osiągnąć Włochy. W Czechach znalazł się nieomal cały przemysł zbrojeniowy państwa Franciszka Józefa. Ogromne zakłady Škody zatrudniały ponad 40 tys. pracowników, na

potrzeby wojska - i eksportu - pracowało 13 wytwórni samolotów, 6 fabryk dział, 8 - broni ręcznej i maszynowej, 6 - amunicji i granatów, 7 - broni pancernej. Pozwalało to Pradze na utrzymanie znacznych sił zbrojnych na stopie pokojowej - w 1924 r. 150 tys. żołnierzy, 1600 dział i 600 samolotów.

Nie oznaczało to, niestety, że I Republika była państwem silnym. Jej siły zostały wydatnie osłabiane przez czynniki destruktywne, które pojawiły się już u zarania niepodległości. Ich minimalizowanie lub potęgowanie zależało od polityki narodowościowej rządu praskiego i od stanu stosunków z sąsiadami. Tak się bowiem złożyło, że ambitny program terytorialny określił granice obejmujące liczne mniejszości. Kiedy więc Czesi liczyli 40%, a Słowacy 13% ludności państwa, to Niemcy aż 28%, Węgrzy 8%, Ukraińcy 4%, Polacy 1,5% i inni, głównie Rumuni i Żydzi, 5,5%.

Prognozyki były więc złe. Zaraz po proklamowaniu niepodległości czescy Niemcy, powołując się na zasadę samostanowienia, ogłosili powstanie niezależnych prowincji niemieckich, dążących do połączenia z Austrią. Były to: „Niemieckie Czechy” ze stolicą w Libercu, „Kraj Sudecki” z centrum w Opawie, „Niemieckie Południowe Morawy” ze Znojmem i „Prowincja Las Czeski” w rejonie miasta Cheb. Wprawdzie sprawne działanie czeskich sił zbrojnych stłumiło akcję „niepodległych” Niemców, ale problem kilkumilionowej mniejszości niemieckiej pozostał. Połączenie ze Słowacją powodowało konflikt z Węgrami, które niegdyś władały tym obszarem. Na samej Słowacji ujawniły się siły łączące właśnie z nimi przyszłość kraju - zwłaszcza po utworzeniu Sowieckiej Republiki Węgierskiej. Wymuszona później na Węgrach granica, sięgająca Dunaju, wyszła poza zasięg słowacczyny i obiektywnie wzmocniła mniejszość węgierską na terenie Republiki Czechosłowackiej. Również na Rusi Podkarpackiej rząd praski nie zrealizował obiecanej szerokiej autonomii dla Ukraińców. Spory o Cieszyn dały Czechom ponad 100-tysięczną ludność wypowiedającą się za połączeniem z Polską.

Stało się więc widoczne, że przyszłość Republiki jest uzależniona od okiełznania irredenty niemieckiej i zgodnej współpracy ze Słowakami. Bez tego Czesi nie mogli myśleć o utrzymaniu niepodległości. Na przeszkodzie temu stanęły interesy czeskiego mieszczaństwa, które zdawało się nie dostrzegać interesów słowackich.

Słowacja - wraz z Rusią Podkarpacką - ustępowała znacznie poziomem zagospodarowania Czechom i Morawom. Na z górą 40% terytorium państwa . znajdowało się jedynie 10% czechosłowackiego przemysłu. Rolnictwo słowackie miały zbiory o jedną trzecią mniejsze od rolnictwa czeskiego. Z czasem ziemie słowackie stawały się rynkiem zbytu dla wyrobów czeskiego przemysłu, rodzimy przemysł nie wytrzymywał bowiem konkurencji. Kryzys gospodarczy odbijał się głównie na ludności słowackiej, której jedyną perspektywą miała być czechizacja, czyli utrata narodowej odrębności. Nic więc dziwnego, że rosło rozczarowanie do związku z Pragą. Przybywało zwolenników autonomistycznego programu partii ks. Hlinki. I w ten sposób procent ludności zainteresowanej obroną Republiki spadał poniżej granicznej wielkości 50%. Tworzyło to zarodek katastrofy państwa.

Skoro położenie wewnętrzne tak się komplikowało, to tym większego znaczenia nabierała koncepcja polityki zagranicznej. W wypadku Czechosłowacji można nawet powiedzieć, że tego znaczenia nabierały poglądy jednego człowieka - dr. Eduarda Beneša. Był on długoletnim ministrem spraw zagranicznych, a po śmierci Masaryka jako prezydent Republiki nadal decydował o pracy MSZ. A więc Beneš kształtował czeską politykę zagraniczną niemal bez przerwy, a była to polityka antypolska.

Czeski polityk widział sojuszników swego państwa we Francji i „białej” Rosji. Sądził, że popierając kontrrewolucję rosyjską i zabiegając o względy Ententy zdoła zapewnić niepodległy byt swemu państwu.

Główne zagrożenie dla czeskiej niepodległości wiedział Beneš w rewizjonistycznych planach Węgier i Austrii, toteż starał się stworzyć taki system bezpieczeństwa

Czechosłowacji, który zapewniłby udaremnienie wszelkich zakusów tych państw, zwłaszcza zaś Węgier. W latach 1920-1921 Czechosłowacja zdołała zbudować system sojuszy wojskowych z Rumunią i Jugosławią (tzw. Mała Ententa) wymierzony przeciwko Węgrom. Na marginesie trzeba dodać, że obawy Pragi wyglądały trochę groteskowo. Po traktacie pokojowym siły zbrojne Węgier ograniczono do 35 tys. żołnierzy, bez artylerii ciężkiej i lotnictwa. W tym czasie siły zmontowanej przez Czechów koalicji liczyły łącznie (tylko stany pokojowe) 420 tys. żołnierzy dysponujących wszystkimi rodzajami broni. Nie trzeba przy tym dodawać, że równie „wielka” jak węgierska była armia drugiego wroga Czechosłowacji - Austrii. Zastanawiające, jak bardzo ludzie ulegają sugestii, że zagrożenie które minęło, trwa nadal, natomiast nie potrafią na czas dostrzec nowego, rosnącego niebezpieczeństwa. O koncepcji politycznej Beneša pisze Henryk Batowski: „Była to niewątpliwie bardzo błędna ocena sytuacji i stosunku sił, która miała się w przyszłości pomścić. Przenikliwy i przezorny dyplomata, jakim był Beneš [za takiego raczej uchodził - R.Sz.], w tym wypadku okazał się od początku krótkowzroczny”.

Realna ocena możliwości Austrii i Węgier musiała prowadzić do jednego wniosku - państwa te nie były w stanie napaść na Czechosłowację, mogły to zrobić tylko wraz z silniejszym partnerem. A więc problemem nr 1 powinny były stać się stosunki z mocniejszymi sąsiadami, to znaczy Niemcami i Polską, które mogły pokusić się o agresję, zwłaszcza że i Niemcy (w Austrii), i Polacy (na Węgrzech) na pewno szukali sojuszników przeciwko Pradze.

Wyciągając konsekwencje z tego faktu należało stwierdzić, że współpraca z Polską, nawet po utracie Zaolzia, była dla Czech korzystna, gdyż nie naruszała w gruncie rzeczy pozycji Czechosłowacji. Współdziałanie z Rzeszą oznaczało utratę rozległych terenów sudeckich i groziło degradacją państwa do roli słabego wasala Berlina. Z obu państw sąsiedzkich Polska była słabsza, ale też żywotnie zainteresowana w utrzymaniu terytorialnego *.status quo*. Niemcy natomiast dążyły do rewizji granic (początkowo tylko z Polską). Dodatkowym elementem przemawiającym za współdziałaniem czesko-polskim był sojusz z Francją. Połączone siły polsko-czeskie byłyby wystarczające, by wpłynąć na postawę Paryża w żywotnych dla Pragi i Warszawy sprawach. Wsparcie Francji w konflikcie z Niemcami gwarantowało nienaruszalność granic wszystkim państwom sojuszniczym.

Niestety w Pradze postąpiono akurat odwrotnie. Najpierw krwawy spór o Śląsk Cieszyński, w którym Czesi byli stroną atakującą, wykopał przepaść między bratnimi narodami. Wówczas to politycy doceniający znaczenie współpracy polsko-czeskiej, jak np. Ignacy Paderewski, protestowali przeciwko niesprawiedliwemu podziałowi Zaolzia, w wyniku którego „140 tys. Polaków zostało przyłączonych do 113 tys. Czechów”.

Później, kiedy Polacy pogodzili się z podziałem, a politycy polscy podejmowali liczne próby porozumienia z Czechami, Praga nie dostrzegała potrzeby wiązania się z Polską. Pierwszą taką próbą była wizyta delegacji naczelnika państwa w Pradze 17 grudnia 1918 r. Wiozła ona osobisty list Piłsudskiego do Masaryka. Z instrukcji ówczesnego ministra spraw zagranicznych Leona Wasilewskiego wynikało, że celem wizyty było nawiązanie przyjaznych stosunków z Czechami. „Zarówno Polska - wskazywał Wasilewski - jak i Czechy czeka walka z germanizmem, która prowadzona być może pomyślnie przy ścisłym współdziałaniu obu narodów”. Czesi nie podjęli rozmów twierdząc, że Polacy nie mają jeszcze swojego państwa”. Beneša nie przekonały nawet argumenty marszałka Focha o zagrożeniu niemieckim. Czeski minister miał wówczas oświadczyć, że „Niemcy nie są naszym dziedzicznym wrogiem” i że mniej się obawia Anschlussu Austrii niż powrotu na tron arcyksięcia Ottona Habsburga.

Po przewrocie majowym w Polsce - jak się wydaje - także były okresy, gdy Warszawa liczyła na bliższą współpracę z Pragą. W lecie 1930 r. udał się do Czechosłowacji minister Eugeniusz Kwiatkowski. Piłsudski polecił mu złożyć ofertę bliższej współpracy gospodarczej

jako podstawy do zacieśniania związków politycznych. Nie znalazło to zrozumienia u Czechów. Jeden z polskich dyplomatów, Kajetan Morawski, dowodził, że polityka Beneša w stosunku do Polski ograniczała się do zabiegów, „aby rewindykacja korytarza i Śląska nie zmąciła pokojowego rozwoju własnego jego kraju”. Dlatego też Polskę oceniano w Pradze jako „Bałkan Północy” o niepewnej przyszłości. „Musimy bronić się - pisał publicysta czeskich agrariuszy Ferdynand Kahanek - przed dostaniem się do sfery polskiej polityki”. Wiele złego narobił sierpniowy (1930) wywiad prezydenta Masaryka dla agencji London General Press. Według prezydenta „polski korytarz” obok węgierskiego rewizjonizmu był jednym z głównych niebezpieczeństw dla pokoju Europy. Masaryk miał nawet powiedzieć: „Co się tyczy polskiego korytarza, to jestem zdania, iż Niemcy nigdy nie pogodzą się z obecnym stanem rzeczy, wskutek którego Prusy Wschodnie odcięte są od Rzeszy”. Była to dość osobliwa reakcja na wizytę Kwiatkowskiego i oferty Polski.

Stanowisko Pragi, pogłębione krytycznym stosunkiem do autorytarnego ustroju Polski „pomajowej”, utwierdzało niechęć Piłsudskiego do Czechów. Marszałek i Beck sądzili, że położenie Polski byłoby korzystniejsze, gdyby miejsce Czechosłowacji zajęły Węgry po opanowaniu Słowacji i Rusi Podkarpackiej. Po nieudanym (kolejnym) epizodzie nawiązania współdziałania w 1933 r. Warszawa definitywnie spisała Czechosłowację na straty. Beck z rozdrażnieniem mówił później o postawie Pragi w 1933 r.: „[...] wydawało się, że potrafimy się z nimi dogadać, już miałem jechać do Pragi, ale Beneš się wykręcił. Brak mu odwagi, boi się z nami związać”. Odtąd jedynym, co interesowało kierowników polskiej polityki zagranicznej, była rewindykacja Zaolzia. „Marszałek - jak pisał po latach Beck - nigdy nie wierzył, że państwo czechosłowackie jest zdolne do życia, i od 1921 roku zwykł mawiać, że są dwa kraje, które nie przetrwają, to Austria i Czechosłowacja. Zdaniem Marszałka najważniejszą rzeczą było wiedzieć, która z nich zniknie pierwsza”.

Piłsudski krytycznie i trzeźwo oceniał wewnętrzną sytuację Republiki. Widział fatalnie realizowaną politykę narodowościową, potęgujące się tendencje odśrodkowe i słabnące więzi czesko-słowackie. To wszystko utwierdzało Piłsudskiego w przekonaniu o nietrwałości państwa kierowanego przez Beneša.

W ten sposób w latach 1937 - 1938 stosunki czesko-polskie doszły do stanu, który wykluczał porozumienie: Warszawa twierdziła, że nie może być normalizacji bez poprawy losu Polaków za Olzą, natomiast w Pradze jako warunek porozumienia stawiano zrezygnowanie sanacji z władzy. Jak widać, były to postulaty mało konstruktywne. Jednocześnie Beneš nie dostrzegał, że pole manewru Polski było jednak znacznie szersze, a więc Praga powinna była zabiegać o względy Warszawy. Beneš czekał, aż uczynią to Polacy.

Teza piłsudczyków, że polityka Beneša oznaczała pełną zależność Pragi od Paryża, nie potwierdzała się przynajmniej na jednym odcinku - niemieckim. W stosunku do Rzeszy czescy politycy starali się zachować jak największą poprawność (skłaniała ich do tego obecność kilku milionów Niemców w granicach Czechosłowacji). W czasie kryzysu nadreńskiego (1923 r.) Czesi oparli się naciskom francuskim w sprawie wspólnej akcji przeciwko Rzeszy. Beneš zresztą starał się nie tylko o poprawność, lecz dążył do traktatowej formy współpracy z Berlinem. Wielokrotnie ponawiane zabiegi znalazły swój najdobitniejszy wyraz w wizycie Beneša w Niemczech w 1928 r. Cytowany już Batowski pisze: „Te awanse ze strony Pragi, choć nie odpłacane w równej mierze, przyjmowano w Berlinie już choćby dlatego, że to zabezpieczało Rzeszę przed ewentualnością silniejszego zwrócenia się Czechosłowacji ku Polsce, co spowodowałoby sytuację dla Niemiec nader niedogodną”.

A przeszedł już Beneš samego siebie, kiedy to na konferencji rozbrojeniowej w Genewie (1932 r.) domagał się równouprawnienia w zbrojeniach dla Niemiec. To oświadczenie Beneša bardzo negatywnie - i w dosadnych słowach - ocenił Piłsudski.

Stanowisko Pragi w sprawach niemieckich musiało ulec zmianie po 1933 r. Było to jednak rezultatem polityki Hitlera, a nie Beneša. Ale nawet wówczas na praskim Hradie

ludzono się, że będzie można kontynuować dobrosąsiedzkie stosunki. Beneš usiłował - w tajemnicy przed własnym rządem - pertraktować z Hitlerem w 1936 r. Jak można było przypuszczać i ta próba zakończyła się fiaskiem. Hitlerowi nie były potrzebne porozumienia, ale Sudety.

Mniejszość niemiecka w Czechosłowacji (3,5 mln) stanowiła ogromną siłę. Przy tym korzystne było - z punktu widzenia Berlina - jej terytorialne rozmieszczenie. Ponad półtora miliona Niemców żyło w północnych i północno-zachodnich Czechach, stanowiąc 80 - 90% ludności mieszkającej na tych terenach. Podobnie wysoki odsetek stanowiło 300 tys. Niemców w północnych Morawach i na Śląsku Opawskim. Rzesza z łatwością mogła szermować hasłami samostanowienia w odniesieniu do swoich ziomków w Sudetach. A ludność niemiecka w Czechosłowacji umacniała się w poczuciu odrębności. Służyło temu rozbudowane szkolnictwo (m.in. istniał niemiecki uniwersytet w Pradze i dwie politechniki) i akcja informacyjno-propagandowa prowadzona przez wiele firm wydawniczych (ukazywało się około 250 gazet i czasopism w języku niemieckim). Wpływy polityczne w Republice obrazowało 71 mandatów niemieckich reprezentantów (na 281 miejsc) w czechosłowackim parlamencie.

W październiku 1933 r. powstał Sudetendeutsche Heimatfront, którego skrót SHF tłumaczono - *Sei Hitlers Freund* (Bądź przyjacielem Hitlera). Wkrótce kierowany przez Konrada Henleina „front” przekształcił się w Partię Sudecko-Niemiecką (SdP), która szybko stała się najsilniejszą partią w kraju; z trzynastu tysięcy członków w styczniu 1934 r. SdP doszło do miliona pięćdziesięciu tysięcy ludzi w kwietniu 1938 r. Już wybory w 1935 r. przyniosły henleinowcom duży sukces, plasując ich na pierwszym miejscu wśród partii Republiki. Gdyby SdP chciała współpracy z innymi partiami, wówczas stanowisko premiera powinno formalnie należeć do Henleina. Jeśli do tego dodać, że irredenta niemiecka była zachętą dla separatyzmu słowackiego i podsyciała rosnące niezadowolenie mniejszości węgierskiej i polskiej, to sytuacja I Republiki stawała się rozpacзлиwa. Nie należy przy tym zapominać, że Anglia uważała, iż można zaspokajać Hitlera kosztem Czechosłowacji, Francja nie była zdolna do obrony swego wiernego sojusznika, gdyż oglądała się na Londyn, ZSSR, mimo deklaracji o chęci udzielenia pomocy, przygotowywał się do rozegrania napiętej sytuacji na swoją korzyść, a Węgry i Polska coraz wyraźniej popierały separatyzm swoich rodaków - obywateli ČSR.

Jak dysonans brzmiał w tym kontekście powtarzane powszechnie opinie o dużej sile czechosłowackiej armii, a zatem ogromnych możliwościach obronnych Republiki. Również w Polsce po 1945 r. wiele napisano o świetnej czeskiej broni pancерnej, potężnej artylerii i dobrym lotnictwie, a wszystko to oparte było na danych publikowanych przez czeskich historyków. Dokładniejsza analiza tych danych ujawnia jednak duże sprzeczności w upowszechnianych informacjach i pewną przesadę w ocenach.

W zasadzie nikt nie kwestionował, iż Czechosłowacja zmobilizowała w 1938 r. armię liczącą około 2 - 2,2 mln żołnierzy (45 dywizji - w tym 4 szybkie i 2 zmotoryzowane). A przecież już te miliony zastanawiają, do dziś bowiem pozostało tajemnicą, w jaki sposób małe stosunkowo państwo, obciążone licznymi mniejszościami narodowymi, było w stanie zmobilizować tak wielką liczebnie armię (w granicach 14% ludności państwa - rekord światowy). Wypada też zapytać, dlaczego Praga skapitulowała przed 39 dywizjami niemieckimi (1,2 mln żołnierzy). Wprowadzie jesienią 1938 r. Hitler zamierzał wystawić 80 dywizji (3,3 mln żołnierzy), ale musiał liczyć się z zagrożeniem ze strony Francji i Polski. Dlatego przeciwko Czechom Niemcy mogli użyć około połowy posiadanych wojsk.

Sprawę wyjaśnia trochę fakt, że w Czechosłowacji było 1,2 mln karabinów (Maksymilian Berezowski twierdził, że było 19 mln), co by oznaczało, że znaczna część zmobilizowanych była bez broni. Wiadomo też, że owe liczne dywizje miały 3200 dział, czyli o kilkaset mniej niż było ich w Polsce, a o polskiej artylerii nikt jakoś nie napisał, że

była potężna. Jeżeli obrona przeciwpancerna i przeciwlotnicza wyglądała nieco gorzej - jak napisał Marian Zgórnik w pracy o wojskowych aspektach kryzysu czechosłowackiego - to można było sobie wyobrazić, ile dział polowych, przeciwpancernych i przeciwlotniczych wypadło na każdą z 45 czeskich dywizji. W broni pancernej nie było lepiej, gdyż liczbę wozów bojowych {razem z samochodami pancernymi} ocenia się na około 500. A więc siła czeskiej „szybkiej” dywizji nie mogła być zbyt wielka. Podobnie wyglądało lotnictwo (w pierwszej linii około 600 samolotów), składające się z archaicznych dwupłatów myśliwskich Avia i bombowców nie nadających się do działań wojennych. W Czechach produkowano dużo broni, ale ... na eksport, w tym do Japonii, która toczyła wówczas wojnę w Chinach. Nawet słynne fortyfikacje czeskie, biorąc pod uwagę koszt ich budowy (7 mld koron - 1,5 mld złotych) i długość zagrożonych granic (około 3 tys. kilometrów), nie wyglądały imponująco. Pomijając fakt, że fortyfikacje nie zdały egzaminu w czasie ostatniej wojny, trzeba pamiętać, że Polska planowała koszt kilometra umocnień na swojej granicy zachodniej na 2 mln złotych, Czesi zaś wydali na kilometr około 0,7 mln złotych (kilometr linii Maginota 30 mln złotych).

Trudno zupełnie negliżować wartość realną armii czeskiej, należałoby jednak widzieć ją we wszystkich uwarunkowaniach. Wypadałoby też zachować większą dozę ostrożności przy przytaczaniu określonych danych. Gdyby było tak, jak piszą dziś niektórzy historycy, to generał Jan Syrový nie musiałby mówić, że Republika mogła dać się zabić albo popełnić samobójstwo.

Koła wojskowe Czechosłowacji zdawały sobie sprawę z położenia i widziały, jakie znaczenie może mieć dla Pragi współpraca i sojusz z Polską. Podobno nawet zamierzały dokonać zamachu stanu i przyłączyć swój kraj do Rzeczypospolitej, by wspólnie z wojskiem polskim przeciwstawić się Hitlerowi. Do współpracy nie doszło, a na zamach stanu było już za późno.

Monachium stanowiło, wbrew pozorom, logiczną konsekwencję linii politycznej obranej przez Pragę w okresie dwudziestolecia. Zgodnie z zasadą, że najłatwiej płaci się interesami najwierniejszego sprzymierzeńca, Paryż bez zmruczenia oka poświęcił suwerenność i niepodległość państwa kierowanego przez „najwybitniejszego polityka Europy Środkowej”, jak nad Sekwaną nazywano Beneša. Jedynym sukcesem Pragi był czyn generała Fauchera, szefa francuskiej misji wojskowej w Czechosłowacji, który na znak protestu podał się do dymisji, zrzekł się obywatelstwa francuskiego i poprosił o czeskie.

Stanowisko Polski w dniach kryzysu czechosłowackiego wywołało wiele komentarzy, a mimo to do dziś trudno je zinterpretować jednoznacznie. Znana niechęć Becka do Beneša - odwzajemniana - i wkroczenie wojsk polskich na Zaolzie zdawały się sugerować współdziałanie z Niemcami. Istnieje jednak sporo przesłanek pozwalających przypuszczać, że Beck starał się działać samodzielnie. Kapitulacja Zachodu i błyskawiczny upadek Czechosłowacji zaskoczył polskiego ministra, który nie chciał zbyt wcześnie angażować kraju w konflikt. „Beckowi szło nie tylko o neutralność, czy też zbrojną neutralność w klasycznym tej instytucji znaczeniu - pisze Stefania Stanisławska (*Polska a Monachium*) - ale o pozostawienie sobie możliwie długo wolnej ręki w razie konfliktu i możliwie najlepszej sytuacji przetargowej, póki do konfliktu nie doszło, zachowując sobie możliwość przyłączenia się do jednej z antagonistycznych stron”. Stwierdzenie to wydaje się być prawdziwe, jeśli doda się, że mimo wszystko Beck wiedział, po której „antagonistycznej stronie” powinna opowiedzieć się Polska. Sprawa dotyczyła terminu, a nie wyboru partnerów.

Kierunek polityki polskiej formułował Beck następująco: „W Europie kształtować się poczynają przeciwstawne sobie osie: Rzym -Berlin i Paryż-Londyn. Jedną z zasad naszej polityki jest nie wiązać się z żadnym z bloków”. Minister sądził, że sprawa sudecka nie jest zagadnieniem zwrotnym w stosunkach między mocarstwami, dlatego też zaatakowana

Czechosłowacja nie podejmie obrony, a Anglia i Francja będą starały się wymuszać na Czechach ustępstwa. Również ZSSR - według ministra - ograniczy się do dyplomatycznych protestów. W tej sytuacji Polska powinna rewindykować Zaolzie. Całą akcję należy jednak tak przeprowadzać, by Polska „nawet w sposób pośredni” nie znalazła się w roli sojusznika Hitlera. Gdyby przewidywania te nie potwierdziły się i gdyby doszło do powszechnego konfliktu w obronie Czechosłowacji - konkludował Beck - wówczas linia polityczna Polski powinna ulec zmianie w ciągu 24 godzin.

Stanowisko Becka znajdowało potwierdzenie w raporcie radcy poselstwa czechosłowackiego w Warszawie Jana Prochazki (2 IX 1938). Dyplomata pisał, że polski minister w rozmowie z posłem litewskim Kazysiem Śkripą powiedział: „Polska nie podejmie niczego, co utrudniłoby naszą [ČSR - R.Sz.] sytuację, chociaż ma interesy w Cieszyńskim”.

Gotowość zmiany stanowiska potwierdzała treść noty Becka wręczonej ministrowi spraw zagranicznych Francji Bonnetowi (24 V 1938) przez ambasadora Łukasiewicza.

Polski minister przypomniał, że w przeciwieństwie do Francji Polska nie ma żadnych zobowiązań traktatowych wobec Czechosłowacji. Dawał w ten sposób do zrozumienia, że inicjatywę w sprawach czeskich powinien przejawiać Paryż, a nie Warszawa. Dodał też, że rząd polski może mieć pretensje do polityki czeskiej na Zaolziu, a mimo to: „w razie powstania konfliktu o szerszym charakterze wynikałaby stąd sytuacja nowa, co do której rząd polski musi sobie zarezerwować możliwość zbadania decyzji”. Jaka będzie decyzja Polski, gdyby Francja wystąpiła w obronie Czechów, mówił następny punkt noty: „Będąc zmuszonym poczynić powyższe zastrzeżenie, potwierdzam jednocześnie, jak 7 marca 1936 r., gotowość polską wypełnienia zobowiązań sojuszniczych w ramach istniejących umów oraz gotowość przyjaznej dyskusji na temat wszystkich nowych zjawisk, opartej na wzajemnym zrozumieniu interesów Polski i Francji”. Wreszcie Beck oświadczał, że odprężenie między Warszawą a Pragą byłoby możliwe po przyznaniu mniejszości polskiej w Czechosłowacji praw, jakimi „dysponuje mniejszość najbardziej uprzywilejowana”.

Zastanawiające, że w dokumencie Becka nie było słowa o zamiarze oderwania Zaolzia czy wspierania znanych już żądań Berlina. Czy była to jedynie gra obliczona na Paryż? Być może tak, ale przypomnienie stanowiska Polski z 1936 r. i sugestie, że „szerszy konflikt” wpłynąłby na zmianę stanowiska Polski, dawały równie dużo do myślenia. Bardzo mądrze skonstruowany był też postulat praw dla mniejszości polskiej. Wynikało z niego, że każde zaostrożenie na odcinku niemieckim, czytaj: uszczuplenie praw mniejszości najbardziej uprzywilejowanej (Niemców), oznaczało minimalizowanie polskiego żądania. I odwrotnie, ustępstwa na rzecz Niemców miały powodować wzrost żądań Polski. Czyżby Beck starał się wymusić w Pradze wolę oporu w stosunku do Berlina?

Tak umiarkowany postulat polskiego ministra musiał wynikać między innymi z informacji, którymi dysponowały władze polskie po wizycie wysłannika prezydenta Beneša w Polsce, dr. Wacława Fiali. Według Beneša Zaolzia chciał tylko Beck, wobec tego wystarczyło dogadać się z opozycją, izolować i usunąć Becka, aby naród polski przekonał się o czystości intencji rządu praskiego i poparł Czechosłowację.

Zgodnie z tymi dyspozycjami Fiala rozmawiał wyłącznie z opozycją. Z Beckiem jedynie kurtuazyjnie, przez kilka minut, a Kwiatkowski uchylił się od merytorycznej rozmowy, uważając, że nie ma do tego koniecznych uprawnień. Fiala zaczął od narodowych demokratów. Rozmówcami wysłannika Beneša byli Roman Rybarski, Zygmunt Berezowski, Kazimierz Olechowicz i Stanisław Stroński. W interesującej Pragę sprawie (Cieszyn) Fiala usłyszał z ust Olechowicza: „Opinia polska uznałaby obronę Czechosłowacji [przez Polskę - R.Sz.] przed zwrotem Zaolzia za zdradę wobec mniejszości polskiej na Śląsku”. Przedstawiciele ludowców - wśród nich Maciej Rataj - oświadczyli, że przychylne nastawienie Polski do Czech będzie niemożliwe, dopóki Praga nie obieca zwrotu Śląska Cieszyńskiego. Przywódca PPS Mieczysław Niedziałkowski zastrzegł, że bez zwrotu Zaolzia



Czesi nie powinni myśleć o współpracy z Polakami. W podobny sposób wypowiadali się politycy chadecy. Rezultat misji Fiali przedstawiony w jego piśmie do Beneša wyglądał następująco: „Wszyscy, wszyscy bez różnicy politycy polscy, z którymi spotkałem się, mówili mi o tym, że musimy we własnym interesie pójść na ustępstwa w stosunku do mniejszości polskiej w okręgu cieszyńskim i spełnić jej żądania”.

A więc problem Zaolzia nie mógł być sposobem na usunięcie Becka. Czy on sam, wiedząc o tym, chciał pokazać Pradze, iż jego warunki były lepsze od tego, czego żądałaby polska opozycja? Bo, przy założeniu dobrej woli polskiego ministra, jego formuła była niewątpliwie do przyjęcia tak w Paryżu, jak i w Pradze. Charakterystyczne, że nawet Bonnet, pisząc pamiętniki, zataił ten fragment propozycji szefa dyplomacji polskiej, w którym nawiązywał on do gotowości wypełnienia zobowiązań sojusznicznych.

Było już jednak za późno. Dwa dni przed rozmową Łukasiewicza z Bonnetem ambasadora Czechosłowacji w Paryżu pozbawiono złudzeń - zachodni sojusznicy wymuszali na Pradze ustępstwa, a to paraliżowało możliwości działania Czechosłowacji. Praga, przyjmując formułę Becka, pogorszyłaby swoje położenie, gdyż do ustępstw na rzecz Niemców musiałaby dodać „takie same prawa” dla ludności polskiej. Przy stanowisku Paryża i Londynu żądanie polskie prowadziło konsekwentnie do oderwania Zaolzia po ustąpieniu Sudetów Niemcom.

21 września o godzinie 17.00 rząd w Pradze przyjął w sprawie cesji Sudetów na rzecz Berlina plan anglo-francuski. Dwie godziny później minister Kamil Krofta otrzymał notę polskiego rządu, w której Warszawa domagała się załatwienia żądań polskich w taki sposób, jak uczyniono to z żądaniami niemieckimi.

Po kilku dniach oddziały polskie, dowodzone przez generała, Władysława Bortnowskiego, przekroczyły most na Olzie. Terytorium państwa polskiego powiększyło się o 1871 km<sup>2</sup>. „Teren ten - pisze Jerzy Kozeński - miał bardzo wysoką wartość gospodarczą ze względu na swoje zasoby węgla i hutnictwa, co pozwala sądzić, że zagadnienia ekonomiczne odgrywały poważną rolę w pobudkach polityki polskiej w stosunku do Czechosłowacji”. Produkcja stali wzrosła o 38%, surówki o 67%, wyrobów walcowanych o 47%, koksu o 55% - było to więc poważne wzmocnienie potencjału Polski.

Decyzja Becka, chociaż samodzielna, miała jednak znamiona współpracy z Berlinem, czego polski minister bardzo chciał uniknąć. Zwłaszcza nad Sekwaną i Tamizą zawsze byli chętni do obarczania własnymi winami „cynika” z Wierzbowej. Natomiast ma częściowo rację wspomniany już Henryk Batowski, gdy pisze: „Beckowi nie chodziło o Zaolzie, przynajmniej nie chodziło mu o tę sprawę wyłącznie. Dążył on do celu znacznie szerszego: do rozbicia Czechosłowacji. Maskując ten cel żądaniami w sprawie Zaolzia, które mogły być zrozumiałe dla mocarstw zachodnich, Beck w istocie myślał o przebudowie Europy Środkowej w myśl swoich planów, w których dla Czechosłowacji takiej, jaka istniała przed 1938 r., nie było miejsca. Do planów tych Beck nie przyznawał się także w Berlinie, gdyż w istocie rzeczy były one skierowane przeciwko Niemcom [podkr. - R.Sz.]. W Berlinie dyplomacja polska mówiła tylko o Zaolziu, raczej uchylając się od zdradzenia polskich zainteresowań Słowacją i początkowo także niezbyt wyraźnie zaznaczając swoje dążenia do osiągnięcia wspólnej granicy z Węgrami; na silniejsze zaakcentowanie tego celu polskiej polityki zagranicznej przyszła kolej dopiero w następnej fazie, w październiku 1938 r.”

Przeciwko Czechosłowacji przemawiała - zdaniem Becka - koncepcja polityczna Beneša, który gwarancje bezpieczeństwa własnego kraju widział we wspólnej granicy z Rosją. Praga nazywała Ruś Podkarpacką „depozytem”, który miał być przekazany Rosji po odpadnięciu kresów wschodnich od Polski. W Polsce pamiętano słowa prezydenta Masaryka z 1920 r.: „Na Ruś Węgierską (Podkarpacką) patrzemy jako na tymczasowy depozyt Rosji, który przy pierwszej sposobności jej zwrócimy”. Dla Polski nie mogło być wątpliwości, w

jakich warunkach może się pojawić sposobność zwrotu tego depozytu Rosjanom. Dlatego Warszawa coraz wyraźniej popierała mniejszość polską, Słowaków i węgierski rewizjonizm, wymierzony w całość terytorialną Czechosłowacji. Czechy bez Słowacji nie musiałyby szukać wspólnej granicy z Rosją.

W 1938 r. zemścił się srodze brak realizmu w stosunkach polsko-czeskich. Żeby jednak nie popadać w przesadę, trzeba stwierdzić, że winą należy obarczać nie tylko stronę polską. Winston Churchill powiedział, że Polska wyciągała Zaolzie z plecaka niemieckiego żołnierza. Angielski polityk nie wspominał jednak, kto ten plecak wypełnił łupem, zanim padły strzały na Westerplatte.

W listopadzie 1938 r. prasę obiegła wiadomość, że jeden z ministrów Republiki złożył w praskim senacie wniosek o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej Beneša „za przeciwdziałanie zbliżeniu z Polską w okresie, gdy Warszawa była skłonna do nawiązania współpracy”.

Zachowania Polski nie byli pewni też ci, z którymi Beck rzekomo współdziałał. Ambasador Moltke pisał w swym raporcie (lipiec 1938 r.) o celach polityki polskiej. „Nie ulega wątpliwości, że Polacy wykorzystają wszelką możliwość, a zwłaszcza wszelką słabość Niemiec, aby otrzymać nowe gwarancje i zapewnienie w wyżej podanych sferach interesów [Litwa, Zaolzie - R.Sz.]. Jednakże nawet otrzymawszy takie korzyści, Polska zawsze będzie postępowała tak, jak jej dyktować będą własne interesy. Byłoby nawet błędem liczyć na świadczenie wzajemne w wypadku ciężkiej dla nas sytuacji”.

Postawa Warszawy w dniach napięcia majowego wywołała niezadowolenie w Berlinie. Ambasador Lipski informował Becka, że w kołach wojskowych Rzeszy twierdzono, „jakoby niewyraźna postawa Polski udaremniła przedsięwzięcie niemieckie w sprawie sudeckiej, które miało być zrealizowane w [...] dniach maja”. Informacje Lipskiego znajdują potwierdzenie w rozkazach wydanych przez Oberkommando des Heeres (OKH) w lipcu 1938 r. Stwierdzano w nich, że w wypadku ataku polskiego na Niemcy należy trzymać obronne umocnienia na granicy polskiej aż do czasu pokonania Czechów i później uderzyć całością sił na Polskę. I pomyśleć, że jeszcze na początku maja 1938 r. w tym samym OKH zakładano polską pomoc wojskową na wypadek wojny z Czechosłowacją - oczywiście pomoc dla Niemców.

Ciekawe też, że Churchill nie uważał za stosowne powtórzyć swego aforyzmu o „wyciąganiu zdobyczy z niemieckiego plecaka” dokładnie rok później. Przeciwnie, wyrażał radość, że wojska niemieckie i sowieckie spotkały się na Bugu i w ten sposób powstał potencjalny front wschodni. Jak widać angielski polityk miał różne miary dla poczynań Polski i ZSSR. Warto tu dodać, że istniała zasadnicza różnica między działaniem rządu polskiego, który domagał się zwrotu Zaolzia, gdy okazało się, iż Czechosłowacja nie stawia oporu Niemcom, a postępkami Stalina, który napadł na Polskę broniącą się przed agresją i w ten sposób ułatwił działania Hitlerowi i zniszczenie Rzeczypospolitej. Mimo to wypada zgodzić się z opinią Jana Starzewskiego, gdy pisał na łamach londyńskiej „Niepodległości”: „Zdobycie Śląska Cieszyńskiego, podobnie jak nawiązanie stosunków z Litwą, spełniło długoletnie wysiłki Warszawy. Cena jednak była nadmierna, a położenie Polski stało się fałszywe; stała jakby w rzędzie zadowolonych i zwycięzców, naprawdę zaś była zagrożona i wystawiona bezpośrednio na dziejową burzę”.

#### **4. Szanse „Trzeciej Europy”**

Gdy Rzeczpospolita straciła przewagę militarną nad Rzeszą (był to dotąd jedyny właściwie element stanowiący mocną podstawę dla linii nazywanej „polityką równowagi”),

w Warszawie coraz mniej było wątpliwości, skąd wyruszy uderzenie na Polskę. Plany hitlerowskiej Rzeszy były na tyle jasne, że można się było jedynie zastanawiać nad terminem wybuchu wojny.

Minister Beck początkowo odsuwał od siebie nieuchronne, wierząc w swoje umiejętności dyplomatyczne i ufając - bardziej niż należało - zapewnieniom Hitlera, że nie chce on wojny z Polską. Jednak i Beck dostrzegał, że I Polsce, leżącej między hitlerowską Rzeszą a państwem sowieckim, trudno będzie zachować bezpieczeństwo granic. Sprzeczności ideologiczne dzielące naszych sąsiadów prowadziły prostą drogą - mówił Beck - do „wojny religijnej” dwu przeciwnych światopoglądów. „Nie można przypuszczać - wspomina słowa Becka Stanisław Schimitzek - że nastąpiła era wiecznego pokoju. Polska nie ma żadnych szans w wojnie prowadzonej bez sojuszników, a zwłaszcza w wojnie na dwa fronty. Naczelnym zadaniem jej jest przeto zapewnienie sprzymierzeńców silnych, dających gwarancje największe, że zobowiązań swych dotrzymają. Poza tym chodzi jednak o to, by wojna - jeśli miałyby wybuchnąć - nie wybuchła z powodu zatargu któregośkolwiek z sąsiadów z Polską, by Polska nie była sojusznikiem, który wzywa pomocy, lecz takim, który jej udziela”.

Rodzi się pytanie: czy położenie Polski, linia obowiązującej wówczas polityki zagranicznej - i wewnętrznej - oraz jej siła, uprawniały do wyciągnięcia wniosku, że myśl ta miała szanse oblec się w materialny kształt polityczny? Polska, domagająca się równego miejsca w gronie najpotężniejszych Europy, mogła liczyć na koniunkturę, sprzeczności interesów i grę j dyplomatyczną. Jej szanse malały, gdy do głosu dochodziła siła militarna i gospodarcza.

Początkowo szef polskiej dyplomacji sądził, że mimo słabości Polski uda mu się umieścić ją w pierwszej piątce państw europejskich i w ten sposób zapewnić jej bezpieczeństwo. Okazją po temu stał się brytyjski projekt tzw. paktu zachodniego, który miał powstać w miejsce wypowiedzianych przez Niemcy paktów lokarneńskich.

W roku 1936 Warszawa podjęła starania o polepszenie swych stosunków z Paryżem, usiłując jednocześnie zjednać sobie Londyn. Od 8 do 12 listopada 1936 r. minister Beck przebywał w Anglii i usiłował do swych planów przekonać Brytyjczyków. W rozmowie z Edenem dowodził, że polityka polska i angielska mają zasadniczy wspólny rys - unikanie związków z blokami. Interesy Anglii w Europie Środkowej nie wymagają angażowania sił Zjednoczonego Królestwa, gdyż zapewnia je Polska, chociaż nie chciałaby robić tego bezinteresownie. Ceną za trwałość takiego stanu - sugerował Beck - powinno być włączenie Polski do „nowego Locarno”.

Wydawało się, że Anglicy zostali przekonani argumentacją polskiego ministra. Pośrednio dowodził tego ogłoszony po wizycie komunikat oficjalny, oświadczający, że „[...] skorzystano [...] z okazji, aby rozważyć szereg punktów związanych z proponowanym »paktem zachodnim«, co do których Polska jest zainteresowana. Uznane zostało, że należy znaleźć drogę do uwzględnienia słusznych interesów Polski w tej sprawie”. Pierwszy krok Becka na drodze do udziału w projektowanym pakcie był poważnym sukcesem politycznym.

Dobre prognozy współdziałania polsko-angielskiego zaniepokoiły Berlin. Włączenie Polski do zaczynających się rokowań jako równoprawnego partnera mogło przekreślić plany zwasalizowania Rzeczypospolitej. Nic więc dziwnego, że następnego dnia po ogłoszeniu wspomnianego komunikatu Ribbentrop - wówczas ambasador Niemiec w Londynie - zjawił się u ambasadora Raczyńskiego i starał się wybadać, co Beck zdołał uzyskać u Edena. Nie dowiedział się niczego, ale doskonale zdawał sobie sprawę, jaki był cel wizyty polskiego ministra w Londynie. Począł więc straszyć ambasadora niebezpieczeństwem komunizmu, a jednocześnie zapewniać, że nie „pakt zachodni”, ale „wzmoczona przyjaźń Niemiec” powinna stać się gwarancją bezpieczeństwa Polski.

W pierwszej dekadzie grudnia w polskim ministerstwie spraw zagranicznych opracowano projekt paktu odpowiadający zamiarowi Becka. Propozycja angielska przewidywała system gwarancji o charakterze dwuczłonowym: z jednej strony bezpieczeństwo miały gwarantować sobie Anglia, Francja i Niemcy, z drugiej zaś Francja, Niemcy i Włochy. Polski projekt przewidywał stworzenie trzeciego członu obejmującego Francję, Niemcy i Polskę. Tą drogą Polska chciała umieścić w pakcie wielostronnym zarówno sojusz polsko-francuski, jak i polsko-niemiecką deklarację o nieagresji. Przekreślało to przyjętą w Locarno zasadę, że bezpieczeństwo na wschodzie było mniej ważne niż bezpieczeństwo na zachodzie. Nie bez znaczenia był też fakt, że w wypadku agresji niemieckiej na Polskę sojusz z Francją nabierał jednoznacznej formy - automatycznej interwencji bez odwoływania się do procedury Ligi Narodów.

Świetna formuła Becka była niestety nierealna, i to głównie z powodu opozycji Berlina. Hitler nie myślał przecież poważnie o tworzeniu systemu bezpieczeństwa, a prowadzone rozmowy miały na celu jedynie oszukiwanie dyplomatów zachodnich. Ale nawet gdyby tak nie było, Polskę tym bardziej należało izolować od Zachodu. Kiedy Warszawa zostanie sam na sam z Moskwą, wówczas będzie musiała się oprzeć o Berlin - rozumował führer. Dlatego wyniki rozmów Becka, Lipskiego i Szembeka z Niemcami mogły być jedynie negatywne.

W Londynie także zmieniono zdanie na temat polskiego udziału w „pakcie zachodnim”. Anglikom świłała myśl, że najlepszym rozwiązaniem byłoby podjęcie rozmów dwustronnych z Rzeszą. To stanowisko podzielano w Paryżu w całej rozciągłości.

Z rozmowy, którą Beck odbył z Edenem 18 maja 1937 r., można było wyciągnąć jedną istotną wskazówkę. Dyplomata brytyjski stwierdził, że Anglia jest zainteresowana w „rozbudowaniu przez Polskę systemu politycznego opartego o państwa skandynawskie, a obejmującego państwa bałtyckie na północy i Rumunię na południu”. Ten „pas neutralny - ciągnął Eden - spełnia w układzie stosunków europejskich doniosłe zadanie”. Anglik wytknął przy okazji Beckowi, że brak przyjaznych stosunków z Litwą stanowi wyłom w tym systemie.

Wysiłki polskie, dostrzegane przez Edena, wynikały z szerszej koncepcji znanej pod mianem Międzymorza, w której chodziło o zrealizowanie myśli Marszałka, głoszącego, że warunkiem bezpieczeństwa Polski może być jedynie jej mocarstwowa pozycja. „Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba” - pisał Kazimierz Wierzyński w wierszu *Wyrok pośmiertny* ze zbioru *Wolność tragiczna*, poświęconego zmarłemu przed rokiem Józefowi Piłsudskiemu.

Skoro nie powiodły się plany federacyjne, postanowiono szukać innego rozwiązania. Na stratę niepodległości w rejonie środkowoeuropejskim narażona była nie tylko Polska, należało więc zwrócić się do państw tak samo zagrożonych przez potężnych sąsiadów i wspólnie stworzyć blok zdolny oprzeć się agresji z zewnątrz. W tym sensie mówiono o „Międzymorzu”, czyli państwach leżących między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym a Niemcami i ZSSR.

Zasadniczy dla sformułowania politycznej koncepcji „Międzymorza” artykuł Leona Wasilewskiego *Drogi rozwoju polskiej polityki zagranicznej* zamieściła „Droga” już w sierpniu 1923 r. Wasilewski pisał, że kierunek polskiej polityki zagranicznej określony jest przez geograficzne położenie Rzeczypospolitej. Polska wciśnięta między wrogie mocarstwa - czytamy w artykule - odcięta od morza (Gdyni jeszcze nie było), „musi oprzeć się o cały system sojuszków politycznych, które by ją wynagrodziły za to, czego pozbawiło nieszczęśliwe położenie geograficzne”. Podstawą tych sojuszy miały być wspólne interesy łączące Polskę z Łotwą, Estonią, Finlandią, Węgrami i Rumunią. Już wówczas Wasilewski przesądzał o losie Czechosłowacji. Przypominając wrogą Polsce politykę Pragi, głosił: „Sztuczny ten twór [CSR - R.Sz.] jest z jednej strony uosobieniem rusofilizmu [chodziło o

wsparcie udzielane rosyjskim białogwardzistom - R.Sz.], z drugiej zaś barierą między Polską a jej naturalnym, wypróbowanym i niezawodnym sojusznikiem - Węgrami. [...] wspólna granica Polski i Węgier posiada dla nas, jak zresztą i dla Węgier, olbrzymie znaczenie”.

W 1924 r. w piśmudczykowskim „Głosie Prawdy” pisano: „Polska jest oblana pianą zawiści przez wrogie, zachłanne żywioły: niemieckie, rosyjskie, czeskie. Byt Państwa Polskiego jest ściśle związany z mocarstwowym stanowiskiem Polski [...]. Aby niebezpieczeństwo, na które Polska jest ciągle narażona, sprowadzić do właściwych rozmiarów, należałoby braki naturalnych granic zastąpić pancierzem sojuszów i określonych ściśle warunków sąsiedztwa”.

Sformułowany przez Becka w 1936 r. plan „Trzeciej Europy” nawiązywał do koncepcji Leona Wasilewskiego, nie było w nim jednak akcentów wymierzonych w ZSSR. Beck myślał o stworzeniu bloku hamującego działania Hitlera nie rezygnując z użytecznej ciągle polityki równowagi. Polska miała więc stanąć do trudnej rywalizacji z Niemcami o wpływy na terenie Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Słowacji, Węgier, Rumunii i Jugosławii.

Pomysł Becka można nazwać -jak to określił Andrzej Micewski - „największą mrzonką naszej polityki”. Nie był to jednak pomysł tak całkiem bezsensowny: Henryk Batowski uważa, że dałoby się go zrealizować, ale „o wiele wcześniej”. Można też zastanawiać się, ile było w nim iluzji, ale przecież efekty działań polskich dyplomatów na terenie Europy Środkowej nie były iluzoryczne. Doceniał to Berlin i dlatego starał się pokrzyżować plany Warszawy. Status Europy Środkowej nie był bez znaczenia. Różne siły zabiegały o podporządkowanie tego ważnego obszaru. Niestety, narody, które tworzyły swoje państwa po I wojnie światowej, nie miały jeszcze doświadczeń historycznych, które wskazywałyby, ile je łączyło, a jak pozorne i sztuczne były różnice. W okresie międzywojennym dominowało to, co dzieliło. Dopiero wspólny los w II wojnie światowej uświadomił tym narodom, jakie znaczenie miały ich wzajemne spory i kto na nich skorzystał.

To prawda, że Polska była. zbyt słaba, by skłonić państwa „Międzymorza” do zjednoczenia wysiłków, ale też jest to prawda, że wśród tych państw była najsilniejsza. To w Polsce szukano koncepcji politycznej, która uwolniłaby od konieczności liczenia na „orientację”. W tym między innymi celu podjęła Polska samodzielną politykę, chcąc swym przykładem zachęcić innych - głównie Rumunię, Węgry i Jugosławię - do pójsicia w jej ślady. Gdyby udało się zjednoczyć wysiłki, wówczas blok państw liczących razem około 120 mln ludzi dysponowałby armiami składającymi się łącznie ze 170 dywizji i ponad 3000 samolotów (oblicza się, że środkowoeuropejscy wasale Hitlera wystawili razem prawie 100 dywizji, które wzięły udział w wojnie z ZSSR; potencjał ten wskutek sporów wewnętrznych i błędnej polityki mocarstw okazał się poważnym zastrzykiem dla hitlerowskiej maszyny wojennej).

Po 1935 r. zaczął się dla Polski okres, w którym jej znaczenie międzynarodowe niewątpliwie wzrosło. Rewizjonizm Hitlera zmniejszył zasięg wpływów niemieckich w wielu państwach, a poparcie Londynu, którym zdawał się Beck dysponować, przydawało realności planom tworzonemu na Wierzbowej. Czy rok 1944 był realnym terminem powstania „Trzeciej Europy”, zakładając, że Polakom powiodłaby się rozbudowa przemysłu i armii? Być może. Wydaje się jednak, że polskie zabiegi rozszyfrowano nie tylko w Londynie, ale i w Berlinie. Taki - można sądzić - był powód wysunięcia żądań niemieckich pod adresem Warszawy w 1938 roku.

W połowie 1936 r. Beck powiedział Szembekowi, że Polska powinna bardziej zainteresować się terenem na północ od Karpat, przede wszystkim zaś państwami leżącymi nad Bałtykiem. Latem 1938 r. widać już było znaczny wzrost aktywności polskiej w państwach nadbałtyckich. Beck odwiedził wówczas Sztokholm (25 27 V), Tallin (13 VI), Rygę (14 VII) i Oslo (1 VIII). Chodziło mu o stworzenie podwalin pod północne skrzydło bloku „Trzeciej Europy” i zaakcentowanie roli Polski jako państwa bałtyckiego. W

oświadczeniu Becka, zamieszczonym 15 czerwca 1938 r. w prasie estońskiej, znalazło się takie zdanie: „Polska powróciła nad Bałtyk i, szukając dróg dla swej polityki nad tym morzem, doszła do przeświadczenia, że Bałtyk przeżył już dość wstrząsów, i wobec tego postanowiła być nad Bałtykiem partnerem twórczej współpracy, a nie konkurentem”. Z oświadczeniem Becka korespondował artykuł litewskiego publicysty Vytautasa Girii *Polska i państwa bałtyckie* („Kardas” nr 16 z sierpnia 1938 r.), w którym autor zwracał uwagę na podróż Becka i stwierdzał konieczność współpracy litewsko-polskiej.

W połowie 1938 r. mogło się Beckowi zdawać, że jego szerokie plany weszły w fazę realizacji. Udało się doprowadzić do normalizacji stosunków z Litwą, III Rzesza sięgała po ziemie znajdujące się pod kuratelą mocarstw zachodnich, a ZSSR zdawał się być zajęty czystkami w armii i aparacie partyjno-państwowym oraz walkami z Japonią w Mongolii.

Nawet sprawa Czechosłowacji wskazywała, że albo wybuchnie wojna, w której Polska miała szanse zachowania pełnej swobody działań, albo Czechosłowacja rozpadnie się i Polska nie tylko przyłączy Zaolzie, ale będzie graniczyła z Węgrami. Polskę odwiedzili politycy z państw, które miały utworzyć południowe skrzydło bloku „Trzeciej Europy” - król Jugosławii król i premier Rumunii, regent i minister spraw zagranicznych Węgier, działacze słowaccy. „Tak samo jak w Skandynawii - mówił Beck - chciałem stworzyć pewną wspólność idei i działania tych krajów Europy Wschodniej, które nie pretendowały do roli światowych mocarstw, ale jednocześnie nie zgadzały się być klientami tych mocarstw”.

Wszystkie te wysiłki - pisał później Beck - „były konsekwencją pieczołowicie opracowanego planu, lecz nie ulega wątpliwości, że w roku 1938 kraje te nie były już przedmiotem ani naszych trosk, ani naszych interesów”. Należy uzupełnić te słowa Becka. W obliczu wojny co innego powinno być przedmiotem troski dyplomacji polskiej. Od dnia zgłoszenia przez Berlin żądań pod adresem Warszawy stało się oczywiste, że szeroka koncepcja „Trzeciej Europy” była już nie do zrealizowania. Co więcej, wprowadzanie jej w życie w pierwotnym kształcie przyniosłoby poważne straty.

Innymi słowy, w warunkach, jakie zaistniały w 1938 r., należało stworzyć skromniejszy plan, ale dzięki temu dający większe szanse realizacji w tak ograniczonym czasie. W związku z tym powstaje pytanie, czy w okresie kryzysu czechosłowackiego Polska nie powinna była stanąć po stronie Pragi. Wprawdzie Beck mógł się obawiać, że w takiej sytuacji Niemcy zwrócą się przeciwko Polakom, a Beneš będzie usiłował wywinąć się z konfliktu kosztem Polski, obawy te jednak, wobec nastrojów panujących w czeskich kołach wojskowych, były bezzasadne. Polski minister zbytnio chyba kierował się doświadczeniami z przeszłości.

Oskrzydlenie frontu polskiego w rezultacie nieszczęśliwego dla Rzeczypospolitej przebiegu granicy stanowiło poważne utrudnienie w planowaniu skutecznej obrony. Z terenu Prus Wschodnich mogły Niemcy pierwszego dnia wojny zagrozić bezpieczeństwu stolicy państwa i sparaliżować funkcjonowanie władz centralnych, a wkroczenie Niemców na Słowację odsłaniało centra przemysłowe i czyniło obronę właściwie beznadziejną. Polskie dowództwo na kilka miesięcy przed wybuchem wojny musiało zmieniać plany operacji i improwizować organizację jeszcze jednej armii („Karpaty”), która w pierwszych dniach konfliktu dysponowała jedynie dwiema brygadami piechoty górskiej. Trzeba było okroić i tak szczupłe oddziały, by jako tako osłonić tyły armii „Kraków” - od której zależało powodzenie operacji obronnych - od strony zwasalizowanej przez Berlin Słowacji. A przecież Polska miała realną szansę zmniejszenia zagrożenia na obu skrzydłach.

Przy końcu 1938 r. nasiliła się akcja mniejszości niemieckiej w litewskiej Kłajpedzie. Zaniepokojony rząd w Kownie usiłował porozumieć się z Berlinem, wszystko jednak wskazywało na to, że ceną złagodzenia napięcia z Niemcami będzie utrata przez Litwę jedyne go portu morskiego. A więc perspektywa na ułożenie stosunków z Rzeszą była mizerna. Oczywiście przy utrzymaniu niepodległości Litwy.

Od listopada 1938 r. Litwini szukali dróg porozumienia z Polską. Generał Stasys Raštikis, naczelny wódz armii litewskiej, mówił do pułkownika Leona Mitkiewicza, polskiego attache wojskowego w Kownie: „Byłoby bardzo źle, gdybyśmy w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa nie potrafili znaleźć drogi do porozumienia”. W marcu 1939 r. generał Raštikis oświadczył Mitkiewiczowi, że widzi potrzebę „natychmiastowego porozumienia wojskowego między Polską a Litwą w obliczu zagrożenia niemieckiego”. Generał prosił o przekazanie tej propozycji do Warszawy i wyrażał jednocześnie chęć przyjazdu do Polski w celu „przedstawienia swych poglądów marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi i nawiązania osobistego kontaktu z polskimi wyższymi władzami wojskowymi”. Trudno o bardziej jasne postawienie sprawy, co musiał przecież wcześniej zaaprobować rząd litewski. Mitkiewicz pisał w swoich pamiętnikach: „gdybyśmy mogli zapewnić Litwie rzeczywistą pomoc przeciwko Niemcom w sprawie Kłajpedy, to Litwa, a w ślad za nią i reszta państw bałtyckich, znalazłaby się natychmiast w sojuszu politycznym i wojskowym z Polską”.

Spotkanie obu naczelnych wodzów doszło do skutku dopiero w maju 1939 r. - a więc już po utracie przez Litwę Kłajpedy. Nie osłabiło to zainteresowania strony litewskiej sojuszem z Polską. Raštikis nie wątpił w klęskę Niemiec w starciu z koalicją anglo-francusko-polską (Litwa jako ewentualna aliantka Polski mogła myśleć o odebraniu tak ważnego dla niej portu), dlatego ponowił swoją propozycję. Polacy nie podjęli jej jednak. Sugerowali, że w nadchodzącym konflikcie polsko-niemieckim Kowno powinno zachować neutralność. W Warszawie albo nie wierzono w tak gwałtowny zwrot Litwy, albo bagatelizowano wojskową wartość ewentualnego sojusznika. A jeszcze wcześniej (przed marcem 1939 r.) dodatkowym powodem mogła być obawa, aby z powodu Kłajpedy nie wdać się w wojnę z Rzeszą - być może liczone ciągle na dyplomatyczne sposoby rozwiązania sporów.

Litewski generał - jakby wychodząc naprzeciw wątpliwościom polskim - zapewniał, że sojusz polsko-litewski mógłby mieć szerszy charakter po przyłączeniu się Łotwy i Estonii. Litwini byli pewni, że uda im się zjednać swych nadbałtyckich sąsiadów. Mimo to Śmigły utrzymał swoje stanowisko. W rezultacie straciła Polska małego, ale ważnego sojusznika. Neutralność nie uchroniła Litwy od skutków wojny, a jej los był przesądzony.

Istnieje pogląd, że wrogie Rzeczypospolitej koła litewskie nie dopuściłyby do zawarcia sojuszu z Polakami. Trzeba jednak przypomnieć, że Litwa nie dała się Niemcom nakłonić do „skompensowania” sobie Kłajpedy Wileńczyzną i zachowała w czasie wojny poprawną neutralność. Już 29 sierpnia 1939 r., kiedy napięcie w stosunkach polsko-niemieckich sięgało zenitu, minister obrony krajowej Ignas Mustekis i generał Raštikis oświadczyli polskiemu attache wojskowemu w Kownie, że Litwa potwierdza swoją neutralność i daje „całkowite gwarancje, że nie będzie w żadnym wypadku prób odebrania [...] Wilna”. W rozmowie prywatnej generał Raštikis powiedział pułkownikowi Mitkiewiczowi: „Niech Bóg Wszechmogący wam pomaga - marszałkowi Śmigłemu i wojsku polskiemu...”

Sympatie Litwinów były wyraźnie po stronie Polski. Przypomnijmy, że Kowno, mimo zmieniającej się sytuacji, zlikwidowało Związek Wyzwolenia Wilna, organizację wrogą Polsce. Nastąpiło to ostatecznie 11 września 1939 r.! Sergiusz Mikulicz - wątpiący w realność sojuszu Litwy z Polską - napisał w pracy o Kłajpedzie: „[...] należy z uznaniem potraktować stanowisko rządu litewskiego, który nie ulegał licznym naciskom III Rzeszy w tej sprawie [Wilna -R.Sz.] i własnym wąskim kręgom opinii publicznej [podkr. - R.Sz.], która skłaniała rząd do odebrania Polsce Wilna. Trzeba przyznać, że zmiana stanowiska litewskiego była, jeśli chodzi o tempo, imponująca”.

Czy więc sojusz był rzeczywiście nierealny?

Istniały też możliwości zawarcia sojuszy z innymi państwami nadbałtyckimi. Piotr Łossowski w artykule w stosunkach polsko-łotewskich pisze: „Estonia była zawsze

najbardziej propolsko nastawiona spośród państw bałtyckich, idea sojuszu wojskowego z Polską, rachuby na jej pomoc były tu bardzo żywe. [...] Dyplomacja estońska szła na daleko sięgające współdziałanie z dyplomacją polską, broniąc idei dużej Ententy Bałtyckiej z udziałem Polski, Łotwy, Estonii i Finlandii. Niejeden też raz Estończycy wywierali wpływ na Łotwę w kierunku zbliżenia jej z Polską”. Wprawdzie Łotwa była dość ostrożna w kontaktach z Polską, powstaje jednak pytanie, czy nacisk ze strony Estonii i Litwy - co było realne w 1938 r. - nie wpłynąłby na postawę Rygi, zwłaszcza że zwolennikami bliskiej współpracy z Warszawą byli wojskowi łotewscy (należał do nich dowódca armii i wicepremier generał Janis Balodis).

Republiki nadbałtyckie dysponowały łącznie armiami złożonymi z 10 dywizji piechoty, kawalerią (około dywizji), oddziałami pancernymi (równowartość brygady) i lotnictwem (300 samolotów); wyróżniała się wśród nich armia łotewska, która miała stosunkowo dobre uzbrojenie techniczne. Pokojowe stany armii państw nadbałtyckich sięgały 70 tys. ludzi, w formacjach paramilitarnych znajdowało się 110 tys., a zdolności mobilizacyjne tych państw szacowano łącznie na około 600 tys. żołnierzy. W wypadku zagrożenia Estonia i Litwa miały wystawić po 5 dywizji, a Łotwa 8 dywizji piechoty. Ponadto przewidziano użycie pewnej liczby kawalerii, broni pancernej i lotnictwa.

W marcu 1939 r. Polska straciła możliwość oskrzydlenia wojsk niemieckich koncentrujących się na terenie Prus Wschodnich. Siły litewskie, wsparte wojskami Łotwy i Estonii, współdziałając z polskimi (armia „Modlin” i Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew” - 11 dywizji), miałyby spore szanse w walce z 13 dywizjami niemieckimi w Prusach. Trudno sobie wyobrazić, aby 16 do 29 dywizji (zależnie od udziału Łotyszów i Estończyków) nie było w stanie zepchnąć Niemców do obrony. A dla Polski oznaczało to bezpieczeństwo warszawskiego zaplecza i niedopuszczenie pancernego zagonu Guderiana na Podlasie.

Można wątpić w realność takiego przebiegu zdarzeń, warto jednak przytoczyć fragment z pamiętników attache wojskowego Rzeczypospolitej w Kownie, który w rozdziale „Plany sojuszu Polski z Państwami Bałtyckimi” wspominał, jak 11 grudnia 1938 r. łotewski attache wojskowy pułkownik Deglavs, działając na polecenie szefa Sztabu Generalnego, proponował Polakom opracowanie wspólnego planu działań na wypadek wojny z Niemcami. „Plan jego - pisze pułkownik Mitkiewicz - poparty licznymi objaśnieniami na mapie, polegał na tym, że w wypadku wojny z Niemcami siły zbrojne Państw Bałtyckich oceniane na 15 - 20 dywizji piechoty, utworzyłyby na terenie Litwy północne skrzydło dla polskiego frontu przeciwniemieckiego i mogłyby być, wspólnie z siłami polskimi, użyte do działań zaczepnych, mających na celu likwidację niemieckich sił w Prusach Wschodnich”. Łotewski pułkownik zapewniał, że władze wojskowe Estonii i Litwy poparą taki plan. Pięć dni później pułkownik Mitkiewicz rozmawiał z szefem wywiadu armii litewskiej pułkownikiem Dulksnysem. Usłyszał wówczas, że „litewski Sztab Generalny ustosunkuje się bezwarunkowo pozytywnie i z pełnym zrozumieniem dla potrzeby porozumienia wszystkich państw Bałtyckich z Polską dla wspólnej obrony przed ewentualnym agresorem”. Z polskiego punktu widzenia ważne było to, że obaj rozmówcy pułkownika Mitkiewicza obawiali się ewentualnej „pomocy” wojskowej ze strony Sowietów i w sojuszu z Polską widzieli bezpieczeństwo swych krajów.

Trzeba stwierdzić, że po włączeniu Słowacji do strefy wpływów niemieckich rewindykacja Zaolzia, niewątpliwie cennego gospodarczo rejonu, nie mogła, równoważyć ujemnego jej skutku, jakim było wydłużenie do ponad 2400 km granicy z Niemcami. Wymuszeniem niefortunnym poprawek granicznych na Spiszu i Orawie oraz popieraniem węgierskich pretensji do Słowacji Warszawa definitywnie zraziła sobie słowackich polonofilów. Nie oddało to dywizji węgierskich pod polskie dowództwo, a spowodowało, że dywizje słowackie stanęły po stronie wrogów Polski. Osłabiono jednocześnie sojusz z



Rumunią. Bukareszt musiał obawiać się wzrostu sił Węgier - popieranych przez Warszawę - skoro półtora miliona obywateli rumuńskich, mieszkających w Siedmiogrodzie, uważało się za Węgrów.

Warszawa nie dostrzegła chyba w porę, że bezpieczeństwo południowej flanki wojsk polskich miało większe znaczenie niż sympatie do Węgrów, którzy wahali się i w końcu wybrali Berlin. Chociaż współpraca z Węgrami miała swój walor wojskowy, wpływający na bezpieczeństwo Polski we wrześniu, było to jednak minimum, a nie maksimum tego, co Rzeczpospolita mogła osiągnąć na południu.

Jeżeli Beck nie kwapił się do obrony Czeskosłowacji, to jego obowiązkiem było niedopuszczenie do tego, aby Słowacja znalazła się w rękach niemieckich. Nie należało zbyt fetyszyzować wspólnej granicy z Węgrami, które zresztą nie zamierzały drażnić Hitlera i czekały, aż Polska zrobi za nie „czarną robotę” w Słowacji i na Rusi Podkarpackiej. Zawiniły chyba imponderabilia, skoro Beck, znając stanowisko Budapesztu, ufał, że w ostateczności Węgrzy staną po stronie polskiej. Ufność - nawet w stosunku do Węgrów - to zbyt mało. A Polska miała dość atutów, aby wymóc na Węgrach więcej. Gdyby Węgrzy nadal upierali się przy swym stanowisku, wówczas należało wycofać poparcie dla aspiracji terytorialnych Budapesztu i bronić całości terytorium Słowacji. Polska powinna była głosić stanowczo, że zainteresowana jest niepodległością Słowacji i jej sojuszem z Rzeczpospolitą. Trzeba było uwzględnić nawet możliwość federacji ze Słowakami.

Nie należało bagatelizować wpływów polonofilskich w słowackich partiach politycznych (do orientacji propolskiej należał na przykład czołowy działacz hlinkowskiej Słowackiej Partii Ludowej Karol Sidor), gdyż grupa polonofilskich polityków słowackich, mimo iż wystawiona na ciężkie próby z powodu prowęgierskich gestów Warszawy, wołała, jak stwierdził Batowski, związek z Polską niż włączenie do półfeudalnych Węgier. Cóż, kiedy w połowie 1938 r. węgierski minister spraw zagranicznych mógł już oferować Słowakom w imieniu Budapesztu i... Warszawy autonomię w ramach państwa węgierskiego, a w tym samym czasie Sidor został poinformowany (znowu przez Węgrów) o planach wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

Mimo to Sidor nadal głosił potrzebę ścisłego związku z Polską. W podobny sposób formułował pogląd na przyszłość Słowacji Jan Pauliny-Toth, przewodniczący Słowackiej Partii Narodowej. Jego zdaniem Słowacja powinna pójść na ustępstwo na rzecz Polski i złączyć się z nią węzłem federacji. Słowacki historyk Alena Bartlova pisze: „W kilka dni później [po ultimatum w sprawie Zaolzia - *R.Sz.*], 29 IX 1938 r., deputowani K. Sidor i J. Tiso w imieniu SLPH [skrót Słowackiej Partii Ludowej, potocznie ludaków - *R.Sz.*] przedstawili posłowi polskiemu w Pradze deklarację, wyrażającą ich pogląd na przyszłość Czechosłowacji. Deklaracja przewidywała, że w razie rozpadu Republiki Czechosłowackiej Słowacja połączy się na zasadzie federacji z Polską”.

W Warszawie postanowiono, że Słowacja połączy się jednak z Węgrami i deklarację polityków słowackich pozostawiono bez odpowiedzi. Węgrzy wszelako nie byli na tyle silni, aby zająć całą Słowację, sprzyjające więc Polsce prądy w łonie słowackich partii politycznych musiały przegrać, a górę wzięła orientacja na Niemcy.

Na ziemiach słowackich zagrabionych przez Rzeszę przed Monachium znajdowały się garnizony sześciu dywizji czechosłowackich (w tym jednej szybkiej) i jednego pułku lotniczego. Można więc przypuszczać, że sojusznicza Słowacja byłaby w stanie zasilić tymi jednostkami polską obronę; wydaje się to tym bardziej prawdopodobne, jeśli się weźmie pod uwagę, że okrojona i zwasalizowana Słowacja zdołała skierować 3 dywizje pod rozkazy niemieckie. A zatem wojska słowackie mogły w znacznym stopniu zabezpieczyć południe Polski. Pewne jest, że w takim wypadku armii „Kraków” nie groziłoby okrążenie już trzeciego dnia wojny.

Reasumując, skupienie się na wielkich problemach polityki europejskiej kosztowało Polskę stratę około 25 dodatkowych dywizji i wyraźne pogorszenie warunków obrony terytorium państwa. Sprawdzało się przysłowie o wróblu (litewsko-słowackim) w garści i kanarku (angielsko-francuskim) na dachu.

## **5. Przed egzaminem**

Państwo polskie przeznaczało na utrzymanie wojska ponad jedną trzecią swego budżetu. Dzięki wysokim stanom pokojowym zaliczano tę armię do czołówki światowych potęg wojskowych - w Europie stawiano ją na czwartym, a po 1936 r. na piątym miejscu. Na tej podstawie Piłsudski i Beck oparli swoją niezależną politykę zagraniczną i w tym wypadku mówiąc o mocarstwowości można było obejść się bez cudzysłowu.

Wojsko cieszyło się dużą sympatią całego społeczeństwa. Było uosobieniem polskiej tradycji walk wyzwoleniczych i gwarantem zachowania niepodległego bytu. Dlatego też nikt nie sarkał na wydatki wojskowe przekraczające możliwości słabego gospodarczo państwa (wpływy modnego wówczas pacyfizmu ograniczały się do wąskiego kręgu osób). W społeczeństwie zawód oficera cieszył się wysokim prestiżem, a mundur był powszechnie szanowany. Na dobrą sprawę wojsko było przez dłuższy czas jedną z nielicznych dziedzin młodego państwa, którą można było się chlubić - potrafiło przecież wywalczyć granice i obronić je.

Z prestiżu społecznego, jakim cieszył się mundur, korzystała również grupa rządząca.. Propagowano tradycje walk legionowych, przypisywano piłsudczykom większe i mniejsze zasługi wojenne. Wojskowymi byli nie tylko Piłsudski, Beck czy Składkowski, ale też liczni ministrowie i wojewodowie. Jak to później napisał jeden z publicystów: „Polską rządzą wojskowi”.

Wysoką pozycję wojska umacniały czynniki zewnętrzne. Piotr Stawecki pisząc o „następcach Komendanta” stwierdza: „Istotnym czynnikiem mającym związek z rolą wojska w wewnętrznym życiu było położenie Drugiej Rzeczypospolitej. Pogranicze dwóch systemów w Europie: socjalistycznego i kapitalistycznego, spowodowało, że Polska znalazła się w sferze różnych wpływów i sprzeczności. Przed władzami wojskowymi wystąpiły więc nie tylko problemy polityczne, ale także militarne. Polska bowiem nie przejawiała tendencji zaborczych, nie dążyła do wojny, ale wojna mogła być jej narzucona”.

W tych warunkach sprawy wojska wyglądały na kwadraturę koła. Słabe gospodarczo państwo zmuszone było do utrzymania dużej armii, a jednocześnie jej wielkość uniemożliwiała osiągnięcie odpowiednio wysokiego poziomu koniecznych dla niej środków walki. W Polsce dostrzegano też strukturalną słabość wojska. Generał Sosnkowski nazywał kawalerię „przeżytkiem”, a sam Piłsudski na jednej z narad uznał jazdę za broń „nikłą”. Wyrazem poglądów Marszałka była likwidacja stanowiska generalnego inspektora kawalerii (maj 1926 r.) i powołanie Dowództwa Broni Pancernych (wrzesień 1929 r.).

Wielu historyków wojskowości szukało odpowiedzi na pytanie, czy Polska miała możliwości stworzenia lepszej armii. Istniało też powszechne w PRL przekonanie, że winą za stan wojska należy obarczyć poprzednika Śmigłego - Piłsudskiego. Rozważania na ten temat można znaleźć w książce pułkownika Eugeniusza Kozłowskiego, który usiłował badać problem unowocześnienia armii w latach 1936 - 1939. Kozłowski sądzi, że należało zmniejszyć liczbę czynnych dywizji do dwudziestu, a uzyskane stąd fundusze i sumy wydatkowane na wojsko w latach 1930 - 1935 przeznaczyć na modernizację armii.

Na pierwszy rzut oka propozycja wydaje się słuszna. Ale po wnikliwej analizie pojawiają się wątpliwości. Zmniejszenie liczby czynnych dywizji byłoby sprzeczne z

postanowieniami konwencji wojskowej zawartej z Francją. Byłaby to istotna rewizja sojuszu, który od dawna ciążył Francji. Nie można mieć wątpliwości, jak zareagowałby na taki fakt Paryż. Przypomnijmy francuskie propozycje osłabienia sojuszu z lat 1928 - 1930. Rozważenie problemu jedynie w wojskowej płaszczyźnie nie prowadzi do właściwych wniosków.

Ponadto Piłsudski zakładał, że warunkiem polskiego zwycięstwa mogła być tylko szybka mobilizacja armii, która miała uderzyć na wroga, zanim zdąży on rozwinąć całość sił. W tym celu utrzymywano liczne dywizje czynne, które można było niemal błyskawicznie uzupełnić i wysłać w ciągu 8 -15 dni na front. Tam w czasie wstępnych walk ofensywnych należało zdobyć możliwie dogodne pozycje do obrony. Potwierdzeniem tej myśli był fakt, że wojsko przygotowywane było do działań ofensywnych i w tym duchu kształtowano wyobrażenia korpusu oficerskiego o istocie działań obronnych. Jeżeli więc 30 dywizji potrzebowaliśmy ze względów politycznych przed 1935 r. i nie można ich było zmniejszyć, to jeszcze mniejsze były na to szanse, gdy wojsko Rzeszy wzrosło do 36 dywizji.

Podobnie można zakwestionować twierdzenie, że sprzedaż koni i zakupienie za uzyskane pieniądze samochodów pozwoliłoby Polsce na stworzenie wojsk „motorowych”. Motoryzacji wojska nie można oddzielić od poziomu motoryzacji cywilnej. Co więcej, realizacja pomysłu mogła przynieść opłakane skutki, gdyby nie znalazły się nowe samochody w miejsce zużytych lub gdyby zabrakło części zamiennych. Poważnym problemem były też drogi, kierowcy i mechanicy, materiały pędne itp. W rezultacie oddziały zmotoryzowane wykruszyłyby się, a kawalerii już by nie było. Wydaje się również, że utrzymanie samochodów w ówczesnych warunkach okazałoby się kosztowniejsze od , utrzymania koni.

Wreszcie sprawa wydatków budżetowych, które „w zasadzie nieuszczuplone” w latach kryzysu gospodarczego - zdaniem Kozłowskiego - umożliwiały „zwiększenie wydatków na techniczne wyposażenie wojska”. Otóż i ta sprawa była trudniejsza, niż można by sądzić. Po pierwsze, głównym zmartwieniem władz wojskowych było nie tyle modernizowanie, ile ujednolicanie broni. Cóż bowiem mówić o technice, skoro w oddziałach było kilka typów karabinów. Problem ten rozwiązano po 1926 roku.

To prawda, że przed majem 1926 r. Polska miała więcej samolotów niż w roku 1935, trzeba jednak pamiętać, jakie to były samoloty. Po prostu generał Włodzimierz Zagórski kupił we Francji kilkaset samolotów (nazywanych później „latającymi trumnami”) i w ten sposób skutecznie zahamował rozwój rodzimej produkcji. Trudno uznać za rozwój polskiego przemysłu lotniczego nieszczęsną próbę „Francopolu”. A w 1935 r. Polska dysponowała już samolotami własnej produkcji i prowadzono liczne prace projektowe nad nowymi typami maszyn. Istniały Państwowe Zakłady Lotnicze, których moc produkcyjna wynosiła 69 samolotów miesięcznie (we Francji 36 samolotów).

Przypomnijmy, że nie tylko projekty, ale i fabryki, z których wojsko otrzymywało później nowoczesną broń, powstały w większości przed rokiem 1936. W ramach planu rozbudowy przemysłu wojennego, opracowanego w latach 1926 - 1930, zbudowano fabryki produkujące amunicję, karabiny, działa, czołgi, samoloty. Uruchomienie jednak własnej produkcji uzbrojenia nie znajdowało zrozumienia w oczach francuskiego sojusznika, gdyż minimalizowało to jego możliwości eksportowe do Polski.

Wydaje się więc, że przyczyny polskich niedostatków tkwiły gdzie indziej. Od 1935 r. Rzesza przystąpiła do jawnych zbrojeń i każdy nowy czołg i samolot niemiecki pogarszał sytuację polskiej armii. Nie trzeba nikogo przekonywać, że nawet gdyby Polska przeznaczyła cały swój budżet na uzbrojenie armii, to i tak Wehrmacht byłby silniejszy. W Polsce zdawano sobie z tego sprawę i znalazło to wyraz w planowanej modernizacji wojska. Trawestując trochę sformułowanie pułkownika Porwita, można powiedzieć, że zamiarem dowództwa było „wystawienie lepszej drużyny na ten mecz”, który miała armia polska rozegrać we wrześniu 1939 roku.

Poziom rozwój gospodarczego był podstawowym warunkiem powodzenia planowanych zmian w uzbrojeniu. W krajach przemysłowych produkcja zbrojeniowa stanowiła czynnik nakręcania koniunktury. W Polsce inwestycje przemysłu obronnego musiały konkurować z wydatkami na inne równie pilne potrzeby. Kraj z utajonym bezrobociem na przeludnionej wsi, z wadliwą strukturą rolną i słabym - stosunkowo - przemysłem nie był w stanie skupić się wyłącznie na obronie. Napięcia społeczne mogły łatwo doprowadzić do eksplozji o fatalnych dla bezpieczeństwa państwa skutkach. Skala problemów wymagała rozwiązań prekursorskich, a okres kryzysu nie zachęcał do eksperymentów. W całym świecie - poza państwami totalitarnymi - obowiązywały liberalne poglądy na sposób gospodarowania. Interwencjonizm i planowanie, a wraz z tym ingerencję państwa w procesy gospodarowania traktowano z najwyższą nieufnością. Przykład ZSSR odstraszał.

Poprawa w gospodarce polskiej zaczęła się ujawniać na przełomie 1935 i 1936 r. Zjawili się wówczas ludzie, którzy zdali sobie sprawę, że bez nowych rozwiązań w gospodarowaniu Polska może przegrać. Rzecznikiem nowych rozwiązań był wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski.

Budowniczy Gdyni i Mościc cieszył się koniecznym autorytetem i miał odpowiednie kwalifikacje, aby wprowadzić na szerszą skalę planowanie inwestycyjne i skoncentrować szczupłe środki w celu szybszego osiągnięcia efektów. Czteroletni plan inwestycyjny (1936-1939) na kwotę 2,4 mld złotych zrealizowano z rocznym wyprzedzeniem. Namacalnym tego dowodem był Centralny Okręg Przemysłowy zlokalizowany w widłach Wisły i Sanu; powstały tam liczne zakłady, wśród których był m.in. kombinat metalurgiczny Stalowa Wola.

We wszystkich gałęziach przemysłu przekroczone wskaźniki z najlepszego dotąd gospodarczo roku 1928. Jeśli przyjmiemy tamten rok za 100, wskaźnik produkcji z 1936 r., wynoszący 94,3, sięgnął w czerwcu 1939 r. 129,8. W poszczególnych działach można wymienić: w środkach produkcji 103,1 do 156,8, w przemyśle metalowym i maszynowym 103,6 do 167,8, w chemicznym 112,2 do 154,3 i elektrotechnicznym 232,3 do 493,3. Wysoką dynamikę wzrostu produkcji notowano w podstawowych działach przemysłu ciężkiego. W 1939 r. (czerwiec) produkcja surówki żelaza wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o ponad 51 %, a stali o około 40%. Oznaczało to, że przy niezakłóconej produkcji w 1939 r. polskie huty były w stanie wyprodukować co najmniej 1,3 mln ton surówki i ponad 2,1 mln ton stali. Wzrosło też wydobycie węgla - w pierwszym półroczu 20 mln ton.

Osiągnięte wyniki napawały optymizmem. Zdawało się, że wreszcie znaleziono drogę wyjścia z dotychczasowego marazmu gospodarczego. Oblekały się w realny kształt słowa Ignacego Matuszewskiego, który pisał, że Polska nie może być „samowystarczalna”, ale powinna stać się gospodarczo „samodzielna”.

Na ile pogląd ten był uzasadniony, możemy wnosić z danych mówiących o produkcji stali i wielkości dochodu narodowego.

W 1938 r. w świecie produkowano ponad 110 mln ton stali. Udział Polski w tej produkcji wyniósł 1,41 %. Zestawiając tę wielkość z produkcją Niemiec i ZSSR, otrzymamy wynik niekorzystny, jednak w porównaniu z innymi producentami pozycja Polski nie była. wcale niska.

	Tys. ton	Procent produkcji świat.
1. Stany Zjednoczone AP	28 805	26,11
2. Niemcy	22 656	20,54
3. ZSSR	18 057	16,37
4. Wielka Brytania	10 564	9,58
5. Japonia	6 472	5,87

6. Francja	6 221	5,64
7. Włochy	2 323	2,11
8. Belgia	2 279	2,07
9. Czechosłowacja	1 800	1,63
10. POLSKA	1 551	1,41
11. Luksemburg	1 437	1,30
12. Australia	1 199	1,09
13. Kanada	1 179	1,07
14. Szwecja	996	0,90
15. Indie	955	0,87
16. Austria	671	0,61
17. Węgry	648	0,59
18. Hiszpania	574	0,52
19. Chiny	488	0,44
20. Związek Płd. Afryki	345	0,31
21. Rumunia	274	0,25
22. Jugosławia	224	0,20
23. Korea	102	0,09
24. Brazylia	91	0,08
25. Meksyk	89	0,08
26. Finlandia	81	0,07
27. Norwegia	61	0,06
28. Holandia	52	0,05
29. Dania	26	0,02
30. Łotwa	25	0,02
31. Chile	23	0,02
32. Argentyna	20	0,02
33. Szwajcaria	12	0,01
34. Grecja	10	0,009
35. Bułgaria	6	0,005
36. Turcja	4	0,004

Podobnie rzecz miała się z dochodem narodowym. Mimo istotnych często braków, jakie występowały - i nadal występują - przy obliczaniu dochodu narodowego, przedstawione niżej dane wystarczająco obrazują sytuację Polski. Ocenia się, że dochód globalny w 1938 r. osiągnął wartość 260 mld dolarów US. Poniżej przedstawiamy państwa legitymujące się co najmniej 1 mld dolarów dochodu.

	Mld dolarów	Procent dochodu global.
1. Stany Zjednoczone AP	68,197	26,23
2. ZSSR	28, 831	11,09
3. Niemcy	22,780	8,76
4. Wielka Brytania	21,990	8,46
5. Indie	12,723	4,89
6. Francja	10,915	4,20
7. Chiny	7,050	2,71
8. Japonia	6,063	2,33
9. Włochy	5,710	2,20

10. POLSKA	4,733	1,81
11. Kanada	3,938	1,51
12. Australia	3,825	1,47
13. Szwecja	2,829	1,09
14. Hiszpania	2,750	1,06
15. Holandia	2,713	1,04
16. Czechosłowacja	2,683	1,03
17. Jugosławia	2,633	1,01
18. Argentyna	2,373	0,91
19. Belgia	2,230	0,86
20. Brazylia	2,206	0,85
21. Związek Płd. Afryki	1,858	0,71
22. Szwajcaria	1,848	0,71
23. Węgry	1,683	0,65
24. Rumunia	1,571	0,60
25. Indie Holenderskie	1,459	0,56
26. Dania	1,155	0,44
27. Meksyk	1,139	0,44
28. Austria	1,047	0,40
29. Turcja	1,026	0,39
30. Egipt	1,002	0,39
31. Norwegia	1,001	0,38

Dla uzupełnienia wymieńmy jeszcze kilka państw, które osiągnęły dochód narodowy liczony w milionach dolarów: Irlandia (750), Bułgaria (695), Grecja (547), Portugalia (380), Finlandia (349), Łotwa (188), Litwa (183), Estonia (92), Luksemburg (86).

Przedstawione dane dowodzą niezbicie, iż pozycja polskiego potencjału w świecie była wysoka, w stosunkach zaś międzynarodowych widoczna i znacząca. Był to też największy potencjał w rejonie środkowoeuropejskim - cenny partner dla każdego mocarstwa. Zabiegi Berlina, począwszy od 1934 r., oraz Londynu w okresie po Monachium stają się w tym kontekście zrozumiałe. Polska była zbyt silna, aby można było sądzić, że uda się ją zneutralizować tak jak Austrię czy Czechy. Postawa rządu w Warszawie prowadziła nieuchronnie do konfliktu z sąsiadami Polski, dążącymi do jej zwasalizowania.

Sytuacja międzynarodowa zmuszała do intensywnej industrializacji kraju. 3 grudnia 1938 r. na posiedzeniu sejmu Eugeniusz Kwiatkowski przedstawił perspektywiczny plan gospodarczy na okres 15 lat, opracowany w Biurze Planowania Krajowego przy Ministerstwie Skarbu. Założenia planu oparto na analizie przewidywanego wzrostu demograficznego ludności, rozmieszczenia surowców i przemysłu oraz spodziewanej wielkości dochodu narodowego.

Zamierzano w pięciu odcinkach czasowych uporać się z podstawowymi problemami gospodarczymi. I tak:

lata 1939-1942 miały być poświęcone rozbudowie potencjału obronnego, zdolnego do zapewnienia nowoczesnego uzbrojenia wojska;

lata 1943-1945 to budowa sieci komunikacyjnej, w tym również uruchomienie produkcji samochodów i samolotów dla potrzeb cywilnych;

w latach 1946-1948 przewidziano regulację problemów wsi, rozbudowę szkolnictwa powszechnego i zawodowego, usprawnienie produkcji i handlu produktami rolnymi;

lata 1949-1951 to uprzemysłowienie, modernizacja istniejących zakładów, inwestycje urbanizacyjne, rozbudowa miast i likwidacja bezrobocia; w latach 1952 - 1954 postanowiono

doprowadzić do wyrównania poziomu życia w Polsce zachodniej (Polska „A”) i wschodniej (Polska „B”) oraz do wyrównania szans startu zawodowego ludności.

Plan zakładał też zmiany strukturalne w obrębie społeczeństwa: „[...] do roku 1951 liczba ludności miejskiej wraz z wiejską nierolniczą winna wzrosnąć w Polsce »A« z 57,2% do 62%, a w Polsce »B« z 26,5% do 40,1%. Wówczas w całym państwie liczba tej ludności [utrzymującej się ze źródeł pozarolniczych - R.Sz.] wyniesie 49%”.

Daleki horyzont czasowy i logiczna konsekwencja planu dowodziły, że wicepremier myślał nie tylko o zagadnieniach najbliższych. Wojna zniszczyła i ten zamiar.

Krytycy polityki gospodarczej Kwiatkowskiego wygłaszają niekiedy opinie, że gdyby nie kompleks antyinflacyjny wicepremiera, wówczas efekty gospodarcze jego posunięć byłyby znacznie większe. Kwiatkowski rzeczywiście obawiał się zwiększenia emisji banknotów i zachwiania wymienialności złotego. Słuszność stanowiska wicepremiera potwierdziły badania pułkownika Tadeusza Grabowskiego, który pisał między innymi o tym zagadnieniu w swojej pracy poświęconej inwestycjom zbrojeniowym tamtych lat: „Istniały w warunkach Polski wszelkie podstawy do tego, by obawiać się, że inflacja »kierowana«, »umiarkowana« może przerodzić się w hiperinflację, naruszającą normalne funkcjonowanie gospodarki narodowej kraju (...). Niebezpieczeństwo tkwiło chociażby w dysproporcji, jaka zarysowała się na początku realizacji planu inwestycji zbrojeniowych i pogłębiona została w czasie jego realizacji - dysproporcji między wzrostem produkcji dóbr wytwórczych i dóbr spożycia. W okresie od roku 1936 do połowy 1939 r. przyrost produkcji dóbr spożycia był pięciokrotnie mniejszy od przyrostu dóbr wytwórczych. W tej sytuacji intensywniejsze powiększenie obiegu pieniężnego groziło lawiną skutków inflacyjnych”. Wydaje się, że Grabowski, a więc i Kwiatkowski, miał całkowitą rację.

Ocena gospodarczych efektów okresu 1926 - 1939 nastęcza do dziś jeszcze wiele trudności. Osiągnięcia, chociaż widoczne, nie wydają się zbyt wielkie w porównaniu z potrzebami, wraz z tą najważniejszą potrzebą we wrześniu 1939 r. Aby jednak być w zgodzie z prawdą, należy docenić fakt, że dopiero po 1926 r. zaczął się spór między zwolennikami interwencjonizmu państwowego a reprezentantami starego liberalizmu gospodarczego. Spór, w którym władze państwowe przyznały rację tym pierwszym. Zaczęto tworzyć „kapitalizm państwowy”, a instytucje państwowe, w warunkach gospodarki rynkowej i konkurencji, stawały się coraz sprawniejszymi narzędziami planowania gospodarczego.

Jeżeli w 1937 r. wzrost wydajności pracy przekroczył o 37% odpowiedni wskaźnik z 1928 r., musiało to oznaczać ogromny postęp nie tylko w kwalifikacjach załóg i poziomie technicznym zakładów, ale również w organizacji procesów produkcji (była w tym poważna zasługa państwowych działaczy gospodarczych z Eugeniuszem Kwiatkowskim i Stefanem Starzyńskim na czele). W przeciwnym wypadku przemysł polski nie byłby w stanie produkować takiej liczby skomplikowanych technicznie maszyn i urządzeń na najwyższym światowym poziomie.

Historycy gospodarki wskazują też na interesującą prawidłowość. W polskiej wytwórczości spadała relatywnie produkcja surowców i półfabrykatów, tak odpowiadająca niegdyś zaborcom (węgiel, tkaniny), a rosła gwałtownie produkcja w przemyśle precyzyjnym, maszynowym, elektrotechnicznym, chemicznym, samochodowym, lotniczym itp., a więc w tych działach wytwórczości, które miały zdecydować o pozycji wielu państw świata. Polska gospodarka znajdowała się w tym rozwojowym nurcie. Oznaczało to ponadto, że wysiłki Polski na drodze do samodzielności gospodarczej doprowadziły do pomyślnych rezultatów. Można odpowiedzialnie stwierdzić, że polityka gospodarcza wprowadziła gospodarkę polską w cykl koniunkturalny określany w gospodarce wolnorynkowej jako „rozkwit”.

W planie inwestycyjnym znajdowały się fabryki przemysłu obronnego. Od osiągniętych w nich mocy produkcyjnych uzależniano możliwość wcielenia w życie

programów modernizacji armii, opracowanych przez Sztab Główny i Komitet Spraw Uzbrojenia i Sprzętu (KSUS), a zatwierdzanych przez KOR.

Na wojsko zamierzano wydać w ciągu sześciu lat ponad 5,1 mld złotych. W tym na poszczególne rodzaje wojsk:

lotnictwo i obrona przeciwlotnicza	1750,6 mln złotych = 35% całej kwoty
artyleria	574,5 mln złotych = 11,5%
wojska pancerne, motorowe i obrona przeciwpancerna	566,2 mln złotych = 11,2%
umocnienia stałe	185,0 mln złotych = 3,7%
saperzy	147,0 mln złotych = 3,0%
marynarka wojenna	120,0 mln złotych = 2,4%
łącznie	115,9 mln złotych = 2,3%

Na piechotę zamierzano przeznaczyć 42 mln złotych, a na kawalerię 14 mln. Poważny procent stanowiły nakłady na przemysł obronny - 424 mln złotych (8,5%).

Czy było to dużo? W porównaniu z nakładami finansowymi Rzeszy na pewno nie, skoro tylko w ciągu jednego 1936 r. wydano w Niemczech na ; armię i zbrojenia około 6 mld marek - równowartość 12 mld złotych. Porównanie nakładów francuskich i polskich dowodzi jednak, że nawet w stosunku do mocarstw wysiłek polski był duży - plan modernizacji armii we Francji, opracowany podobnie jak w Polsce w 1936 r., ustalono na 9 mld I franków, czyli około 3 mld złotych.

Jest rzeczą pewną, że po zrealizowaniu planu Wojsko Polskie stanowiłoby poważny potencjał militarny. Miało liczyć 40 dywizji piechoty uzbrojonych w nowoczesne środki walki, 10 brygad kawalerii wzmocnionych czołgami i motorowymi środkami transportu, 4 brygady pancerno-motorowe i 8 batalionów czołgów (równowartość czterech niemieckich dywizji pancernych - łącznie, wraz z rozpoznawczymi TKS, 1400 wozów bojowych). W lotnictwie na wypadek wojny planowano wystawienie 700 samolotów i 170% zapasu, a więc razem 1800 maszyn.

Biorąc pod uwagę jakość wprowadzonego uzbrojenia i sprzętu oraz stan prac konstrukcyjnych nad prototypami nowych dział, samolotów i czołgów, można odpowiedzialnie stwierdzić, że program unowocześnienia armii został oparty na trwałych rodzimych podstawach. I to w sytuacji, gdy „realne płace robocze mimo zbrojeń nie wykazywały tendencji spadkowych” - jak pisze Marek M. Drozdowski w pracy o polityce gospodarczej rządu polskiego.

Rozbudowa COP zapewniła Polsce wysoką pozycję w produkcji przemysłu obronnego (w 1939 r. piąte miejsce w Europie). W Polsce dla potrzeb wojska pracowało między innymi 7 fabryk broni, 9 - amunicji, 11 zakładów produkujących samoloty i tyle samo zakładów środków chemicznych, fabryka czołgów i 3 - sprzętu łącznie; razem 57 fabryk. Roczna produkcja wynosiłaby 700 dział i haubic, 1200 dział przeciwpancernych, prawie 1100 dział przeciwlotniczych i ponad 2300 samolotów. Dla porównania: w ciągu 1939 r. przemysł niemiecki wyprodukował 2500 samolotów. A więc produkcja r o c z n a polskiego przemysłu pozwalała realnie myśleć o rychłym wzmocnieniu potencjału obronnego. Tego roku zabrakło!

Może się wydać dziwne, że państwo zagrożone wojną łożyło na przemysł, który właściwie nie zdołał rozpocząć produkcji przed 1939 r., zamiast zakupić odpowiedni sprzęt za granicą. Była to niestety konieczność. W latach przed wybuchem wojny nikt nie chciał wyzbywać się nowoczesnego sprzętu. Pertraktacje w sprawie kupna nowej broni ujawniły, że zanim dotrze ona do Polski, może już być za późno. Francuzi na przykład oferowali Polakom



dostarczenie dział przeciwlotniczych w roku 1944! W sytuacji polskiej dodatkowym argumentem było oszczędzenie 113 mln złotych przy rozwoju produkcji rodzimej, czyli równowartość 1100 dział przeciwlotniczych.

Nie wiadomo, czy plan ów zdołałaby Polska wykonać na czas. Wiadomo jednak, że trzyletnie wysiłki doprowadziły nie tylko do uruchomienia nowych zakładów, ale do usunięcia wielu zaniedbań i zwiększenia siły armii przeszło dwukrotnie w porównaniu z 1935 r. Bez broni przeciwpancernej, przeciwlotniczej, brygad pancerno-motorowych i „Łosi” kampania 1939 r. nie byłaby dla Niemców ciężką i wyczerpującą wojną.

Wprawdzie braki nadal były widoczne, lecz nie oznaczało to, że miała je jedynie armia polska. W wielu armiach europejskich - niemieckiej nie wyłączając - występowały zaniedbania. Przykładem mogła być broń pancerna. Przypomnijmy, że Stany Zjednoczone miały w 1939 r. około 500 czołgów, a wśród nich jedynie 18 było nowoczesnych. Na 1150 czołgów brytyjskich nie więcej niż 80 odpowiadało klasie polskich 7 TP (czołgów tych było w Polsce dwa razy więcej). Pozostały sprzęt pancerny Anglii stanowiły małe czołgi rozpoznawcze. Rajmund Szubański, autor pracy o polskiej broni pancerniej, podaje, że Rzeczpospolita zajmowała 7 miejsce w świecie pod względem liczby posiadanych czołgów - ZSSR miał 10 000 wozów, Niemcy 4300, Francja 3500, Japonia 1200, Wielka Brytania 1100 i Włochy 1000. W tym stanie około 900 czołgów i 100 samochodów pancernych w Polsce nie wyglądało tragicznie.

Armia hitlerowska nie zdołała przed wybuchem wojny zlikwidować poważnych braków (plan zbrojeń zrealizowano w 36%). Zapasy amunicji i paliw pozostawiały wiele do życzenia. W dywizjach rezerwowych było wielu żołnierzy bez podstawowego wykształcenia wojskowego, 22 dywizje piechoty miały po dwanaście dział, zamiast sześćdziesięciu etatowych. Dywizje wysłane na linię Zygfrieda zaopatrzone w amunicję na trzy dni walki. Nie tylko Polacy mieli konie w wojsku, w niemieckiej dywizji piechoty było prawie 5000 koni. Znane dziś z filmów o „wrześniu” pistolety maszynowe MP-38 wprowadzono do oddziałów jako broń indywidualną dowódców drużyn, plutonów i kompanii piechoty w połowie 1939 r. A więc nie występowała ona tak licznie, jak pokazuje się to we wspomnianych filmach.

Sprowadzając wnioski z takich porównań do właściwych rozmiarów, należy stwierdzić, że Wojsko Polskie nie było ani zacofane, ani przestarzałe. Przewaga niemiecka była ogromna, ale dotyczyło to ilości uzbrojenia i taktyki działań „błyskawicznych”, z którą armie europejskie nie mogły się oswoić do połowy 1942 roku.

Prawie trzykrotna przewaga gwarantowała Hitlerowi zwycięstwo nad samotną Polską, ale jego natychmiastowa klęska byłaby nieunikniona, gdyby we wrześniu wystąpiła zbrojnie koalicja anglo-francusko-polska. To założenie przyjęto jako podstawę w sztabie polskim. Przeprowadzone w 1939 r. studia operacyjne okazały się mało przydatne, gdyż upadek Czechosłowacji musiał wywrócić poprzednią koncepcję wojny obronnej. Główne uderzenie niemieckie mogło ruszyć ze Śląska, a nie z Pomorza, jak wcześniej zakładano. W końcu lutego 1939 r. przystąpiono do opracowania planu „Zachód”, który miał służyć jako podstawa do działań obronnych. Plan ten oparto na założeniu, że wojsko polskie wytrzyma atak niemiecki do czasu, aż ruszy ofensywa z Zachodu. Spodziewano się, że Niemcy skierują przeciwko Polsce większość swych sił, to znaczy około 80 dywizji i 2500 samolotów, a to nie pozostawiało złudzeń co do możliwości obronnych Polski. Polska była znacznie słabsza od Niemiec i nie mogła myśleć o rozgromieniu agresora. Nie oznaczało to jednak, że wojsko polskie było bez szans, a jego dowództwo podejmowało decyzję walki w przekonaniu o nieuchronności klęski. Należało jedynie stworzyć taki plan obrony, by Niemcy nie zdołali osiągnąć swych celów wojskowych i politycznych przed rozpoczęciem działań na Zachodzie.

Śmigły zamierzał bronić całego terytorium, przede wszystkim zaś rejonów, które Niemcy chcieliby szybko zająć (Pomorze, Śląsk, Wielkopolska), i ustępować dopiero, gdy

obrona będzie niemożliwa. Wojsko polskie, rozlokowane nad granicami, miało wykonać wielki manewr odwrotowy poczynając od północy. Aby móc sprawnie manewr ten przeprowadzić przewidywano kontruderzenie siłami odwodowej armii „Prusy”, koncentrowanej na Kielecczyźnie, mające na celu zahamowanie niemieckiego natarcia. Szczególnie ważna w tym zamiarze była, jak najdłuższa obrona rejonu śląskiego, obsadzonego przez armię „Kraków”, która powinna wycofywać się za Wisłę jako ostatnia.

Armie polskie były skoncentrowane tak, aby głównymi siłami mogły przeciwstawić się atakowi z każdego punktu na granicy polsko-niemieckiej. Mogły one bronić Pomorza, Wielkopolski, Śląska oraz dostępu do stolicy, co pozwoliłoby na wycofanie rezerw, zapasów i przemysłu za Bug, a wojsk za Wisłę.

Istotą polskich działań było tzw. opóźnianie strategiczne, rozwiązanie bardzo ciekawie i jako zamysł niewątpliwie słuszne. Dowództwo polskie, zdając sobie sprawę z technicznej przewagi wroga, zamierzało organizować opór na kolejnych liniach obrony, dokonywać przeciwnatarć, osłabiać impet niemieckiego ataku i wycofywać się, nie dając się okrążyć. Śmigły chciał wygrywać czas kosztem utraconej po walce przestrzeni. A ponieważ zdolność manewrowa armii hitlerowskiej i szczupłość polskiego terytorium nie pozwalały na zbyt szybkie cofanie się, planowano toczenie uporczywych walk obronnych aż do ryzykownej granicy zniszczenia sił własnych. Była to jednak cena konieczna, jeżeli pragnęło się osiągnąć podstawowy cel polityczny, jakim było wystąpienie koalicji antyhitlerowskiej. „Nie dać się rozbić przed rozpoczęciem ofensywy sprzymierzonych z zachodu” - te słowa Śmigłego stanowiły myśl przewodnią polskiego planu wojny w pierwszym jej etapie.

Hitler sądził optymistycznie, że Wehrmacht zdoła pokonać wojska polskie w ciągu 3 do 5 dni, okrążając je na zachodnim brzegu Wisły. Planując bowiem operację przeciwko Rzeczypospolitej, Niemcy liczyli, iż siły polskie zostaną skoncentrowane tak, jak to przewidywał plan z 1936 r., zatem lotnictwo i czołgi wystarczą, aby zapewnić sprawną realizację „Fall Weiss”, zanim Zachód zdecyduje się na wojnę. Plan Hitlera jednak zawiódł: wojsko polskie zdało dobrze swój trudny egzamin i Berlin nie zdołał „uratować pokoju” na Zachodzie.

## **6. Zdrada**

Po zajęciu Sudetów Hitler, zaskoczony ustępliwością mocarstw zachodnich, postanowił przyspieszyć realizację planów dotyczących Polski. Wprawdzie wiedział, że Niemcy nie są gotowe do wojny światowej, sądził jednak, że i tym razem wojna nie wybuchnie, że pod presją wielokrotnie silniejszej Rzeszy Rzeczpospolita się ugnie. Hitler wiedział też, że wojnę z Polską wygra. Po cóż mu jednak zniszczona Polska? Dla wzmocnienia „osi” potrzebował siły i atutów politycznych, które miała Warszawa.

Tymczasem Polska nadal stanowiła dla niego niewiadomą w europejskim równaniu sił. Wprawdzie szef polskiego MSZ deklarował przyjazne stosunki z Niemcami, ale nie chciał zagwarantować nic więcej. Nie udało się - poza ogólnikami - nawiązać współpracy w dziedzinie najbardziej interesującej Hitlera - antysowieckiej. Polska nie chciała zysków na Ukrainie i nie podejmowała propozycji wyprawy na ZSSR. Co więcej, niemieccy wojskowi dostrzegli usiłowania Polski mające na celu poprawienie stanu armii. Wywiad niemiecki donosił o umocnieniach budowanych nad granicami z Rzeszą. Jeszcze więcej dawała do myślenia budowa COP. Nowy okręg przemysłowy powstawał z dala od granicy z Niemcami, chociaż rejon śląski byłby na pewno dogodniejszy, gdyby Polacy myśleli o sojuszu z Berlinem. Nie ulegało wątpliwości - stwierdzano w OKH - że Polacy gotowali się do wojny z

Rzeszą. Za kilka lat armia polska będzie nie tylko groźnym, ale i dysponującym nowoczesnym uzbrojeniem przeciwnikiem.

Przedsięwzięcia podejmowane przez rząd w Warszawie coraz bardziej wykluczały myśl o podporządkowaniu Polski. Hitler począł zdawać sobie sprawę, że droga zapoczątkowana w 1934 r. nie zaprowadzi go do celu i że próżne są nadzieje na wymuszenie na Polsce opowiedzenia się za blokiem faszystowskim. Przystawał już wierzyć, że w Warszawie zwycięży „realizm”.

Na naradzie 3 marca 1934 r. Piłsudski w gronie najbliższych współpracowników kreślił wytyczne polskiej polityki zagranicznej. Mówił też na temat ogłoszonej niedawno deklaracji o nieagresji. Kazimierz Świtalski tak zanotował wypowiedź Piłsudskiego: „Komendant nie wierzy jednak i przestrzega, aby nie uważać, że to ułożenie pokojowych stosunków między Polską a obydwojoma sąsiadami będzie trwać wiecznie, i Komendant oblicza, że dobre stosunki między Polską a Niemcami mogą trwać może jeszcze cztery lata. [...] Za więcej lat Komendant nie ręczy”.

24 października 1938 r. minister Ribbentrop w rozmowie z ambasadorem Lipskim komunikował, że rząd Rzeszy „chciałby podjąć uporządkowanie wszystkich istniejących między Niemcami a Polską punktów spornych jako ukoronowanie rozpoczętego przez marszałka Piłsudskiego i „führera dzieła porozumienia”.

Niemiecka propozycja wyglądała następująco:

- Wolne Miasto Gdańsk zostanie włączone do Rzeszy;
- Polska wyrazi zgodę na zbudowanie eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej łączącej Niemcy z Prusami Wschodnimi przez polskie Pomorze.

W zamian Niemcy oferowały Polsce:

- eksterytorialną autostradę i linię kolejową na terenie Gdańska wraz z wolnym portem będącym w wyłącznym władaniu Polski;
- Polska otrzyma gwarancję zbytu swoich towarów w Gdańsku;
- Niemcy i Polska będą gwarantować wzajemnie nienaruszalność swych granic;
- czas obowiązywania deklaracji o nieagresji zostanie przedłużony do 25 lat;
- Polska przystąpi do paktu antykominternowskiego;
- do deklaracji będzie włączona klauzula o wzajemnych konsultacjach w sprawach polityki zagranicznej.

A więc istota propozycji - bo były to jeszcze propozycje - sprowadzała się do wciągnięcia Polski w orbitę polityki niemieckiej. W ten sposób Warszawa znalazłaby się w otwartym konflikcie z Moskwą, a formuła „konsultacji” umożliwiałaby Niemcom uczynienie z Polski niemieckiego satelity. Aby osłodzić tę gorzką pigułkę, Hitler zapewniał Polaków, że przedłuży deklarację i zagwarantuje granice. Sprawdzeniem uległości Polski było natomiast domaganie się Gdańska i „korytarza przez korytarz”. Rzesza ciągle jeszcze dbała o pozory. Hitler kazał prowadzić rozmowy tak, aby „nie wytrącić kamyczka z korony polskiej mocarstwowości”. Stąd owa wzajemność i zadziwiająca skromność propozycji. Jeżeli Polska zgodzi się - planował Hitler - wówczas będzie można zacząć bezpośrednio przygotowania do rozgrywki z Francją. Jeżeli nie, to będzie dość czasu na pokonanie Polski. Nie można bowiem dopuścić do wojny na dwa fronty.

Sytuacja komplikowała się jednak z dnia na dzień. 8 stycznia 1939 r. prezydent Mościcki zwołał naradę z udziałem Śmigłego, Składkowskiego, Kwiatkowskiego i Becka. Po dyskusji ustalono: „a) jeśli Niemcy podtrzymywac będą nacisk w sprawach dla nich drugorzędnych, jak Gdańsk i autostrada, to nie można mieć złudzeń, że grozi nam konflikt w wielkim stylu, a te obiekty są tylko pretekstem; b) wobec tego chwiejne stanowisko z naszej strony prowadziłoby nas na równię pochyłą, kończącą się utratą niezależności i rolą wasala Niemiec”.

Odpowiedzią na niemieckie naciski mogło być tylko polskie - NIE!

Decydując się na stanowcze przeciwstawienie się Niemcom, Polacy właściwie stawiali się w sytuacji bez wyjścia. Sąsiedzi byli bowiem wrodzy lub obojętni na los Polski, a sojusze z Francją i Rumunią faktycznie bez większego znaczenia. Postawa Francji, ostatniej deski ratunku, zależała od postępowania Londynu, który tak łatwo oddał Hitlerowi Austrię i Sudety.

Hitler tymczasem rozpoczął akcję, która miała na celu ostateczne sparaliżowanie Zachodu, przede wszystkim zaś Francji (było to preludium do zapowiadanej w *Mein Kampf* wyprawy na Rosję). Postanowił iść za ciosem, sądząc, że po Monachium Francja i Anglia mogą jedynie ustępować, i ostrze swej polityki skierował przeciwko Anglii, zdając sobie sprawę z roli, jaką ona odgrywa. I tak koniec 1938 r. charakteryzuje się znacznym ochłodzeniem stosunków niemiecko-brytyjskich. W styczniu 1939 r. Londyn dowiaduje się, że Niemcy postanowiły odbudować swoją flotyllę okrętów podwodnych. W końcu miesiąca Hitler przemawiał w Reichstagu. Mówca straszył Zachód siłą Wehrmachtu i pierwszy raz powstrzymał się od zwyczajowych już ataków na ZSSR i komunizm. W lutym Intelligence Service informuje rząd o podejrzanych ruchach wojsk niemieckich nad granicami Holandii. Czyżby więc miała to być następna ofiara? Nie trzeba dowodzić, że wizja baz niemieckich rozlokowanych na brzegu holenderskim *vis a vis* ujścia Tamizy nie była przyjemna.

24 stycznia 1939 r. lord Edward Halifax, brytyjski minister spraw zagranicznych, sporządził ocenę sytuacji międzynarodowej. Był on przekonany, że Hitler „rozważa możliwość zaatakowania mocarstw zachodnich jako przygotowanie do następnej akcji na wschodzie”. Ministrowi wtórował ambasador brytyjski w Paryżu Eric Phipps: „[...] wedle źródła dotychczas całkowicie pewnego osobistym życzeniem Hitlera [...] jest podjęcie wojny przeciwko Wielkiej Brytanii jeszcze przed czerwcem lub lipcem”.

I rzeczywiście Hitler nie próżnował. 11 marca 1939 r. Rzesza rozpoczęła działania mające na celu wchłonięcie całej Czechosłowacji i zamknięcie Polski w śmiertelnych kleszczach. Według Hitlera miała to być dla Polaków lekcja rozsądku. Trzy dni później powstała niepodległa Słowacja, będąca w istocie satelitą Rzeszy. Następnego dnia (15 marca) prezydent Czech Emil Hacha uległ presji Hitlera i podpisał układ oddający Czechy i Morawy pod protektorat niemiecki. Hitlerowskie dywizje załazy terytorium południowego sąsiada Polski. 18 marca Rzesza wystąpiła wobec Litwy z żądaniem oddania Kłajpedy. Cztery dni później rząd w Kownie uległ niemieckiej presji. 23 marca Rumunia (sojusznik Polski) podpisała układ z Niemcami, oddając tym samym do dyspozycji Berlina swoje zasoby mineralne, głównie ropę naftową (w 1938 r. wydobywano ponad 7 mln ton). Tego samego dnia ośmielone niemieckimi poczynaniami Włochy anektowały Albanie.

W tej sytuacji postawa Polski była dla Londynu niejasna. Na Zachodzie nie wiadomo nic o niemieckich żądaniach pod adresem Polski, nie wiadomo też, że Polska je stanowczo odrzuca. Co więcej, Zachód sądził, że stosunki polsko-niemieckie zacieśniły się. Wizyta Becka w Berlinie 5 stycznia i rewizyta Ribbentropa w Warszawie 25 stycznia przyjmowane były jako oznaki zbliżenia.

Mocarstwa Europy Zachodniej stanęły przed upiorną wizją. Oto Hitler bez wystrzału może pochłonąć całą Europę Środkową i Południową, a ubezpieczywszy się siłami Polski i Rumunii, tradycyjnie antysowieckimi, będzie mógł uderzyć na Francję. Sytuacja ta w poważnym stopniu wpłynęła na korekturę planów Londynu. Dotychczas Chamberlain sądził, że Hitlerowi rzeczywiście chodziło o zjednoczenie wszystkich Niemców w jednym państwie. Mógł rozumieć sens ustępstw w Austrii i Czechach, może nawet w Polsce. Jednak od momentu zagarnięcia całej Czechosłowacji premier brytyjski nie miał wątpliwości: Hitler zamierzał zdobyć potencjał potrzebny do konfrontacji z Anglią i Francją. Tak też rząd brytyjski interpretował sens niemieckich zabiegów w Finlandii, Jugosławii, Rumunii i Turcji. Dotychczas Anglia uważała, że stosując politykę „łagodzenia” zyska na czasie, zmobilizuje wszystkie zasoby imperium i zdoła w końcu zagrozić Niemcom potężną siłą militarną. Od

1936 r. Anglia i Francja podjęły wyścig zbrojeń z Niemcami. Hitler bez wątpienia dostrzegł istotę polityki Zachodu, stąd też jego dążenie do opanowania takich zasobów (jeszcze przed rozstrzygnięciem zbrojnym), które pozwolą wygrać z Anglią. Hitler to „wściekły pies - powiedział Chamberlain - jemu chodzi o panowanie nad światem”. Niemieckie próby opanowania Bałkanów, zwłaszcza ropy rumuńskiej, i omotania Polski stanowiły dla interesów Albionu groźbę o podstawowym znaczeniu.

Spójrzmy na zamieszczoną na stronie 308 tabelę. Oto układ sił, jaki mógł powstać, gdyby Hitlerowi się powiodło. Można sądzić, że opanowanie Bałkanów i Polski związałoby natychmiast Włochy z Niemcami, a jednocześnie Hitler mógłby liczyć na współpracę Japonii, która szukała wówczas sojuszników przeciwko ZSSR.

17 marca premier Wielkiej Brytanii zapowiedział podjęcie zdecydowanych kroków w odpowiedzi na poczynania Rzeszy. Londyn ogłosił program zwiększonych zbrojeń. Podwyższono nakłady na lotnictwo i marynarkę wojenną, zapowiedziano utworzenie korpusu interwencyjnego (19 dywizji), który miał wesprzeć armię francuską. Następnego dnia (18 marca) gabinet brytyjski postanowił: „Należy poczynić odpowiednie kroki wobec Rosji, Polski, Jugosławii, Turcji, Grecji i Rumunii, mające na względzie uzyskanie od nich zapewnienia, że przyłączą się do nas w odpieraniu jakiegokolwiek aktu agresji niemieckiej, którego celem byłoby uzyskanie panowania w Europie Południowo-Wschodniej”.

	Anglia+Francja*	Niemcy+Włochy**	Japonia
energia elektryczna	94,2 mld kWh	81,1 mld kWh	32,7 mld kWh
ropa naftowa	5,3 mln ton	7,6 mln ton	-
węgiel kamienny	340,0 mln ton	231,2 mln ton	48,7 mln ton
ruda żelaza	62,7 mln ton	12,9 mln ton	0,5 mln ton
surówka żelaza	18,7 mln ton	20,5 mln ton	2,7 mln ton
stal	23,1 mln ton	27,4 mln ton	6,5 mln ton
cement	15,5 mln ton	17,7 mln ton	5,9 mln ton
kwas siarkowy	3,0 mln ton	7,7 mln ton	2,1 mln ton
samochody	938,0 tys. szt.	427,0 tys. szt.	71,0 tys. szt.
statki	1088,0 tys. BRT	581,0 tys.	BRT 94,0 tys. BRT
dywizje***	150	343	60
samoloty****	3700	7100	1500
okręty	529	515	250

\* Wraz z koloniami i dominiami. op. Australia, Kanada, Indie.

\*\* Oraz Bułgaria, Finlandia. Grecja, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Estonia, Polska, Rumunia, Węgry. Słowacja, Turcja.

\*\*\* Część sił po wstępnej mobilizacji, a część stany pokojowe.

\*\*\*\* Tylko samoloty bojowe znajdujące się w pierwszej linii.

Zasadnicza dla realizacji tego zamiaru była postawa Polski, państwa niewątpliwie najsilniejszego w rejonie interesującym Anglików. 19 marca na kolejnym posiedzeniu rząd brytyjski stwierdził, że „państwa takie jak Polska powinny uznać, iż leży w ich interesie danie odporu agresji niemieckiej nawet w wypadku, gdyby agresja ta przybrała postać ataku na Zachód”. Następnego dnia premier rządu brytyjskiego formułuje wniosek nawiązania sojuszu „czterech mocarstw”, tj. Anglii, Francji, ZSSR i Polski, który byłby w stanie pohamować Niemcy.

Odtąd powodzenie planu angielskiego zależało jedynie od Polski. Anglicy zaczęli zabiegi wokół Polaków. Ambasador Howard Kennard w rozmowie z Beckiem proponował wspólną deklarację o wydzwieńku antyniemieckim, podpisaną przez cztery mocarstwa. Beck oświadczył, że Polska nie może znaleźć się w jednym obozie z ZSSR, gdyż spowodowałyby to nieobliczalne następstwa ze strony Niemiec. Polski minister proponował zamiast tego

dwustronny sojusz wojskowy, który uzupełniony sojuszem z Francją mógłby odegrać rolę czynnika hamującego poczynania Hitlera.

26 marca Polska definitywnie odrzuciła niemieckie żądania. Dwa dni później doszło do dramatycznej rozmowy ambasadora Niemiec z ministrem Beckiem. Moltke stwierdził, że Polska, grożąc użyciem siły, chce rokować „na ostrzu bagnetów”. „To według waszego systemu” - odpowiedział Beck.

Tymczasem 25 marca rząd brytyjski postanowił przyjąć propozycję polskiego ministra. Londyn oświadczył jedynie, że gwarantując pomoc Polsce będzie oczekiwał od Polski podobnej pomocy w wypadku, gdyby Hitler najpierw zaatakował Francję. Wielu historyków uważało, że wzajemność pomocy, tak silnie podkreślana przez Becka, była, objawem swoistej megalomanii polskiego ministra. Maksymilian Berezowski cytuje polityka angielskiego Johna de Courcy, który kpił z Polski gwarantującej nienaruszalność interesów brytyjskich. Jak widać, rząd brytyjski był odmiennego zdania i uważał pomoc Polski za niezwykle cenną.

31 marca 1939 r. brytyjski premier oświadczył w Izbie Gmin: „W wypadku jakiegokolwiek akcji, która by wyraźnie zagrażała niepodległości Polski i której Rząd Polski uznałby za konieczne przeciwstawić się swymi narodowymi siłami - Rząd JKM będzie uważał, że jest zobowiązany do niezwłocznego okazania Rządowi Polskiemu całkowitego poparcia, jakiego będzie mu w stanie udzielić”. Była to ogromna sensacja. Oto Wielka Brytania, mocarstwo prowadzące globalną politykę, oddawało w ręce rządu polskiego decyzję, kiedy Londyn ma przystąpić do wojny. Nigdy przedtem Anglia nie wzięła na siebie tak daleko idących zobowiązań. Kilka dni po oświadczeniu Chamberlaina minister Beck odwiedził stolicę Wielkiej Brytanii. 3 kwietnia ogłoszono komunikat, w którym Polska przyznawała Anglii analogiczne gwarancje, i zapowiedziano rokowania mające na celu zawarcie sojuszu wojskowego. Koalicja antyhitlerowska stawała się faktem.

Kwestia gwarancji i sojuszu polsko-brytyjskiego była wielokrotnie omawiana przez historyków. Publicyści też chętnie zajmowali się tym zagadnieniem, rozważając, w jakim stopniu układ ten pomógł, a w jakim zaszkodził interesom Polski. Czy było prawdą, że dopiero sojusz z Anglią spowodował decyzję Hitlera, by zaatakować Polskę? Wydaje się, że nie. Naciski niemieckie i twarda postawa Polski miały miejsce, zanim doszło do rozmów z Anglikami. Nie ma podstaw, by sądzić, że Warszawa przyjęłaby żądania Hitlera, gdyby nie zawarła sojuszu z Londynem. Beck mógł sądzić, że podpisując układ z Anglią powstrzyma Hitlera u progu awantury. Natomiast nie miał złudzeń co do losu Polski w wypadku agresji niemieckiej. Dlatego usiłował powstrzymać Hitlera, strasząc go wojną na dwa fronty.

Argumentem przemawiającym za takim rozumowaniem był niewątpliwie potencjał ekonomiczno-militarny imperium brytyjskiego. Przypomnijmy, że obejmowało ono swym zasięgiem prawie 22% powierzchni kuli ziemskiej, a jego ludność stanowiła 25% zaludnienia świata. W produkcji energii elektrycznej kolos brytyjski przewyższał Niemcy o 20 mld kilowatogodzin, a w wydobywaniu węgla kamiennego o 100 mln ton. W koloniach angielskich wydobywano 5,3 mln ton ropy naftowej. Niemcy nie miały tego surowca. Anglicy górowali w produkcji miedzi (428 tys. ton - Niemcy 65 tys. ton) i wielu innych surowców strategicznych. Bili Niemców na głowę w produkcji samochodów, statków, kwasu siarkowego itd. Nieco gorzej wyglądała produkcja stali i żelaza - 12,5 mln ton żelaza i 17 mln ton stali, a Niemcy odpowiednio 17,8 i 23,3 mln ton. Jednak i te proporcje ulegały zmianie po doliczeniu wytwórczości Francji i Polski. Londyn dysponował więc poważnym potencjałem.

Siły zbrojne Anglii i jej dominiów można było szacować na 50 dywizji. Wprawdzie tylko 20 z nich znajdowało się na Wyspach Brytyjskich, ale zważywszy na potężną flotę, rozbudowujące się szybko lotnictwo wojskowe i ogromne rezerwy ludzkie (kolonie i dominia

dały Anglii w czasie II wojny światowej ponad 5 mln żołnierzy), trzeba przyznać, że również wojskowo była to poważna siła.

Z punktu widzenia Warszawy ważniejszy był jednak fakt, że postawa Londynu mogła natchnąć Paryż do zdecydowanego działania. Przecież właśnie armia francuska miała udzielić Polsce bezpośredniej pomocy. Armie Polski i Francji były w stanie zadać klęskę Niemcom, a w najgorszym wypadku mogły toczyć wojnę na dwa fronty. Oczywiście pod warunkiem, że Francuzi wkroczyliby do działań całością swych sił.

Sytuacja stawała się jasna. Materialne i wojskowe zasoby koalicji gwarantowały jej pokonanie Niemiec.

	Koalicja	Niemcy
energia elektryczna	98,2 mld kWh	53,6 mld kWh
ropa naftowa	5,8 mln ton	0,5 mln ton
węgiel kamienny	378,0 mln ton	194,0 mln ton
ruda żelaza	63,6 mln ton	12,7 mln ton
surówka żelaza	19,6 mln ton	17,8 mln ton
stal	25,1 mln ton	23,3 mln ton
cement	17,2 mln ton	14,1 mln ton
kwas siarkowy	3,0 mln ton	2,0 mln ton
samochody	938,0 tys. szt.	376,6 tys. szt.
statki	1088,0 tys. BRT	481,0 tys. BRT
dywizje	200	107
samoloty (bojowe)	4560	2800
okręty wojenne	547	112

Niemcy musiały gwałtownie szukać sprzymierzeńców, którzy mogliby chociaż częściowo zrównoważyć te dysproporcje. Najbliższe wydawały się Włochy, ale Rzym nie kwapił się z opowiedzeniem po stronie Berlina. W Europie pozostała Hitlerowi jedynie zwasalizowana Słowacja. Japonia, zaangażowana w konflikcie na Dalekim Wschodzie, krzywo patrzyła na Niemcy, które dążyły do napaści na Polskę. Tokio ciągle widziało w Warszawie sojusznika przeciwko ZSSR. Hitler zapędził się za daleko. Pozostało mu tylko liczyć na szczęście, blefować i czekać na sprzyjający zbieg okoliczności. Dyktator Niemiec nie mógł uczynić jednego - cofnąć się.

3 kwietnia niemieckie okręgi wojskowe dostały pierwsze rozkazy wykonawcze w ramach „Fall Weiss”. Hitler uważał, że wojskowe położenie Polski nie zmieniło się ani na jotę (układ polsko-brytyjski został podpisany 28 sierpnia 1939 r.), twierdził więc (11 IV 1939), że wojna z Polską - bo wojna będzie na pewno - ograniczy się do lokalnego konfliktu. Uspokajał swoich generałów mówiąc: „Będzie to możliwe w związku z kryzysem istniejącym we Francji i niezmobilizowaniem rezerw angielskich”.

Hitler brnął dalej. Dwa tygodnie później zerwał deklarację o nieagresji. Polska odpowiedziała ustami Becka w jego wystąpieniu sejmowym, że „od Bałtyku odepchnąć się nie da”. „Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną - mówił minister. - Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”.

Decyzja Polski o podjęciu walki z potężną Rzeszą rozstrzygała o wielu istotnych zagadnieniach.

Mocarstwom zachodnim dawała gwarancję, że Hitler nie uderzy całością sił na Francję. Stwarzało to szanse natychmiastowego zniszczenia agresora albo możliwość lepszego przygotowania się do wojny. Awanturnicza akcja Hitlera spowodowała, że potencjał niemiecki, nie przygotowany do wojny światowej, musiał przegrać w konfrontacji z ogromnymi zasobami materialnymi i ludzkimi Zachodu (głównie Stanów Zjednoczonych).

Decyzja polska była równie zbawienna dla ZSSR. Konflikt polsko-niemiecki powodował nie tylko rozdzwięki niemiecko-japońskie, ale przede wszystkim torpedował możliwość jednoczesnego ataku Niemiec i Japonii na ZSSR. Nietrudno sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji znalazłaby się Moskwa, gdyby wojska niemieckie i japońskie, wspierane przez sojuszników, ruszyły na państwo Stalina. Przecież w okresie międzywojennym potencjał Niemiec górował nad tym, czym dysponowali Rosjanie. W 1937 r. w wydobywaniu węgla kamiennego 0 22 mln ton, w produkcji stali o 2 mln ton, aluminium o 83 tys. ton, w produkcji samochodów o 127 tys. sztuk, w energii elektrycznej o 10 mld kilowatogodzin. A zdobycze terytorialne w 1938 r. powiększyły jeszcze potencjał Niemiec. Tymczasem wojna polsko-niemiecka dawała Związkowi Sowieckiemu możliwość przyłączenia się do jednej ze stron. Jako członek koalicji stawał się on nie tylko cennym partnerem, ale unikał izolacji i roli ofiary, której kosztem pogodzono by sprzeczne interesy przeciwników ZSSR. Stalin i Mołotow nie doceniali tego i układem z 23 sierpnia 1939 r. umożliwili Hitlerowi atak na Polskę.

Opór polski przekreślał szanse Hitlera na dalsze błyskotliwe sukcesy bez własnych strat. Przyłączenie okupowanych ziem polskich nie było tym samym, co opanowanie bez walki Austrii i Czechosłowacji. Wojna z Polską burzyła politykę „łagodzenia” i uruchamiała konflikt o światowym wymiarze. Hitler miał się znaleźć oko w oko ze Stalinem, a III Rzesza między ZSSR a Zachodem. Okupacja Polski była przedsięwzięciem kosztownym (historycy obliczają niemieckie siły okupacyjne w Polsce na 600 tys.) i nawet najbezwzględniejsza jej eksploatacja nie mogła dać Hitlerowi tego, co dałby polski sojusznik.

W 1937 r. Adolf Bocheński pisał: „Jeżeli więc w interesie Polski jest trwanie antagonizmu niemiecko-rosyjskiego [...], powinna stanąć Rzeczpospolita raczej po stronie Niemiec jak po stronie Rosji”. Czy porozumienie polsko-niemieckie było niemożliwe? I dalej, czy należałoby wówczas potępić rząd w Warszawie za to, że stał się sojusznikiem Berlina? Nikt przecież w PRL nie potępiał Stalina za układ Ribbentrop-Mołotow. Strona sowiecka twierdziła, że była to cena za uniknięcie wojny, do której ZSSR nie był przygotowany. Jak wiadomo, Polska też nie była gotowa do wojny w 1939 r. Mamy zresztą przykłady innych państw europejskich, które stały się sojusznikami Niemiec. Rumunia, wysłała na front niemiecko-sowiecki 25 dywizji. Co prawda, zanim doszło do ataku na ZSSR, Bukareszt musiał ustąpić Stalinowi Besarabię i zwrócić Węgrom Siedmiogród. Twierdzi się, że polska opinia publiczna nie dopuściłaby do sojuszu i dlatego sanacja musiała z takiej możliwości zrezygnować, decydując się na „klęskę swej polityki”. Nie ma w tym racji. Wiemy, aż nazbyt dobrze, że głos społeczeństwa można skutecznie skrepić wprowadzając ustrój totalitarny. Gdyby rząd polski rzeczywiście chciał pójść drogą tzw. zdrady narodowej, mógł to uczynić. Piłsudczycy, kiedy chcieli, potrafili, realizować swoje plany, nie oglądając się zbytnio na głos opinii publicznej; dowiodła tego praktyka rządów pomajowych. Prawda jest oczywista: w 1939 r. w Polsce nie było kapitulantów. Nie było ich wśród robotników i chłopów, nie było ich także wśród ziemian, mieszczaństwa, duchowieństwa, generałów i ministrów. Hasło: „Nie oddamy nawet guzika”, łączyło cały naród.

„Polska to kraj lekkoduchów, megalomanów, awanturników i ludzi bez poczucia odpowiedzialności. [...] To państwo nieświadome swej słabości, kierowane przez ludzi lekkomyślnych, nie zdających sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie narażają kraj i naród” - głosiła niemiecka propaganda w 1939 r. Na odprawie dowódców i szefów sztabów



wojsk niemieckich führer stwierdzał: „Problem polski jest nieodłączny od sprawy konfliktu z Zachodem. [...] Polska widzi w zwycięstwie niemieckim na Zachodzie niebezpieczeństwo i będzie się starała pozbawić nas owoców zwycięstwa. Naszym zadaniem jest izolować Polskę: udana izolacja zadecyduje o wyniku [podkreślenie - R.Sz.]”. Sprawę tę Hitler akcentował szczególnie mocno: „zatarg z Polską [...] doprowadzi do sukcesu jedynie wówczas, jeżeli mocarstwa zachodnie nie wmisczą się do wojny”.

Plan Hitlera był dość karkołomny. Jak już wspominaliśmy, mógł on liczyć tylko na własne siły, gdyż sojusznik włoski, co się wkrótce okazało, nie chciał jeszcze wspierać Rzeszy. Hitler zamierzał jednocześnie pokonać armię polską (50 dywizji), angielską (20 dywizji) i francuską (100 dywizji), razem 170 dywizji, wprowadzając do walki 107 dywizji własnych. Wojsko niemieckie miało łącznie 10 tys. dział, 3200 czołgów i 4200 samolotów - z tego tylko część w gotowości bojowej. Koalicja osiągnęła przewagę w działach (o ponad 6 tys.), w czołgach (o ponad 2 tys.) i w samolotach (o ponad 3 tys.). Oczywiście dywizje i uzbrojenie były bardzo różnej wartości, ale dotyczyło to wszystkich armii. Niemiecki generał Nicolaus Vormann stwierdził, że „gdyby ta olbrzymia przewaga została puszczona w ruch, a dołączyliby do niej prawdopodobnie Belgowie i Holendrzy [36 dywizji - R.Sz.], wojna nieodwołalnie by się skończyła”.

Znajdując się w takim położeniu, Hitler musiał wyjaśnić kwestię zasadniczą dla losów wojny z Polską. Będąc pewnym, iż pokona Polskę, nie miał żadnych gwarancji, że ofensywa na Zachodzie nie ruszy. W tej sytuacji zwycięstwo niczego nie ułatwiało, a w razie dłuższych walk groziła Niemcom katastrofa. Polskę należało pokonać błyskawicznie, co mogło nastąpić tylko w wypadku powrotu do linii Rapallo, czyli do współdziałania z Rosją.

Strona sowiecka zawsze zabiegała o współpracę z Niemcami. Zdobycie władzy przez Hitlera nie przekreślało - zdaniem Stalina - możliwości dalszego współdziałania. Andrzej Mania, omawiając to zagadnienie, przypomniał słowa Litwinowa skierowane do ministra Neuratha podczas rozmowy prowadzonej 28 lutego 1933 r. Nawiązując wówczas do represji, jakie spadły na komunistów niemieckich, Litwinow zapewniał, że „stanowisko rządu niemieckiego w stosunku do komunistów niemieckich nie wpłynie na stosunki radziecko-niemieckie”. Mimo deklarowanej wrogości Niemiec hitlerowskich do komunizmu Stalin nie rezygnował z prób nawiązania przyjaznych stosunków z Rzeszą. W 1935 r. - pisze Leon Grosfeld - strona sowiecka usiłowała ponownie nawiązać kontakt z Berlinem. Po Monachium wzrosły nadzieje. Zastępca komisarza spraw zagranicznych Władimir Potiomkin 4 października 1938 r. powiedział wprost ambasadorowi Francji w Berlinie Robertowi Coulondre, że w nowej sytuacji międzynarodowej jedynym wyjściem dla ZSSR może okazać się podział Polski we współdziałaniu z Niemcami. Podobne poglądy wyraził Potiomkin podczas rozmów z dyplomatami Bułgarii i Rumunii. Usiłowania te wyraźniej zarysowały się w wystąpieniu Stalina na XVIII Zjeździe WKP(b) 10 marca 1939 r. Mówca zapewniał, że Hitler nie ma wrogich zamiarów wobec ZSSR. Nakazywał też „zachować czujność i nie pozwolić, aby mocarstwa zachodnie, przywykłe do wyciągania cudzymi rękami kasztanów z ognia, wplątały Związek Radziecki w konflikt z Niemcami”.

Dodatkowym momentem wpływającym na postawę Moskwy był wówczas stan armii. Trwał przecież kolejny rok stalinowskich czystek, które nie omijały wojska. Korpus dowódczy RKKK praktycznie został całkowicie rozbity. Po procesie marszałka Tuchaczewskiego armia sowiecka straciła wielu dowódców wszystkich szczebli. Wiadomo, że NKWD aresztowało ponad 35 tys. oficerów, z których 25 - 30 tys. zamordowano. Wiktor Cygan podaje za historykami rosyjskimi dane o represjach w korpusie dowódczym armii sowieckiej:

---

stopnie wojskowe (stan na 1 I 1937)	liczba	liczba poddanych represjom
--	--------	----------------------------

---

marszałkowie	5	3
dowódcy armii 1 i 2 stopnia	14	16
dowódcy korpusów	55	61
dowódcy dywizji	199	141
dowódcy brygad	397	250

\*Obejmuje również oficerów awansowanych po 1 stycznia 1937 r. Aresztowano także około 30% pułkowników.

Takie wyliczenia można długo prowadzić. Represje dotknęły również oficerów niższych stopni. W 1941 r. na szczeblu plutonu brakowało ponad jednej piątej dowódców, a wśród pozostałych 70% objęło swoje stanowiska po pięciomiesięcznym zaledwie szkoleniu. Oceniając okres 1937-1939, w *Materialach z XXII zjazdu* podano: „Najwyższe dowództwo wojskowe zostało rozbite i zdeorganizowane. Sztaby okręgów, przyszłych armii, korpusów, dywizji zostały zniszczone w takim stopniu, w jakim żadna wojna nie potrafiłaby tego dokonać”. Sytuację pogarszał także stan uzbrojenia. W 1936 r. polski wywiad zapowiadał, że w Związku Sowieckim zbliża się okres pod tym względem krytyczny (zwłaszcza od 1939 r.). Sowieckie samoloty i czołgi były w większości przestarzałe, a nowe modele uzbrojenia znajdowały się dopiero na deskach kreślarskich, w najlepszym zaś przypadku w fazie prototypowej. Jeszcze w momencie wybuchu wojny z Niemcami - jak stwierdzają źródła sowieckie - jednostki lotnictwa miały 78% starych samolotów produkowanych w latach 1934 - 1936. W wypadku wojsk pancernych sowieccy historycy obliczają, że 22 czerwca. połowa czołgów była przestarzała - nowoczesne T-34 wyprodukowano dopiero w 1940 r., i to zaledwie 115 sztuk. „Wojna [1941 r. - R.Sz.] zaskoczyła kraj - pisał Żukow - w stadium reorganizacji, przebrojenia i przeszkalania wojsk, tworzenia niezbędnych zapasów mobilizacyjnych i rezerw państwowych”.

W rezultacie Armia Czerwona była słabym instrumentem działań wojennych. Dowiodły tego ponad wszelką wątpliwość wojna z Finlandią i pierwszy okres walk przeciwko Niemcom. Wojskowi eksperci Zachodu dość surowo oceniali wartość bojową sowieckich sił zbrojnych. „Z chwilą ujawnienia procesów (Tuchaczewskiego i innych) - pisze Kazimiera Mazurowa - ZSRR nie był już brany przez francuski Sztab Generalny jako poważna siła militarna”. Leon Blum twierdził, że zarówno Francuzi, jak i Anglicy uznawali większą rolę siły militarnej Polski. Belgijski komentator polityczny Goemare pisał: „Polska dysponuje instrumentem wojskowym uchodzącym wedle opinii wszystkich rzeczoznawców za jeden z najsilniejszych w Europie”.

Trudno powiedzieć, czy opinie te podzielał Stalin, który, jak wiemy, przeceniał znacznie wartość swojej armii. Nie ulega jednak wątpliwości, że Hitler musiał mieć dobre rozeznanie.

W tej sytuacji niełatwo było namówić Stalina na sojusz z Zachodem przeciwko Rzeszy, i to niejako za darmo. Kierownictwo sowieckie nie zamierzało angażować swych sił do walki z Niemcami w oderwaniu od planów umocnienia swych wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. Armia sowiecka była nie tylko siłą zbrojną, była również narzędziem państwa, które stanowiło wówczas centrum światowego ruchu komunistycznego i politycznie oraz materialnie popierało partie komunistyczne w wielu krajach. Z tych względów ważne dla Stalina było uzyskanie zgody Warszawy na przemarsz Armii Czerwonej przez Wileńszczyznę i Podole. Czym ten „przemarsz” skończyłby się dla Drugiej Rzeczypospolitej, nie trzeba tłumaczyć.

Związek Sowiecki znalazł się w korzystnej sytuacji. Mógł myśleć realnie o zmianie układu sił w Europie i realizacji zamierzeń z lat 1918-1920. Kierownictwo ZSSR dość wyraźnie sprecyzowało, czego oczekuje od anglo-francuskich rozmówców. Rosjanie chcieli rozpatrywać kwestię konfliktu niemiecko-polskiego w kontekście swoich interesów, a więc

domagali się określenia statusu Estonii, Litwy, Łotwy i Besarabii oraz rozważenia kilku innych zagadnień. Szczególnie zależało im na tym, aby Polska i Rumunia wyraziły zgodę na wkroczenie wojsk sowieckich na własne terytoria. Stanowisko Moskwy zrozumiał natychmiast lider opozycji Churchill, który stwierdził, że za cenę sojuszu Zachód powinien poprzeć roszczenia Rosjan. W przeciwieństwie do Churchilla lord Halifax oświadczył, że skoro istnieje dylemat polsko-rosyjski, to Polska przedstawia większą wartość i, jeżeli już trzeba wybierać, Anglia wybierze właśnie ją. „W sumie więc - pisze Jacques de Launay - kraje zachodnie tolerowały Związek Radziecki o tyle tylko, o ile szukały pomocy w sprawie Gdańska. Nie proponowały nic w zamian i odmawiały prowadzenia rozmów na jakikolwiek inny temat. Taka postawa wskazywała całkowite niezrozumienie celów i tradycyjnej myśli dyplomacji rosyjskiej”. Można chyba przyjąć, iż Londyn, podobnie jak Warszawa, sądził, że deklarowana wrogość wyklucza rozmowy Moskwy z Berlinem.

Beck ciągle jeszcze łudził się, że zdoła uniknąć wojny. Znając stanowisko Hitlera w sprawie ZSSR, polski minister obawiał się, że wyraźniejsze związanie się z Moskwą może spowodować natychmiastową agresję niemiecką (doświadczyła tego później Jugosławia, kiedy to Niemcy napadły na nią w dzień po podpisaniu układu o przyjaźni z ZSSR). Beck też pamiętał, że Hitler uważał Anglię za potencjalnego sojusznika, dlatego układ z Londynem, jego zdaniem, nie ustawiał Polski jednoznacznie. Związanie się ze Stalinem natomiast byłoby widziane przez Berlin tak samo, jak postrzegałaby Moskwa przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego. Widać więc, że Beck nadal starał się stosować stary schemat równowagi, mimo iż warunki zmieniły się diametralnie. W Warszawie sądzono, że jeżeli dojdzie do wojny z Rzeszą, to ZSSR i tak wesprze Polaków, którzy, obiektywnie patrząc, broniliby również dostępu do granic ZSSR. Nie zastanawiano się nad tym, co dwa lata wcześniej napisał Adolf Bocheński: „Za Pomorze warto Niemcom nawet dotknąć dłoni p. Dżugaszwilego”.

Polska zdecydowanie odrzucała możliwość wkroczenia wojsk ZSSR na jej terytorium. Minister Beck w instrukcji z 6 czerwca 1939 r. pisał: „Zasadę udzielenia pomocy przez ZSSR napadniętemu państwu, nawet bez zgody tego ostatniego, uważamy w stosunku do Polski za niedopuszczalną, zaś w stosunku do innych państw za niebezpieczne naruszenie stabilizacji i bezpieczeństwa we wschodniej Europie. Określenie zakresu pomocy Sowietów jest zdaniem naszym możliwe jedynie na drodze rokowań między państwem napadniętym a ZSSR”.

Zachód ciągle łudził się, że rokowania w stolicy ZSSR zakończą się sukcesem. W pierwszej połowie sierpnia wyjechała do Moskwy delegacja wojskowa, aby kontynuować rozmowy. Otrzymała ona instrukcje upoważniające do ustalenia form pomocy lotnictwa i wojsk zmotoryzowanych ZSSR dla Polski i Rumunii pod warunkiem zagwarantowania nienaruszalności wschodnich granic tych państw przez Związek Sowiecki. 12 sierpnia doszło do pierwszego spotkania z wojskowymi sowieckimi. Przewodniczący strony sowieckiej marszałek Kliment Woroszyłow oświadczył, że rozmowy, nie mają sensu, jeżeli Polska nie zgodzi się na wkroczenie wojsk ZSSR na jej terytorium. 17 sierpnia strona sowiecka ostatecznie odłożyła rokowania do 21 sierpnia. Jednocześnie prasa sowiecka twierdziła, że Zachód nie chce porozumienia i podjął grę z Hitlerem kosztem ZSSR. Sytuacja stawała się nieznośna, ponieważ Anglicy i Francuzi wiedzieli już o toczących się od pewnego czasu rozmowach niemiecko-sowieckich.

W tym czasie rozmowy niemiecko-sowieckie były już poważnie zaawansowane. Pierwsze spotkania odbyły się jeszcze w kwietniu i maju 1939 r., kiedy to Berlin ostrożnie badał stanowisko Moskwy i ograniczał się do propozycji wymiany gospodarczej. Więcej śmiałości nabrał Ribbentrop dopiero po 20 maja, gdy nowy komisarz spraw zagranicznych, Wiaczesław Mołotow, oświadczył ambasadorowi Rzeszy, że dalsze rozmowy powinny odbywać się „w odpowiednim klimacie politycznym”. Ribbentrop chciał natychmiast pójść

za ciosem i złożyć propozycję normalizacji stosunków z ZSSR, Hitler jednak wstrzymał go, twierdząc, że taka inicjatywa wywołałaby w Moskwie wybuch śmiechu. Porozumienie z ZSSR uważał on za nierealne, skoro 22 maja mówił na tajnej naradzie: „Konflikt z Polską może pociągnąć za sobą wojnę z Francją i Anglią. Lepiej uniknąć interwencji francusko-brytyjskiej, toteż izolacja Polski to zadanie polityczne. Ale jeśli okaże się to niemożliwe, lepiej zaatakować najpierw na zachodzie, a później skończyć z Polską”. Stanowisko Hitlera było jasne. Przy neutralnej postawie ZSSR rozbić Polski w krótkim czasie stawało się problematyczne. Związanie całości sił niemieckich w walce z wojskiem polskim odsłaniało tyły niemieckiego frontu na zachodzie, toteż należało raczej atakować Francję i bronić się od strony Polski, która nie miała dość sił, aby poważniej zagrozić Niemcom. Tak wyglądała sytuacja jeszcze w maju.

15 czerwca 1939 r. Ernsta Woermanna, podsekretarza w berlińskim MSZ, odwiedził poseł bułgarski Dragonow i przedstawivszy się jako pośrednik sowieckiego charge d'affaires Georgija Astachowa, przekazał słowa sowieckiego dyplomaty: „Związek Radziecki śledził obecną sytuację światową z niezdecydowaniem. Wahał się w wyborze między trzema możliwościami, a mianowicie: zawarciem paktu z Anglią i Francją, dalszym zwlekającym traktowaniem pertraktacji w sprawie paktów i zbliżeniem z Niemcami. Ostatnia możliwość, z którą żadne ideologiczne względy nie miałyby być łączone, jest najbliższa życzeniom Związku Radzieckiego”. Przy okazji Astachow wspominał o cenie za takie porozumienie - interesy ZSSR na określonych terenach, np. w Besarabii.

Tym razem Hitler zrozumiał, że Stalin nie będzie się wzdrażał przed podjęciem konkretnych rozmów na temat paktu politycznego. 13 sierpnia Ribbentrop uzyskał oczekiwany akcept Hitlera i przystąpił do realizacji swego projektu. Rzesza proponowała ZSSR pokój, zatrzymanie Wehrmachtu na Bugu i udział w zdobyczy po zwycięskiej kampanii w Polsce. 14 sierpnia Mołotow odpowiedział pozytywnie na propozycje Ribbentropa. Po zgłoszeniu przez niego chęci odwiedzenia Moskwy i przedyskutowania spraw interesujących obie strony Rosjanie wyrazili gotowość sfinalizowania projektu 26 sierpnia. Dla Niemców było to za późno. W związku z tym Hitler zwrócił się z osobistą prośbą do Stalina i ostatecznie ustalono przyjazd Ribbentropa do Moskwy na 22 sierpnia. Tego samego dnia Hitler zakomunikował swoim wojskowym, że podjął ostateczną decyzję o agresji na Polskę. „Byłem pewien - mówił - że Stalin nigdy nie przyjmie brytyjskiej propozycji. Rosja nie ma żadnego interesu w ratowaniu Polski [...]. Ustanowiliśmy ze Stalinem kontakt osobisty. Pojutrze Ribbentrop zawrze porozumienie. Polska znalazła się w sytuacji, w jakiej chciałem ją widzieć. Nie musimy obawiać się żadnej blokady. Wschód zaopatrzy nas w zboże, bydło, węgiel, ołów, cynk. [...] Dzisiejsze oznajmienie o pakcie nieagresji z Rosją zabrzmiało jak wybuch bomby. Trudno przewidzieć konsekwencje. Stalin również oświadczył, że na tej drodze skorzystają oba kraje. Skutek w Polsce będzie straszliwy”.

Tymczasem Ribbentrop był witany uroczystie na lotnisku w Moskwie. Na Kremlu rozpoczęto rozmowy, w których uczestniczył Stalin. W nocy z 23 na 24 sierpnia pakt został podpisany. W tajnym protokole dodatkowym przewidywano przede wszystkim „przemiany terytorialne” na obszarze państw bałtyckich (Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa) oraz w Polsce. Ustalono, że po działaniach wojennych na terenie Polski granica sowiecko-niemiecka będzie przebiegała wzdłuż północnej granicy Litwy, a następnie wzdłuż Pisy, Narwi, Wisły i Sanu. Dodajmy, że uzgodnienia te uległy zmianie 28 września, kiedy to dokonano wymiany Lubelszczyzny na Litwę, a granicę przesunięto na Bug z pozostawieniem Białostoczczyzny po stronie sowieckiej. W następstwie paktu Ribbentrop-Mołotow Hitler uzyskał 189 tys. km<sup>2</sup> terytorium państwowego Polski (48,45%), a Stalin 201 tys. km<sup>2</sup>, czyli 51,55% jej obszaru. 22 miliony obywateli przypadły Rzeszy, a 13,5 miliona zostało uznanych za mieszkańców ZSSR. Stalin otrzymał wreszcie to, czego pragnął i czego nie chciały mu zagwarantować

Anglia i Francja. Kiedy na Kremlu podpisano pakt, oświadczył Ribbentropowi: „Rząd radziecki bierze nowy pakt bardzo poważnie, a sam Stalin własnym słowem honoru zaręcza, że rząd radziecki nie zdradzi swego partnera”. Wydaje się, że Stalin był wówczas szczery. Nic więc dziwnego, że w nocy 21 czerwca 1941 r., kiedy ambasador Rzeszy Schulenburg odczytał Mołotowowi notę równającą się praktycznie wypowiedzeniu wojny, ten powiedział: „A więc wojna. Czy pan sądzi, że myśmy na to zasłużyli?”

Nie ulega wątpliwości, że oskarżanie Polski o storpedowanie sojuszu między mocarstwami zachodnimi a Związkiem Sowieckim jest pozbawione podstaw. Żaden rząd polski nie mógł zaoferować Rosjanom więcej niż Hitler. Sojusznicy Polski nie chcieli i nie mogli - wobec postawy ministra Becka - płacić za sojusz interesami Polski i jej integralnością terytorialną.

Dość wątpliwie brzmi też teza, jakoby Stalin zawarł sojusz z Hitlerem, aby lepiej przygotować się do wojny z hitlerowską Rzeszą. W pamiętnikach sowieckiego generała Fieduńskiego czytamy, że w dniu agresji Hitlera na ZSSR (22 VI 1941) „w sztabie generalnym nie byli jeszcze całkiem pewni, czy naziści rzeczywiście już na nas napadli”. Opinię tę potwierdzają inni świadkowie wydarzeń z tamtego okresu.

Z perspektywy 1941 r. można powiedzieć, że Stalin zawierając układ z Hitlerem w sierpniu 1939 r. otwierał armiom niemieckim drogę na Leningrad, Moskwę i Stalingrad.

Stanisław Feret (*Polska sztuka wojenna 1918-1939*) wyraził opinię, że „Niemcy, zawierając 23 VIII 1939 pakt o nieagresji z ZSRR, zapewniły sobie czasową neutralność, niezbędną w okresie realizacji zamiarów wobec Polski i mocarstw zachodnich”. Dodajmy do tego, że czas trwania tej neutralności zależał wyłącznie od Hitlera, a w okresie wojny obronnej Polski owa „neutralność” oznaczała. obecność sowieckich dywizji wspierających hitlerowską agresję.

To posunięcie nie gwarantowało jednak Hitlerowi całkowitego wyeliminowania ryzyka. Polskie siły zbrojne mobilizowały się i trwały przygotowania sztabowe do wojny. Od 15 do 17 maja 1939 r. przebywała w Paryżu delegacja polskiego dowództwa pod kierownictwem generała Tadeusza Kasprzyckiego. Ze strony francuskiej w rozmowach brali udział dowódcy głównych rodzajów wojsk z generałem Gamelinem na czele. W protokole podpisanym przez obu generałów zawarte były rezultaty rozmów. Francja zobowiązywała się do wsparcia lotniczego od pierwszego dnia wojny, do działań częścią sił w trzy dni po rozpoczęciu mobilizacji i do ofensywy „głównymi siłami” dwanaście dni później, czyli około 17 września.

Polska miała do tego czasu wytrzymać napór głównych sił Rzeszy i przejść do kontrofensywy po odciążeniu frontu polskiego działaniami na Zachodzie. W wypadku gdyby atak niemiecki kierowany był na Francję, wówczas armia polska miała wiązać jak największe siły Niemiec.

W kilka dni po rozmowach w Paryżu przyjechała do Warszawy delegacja sztabu brytyjskiego w celu uzgodnienia wspólnych działań. Wyniki tych rozmów były znacznie skromniejsze. Anglicy gwarantowali Polakom dostawę broni i ewentualne skierowanie jednostek lotnictwa na front polski.

1 września 1939 r. wojska niemieckie zaatakowały Polskę. Siły zbrojne Rzeczypospolitej znajdowały się na pozycjach i stawiały energiczny opór najeźdźcom. Naczelnym Wódz i minister spraw zagranicznych domagali się podjęcia działań przez armie sojusznicze. Wojsko polskie poniosło duże straty w bitwie granicznej, pękł front pod uderzeniami niemieckich dywizji pancernych i lotnictwa. Minęła pierwsza dekada walk, nim szczęście uśmiechnęło się do Polaków. Mimo porażek armie polskie nie dały się okrążyć i rozbić w terminie przewidywanym przez Hitlera. Dowództwo niemieckie musiało zmienić założenia planu i zakładać nowe kleszcze okrążenia na wschodnim brzegu Wisły. Co więcej, nad Bzurą rozpoczęło się kontruderzenie wojsk generała Kutrzeby. Niemcy musieli

ponownie zmienić kierunki natarcia i zwrócić większość sił przeciwko atakującym armiom „Poznań” i „Pomorze”. Śmigły-Rydz zreorganizował dowództwo. Powstały trzy fronty (Północny, Środkowy, Południowy), kierowane przez wyznaczonych przez niego generałów, formowały się armie „Warszawa”, „Lublin” i „Małopolska”, na zapleczu tworzone nowe jednostki i uzupełnienia dla wykrwawionych oddziałów frontowych.

Francuski generał Louis Faury, znajdujący się przy polskim sztabie, informował 11 września swoje dowództwo: „Sytuacja jest poważna, ale walka trwa”, armie polskie przyjęły „pierwsze ugrupowanie obronne”. Następnego dnia generał meldował o bitwie nad Bzurą, obronie Lwowa i sytuacji międzynarodowej Polski. „W sumie: bój trwa wszędzie; walka jest zacięta i siły polskie reagują energicznie” - brzmiała konkluzja.

W Europie zapadały decyzje rządów sprzyjające Polsce. 1 września włoska rada ministrów oznajmiła, że Włochy nie podejmą działań wojennych (*nonbelligeranza*). Następnego dnia Litwa ogłosiła neutralność w konflikcie niemiecko-polskim. 4 września Rumunia zadecydowała, że transporty broni kierowane przez jej terytorium do walczącej Polski nie naruszają deklarowanej wcześniej neutralności. 5 września podobną decyzję podjął rząd Jugosławii, a tydzień później Grecji. Między 7 a 10 września Węgry definitywnie odrzuciły niemieckie propozycje, aby w zamian za zgodę Budapesztu na przemarsz wojsk niemieckich przez Ruś Podkarpacką zająć część polskiego terytorium po zakończeniu wojny. Również Litwa stanowczo oparła się naciskowi niemieckiemu w sprawie uderzenia na Wileńszczyznę.

Niestety, 12 września w Abbeville sojusznicy Polski podjęli decyzję o wstrzymaniu działań wojennych przeciwko Niemcom. Działania, które zostały wcześniej uzgodnione z władzami Rzeczypospolitej i które miały odciążyć front polski od naporu przeważających sił niemieckich. Przypomnijmy, że zgodnie z przyjętymi ustaleniami 17 września miała ruszyć ofensywa aliantów na Niemcy. Na tej przesłance Polacy opierali swoje plany obronne.

„Postanowienie przyjęte 12 września w Abbeville - pisze Leszek Wyszczelski - zakończyły ostatecznie okres dyskusji (nie było to tożsame nawet z rozważaniem) przez rządy brytyjski i francuski problemu udzielenia pomocy Polsce [...]”. Podjęte decyzje miały charakter ściśle tajny; nie poinformowano o nich polskiego rządu i Naczelnego Wodza. Premier Anglii, Chamberlain, i Francji, Daladier, głównodowodzący armią francuską, gen. Gamelain, i inni uczestnicy konferencji, członkowie Najwyższej Rady Wojennej, organu koordynującego strategię prowadzenia wojny, nie uznali za konieczne, by przekazać polskiemu sojusznikowi wiadomość, że skazali go na klęskę. Ma rację Leszek Moczulski, gdy nazywa to „zdradą”.

Decyzja była zbrodniczą i niczym nie można jej usprawiedliwić. Oto co powiedzieli o niej później niemieccy generałowie: Keitel - „Gdyby Francuzi natarli, Niemcy mogli im przeciwstawić tylko pozory obrony”; Jodl - „Rzeczka uniknęła katastrofy dzięki bezczynności 110 dywizji francuskich, które nie natarły na 23 dywizje niemieckie”; Halder - „W ciągu dwóch tygodni Francuzi doszliby za Ren”; Guderian - „Dlaczego Francuzi nie korzystali z okazji?” Koesfrin - „Gdyby Francuzi ruszyli do natarcia, wkroczyliby do Berlina”; marszałek von Manstein - „Sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby mocarstwa zachodnie w możliwie najwcześniejszym momencie przystąpiły do ofensywy”.

Podobne opinie wygłaszali także wojskowi francuscy. Zachowanie Francji we wrześniu 1939 r. ostro potępił generał de Gaulle. Generał Chassin stwierdził, że był to najlepszy moment do ataku na linię Zygfryda. Generał Faury napisał, że ogarnął go wstyd, gdy dowiedział się, jakie siły niemieckie I zatrzymały Francuzów. Pułkownik Pierre Lyet zanotował: „8 września, a więc w przeddzień decyzji wstrzymania naszych działań w Lotaryngii, generał Faury, nasz przedstawiciel w Polsce, oceniał, że Polacy przegrali bitwę o granicę, ale że »do tej pory żadne z szybkich uderzeń, które mogłyby być śmiertelne, nie zostało zrealizowane« i że »nie ma powodu do desperacji«”.

Postawa władz politycznych i wojskowych Francji i Anglii wobec Polski może być nazwana w jeden tylko sposób: była to zdrada sojusznika na polu bitwy.

W kilka dni później Hitler zrealizował testament generała von Seeckta.

17 września 1939 r. wojska sowieckie przekroczyły na całej długości granice polskie. W operacji brały udział 2 korpusy pancerne, 9 samodzielnych brygad pancernych, 14 dywizji kawalerii i 31-39 dywizji piechoty. Łącznie około 1 mln żołnierzy, ponad 5000 pojazdów pancernych, 4500 dział i 1000 samolotów. Siły te zgrupowano w dwu frontach. Front Białoruski (dowódca Michaił Kowalow) nacierał w kierunku na Wilno-Grodno-Wołkowysk-Brześć n. Bugiem, Front Ukraiński (dowódca Siemion Timoszenko) na Kowel-Włodzimierz Wołyński-Sokal-Stanisławów-Kołomyję. Dotychczas niewiele wiedzieliśmy o walkach Wojska Polskiego z sowieckim agresorem, gdyż w Polsce Ludowej cenzura nie pozwalała o tym pisać. Jest jednak sprawą paradoksalną, że i na emigracji temat ten nie doczekał się zbyt wielu opracowań. Pierwszą publikacją traktującą o tych tragicznych wydarzeniach była praca zbiorowa *Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich* wydana w Londynie w 1985 r. W kraju natomiast pierwszym poważnym opracowaniem wojny polsko-sowieckiej była. książka autora posługującego się pseudonimem Karol Liszewski. Po 1989 r. ukazało się w Polsce sporo publikacji, z których najobszerniejszą jest praca Wiktora Cygana *Kresy w ogniu*. I okazało się, że Wojsko Polskie stawiało Armii Czerwonej twardy i skuteczny opór. Zadało jej ciężkie straty. Intensywność walk nie ustępowała tym toczonym na froncie z Niemcami. Generał Wilhelm Orlik-Ruckemann, dowódca zgrupowania KOP (około 8 batalionów), podaje w swoich wspomnieniach, że w ciągu 15 dni walk jego oddziały przemaszerowały 400 km, stoczyły 42 bitwy i zadały duże straty Sowietom, niszcząc między innymi 17 czołgów. Dodajmy jeszcze, że ostatnim zwartym oddziałem WP walczącym z Sowietami była jednostka dowodzona przez por. Władysława Wysockiego, późniejszego bohatera w bitwie pod Lenino. .

Brak rozeznania w polskim sztabie spowodował jednak spore zamieszanie. Niektórzy dowódcy uznali, że Sowietci wkraczają jako sojusznicy - dezinformujący rozkaz w tej sprawie wydał dowódca Armii „Warszawa” generał Juliusz Rómmel. Marszałek Śmigły-Rydz liczył, że Rosjanie pozwolą wycofać się wojskom polskim na Węgry i do Rumunii. Postawę władz Rzeczypospolitej w obliczu agresji sowieckiej ostro skrytykował wybitny historyk Jerzy Łojek w swej pracy *Agresja 17 września 1939*. Wprawdzie zarzut o braku koordynacji działań przeciwko Sowietom wydaje się zbyt ostry - plan „Wschód” opracowany na wypadek wojny z ZSSR nie mógł być wprowadzony w życie, gdyż całość sił polskich była skupiona na obronie kierunku zachodniego - ale nie można go całkowicie odrzucić. Polskie władze powinny wcześniej przewidzieć zachowanie Sowietów i wydać rozkazy podjęcia obrony bez rozważania wojskowych szans takich działań. Nie ulega wątpliwości, że wówczas straty zadane napastnikowi byłyby znacznie większe. Strona sowiecka podała, że straciła około 3000 zabitych i rannych, polskie źródła natomiast szacują te straty na około 10 tys. zabitych i rannych.

Nie ulega wątpliwości, że agresja sowiecka przesądziła o klęsce Polaków. Mieczysław Lipiński pisze na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego”: „Dziś wiemy z dokumentów zdobytych przez aliantów, że zapasy materiałowe Niemiec w końcu września 1939 r. były na wyczerpaniu, wystarczały na prowadzenie wojny na okres nie dłuższy niż dwa - trzy tygodnie, a w formacjach technicznych: wojskach pancernych i lotnictwie, na okres jeszcze krótszy”. Dlatego nie miał racji „New York Times”, gdy porównał Stalina do hieny, która ukradła część łupu zdobytego przez niemieckiego lwa. Przeciwno Polsce wystąpiły dwa groźne drapieżniki wzajemnie bardzo sobie potrzebne i zjednoczone w celu pokonania Polski.

## EPILOG

Działania wojenne prowadzone jesienią 1939 r. utrwaliły się w świadomości Polaków jako druzgocąca klęska i koniec istnienia Drugiej Rzeczypospolitej. Historia 36 dni walk, w czasie których runął świat 35 milionów obywateli Polski, była ciężkim szokiem do dziś ciężącym na życiu narodu.

Spróbujmy więc zastanowić się nad „Wrześniem”. Czy był on rzeczywiście tak haniebną klęską?

Porażka armii polskiej była rzeczywiście bezsporna. Zginęło 66,3 tys. żołnierzy (w tym wysoki odsetek stanowili oficerowie - poległo pięciu generałów), rannych oblicza się na 133,7 tys., a około 716 tys. trafiło do obozów jenieckich lub zostało internowanych - wielu jeńców wymordowano w niewoli (głównie oficerów w ZSSR). A więc prawie połowa armii polskiej z 1939 r. została wyłączona z wojny. Jednak liczba wyszkolonych rezerwistów sięgała 3,5 mln ludzi. Ponadto część internowanych zdołała umknąć z obozów. Ponowne zmierzenie się Wojska Polskiego z Niemcami było kwestią czasu (i to krótkiego).

Z mniejszą dokładnością możemy mówić o stratach niemieckich poniesionych w sile żywej, gdyż liczby zabitych i rannych podawano bardzo różne: od 14 tys., o których mówił Goebbels, do 40 tys. wymienionych w pracach historyków niemieckich i niektórych polskich. Wynikałoby z tego, że atakujący Niemcy ponieśli straty w ludziach mniejsze o cztery piąte od strat broniących się Polaków. Tymczasem wiadomo, że atakujący ponosi zwykle większe ofiary od atakowanego. Można więc przyjąć, że straty niemieckie były co najmniej równe polskim, jeśli „Wrzesień” nie potwierdzał powyższej reguły. Mamy zresztą w tej mierze dowody pośrednie. Walki w Polsce były niezwykle zacięte - Marian Porwit obliczył, że Wojsko Polskie stoczyło z Niemcami 1 553 bitwy siłami większymi od kompanii. Wynikałoby z tego, że średnio na jedną bitwę strona niemiecka traciła 26 zabitych i rannych. Jest to mało prawdopodobne, gdyż Polacy musieli w tym czasie tracić średnio 129 żołnierzy. Dlatego bliższy prawdy wydaje się pułkownik Kazimierz Głabisz, który oceniał straty Niemców na 91 tys. zabitych i 150 tys. rannych - średnia 155 żołnierzy. Potwierdza to w pewnym stopniu odnaleziony przez Apoloniusza Zawilskiego dokument, z którego wynika, że do 24 września Niemcy stracili w Polsce 91 tys. zabitych i mieli 98 tys. rannych.

Zniszczeniu i rozproszeniu uległ prawie cały sprzęt armii polskiej. Pewna jego część znalazła się w Rumunii i na Węgrzech, np. przeleciało tam około 180 samolotów bojowych. Znaczne ilości polskiego uzbrojenia dostały się w ręce sowieckie. Mołotow twierdzi, że Armia Czerwona zdobyła 900 dział z milionem pocisków, 10 tys. karabinów maszynowych, 300 tys. karabinów zwykłych ze 150 mln sztuk amunicji oraz 300 samolotów - było to uzbrojenie pozwalające na wystawienie 20 dywizji piechoty.

Mimo to straty poniesione przez Niemców w sprzęcie były znaczne. W wojskach pancernych Niemcy stracili bezpowrotnie 1000 wozów bojowych, czyli równowartość trzech dywizji pancernych, i prawie 12 tys. pojazdów mechanicznych. Oznaczało to osłabienie niemieckich wojsk pancernych mniej więcej o jedną trzecią stanu wyjściowego.

Jeszcze większe ubytki odnotowała Luftwaffe. Z 2000 samolotów użytych przeciwko Polsce Niemcy musieli odpisać na straty 1290 sztuk. W tej liczbie znajdowały się wprawdzie maszyny zużyte w następstwie intensywnych działań (nie tylko zniszczone przez polską obronę), ale nie ma powodów, aby oddzielać je od „czystych” zestrzeleń. Gdyby nie wojna, Luftwaffe niewątpliwie miałyby te samoloty do dyspozycji. Był to więc również skutek walk w Polsce. I tu jednak, podobnie jak przy stratach w ludziach, rodzą się wątpliwości, czy ocena strat na 64% samolotów odpowiadała rzeczywistości. Wątpił w to Tadeusz Jurga, chociaż nie kwestionował wiarygodności źródła. I chyba nie miał racji. Przecież jeszcze do



niedawna historycy polscy szacowali liczbę zestrzeleń uzyskanych przez obronę przeciwlotniczą na 80-100 samolotów, ale Stanisław Truszkowski dowiódł, że artyleria polska zniszczyła 564 maszyny wroga. Dodajmy do tego 379 dział, moździerzy i granatników oraz katastrofalne zużycie amunicji i materiałów pędnych, a obraz hitlerowskiego sukcesu ukaże się we właściwym świetle.

W rezultacie trwającej miesiąc kampanii armia hitlerowska na osiem miesięcy straciła w znacznej mierze zdolność do prowadzenia walk. Straty, poniesione w Polsce zostały odrobione dopiero w przededniu majowej agresji na Francję, Belgię i Holandię w 1940 roku.

Niemcy zdołały pokonać Polskę nie tyle dzięki przewadze wojskowej, ile ;j dzięki wyjątkowemu, nawet jak na politykę, połączeniu wiarołomstwa, zdrady, głupoty i zbrodniczej chęci wykorzystania ofiary nie sprowokowanej napaści. Mimo to opór Polski wypadł znacznie lepiej od oporu państw, które miały nad Rzeszą przewagę (Francja i w pierwszym okresie wojny ZSSR), znajdowały się w lepszym położeniu geopolitycznym (Belgia, Holandia) lub walczyły w terenie naturalnie obronnym (Grecja, Jugosławia). „Dlatego nie rozumiem - mówi Stefan Jellenta w ankiecie *Wrzesień z perspektywy 30 lat* - jak pisząc i przemawiając po tylu latach mogą niektórzy polscy (tak!) poważni autorzy i prelegenci twierdzić, że Wehrmacht zadania swoje wykonał w ciągu 18 dni. [...] Nie rozumiem tym bardziej, że niejedna niemiecka historia dywizyjna, a w RFN ukazało się ich już sporo, mimochodem wprawdzie i niechętnie przyznaje, że i po 18 września nie było im w Polsce lekko”.

Ale nie w wojskowych działaniach należy mierzyć efekty 1939 roku.

„Wrzesień - według mojej oceny - wierzę, że słusznej [słowa Kazimierza Pluta-Czachowskiego], zapisał się w dziejach narodu klęską wojska, ale chwałą żołnierza i narodu. Był zwycięstwem politycznym”.

Hitlerowi, mimo zwycięstwa, nie udało się wyeliminować Polski z wojny. Śmigły-Rydz nie skapitulował. Nawet Wojsko Polskie zostało odbudowane, i to nie tylko poza granicami kraju, ale również w jego granicach, pod okupacją, jako Armia Podziemna. Państwo polskie istniało nadal. Rząd polski wykonywał swoje funkcje przy pomocy aparatu działającego w konspiracji na terenach okupowanych. Ewenementem na skalę całej okupowanej Europy był fakt, że naczelne władze polityczne i wojskowe Polski Podziemnej znajdowały się przez cały czas w Warszawie w bezpośrednim zasięgu gestapo. Mimo to rozbudowany aparat państwowy działał sprawnie, zajmując się nie tylko wojskiem, ale również oświatą, opieką społeczną, prasą itp. Druga Rzeczpospolita istniała. Jej dzieje nie skończyły się we wrześniu 1939 r., chociaż istnienie to miało inny wymiar i kto inny dzierżył ster rządów.

Zdolność organizowania skutecznej walki z okupantem we wszystkich dziedzinach to jedno z osiągnięć międzywojennego dwudziestolecia. Postawy moralne, odwaga, wiara w zwycięstwo (nie złamał jej „Wrzesień”) w momencie wojennej próby okazały się ważniejsze od metrów, litrów i ton wskaźników gospodarczych. Pod tym względem Czesi w 1938 r., a Francuzi w 1940 r. byli w położeniu o wiele lepszym od Polaków, a mimo to zabrakło im wiary w zwycięstwo. Postawa młodzieży polskiej wychowanej w niepodległej Polsce dowiodła raz jeszcze, jakim bezcennym dobrem dla narodu było owo krótkie dwadzieścia lat niezawisłego bytu.

## BIBLIOGRAFIA\*

1. Dokumenty, relacje, pamiętniki  
d'Abernon Edgar Vincent, *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata pod Warszawą 1920 r.*, Warszawa 1932.  
Anders Władysław, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Londyn 1959.  
Balcerak Wiesław, *Legenda bez pokrycia*, „Studia z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej”, Wrocław 1973, t. IX, s. 201.  
Baranowski Władysław, *Rozmowy z Piłsudskim 1916-1931*, Warszawa 1938.  
Beck Józef, *Ostatni raport*, Warszawa 1987.  
Beck Józef, *Przemówienia, deklaracje, wywiady 1931-1937*, Warszawa 1938.  
*Białe plamy. Dokumenty i materiały dotyczące stosunków radziecko-niemieckich w okresie od kwietnia 1939 do lipca 1941 r.*, Wilno 1990.  
*Concise Statistical Year-Book of Poland, September 1939 - June 1941*. Publ. the Polish Ministry of Information, Glasgow 1941.  
Dąbski Jan, *Pokój ryski. Wspomnienia, pertraktacje, tajne układy z Joffem, listy*, Warszawa 1931.  
*Diariusz i teki Jana Szembeka* (oprac. T. Komarnickiego i J. Zarańskiego), t. I-IV, Londyn 1964- 1972.  
Dmowski Roman, *Pisma*, t. I-VIII, Częstochowa 1937-1939.  
*Dokumenty i materiały do stosunków polsko-radzieckich kwiecień 1920 - marzec 1921*, t. III, Warszawa 1964.  
*Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918-1939*, t. I, 1918-1932, Warszawa 1989.  
*Dyplomata w Paryżu 1936-1939. Wspomnienia i dokumenty Juliusza Łukasiewicza ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej*, Londyn 1989.  
*Dzieje Polski 1918-1939. Wybór materiałów źródłowych* (oprac. W. A. Serczyk), Kraków 1990.  
Eden Anthony, *Pamiętniki 1923-1938*, t. I, *W obliczu dyktatorów*, Warszawa 1970.  
Eden Anthony, *Pamiętniki*, t. II, 1938-1945. *Obrachunki*, Warszawa 1972.  
Gaulle Charles de, *Pamiętniki wojenne*, t. I, *Apel 1940-1942*, Warszawa 1976.  
Gawroński Jan, *Moja misja w Wiedniu 1931-1938*, Warszawa 1965.  
Grabski Stanisław, *Pamiętniki*, t. I-II, Warszawa 1989.  
*Ignacy Mościcki Prezydent RP - Autobiografia*, Warszawa 1993.  
*Kalendarz Niepodległości. Kronika 3 900 wydarzeń w okresie lat 1914-1939 w układzie chronologicznym na każdy dzień kalendarza*, Warszawa 1939.

W trakcie pracy nad książką przyjęto zasadę ograniczania do minimum odsyłaczy źródłowych. Załączona bibliografia zawiera w zasadzie tylko tych autorów i te tytuły, które wymieniono w tekście, co nie oznacza jednak, że wyczerpana została lista lektur stanowiących pomoc w pracy nad książką. Biorąc jednak pod uwagę jej publicystyczny charakter, autor czuł się zwolniony z obowiązku wymieniania całej wykorzystanej literatury.

Kulski Waław, Potulicki Michał, *Współczesna Europa polityczna. Zbiór umów międzynarodowych 1919-1939*, Warszawa - Kraków 1939.

Kwiatkowski Eugeniusz, *W takim żyliśmy świecie*, Kraków 1990.

Landau Jerzy, Tomaszewski Jerzy, *Monachium 1938. Polskie dokumenty dyplomatyczne*, Warszawa 1985.

Laroche Jules, *Polska lat 1926-1935. Wspomnienia ambasadora francuskiego*, Warszawa 1966.

- Lepecki Mieczysław, *Pamiętnik adiutanta marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1988.
- Łaptos Józef, *Dyplomaci II RP w świetle raportów Quai d'Orsay*, Warszawa 1993.
- Mały Rocznik Statystyczny* z r. 1933, 1935, 1936, 1937, 1938, 1939, Warszawa 1933-1939.
- Marchlewski Julian, *Pisma wybrane*, Warszawa 1952-1956.
- Mitkiewicz Leon, *Wspomnienia kowieńskie*, Londyn 1968.
- Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 roku* (red. K. Rowiński), Londyn 1986.
- Mossor Stefan, Kutrzeba Tadeusz, *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom*, Warszawa 1987.
- Nowa Konstytucja RP* (wydał i wstępem opatrzył Stanisław Car), Warszawa 1935.
- Piłsudski Józef, *Generalowie polscy w opinii J. Piłsudskiego* (podał M. Cieplewicz), „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1966, nr 1, s. 316.
- Piłsudski Józef, *Pisma zbiorowe*, t. I-X, Warszawa 1937.
- Polska myśl wojskowa* (wybór L. Wyszczelski), Warszawa 1987.
- Popławski Jan Ludwik, *Pisma polityczne*, t. I-II, Kraków-Warszawa 1910.
- Powstanie II Rzeczypospolitej. Wybór dokumentów 1866-1925*, Warszawa 1984.
- Przewrót majowy 1926 w relacjach i dokumentach* (wybór E. Kozłowski), Warszawa 1987.
- Romer Eugeniusz, *Geograficzno-strategiczny atlas Polski*, Wiedeń 1916.
- Romer Eugeniusz, *Powszechny atlas geograficzny*, Lwów-Warszawa 1939.
- Rudnicki Klemens, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939-1947*, Londyn 1986.
- Rudnicki Szymon, Wróbel Piotr, *Druga Rzeczpospolita. Wybór tekstów źródłowych*, Warszawa 1990.
- Sąsiedzi wobec wojny 1920 roku. Wybór dokumentów* (oprac. J. Cisek), Londyn 1990.
- Schmidt Paul, *Statysta na dyplomatycznym scenie*. Wydanie skrócone, Kraków 1965.
- Schimitzek Stanisław, *Drogi i bezdroża minionej epoki. Wspomnienia z lat pracy w MSZ 1920-1939*, Warszawa 1976.
- Sikorski Władysław, *Nad Wisłą i Wkrą. Studium z polsko-rosyjskiej wojny 1920 roku*, Lwów 1928.
- Składkowski Felicjan Sławoj, *Strzępy meldunków*, Warszawa 1938.
- Sosnkowski Kazimierz, *Cieniom września*, Warszawa 1988.
- Sosnkowski Kazimierz, *Przyczynki do sprawy zbrojeń polskich w okresie 1935-1939*, Londyn 1973.
- Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów*, Warszawa 1965.
- Stachiewicz Waław, *Pisma*, t. I, *Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939*, Paryż 1977.
- Stachiewicz Waław, *Pisma*, t. II, *Rok 1939*, Paryż 1979.
- Stosunki Rzeczypospolitej Polskiej z państwem radzieckim 1918-1939. Wybór dokumentów* (oprac. J. Kumaniecki), Warszawa 1991.
- Szymański Antoni, *Zły sąsiad. Niemcy 1932-1939 w oświetleniu polskiego attache wojskowego w Berlinie*, Londyn b.r.w.
- Śmigły-Rydz Edward, *Byście o sile nie zapomnieli. Rozkazy, artykuły, mowy*, Lwów 1936.
- Świtalski Kazimierz, *Diariusz 1919-1935*, Warszawa 1992.
- Wizyta premiera węgierskiego Gombosa w Warszawie w październiku 1934* (podał M. Koźmiński), „Studia z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej” 1969, t. V, s. 2.
- Wojna obronna Polski 1939 r. Wybór źródeł*, Warszawa 1968.

*Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach* (wybór i opracowanie M. Cieplewicz, E. Kozłowski), Warszawa 1989.

Wysocki Alfred, *Tajemnice dyplomatycznego sejfu*, Warszawa 1974.

*Zbiór dokumentów*. Dodatek do „*Polityki Narodów*”, pod red. J. Makowskiego. Rocznik I-V, Warszawa 1934-1938.

Żeligowski Lucjan, *Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania*, Warszawa 1990.

Żukow Gieorgij, *Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 1970.

## 2. Opracowania, artykuły

Ankieta „*Wrzesień z perspektywy 30 lat*” (wypowiedzi R. Abrahama, K. Pluta-Czachowskiego, S. Jellenty), „*Więź*” 1969, nr 9.

Bagiński Henryk, *Wojsko Polskie na wschodzie 1914-1920*, Warszawa 1921.

Balcerak Wiesław, *Polityka zagraniczna Polski w dobie Locarno*, Wrocław - Warszawa 1967.

Bartlova Alena, *Przyczynek do historii stosunków słowacko-polskich w okresie międzywojennym*, „*Studia z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej*”, Wrocław 1973, t. IX, s. 181.

Bartoszewicz Joachim, *Podręczny słownik polityczny. Do użytku posłów, urzędników państwowych, członków władz samorządowych i wyborców*, Warszawa 1923.

Batowski Henryk, *Austria i Sudety 1919-1938. Zabór Austrii i przygotowanie agresji na Czechosłowację*, Poznań 1968.

Berezowski Maksymilian, *Ulani i buchalterzy, czyli gwarancje dla Polski*, Warszawa 1967.

Berman Czesław, *Mobilizacja w teorii i praktyce*, Warszawa 1964.

Bocheński Adolf, *Między Niemcami a Rosją*, Warszawa 1937.

Bullock Alan, *Hitler - studium tyranii*, Warszawa 1970.

Bułhak Henryk, *Polska i Francja wobec remilitaryzacji Nadrenii*, „*Więź*” 1966, nr 6.

Ciałowicz Jan, *Polsko francuski sojusz wojskowy 1921-1939*, Warszawa 1971.

Cimek Henryk, *Komuniści, Polska, Stalin 1918-1939*, Białystok 1990.

Cisek Janusz, *Kalendarium działalności Józefa Piłsudskiego*, Nowy Jork 1992.

Clausewitz Karl, *O wojnie*, Warszawa 1958.

Charaszkiwicz Edmund, *Przebudowa wschodu Europy. Fragmenty faktów z lat 1917-21*, „*Niepodległość*”, Londyn 1974, t. 1X, s. 229.

Chlebowczyk Józef, *Rola stosunków polsko-niemieckich w dziejach niemieckiego Drang nach Osten w latach 1795-1918*, w: *Wschodnia ekspansja Niemiec w Europie Środkowej*, Poznań 1963.

Cygan Wiktor Krzysztof, *Kresy w ogniu, Wojna polsko-sowiecka 1939*, Warszawa 1990.

Dangel Stanisław, *Na drogach do odwetu*, Warszawa 1931.

Davies Norman, *Boże igrzysko, Historia Polski*, t. 11, *Od roku 1795*, Kraków 1991.

Dembski Krzysztof, *Wielkopolska w początkach II Rzeczypospolitej. Zagadnienia prawnoustrojowe*, Poznań 1972.

Denikin Anton I., *Kto spas sovietskiju vlast' ot gibieli*, Paryż 1937.

Deruga Aleksy, *Polityka wschodnia Polski wobec ziem Litwy, Białorusi i Ukrainy (1918-1919)*, Warszawa 1972.

Drozdowski Marian Marek, *Polityka gospodarcza rządu polskiego 1936-1939*, Warszawa 1963.

- Drymmer Wiktor Tomir, *Zagadnienie żydowskie w Polsce w latach 1935-1939*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1968, z. 13, s. 55.
- Feret Stanisław, *Polska sztuka wojenna 1918-1939*, Warszawa 1972.
- Garlicka Anna, *Polska-Jugosławia 1934-1939. Z dziejów stosunków politycznych*, Wrocław 1977.
- Garlicki Andrzej, *Józef Piłsudski 1867-1935*, Warszawa 1990.
- Godlewski Jerzy R., *Wybrane zagadnienia polskiego planowania wojennego w latach 1919-1939*, Gdańsk 1982; rec. K. Iranek-Osmecki, W. Jędrzejewicz, „Niepodległość”, Londyn 1985, t. XVIII, s. 196.
- Gostyński Karol, *Przewrót hitlerowski w Niemczech i Niemcy w Polsce*, „Sprawy Narodowościowe” 1934, nr 1 i 2.
- Goutard J. F. A., *1940 - wojna straconych okazji*, Warszawa 1959.
- Grabowski Tadeusz, *Inwestycje zbrojeniowe w gospodarce Polski międzywojennej*, Warszawa 1963.
- Grunberg Karol, *Polska karta Stalina*, Toruń 1991.
- Grunberg Karol, Serczyk Jerzy, *Czwarty rozbiór Polski. Z dziejów stosunków radziecko-niemieckich w okresie międzywojennym*, Warszawa 1990.
- Grzybowski Konstanty, *Pięćdziesiąt lat. 1918-1968*, Kraków 1977.
- Haller Stanisław, *Naród a armia*, Kraków 1926.
- Hartmann Eduard, *Der Ruckgang des Deutschtums*, b.m.w. 1885.
- Herwarth Hans von, *Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931-1945*, Warszawa 1992.
- Historia Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego* (red.: M.W. Chwostow, L.A. Slepow, I.M. Wołkow, W.S. Zajcew), Warszawa 1960.
- Historia sztuki wojennej do roku 1939* (pod red. P.A. Rotmistrowa), Warszawa 1967.
- Istoria Polski*, t. III (pod red. F.G. Zujewa, I.A. Chwostowa), Moskwa 1958.
- Istoria wtoroj mirowoj wojny 1939-1945* (pod red. A. A. Greczko), t. I, Moskwa 1973.
- Jędrzejewicz Waław, *Józef Piłsudski 1867-1935. Życiorys*, Londyn 1986.
- Jędrzejewicz Waław, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, t. I II, Londyn 1986.
- Jędrzejewicz Waław, *The Polish Plan for a „Preventive War” Against Germany in 1933*, „The Polish Review” 1966, nr 1, s. 62-91.
- Jonca Karol, *Polityka narodowościowa Trzeciej Rzeszy na Śląsku Opolskim (1933-1940). Studium polityczno-prawne*, Katowice 1970.
- Jurga Tadeusz, *Analiza porównawcza sił polskich i niemieckich w kampanii wrześniowej 1939 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1961, nr 3.
- Jurkiewicz Jarosław, *Pakt Wschodni. Z historii stosunków międzynarodowych w latach 1936-1935*, Warszawa 1963.
- Juzwenko Adolf, *Polska a „biała” Rosja (od listopada 1918 do kwietnia 1920 r.)*, Wrocław 1973.
- Karski Jan, *Wielkie mocarstwa wobec Polski. 1919-1945 od Wersalu do Jałty*, Warszawa 1992.
- Katelbach Tadeusz, *Niemcy współczesne wobec zagadnień narodowościowych*, Warszawa 1932.
- Kelsen Hans, *O istocie i wartości demokracji*, Warszawa 1936.
- Klepaczko Józef, *Analiza czynników wpływających na decyzję wstępnego rozwinięcia wojsk w 1939 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1984, nr 3, s. 177.
- Kosman Marcei, *Historia Białorusi*, Wrocław 1979.
- Kozaczuk Władysław, *Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922-1939*, Warszawa 1975.

Kozeński Jerzy, *Czechosłowacja w polskiej polityce zagranicznej w latach 1932-1938*, Poznań 1964.

Kozłowski Eligiusz, Wrzosek Mieczysław, *Dzieje oręża polskiego 1794-1938*, Warszawa 1973.

Kozłowski Eugeniusz, *Wojsko Polskie 1936-1939. Próby modernizacji i rozbudowy*, Warszawa 1964.

Krasuski Jerzy, *Stosunki polsko-niemieckie 1919-1932*, Poznań 1975.

Krzyżanowski Kazimierz, *Wydatki wojskowe Polski w latach 1918-1939*, Warszawa 1976; rec. B. Skaradziński, *Finanse wojskowe II Rzeczypospolitej*, „Więź” 1977, nr 5-6.

Kuberski Hubert I., *Sojusznicy Hitlera 1941-45. Armie sojusznicze Niemiec na froncie wschodnim i na Bałkanach*, Warszawa 1993.

Kukiel Marian, *Zarys historii wojskowości w Polsce*, Londyn 1949.

Kukułka Józef, *Francja a Polska po traktacie wersalskim (1919-1922)*, Warszawa 1970.

Kumaniecki Jerzy, *Pokój polsko-radziecki 1921. Geneza, rokowania, traktat, komisje mieszane*, Warszawa 1985.

Kumaniecki Jerzy, *Repatriacja Polaków w latach 1921-1924 po wojnie polsko-radzieckiej*, „Przegląd Wschodni. Historia i współczesność Polaków na wschodzie” 1991, z. 1, s. 133.

Kupliński Jerzy, *Udział armii słowackiej w agresji niemieckiej przeciwko Polsce we wrześniu 1939 roku*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1989, nr 4, s. 62.

Kwiatkowski Eugeniusz, *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, Kraków 1932.

Labuda Gerard, *Polska granica zachodnia. Tysiąc lat dziejów politycznych*, Poznań 1971.

Lapter Karol, *Pakt Piłsudski-Hitler. Polsko-niemiecka deklaracja o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 r.*, Warszawa 1962.

Launay Jacques de, *Historia tajnej dyplomacji od 1914 do 1945 roku*, Kraków 1970.

Launay Jacques de, *Wielkie spory współczesności*, Kraków 1978.

Lichten Józef, *Żydzi w Polsce dwudziestolecia*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1981, z. 57, s. 195.

Lindell Hart B.H., *Strategia, Działania pośrednie*, Warszawa 1959.

Lipiński Wacław, *Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905-1918*, Warszawa 1935.

Łojek Jerzy (Leopold Jerzewski), *Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych*, Warszawa 1990.

Łossowski Piotr, *Między wojną a pokojem. Niemieckie zamysły wojenne na wschodzie w obliczu traktatu wersalskiego, marzec-czerwiec 1991 roku*, Warszawa 1976.

Łossowski Piotr, *Stosunki polsko-litewskie w latach 1921-1939; Stosunki polsko-łotewskie w latach 1919-1939*, w: *Przyjaźnie i antagonizmy. Stosunki Polski z państwami sąsiednimi w latach 1918-1939*, Wrocław 1977.

Łukomski Grzegorz, Polak Bogusław, Wrzosek Mieczysław, *Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920*, t. I (1 stycznia 1919-29 lutego 1920), t. II, (marzec-październik 1920 r.), Koszalin 1990.

Malinowski-Pobóg Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. I-III, Londyn 1983- 1985.

Matuszewski Ignacy, *Próby syntez*, Warszawa 1937.

Mazurowa Kazimiera, *Europejska polityka Francji 1938-1939*, Warszawa 1974.

Micewski Andrzej, *Roman Dmowski*, Warszawa 1971.

- Micewski Andrzej, *W cieniu marszałka Piłsudskiego. Szkice z dziejów myśli politycznej II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1968.
- Mikulicz Sergiusz, *Kłajpeda w polityce europejskiej 1918-1939*, Warszawa 1976.
- Mikulicz Sergiusz, *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1971; rec. J. Łobodowski, „Niepodległość”, Londyn 1974, t. IX, s. 411.
- Moczulski Leszek, *Wojna polska 1939, Rozgrywka dyplomatyczna w przededniu wojny i działania wojenne we wrześniu-październiku 1939*, Poznań 1972; rec. K. Głabisz, „Niepodległość”, Londyn 1974, t. IX, s. 420.
- Molenda Jan, *Piłsudzczyca a narodowi demokraci 1908-1918*, Warszawa 1980.
- Musialik Zdzisław, *General Weygand and the Battle of the Vistula - 1920*, London 1987.
- Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich (wrzesień 1939)*, Londyn 1987.
- Nicieja Stanisław Sławomir, *Julian Leszczyński-Leński*, Warszawa 1979.
- Ochmański Jerzy, *Historia Litwy*, Wrocław 1967.
- Orlicki Józef, *Szkice z dziejów stosunków polsko-żydowskich 1918-1949*, Warszawa 1983.
- Orlof Ewa, *Dyplomacja polska wobec sprawy słowackiej w latach 1938-1939*, Kraków 1980.
- Orzechowski Jan, *Dowodzenie i sztaby*, t. III, *Okres międzywojenny (1918-1939)*, Warszawa 1980.
- Pajewski Janusz, „*Mitteleuropa*”. *Studia z dziejów imperializmu niemieckiego w dobie pierwszej wojny światowej*, Poznań 1959.
- Pajewski Janusz, *Niemcy w czasach nowożytnych (1517-1939)*, Poznań 1947.
- Pajewski Janusz, *Pierwsza wojna światowa 1914-1918*, Warszawa 1991.
- Pawłowski Ignacy, *Polityka i działalność wojskowa KPP 1918-1928*, Warszawa 1964.
- Polska polityka zagraniczna 1926-1932* (na podstawie tekstów min. Józefa Becka opr. Anna M. Cienciała), Paryż 1990.
- Polska współczesna*, Lwów 1923.
- Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. I, *Kampania wrześniowa 1939*, cz. 1, *Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną*, cz. 2, *Przebieg działań od 1 do 8 września*, Londyn 1951; cz. 3, *Przebieg działań od 9 do 14 września*, Londyn 1959; cz. 4, *Przebieg działań od 15 do 18 września*, Londyn 1986.
- Porwit Marian, *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 r.*, cz. 1, *Plany i ich załamanie*, Warszawa 1969; cz. 2, *Odwrót i kontrofensywa*, Warszawa 1973; cz. 3, *Bitwy przebojowe i obrona bastionów*, Warszawa 1978.
- Próchnik Adam, *Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej. Zarys dziejów politycznych*, Warszawa 1957.
- Reguła Jan Alfred, *Historia Komunistycznej Partii Polski w świetle faktów i dokumentów*, Warszawa 1934.
- Serczyk Władysław A., *Historia Ukrainy*, Wrocław 1979.
- Sierpowski Stanisław, *Stosunki polsko-włoskie w latach 1918-1940*, Warszawa 1975.
- Sierpowski Stanisław, *Piłsudski w Genewie. Dyplomatyczne spory o Wilno w roku 1927*, Poznań 1990.
- Sikorski Władysław, *Przyszła wojna jej możliwości i charakter oraz związane z nim zagadnienia obrony kraju*, Warszawa 1934.
- Skrzypek Andrzej, *Nie spełniony sojusz? Stosunki sowiecko-niemieckie 1917-1941*, Warszawa 1992.
- Sobczyk Janusz, *Propaganda zagraniczna Niemiec weimarskich wobec Polski*, Poznań 1973.
- Sobieski Waclaw, *Dzieje Polski*, t. III, 1864-1938, Warszawa 1938.

- Staniewicz Restytut W., *Elementy polskich przygotowań do wojny z Niemcami (1933-1939)*, „Więź” 1960, nr 7.
- Stanisławska Stefania, *Polska a Monachium*, Warszawa 1967.
- Starzewski Jan, *Zmiana stanowiska Polski wobec Rosji w przededniu II wojny światowej*, „Niepodległość”, Londyn 1976, t. X, s. 91.
- Stawecki Piotr, *Następcy Komendanta. Wojsko a polityka wewnętrzna Drugiej Rzeczypospolitej w latach 1935-1939*, Warszawa 1969.
- Stojanowski Karol, *Rasizm przeciwko Słowiańszczyźnie*, Poznań 1934.
- Stpiczyński Wojciech, *Polska, która idzie*, Warszawa 1929.
- Strasburger Henryk, *Polska a Niemcy hitlerowskie*. Odczyt wygłoszony w Katowicach na zebraniu BBWR podany do druku w 1933 r.
- Studnicki Władysław, *System polityczny Europy a Polska*, Warszawa 1935.
- Sujkowski Antoni, *Polska niepodległa*, Warszawa 1926.
- Szaflarski Józef, *Ruchy ludnościowe na pograniczu polsko-niemieckim w ciągu ostatniego wieku*, Gdańsk 1947.
- Szawłowski Ryszard (Karol Liszewski), *Wojna polsko-sowiecka 1939 r.*, Londyn 1988; rec. M. Lipiński, „*Wojna polsko-sowiecka 1939 r.*” *Karola Liszewskiego w świetle faktów*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1991, nr 2, s. 174.
- Szeremietiew Romuald (Eugeniusz Koniuszyński), *Ewolucja endecji 1925-1928*, „Więź” 1976, nr 12.
- Szeremietiew Romuald, *Garnizon leszczyński w wojnie obronnej 1939 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1989, nr 4, s. 109.
- Szeremietiew Romuald, *W obcym interesie. Zarys historii Komunistycznej Partii Polski*, Warszawa 1991.
- Szubański Rajmund, *Plan operacyjny „Wschód”*, Warszawa 1993.
- Szubański Rajmund, *Polska broń pancerna 1939*, Warszawa 1982.
- Thugutt Stanisław, *Polska i Polacy. Ilość i roziedlenie ludności polskiej*, Warszawa 1915.
- Truskowski Stanisław, *Działania artylerii przeciwlotniczej w wojnie 1939 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1978, nr 2.
- Wandycz Piotr, *Polska a zagranica*, Paryż 1986.
- Wapiński Roman, *Roman Dmowski*, Lublin 1988.
- Wasilewski Leon, *O wschodnią granicę Państwa Polskiego*, Warszawa 1917.
- Wereszycki Henryk, *Historia polityczna Polski 1864-1918*, Wrocław 1990.
- Wiatr Jerzy J., *Socjologia wojska*, Warszawa 1964.
- Wojciechowski Marian, *Stosunki polsko-niemieckie 1933-1938*, Poznań 1965.
- Wojna Romuald, *Polska a ZSRR między wojnami (1918-1938)* w: *Przyjaźnie i antagonizmy*, Wrocław 1977.
- Wójcik Zbigniew, *Józef Piłsudski (1867-1935). Życie i działalność*, Zeszyt specjalny Studium Nauki Społecznej Kościoła, Warszawa 1985.
- Wrzesiński Wojciech, *Niemcy w polskiej myśli politycznej lat 1864-1914. Główne nurty*, w: *Polska i jej sąsiedzi*, Wrocław 1975.
- Wrzesiński Wojciech, *Polski ruch narodowy w Niemczech 1922-1939*, Poznań 1970.
- Wyszczelski Lech, *O czym nie wiedzieli Beck i Rydz-Śmigły*, Warszawa 1989.
- Wyszczelski Lech, *Polska myśl wojskowa 1914-1939*, Warszawa 1988.
- Zabiełło Stanisław, *W kręgu historii*, Warszawa 1970.
- Zaloga Steven, Madej Victor, *The Polish Campaign 1939*, New York 1985.
- Zaremba Paweł, *Historia dwudziestolecia (1918-1939)*, t. I-II, Paryż 1981.
- Zawilski Apoloniusz, *Bitwy polskiego września*, t. I II, Warszawa 1972.



- Zgórniak Marian, *Sytuacja militarna Europy w okresie kryzysu politycznego 1938 r.*, Warszawa 1979.
- Ziaja Leon, *PPS a polska polityka zagraniczna 1926-1939*, Warszawa 1974.
- Zieliński Antoni, *Stosunki polsko-rumuńskie (grudzień 1933 - maj 1935)*, „Studia z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej”, 1976, t. XII, s. 157.
- Zmowa. *IV rozbiór Polski* (oprac. A.L. Szcześniak), Warszawa 1990.
- Żarnowski Janusz, *Spółeczeństwo Drugiej Rzeczypospolitej 1918-1939*, Warszawa 1973.
- Żarnowski Janusz, *Polska 1918-1939. Praca-technika-społeczeństwo*, Warszawa 1992.